



Jan Baszkiewicz
Richelieu

Państwowy Instytut Wydawniczy

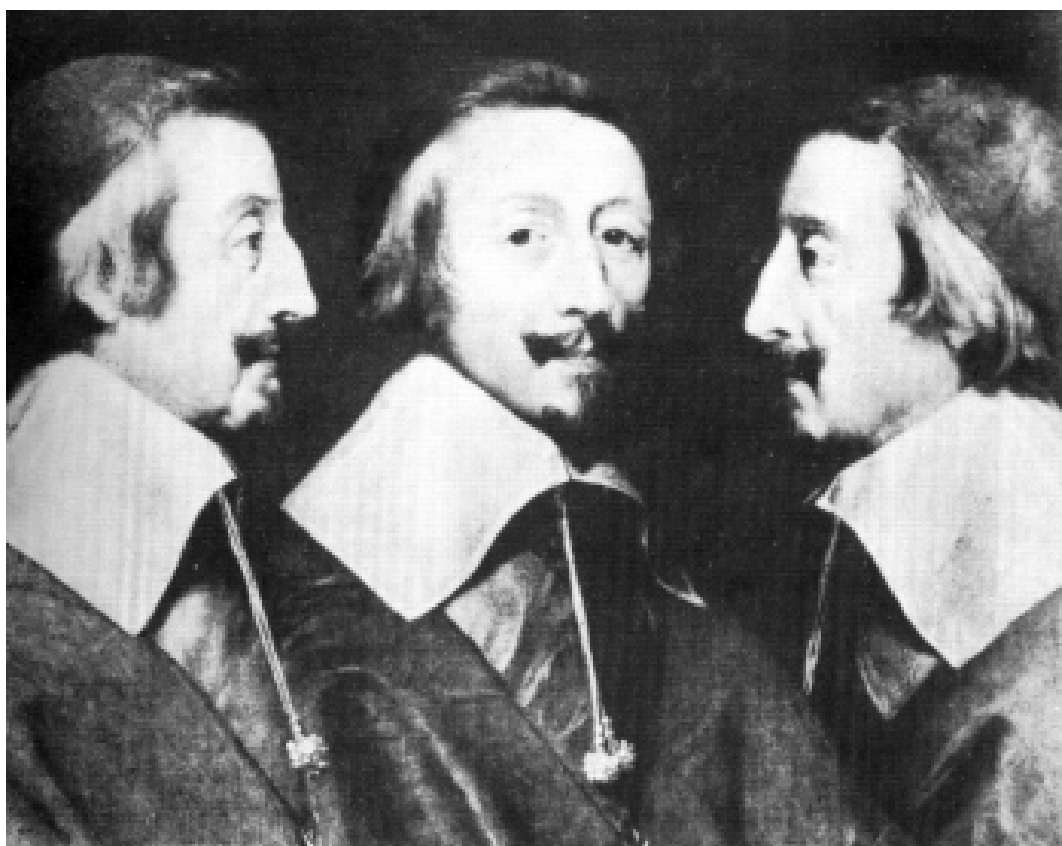


JAN BASZKIEWICZ



RICHELIEU

CYKL: Biografie Sławnych Ludzi



Księgozbiór DiGG



2010



I. DLA DOBRA KOŚCIOŁA I CHWAŁY IMIENIA



ARMAND - JEAN DU PLESSIS

Nie był genialny, choć akademicka historiografia zrobiła niemało, by go pasować na geniusza. Trudno uznać, że ukształtował całą swą epokę, trudno upatrywać w nim tytanicznego nowatora. Działał wszelako na ważnym skrzyżowaniu dróg dziejowych Francji i całej Europy. Na jego poczynania wyrazisty cień rzucało jeszcze średniowiecze ze swymi wyobrażeniami o kryteriach wielkości władców i militarnymi tradycjami, ze swą zasadą rządzenia przy pomocy klanu wiernych wasali. Był pojętym uczniem tych rządców i myślicieli renesansu, którzy na politykę spoglądali z trzeźwym realizmem, którzy wymyślili rację stanu i unowocześnili reguły politycznej gry. Dobrze pasował do swojej epoki, do klasycyzmu XVIII stulecia z jego gustem do ładu, hierarchii i dyscypliny. Są jednak w jego dziele zapowiedzi przyszłości: torował drogę Mazariniemu i Colbertowi. Był wreszcie „człowiekiem krawędzi” także z racji swego pochodzenia. Jego osoba, by tak rzec, łączy właściwości i tradycje wszystkich trzech stanów ówczesnego społeczeństwa. Był księciem Kościoła, należał do średniej szlachty ambitnie przedzierającej się ku arystokratycznej karierze, miał wśród przodków ludzi utalentowanej i przedsiębiorczej burżuazji prawniczej.

Panegiryci z otoczenia kardynała Richelieu znali jego wrażliwość na pochlebstwa i nie kępowali się wstydem czy dobrym smakiem przy dobieraniu komplementów na temat „boskiego Armanda”, „największego z ludzi”, „cudu epoki” i „niezrównanego herosa”; rozpisywano się o jego „niebiańskich cnotach” i „niezwykłych czynach”. Do tego repertuaru należało także wychwalanie wspaniałości jego rodu, cnotliwych i starożytnych arystokratów, panów du Plessis de Richelieu. Prawda jest inna. Ród nie był starożytny; dopiero u schyłku XV wieku ustalił swą, skromną zresztą, pozycję. Panowie du Plessis mieli wówczas trochę ziemi i mały zamek w Richelieu, na pograniczu Poitou i Turenii, dwadzieścia kilometrów od miasta Loudun, które w tej historii odegra pewną rolę. Okolica nie była zamożna, językoznawcy odrzucają dosłowne wyjaśnianie etymologii (*riche lieu* = bogata miejscowość) i tłumaczą pochodzenie owej nazwy w sposób odmienny a wielce zawiły. Panowie na Richelieu nie byli potentatami. Jak inni brali udział w wojnach włoskich, a potem w domowych konfliktach religijnych, nie robiąc ani kariery, ani fortuny.

Owszem, pradziad kardynała Antoine du Plessis zapisał się w ludzkiej pamięci. Bardzo szpetnie. Należał do partii katolickiej i jako kapitan w

służbie Gwizjuszów zasłynął barbarzyńską masakrą setki hugenotów zamkniętych w kościele. To było w roku 1561. Otwórzmy teraz słynny dziennik paryskiego *bourgeois*, pana de l'Estoile. Autor notuje w styczniu 1576 roku: „Kapitan de Richelieu, człowiek złej sławy, głośny ze swych złodziejstw, bezbożności i bluźnierstw, zresztą wielki nicpoń i kurwiarz znany we wszystkich zamtuzach, został zabity w Paryżu na rue des Lavandières przez takich jak on sam nicponi, gdy bawił się z dziwkami”...

A jednak starszy syn tego szelmy, Louis du Plessis, zrobił wielki krok na drodze społecznego awansu: ożenił się z Franciszką de Rochechouart, którą zresztą rychło odumarł zostawiając mnóstwo długów i pięcioro dzieci. Rochechouartowie to już była prawdziwa arystokracja. Niemniej pani Franciszka, babka kardynała, miała wdowieństwo bardzo trudne. Kłopotom finansowym rodziny ulżyło trochę małżeństwo młodszego syna, Franciszka du Plessis. Tylko najstarszy syn musiał dbać o świetność mariażu, by nie przynieść ujmy krwi Rochechouartów; młodszy miał swobodę popełnienia mezaliansu. Toteż w sierpniu 1566 roku w paryskim kościele Saint-Séverin odbył się ślub 18-letniego Franciszka du Plessis z 15-letnią panną Zuzanną La Porte, córką zamożnego paryskiego adwokata, który zajmował się powikłanymi sprawami majątkowymi du Plessisów. Franciszek La Porte zbił fortunę na prowadzeniu paryskich interesów Zakonu Maltańskiego. Gdy umierał w ostatnich latach XVI wieku, polecił swe wnuki (sieroty, bo Franciszek du Plessis już nie żył) opiece swego dependenta i następcy, adwokata Dionizego Bouthillier, który rzetelnie wykonał zlecenie byłego patrona. Okazało się, iż była to doskonała inwestycja: gdy kardynał Richelieu doszedł do władzy, La Porte'owie i Bouthillierowie obsypani zostali łaskami i godnościami.

Franciszek du Plessis i Zuzanna z La Porte'ów to rodzice kardynała. Losy ojca były burzliwe. Kilka lat po ślubie musiał uciekać z Francji, gdyż na rozkaz matki dokonał krwawej wendety. Jego starszy brat Ludwik, oficer pod rozkazami diuka de Montpensier, wdał się w głupi spór o pierwszy krok w kościele parafialnym z sąsiadem du Plessisów, niejakim Maussonem. Po wyjściu z kościoła, we wsi Braye, Mausson zabił Ludwika du Plessis; pani Franciszka z Rochechouartów wezwała wówczas młodszego syna. Zaczaił się on z grupą przyjaciół przy rzeczonym brodzie. Gdy Mausson wjechał w płytką wodę, Franciszek du Plessis rzucił w nogi jego konia ciężkie koło. Koń przygniótł jeźdźca, a du Plessis i jego wspólnicy zamordowali bezbronnego Maussona bez żadnych skrępowań.

Gdyby król Henryk Walezy nie porzucił był tronu polskiego, kardynał Richelieu nie byłoby może na świecie. Franciszek du Plessis umknął przed następstwami swej zbrodni aż do Polski; później pojawił się tu i Henryk Walezy, który du Plessisa pamiętał z bitwy pod Moncontour: katolicy z księciem Henrykiem pobili tam kalwinów pod wodzą admirała de Coligny. Du Plessis przyjęty został do świty nowego króla Polski; jemu to podobno przypadło powiadomić Henryka Walezego o śmierci Karola IX. Obaj wrócili do Francji; król Henryk III, który lubił ładnych chłopców, darzył do końca łaskami du Plessisa, niezbyt mądrego, słabo wykształconego, lecz bardzo przystojnego. François du Plessis został kawalerem Orderu św. Ducha i wielkim prewotem dworu, to znaczy sędzią w sprawach

kryminalnych dotyczących osób z dworu: w tym charakterze aresztował i przesłuchiwał zabójcę Henryka Walezego, mnicha Clémenta. Lojalny rojalista, uznał bez zastrzeżeń wskazanego przez umierającego króla nowego władcę, Henryka IV. Uczestniczył w bitwach pod Arques i Ivry, w których Henryk IV odniósł piękne zwycięstwa nad wojskami katolickiej Ligi. Zmarł w wieku zaledwie 42 lat, gdy król oblegał Paryż, w lipcu 1590 roku. Obaj Henrykowie cenili jego wierność; dworzanie niezbyt lubili du Plessisa. Raziła ich jego melancholia: ponoć gryzła go pamięć popełnionej za młodu zbrodni.

Rodzinę pozostawił w trudnym położeniu. Dzieci były jeszcze małe: syn Henryk miał w 1590 roku zaledwie lat 10, średni, Alfons, siedem, zaś Armand-Jean pięć. Były też dwie córki: 12-letnia Françoise i czteroletnia Nicole. Wielki prewot uważał, że świetność swego urzędu potwierdzać musi wielkimi wydatkami. Spekulował też niefortunnie, co go zadłużyło; dobra rodowe du Plessisów splądrowali tuż przed jego śmiercią katolicycy ligowcy. Wdowa musiała ponoć sprzedać cenny łańcuch Orderu św. Ducha, by pokryć koszty pogrzebu Franciszka du Plessis. Król dwukrotnie ją wspierał zapomogami, co pozwoliło spłacić najpilniejsze długi; Zuzanna du Plessis z dziećmi opuściła jednak dwór i przeniosła się na wieś, do Richelieu.

Bohater tej historii Armand-Jean du Plessis de Richelieu urodził się jako trzeci syn, 9 września 1585 roku. Wiadomo, że poród był trudny; matka była bliska śmierci, a i synowi nie dawano wielkich szans przeżycia. Nie wiadomo natomiast dokładnie, gdzie się właściwie urodził przyszły kardynał de Richelieu. Z rejestrów parafialnych w Braye wyrwano zapisy z lat 1580-1600, w Paryżu nie odnaleziono ani śladu aktu urodzenia Armanda du Plessis. Wielu współczesnych, w tym ulubiona siostrzenica kardynała diuszesa d'Aiguillon, zapewniało, iż przyszedł na świat w Richelieu. Sam kardynał wiele razy przedstawiał się jako urodzony paryżanin. Ale, rzecz dziwna, Richelieu, który potrafił być dokładny i lubił się nad sobą rozwodzić, w tej właśnie kwestii wypowiadał się ogólnikowo i enigmatycznie. Jeśli istotnie urodził się w Paryżu, to zapewne w siedzibie rodziców, pałacu de Losse na ulicy Bouloi, niedaleko Luwru. Osiem miesięcy po urodzeniu ochrzczono go w paryskim czcigodnym kościele Św. Eustachego; imię otrzymał po ojcu chrzestnym, marszałku Armandzie de Biron.

Po śmierci ojca znalazł się wraz z rodzeństwem w Richelieu, w rodowym zamku du Plessisów. Wielki prewot zaczął około roku 1580 przebudowę tej średniowiecznej budowli, zmarł jednak, nim ukończono roboty. W tej dość ponurej, mało komfortowej siedzibie rządziły trzy kobiety: impetyczna babka Franciszka, matka Zuzanna, melancholijna i bojaźliwa, oraz skwaśniała ciotka. Ich wzajemne stosunki były pozbawione ciepła. Lamentowały bez przerwy nad pięknymi kłopotami, nad słabym zdrowiem Armanda (od dzieciństwa nękały go gorączki i migreny), nad zagrożeniami majątku przez zbrojne bandy, od których aż się roiło w Poitou i w Turenii. Wojny domowe już wygasły, ale w okolicy czasem jeszcze płonęły wsie, chłopci zaś tracili dobytek zagarniany przez rabusiów. To poczucie braku stabilizacji, nieustannego zagrożenia, a także trudne do

wytrzymania stosunki domowe wywierały bez wątpienia wpływ na nerwowego, inteligentnego Armanda. Nieraz też tłumaczono później tymi doświadczeniami dzieciństwa jego niemal obsesyjny kult ładu i bezpieczeństwa, niejaki chłód uczuciowy, a przede wszystkim chęć wyrwania się z rodzimego otoczenia, wybiecia się, szybkiego sukcesu i zapewnienia podupadłemu rodowi du Plessisów efektownego awansu społecznego. Być może diabelska ambicja kardynała Richelieu urodziła się na wsi, a nie dopiero w Paryżu.



MARKIZ DE CHILLOU

W Richelieu otrzymał początki wykształcenia od matki i od księdza z pobliskiego klasztoru. Ale już w 1594 roku znalazł się w znakomitym paryskim collège de Navarre: tu się ongiś uczył miłosciwie panujący Henryk IV. Teraz w kolegium było zimno, głodno i ciasno: część budynku szkoły zajmowali wciąż chłopci, którzy się tu schronili podczas wojen domowych. Armand du Plessis chwalebnie przeszedł wszystkie trzy stopnie nauczania: gramatykę, sztuki wyzwolone, filozofię. Uczył się metodycznie i ambitnie; świadkowie wspominali potem jego pracowitość i zdyscyplinowanie, pragnienie pochwał i obsesyjną obawę nagany. Zdobył w kolegium świetną znajomość łaciny, nieco gorszą greki; nauczył się włoskiego i hiszpańskiego; imponował wyborną pamięcią historii, przede wszystkim starożytnej. Była to kultura umysłowa rozległa, lecz bardzo jednostronnie humanistyczna.

Jego starsi bracia mieli już wytyczone drogi życiowe. Najstarszy, Henri, zaczął karierę na dworze i korzystał z życzliwości króla, który pamiętał wierną służbę wielkiego przewota. Alfons miał zostać duchownym. Armand-Jean wybrał karierę militarną, wbrew życzeniom matki i chyba gwałcąc własne psychofizyczne dyspozycje. Po ukończeniu kolegium pojawił się tedy w akademii wojskowej pana de Pluvinel, która kształciła królowi oficerów. Pluvinel, szlachcic z Delfinatu, wysoko notowany na dworze, uczył swych podopiecznych nie tylko jazdy konnej, fechtunku i innych militarnych umiejętności, ale także tańca, dwornej wymowy, etykiety i eleganckich manier. Armand występował w tej szkole pod przybranym nazwiskiem markiza de Chillou (tak się nazywała jedna z posiadłości du Plessisów). Oczywiście, nie miał żadnych podstaw, by się posługiwać tytułem markiza, ale wśród ambitnej średniej szlachty praktyki takie były podówczas nagminne. „Markiz” de Chillou miał dwu służących i sekretarza, niejakiego Le Masle’a, który stanie się potem niezastąpionym intendentem finansów kardynała de Richelieu. Armand-Jean znowu uczył się świetnie, w balecie był jednak lepszy niż w fechtunku.

Szermierka wnet stanie mu się niepotrzebna. Ważną pozycją w rodzinnym majątku du Plessisów były dochody z biskupstwa Luçon, w ich rodzimej prowincji Poitou. Stryjeczny dziad kardynała, Jacques du Plessis, otrzymał tę diecezję od króla Henryka III; Henryk IV postanowił zachować biskupstwo Luçon w dyspozycji du Plessisów. Przez bardzo długi czas

biskupstwo wakowało; nominację na nie Alfons du Plessis otrzymał w 1595 roku, gdy miał 12 lat. Na biskupią sakrę musiałby czekać cierpliwie: wiek kanoniczny dla biskupa wynosił lat 25.

Sytuacja diecezji pozbawionej biskupa bardzo się tymczasem powikłała. Zarządzał nią prepozyt i zarządzał źle. Kapituła diecezjalna się burzyła, pragnęła zająć dochody biskupie - 16 tysięcy liwrów rocznie - na pilne potrzeby: katedra i pałac biskupi zaczęły się sypać, trzeba było szybko przystąpić do remontu. W 1603 roku parlament paryski zmusił rodzinę du Plessisów do przekazania jednej trzeciej dochodów biskupich na owe pilne potrzeby.

W dodatku biskup-nominat rozczarował rodzinę. Alfons Ludwik du Plessis de Richelieu - niegłupi, dowcipny, ale z napadami urojeń, psychicznie nie zrównoważony - stanowczo odmówił zgody na karierę biskupią i wstąpił do zakonu kartuzów. Jego niechęć do fioletów i purpury nie była zresztą nieprzewyciężona, później zostanie arcybiskupem w Aix i następnie w Lyonie, kardynałem i wielkim jałmużnikiem Francji.

Matka, która od Alfonsa dużo bardziej lubiła Armanda i nie była zachwycona perspektywą jego oficerskiej kariery, bez trudu wytłumaczyła najmłodszemu synowi, że tylko on może utrzymać biskupstwo Luçon w rodzinie du Plessisów. Armand-Jean nie dał się prosić. Zmienił wszystkie życiowe plany: dla dobra kościoła i chwały imienia, jak powtarzał. Zaczął zatem trzeci cykl studiów, tym razem teologicznych.

Nie była to tylko ofiara na rzecz rodowego egoizmu du Plessisów; z pewnością zagrała też ambicja 18-letniego kandydata na oficera. Kariera wojskowa miała swój rytm, z reguły powolny. W opinii społecznej biskup znaczył wówczas dużo więcej niż oficer, nawet generalskiej rangi: ileż zaś lat i ile kampanii musiałby przeżyć Armand du Plessis, by zbliżyć się do generalskiego stopnia? Studia teologiczne nie stanowiły problemu dla młodego człowieka pracowitego, intelektualnie dojrzałego i o subtelnym umyśle. Trzeba wszelako przyznać, że studiował te pobożne nauki z powagą i gorliwością. Jeśli już miał zostać biskupem, pragnął nim być na serio, górować nad diecezjalnym klerem tak władzą, jak i wiedzą.

Uczył się po swojemu, wedle własnego planu lektur, ale słuchał też oczywiście wykładów publicznych. Zainteresował go angielski teolog Richard Smith, nowocześnie myślący i otwarty, nie budzący tedy zachwyty konserwatystów z Sorbony. Armand du Plessis zagustował wyraźnie w teologicznej kontrowersji, erudycji biblijnej, sztuce pobożnej elokwencji. Efektowne popisy erudycyjne były mu zapewne potrzebne, by imponować wyżej postawionym i lepiej urodzonym, a także by dominować nad umysłami mniej świetnie wyposażonymi. Gdy w 1606 roku Henryk IV mianował go wreszcie biskupem Luçon, nominat był już solidnie i wszechstronnie wykształconym teologiem.

Król podjął też starania, by papież Paweł V zezwolił na sakrę biskupią Armanda du Plessis, choć do wieku kanonicznego brakowało mu jeszcze kilku lat. Miał go protegować królewski ambasador w Rzymie, Henryk IV prosił też o interwencję bawiącego w Rzymie kardynała de Joyeuse. Krok kandydata, który w grudniu 1606 roku sam udał się ad limina Apostolorum, by popychać swoją sprawę, może się nam wydać czymś bardzo bliskim

zuchwalstwa. Tak to też oceniali liczni współcześni; wokół pobytu Richelieugo w Rzymie pojawiło się niemało anegdot. Opowiadano więc, że ściągnął na siebie uwagę efekciarskim popisem: usłyszał podobno w jakimś rzymskim kościele piękne kazanie, wpadł w zachwyt i po wyjściu z kościoła powtórzył je z pamięci, słowo w słowo, zdumionemu tłumowi. Czyżby nauczył się wcześniej tekstu na pamięć? Wiadomość o tym wy-czynie teologicznej elokwencji dotarła do papieża. Ascetyczny Paweł V zaprosił do siebie młodego Francuza, który raz jeszcze powtórzył zasłyszane kazanie, po czym wygłosił własną homilię na ten sam temat, bardzo znakomitą. Papież był olśniony; podjął poważną rozmowę z kandydatem na biskupa i wyraził jakoby sceptycyzm co do katolickiej gorliwości króla Henryka IV. Armand du Plessis zaczął z zapałem bronić króla Francji i Nawarry, jego pobożności i jego polityki. „*Henricus rex armandus Armando*” - rzekł ponoć Paweł V.

Inna historyjka, powtarzana chętnie przez pamiętnikarzy i anegdociarzy, ze słynnym plotkarzem Tallemantem des Réaux na czele. Oto papież wahał się, czy zezwolić na sakrę biskupią młodemu nominatowi. Richelieu „odrzekł, że osiągnął wiek właściwy, a później przyznał się do oszustwa i prosił o rozgrzeszenie. Papież powiedział o nim: *Questo giovane sarà un gran furbo* (Z tego młodzieńca wyrośnie wielki szachraj)”.

Wszystko to jest groch z kapustą. W historii z kazaniem tkwi zapewne jakieś ziarno prawdy. Audiencja u papieża to też fakt, choć można wątpić, czy Paweł V rozmawiał tak swobodnie z młokosem o ortodoksji jego władcy. Anegdota o sfalszowanej dacie urodzenia, choć tak często obracano ją na językach, jest prawie na pewno zwykłym wymysłem. Bez wątpienia Armand du Plessis zrobił dobre wrażenie w rzymskiej kurii dzięki swej erudycji. Otrzymał dispensę papieską z pochlebny-m uzasadnieniem: „Jest rzeczą słuszną, by ten, czyja wiedza jest ponad jego wiek, otrzymał sakrę mimo braku [odpowiedniego] wieku”. Dnia 17 kwietnia 1607 roku kardynał Givry udzielił mu w Rzymie święceń biskupich. To ogromny awans dla potomka poitewińskich hreczkosiejów, syna jednego z *mignos* Henryka Walezego i paryskiej mieszczki, tak niedawno jeszcze ginącego w tłumie wojskowych aspirantów z „akademii” Pluvinela.



MONSIEUR DE LUÇON

Jako biskup miał teraz tytuł barona de Luçon i przez szereg lat mówić się o nim będzie: pan de Luçon. Kariera była szybka, ale diecezja Luçon to - jak powiadał jej nowy zwierzchnik - „najbardziej utyłane w błocie (*le plus crotté*) biskupstwo Francji”.

Nie od razu zaczął nim rządzić. Najpierw było efektowne ukończenie studiów teologicznych. Przed wyjazdem do Rzymu zdał już, egzaminowany przez dziesiątkę doktorów Sorbony, tak zwaną *tentative* i dostał tytuł bakalaureata. Teraz przyszły dalsze próby, z najważniejszym egzaminem („*la sorbonnique*”) trwającym nieraz podobno i kilkanaście

godzin. Jury jednomyślnie przyznało mu doktorat Sorbony. Był to koniec października 1607 roku.

Aż do grudnia 1608 roku pozostał jeszcze w Paryżu. Podejrzewano później, że już wówczas miotał nim demon ambicji. Jeśli to prawda, ambicje były mocno przedwczesne. Przyjaciele i współpracownicy Henryka IV mocno trzymali wszystkie ważniejsze stanowiska na dworze, ekipa rządowa solidnie się utrwaliła przy sterze. Królowi, życzliwemu dla rodziny wielkiego przewota, wystarczał na dworze najstarszy jego syn, Henri de Richelieu. Ów brat przyszłego kardynała miał zresztą przy królu i wśród dworzan pozycję dość dwuznaczną. Był to, jak pisze Tallemant, „mężczyzna słusznej kompleksji i niepośledniego dowcipu, żywił duże ambicje i robił wydatki ponad stan... Niemniej, choć bardzo się puszył i w rzeczywistości był krwi szlacheckiej, za karmazyna go nie uważano... Ten pan de Richelieu zdobył względy Henryka IV donosząc mu, co słyhać na dworze i w mieście, oraz starannie zasięgając języka o każdym wydarzeniu, jako że król chciał wszystko wiedzieć”. Bez wątplenia pomagał Armandowi; obaj bracia aż do przedwczesnej śmierci Henryka w pojedynku byli w bliskich, serdecznych stosunkach - choć młodszy miał za złe starszemu jego rozrzutność.

Ostatecznie jedynym sukcesem dworskim pana de Luçon w 1608 roku było wygłaszanie kazań wielkopostnych w parafii Luwru, kościele Saint-Germain-l'Auxerrois, i to razem z samym spowiednikiem króla, jezuitą Cottonem, a także wyrabianie sobie protektorów na dworze (m.in. w osobie wpływowego wielkiego jałmużnika Francji, kardynała du Perron).

Armand du Plessis uznał więc, że należy poczekać z dworską karierą. Nie ponaglany przez nikogo udał się u schyłku 1608 roku do swej luçońskiej diecezji, która od trzydziestu lat nie oglądała swojego biskupa. Luçon było ubogą, nadszarpniętą przez wojny domowe mieścina o trzech tysiącach mieszkańców. Takie katedra i pałac biskupi nosiły ślady wojen (bronili się w nich oblegani przez hugenotów katolicy). Pan de Luçon skarżył się swej paryskiej przyjaciółce i wytrwałej korespondentce, Madame de Bourges, że jest po prostu nędzarzem (*gueux*). „Mieszkam tu jak najgorzej, nie mam żadnego pomieszczenia, w którym można by palić w kominku, a to z powodu dymu”... Ze skargami i lamentami mieszały się jednak oznaki dumy: „Jestem w tej prowincji traktowany jak *grand seigneur*”. Ale prowincja była rzeczywiście bardzo prowincjonalna.

Obejmując rządy nad diecezją zachował się bardzo zręcznie. Wygłosił w tym dniu - był 21 grudnia 1608 roku - przemowę do kanoników swojej kapituły: dał do zrozumienia, że nie chce pamiętać ich kontestacyjnych poczynań, ich rewolt i sporów z rodziną du Plessisów. Wnet jednak się okazało, że chce i potrafi dbać o swój autorytet. Gdy uznał, że jego wikariusz generalny zbyt energicznie udziela mu rad, odpisał zuchwalcowi brutalnie: „Potrafię, chwała Bogu, rządzić sobą samym; jeszcze lepiej wiem, jak powinni sobą rządzić moi podwładni. Cenię to sobie, że Waść mnie ostrzega o nieporządkach w mojej diecezji; wypada jednak czynić to bardziej powściągliwie”.

Bez wątplenia rządy diecezją stanowiły dlań dobrą szkołę kierowania zespołami ludzkimi, administrowania rzeczami, pozyskiwania przyjaciół,

dyscyplinowania opornych. Miał tym większe pole do popisu, że diecezja była uboga i zaniedbana, długo kierowana przez marnych rządców; kanonicy okazywali niechęć młokosowi w biskupich fioletach; kler, na ogół prostacki i słabo wykształcony, borykał się z niedostatkiem. Ale pan de Luçon miał energię i ambicję. Remontował katedrę i pałac biskupi, porządkował finanse, poskramiał kapitułę, kler dyscyplinował przykładem, słowem i pismem. Nie bał się złych dróg i nieustannie trząsał biskupią kolasę w pasterskich wizytacjach. Jego kazania były w ówczesnym guście, który dziś wydaje się nad wyraz kiepski: pełno tu afektacji, puszenia się, marnych konceptów i kalamburów, cytatów z Pisma, aluzji do świętej historii i do dziejów antyku.

Napisał też kilka tekstów duszpasterskich: krótki podręcznik dla spowiedników, traktat o chrześcijańskim wychowaniu, diecezjalny katechizm. Pobożna literatura nie straciłaby wiele, gdyby dzieła te się nie zachowały. Są one interesujące tylko z jednego powodu: ujawniają giętkość i moderację ich autora, jego skłonność do wyrozumiałości wobec grzeszników, do łagodnych metod, do perswazyjnego nawracania licznych ciagle w Poitou protestantów. Zdecydowanie, biskup Armand du Plessis de Richelieu nie był materiałem na jansenistę.

Jansenizm to zresztą pieśń przyszłości. Osobliwą rzeczą kolejną pan de Luçon teraz właśnie poznał późniejszego animatora jansenizmu, opata de Saint-Cyran: dyskutował z nim i trochę ulegał jego wpływowi. Ale cenił też sobie innego pobożnego męża, Piotra Bérulle, którego teologiczna orientacja bardzo się różniła od nowoczesnej teologii Saint-Cyran. Trzecią wybitną postacią, która zaważyła na życiorysie Armanda du Plessis, będzie poznany w 1611 roku kapucyn Ojciec Józef, zamiłowany misjonarz, osobliwie łączący żarliwy mistycyzm z chłodną inteligencją.

Nawiązał dobre stosunki z miejscową szlachtą: był usłużny i pełen kurtuazji, godził zwaśnionych, wszystkim deklarował przyjaźń, schlebiał snobizmom. Potrafił zręcznie - to znaczy pokornie i przy pomocy całej lawiny komplementów - nagabywać diuka de Sully, ministra finansów i gubernatora prowincji Poitou, o ulgi podatkowe dla ludu. Usiłował też (bez wielkiego powodzenia) zmiętygować apetyty tak zwanych *traitants*, to znaczy finansistów dzierżawiących podatki, którzy bezlitośnie dociskali fiskalną śrubę. Troszczył się więc o materialne położenie ludu; patrzył nań jednak okiem szlachcica, z poczuciem olbrzymiej wyższości i wiarą w sens społecznej hierarchii. Warto zajrzeć do cytowanych już jego tekstów katechetycznych. „Jeżeli mężczyzna zdeprawował jakąś pannę pod pretekstem małżeństwa, powinien się z nią ożenić - chyba że istnieje między nimi wyraźna nierówność stanu: w takim przypadku starczy, jeśli ją odszkoduje pieniędzmi albo też wyda za innego”. I znowu: „Kto wbrew woli swego ojca bierze sobie żonę innej społecznej kondycji, ten grzeszy śmiertelnie; jeśli jest ona tego samego stanu, popełnia tylko grzech powszedni”. I tak dalej.

Pan de Luçon podzielał szlacheckie wyobrażenia, że godności i stanowiska zobowiązują do imponowania przepychem i wielkopańskim stylem. Urządził przyzwoicie swój pałac dzięki rodzinnym sprzętom, miał zapobiegliwego majordoma, pana de la Brosse; oddana pani de Bourges

pomagała mu z Paryża w kompletowaniu kościelnego aparatu, szat liturgicznych, a nawet zastawy stołowej („Jestem biedakiem... Wszelako, gdybym mógł zdobyć dwa piękne srebrne półmiski, podniosłoby to moją pozycję” - pisał do przyjaciółki w czerwcu 1610 roku). Oczywiście, biedakiem nie był; miał jednak zasoby ograniczone, zaś rodzina du Plessisów uważała, że dochody biskupstwa Luçon są niejako wspólnym dobrem rodzinnym. Gdy Henryk de Richelieu narobił długów, matka wezwała biskupa, aby pomógł rodzinie odzyskać finansową równowagę. Zastanawiał się, czy nie wziąć matki do Luçon: tak byłoby taniej. Ostatecznie dał jej pensję i została w Richelieu. Posyłała mu listy pełne wdzięczności za pomoc i troskę o los rodziny, zamku, majątku.

Bez wątpienia początki rządów diecezją Luçon były bardzo udane; wszelako ksiądz biskup przecenił wyraźnie swą lokalną reputację. Ujawniło się to, gdy na styczeń 1610 roku zapowiedziano sesję Zgromadzenia kleru, periodycznie zwoływanej reprezentacji stanowej francuskiego duchowieństwa. Monsieur de Luçon postawił swoją kandydaturę. Był to błąd niecierpliwości: zbyt młody i zbyt mało znany biskup ustąpić musiał, w okolicznościach nader przykrych dla jego dumy, przed kandydaturą arcybiskupa Bordeaux, kardynała de Sourdis. Liczni konfratrowie, z arcybiskupem włącznie, obrazili się nań za niezręczne manewry wyborcze i niewczesne ambicje. Można było przewidzieć tę klęskę; niemniej jednak - a może tym bardziej - pan de Luçon przeżuwał ją z wielką goryczą. Schronił się ze swą frustracją na wieś, do ulubionego przeoratu w Coussay, który nazywał swoją pustelnią.

W maju 1610 roku zamordowany został protektor rodziny du Plessisów, król Henryk IV. Jego syn i następca, Ludwik XIII, miał niespełna dziewięć lat, regencja przypadła więc królowej-wdowie, Marii Medycejskiej. Oznaczało to, rzecz jasna, gruntowne zmiany w dworskich i rządowych konfiguracjach. Dla ambitnego biskupa Luçon problem się jawił w dwu wymiarach: po pierwsze, jak zapewnić rodzinie du Plessisów ciągłość dworskich protekcji; po wtóre, czy nie można by poczynić jakichś postępów kariery wśród rozbudzonych przez śmierć króla, rywalizujących ostro nowych aspiracji. Henri de Richelieu był dobrze widziany w otoczeniu Marii Medycejskiej, nowej dysponentki godności, urzędów i beneficjów. Pośrednikiem między Armandem du Plessis a dworem stał się również oddany przyjaciel biskupa Luçon, kanonik Sebastian Bouthillier: to jeden z czterech braci Bouthillierów, tworzących cały klan przez nieboszczyka La Porte'a powiązany z du Plessisami. Sebastian miał swe dojścia do otoczenia regentki: wychwalał tam pana de Luçon; opowiadał o jego przymiotach Ojcu Cotton, kardynałowi du Perron, faworytowi Marii Medycejskiej Conciniemu, guwernerowi Ludwika XIII panu de Souvré. Wręczał tym wpływowym osobom uniżone listy od swego protegowanego.

Armand du Plessis znów zgrzeszył niecierpliwością. Osiem dni po śmierci Henryka IV wysłał do regentki Marii pompatyczny list, deklarację wierności i ofertę usług. Nie przesadzano wówczas w subtelności pochlebstw i umiarze przy okadzaniu ludzi możnych: co do tego artykułu epoka naprawdę nie była wymagająca. A jednak Henri de Richelieu, przez którego ów list przechodził, uznał go za tak przesadny i niezręczny, że go

po prostu zatrzymał. Nie zniechęciło to Armanda. Donosił pani de Bourges, że zamierza „pokazywać się [na dworze] częściej” i chce wynająć w Paryżu mieszkanie. Gorliwa adresatka obiecywała mu znaleźć i urządzić odpowiednie locum.

W lipcu 1610 roku pojawił się w stolicy; stanął w modnej dzielnicy, Marais, na ulicy des Blancs Manteaux. Składał wizyty ministrom i innym ważnym personom. Wnet się jednak przekonał, że jego czas jeszcze nie nadszedł. Maria Medycejska po prostu nie zwróciła nań uwagi i nie okazała zainteresowania jego ofertami. Zajęta była finezyjną grą polityczną, zawiłymi rozradami na politycznej szachownicy. Między rokiem 1610 i 1612 regentka rzeczywiście rządziła krajem. Pan de Luçon, mocno zgryziony niepowodzeniem, wrócił do Poitou, zaszył się w swoim Coussay i znowu przeżuwał klęskę.

Ów niefortunny list do Marii Medycejskiej jest miarą niecierpliwych ambicji młodego Richelieu. Za inną taką miarę uchodziły długo przypisywane mu maksymy zachowania się na dworze: na pliku luźnych kart odnalazł je historyk Armand Baschet i uznał, że pochodzą od Armanda du Plessis. Chyba bezzasadnie. Zbiór owych maksym to zwięzły podręcznik dworactwa, uniżoności i obłudy. Od ich opublikowania w roku 1880 kardynał Richelieu pokutował w czyścicu historii za ich treść: tym razem wszelako cierpiał, jak się zdaje, nie za swoje winy.

W Coussay, którego klimat sobie ceniał, pędził - jak pisał „egzystencję ubożego mnicha, ograniczonego do wieśniaczego trybu życia”. Ale ten bukoliczny żywot przerywały wciąż obowiązki biskupie, a niekiedy także... podróże do Paryża. Był tam wiosną 1611 roku, został przedstawiony regentce. Zrobił dobre wrażenie, nic więcej z tego nie wynikło. W wielkim poście 1612 roku znów się ukazał dworowi w charakterze kaznodziei: było to w kościele Saint-André-des-Arts, w obecności Marii Medycejskiej, Ludwika XIII i dworzan.

Wznowił swe zabiegi w roku 1613. Sytuacja już się wówczas zmieniła, ster wymknął się z rąk regentki, na plan pierwszy wysuwał się jej faworyt Concini. Pan de Luçon zaczął mu nadskakiwać; zabiegi swe potwierdził na piśmie, bardzo płaskim listem. „Podczas gdy Pan będzie mi czynił zaszczyt swoim uczuciem dla mnie... ja zdołam zawsze służyć Panu z wielkim respektem” - pisał. Zarzucano mu wiele razy w literaturze, iż znając fatalną reputację Conciniego podlizywał mu się na zimno, dla kariery, a nie dla dobra państwa: „Była to - pisze Georges Bordnove - chłodna kalkulacja żadnego awansu szelmy”. Czy rzeczywiście? Kardynał Richelieu, spoglądając z perspektywy czasu na dramatyczne dzieje Conciniego, nie odmawiał mu tego, co dziś nazwalibyśmy instynktem państwowym. Przyznawał, że włoski faworyt regentki pragnął podnieść autorytet władzy monarszej, poskromić niepokornych arystokratów, wzmocnić Francję na jej wschodniej granicy. Pod takim programem można się było podpisać.

W optyce kalkulującego na zimno karierowicza poparcie Conciniego w 1613 roku mogłoby się zresztą wydawać zbyt ryzykowne. Wyrosła już bowiem przepaść pomiędzy otaczającą regentkę kamarylą „concinistów” a potężną „partią książąt”, która pozowała na stronnictwo „narodowe” przeciwstawiające się rządowi Marii Medycejskiej, „włoskiej bankierzycy”,

i Conciniego, „włoskiego awanturnika”. Nie dajmy się zwodzić tym pozorom. W razie konieczności „narodowa” partia książęca nie zawaha się nigdy prosić o pomoc obcych władców. Gdy książęta przedstawiali się w roli kontynuatorów polityki popularnego Henryka IV, to także nie należy im wierzyć na słowo. Byli w ich partii zawodowi, by tak rzec, rebelianci, którzy mocno dawali się we znaki zmarłemu królowi; natomiast większość ministrów Henryka IV skupiła się właśnie przy Marii Medycejskiej.

Regentka od początku stała w obliczu podwójnej opozycji: wielmożów, w tym i książąt krwi królewskiej, oraz hugenotów, którzy na mocy Edyktu nantejskiego nie tylko korzystali z wolności sumienia i kultu, ale mieli także potężne gwarancje owej wolności: własne twierdze, porty i garnizony tworzące swego rodzaju państwo w państwie. Wielcy panowie uważali, że przy małoletnim królu regentka pomniejsza w sposób nieznosny szanse ich politycznego wpływu; hugenoci obawiali się skutków nowej polityki zagranicznej rządu. Maria Medycejska zwróciła tę politykę w stronę katolickiej Hiszpanii i papieskiego Rzymu, co musiało budzić nieufność francuskich protestantów. I jedni, i drudzy - książęta i hugenoci - nie wykluczali poparcia dla regentki i zachowania pokoju domowego, lecz uważali, że nowy rząd powinien im za to sownie zapłacić. Było to możliwe. Oszczędna i rozumna polityka ministra finansów Sully’ego sprawiła, że Henryk IV, odchodząc z tego świata, pozostawił w podziemiach Bastylii wielkie zapasy złota. Królowa-wdowa miała czym opłacić lojalność niepokornych poddanych, tak katolickich, jak i protestanckich. I właśnie to robiła.

Rzecz znamienna: nie raziło to bynajmniej rzecznika silnej monarchii, kardynała Richelieu. Gdy oceniał później politykę regencji, pisał wyraźnie: „W niektórych sytuacjach, podobnych do położenia za czasów regencji, nie jest złą kalkulacją powstrzymać niespokojne umysły przy pomocy łańcuchów ze złota”. Kłopot polegał na tym, że apetyty książąt rosły w miarę jedzenia. Gdy królewski Skarb zaczął już pokazywać dno, nasiliły się żądania polityczne. Książęta domagali się teraz twierdz, gubernatorstw, wpływu na decyzje rządowe... No, tego kardynał Richelieu już nie pochwali. „Dary otrzymane od królowej - pisał - uśmierzyły pierwszy głód ich [książąt] chciwości i ambicji, ale go jednak nie zaspokoily. Oszczędności i kufry Bastylii już się wyczerpały; wówczas zaczęli oni aspirować do rzeczy tak wielkich, że autorytet królewski nie mógł dopuścić do przyznania im tego przyrostu władzy, jakiego się domagali”. Potępiając książęcych wichrzycieli Richelieu potępi wszelako i rząd: „Ministrowie bardziej się wtedy zastanawiali nad sposobami zachowania swoich posiadłości aniżeli nad środkami niezbędnymi dla dobra państwa”.

Trudno ocenić dalszy bieg wydarzeń na politycznej scenie bez nieco bliższej znajomości z głównymi aktorami. A więc primadonna tej opery *buffa*, królowa-wdowa Maria z Medicich. Nie miała tej cynicznej zręczności politycznej, którą błyszczała jej krewniaczka, Katarzyna Medycejska; a uznać wypadnie, że regencja przypadła Katarzynie w położeniu dużo bardziej karkołomnym. „Mieliśmy wielkiego króla, mamy teraz wielką królową!” - pisał po śmierci Henryka IV sławny poeta Malherbe. Kłamał jak z nut. Nieudolność Marii Medycejskiej była

widoczna gołym okiem i z daleka. „Oschła, wyniosła i władcza” (to ocena pamiętnikarza Saint-Simona), łączyła żądzę dominacji z osobliwym brakiem inteligencji. W otoczeniu Henryka IV nazywano ją bez żenady „grubą bankierzycą”, a król tolerował ten brak respektu. Jej posag ulżył Skarbowi państwa, ale jej małżeństwo z jurnym Henrykiem IV było z początku katastrofą (po nocy poślubnej przez cały dzień jęczała i płakała ze zgrozy), później - nudą i udreką. Pogardzali nią nawet jej powiernicy i faworyci. Najbliższą jej konfidentką była żona Concinięgo, Leonora. Gdy po zamordowaniu Concinięgo stanęła przed sądem, pytano ją, jakimi to czarnoksięskimi sztukami pozyskała wpływ na królową. „Po prostu tą władzą - odparła - którą każda zręczna kobieta może zdobyć nad byle klepą”. „Klepa” kochała zwierzęta - psy, wiewiórki, koczkodany; dla swych bliźnich miała uczucia dużo mniej gorące. Była pamiętliwa i mściwa, uparta i nadęta pychą: nie darmo pochodziła po kądzieli z Habsburgów, za pradziada miała cesarza Ferdynanda, brata Karola V. Brakło jej wszakże wszelkich politycznych talentów, a przede wszystkim daru podejmowania decyzji. Po włosku pobożna i zabobonna, uwielbiała astrologów, spirytystów i wróżbitów. Prawie nic nie czytała, za to gadała dużo i krzykliwie, łatwo się podniecając. Apetyt miała królewski, toteż stała się właścicielką imponującej tuszy. Wymarzony model dla Rubensa, u którego też zamówiła wspinały cykl obrazów jej właśnie poświęconych: zdobi on dziś galerię medycejską Luwru i może być przedmiotem pouczających studiów nad siedemnastowiecznym kultem jednostki.

Przez kilkanaście miesięcy, do początku 1612 roku, bardzo chciała rządzić sama, dorównać swej poprzedniczce Katarzynie. Udało się jej rozegrać zwycięsko pojedynek z ministrem finansów diukiem de Sully, który na próżno bronił linii politycznej Henryka IV elastycznej, ale wyraźnie antyhiszpańskiej - i nagromadzonych przez siebie zasobów Skarbu. Gdy w 1611 roku Sully odszedł z rządu, regentka z przykrością spostrzegła, że nie da sobie rady z przewrotną i buntowniczą partią książęcą. Oddała więc ster innemu eks-ministrowi Henryka IV, panu de Villeroy. Zmarły monarcha przewróciłby się zapewne w grobie, gdyby zobaczył, jak jego dawny pomocnik zacieśnia sojusz z Hiszpanią i trwoni zasoby Skarbu dla zaspokojenia apetytów książąt. Villeroy był jednak politykiem zręcznym; tak zręcznym, że na jakiś czas udało mu się nawet oddalić z dworu faworytów regentki, małżonków Concini.

Leonora Concini, z domu Dori, była córką praczki na florenckim dworze Medyceuszy i pokojówką Marii Medycejskiej. Chuda jak szczapa, o brzydkiej żółtej cerze i chorowita, twarz zasłaniała woalem w obawie przed *guardatori*, to znaczy ludźmi potrafiącymi rzucać urok: podejrzewała, że i pan de Luçon, z którym zresztą nie była w złych stosunkach, ma „złe oko”. Odniosła sukces, bo frenetycznie schlebiała Marii Medycejskiej, wychwalała urodę i talenty, również polityczne, „klepy”. Rychło stała się jej nieodłączną towarzyszką. Pani i sługa wciąż ze sobą przestawały, Leonora znała wszystkie rządowe sekrety. Jej mąż z satysfakcją uszedł z Florencji do Francji przed wierzycielami, ale w świecie Marii Medycejskiej długo nie odgrywał większej roli. Był to „mężczyzna rosły, ani brzydki, ani ładny, wyglądał dość przyzwoicie; zachowywał się zuchwale, a ściślej

mówiąc bezczelnie. Bardzo gardził książętami, w tym względzie miał zresztą rację” (Tallemant des Réaux). Wielką państwową karierę zaczął robić w roku 1613: regentka mianowała go wówczas marszałkiem, ku wielkiemu oburzeniu arystokracji. Nosił nazwisko marszałka d’Ancre; małżeństwo Conciniów potocznie zwano „marszałkami”, *les maréchaux*, co świadczy, że niewysoko ceniono kobiecość Leonory. Concini wywierał polityczny wpływ przez regentkę, ale do roku 1616 musiał się jeszcze liczyć ze starymi ministrami Henryka IV, których pogardliwie określał mianem brodaczy, *barboni*.

Arystokracja, z książętami na czele, nienawidziła Conciniego, „przybłądy”, jak go nazywano. Odpłacała mu za tę pogardę, którą książąt darzył, za odsuwanie wielkich panów od wpływu na regentkę, za łapczywość, z jaką zgarniał godności, gratyfikacje, nadania. Hugenoci wrogo spoglądali na marszałka d’Ancre jako „ultramontanina”, przyjaciela katolickich Hiszpanów i włoskich papistów. Ludzi pobożnych, niezależnie już od wyznania, gorszyły wieści o religijnej wolnomyślności „marszałków”. Zrzucano im uprawianie magii, gust do astrologii, sympatię dla lekarzy żydowskiego pochodzenia (zauważmy nawiasem, że na Żydów zrzucano wówczas niekiedy winę zamordowania Henryka IV).

Coraz słabszym hamulcem dla politycznych wpływów Conciniego byli dawni współpracownicy Henryka IV. Sully odszedł z rządu, inni „brodacze” - Villeroy, Jeannin, Sillery - swą doświadczoną rozwagą zabarwiali teraz czymś bardzo podobnym do tchórzliwości lub co najmniej oportunistów. Kanclerz Sillery, teoretycznie druga osoba w państwie po królu, był stary, zmęczony, pozbawiony charakteru. Richelieu ocenił go potem bezlitośnie: „Serce z wosku i tchórzliwość... skłaniały go do szukania w każdej sytuacji pojednań i rad kompromisowych, o których Cezar powiadał, że nie mają żadnej wartości w wielkich sprawach państwa”. Pozostali *barboni* także nie wyróżniali się dynamizmem. Swój brak energii mogli, to prawda, uzasadniać szczególną sytuacją okresu regencji: małoletniość króla, w opinii lojalnych rojalistów, nie sprzyjała bardzo aktywnej polityce. Należało więc jedynie załatwiać sprawy bieżące i nie podejmować decyzji, które by mogły skreślać na przyszłość polityczne opcje młodego monarchy. Faktem jest wszelako, że „brodacze” tracili kontrolę wydarzeń, lawirując między słabością regentki, zachłannością kamaryli Conciniego i wichrzycielskimi ambicjami książąt.

Był jeszcze na dworze młody król, z którym zupełnie się nie liczone, choć wszystkie klany i koterie - conciniści, *barboni*, książęca opozycja - bez przerwy powoływały się na dobro króla i służbę dla króla. Ludwik XIII, w młodym wieku żywy, pewny siebie i krnąbrny, od dzieciństwa upokarzany był karą cielesną. Z polecenia matki dostawał baty jeszcze w wieku piętnastu lat, co nie podnosiło jego prestiżu wśród dworzan i arystokracji. „Traktowano go jak dzieciaka i niekiedy w tym przesadzano” - pisze dobrze poinformowany pamiętnikarz, markiz de Montglat. „Gdy się bawił w dziecinne gry nad pokojem Leonory [Concini], kazała mu powiedzieć, że ma migrenę, i uważa, iż [król] robi za dużo hałasu... Innym razem w pokoju królowej-matki, która bardzo lubiła psy, nadepnął jakimś psu na łapę i ten ugryzł go w nogę aż do krwi. Zamiast wyrazić mu ubolewanie,

matka zbesztala go srodze, tak, ze wyszedl z gniewem, mowiac, iz wiecej ma ona uczucia dla psa niz dla niego". Nawet Concini, który wedle relacji marszałka d'Estrées potrafił być „łagodny, uczynny, sympatyczny” - dzięki temu zdołał pozyskać przychylność Henryka IV - traktował Ludwika XIII z wielką dezynwolturą. Opisywano liczne afronty, które królowi robił: oto przykład zaczerpnięty z pamiętnika pana de Pontchartrain, dawnego ministra Henryka IV. Ludwik prosił o dwa tysiące écus „na jakieś błahostki, które wypełniały mu czas”, i spotkał się z odmową. Do pokoju, w którym król siedział bez świty, przyszedł wówczas Concini z wielką gromadą szlachty i wyniośle oświadczył, że Ludwik popełnił błąd nie zwracając się wprost do niego o pożyczkę. „Król przyjął to jako zniewagę” - pisze Pontchartrain. I trudno się mu dziwić.

Prawdą jest, że czas króla wypełniały „błahostki”. Nie lubił się uczyć, kiepsko sobie radził z matematyką, nie opanował porządnie łaciny, literatura go nie interesowała. Jego ortografia była fatalna, zaś pismo do końca życia miał dziecinnie kulfoniaste (ale podobnie pisała większość ówczesnej arystokracji). Namiętnie bawił się w żołnierza; był w nim materiał na świetnego liniowego oficera. Jakał się, więc miał skłonność do małomówności, ale dobrze śpiewał. Uwielbiał w ogóle muzykę, pięknie grał na lutni, z zapalem tańczył w dworskich baletach, a później nawet je układał. Trochę malował i rysował nie najgorzej, ze skłonnością do karykatury. Miał zdolności do prac ręcznych: bawił się reperacją broni, odlewaniem różnych przedmiotów z żelaza, biciem monety, krawiectwem. Świetnie kucharzył - konfitury, omlety i ciasta króla Ludwika XIII miały wielką sławę. Hodował różne gatunki ptaków, fabrykował dla nich klatki, umiejętnie oswajał, ale też polował na ptaki. Ptasznictwo i myślistwo były jego największymi namiętnościami.

Maria Medycejska i Concini z zadowoleniem spoglądali na infantylne zainteresowania króla; sądzili zapewne, że jeszcze długo wystarczy mu taniec, struganie klatek dla ptaków i polowanie na wróble. Pierre de l'Estoile zapisał w swym dzienniku opinię, że Ludwik XIII to „*enfant enfantissime*” - i był to sąd nader rozpowszechniony na dworze oraz w stolicy. Nie doceniono drażliwości i ambicji dorastającego chłopca, jego zainteresowania polityką i talentu do dysymulacji. Nie zauważono, że w otoczeniu króla wyrasta nowa polityczna koteria. Główną jej postacią stał się prowansalski szlachetka, Charles d'Albert de Luynes.

Wielka kariera Luynesa zaczęła się wraz z objęciem pieczy nad prywatną ptaszarnią Ludwika XIII. Uczył króla osvajania ptaków i polowania na wróble, które odbywało się w królewskich pokojach. Był łagodny, uprzedzająco grzeczny, okazywał królowi wielkie przywiązanie, więc opuszczony przez świat dorosłych Ludwik namiętnie go pokochał. Pruderyjna historiografia francuska XIX wieku przemilczała lub kwestionowała homoseksualne skłonności Ludwika XIII: gdy w roku 1868 publikowano fragmenty arcyciekawego dziennika królewskiego lekarza Héroarda, pominięto aż nadto liczne zapisy świadczące o awersji króla do kobiet i sympatii do ładnych chłopców. W istocie pociąg fizyczny odgrywał wielką rolę w stosunku Ludwika XIII do kolejnych jego faworytów. Kardynał Richelieu świetnie o tym wiedział i potrafił tę słabość

króla wykorzystywać.

Również pan de Luynes był bardzo przystojny. Znamienne, że na królewskiego paza wyprotegował go dawny *mignon* Henryka Walezego, diuk de Bellegarde, który słynął z urody, amatorów z mężczyznami i nieporównanej gracji ruchów. („Chodzi tak zgrabnie, bo często go poszturchują z tyłu” - rzekł jadowicie jakiś dworski dowcipniś.) Maria Medycejska i Concini trochę się niepokoiли uczuciem króla do Luynesa, ostatecznie jednak uznali, że konfident króla jest nieszkodliwym karierowiczem. Uznano, iż nadane mu przez regentkę stanowisko gubernatora Amboise zaspokaja jego ambicje, że nie jest to ryzykant gotów rzucić się w wir walki o władzę. Był to sąd o tyle słuszny, że konspiracja przeciw Conciniemu inspirowana była głównie przez innych mniej od Luynesa widocznych członków królewskiej koterii.

W opozycji do swarzącego się, podzielonego na różne klany dworu znaleźli się książęta. No, oczywiście nie wszyscy. Maria Medycejska miała swe sympatie wśród arystokracji; wspierali ją np. Charles diuk de Guise i wpływowy diuk d'Epemon, jeszcze jeden dawny *mignon* Henryka Walezego. Concini dobrze rozumiał mądrość starej zasady: *divide et impera*; potrafił zrećnie dzielić książąt, podtrzymywać wśród nich rywalizacje i zawiści.

Wśród oponentów było wiele znakomitości: diuk de Mayenne, diuk du Maine, nieślubny syn Henryka IV Cezar de Vendôme... Trzej książęta grali pierwsze skrzypce: Condé, Nevers i Bouillon.

Królewski kuzyn Henri II de Condé był pierwszym księciem krwi i roiło mu się zastąpienie Ludwika XIII na tronie Francji. Sądził, że bez trudu znajdą się teologowie i prawnicy, którzy po zwycięstwie partii książęcej uzasadnią nieważność małżeństwa Henryka IV z Medyceuszką (król ożenił się z nią po budzącym wątpliwości unieważnieniu pierwszego małżeństwa, z Małgorzatą de Valois). Okazałoby się wówczas, że Ludwik XIII i jego brat Gaston są bękartami; książę de Condé był zaś najbliższy tronu. Tallemant wyrażał pogląd, że byłby on niezłym królem, bo składnie prowadził swój dom; pamiętnikarz markiz de Fontenay-Mareuil twierdził, że Condé „miał dużo elokwencji i dobrze mówił publicznie”. Poza tym niewiele można by mu przyznać zalet. Rujnował swą reputację hulankami w podejrzanym towarzystwie i rozpustą z dziwkami poślednich kategorii. Był po mieszczańsku chciwy i skąpy, ambicje łączył z tchórzliwością; pojawiał się na dworze, intrygował, po czym pośpiesznie dwór opuszczał. Jako dowódca był miernotą: za to jego syn Ludwik, Wielki Kondeusz, będzie jednym z najświetniejszych wodzów tamtej epoki, bogatej w militarne talenty. Za rządów kardynała Richelieu wieczny wichrzyciel Henri de Condé, pyszny jak diabeł, stanie się nagle wiernym, grzecznym, a nawet potulnym sojusznikiem Eminencji. Zgodzi się nawet na małżeństwo, które połączy jego wspaniałego syna z niewydarzoną krewniaczką kardynała. Richelieu, syn mieszczy, wejdzie dzięki temu w parantelę z rodziną królewską!

Diuk Charles de Gonzague de Nevers, ojciec przyszłej królowej Polski Marii Ludwiki, późniejszy książę Mantui, był postacią jak ze średniowiecznego rycerskiego romansu. Marzyły mu się ciągle krucjaty

przeciw niewiernym, pragnął wskrziesić i otworzyć dla szlachty z całej Europy instytucję zakonu rycerskiego. Sekundował mu w tym dzielnie wspomniany już kapucyn, Ojciec Józef. Kardynał Richelieu będzie popierał te chimeryczne pomysły w słusznym mniemaniu, że odwracają one Neversa od antyrządowych rebelii, kierują jego uwagę na bezpieczne dla państwa tropy. Z gorącą pobożnością Nevers łączył wiarę w astrologię. Jego brawurowa odwaga była gwałtowna, lecz pozbawiona energii; jednakże drażliwość i małostkowość, pycha i skłonność do anarchii czyniły zeń niebezpiecznego dla rządu wichrzyciela.

Prawdziwym demonem rebelii - to określenie kardynała Richelieu - był jednak dopiero Henri de La Tour d'Auvergne diuk de Bouillon. Miał wielkie posiadłości we Francji, a w spadku po pierwszej żonie, Karolinie de La Marck, dostał suwerenne księstwo Sedanu. Protestant, a więc dla francuskich hugenotów potencjalny szef rewolty w obronie praw protestantyzmu, był dobrym politykiem i administratorem. Miał też rangę marszałka Francji i duże zdolności wojskowe.

Ten francuski *grand seigneur* dzięki swym małżeństwom stał się wpływowym księciem europejskim. Głosu jego słuchano uważnie w Niemczech, Holandii, Anglii. Jego druga żona Elżbieta była córką sławnego Wilhelma Orańskiego, a zatem Bouillon stał się szwagrem trzech księżąt orańskich (Filipa, Maurycego i Fryderyka). Bardzo z nim zaprzyjaźniona szwagierka była z kolei matką palatyna reńskiego Fryderyka V, którego wybór na króla Czech rozpętał wojnę trzydziestoletnią. Przez księcia palatyna Bouillon miał powiązania ze Stuartami, bo żoną Fryderyka V była Elżbieta Stuart, córka króla Anglii Jakuba I. Z panem de Bouillon, a później także jego synem Fryderykiem Maurycem Richelieu będzie miał mnóstwo kłopotów.

Pierwsza fronda przeciw regentce, której przewodził książę de Condé, nie zdołała się rozwinąć w wojnę domową. Na dworze tak Concini, jak i kanclerz Sillery uważali, że należy okupić ustępstwami pokój domowy. Układ w Sainte-Menehould z maja 1614 roku dał zbuntowanym książętom liczne korzyści i, zgodnie z ich życzeniami, przyniósł decyzję regentki o zwołaniu Stanów Generalnych na jesień tegoż roku.

Pan de Luçon w konflikcie tym, jak przystało dobremu rojaliście, popierał regentkę; aprobował wszelako i pokój z Sainte-Menehould wychwalając Medyceuszkę za mądrość i rozwagę. W sierpniu odbywały się wybory deputowanych do Stanów Generalnych. Kler prowincji Poitou wybrał dwóch posłów, sędziwego dziekana de Saint-Hilaire i biskupa Armanda-Jeana du Plessis de Richelieu.

Będzie to początek jego politycznej kariery, która mu da władzę nad Francją. Jechał do Paryża z nadzieją zdobycia łask regentki, po sesji Stanów nie spodziewał się wiele. Zgromadzenia stanowe oceniał później bez entuzjazmu, przypisywał im jedynie rolę pomocnika rządu i egzekutora jego woli. „Wielkie zgromadzenia - pisał - są użyteczne tylko do tego, by pomóc w dokładnym egzekwowaniu rzeczy już wcześniej spokojnie przemyślanych i zdecydowanych; by pomóc w respektowaniu zapisanej już reguły postępowania, nie zaś do tego, by tę regułę ustanawiać. Z tłumem ludzi doradzających Państwu jest tak samo jak z czeredą medyków wokół

chorego. Wielka liczba ludzi tylko tu szkodzi”. Stanowczo, rzecznicy monarchii umiarkowanej, temperowanej prawami stanów - na pana de Luçon nie mają co liczyć. Jest on z temperamentu i z przekonania, jak to wtedy określano, „etatystą”.





II. WOLA WŁADZY



STANY GENERALNE 1614 ROKU

27 września 1614 roku Ludwik XIII zaczął czternasty rok życia; 2 października uroczystie proklamowano jego pełnoletność. Skończyła się więc regencja, ale Maria Medycejska zachowała pełną władzę: polecono królowi odczytać krótkie przemówienie, w którym dziękował matce za jej trudy i prosił, by „kontynuowała, a więc rządziła i rozkazywała, tak jak to robiła dotąd”. Zmienił się jedynie tytuł jej rządów: nie była już regentką, lecz „szefem królewskiej Rady”.

Od 14 października toczyły się przygotowawcze obrady Stanów Generalnych w klasztorze augustianów na lewym brzegu Sekwany, tuż przy Pont-Neuf. W niedzielę 26 października posłowie przeszli w uroczystej procesji na mszę do katedry Notre-Dame; kazanie - bardzo rojalistyczne w swej wymowie - wygłaszał arcybiskup Bordeaux, kardynał Sourdis. Następnego dnia na uroczystej inauguracji obrad - wyjątkowo w pałacu burbońskim, blisko Luwru - przydował król. Zrobił kiepskie wrażenie, wydał się posłom dość nijaki. Sfery dworskie wyrabiały mu reputację grymaśnika, lenia, ignoranta, dziwaka - i taka opinia przenikała na zewnątrz. Fatalne wrażenie wywołał również bałagan, który towarzyszył owej solennej inauguracji obrad.

Rząd bardzo dokładnie i skutecznie, przy pomocy gubernatorów prowincji i biskupów, kontrolował wybory posłów. Zgromadzenie było więc pozbawione tej swobody działania, którą daje rzetelna niezależność posłów od władzy rządowej. Co gorsza, trzy stany kler, szlachta i Tiers, stan trzeci reprezentowany przez burżuazję skłóciły się natychmiast. Kler żądał kompletnego przyjęcia przez Francję uchwał soboru trydenckiego, które bardzo umacniały władzę papieża. Tiers, całkiem przeciwnie, bronił tradycji gallikanizmu, a więc swobód kościoła Francji w stosunkach z Rzymem oraz całkowitej niezależności króla Francji od papieża w sferze polityki. Posłowie Tiersu angażowali się w sprawę niezależności władzy królewskiej z takim zapalem, że Maria Medycejska, despotka, ale i pobożna „papistka”, była tym mocno zakłopotana. Posłowie szlachty, niechętni Tiersowi, ale skłonni do antyklerykalizmu, zajmowali postawę chwiejną.

Za to bardzo stanowczo szlachta zażądała reformy urzędów. Od dawna król Francji sprzedawał urzędy swoim poddanym; sprzedawalność urzędów stała się, by tak rzec, częścią konstytucji państwa. W początku XVII wieku, gdy Henryk IV z pomocą Sully’ego uzdrawiał finanse Francji, niejaki pan

Paulet wymyślił nowe źródło dochodów Skarbu. Oto każdy urzędnik płacąc roczną takse w wysokości 1/60 ceny jego stanowiska uzyskiwał prawo swobodnego przekazania urzędu osobie trzeciej: jeśli tego nie zrobił, urząd po prostu przechodził po jego śmierci na spadkobierców. Oznaczało to, że urzędy państwowe stały się de facto dziedziczną własnością urzędników. W całej tej sprawie był wszelako pewien kruczek prawny. Owa taksa - od nazwiska projektodawcy pieszczotliwie zwana *paulette* - wprowadzona została w 1604 roku nie w drodze ustawy, solidnie zarejestrowanej przez sąd najwyższy, parlament, lecz jedynie uchwałą Rady królewskiej. W każdej chwili mogła być więc cofnięta; w XVII wieku rząd niejednokrotnie będzie używał groźby zniesienia *paulette* jako środka nacisku na urzędników.

Otóż posłowie szlachty zażądali teraz likwidacji *paulette*: uważali, nie bez racji, że wynalazek pana Pauleta ogromnie umacnia burżuazję urzędniczą, stabilizuje jej społeczną pozycję, otwiera jej drogę do szlachectwa. Z tych samych powodów posłowie Tiersu jak lwy bronili utrzymania dziedziczności urzędów. I nie tylko bronili: wołali głośno, że *paulette* przynosi państwu olbrzymie dochody, ale pensje wypłacane przez rząd szlachcie niemal czterokrotnie przewyższają wpływy z *paulette* i są prawdziwą przyczyną ruiny Skarbu. Zażądano więc, ni mniej, ni więcej, jak zniesienia pensji królewskich, „aby suma ta mogła być użyta dla ulżenia ludowi”! Oczywiście, interesy szlachty tak samo nie pozwalały jej się godzić na likwidację pensji, jak interesy burżuazji na zniesienie *paulette*.

Skłócenie stanów, wiodące do impasu w obradach, to jeszcze nie wszystko: także wewnątrz poszczególnych stanów pojawiało się rozdarcie. Regentka, godząc się na zwołanie Stanów Generalnych, liczyła właśnie na taki obrót rzeczy. Teraz Medyceuszka i Concini zacierali ręce z uciechy. Były wszakże takie kwestie, w których stany znajdowały wspólny język przeciw rządowi: dość zgodnie żądano poskromienia chciwości finansistów, którzy dzierżawili od rządu podatki, a takie ujawnienia dokładnego budżetu państwa. Pojawiały się podczas obrad ataki na Conciniego i nawet na Marię Medycejską! Celował w tym stan trzeci: jego posłowie bez ogródek krytykowali nieudolność, słabość i rozrzutność rządu. Jednakże i wśród kleru nurt krytyczny odzywał się wcale głośno.

Pan de Luçon uwijał się jak mucha w ukropie; bardzo się starał spodobać „szefowi Rady królewskiej”. Pacyfikował wrogie rządowi nastroje wśród posłów kleru. Gdy duchowni przyjęli uchwałę, by nie oddzielać władzy króla od władzy królowej-matki, lecz zachować wierność obojgu - to właśnie biskup Luçon skwapliwie ową uchwałę referował posłom szlachty. Łagodził także ataki Tiersu na królewskie pensje dla szlachty: kupował sobie w ten sposób przychylność posłów szlacheckich, a przede wszystkim wdzięczność rządu, jako że podtekst dyskusji o pensjach był antyrządowy. Przecież chodziło o to, że Maria Medycejska kupowała sobie poparcie wielmożów rujnując Skarb państwa!

Trudno było nie dostrzec i nie wynagrodzić takiej gorliwości: Medyceuszka poleciła powierzyć biskupowi Luçon rolę mówcy wyrażającego opinię kleru na posiedzeniu zamykającym obrady Stanów. Jego przemówienie na tym solennym końcowym posiedzeniu (23 lutego 1615

roku), wygłoszone w obecności Medyceuszki i króla, powszechnie uznano za wspaniałe. „Całkiem się wtedy na elokwencji nie rozumiano”: tak skomentował ów sukces złośliwy Tallemant. Przesadził. Mowa biskupa Luçon była dużo lepsza od jego kazań. Umieścił i w niej trochę fioritur dziś już brzmiących tylko zabawnie, ale poza tym pokazał elegancję stylu i precyzję sformułowań. Ukazał się królowi i przede wszystkim jego matce jako wyraźnie zarysowana osobowość. Potrafił ładnie mówić, zręcznie frazował wywody, zabarwiał je to ironią, to troską, to znów żarliwością. Przede wszystkim jednak błysnął dyplomatyczną giętkością, umiarem i taktem. Wszystkim starał się powiedzieć coś miłego, i to tak, by innych przy tej sposobności nie zanadto zrazić.

Zrobił więc lekki ukłon w stronę Tiersu, krytykując rozrzutność przy wypłacie pensji: zalecał umiar w królewskich szczodroblewkościach „wedle tej proporcji, która istnieć musi między tym, co się daje, a tym, co dać można prawowicie”. Formuła taka, głucha i wykrętna, nie mogła oczywiście zrazić szlachty. Głucho też zabrzmiało hasło oszczędzania w imię ulg podatkowych dla ludu („im więcej się wydaje, tym więcej musi się zabierać ludowi, a jest on jedyną kopalnią [złota], jaką ma Francja”). Aby dogodzić szlachcie, dość ostro zaatakował *paulette* („dziedziczne dyktatury” urzędników wiodą do korupcji i uciskania ludu), a nawet samą sprzedawalność urzędów, która z kolei i „administrację czyni sprzedajną”. Z namaszczeniem bronił tradycyjnych przywilejów kleru, mówił o jego społecznym prymacie, ale zaraz dodał, że kościół interesuje się jedynie sferą życia duchowego.

O, nie znaczyło to wcale, że duchowni nie powinni się zajmować polityką! Wprost przeciwnie. Pan de Luçon uznał za błędne mniemanie, że „zaszczyt służenia Bogu sprawia, iż kler jest niezdolny do służenia swemu królowi, który jest najbardziej żywym Boga obrazem”. Duchowni są nawet szczególnie przydatni w służbie państwowej, ponieważ sama ich profesja zmusza, by „zdobywali uzdolnienia, byli bezwzględnie uczciwi i rządzili z rozwagą”. Ponadto duchowni, nie mając dzieci i nie mogąc gromadzić majątku nieruchomego, „bardziej od innych są wyzuci z prywatnego interesu, który tak często gubi sprawę publiczną”. To nie tylko program politycznej promocji kleru, ale oczywiście także zgłoszenie własnej kandydatury, oferta pod adresem Najjaśniejszych słuchaczy.

W przemówieniu pana de Luçon najwięcej gorących słów i pochlebnych epitetów znalazło się właśnie dla nich, dla króla i „szefa królewskiej Rady”. „Szczęśliwy jest monarcha, któremu Bóg dał matkę pełną miłości dla niego, gorliwości w służbie Państwa i doświadczenia w rządzeniu”. Jedną z największych łask Nieba dla Ludwika XIII jest „dar i zachowanie takiej matki”. Mówca apeluje do owej fenomenalnej matki, by rządząc „dorzucić mogła do zaszczytnego tytułu matki króla nie mniej piękny tytuł matki jego królestwa”. „Dużo już Pani działała, Madame, ale nie należy na tym poprzestawać. Na drodze honoru i sławy nie postępować dalej i nie wznosić się wyżej, to znaczy cofać się i upadać”. Zdecydowanie, Armand-Jean du Plessis bardzo już się palił, aby postępować dalej i wznosić się wyżej, by nie kisić się dłużej w „utyłanej błocie” poitewińskiej diecezji.

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że w oracjach mówców pozostałych

dwóch stanów, barona de Senecey od szlachty i Roberta Mirona od Tiersu, znalazły się również pochwały dla byłej regentki. Ale zeszyt żądań (*cahier*) stanu trzeciego zawierał jednak sensowny, rozwinięty projekt reformy państwa. Był to program rządu sprawnego i oszczędnego, scentralizowanego i kontrolującego arystokrację, wsłuchującego się uważnie w głos społeczeństwa na regularnie zwoływanych Stanach Generalnych. Gdy do tego projektu przymierzemy mowę pana de Luçon, wyda się nam jałowa i lizusowska. Co prawda „zeszytu” stanu trzeciego rząd nawet poważnie nie zbadał, a mową Luçona Medyceuszka zapamiętała.

Jeszcze podczas obrad Stany Generalne straciły zainteresowanie opinii; „Nic się tam nie dzieje” - mówiono. Rozczarowanie rezultatami, a raczej ich brakiem, było powszechne. Kler nie zdołał przeforsować swych postulatów w kwestii przyjęcia uchwał Trydentu i walki z protestantyzmem. Stan trzeci nie otrzymał żadnych gwarancji co do generalnej reformy państwa, a choćby tylko redukcji szlacheckich pensji; gallikańskie postulaty Tiersu również upadły. Robert Miron, lider deputacji Tiersu, w przejrzysty sposób przepowiadał rządowi nadciągającą społeczną rewolucję... Najostrzej reagowała arystokracja. Książę de Condé, inicjator zwołania Stanów, liczył na złamanie rządowego despotyzmu i na związanie Medyceuszki politycznym wpływem książąt. Na próżno inteligentny diuk Henri de Rohan studiował jego nadzieje („Co możesz [posłom] zaoferować? Ludzie głosują zawsze tylko za tym, co im daje jakąś nadzieję”). Miał rację: partia książęca nie potrafiła przedstawić społecznie atrakcyjnego programu, rzucanie obelg na „tyrański” rząd było stanowczo za mało nośne... Teraz książęta głośno demonstrowali swą wściekłość, a pamfletyści na ich usługach rozdzielali szaty: wybory posłów zostały sfałszowane, w czasie obrad rząd przekupywał deputowanych, zgromadzenie było w ogóle nielegalne, a jego decyzje są nieważne! Wkrótce Condé i jego przyjaciele zorganizują kolejną frondę przeciw „tyranom” z Paryża.

„Tyrani” mieli natomiast powody do zadowolenia. Stany Generalne wyczerpały się w jałowych sporach i ostatecznie nie zakwestionowały politycznego bilansu regencji. Medyceuszka dostała od Stanów to, na czym jej szczególnie zależało: poparcie dla zbliżenia z Hiszpanią i to łącznie z aprobatą „małżeństw hiszpańskich”. Wynegocjowane przez pana de Villeroy w roku 1611 i ogłoszone w 1612 roku mariaże te miały połączyć podwójnym węzłem dwory w Paryżu i Madrycie: Ludwik XIII otrzymałby infantkę Annę Austriacką, córkę króla Filipa III, a siostra króla Francji, Elżbieta, przyrzeczona została księciu Asturii, hiszpańskiemu następcy tronu. „Zechciała Pani zachować na zawsze pokój dla tego Państwa... łącząc świętymi więzami podwójnego małżeństwa (którego zawarcia życzymy sobie i prosimy o nie) dwa największe królestwa świata, które, pojednane, niczego nie muszą się obawiać” - mówił pan de Luçon na ostatnim posiedzeniu Stanów. Ostatnim posiedzeniu ostatnich Stanów Generalnych przed rewolucją: absolutyzm francuski uspi potem reprezentację społeczeństwa aż do 1789 roku.

Mimo swych deklaracji całkowitego oddania dla Marii Medycejskiej pan

de Luçon wrócić musiał w końcu marca 1615 roku do swojej diecezji: nie poproszono go, by zechciał pomóc w rządzeniu Francją. Był zawiedziony, ale nie zrezygnowany. Mógł się domyślać, że królowa-matka zapamiętała go sobie i zaapeluje w przyszłości o jego usługi.



PRZEDPOKÓJ WŁADZY

Już w maju otrzymał list od zaprzyjaźnionego biskupa Bayonne, Bertranda d'Eschaux: formuje się właśnie dwór przyszłej królowej Anny Austriackiej, Maria Medyceuszka odrzuciła kandydaturę biskupa Orleanu na wielkiego jałmużnika Anny; wobec tego Henri de Richelieu i on sam, Bertrand d'Eschaux, gorliwie protegują biskupa Luçon na to stanowisko. „Wbrew usposobieniu Waści, nazbyt stoickiemu” - dodawał zacny biskup d'Eschaux... Armand-Jean udał stoika, któremu nie bardzo zależy na dworskich godnościach, lecz pozwolił przyjacielom działać. Gdy później, po zawarciu małżeństwa Ludwika XIII z Anną, otrzyma godność jałmużnika młodej królowej - napisze do Marii Medycejskiej list dziękczynny wprost nieprawdopodobny. Prosił Boga, aby skrócił jego dni, by wydłużyć życie Marii; by zesłał nań wszelkie nieszczęścia, a za to obsypał pomyślnościami adresatkę. Nie był aż tak wielkim stoikiem nasz ksiądz biskup.

Tymczasem latem 1615 roku kraj stanął u progu wojny domowej: książe de Condé i wielmoże protestancy gwałtownie zaprotestowali przeciw małżeństwu hiszpańskiemu. Condé pozyskał liczącego się alianta w królewskim sądzie najwyższym, paryskim parlamencie, który reprezentował szczyty burżuazji urzędniczej i miał spory wpływ na nastroje ludności Paryża.

Dwór tymczasem ruszyć miał, z królem i królową-matką, ku granicy hiszpańskiej, gdzie minąć się powinny dwie narzeczone: Anna Austriacka, przekazywana Francuzom, i Elżbieta, oddawana Hiszpanom. Wyprawa była ryzykowna, gdyż zbuntowani książęta (Condé, Bouillon, Mayenne) zbierali energicznie oddziały zbrojne. Aby zapewnić spokój w stolicy, dwór porozumiał się z Parlamentem, którego opozycja nie była zbyt stanowcza i odważna. Mimo oporów Izby Obrachunkowej Medyceuszka wyłuskała z Bastylii większą część tego złota, które jeszcze tam pozostało. Można więc już było wystawić królewską armię, zdolną przeciwstawić się książętom. Dwór wyruszył w sierpniu 1615 roku na południowy zachód. Jednocześnie oddziały książąt skupiły się w Poitou, prowincji du Plessisów. Tędy właśnie miał przeciągać dwór; można tu też było liczyć na poparcie dla rebelii ze strony protestantów, wpływowych w tych regionach kraju i bardzo wrogich, to jasne, małżeństwu hiszpańskiemu. Do zderzenia wojsk króla i oddziałów książąt jednak nie doszło; ludzie Condégo tak łupili okolice, przez które przeciągali, że bardzo to kompromitowało sprawę książąt.

Niechętni biskupowi Luçon oskarżali go na dworze, iż podejrzenie zerkał w stronę księcia de Condé. To mało prawdopodobne. Włożył już

niemało wysiłku, by zrobić karierę przy Marii Medycejskiej i Concinim; domyślał się, że starzy ministrowie, „brodacze”, są już bliscy kresu kariery, że Concini zechce odmłodzić rząd, a Maria mu na to zezwoli. Oddziały księcia de Condé ograbiły zresztą jego majątek: matka gorzko mu się na to skarżyła. Możliwe jest jednak, że przez pewien czas namyślał się nad taktyką postępowania. Los Marii, a nawet i Ludwika XIII mógł mu się wydać niepewny: gdyby główne siły protestanckie, z Henrykiem de Rohan, poparły rebelię, Condé mógłby podjąć próbę obalenia króla. Pan de Luçon, jeśli nawet rozważał taką ewentualność, rychło dokonał wyboru. Postawił na rząd.

31 sierpnia dwór przybył do Poitiers, stolicy prowincji Poitou, i pozostał tu na dłużej: narzeczona księcia Asturii, Elżbieta Francuska zachorowała. Biskup Luçon witał w Poitiers Ich Królewskie Mości, czuwał przy łożu chorej księżniczki, wymieniał odtąd z Medyceuszką listy i nie szczędził jej pochlebstw zupełnie bezwstydnym. Nominację na jałmużnika Anny Austriaczki traktował jako zadatek politycznej kariery. Nie towarzyszył jednak dworowi w dalszej drodze ku hiszpańskiej granicy.

9 listopada na samym środku granicznej rzeki Bidassoa nastąpiła wymiana księżniczek; szwagierki rozmawiały ze sobą przez kwadrans. Ceremonia dokonała się bez udziału Ludwika XIII i jego matki, którzy zostali w Bordeaux. W bordoskiej katedrze Św. Andrzeja odbył się 25 listopada bardzo uroczysty ślub. Oboje małżonkowie mieli po czternaście lat i dwa miesiące; infantka Anna była starsza od Ludwika XIII o pięć dni. Oficjalny dokument przekazany korpusowi dyplomatycznemu informował, że wieczorem tego samego dnia 25 listopada małżeństwo zostało skonsumowane; wynika zeń, że oporny król Ludwik popchnięty został do łoża żony przez matkę, która nie życzyła sobie, by małżeństwo mogło się wydawać niekompletne. Zacny medyk królewski Héroard relacjonował, że Ludwikowi nie dostawało pewności siebie, więc kilku młodych panów opowiadało mu tłuste anegdoty; o ósmej wieczorem włożył szlafrok i pantofle, udał się do sypialni żony i wrócił kwadrans po dziesiątej. „Wedle tego, co nam powiedział, zrobił to dwa razy” zapisał Héroard. Wszystko jednak wskazuje na to, że konsumpcja małżeństwa nastąpiła dopiero w styczniu 1619 roku.

Tak czy inaczej, rewolta książąt mająca zapobiec małżeństwom hiszpańskim straciła grunt. Od lutego 1616 roku toczyły się więc w Loudun negocjacje delegatów rządu ze znużonymi rebeliantami. Pan de Luçon siedział tuż obok Loudun, w swej „pustelni”, przeoracie Coussay, i spalał się z ciekawości. Na szczęście miał pewien dostęp do tych sekretów, delegatów rządu wspierał bowiem konfident Marii Medycejskiej, Ojciec Józef. Spotykał się z biskupem Luçon i dyskutował o sytuacji, o rokowaniach, o przyszłości. Był już z Armandem du Plessis w zażyłej przyjaźni, protegował go u eks-regentki i bardzo wysoko oceniał. „Widziałem tego orła w jego młodości - pisał później - z równie mocnymi jak dziś szponami, nieruchomego, spoglądającego w słońce bez mrużenia powiek”. „Orzeł” posłał w pobliże „słońca”, na dwór, swego zaufanego sekretarza Charpentiera. W wymianie listów między biskupem i jego agentem były wyraźne aluzje do bliskiego już politycznego awansu pana de

Luçon.

3 maja 1616 roku w Loudun zawarty został pokój z książętami. Condé, poważnie chory, ustąpił z niektórych żądań za radą spowiednika, ale i tak traktat był sukcesem rebeliantów: otrzymali amnestię, liczne nagrody i satysfakcje; Condé miał wejść do królewskiej Rady i był pewny, że ją z łatwością zdominuje. Pokój z Loudun może się zatem wydawać triumfem monarchii arystokratycznej, współrządzonej przez książąt - oraz klęską despotyzmu, ścieśnieniem wpływu obcych: eks-regentki i Conciniego. Jednakże następne miesiące przyniosły klęskę zwycięzcy, aresztowanie pana de Condé i szczytowy sukces Conciniego.

Był to sukces osobistych ambicji i politycznego wpływu. Concini podawał się za włoskiego hrabiego della Penna; na początku okresu regencji kupił markizat d'Ancre, od którego wzięł francuską wersję nazwiska. *Penna*, to po włosku pióro, *encre* to po francusku atrament. Złośliwy diuk de Guise powiadał, że do hrabstwa Pióra i markizatu Atramentu Concini potrzebuje jeszcze księstwa Papieru, by skompletować cały ekwipunek. Jego szyderstwo stało się w 1616 roku rzeczywistością: Medyceuszka dała faworytowi tytuł diuka i para Francji! Miał on godność pierwszego szlachcica królewskiej komnaty, urząd nadintendenta dworu królowej-matki, gubernatorstwa Péronne, Roye i Montdidier; zgromadził ogromny majątek. Wspaniale umeblował i ozdobił dziełami sztuki swój pałac na rue de Tournon, kilka kroków od rezydencji Medyceuszki, pałacu luksemburskiego. Dawny pałac Conciniego, budowla niewielka, lecz wyjątkowej architektonicznej urody, jest dziś - nie wiedzieć czemu - użytkowana jako koszary Gwardii Republikańskiej.

U schyłku 1616 roku rozeszły się pogłoski, że Concini ma szansę dostać od królowej-matki wakującą godność konetabla Francji, najwyższą rangę wojskową królestwa. Już w 1613 roku, gdy został marszałkiem, sprzeciwom i szyderstwom nie było końca. I słusznie się oburzano, bo imię Concini nigdy nie służył w wojsku. Ale marszałków było jednak wielu, zaś konetabl - tylko jeden. Konsternacja wielmożów i burzliwe reakcje opóźniły ten awans i ostatecznie Concini nie zdążył być konetablem. Jego ambicje wydawały się bezgraniczne; wielu świadków cytowało jego słowa, iż pragnie sprawdzić, jak wysoko człowiek taki jak on może się wznieść na drodze kariery.

Tuż po pokoju w Loudun dopełnił się akt z dawna już oczekiwany. Starzy ministrowie, „brodacze”, kurczowo trzymali się swej słabnącej władzy. Teraz Concini przystąpił do odmładzania rządu. Chciał mieć ministrów zdolnych, energicznych, a przede wszystkim całkowicie odeń zależnych. Takich, którzy tylko jemu zawdzięczać będą karierę, czyli, jak wówczas mówiono, będą jego kreaturami. Popularny termin *créature* nie miał pogardliwej, ujemnej konotacji: w przyszłości kardynał Richelieu z dumą będzie podkreślał, iż jest kreaturą króla Ludwika!

Na pierwszy ogień poszedł stary kanclerz Sillery, zdymisjonowany w maju 1616 roku; później ministrowie Jeannin, Puyseux, wreszcie du Vair, który na krótko zastąpił Sillery'ego w funkcjach kanclerskich (ale tylko z tytułem strażnika pieczęci, bo tytuł kanclerza był dożywotni). Na to miejsce przyszli ludzie ambitni i zdolni, Barbin i Mangot, w listopadzie

1616 roku dołączy do nich pan de Luçon.

Od 6 czerwca był już w Paryżu. Stał w nowym mieszkaniu, na ulicy des Mauvaises Paroles. Zastał skomplikowaną sytuację. Barbin, główna postać formującej się nowej ekipy rządowej, był z nim w dobrych stosunkach dzięki pośrednictwu jednego z braci Bouthillierów, Dionizego. Program Barbina - silna władza monarsza, porządek wewnętrzny, trzymanie w ryzach książąt i hugenotów panu de Luçon w zupełności odpowiadał.

Maria Medycejska wyraziła właśnie chęć przekazania władzy synowi, co było zwykłą komedią. Ludwik XIII do tej gry się dostosował, orzekł, iż jest zupełnie zadowolony z jej rządzenia. Jeszcze jednym obłudnikiem okazał się Luçon: ekskuzował się królowej-matce, że jego słabe zdrowie uniemożliwia mu wspieranie jej radą; dodawał, że „to wsparcie, jakie [królowa] otrzymuje dla prowadzenia spraw z Jej własnej głowy, jest więcej niż wystarczające i najlepsze, jakie mogłaby mieć dla osiągnięcia sukcesu”. Hipokryta doskonale wiedział, że Maria Medyceuszka ma bardzo słabą głowę i pilnie potrzebuje dobrych rad w obliczu rosnącej opozycji przeciw Conciniemu. Im więcej sukcesów jej faworyt osiągał na dworze, tym bardziej go szarpali pamfleciści, nienawidzili księżęta, potępiała opinia ludowa. Dla dania satysfakcji nastrojom ludowego Paryża wypadło właśnie powiesić, w początku lipca, dwóch ludzi Conciniego, którzy brutalnie napadli i pobili zamożnego i wpływowego szewca paryskiego Picarda.

Księżę do Condé siedział tymczasem w Bourges i dąsał się na dwór. Krytykował zmiany w rządzie pod dyktando Conciniego i nie kwapił się z obejmowaniem stanowiska w królewskiej Radzie, zawarowanego dlań układem w Loudun. Rząd powierzył zatem panu de Luçon ważną misję: miał udać się do Bourges i namówić księcia na powrót do Paryża. Misja się w pełni powiodła. Wysłannik nagadał księciu pochlebstw, prosił o pomoc dla rządu, apelował do dynastycznej lojalności - i sprawił, że Condé w połowie lipca wrócił do stolicy. Jemu także pan de Luçon potrafił schlebiać bez umiaru (całe życie będzie jego pokornym sługą - pisał - i nikomu nie ustąpi tego tytułu...)

Niestety, księżę był nieostrożny. Demonstrował swe ambicje; tak jak ongiś diuk de Guise, szef Ligi, uważał się za króla Paryża. Gadał, że obali Conciniego i strąci z tronu króla. W pamiętnikach marszałka de Bassompierre jest opis, jak to przed posiedzeniem Rady tłum petentów oblegał księcia z prośbami, a Maria Medycejska rzekła kwaśno: „Oto on jest teraz królem Francji, ale jego panowanie będzie podobne do rządów króla migdałowego: nie potrwa ono długo!”

I rzeczywiście. Na polecenie królowej-matki 1 września 1616 roku Condé został aresztowany w Luwrze i osadzony w Bastylji. Pan de Thémynes, który ten rozkaz wykonał, został zaraz mianowany marszałkiem. A pan de Luçon, „pokorny sługa” księcia „na całe życie”, bardzo popierał ten projekt. Jest prawdą, że aresztowanie Condégo było krokiem odważnym, bardzo w stylu Henryka IV. Zapewne uratowało Concinich (a może i króla) przed książęcym zamachem stanu. Latem 1616 roku zawiązał się w tym celu spisek, a uczestniczyli w nim Condé, Mayenne, Bouillon, Maine i Vendôme. Nie przystąpiono jednak na czas do działania, a

zachowanie księcia de Condé było dość dwuznaczne.

Matka księcia bezskutecznie usiłowała wywołać rozruchy przeciw rządowi. Lepiej się powiodło przyjacielom obitego szewca Picarda, którzy wykorzystali poruszenie, by splądrować i zdemolować pałac Concinięgo. Zrabowanie kosztowności, zniszczenie mebli i dzieł sztuki, zdewastowanie ogrodu przyniosły ponoć „marszałkom” straty dwustu tysięcy écus. Ale królowa-matka wynagrodziła Conciniemu część jego strat i teraz właśnie mianowała diukiem-parem. Gdyby marszałkowie byli w domu, niechybnie by ich zlinczowano, ale Concini był w Normandii, a Leonora w Luwrze. Szczęście im wciąż służyło; można jednak stwierdzić, że zlekceważyli bardzo poważne ostrzeżenie.

Aresztowanie pierwszego księcia krwi skonsternowało zagraniczne dwory i bardzo rozwścieczyło arystokrację. Diuk de Nevers głośno się oburzał. Pan de Luçon nawiązał z nim przyjazne stosunki podczas rokowań w Loudun i teraz usiłował uspokoić go perswazjami i pochlebstwami. Bez skutku. Vendôme pośpiesznie uciekł z dworu, inni spiskowcy odbywali gorączkowe narady w Soissons; dopiero gdy zobaczyli, że nic się nie dzieje i nikt ich nie ściga - rozjechali się. Jesienią 1616 roku rząd uznał, iż panuje nad sytuacją, a w kraju jest spokój. Prawda, że zachowanie Bouillona i Neversa, mocno pomstujących na królową-matkę, niepokoiło ekipę rządową.

W ekipie tej zaszła jeszcze jedna drobna zmiana. Strażnik pieczęci du Vair miał ponoć korszachty z książętami, więc go usunięto. Na jego miejsce przyszedł Mangot, jedna z kreatur Concinięgo. A na miejscu Mangota pojawił się biskup Luçon, Armand-Jean du Plessis de Richelieu. Stało się to 25 listopada 1616 roku. Nareszcie!

Nareszcie, ale za wysoką cenę. Młody Richelieu wszedł do rządu jako jeszcze jedna *créature* Concinięgo. Pisał później, że zdobył sympatię faworyta: „Mówił niektórym swoim familiantom, że ma pod ręką młodego człowieka zdolnego dać nauczkę *a tutti barboni*, wszystkim brodaczo”... Wypróbowanym sposobem podlizywał się Conciniemu bezwstydnie: „Nie twierdzę, że kiedykolwiek zdołam się wypłacić choćby z najmniejszego zobowiązania, jakie mam wobec Waści, lecz chcę tylko pokazać całym moim działaniem, że wiekuiście pamiętać będę o tych przeróżnych łaskach, jakich doznałem od Waści i od Pani Marszałkowej”...



MINISTER WOJNY I SPRAW ZAGRANICZNYCH

Istotnie, po sesji Stanów Generalnych kariera pana de Luçon była szybka i dowodziła łask u dworu. W 1615 roku jałmużnik królowej Anny, w 1616 roku doradca królowej-matki, w przededniu ministerialnej nominacji miał już jechać do Madrytu jako nadzwyczajny ambasador z misją rozwikłania konfliktów w Italii (poróżniły one Wenecję i Sabaudię z Habsburgami austriackimi i hiszpańskimi). Małe zawirowanie karuzeli rządowej uczyniło go, pod koniec listopada, szefem polityki zagranicznej i ministrem wojny.

Miał trzydzieści jeden lat, był szczupły, przystojny, wytworny i

wyróżniał się eleganckimi manierami. Nic dziwnego, że go podejrzewano o robienie kariery metodą świetnie znaną na dworach: Maria Medycejska, a nawet szpetna Leonora Concini miały być jego kochankami. To nieprawdopodobne. O stosunku kardynała Richelieu do kobiet będzie jeszcze mowa; warto powiedzieć z góry, że ta struna męskiej natury nie dźwięczała u niego bardzo mocno. Nie był również człowiekiem nieostrożnym. Co wszakże najważniejsze, nie wydaje się, by Maria Medycejska odczuwała ciężko swe wdowieństwo. Miała już 43 lata: był to dla kobiety wiek dostojny, próg starości. Nie grzeszyła, to prawda, pruderią. Przyjmowała często ważnych nawet gości leżąc w łóżku, co gorszyło wychowaną w hiszpańskiej etykiecie Annę Austriaczkę; w upalne dni chętnie urządziła sobie sjęstę na materacach, rozłożonych wprost na podłodze. Dworzanie lubili sobie opowiadać o jej dezabilach mocno niechlujnych; podczas snu królowej-matki można było obejrzeć sporą część jej obfitych kształtów. Wszystko to dowodzi wszakże nie rozpustnych skłonności, lecz po prostu lekceważenia dla ludzi ją otaczających, nonszalancji, niechlujstwa. Jeszcze za życia Henryka IV gadano o jej rzekomych kochankach, wymieniano diuków de Bellegarde i d'Épernon. Później była mowa o fircyku Concinim i wytwornym panu de Luçon. Żadnych dowodów nie zdołano znaleźć. Co do Conciniego wiadomo skądinąd, że z powodu choroby praktycznie był impotentem na wiele lat przed śmiercią.

Nominacja pana de Luçon na ministra została dobrze przyjęta przez półoficjalną gazetę „Mercure de France”; chwalił ją w raporcie do papieża nuncjusz Guido Bentivoglio („Możemy mieć nadzieję, że ta zmiana będzie dla nas korzystna”). Inaczej ambasador Wenecji: był niezadowolony, raportował, że Luçon należy do „partii hiszpańskiej”, często bywa w hiszpańskiej ambasadzie, „mówi się nawet, że Madryt wypłaca mu pensję”. Co do pensji, to plotka; jednakże ambasador Hiszpanii w Paryżu książę de Monteleone donosił swemu rządowi, iż nowy minister jest jego osobistym przyjacielem, ujawnia gorliwość dla religii i Hiszpanii, służy wiernie królowej Annie. „Mam zresztą - dodawał - konkretny dowód jego oddania dla naszej sprawy”. To było powszechne mniemanie: młody Richelieu, biskup i doradca Marii Medycejskiej, uchodził za ministra „papistowskiego” i „hiszpańskiego”. Odnosiło się to zresztą do wszystkich „młodych” ministrów. Barbin, Mangot i Luçon borykać się więc musieli z rebelianckimi nastrojami wpływowej grupy książąt, wrogością protestantów, nieufnością zamożnej burżuazji (także urzędniczej) ceniącej ostrożność odsuniętych „brodaczy” i z przekonań gallikańskiej. Potężnie obciążała hipotekę ministrów nienawiść opinii społecznej - także ludowej - do Conciniego i jego żony. Pan de Pontchartrain opisywał w swym pamiętniku poruszenie „w całej Francji, ale zwłaszcza w Paryżu”, u schyłku 1616 roku, z powodu „złego sterowania sprawami publicznymi, braku troski królowej-matki dla króla, przed którym kazała ukrywać wszystkie ważne sprawy, niesłusznego aresztowania księcia de Condé i niełaski innych książąt oraz wielmożów; ambitnych a szkodliwych dla Francji zamysłów marszałka d'Ancre i jego żony, oddalenia od rządu wszystkich dawnych ministrów, wreszcie zaś mianowania dwóch lub trzech

nowych, pozbawionych zasług i doświadczenia w rządzeniu i służących jedynie zachciankom marszałka oraz jego żony (byli to Mangot, Barbin i Richelieu-Luçon)”.

Świadkowie wydarzeń zgodnie twierdzą, że od jesieni 1616 roku Concini stracił wszelki umiar. Jeśli wierzyć relacji marszałka d’Estrées, aresztowanie Condégo doradzał królowej-matce Barbin, a Concini obawiał się tego kroku (podobnie, jak nieco przedtem Condé bał się wydać rozkaz zabicia Conciniego, gdy ten złożył mu wizytę, a inni książęta-spiskowcy bardzo chcieli wykorzystać tę okazję i pozbyć się „przybłądy” raz na zawsze). Wszelako po aresztowaniu Condégo Concini zatracił ostrożność, która go dawniej cechowała: był bezczelny, pewny siebie, polował na wciąż nowe godności i dochody, mnożył w zastraszającym tempie zastępy swych wrogów.

Dobrał sobie niezłą ekipę ministerialną. Główną jej postacią był nadintendent (tj. minister) finansów Barbin: zapowiadał się na polityka wielkiego formatu, nie zdążył jednak rozwinąć skrzydeł. Richelieu dostrzegł w nim rywala i po dojściu do pełnej władzy nigdy już nie dopuścił Barbina do gry. Teraz obaj byli jeszcze w wielkiej komitywie. Także strażnik pieczęci Mangot ujawniał energię i talent. Nie został odwołany z królewskiej Rady ostatni z „brodaczy”, zasłużony dla Marii Medycejskiej pan de Villeroy, świetny ekspert od spraw zagranicznych, cieszący się wielkim prestiżem wśród francuskich ambasadorów na obcych dworach. Nie jest jasne, jaki był jego wpływ na decyzje rządowe, jak współpracował z panem de Luçon. Młody minister spraw zagranicznych powoływał się na poparcie pana de Villeroy w korespondencji z francuskimi dyplomatami, by w ten sposób pozyskać ich zaufanie. Twierdził też później, że Villeroy popierał go naprawdę i lojalnie z nim współpracował. To dość wątpliwe.

Nad ekipą rządową, gorliwą w królewskiej służbie i zdolną, ciążyła jednak zła reputacja kreatur Conciniego i rzeczywista od Conciniego zależność. Faworyt traktował ponoć ministrów jak swoich lokajów: gdy mu się nie spodobało jakieś ich działanie, walił pięścią w stół, zbierał ich chętnie w swym gabinecie, a gdy wyjeżdżał z Paryża, żądał od ministrów codziennych sprawozdań... A oto relacja pana de Pontchartrain: twierdził on, że z pozoru podejmowano decyzje rano, tuż po *Iever* królowej-matki, na oficjalnych posiedzeniach Rady królewskiej z udziałem grupy książąt. W istocie rozstrzygano sprawy wieczorem, „gdy już wszyscy się rozeszli, w obecności marszałkowej d’Ancre, której towarzyszyli panowie Barbin, Mangot, strażnik pieczęci, i biskup Luçon, sekretarz stanu. Niekiedy zapraszano też księcia de Monteleone, by mu zakomunikować o biegu spraw. Wypada zaznaczyć, że tyrania marszałka d’Ancre i jego żony była tak wielka, iż czasem nawet strofowali te trzy figury, które zarządzały wszystkimi sprawami królestwa, gdy się zdarzyło im mieć pogląd niezupełnie zgodny z kierunkiem działań i wolą marszałka”.

Być może nieprzyjaciele Conciniego trochę przesadzali; jego wpływ na działania rządu nie był zapewne aż tak przemożny. W początku 1617 roku ciężko przeżył śmierć dziesięcioletniej córki Marii, którą przeznaczał w przyszłości któremuś z książęcych rodów Francji; mariaż ten miał go

jeszcze bardziej umocnić. W pamiętnikach marszałka de Bassompierre czytamy, że Concini zwierzał mu się wówczas ze złych przeczuc. Śmierć ukochanej córki uznał za boży znak, zapowiedź ich przyszłej ruiny, błagał ponoć Leonorę, by się zgodziła na wyjazd do Włoch, ale żona „zarzuciła mu tchórzostwo, zaś chęć porzucenia królowej uznała za niewdzięczność”. Większość świadectw przedstawia jednak tę sprawę zgoła inaczej: to Leonora nalegała ponoć na wyjazd, a on miał się opierać stanowczo. Być może obojgu małżonkom przychodziła czasem myśl, by nie kusić fortuny, wrócić do ojczyzny i spokojnie korzystać z nagromadzonego, ponoć ośmiomilionowego majątku. Na swoje nieszczęście „marszałkowie” odtrącili tę pokusę. Concini pragnął przecież zbadać, „jak wysoko kariera wynieść może człowieka”.

Badając działania pana de Luçon w ciągu pięciomiesięcznego sterowania sprawami wojny i dyplomacji, od listopada 1616 roku do kwietnia roku 1617, dojść można do wniosku, że miał on jednak sporą swobodę ruchów mimo kurateli Conciniego i prymatu Barbina wśród ministrów. Wynikało to zapewne z delikatnej i zręcznej gry, którą prowadził z nominalnym szefem królewskiej Rady, królową-matką, i z inteligentną Leonorą Concini. Jako się rzekło, nie była to gra miłosna. Bez wątpienia jednak w ciągu owych pięciu miesięcy rządzenia młody Richelieu zdobył wielki wpływ na Marię Medycejską, pozyskał jej uznanie i zaufanie.

Prowadzenie tej gry pasjonowało go, to oczywiste; okazało się, że jest on klasycznym *animal politicum*. Na dziesięć dni przed nominacją na ministra stracił matkę; w majątku rodowym du Plessisów czekali przez trzy tygodnie z pogrzebem, by dać mu szansę przyjazdu. Nie przyjechał. U progu ministerialnej kariery - z pewnością myślał, że będzie trwała długo - wolał pilnować swoich spraw w Paryżu.

Markiz de Fontenay-Mareuil pisał dużo później: „Pan de Luçon nie musiał być w rządzie długo, by dać poznać wielkie talenty, którymi się odznaczał, i by stać się tak niezbędnym dla królowej i marszałka d'Ancre, że bez niego nie mogli niczego zrobić”. Pamiętniki Fontenaya, spisywane już po śmierci Richelieugo - gdy wielu dawnych pochlebców go szarpało - są pełne admiracji dla osoby kardynała i dla jego dzieła. Admiratorzy Richelieugo, także z grona zawodowych historyków, śladem Fontenaya przenosili często na pierwsze ministerium pana de Luçon wysoką ocenę talentów, które ujawnił on dopiero później, gdy po siedmiu latach przerwy powrócił do rządu. Wydawał się więc od początku wspaniałym politykiem, a przynajmniej wielkim nowatorem. Prawda jest natomiast taka, że w latach 1616 i 1617 pan de Luçon po prostu starał się kontynuować - z wielką energią i mniejszym sukcesem - tę politykę, której zasady ustalił jeszcze pan de Villeroy.

Często też zadawano sobie pytanie, któremu z powierzonych mu dwu obszarów, wojnie czy dyplomacji, przyznawał pierwszeństwo. Otóż w sferze militarnej głównym jego zadaniem było stłumienie rebelii książąt; bez pacyfikacji wewnętrznej aktywność w polityce zagranicznej nie mogła się rozwinąć na dużą skalę. Zresztą spora część wysiłków dyplomatycznych Luçona miała na celu osłabienie wewnętrznej rebelii, pozbawienie jej politycznego i militarnego poparcia zagranicą.

Tak więc pan de Luçon skupiał swą energię głównie na sprawach militarnych, co budziło zdziwienie współczesnych. Marszałek d'Estrées, brat słynnej kochanki Henryka IV Gabrieli, dawał temu wyraz gdy zapisywał w pamiętniku, że fortuna poprowadziła w 1616 roku Richelieugo „drogami niezwykłymi dla jego profesji, bo chociaż w ubiegłych wiekach biskupi odgrywali wielką rolę w polityce, a zwłaszcza w negocjacjach tak wewnątrz, jak na zewnątrz królestwa, to jednak nie było jeszcze przykładu, by jakiś biskup piastował urząd sekretarza stanu zajmującego się sprawami wojny”.

W istocie, jeśli na zewnątrz Luçon prowadził politykę pacyfistyczną, to wewnątrz królestwa przyjął postawę wojowniczą. Poprzednio Maria Medycejska i Concini - z reguły wbrew opinii stanowczego pana de Villeroy - zwykli pacyfikować opozycję książąt rozdawaniem łask i złota. Teraz sytuacja się zmieniła: Concini zerwał ze swą polityką ostrożności i rozwagi, młodzi ministrowie byli gorliwymi wyznawcami zasady królewskiego autorytetu, w Bastylii nie było już zresztą złota, którym przedtem tak hojnie sypano. Ambasador Wenecji raportował, że Paryż zdecydował się zarzucić politykę słabości: „Będą się tu odwoływać, jeśli trzeba, do siły, bo chcą wymusić od wszystkich bezwarunkowe posłuszeństwo”. Luçon rzekł Wenecjaninowi, że Maria Medycejska „skłonna jest zaryzykować wszystko za wszystko” i że on właśnie jej to doradził. W połowie stycznia 1617 roku rozmawiał z Luçonem nuncjusz i stwierdził, że „bardzo się on pali do wojny. Sądzi, że jest ona konieczna, jeżeli król chce być prawdziwym królem... Należy zaatakować książąt z całą siłą i wojna tak zaczęta natychmiast się skończy”. Gdy diuszesa de Longueville, siostra Neversa, sondowała Luçona - z polecenia brata - w przedmiocie ewentualnego kompromisu, minister odrzekł, że tym razem nie będzie układów.

Zawodowi, by tak rzec, chwalczy Richelieugo skłonni są mniemać, że ta polityka stanowczości była jego wynalazkiem i własnością. Otóż nie. Nawiązywała ona do linii politycznej pana de Villeroy, tyle że w warunkach bardziej sprzyjających wobec zmiany postawy Conciniego. Współtwórcą tej polityki był Barbin, i to podwójnie: jako szef ekipy ministerialnej i jako minister finansów. Ostatecznie bez porządkowania spraw finansowych - tak surowego, że narażającego Barbina na wrogość rządzonych - pan de Luçon nie byłby przecież w stanie wystawić królewskiej armii zdolnej złamać rebelię.

Obrona autorytetu władzy przed wicherzycielstwem książąt to zamysł wielce szlachetny. Kłopot polegał na tym, że gdy rząd grzmiał przeciw anarchizowaniu królestwa i denuncjował rujnącą Skarb zachłanność książąt, opinia społeczna przyjmowała to - by użyć słów Pisma Świętego - jako prawdę w ustach niesprawiedliwego. W końcu to przecież Medyceuszka i Concini ogołocili Skarb, by ułagodzić wicherzycieli. Ponadto bardzo szeroki krąg ludzi - od szlachty i kleru aż po lud Paryża - obawiał się, że zniszczenie opozycji książąt da pełnię władzy w państwie Conciniemu, a tyrania „przybłądy” nie znajdzie już nigdzie przeciwwagi.

Pan de Pontchartrain, dawny minister Henryka IV i przekonany rojalista, stwierdzał, że w tym czasie, u progu wojny z książętami, ludzie wszystkich

stanów nienawidzili Conciniego i źle mu życzyli, „z wyjątkiem kilku osobników, których hojnie wynagradzał”. Gdyby rząd nie napotkał opozycji książąt, to pewnie zaatakowałby hugenotów - twierdził Pontchartrain - gdyż „zausznicy marszałka d’Ancre postanowili, że aby go zachować przy tym autorytecie i absolutnej władzy, jakie uzurpował w królestwie, konieczne jest nieustanne utrzymywanie działań wojennych”. Tylko wojna dawała szanse kreaturom Conciniego i pozwalała ukryć w wydatkach militarnych sumy zagarnięte lub roztrwonione przez włoskiego awanturnika.

Taki pogląd Pontchartraina, podzielany przez wielu obserwatorów wydarzeń, był wszelako błędny. Luçon zdawał sobie sprawę z wrogości opinii do Conciniego, ale wyciągał stąd wniosek, że tylko krótka wojna i bardzo szybki sukces militarny może umocnić rząd. Zbuntowani książęta - ze swymi pieniężnymi zasobami, majątkami, urzędami, klientelami i stosunkami z zagranicą - byli w stanie rozniecić rewoltę w wielkiej części kraju. Wojowniczy biskup Luçon organizował tedy z ogromną energią zaciągi wojska, jako że królestwo nie dysponowało silną armią stałą. Miało jedynie kilka „starych”, jak je nazywano, regimentów piechoty, niewielką liczbę kompanii kawalerii oraz królewską gwardię. Richelieu ironizował później, że zanim on doszedł do władzy, „król ruszając z Paryża na wyprawę wojenną wyposażony był raczej jak myśliwy niż jak zdobywca”.

W ciągu kilku miesięcy minister wojny zebrał 12 tysięcy wojska dobrze wyposażonego i dobrze opłacanego. W Niemczech polecił zaciągnąć 4 tysiące lancknechtów i 1200 rajtarów. Korzystając z klauzul traktatu Francji z Holandią poprosił Zjednoczone Prowincje Niderlandów o cztery tysiące ludzi, a w przyszłości - jeśli zajdzie potrzeba - o dalsze pięć tysięcy. Pisał do dowódców energiczne listy, popędzał opieszałych, żądał dyscypliny. Bardzo starannie odpisywał na listy generałów, łagodził spory między nimi, dziękował za dobrą służbę. Gdy ganił, robił to z umiarem: rozumiał, że jego wiek i duchowna profesja nie pozwalają na brutalne traktowanie marszałków i generałów. Wykazał więc talent dobrego organizatora i zręcznego polityka.

Wystawił trzy armie, które miały operować w zagrożonych prowincjach: armię diuka de Guise w Szampanii, armię marszałka de Montigny w Berry i Nivernais, wreszcie w Perche armię hrabiego Owernii.

Rebeliancy książęta - Bouillon, Nevers, Cezar Vendôme, du Maine i inni jeszcze - zdecydowali się zrzucić maskę na przełomie stycznia i lutego 1617 roku. Początkom wojny domowej towarzyszyła zaciekle walka na pamflety, manifesty, deklaracje. W propagandzie rządowej, inspirowanej przez Luçona, nie brak wielkich słów o autorytecie króla i potrzebie państwowego ładu. To miało trafiać do ludzi zaniepokojonych możliwością wznowienia wojen wewnętrznych. W XVI wieku przez całe dziesięciolecia pustoszyły one Francję i w roku 1617 wielu żyjących dobrze je wciąż pamiętało. Są w deklaracjach rządu oskarżenia książąt o schrupanie milionów ze Skarbu, są lamenty nad niewdzięcznością tak hojnie obdarowanych. Jest próba obrony Concinich: książęta udają dobrych Francuzów żądając usunięcia „kilku cudzoziemców, których interesy związane są z Francją” - ale sami robią wszystko, by spowodować ruinę

państwa! Nie zabrakło wreszcie argumentów adresowanych do opinii ludowej, ostrzeżeń, by nie dawała się zwieść demagogii książąt: „Czyż ci, którzy łupili lud aż do kości i poddawali go najbardziej barbarzyńskim okrucieństwom, jakie tylko można sobie wyobrazić, mają prawo mówić o ulżeniu doli ludu, aby winę jego ucisku i ruiny przerzucić na kogo innego?...”

Zaczęta w lutym i marcu kampania wojenna rozkręcała się powoli. Armia królewska brała bez oporu słabo umocnione miasta w prowincjach Maine i Nivernais, których garnizony były nieliczne. Armia hrabiego Owernii obległa diuka du Maine w Soissons. Mówiono już o wyjeździe króla, by mógł obejrzeć oczekiwaną kapitulację miasta, ale w kwietniu podróż tę odwołano, ponoć za sprawą Conciniego, który bał się stracić kontrolę nad poczynaniami króla Ludwika i jego otoczenia. Większe działania wojenne szykowały się w Szampanii, ale armia diuka de Guise czekała tu na zacieężnych żołnierzy niemieckich, których miał przyprowadzić wysłannik rządu hrabia de Schomberg.

Później Richelieu będzie zapewniał, że w przededniu śmierci Conciniego i upadku ministrów sytuacja militarna była wyborna, armia króla już-już miała zgnieść rebelię. Niektórzy badacze sądzili, że się przechwalał, że położenie armii rządowej wcale nie przedstawiało się aż tak wyśmienicie. Ale niechętny ówczesnemu rządowi Pontchartrain pisał w pamiętniku, że rebelia książąt w kwietniu 1617 roku była już bliska klęski: „Dzięki staraniu i gorliwości, jakie w to włożyli nowi ministrowie, panowie Barbin (wymieniam go pierwszego, bo to on kierował całością spraw), Mangot, strażnik pieczęci, i biskup Luçon, owi książęta i wielmoże tak mocno byli atakowani i przyciskani do muru, że znaleźli się w sytuacji rozpaczliwej i nie wiedzieli już, gdzie szukać pomocy; rząd zaś wcale się nie troszczył o to, by ich znowu przywrócić do łask”. Śmierć Conciniego, zdaniem Pontchartraina, uratowała książąt przed zupełną ruiną. Faktem jest, że po zamordowaniu faworyta natychmiast przerwano działania wojenne, a rebelianci przywróceniu zostali do łaski królewskiej.

Jeśli pan de Luçon okazał się energicznym i raczej szczęśliwym ministrem wojny, to jako minister spraw zagranicznych miał mniej powodzenia. Sytuacja, w której przejmował pieczę nad francuską dyplomacją, nie była zła. Europa oddychała jeszcze po zacieężnych wojnach i rewolucjach XVI wieku; dwa lata ją dzieliły od kataklizmu wojny trzydziestoletniej. Monarchowie liczących się na politycznej mapie państw byli na ogół - na szczęście dla Francji, osłabionej małoletniością króla i indolencją królowej-matki - przeciętni i niezbyt wojowniczy. To prawda, Szwecją od pięciu lat rządził Gustaw Adolf, ambitny i obdarzony fenomenalnym talentem militarnym, ale w Europie Zachodniej pojawi się on dopiero za kilkanaście lat, i to jako sojusznik Francji. W Anglii i Hiszpanii panowali monarchowie słabej woli i nikłej politycznej inteligencji: Jakub I Stuart i Filip III. Obaj zdawali się na faworytów niewiele od nich lepszych (Somerset i później Buckingham w Anglii, Francisco Lerma w Hiszpanii). W dodatku Hiszpanię nękał długotrwały i ciężki kryzys ekonomiczny. Cesarzem rzymsko-niemieckim był Maciej Habsburg, prawie sześćdziesięcioletni i schorowany. Siedział w Pradze,

zajmował się astrologią i martwił o sukcesję tronu (ożenił się bardzo późno i nie miał dzieci). Związki między Habsburgami hiszpańskimi i Habsburgami austriackimi, zmora Francji obawiającej się okrażenia, bardzo się rozluźniły.

Nawyki ostrożności i wzgląd na małoletniość króla skłaniały „brodaczy” do polityki pacyfistycznej i zachowawczej, dbającej o zachowanie status quo. Niepokoiły ich przejawy agresywności niemieckiej kontrreformacji, groźne dla protestanckich książąt Rzeszy, tradycyjnych sojuszników Francji. Ambicją Paryża było pogodzenie protestantów niemieckich z Habsburgami dla utrzymania równowagi w Rzeszy. Inny powód do niepokoju to wysiłki Hiszpanii, by umocnić się nad wschodnią granicą Francji. Hiszpańska linia Habsburgów rządziła księstwem Mediolanu, hrabstwem Burgundii (Franche-Comté) i południowymi Niderlandami (północne w twardej walce wywojowały sobie niepodległość i utworzyły republikę Zjednoczonych Prowincji). Były to prowincje strategicznie bardzo ważne, ale oddzielne od siebie znacznymi odległościami i wciśnięte między państwa Hiszpanom nieprzychylnie lub wręcz wrogie. Toteż ministrowie w Madrycie bardzo się głowili, jak ułatwić łączność między tymi posiadłościami wzdłuż „korytarza reńskiego”, od Mediolanu do Antwerpii. Łakomie spoglądali na szwajcarskie przejścia alpejskie, kontrolowane przez Francję na podstawie jej układów z Konfederacją Szwajcarską; usiłowali się wślizgiwać do niemieckiej Nadrenii, gdzie kusili ich zwłaszcza posiadłości Habsburgów austriackich w Alzacji, wygodny pomost między hiszpańskimi Niderlandami i Franche-Comté.

Pan de Villeroy doprowadził w 1615 roku do francusko-hiszpańskiego „podwójnego małżeństwa” nie po to, by Francja znalazła się na pasku Hiszpanii. Przeciwnie, chodziło mu o to, by zdobyć możliwość oddziaływania na dwór madrycki i hamowania wygórowanych ambicji terytorialnych Hiszpanów. Szef francuskiej polityki zagranicznej uważał, że w istniejącej międzynarodowej koniunkturze możliwe jest pokojowe regulowanie sporów i utrzymywanie politycznej równowagi. Istotnie, pewne konflikty w Niemczech i Italii udało się francuskiej dyplomacji uregulować honorowo (traktaty w Xanthen i w Asti, 1614 i 1615). Gdy pojawiły się nowe konflikty w Italii między Habsburgami obu linii a sojusznikami Francji, Wenecją i Sabaudią - pokojowe ich uregulowanie miał negocjować w Madrycie pan de Luçon. Nim wyjechał, otrzymał nominację na ministra.

Uchodził za zdeklarowanego „Hiszpana” nie tylko w opinii krajowej - i postarał się o sprostowanie takiego poglądu w stolicach protestanckich zaniepokojonych aresztowaniem Condégo i groźbą zwrotu Francji ku ścisłym związkom z Hiszpanią. Zbuntowany diuk de Bouillon siał takie niepokoje w krajach, które go uważnie słuchały: w Holandii, Anglii, w protestanckich księstwach Rzeszy. Luçon posłał zatem nadzwyczajnych ambasadorów: do Londynu pojechał pan Maupas du Tour, do Hagi Odet de la Noue, do Niemiec Henri Schomberg hrabia de Nanteuil. Wybór był trafny. Wysłanników Paryża znano i respektowano w krajach, do których się udali. W negocjacjach ze szczególnie nieufnym Jakubem I pobożny biskup Luçon dowiódł, że potrafi kłamać jak najęty: zapewniał króla

Anglii, iż tylko on źle przyjął aresztowanie księcia de Condé, inni władcy europejscy rozumieją bowiem i aprobują ten krok francuskiego rządu.

Najważniejsza bez wątpienia była misja Schomberga. Ambasador będzie później aż do śmierci (1632) blisko współpracował z kardynałem Richelieu, który go zrobi marszałkiem Francji. Dla kardynała Schomberg był idealnym pomocnikiem: mądry, uczciwy i... niewielkiego politycznego formatu. Misja do Niemiec, z którą ruszył w połowie stycznia 1617 roku, była szczególnie delikatna. Protestanci księżęta niemieccy bali się prohiszpańskiego rządu w Paryżu, nastawiali ucha na lamenty i ostrzeżenia diuka de Bouillon, a ponadto bardzo się niepokoiли wieściami o ogołoceniu francuskiego Skarbu. Mniejsza już o to, że domy bankowe Nadrenii chętnie pożyczają pieniądze dworowi paryskiemu; dla władców protestanckich jednak francuskie subsydia były od dawna ważnym źródłem dochodu, i oto narastać zaczęły teraz zaległości w wypłatach.

Zachowały się szczegółowe instrukcje, datowane 29 grudnia 1616 roku, w które pan de Luçon wyposażył Schomberga na drogę do Niemiec. Historycy fantazjowali na ich kanwie: często uznawano je za dowód, że w polityce młodego Richelieu-Luçon już wówczas nastąpiła zmiana kursu, stawka na sojusze protestanckie, zapowiedź polityki radykalnie antyhiszpańskiej. Cytowano szczególnie chętnie jedno zdanie. Oto więc Schomberg ma przekonywać protestanckich księząt Rzeszy, by nie wierzyli, „że jesteśmy tak bardzo rzymscy i hiszpańscy, iżbyśmy chcieli przyjąć za swoje interesy bądź Rzymu, bądź to Hiszpanii, ze szkodą dla naszych dawnych aliansów i dla nas samych, to znaczy tych, którzy we Francji wyznają religię reformowaną, i tych wszystkich, którzy nienawidzą Hiszpanii i szczególnie sobie cenią postawę dobrych Francuzów”. Schomberg miał uspokajać rozmówców co się tyczy następstw „podwójnego małżeństwa”: te dynastyczne mariaże po prostu „pozbawiły Hiszpanów ich jadu”, to znaczy zredukowały ich agresywność, natomiast na politykę Francji nie wywierają większego wpływu ani też jej nie dzielą wewnątrz („Podzieleni w wierze, pozostajemy zjednoczeni wokół monarchy, w służbie którego żaden katolik nie jest tak zaślepiiony, by uważać, iż w sprawach państwowych Hiszpan jest lepszy od Francuza-hugenoty”).

Instrukcje dla Schomberga wyznaczały mu zadanie przekonywania Niemców, że w rebelii Bouillona i innych księząt nie ma ani cienia samoobrony protestantów; sprawy religii nie mają tu nic do rzeczy, jest to zwykły bunt. Pojawia się w instrukcjach aluzja do zachłanności zrewoltowanych księząt: to oni spowodowali trudności Skarbu, a więc i kłopoty z wypłacaniem subsydiów. Ponieważ złoto rozdali księżętom Medyceuszka z Concinim, wypadło ich wziąć w obronę: działali w najlepszych intencjach, dla zapewnienia spokoju wewnętrznego.

Concini nie budził ani za grosz zaufania na obcych dworach. Schomberg miał go bronić: przecież nie tylko we Francji wynosi się cudzoziemców na wysokie godności, przypadek Conciniego jest odosobniony (tylko jeden cudzoziemiec zrobił karierę, a nie wielu), zresztą nie jest on już właściwie cudzoziemcem, to *un étranger Français*, Francuz obcego pochodzenia. Czemuż więc należałoby ganić tę karierę? Trudno powiedzieć, by w tym

punkcie instrukcje Luçoną były bardziej przekonujące od wrogiej Conciniemu propagandy książąt.

Instrukcje nie zawierają samych miłych słów pod adresem Niemców. Są w nich zarzuty, iż książęta protestanccy Rzeszy nie zawsze zachowują wobec Francji lojalność. Są i pogrożki. Luçon bał się poważnie niemieckiej interwencji zbrojnej we francuską wojnę domową. Gdyby niemieccy władcy protestanccy udzielili pomocy militarnej zaprzyjaźnionemu z nimi Bouillonowi i innym zrewoltowanym książętom - los konfliktu mógłby się przechylić na ich korzyść. Więc Luçon każe przypomnieć książętom Rzeszy, że Francuzi „są ostatnimi z przyjaciół, na których utratę mogliby sobie pozwolić, jako iż możemy bardzo im pomóc i wielce im zaszkodzić; a niechybnie im zaszkodzimy, jeśli dadzą nam po temu powody. Król [czytać należy: Maria, Concini i ministrowie] jest równie zdecydowany nie ścierpieć żadnej zniewagi, jak i nie pozostawić bez nagrody żadnej przyjaznej usługi”. Jest to klasyczna polityka bata i marchewki.

I konkluzja instrukcji: Francja pragnie pokoju w Europie. Zalecenia dla Schomberga nie są, jak widać, ani antyhiszpańskie, ani jednostronnie przychylnie dla książąt protestanckich. W duchu starej linii pana de Villeroy zapowiadają politykę pokoju i równowagi europejskiej, obronę aliansów Francji - ale tak nad Renem, jak za Pirenejami. Cele misji Schomberga były skromniejsze, niż nieraz sądzono.

Fantazją są również pojawiające się niekiedy twierdzenia o sukcesie tej misji. Przede wszystkim została przerwana po miesiącu, nim ambasador zdołał odbyć planowaną turę rozmów. Minister kazał mu bowiem zająć się zaciąganiem żołnierzy niemieckich - i od połowy lutego Schomberg miał takie główne zadanie. Siła perswazyjna jego - a ściślej Luçoną - argumentów nie była zbyt wielka. Głównym jego rozmówcą był w Heidelbergu książę palatyn reński, Fryderyk V. Przyszły król Czech (przez parę miesięcy, stąd zwany „królem zimowym”) przyjął wysłannika Paryża bardzo uprzejmie i obiecał swą neutralność we francuskiej wojnie domowej; zażądał wszelako, by rząd Francji zmienił politykę wewnętrzną (tzn. nie szastał pieniędzmi, nie zrażał sobie poddanych) i aby spłacił zobowiązania... Mimo zapewnień danych Schombergowi palatyn Fryderyk wnet też zaczął się porozumiewać z Holandią w sprawie wspólnej pomocy dla diuka de Bouillon.

Jeszcze dotkliwszy policzek wymierzyło panu de Luçon zgromadzenie książąt protestanckich Rzeszy (tak zwanej Unii Ewangelickiej) w Heilbronn. Ich adres do króla Francji z 16 kwietnia 1617 roku przynosił zapowiedź pomocy zbrojnej dla książąt francuskich, a nawet dla masowej rebelii antyrządowej, która wedle prognoz Unii Ewangelickiej była we Francji nieunikniona. Taka groźba poprzez miała apel do Ludwika XIII, aby przerwał działania wojenne przeciw książętom. Wszystko to uchwalono ledwie parę dni przed upadkiem rządu w Paryżu, więc niemieckie wyzwanie następstw już nie miało. Po zamordowaniu Conciniego obradujący jeszcze w Heilbronn protestanci niemieccy przesłali Ludwikowi XIII serdeczne gratulacje...

Ostatecznie jednak scena niemiecka miała dla pana de Luçon znaczenie drugoplanowe; głównym teatrem była północna Italia. Do splątanych

konfliktów Wenecji i Sabaudii z Habsburgami obu linii włączyła się nieoficjalnie, ale bezpośrednio Francja: armia marszałka diuka de Lesdiguières, wezwana na pomoc przez księcia Sabaudii Karola Emanuela, ruszyła w połowie grudnia 1616 roku z Delfinatu, zaatakowała Hiszpanów i uratowała Sabaudię przed klęską. Uwolniło to pana de Luçon od dylematu: czy narazić się na konflikt z Hiszpanią, czy też porzucić zagrożonego sojusznika i pozwolić na hiszpańską dominację w północnych Włoszech. Teraz można było głośno wyrazić dezaprobatę dla akcji marszałka i poprzeć go po cichu, nie nakazując mu odwrotu. Lesdiguières chyba rzeczywiście postąpił samowolnie i w uratowaniu Sabaudów Luçon nie miał zasługi.

Wypieścił on za to, w końcu grudnia, projekt bardzo efektowny: podwójnego arbitrażu Francji w konflikcie Sabaudii z Hiszpanią i Wenecji z Habsburgami austriackimi (a ściślej z Ferdynandem Styryjskim: ten konflikt rozgrywał się w granicznej prowincji weneckiej Friuli). Pan de Luçon zaczął energicznie pertraktować o zwołanie w Paryżu kongresu reprezentantów Hiszpanii, Sabaudii, Wenecji, papieża i cesarza pod uprzejmą, ale zdecydowaną prezydencją francuskich gospodarzy. Celem kongresu byłoby ustanowienie „generalnego pokoju” w Italii, ustalenie i tam politycznej równowagi. Depesze i instrukcje dyplomatyczne fruwały z Paryża na wszystkie strony, a minister sam pisał ich bruliony. Była to ogromna robota, która poszła na marne. Wenecjanie zdecydowali się na rokowania w Madrycie, Sabaudia - w Rzymie; arbitraż francuski spalił na panewce. Luçon był wściekły. Urządził scenę ambasadorom Wenecji („Cóż za niesłychany brak względów! Jego Królewska Mość to sobie zapamięta!”).

W zasadzie pomysł paryskiego kongresu nie był zły: Francja miała przecież dobre stosunki z wszystkimi stronami sporu. Ale sojusznicy Francji - nie tylko we Włoszech - nieufnie spoglądali na rząd firmowany przez króla pełnoletniego tylko de iure, a sterowany przez Medyceuszkę i Conciniego. Luçon jako minister spraw zagranicznych też nie budził entuzjazmu. Bo czymże w końcu ten młody, nieznan, prowincjonalny biskup miałby imponować takim wirtuozom dyplomacji jak Wenecjanie i takiemu mistrzowi kręactwa jak Karol Emanuel Sabaudzki?

Wina za brak sukcesów młodego Richelieu obciążano czasem choćby po części - jego poprzedników. Pisano więc, że Villeroy, zły z powodu odstawienia go na bok, zabrał wszystkie papiery z okresu swego urzędowania, że Mangot w ciągu kilku miesięcy kierowania dyplomacją wprowadził do dokumentacji wielki bałagan. Jednakże zabieranie papierów przez odchodzącego ministra i brak troski o wprowadzanie następcy w bieg spraw były wówczas zwyczajem. Luçon zaraz zażądał zresztą od francuskich dyplomatów kopii instrukcji i depesz. Francuscy ambasadorowie bez wątpienia nie mieli wielkiego zaufania do nowego szefa, który z kolei traktował ich wyniośle i apodyktycznie. Skarżyli się, że minister nie informuje ich dostatecznie, że popełnia błędy w dyplomatycznym protokole. Także ambasador Hiszpanii w Paryżu, Monteleone, żalił się, że pan de Luçon słucha go roztargnionym uchem.

Jednakże i sterowanie dyplomacją, choć pozbawione sukcesów, stało się

dla młodego Richelieu dobrą szkołą. Pokazał, że potrafi pracować z uporem i bardzo intensywnie, że nieźle rozpoznaje dobrych i marnych współpracowników: jego oceny personelu dyplomatycznego wydają się trafne. Ćwiczył się w tym, co będzie później jego mocną stroną: w szybkim ogarnianiu całej europejskiej szachownicy, w panowaniu nad wszystkimi spletanymi wątkami dyplomatycznej gry. Teksty jego depeš i instrukcji są interesujące, wyróżniają się często na tle szablonowej korespondencji ówczesnych dyplomatów.



KRÓLEWSKA KONSPIRACJA I PRZEWROT PAŁACOWY

Chyba największym błędem pana de Luçon była ocena młodego Ludwika XIII jako politycznej nicości niezdolnej - przynajmniej na razie - do samodzielnych poczynań. Błąd ten popełniali zresztą i inni aktorzy politycznego dramatu. Niespełna 16-letni król traktowany był jak ważny, ale bierny przedmiot rozgrywek. Kamaryla Concinię chciała utrzymać swą kuratelę nad Ludwikiem XIII, koteria książęca pragnęła tę kuratelę przejąć, bez wielkich zmian, na własny rachunek. Zahukany, odsuwany od spraw państwowych i upokarzany chłopiec niespodziewanie odegrał na scenie politycznej własne przedstawienie, hałaśliwe i krwawe, na oczach osłupiałej dworskiej elity i rozradowanego paryskiego ludu.

Medyceuszka i Concini kilka razy zastanawiali się nad niebezpieczeństwami mogącymi wyniknąć z namiętnego przywiązania króla do pana de Luynes. Jeśli nie zdecydowali się na usunięcie faworyta z dworu, to z dwu powodów. Luynes wydawał się im wyzuty z politycznych ambicji, a więc nieszkodliwy. Łatwo też było zauważyć zainteresowanie króla przystojnymi chłopcami i młodymi mężczyznami. „Król - pisze Tallemant des Réaux - zaczął miłości od swego woźnicy Saint-Amour, temu bowiem okazał najwcześniej afekt. Następnie miał skłonność do psiarczyka Harana”. Tallemant to plotkarz (co prawda dobrze poinformowany). Sumienny i oddany królowi medyk Héroard w swym dzienniku potwierdza jednak fakt owych „skłonności” i dorzuca jeszcze młodego żołnierza Descluseaux (król go nazywał *mon mignon*) oraz lokajczyka imieniem Cezar. Niektórzy świadkowie insynuują, że włoskie otoczenie Medyceuszki i Concinię świadomie popychało króla ku chłopcom niskiej społecznej kondycji czy nawet uczyło go ulegać temu, co zwano wówczas „włoską przywarą”. Gdy jednak Ludwik ujawniał zainteresowanie młodymi ludźmi dobrze urodzonymi (wymieniano pana Aleksandra de Vendôme, przyrodniego brata króla; komandora de Souvray; rudego i dowcipnego Montpouillana La Force) - Maria Medycejska natychmiast ich usuwała z drogi. Dopiero pan de Luynes pozostał przy Ludwiku. Z pamiętników markiza de Fontenay-Mareuil, autora rzetelnego i dobrze poinformowanego, wynika, iż to dworzanin królowej-matki, pan de Sauveterre, przekonał Marię i Concinię, że skoro król już ujawnił gust do młodych faworytów, to zechce ich mieć i w przyszłości; im jednak będzie

starszy, tym bardziej samodzielnie będzie ich sobie dobierał. Lepiej więc zadowolić się obecnością przy nim pana de Luynes, który „jest usposobienia umiarkowanego i jej [królowej] zawdzięcza to wszystko, co posiada”.

Stopniowo wokół króla, Luynesa i jego dwóch braci zaczęła się tworzyć niewielka kamaryla. Znaleźli się w niej inteligentni i ambitni panowie de Marsillac i Tronson: ten drugi, prawnik, będzie do roku 1626 zaufanym sekretarzem Ludwika XIII. Luynes wprowadził do koterii swego kuzyna, barona de Modéne. Niezwykle cennym nabytkiem okazał się Guichard Déageant, wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Finansów. Miał on wszystkie zalety wybitnego polityka z wyjątkiem chęci zrobienia kariery. Zaoferował Luynesowi, że będzie ujawniał projekty Conciniego i ministrów: jako bliski współpracownik ministra finansów Barbina miał dostęp do sekretów gabinetowych. Przyjęto go do koterii króla z otwartymi ramionami - i to właśnie on stał się mózgiem konspiracji przeciw Conciniemu. W swych interesujących pamiętnikach Déageant ujawni udręczoną niecierpliwość młodego króla, jego lamentsy, że „tak niewiele się liczonego z jego osobą i nie dawano mu żadnego wpływu na ważne sprawy królestwa”.

Mała grupa przyjaciół króla zbierała się u monarchy wieczorami i radziła: było to coś w rodzaju gabinetu cieni. Ludwik, jak pisze Déageant, „ujawniał gorączkowe pragnienie wzięcia we własne ręce steru swego państwa”. Rozważano więc różne możliwości: wyjazdu króla do jakiegoś wiernego i dobrze umocnionego miasta lub do armii królewskiej, która w niedalekiej Szampanii zbierała siły do walki z rewoltą książąt. Zarzucono jednak te pomysły, natomiast podjęto próbę przekonania królowej-matki, by się zgodziła rozstać z Concinimi i powierzyć Ludwikowi XIII rządy krajem. Robiono to dyskretnie; między innymi znajomy Luynesa biskup de l'Estang zgodził się o tym pomówić z Marią Medycejską nie ujawniając, broń Boże, źródła swojej inspiracji. Maria wzięła sobie jego przemowę do serca; Leonora także ponoć była gotowa wyjechać do Włoch. Wedle relacji Fontenay-Mareuila królowa-matka doradzała Conciniemu, by się wycofał z gry, „ale ten drwił sobie z tego i zapewniał ją, iż dość dobrze zna króla, aby się wcale nie przejmować”.

Na wszelki wypadek postanowił się jednak zabezpieczyć. Uprzedzony przez żonę o naciskach na Marię Medycejską i o jej wahaniach, wrócił pośpiesznie z ulubionej Normandii w poniedziałek, 17 kwietnia 1617 roku. Wydarzenia zagaściły się. Do króla dotarły wiadomości, że Concini chce rozpedzić i poddać represjom grupę jego przyjaciół, że on sam ma być zamknięty w Luwrze z prawem spacerowania tylko po tuileryjskim ogrodzie. Luynesowi Concini rzekł podobno, że świetnie wie, iż wrogość króla do „marszałków” to jego sprawka; zagroził faworytowi Ludwika, „że mu za to odpowie”.

Królewska koteria naradzała się gorączkowo. Luynes, niechętny środkiem radykalnym, doradzał ucieczkę króla i jego przyjaciół z Paryża. Ludwik XIII odrzucił tę radę. Déageant zaproponował dwa warianty działania: zamordować Conciniego albo aresztować go i zrobić mu proces przed paryskim parlamentem. Król nie chciał rozlewu krwi, opowiedział się

za aresztowaniem i sądem. Kamaryla zaczęła mu tłumaczyć; że nie wolno ryzykować niepowodzenia operacji. Jeśli Concini, któremu zawsze towarzyszyła silna eskorta, zacznie się bronić przed aresztowaniem - wypadnie go zabić. Ludwik zgodził się milcząco i niechętnie. Zastrzegł się jednak - jak pisze Pontchartrain - że nie życzy sobie, „aby rzucono się na Conciniego, w celu aresztowania go lub zabicia, w jego obecności ani też w jego sypialni, bawialni bądź gabinecie”. Konspiratorzy wezwali do króla dowódcę jego straży przybocznej, barona de Vitry. Otrzymał on rozkaz aresztowania Conciniego, przyjął go bez pytań czy wahań i zaczął robić przygotowania. Później jednak zgłosił się znów do króla; chciał znać dokładnie jego intencje. Zadał ważne pytanie: „Jednakże, Sire, jeśli tamten będzie się bronił, to co Wasza Królewska Mość życzy sobie, abym zrobił?” Król milczał, za to Déageant odrzekł krótko: „Król zgadza się, aby go zabito”. Ludwik ciągle milczał. Vitry uznał, że jest to milczenie potwierdzające odpowiedź Déageanta. „Najjaśniejszy Panie - rzekł - wykonam Twoje rozkazy”. W tym momencie los Conciniego został przesądzony, było bowiem jasne, że zechce się bronić przed aresztowaniem.

Świadków zdumiewała nie tylko zuchwałość decyzji Ludwika XIII, który miał opinię nieśmiałego i bezwolnego. Podziwiano też dyskrecję królewskiej konspiracji. Pontchartrain oceniał zachowanie sekretu jako „rzecz godną podziwu i wręcz nadnaturalną”. Richelieu napisze później, że tłumaczy się to niską pozycją społeczną spiskowców: wielcy panowie z pewnością nie zachowaliby spisku w tajemnicy! Fontenay-Mareuil podważa jednak tę tezę o niebywalej dyskrecji wtajemniczonych. Opowiada anegdotę o nieznanym osobniku, który na dwie godziny przed zabiciem Conciniego usiłował ostrzec Marię Medycejską. Damy jej dworu powiedziały mu, że królowa śpi, i poradziły, by wrócił o godzinie jedenastej. Nieznajomy rzekł tylko, że „wtedy będzie już za późno i że jeszcze tego pożałują”. A oto komentarz Fontenaya: „Królowa z pewnością obawiała się, że jeśli nie wyśpi się należycie, będzie wyglądała nieświeżo i wyda się ludziom mniej urodziwa. To zwykła rzecz u kobiet, że wszystkie sprawy poświęcają dla swej urody”.

W ostatnich kilkunastu dniach przed przewrotem pałacowym pan de Luçon dziwnie się wiercił i kręcił. O, nie dlatego, że przeczuwał jakąś śmiałą machinację ze strony króla i jego grupy: przyznał się potem, że nie doceniał koterii Ludwika. Był jednak w bliskich relacjach z królową-matką i Leonorą Concini. Zapewne dostrzegł zaniepokojenie i wahania oku kobiet, zapewne wiedział, że rozważały kwestię wyjazdu „marszałków”. Skłaniałoby to do prób zabezpieczenia własnej przyszłości politycznej, zagrożonej odejściem Conciniego. Mogła też wchodzić w rachubę jeszcze inna motywacja. W kwietniu rysowała się dość wyraźnie perspektywa niemieckiej interwencji we francuską wojnę domową, która bardzo skomplikowałaby sytuację rządu. Z tego punktu widzenia wyjazd Conciniego byłby bardzo pożądany: jego osoba stanowiła główny pretekst rewolty książąt, należałoby zatem odebrać im ów pretekst.

Faktem bezspornym jest, że ministrowie Luçon i Barbin dwa razy zgłaszali Marii Medycejskiej chęć odejścia z rządu. Później Richelieu

wytłumaczy to atakami zgryźliwości Conciniego i jego intrygami, by osiąść nieufność do ministrów w umyśle królowej. Ale Richelieu stanie się potem specjalistą od składania dymisji: używał tego jako środka nacisku na króla Ludwika XIII, by go skłonić do pożądanych decyzji. Był zawsze pewny, że jest dla króla ministrem niezastąpionym. Być może wiosną 1617 roku uważał swą pozycję przy królowej-matce za tak mocną, a wpływy Conciniego za tak nadwerżone, że chciał skłonić Marię groźbą swej dymisji do dokonania wyboru między Włochem i nim, w przeświadczeniu, iż wybierze jego.

Być może liczył się też z czasową przerwą w politycznej karierze. Nuncjuszowi Bentivoglio opowiadał, że jest polityką zmęczony, że chętnie by zamienił portfel ministra na kapelusze kardynalski i arcybiskupstwo Reims. Zauważmy nawiasem, że z takimi godnościami kościelnymi miałyby prawo do honorowego pierwszeństwa w królewskiej Radzie, gdyby w niej pozostał bez ministerialnej teki.

Nawiązał też kontakty z Luynesem. Posłał do niego męża swej siostry Franciszki, pana de Pont-Courlay. Kazał powiedzieć królewskiemu faworytowi, że gdyby król zechciał go uważać za swojego ministra, otrzymywałby od niego dokładne informacje o tym, co się dzieje w rządzie. Urzędnikowi Déageantowi łatwiej wybaczyć sypanie tajemnic ministerialnych; podobna oferta ze strony ministra i biskupa budzi tak zwane mieszane uczucia: była nielojalnością wobec własnego politycznego klanu; złożona wszakże została królowi, de iure zwierzchnikowi rządu. Wszystkie te uczone manewry pana de Luçon nie przyniosły wprawdzie pożądanego rezultatu, ale też nie okazały się zupełnie bezużyteczne.

W poniedziałek, 24 kwietnia 1617 roku Concini udał się do Luwru około godziny dziesiątej rano. Szedł właśnie wąskim mostem dla pieszych przerzuconym nad pałacową fosą od strony kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois. Vitry wybrał to miejsce, bo łatwo tu było odseparować Włocha od większej części jego 50-osobowej eskorty. Concini czytał jakiś list, który mu właśnie doręczono. Vitry chwycił go za ramię i zawołał, że go arestuje w imieniu króla. Tu różne świadectwa zaczynają się rozmiącać. Wedle niektórych Concini zawołał głośno: *A me!* (Do mnie!) - co można było uznać za wezwanie pod adresem jego ludzi, apel do oporu. Inni twierdzili, że słysząc słowo „arestuję” zapytał tylko ze zdziwieniem: *Me?* (Mnie?). Vitry wolał nie wdawać się w pertraktacje. Krzyknął podobno: Zabić! Zabić! Z otaczającej go grupy przyjaciół i gwardzistów królewskich padło pięć strzałów; Concini dostał trzy kule, w krtań, oko i czoło. „Spośród ponad trzydziestu szlachciców, którzy mu towarzyszyli - pisze Fontenay - żaden nie chwycił szpady z wyjątkiem pana de Saint-Georges, który później został kapitanem gwardzistów kardynała Richelieu”. Przyznać wypada, że kardynał cenił wasalną lojalność.

Pułkownik d'Ornano zaniósł królowi wiadomość o sukcesie operacji. Ludwik pokazał się spiskowcom i wołał w euforii: „Wielkie dzięki, wielkie dzięki wszystkim! Od tej chwili jestem królem!”. Kazał posłać po „brodaczy”. Już wcześniej uzgodnił z Luynesem, Déageantem i Tronsonem decyzje polityczne: kreatury Conciniego będą przepędzone z rządu, dawni ministrowie Henryka IV powrócą na stanowiska rządowe, królowa-matka

zostanie, przynajmniej na jakiś czas, oddalona od dworu. „Brodacze” z wielką satysfakcją przyjęli propozycję powrotu.

Królewski przewrót pałacowy spowodował na dworze normalne w takich sytuacjach reakcje: dworzanie jak słoneczniki zwrócili się ku nowemu źródłu łask, godności i pensji. To prawda, wielu ludziom niełatwo było przełknąć akt politycznego mordu. Pamiętniki Fontenaya dały wyraz takim nastrojom: czemu nie zrobiono Conciniemu procesu? Czemu Ludwik XIII zaczął swe rządy od przelewu krwi? Na ogół jednak przyjmowano do wiadomości wersję oficjalną: marszałek stawiał opór, więc go zabito, „aby rozkazy króla nie pozostały bezsilne”. Sędziowie z paryskiego parlamentu zastanawiali się nad wydaniem oficjalnej deklaracji w tej sprawie. Pierwszy prezydent parlamentu, Mathieu Molé, zapisał w swych pamiętnikach, że przeważało zdanie, iż „król nie jest obowiązany do usprawiedliwiania swojej akcji”, a ponadto osoba zabitego nie była aż tak znaczna, aby deklaracja musiała się ukazać. Nieco później parlament osądzi i skaże na śmierć Leonorę Concini, świetnie się broniącą, za „czarnoksiężskie praktyki”. Inny jeszcze pamiętnikarz, markiz de Montglat, pisał ze zgorzaniem, że wyrok parlamentu został wykonany „ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, sądzono bowiem, że jest to wyrok niegodny tak dostojnego trybunału”.

Reakcje głównych aktorów dramatu na zabicie Conciniego były bardzo zróżnicowane. Królowa-matka zachowała się histerycznie i egoistycznie; obchodził ją tylko jej własny los. Wedle Pontchartraina wołała, że gdyby syn powiadomił ją o swych intencjach wobec osoby Conciniego, „wydałaby go w ręce króla ze związanymi rękami i nogami”! O losie Leonory w ogóle nie chciała rozmawiać („Uprzedzałam ich przecież! Dzisiaj mam dość własnych kłopotów!”). Wysłannikowi króla, który odmówił widzenia się z nią, powiedziała, że nie chce tylko, by ją rozłączano z synem, poza tym zaś na wszystko się godzi.

Leonora Concini zachowała zimną krew. Ulokowała w materacu papiery i biżuterię, położyła się do łóżka i udawała chorą. Aresztowano ją jednak; po krótkim procesie została ścięta, a zwłoki spalono.

Richelieu tak później pisał o zabiciu Conciniego: „Gdy zdarzył się ów wypadek, byłem u rektora Sorbony; wiadomość przyniósł jeden z jego konfratrów przybywający z pałacu. Tym bardziej mnie to zaskoczyło, że nigdy bym nie odgadł, iż ludzie z otoczenia króla znajdują dość siły, by uknuć takie przedsięwzięcie”. Podobno nie przejął się zbytnio; dopiero Barbin zaczął mu tłumaczyć, że wszystko na nich się skrupi. Po naradzie z Barbinem i Mangotem pan de Luçon poszedł do Luwru jako najmniej z nich trzech zagrożony.

Król stał na stole bilardowym w galerii Luwru, by tłumy dworzan lepiej go widziały. Richelieu tak to potem opisał: „Król mnie przywołał i powiedział, że dobrze wie, iż nie należałem do grona złych doradców z kręgu marszałka d’Ancre, iż zawsze króla kochałem (użył takich słów) i przy nadarzających się sposobnościach byłem po jego stronie; biorąc to pod uwagę, zamierza mnie dobrze traktować. Pan de Luynes, który był przy królu, zabrał głos i rzekł monarsze, że dobrze wie, iż kilka razy nagliłem królową, by mi dała dymisję, oraz że przy różnych okazjach spierałem się z

marszałkiem w sprawach bezpośrednio dotyczących Jego Królewskiej Mości”.

Relacja o śmierci Conciniego spisana przez brata Luynesa, Cadeneta, jest nieco inna. Król na widok ministra miał zawołać: „*Eh bien*, Luçon, oto jestem wreszcie wyzwolony od pańskiej tyranii!” „Tyran” próbował replikować, ale Ludwik rzekł niecierpliwie: „Niech pan idzie, niech pan idzie, proszę zabierać się stąd!”. Luçon zdołał uprosić Luynesa, by przypomniał królowi o jego chęci odejścia z rządu i o składanych monarsze ofertach. „Król kazał mu powiedzieć, że co się jego tyczy, może zostać w królewskiej Radzie, jeśli zechce, czy to jako biskup, czy jako radca stanu, ale jego urzędem ministra już zadysponował i oddał go panu de Villeroy, więc powinien zaraz pójść po [ministerialne] papiery. Przyniósł je natychmiast i chciał wejść na posiedzenie Rady; nie ośmielił się wszakże zająć tam miejsca i nie ruszył się od drzwi, przy których rozmawiał z panem Mironem”. Z relacji samego Richelieu wynika również, że poprzestał na takim symbolicznym akcie obecności, na odległość, podczas posiedzenia Rady. Było to więc tylko zadośćuczynienie miłości własnej, bez dalszego ciągu. Jego poprzednik, a teraz i następca, Villeroy, nie ujawnił doń ani cienia sympatii.

Gorszy los czekał Klaudiusza Barbin. Został aresztowany i osadzony w Bastylii. Gdy Maria Medycejska poprosiła króla, by go uwolnił, Ludwik - jak pisze Bassompierre - odwrócił się do niej plecami i nie pozwolił Luynesowi wysłuchiwać prośb królowej-matki. W 1618 roku Barbin otrzymał wyrok wygnania i osiedlił się we Franche-Comté, a więc na terytorium hiszpańskim. Richelieu nigdy się nie zgodził na jego powrót: uważał Barbina za „człowieka odważnego i czystych rąk”, ale węszył w nim rywala. W ten sposób Francja straciła wybitnego polityka. Poważny i ostrożny Robert Arnauld d'Andilly tak pisał o Barbinie w swych pamiętnikach: „Był bardziej niż ktokolwiek utalentowany do polityki; nie miał wielkiej wiedzy, ale był człowiekiem niezwykle rozsądnym i rozumnym, o bardzo czystych rękach, pozbawionym wszelkich uprzedzeń”.

Ekipa Conciniego rozpierzchnęła się natychmiast po przewrocie z 24 kwietnia. Paryżanie entuzjastycznie przyjęli zamordowanie faworyta, oklaskiwano króla, złorzeczono włoskim „przybłędom”. Ciało zamordowanego marszałka tłum wydarł z prowizorycznego grobu pod organami w kościele Saint-Germain-l'Auxerrois; włóczono je po ulicach i powieszono za nogi na Pont-Neuf. Tam zwłoki zostały rozdarte na strzępy. Richelieu opisywał potem, że jechał właśnie tamtędy do nuncjusza. Uznał, że motłoch może zagrozić jego bezpieczeństwu (także później fizyczny kontakt z rozgorączkowanym tłumem budził w nim dreszcz przerażenia). Miał, na szczęście, szybki refleks. Wychylił się z karocy, wezwał tłum, by krzyczał: „Niech żyje król!” - i krzyczał razem z ludem. Oczywiście żadna krzywda mu się nie stała.

Nie był w niełasce, ale nie miał żadnych szans na dalszy ciąg rządowej kariery; zapamiętał ironiczne i wrogie spojrzenia „brodaczy”, gdy zajrzał do sali posiedzeń Rady. Postanowił wystąpić w roli pośrednika między królem a jego matką. Luynes mu w tym pomógł.

Maria Medycejska od wieczora 24 kwietnia znajdowała się de facto w domowym areszcie, strzeżona przez szkockich gwardzistów króla. Ludwik ciągle odmawiał widzenia się z nią. Wiedziała już, że będzie musiała opuścić dwór i Paryż. Pan de Luçon, pośrednik w rozmowach na temat jej wyjazdu, zdołał złagodzić niektóre królewskie warunki. Ludwik XIII zgodził się też, aby pan de Luçon pojechał z królową-matką do miejsca jej zesłania, zamku w Blois, i objął tam funkcję szefa jej Rady.

Jedną z próśb Marii, na które król przystał, było spotkanie obojga w dniu jej wyjazdu, 3 maja 1617 roku. Król był chłodny i uroczysty, ona rozgadana i spłakana. Podobno starała się usprawiedliwić i dać synowi porękę przyszłej lojalności. To wówczas właśnie usiłowała wstawić się za Barbinem - i zobaczyła królewskie plecy.

Karawana pojazdów królowej-matki i jej świty przypominała, jak stwierdzał Richelieu, „kondukt niemal pogrzebowy”. Król stał na balkonie Luwru i - jak raportowali dyplomaci weneccy - spoglądał na oddalający się konwój *con gusto particolare*, ze szczególną przyjemnością. Skończyły się czasy matriarchatu, był wreszcie prawdziwym królem Francji i Nawarry.





III.

MARSZ PRZEZ PUSTYNIĘ



ZWYCIĘZCY I ZWYCIĘŻENI

Nowa ekipa rządowa uformowała się szybko. Szefem Rady królewskiej został 73-letni kanclerz Nicolas Brûlart de Sillery. Seniozem rządu był minister finansów Pierre Jeannin, 77-letni. Następcą Luçona, Villeroy, miał lat 75. Nie cieszył się długo powrotem do władzy, zmarł w listopadzie 1617 roku. Sprawy zagraniczne wzięł wówczas syn kanclerza, Pierre Brûlart de Puisieux; wśród tych starców był młokosem, miał 34 lata. Także Luynes nie ukończył jeszcze lat czterdziestu. Do generacji trzydziestoparoletnich należał i pan de Vitry, za swe zasługi - zrzeczne zorganizowanie zabójstwa Conciniego - mianowany marszałkiem. Dworzanie nie mieli z początku pewności, który z dwóch, Luynes czy Vitry, będzie ulubieńcem króla. Jednakże Vitry, jeśli nie żołdak, to coś bardzo do żołdaka podobnego, nie miał eleganckich manier i ujmującej delikatności Luynesa. Na stanowisku gubernatora Prowansji zasłynie później tak niebywałymi zdzierstwami, że powędruje do Bastylii. Natomiast Luynes otrzyma skonfiskowane majątki Conciniego, zostanie diukiem i parem, a nawet osiągnie w 1621 roku to, czego nie dostał Concini: nominację na szefa armii, konetabla Francji. Na dworze i wśród szlachty zgrzytano zębami, bo tak samo jak Concini pan de Luynes nigdy nie był żołnierzem, zaś odwaga nie należała do zdobiących go cnót. Mimo dość ostrej opozycji, jaką budził faworyt Ludwika XIII, zachował on do śmierci wielki wpływ na monarchę, a zatem i na polityczne decyzje. Król miewał czasem napady złego humoru i wypowiadał się uszczypliwie na temat „króla Luynesa” to samo później będzie zmorą kardynała Richelieu. Opinie niektórych badaczy, że Luynes zmarł (1621) niemal w niełasce, są jednak grubo przesadzone.

Pontchartrain, zadowolony z powrotu starych ministrów, pisał triumfująco: „Ujrzymy teraz królestwo rządzone zupełnie inaczej: inne będą osoby, inne obyczaje, inne okoliczności, a i wszystkie poprzednie zasady ulegną zmianie”. Z pewnością od kwietnia 1617 roku było inaczej, ale czy lepiej? Gdyby wierzyć kardynałowi Richelieu, okres „króla Luynesa” stał się czasem upadku, zaś faworyt zasługuje tylko na miano kompletnej miernoty. Jednakże Richelieu we własnym interesie pomniejszał tendencyjnie swych poprzedników: dopiero na tle małych Arabów można przecież ocenić wielkość piramidy.

To prawda, że doświadczenie Luynesa w polityce było żadne, zwłaszcza zaś rozeznanie w zawitych stosunkach międzynarodowych. Dlatego raporty obcych dyplomatów są mu nieprzychylnie. Twierdzono, że cechują go mała

lotność umysłu i wielka ignorancja. Na wiarę tych świadectw, ale zwłaszcza krytycznych opinii Richelieugo historycy skłonni byli traktować Luynesa jak zręcznego lokaja, który zrobił karierę ponad stan: ot, taki Figaro, który owładnął swoim hrabim Almawią. Jest to spore uproszczenie.

Przede wszystkim Ludwik XIII nie był butnym a głupawym Almawią. Chłodny, powściągliwy, małomówny (nie chciał, by śmiano się z jego jankania), skłonny do skrytości, obłudy i egoizmu, z wyraźną nutą okrucieństwa - król miał sporo zdrowego rozsądku, silną wolę, wielkie poczucie królewskiej godności. Nie miał politycznych talentów, lecz potrafił dostrzec i docenić talenty innych. Wszyscy świadkowie zgodnym chórem stwierdzają, że już na początku swych faktycznych rządów Ludwik XIII ujawniał wielką drażliwość w przedmiocie swej władzy i swego autorytetu. Gdyby uznał Luynesa za polityczną miernotę, niechybnie oddzieliłby prywatne sentymenty do faworyta od spraw polityki: tak właśnie robił później, młodzi ludzie, w których się podkochiwał, na rządy nie mieli wpływu.

Pan de Luynes nie był wszelako miłym głupcem czy zachłannym karierowiczem bez żadnych talentów. Owszem, miał swoje słabości: brak mu było wiedzy i politycznego doświadczenia, grzeszył próżnością; łasy na pochwały, zanadto chciał się podobać. Ale polityk traktował serio, umiał cenić dobrą informację, był zręczny, świetnie się czuł w wirze politycznych intryg. Nie zbywało mu na odwadze i źle znosił porażki, co miało tę dobrą stronę, że był bardzo rozważny.

Jego zasadnicze opcje polityczne z punktu widzenia interesów monarchii francuskiej uznać wypadnie za trafne. Nie dopuścił do władzy ambitnych książąt i wielmożów, chociaż zależało mu na dobrych stosunkach z arystokracją. Król chciał ożenić Luynesa ze swą przyrodnią siostrą, panną de Vendôme, ale nie zdołał jej namówić. Faworyt wzenił się zatem w potężny klan Rohanów. Jego żona, Maria de Rohan-Montbazon, osoba wielkiej urody i jeszcze większego temperamentu, to przyszła diuszesa de Chevreuse, znana wszystkim czytelnikom Aleksandra Dumasa, utrapienie króla i kardynała Richelieu. Ludwik XIII przyjął z satysfakcją politykę Luynesa odsuwającą od decyzji politycznych aroganckich wielmożów i ograniczającą ich pensje. W tej wrogości do wichrzycielskich książąt zabójcy Concinię byli, rzec można, egzekutorami jego testamentu.

Znakomici historycy francuscy (Hanotaux, Tapié) mieli do Luynesa pretensję o pasywność w wielkiej polityce międzynarodowej. Sądzi, że w pierwszej fazie wojny trzydziestoletniej energiczne wkroczenie Francji mogłoby zdusić konflikt, zmienić bieg wydarzeń, uczynić z Ludwika XIII arbitra Europy. Ale Luynes, manipulowany przez klerykałów („dewotów”), wdał się w niepotrzebne i jałowe wojny domowe z hugenotami, które nie przyniosły konkretnych rezultatów.

Jednakże nie wydaje się słuszne ani rozwodzenie się nad tym, co król i Luynes powinni byli zrobić, ani lekceważenie tego, co naprawdę zrobili. Wyobrażenie, że wystąpienie Francji przeciw Habsburgom zaraz po roku 1618 zdusiłoby w zarodku wojnę europejską, wydaje się zbyt optymistyczne: nie uwzględnia zaciekłości konfliktów, zasobów

habsburskich, realnych możliwości rządu francuskiego. Co się zaś tyczy „niepotrzebnej i jałowej” wojny z hugenotami, to bez kampanii z lat 1620-22 i osiągniętych wówczas sukcesów monarchii - wynoszone pod niebiosa zwycięstwo Richelieugo pod Roszelą, kilka lat później, nie byłoby możliwe. W politycznych priorytetach (najpierw umocnić monarchię wewnątrz kraju, potem aktywizować politykę europejską) Richelieu szedł tropem tak pogardliwie ocenianego Luynesa.

Niedoświadczenie i brak wiedzy faworyta rekompensowały mądrość i olbrzymia eksperyencja starych ministrów Henryka IV. Król i Luynes wiedzieli, że nie pozwolą oni na zrobienie jaskrawego głupstwa. Z drugiej strony ci starcy bliscy mogli (Jeannin umrze w 1622, Sillery w 1624 roku) nie mogli już być ośrodkiem rządowej energii i politycznej inicjatywy. Król potrzebował więc Luynesa i jego przyjaciół, uczestników dawnej konspiracji przeciw Conciniemu.

Trzeba bowiem i to uwzględnić w ocenie: Luynes nie był politycznym talentem wielkiego formatu, ale miał przy sobie grupę ludzi zdolnych i energicznych. Inteligentny był jego kuzyn de Modéne; obu jego braciom, Cadenetowi i Brantesowi, można było powierzyć ważne misje (Cadenet zostanie marszałkiem i diukiem de Chaulnes). Tronson, świetny prawnik, cieszył się pełnym zaufaniem króla. Wszystkich przewyższał talentem Déageant. Robert Arnauld d'Andilly notuje w swych pamiętnikach: „Déageant... był nie tylko ministrem, choć bez tego tytułu, ale i tym, który spośród wszystkich [członków rządu] działał najwięcej. Był w tak wielkich faworach, że ambasadorzy nie kontentowali się negocjacjami z nim samym, ale składali wizyty jego żonie”. Pontchartrain pisze: „Wszystkie wielkie sprawy Francji przechodziły przez jego ręce i niemal zawsze były rozstrzygane wedle jego opinii”. Krytyczny ambasador Wenecji Contarini przypisuje Déageantowi „ogromną i nadzwyczaj przenikliwą inteligencję”. W niezbyt jasnych okolicznościach poróżnił się on z Luynesem i odszedł z ekipy rządowej w drugiej połowie 1619 roku. Ponieważ nie rozdymała go ambicja, zadowolił się prestiżowym i dochodowym urzędem w swym rodzinnym Delfinacie. Prawdopodobnie Luynes obawiał się, że Déageant fruwa już zbyt wysoko i może zaszkodzić jego pozycji przy królu. Marszałkowi de Bassompierre Luynes powiedział podobno o swych stosunkach z monarchą, że „czuje , się jak ktoś, kto się boi zostać rogaczem i nie lubi, gdy jakiś godny człowiek kręci się koło jego żony”. Kardynał Richelieu był zbyt wytworny, aby się wypowiadać z taką cyniczną rubaszością, ale zupełnie podobnie niepokoił się później o swe miejsce przy Jego Królewskiej Mości. To wspólny los faworytów.

Na razie jednak pan de Luçon był jedynie faworytem zwyciężonej królowej-matki. Jeśli Luynes, polityk przeciętny, otoczony był gronem inteligentnych współpracowników, to świetny wieloma talentami Luçon szefował w Blois Radzie złożonej z zupełnych miernot. W owej Radzie Marii Medyceuszki znaleźli się panowie de Bressieux i de Villesavin oraz grupa intrygujących Włochów z biskupem Béziers Bonzim.

Rola pana de Luçon na zamku w Blois była dwuznaczna i mało chwalebna. Dbał o zachowanie zaufania królowej-matki, ale wyraźnie postawił na nową koterię rządzącą w Paryżu. Od 8 maja słał regularnie do

Luynesa szyfrowane listy z płaskimi podziękowaniami za zaufanie. Zapewniał, że swą misję przy królowej-matce wykona „ku zadowoleniu Jego Królewskiej Mości”, opisywał zachowanie i zamiary Medyceuszki, przyrzekał zapobiegać intrygom i ujawniać te, których by nie zdołał sparaliżować. Korespondował również z Déageantem. Na dworze przypisywano mu - i chyba słusznie szkaradną rolę szpiega przy osobie królowej-matki; Paryż podejrzewał go także o jakieś intrygi polityczne z dworem w Madrycie. Dowiedział się o tym i zaciekle się bronił przed atakami i podejrzeniami; w jednym z listów do Déageanta dawał jednak do zrozumienia, iż skłonny jest żałować, że „wsiadł na ten statek, na którym się znajduje”. Żalił się na intrygi, które uprawiali Włosi z otoczenia królowej, Tantucci, a zwłaszcza ksiądz Ruccelai. W początku czerwca dostał list od Luynesa, wyjątkowo cierpki, z zawołowanymi groźbami. 10 czerwca skarżył się w liście do Déageanta, że nikt go nie rozumie i nie ocenia słusznie. Także Maria Medycejska robiła mu jakieś wyrzuty. W nocy z 11 na 12 czerwca 1617 roku wyjechał po kryjomu z Blois i ulokował się w „pustelni” Coussay. Bezpośrednią przyczyną tej rejterady stała się wiadomość, którą otrzymał od brata, markiza Henryka de Richelieu. Henryk ciągle bawił na dworze; po którymś posiedzeniu Rady królewskiej otrzymał wiadomość, że zadecydowano wygnąć jego brata z Blois do Luçon: bez wątpienia była to zaplanowana niedyskrecja. Pan de Luçon wołał uprzedzić królewski rozkaz. Później zresztą zapewniano markiza de Richelieu, iż był to tylko fałszywy alarm...

W listach do Luynesa i króla pan de Luçon twierdził, że prosił Marię Medycejską o urlop na wyjazd do diecezji. Jak się wydaje, kłamał. Królowa nie wiedziała o jego wyjeździe; była przekonana, że to król pozbawił ją szefa Rady i najzdolniejszego doradcy. Rozpętała prawdziwą burzę korespondencyjną: Luynesowi wręcz napisała, że „wygnanie biskupa Luçon świadczy, iż nie traktuje się mnie jak matki, lecz uważa za niewolnicę... Chce się więc zmusić mnie do opuszczenia królestwa!” W listach jej do Luçona wyrzuty mieszały się z wyrazami afektu i wezwaniami, by jej nie porzucał.

Cała ta burza w szklance wody wynikła z obaw rządu - niebezzasadnych - że mimo oddalenia jej z dworu królowa-matka jest niebezpieczna. Hiszpania i papież, władca Toskany, we Francji prohiszpańska i „ultramontańska” część arystokracji oraz kleru wszyscy oni wielkim głosem wołali o przywrócenie Medyceuszce chociaż części władzy, o pozwolenie jej na powrót do Paryża i zapewnienie miejsca w królewskiej Radzie. Rząd uznał, że mały dwór w Blois jest gniazdem intryg „hiszpańskich” i „papistowskich”. Pełno tu było Włochów, także byłych klientów Conciniego (należał do nich np. wspomniany Ruccelai, który po wyjeździe Luçona zajął jego miejsce głównego doradcy królowej). Owych włoskich awanturników Luynes pewnie się nie obawiał tak bardzo, może nawet rad był widzieć, jak Medyceuszka kompromituje się ich towarzystwem. Natomiast Luçona z pewnością doceniał. Po wyjeździe z Blois Luçon pisał do królewskiego faworyta: „Jeśli ktoś sądzi, że Pan Bóg dał mi trochę zdolności (*quelque esprit*), które zresztą nie są tak wielkie, to nie należy przecież poczytywać mi tego za zbrodnię”. Również nuncjusz

Bentivoglio raportował z Paryża, że nie lubi się tu pana de Luçon, bo przypisuje mu się *troppo spirito*, zbyt dużo *esprit*.

Jeśli pan de Luçon pragnął ucieczką z Blois wkupić się w łaski koterii Luynesa i Déageanta, to mylił się bardzo. Luynes w lot chwycił sposobność: podsunął królowi list do biskupa Luçon. Monarcha wyrażał zadowolenie, że adresat postanowił zatroszczyć się o swą diecezję, a zarazem przykazywał, by Luçon nie opuszczał granic diecezji bez wyraźnego polecenia. Ten list z połowy czerwca oznaczał w istocie niełaskę i wygnanie. Odpowiedź była pokorna: biskup zapewniał króla o swej wierności, okazywanej tak samo dawniej, jak i teraz; informował, że odda się pracom teologicznym i pasterskim. Jego listy z lata 1617 roku, nieliczne zresztą, zupełnie są pozbawione aluzji do spraw politycznych. Dawał do zrozumienia, że wyzbył się ambicji państwowych: „Żyję w mej diecezji przeplatając przyjemności moich lektur i zajęcia wynikające z mego stanowiska... Nastawiłem się na to, że czas będzie mi upływał powoli wśród moich książek i moich sąsiadów”. Istotnie, zaczął pisać wielki traktat o głównych zasadach wiary katolickiej. Polityka i tu go jednak ścigała. W polemikach z kalwinizmem krytykował hugenocki „republikanizm” jako przejaw protestanckiej pychy. Jakże można twierdzić, że wola ludu jest fundamentem każdego państwa, skoro lud jest tylko „bestią o tysiącu głów”?

Otarł się też o politykę w sposób złowieszczy. W lipcu odbył się proces Leonory Concini. Dowiedział się, że gorliwcy z gallikańskiego Parlamentu mieli ochotę wplątać go w ów proces na podstawie jakiejś jego korespondencji z Leonorą. Byłby to odwet „dobrych Francuzów” na „hiszpańskim” biskupie, słudze „przybłędów”, i rewanż gallikanów na „ultramontanizmie”. Ale koteria rządząca nie chciała jego skalpu, Déageant stanowczo przeciął tę intrygę.

Z Medyceuszką na pewien czas zamroził kontakty. Pisała doń więc filozoficznie, że potrzebna im jest cierpliwość, i ona się w nią uzbraja. Richelieu napisał później o tym okresie, iż jego ambicja „nie była wcale taka, aby nie potrafił ściągać jej cugli”. Przechwalał się chyba trochę: jego postanowienia, by żyć wyłącznie wśród lektur, zajęć biskupich i sąsiadów, nie przetrwały długo. Już we wrześniu 1617 roku zaczął sondować sytuację w Paryżu. Pisał wiernopoddańcze listy do króla i do Luynesa, prosił faworyta o protekcję. Szturmował też Ojca Józefa, który po dłuższym pobycie w Rzymie wrócił do kraju dopiero po śmierci Conciniego. Opisał przyjacielowi swą sytuację; konkludował, że „szuka już tylko spokoju”, rozwodził się nad swą teologiczną walką z heretykami (wiedział, że jest to czuły punkt Ojca Józefa). Ale i w tym liście przemycił prośbę o wstawiennictwo u króla. Kapucyn był jednak zajęty swymi chimerycznymi projektami krucjaty przeciw Turkom: o tym konferował w Rzymie z papieżem, do tego pragnął namówić Ludwika XIII.

Luynes nie był zachwycony korespondencyjnymi naciskami pana de Luçon i staraniami jego protektorów. W końcu października biskup otrzymał rozkaz opuszczenia Coussay i udania się do stolicy diecezji. Skoro jest biskupem, niechże się zajmuje pracą pasterską... Henryk de Richelieu i pan de Pont-Courlay dostali nakaz wyjazdu z Paryża do swoich

dóbr. Nielaska królewska wyraźnie się pogłębiała, ale to jeszcze nie był koniec powolnego zjeżdżania w dół. Luynes zorganizował całą intrygę mającą rozbroić opozycję Marii Medycejskiej, której inspiratorem stał się, w jego przekonaniu, pan de Luçon. Długo spoglądał przez palce na tajną korespondencję królowej-matki z osadzonym w Bastylii Barbinem: chciał zdobyć dowody „medycejskiego spisku”. Nielojalny krewniak Barbina, który pośredniczył w wymianie owych listów, udostępniał je Luynesowi, który z kolei sporządzał ich kopie.

Wiosną 1618 roku pocisk eksplodował i zaczęła się kaskada represji, Luynes pokazał bowiem listy królowi. Barbin stracił w Bastylii względną swobodę ruchów i znalazł się w tak zwanej sekretnej celi. Biskup Luçon, jego brat Henryk i szwagier Pont-Courlay w połowie kwietnia dostali rozkaz opuszczenia terytorium królestwa i udania się do papieskiego Awinionu. Biskup napisał pokorny list do króla z zapewnieniami wierności i prośbą o bezstronne śledztwo w sprawie „spisku”. Ruszył zaraz w drogę, w Wielki Piątek, odwołując pontyfikalną mszę wielkanocną, którą miał celebrować w niedzielę.

Po trzech tygodniach, 12 maja, był już zainstalowany w Awinionie. Wygodnie, w wynajętym pałacyku, w którym zamieszkał z bratem, szwagrem i służbą. Klimat mu jednak nie służył, czuł się bardzo źle: w styczniu 1619 roku sporządził nawet testament. Prosił o pochowanie go w Luçon, swe książki, srebra i arrasy zapisał kościołowi.

Dziesięć miesięcy spędził na tym awiniońskim wygnaniu. Był to najgorszy okres siedmioletniego marszu przez pustynię, *traversée du désert*, jak Francuzi określają okres odsunięcia czynnego polityka od władzy. Pracował dużo: szkicował tekst zatytułowany *Caput apologeticum*, próbę swej obrony (bał się, że będzie wplątany w proces Barbina, szykowany w Paryżu). Zawarł tu dokładny opis zasług rodziny du Plessisów oraz jego własnych: zawsze był człowiekiem zacnym, *homme de bien*, wiernym sługą Henryka IV, dobrym biskupem, cenionym na dworze papieskim i na Sorbonie. Usprawiedliwiał się ze swych stosunków z Concinim (inni, jak Villeroy czy du Vair, też korzystali z jego łask), tłumaczył, że służba dla Marii Medycejskiej była obowiązkiem wobec monarchii, bo to ona reprezentowała wolę króla. Bronił się też przed zarzutem „hiszpańskości”: w końcu to Villeroy był architektem sojuszu z Madrytem, on go jedynie podtrzymał.

Wypełniał czas wygnania intensywnymi lekturami. Kontynuował swe polemiki z protestancką „herezją”: tak jak gdyby przeczuwał, że jego przyszła polityka narazi go na zarzuty sympatii dla protestantyzmu i jak gdyby z góry się przed tymi oskarżeniami asekurował. Korzystał wciąż z życzliwości papieskiej. Paweł V interweniował w jego obronie u ambasadora Francji w Rzymie, de Marquemonta: bez skutku. Być może papież nie byłby takim orędownikiem sprawy biskupa Luçon, gdyby wiedział, że jego protegowany intensywnie się zastanawiał nad sytuacją polityczną Europy i umacniał w niechęci do obrońców katolickiej ortodoksji, hiszpańskich Habsburgów.

W październiku 1618 roku żona Henryka de Richelieu zmarła podczas połogu. Wdowiec i pan de Pont-Courlay dostali od Ludwika XIII

pozwolenie na powrót do Francji, ale podobna prośba biskupa Luçon została przez króla odrzucona. Nękany chroniczną febrą, rozbity psychicznie biskup rozważał już na serio projekt schronienia się w klasztorze, gdy 7 marca 1619 roku do Awinionu przybył rodzony brat Ojca Józefa, kawaler du Tremblay. Panu de Luçon natychmiast wróciła chęć do życia i fizyczne siły: posłaniec przywoził rozkaz króla zupełnie nieoczekiwany i zadziwiający. Pan de Luçon miał bez zwłoki udać się do Angoulême i tam służyć radą królowej-matce. Nie zważając na mróz i śniegi, 8 marca ruszył w męczącą, prawie trzytygodniową podróż do Angoulême. Tajemnica tej odmiany losu była prosta. Wygnano go do Awinionu, bo uważano, że jest mózgiem intryg Marii Medycejskiej. Wszelako właśnie pod jego nieobecność intrygi te rozkwitły i wpakowały rząd w bardzo kłopotliwe położenie.



DWIE „WOJNY MATKI Z SYNEM”

Główny doradca Marii Medycejskiej, Rucelai, namówił ją bez trudu na plan zerwania z królem i stworzenia silnej partii zmierzającej do obalenia Luynesa. Królowa-matka miała dość powodów niechęci do syna i do jego faworyta. Nie spytano jej o radę i zgodę układając małżeństwo jej córki Krystiany z piemonckim następcą tronu; ambasadora Toskany przepędzono z Paryża za kontakty z dworem w Blois; proces Barbina był bardzo dla niej przykry. Oczywiście Rucelai liczył na niechęć książąt do karierowicza Luynesa: bez nich nic nie dałoby się zdziałać. Diuk de Bouillon odmówił przyjęcia roli szefa partii opozycyjnej, natomiast zgodził się ją przyjąć diuk d’Epernon.

Dawny *mignon* Henryka Walezego, obecnie już 65-letni, konserwatywny, ambitny i energiczny, cieszył się wielkim wpływem wśród arystokracji i w wojsku. Był gubernatorem ważnego strategicznie Metz i dwu prowincji południowo-zachodnich, Angoumois i Saintonge. Dysponował liczną klientelą, a dwaj jego synowie, noszący nazwisko de La Valette, mieli niemałe talenty dowódcze (jeden z nich, duchowny, był arcybiskupem Tuluzy: później stanie się wiernym pomocnikiem kardynała Richelieu). Pan d’Epernon, za regencji przychylny królowej Marii, żywił szczerą pogardę i nienawiść do parweniusza Luynesa. Rokowania z wysłannikiem Rucelaiego toczyły się w Metz; d’Epernon zgodził się „uwolnić z więzienia” Marię Medycejską i przywrócić jej należne miejsce na dworze, to znaczy współdziałał we władzy.

Sprawa nie była prosta, bo Luynes zacieśnił w 1618 roku kontrolę dworu w Blois. Silny oddział kawalerii z lojalnym panem de Roissy zaczął pilnować zamku, zamurowano nawet kilka wejść, poruszenia Marii i jej ludzi były uważnie śledzone. Ludwik XIII, który miał adwokacką słabość do kruczków prawnych, polecił Marii Medycejskiej złożyć podpis na osobliwym cyrografie lojalności. Później wiele razy będzie się odwoływał do tego środka w stosunkach z żoną, bratem, faworytami: nie zrażał się jakoś jego oczywistą nieskutecznością. Medyceuszka podpisała ów

cyrograf bez najmniejszych skrupułów w początku listopada 1618 roku, dwa miesiące po zawarciu układu z Epernonem.

Ucieczka królowej-matki z zamku w Blois została przygotowana przez sekretarza diuka d'Epernon Duplessisa i jego sługę Cadillaka; była to historia jak z powieści Dumasa-ojca. W nocy z 21 na 22 lutego 1619 roku prawie 50-letnia, gruba Medyceuszka wyszła przez okno znajdujące się 120 stóp nad ziemią. Po drabince sznurowej zeszła na taras, asekurowana przez szlachcica z jej dworu hrabiego de Brenne; po tym pierwszym etapie odmówiła dalszego schodzenia po drabince skarżąc się na zawrót głowy. Zawinięto ją więc w płaszcz, związano płaszcz sznurem i spuszczone na dół jak pakunek. Na dole Duplessis i Brenne wzięli ją pod ramiona i przeprowadzili do karety. Spotkali po drodze kilku żołnierzy, którzy uznali, że to dwóch galantów odprowadza damę lekkich obyczajów. Na ich przesmiechy zareagowała również śmiechem: „Biorą mnie za damulkę (*une bonne dame*)” - powiedziała. Sześćdziesiąt kilometrów od Blois, w Loches, czekał na nią d'Epernon. Pojechali do Angoulême, stolicy jednego z gubernatorstw d'Epernona.

Ludwik XIII był wściekły. 25 lutego zdecydował, że ruszy z wojskiem przeciw Epernonowi. Luynes, zwolennik układów, hamował gniew króla. Ostatecznie przyjęto wersję o „uprowadzeniu” królowej-matki przez Epernona i o monarszej woli „przywrócenia jej wolności”. Nie przerywając solidnych przygotowań wojskowych - istniała przecież groźba skupienia się przy diuku d'Epernon nowej koalicji książąt - postanowiono rokować. Do Angoulême pojechali delegaci rządu, życzliwi Marii, markiz de Béthune i ksiądz Bérulle. A ponadto uznano, że królowa-matka potrzebuje mądrego i rozważnego doradcy. Ojciec Józef i ksiądz Bouthillier przekonali króla, że może nim być tylko Luçon. Wybór był trafny. Już z drogi dawny szef Rady królowej słał do niej emisariusza z zaleceniami szukania trwałej ugody z królem.

Rozwój wydarzeń sprzyjał takiej orientacji. W Angoulême diuk d'Epernon i Rucelai skłócili się natychmiast. Rada królowej-matki była rozdarta sporami „jastrzębi” i „gołębi”. Oczekiwania na skupienie się przy Marii potężnej koalicji książęcej nie bardzo chciały się sprawdzać. Liczni i silni na południu kraju hugenoci dystansowali się zdecydowanie od rebelii przeciw królowi. Nawet dwór w Madrycie nie kwapił się z pomocą dla Medyceuszki. Na wiadomość o militarnych przygotowaniach rządu Maria straciła kontenans.

Jednakże pozycja króla oraz Luynesa też nie była wygodna. Stary kanclerz Sillery, szef królewskiej Rady, a także jej duchowni członkowie, kardynałowie Retz i La Rochefoucauld, opowiadali się przeciw działaniom wojennym. Nuncjusz i ambasador Hiszpanii bardzo popierali politykę negocjacji. Wielmoże, z książętami na czele, nie znosili Luynesa i jego koterii; ich lojalność była bardzo krucha. Działania wojenne króla przeciw własnej matce nie budziły zachwytu szerokiej społecznej opinii: inteligentny dyplomata wenecki Contarini stwierdzał przenikliwie, że „największym atutem królowej jest jej status matki”. No, miała ona jeszcze inny atut: wypuściła przeciw Paryżowi całą sforę zjadliwych pamflecistów. Prowadzona z Angoulême wojna propagandowa groziła podważeniem

autorytetu władzy królewskiej.

Pan de Luçon przybył do Angoulême 27 marca. Powitanie z królową-matką było pełne emocji, ale bez nadmiaru wylewności. Ksiądz biskup udawał powściągliwego, dał się prosić, nim wyraził zgodę na udział w Radzie królowej. Od początku stanowczo doradzał kompromis, tłumaczył, że partia królowej nie ma dostatecznej siły, aby podjąć walkę z rządem. Do Angoulême dochodziły wiadomości o poruszeniach wojsk królewskich; większość Rady zgodziła się więc na kompromis, Rucelai uznał swą klęskę i wycofał się z gry.

Gdy do delegatów rządowych dołączył pacyfista kardynał de La Rochefoucauld, dogadano się szybko. Traktat pokojowy w Angoulême, podpisany 11 czerwca 1619 roku, zakończył pierwszą „wojnę matki z synem”, zanim się jeszcze na serio zaczęła. Maria Medycejska odzyskała oficjalny status w systemie politycznym monarchii. Otrzymała gubernatorstwo Angers: był to ważny strategicznie obszar, z twierdzami w Angers, Chinon i Ponts-de-Cé. Król zaoferował matce powrót na dwór, co nie wzbudziło zachwyty Luynesa; w trakcie negocjacji zaczęto też mówić o kapeluszu kardynalskim dla pana de Luçon.

Maria Medycejska wybrała na swą rezydencję Angers. Jeden z braci du Plessis de Richelieu, biskup, został jej kanclerzem; drugi, markiz Henryk - szefem wojskowym gubernatorstwa. Nie zabrakło oczywiście zawistnych; na tym tle Henryk de Richelieu miał 8 lipca, u stóp cytadeli w Angers, pojedynek z panem de Thémines, synem marszałka, i otrzymał sztych w samo serce. Dla pana de Luçon był to ogromny cios: lubił brata i dobrze z nim współpracował. Napisał później, że „gotów już był wszystko porzucić”, lecz powstrzymało go jedynie „poczucie obowiązku”. Du Plessisowie tracili szefa domu i dziedzica nazwiska; ponieważ średni brat, Alphonse-Louis, poszedł do klasztoru, Armandowi przypadła pozycja głowy rodu. Jeszcze przez parę lat był biskupem Luçon, wszelako już od śmierci markiza Henryka de Richelieu można go nazywać panem de Richelieu. Zgon brata uwikłał go w bardzo skomplikowane sprawy spadkowe, długo je likwidował i spłacał długi zmarłego. Stracił też świetnego współpracownika. „Gdy już rządził całą Francją - pisze Fontenay-Mareuil - nie miał do pomocy żadnego najbliższego krewnego; a właśnie brat mógłby go wtedy wspierać, bo bardzo się do tego nadawał. Musiał więc najczęściej odwoływać się do współpracy ludzi obcych, często nie bardzo pewnych”.

Szefem militarnym gubernatorstwa Angers został jego wuj, Amador La Porte, kawaler maltański, uczciwy i energiczny. Inne stanowiska przy królowej-matce Richelieu obsadził również zręcznie, uzgadniając to z Luynesem i królem. W zamian za lojalność chciał dostać swój kardynalski kapelusz: obyczajem epoki były takie, że papież nie bardzo mógł odmówić stanowczemu wnioskowi króla Francji o nadanie purpury. Richelieu udał się do Tours, gdzie przebywał dwór królewski, aby uzgodnić spotkanie króla z królową-matką. W sprawie kapelusza nerwy mu puściły: zdradzał zbyt dużą niecierpliwość awansowania, skłonność do ustępstw - więc zręczny Luynes tym bardziej się droczył. Załamało to finezyjną grę Richelieugo o umocnienie pozycji Marii Medycejskiej i osłabienie Luynesa; faworyt króla

bardzo się teraz usztywnił.

Spotkanie króla z matką odbyło się 5 września 1619 roku w zamku Couzières niedaleko Tours; atmosferę skrepowania obie strony pokrywały chińską uprzejmością. Król był jak zwykle małowówny, Maria źle znosiła potworny upał i wyraźną pychę Anny Austriaczki, która bardzo starannie egzekwowała swe prawo do pierwszego kroku i manifestowała swą habsburską wyższość nad florencką „bankierzycą”. Żona Ludwika XIII nie była już skromnym dziewczęciem wytresowanym w hiszpańskiej etykiecie, a jej związek z królem przestał być białym małżeństwem. Konsumpcja małżeństwa bardzo długo nie następowała mimo ciągłych szturmów na króla ze strony jego spowiednika, nuncjusza papieskiego i ambasadora Hiszpanii. Dopiero 25 stycznia 1619 roku Luynes zmusił króla do wypełnienia obowiązków stanu. Héroard pisze, że Ludwik opierał się jego żądaniom „mocno i stanowczo, z wysiłkiem, aż do łez”; Contarini zapewnia nawet, że Luynes, który odprowadzał króla do żony, widząc jego niezdecydowanie chwycił go w swoje ramiona, wepchnął do łóżka Anny, wyszedł z sypialni i zamknął drzwi na klucz. Interwencja okazała się skuteczna, Ludwik XIII wracał odtąd do żony, a jego małżeństwo aż do 1622 roku wydawało się zupełnie udane.

W Couzières mówiono o wzajemnej miłości i jedności króla i królowej-matki, jednakże wnet na niebie odzyskanej zgody pojawiają się chmury. Rząd robił Marii różne afronty: pomijano przy nominacjach i nagrodach jej protegowanych, nie konsultowano z nią ważnych decyzji, takich jak mianowanie pana d’Ornano guwernerem jej młodszego syna Gastona (wkroczył on właśnie w dwunasty rok życia). Luynes obawiał się, że Maria zechce jednak wrócić z Angers do Paryża i zająć należne jej miejsce w królewskiej Radzie, skłonił więc króla do uwolnienia ciągle jeszcze więzionego księcia de Condé. Księcia roznosiła nienawiść do Medyceuszki, sprawczyni jego uwięzienia, byłby więc świetną przeciwwagą dla niej, gdyby zasiadła w Radzie. Maria przyjęła wiadomość o jego uwolnieniu dość obojętnie, ale kilka tygodni później, w listopadzie 1619 roku, deklaracja królewska potępiła w ostrych słowach sprawców jego aresztowania. Królowa-matka uznała deklarację za akt nieprzyjazny i gwałtownie zaprotestowała.

Również Richelieu był zawiedziony: dowiedział się, że Luynes postanowił przedstawić do kapelusza kardynalskiego nie jego, lecz arcybiskupa Tuluzy La Valette’a (jego ojcu, diukowi d’Epernon, też się coś należało, by go skłonić na przyszłość do lojalności). Przez jakiś czas zawiedziony biskup Luçon nosił się z zamiarem rzucenia polityki i zajęcia się swą diecezją. Ale to tylko krótki moment słabości. Ostatecznie przełknął swoje rozczarowanie i zachował postawę doradcy umiarkowanego. W otoczeniu Marii Medycejskiej pojawiali się znów zwolennicy zerwania z królem i zbierania sił do rozprawy z Luynesem: przewodził im niejaki Jacques Chanteloube. Richelieu miał dość wpływu na Medyceuszkę, by ją przed taką awanturą powstrzymać, za mało jednak, by ją skłonić do powrotu na dwór i zajęcia miejsca w Radzie. A nalegał na to bardzo. Sądził oczywiście, że będzie w królewskiej Radzie przemawiał jej ustami.

Ale i królową-matkę, i nawet pana de Richelieu zagarnie prąd nowej opozycji książęcej. Po traktacie w Angoulême Luynes był bardziej pewny siebie, autorytarny i zachłanny niż kiedykolwiek. Porównując czasy Concinięgo i Luynesa książęta stwierdzali, że nie widzą różnic: „Karczma jest ta sama, zmieniono tylko korek” - mawiał diuk de Bouillon. Teraz Luynes zamykał książętom dostęp do królewskiego wina, sam zaś raczył się nim bez umiaru. „Można by powiedzieć, że Francja jest tylko dla nich - pisał Richelieu o koterii Luynesa. - Gdyby Francja w całości była na sprzedaż, kupiliby Francję od samej Francji”. Polityka Luynesa wzbudziła też niechęć i obawę hugenotów, dotąd trzymających się z dala od opozycji. Wreszcie prócz wrogości do Luynesa zaczęły wśród arystokracji ożywać animozje do zmartwychwstałego politycznie księcia de Condé. Jego przysięgła nieprzyjaciółka hrabina de Soissons stała się jednym z głównych motorów nowej rebelii przeciw Paryżowi. Wziął w niej udział jej młody syn, hrabia de Soissons: usłyszmy o nim jeszcze później.

Wiosną 1620 roku do Angers na dwór Medyceuszki docierały wiadomości o potężniejszej opozycji książąt. Przyłączyli się do niej zięć pani de Soissons, diuk du Maine; rządzący Normandią diuk de Longueville; obaj panowie de Vendôme, w rękach których była Bretania; diuk de Montmorency, gubernator Langwedocji. Nie zabrakło oczywiście diuka d'Épernon. Tym razem i hugenocka szlachta, mocna na południu i zachodzie kraju, z diukiem de Rohan na czele, gotowa była poprzeć rewoltę. Ogromna część Francji podminowana została rebelią. Richelieu usiłował powstrzymać królową-matkę od przyłączenia się do tego ruchu, w jej otoczeniu był jednak w kompletnej izolacji. I oto ten zdeklarowany rojalista, nieprzejednany wróg rebelii znalazł się nagle w obozie rebeliantów; ba, aktywnie tę rewoltę współorganizował w imieniu Marii Medycejskiej.

Bardzo się później z tego usprawiedliwiał. Twierdził, że wrogowie chcieli go zgubić w opinii królowej-matki i musiał działać „na podobieństwo mądrych sterników, którzy ustępują pod naporem burzy”. Pisał z zakłopotaniem: „Porywał mnie prąd, tak że próba przeforsowania mojej opinii nie służyłaby niczemu, jak tylko mojej zgubie bez pożytku dla służby królowej”. Dołączył się zatem do opozycji książęcej, co było zupełnym odwróceniem sytuacji z okresu, gdy pełnił obowiązki ministerialne. „Często jesteśmy zmuszeni - pisał - postępować za opiniami, których bynajmniej nie aprobujemy”. Cóż miał robić, skoro jego ostrzeżenia, że Luynes „ma awantaz działania w cieniu władzy króla”, że królowa-matka może wyzwolić się spod „tyranii Luynesa” i wpaść zaraz pod tyranie książąt - nie skutkowały.

Zaczął tedy działać. Dyskretnie próbował przegrupować opozycję, skupić ją pod sztandarami Marii Medycejskiej: robił wszystko, by królowa nie popadła pod zbyt wielki wpływ książąt i hugenotów. Przeciwstawił się projektom Rohana, by hugenockie południe kraju zrobić głównym ośrodkiem rewolty; pragnął rozciągnąć front walki od Normandii na północy aż po Langwedocję na południu, z centrum oporu w „medycejskim” Angers. Zarazem nie uchylał się od kontaktów z Luynesem. Królewski faworyt nie kwapił się bowiem do rozstrzygnięć

zbrojnych. Do negocjacji skłaniała Luynesa - oprócz zwykłej jego ostrożności - obawa, że Condé zechce go wypchnąć i zająć miejsce głównego doradcy króla. Książę Pan uważał się - niesłusznie - za wybitnego wodza; liczył, że sukces militarny da mu władzę nad Ludwikiem XIII.

Nie brakowało na dworze ludzi życzliwych panu de Richelieu, gotowych podjąć się mediacji: robili to kardynał du Perron, Ojciec Józef, ksiądz Bérulle, ksiądz Arnous, spowiednik króla. Ton korespondencji między Luynesem i Richelieu z obu stron czasem się zaostrzał, faworyt mamił biskupa wizją kardynalskiego kapelusza i jednocześnie groził mu niełaską, Richelieu się obrażał, potem znów wracano do rokowań. Może by się i dogadali, gdyby na posiedzeniu Rady 3 lipca 1620 roku król nie podjął męskiej decyzji: postanowił ruszyć z wojskiem przeciw rebelii. Wyprawa zaczęła się 7 lipca, król miał przy sobie księcia de Condé i hrabiego Schomberga, żołnierzy było około 7 tysięcy. Zaatakowano Normandię i spacyfikowano ją tym łatwiej, że diuk de Longueville przezornie się stąd wyniósł. 10 lipca król zajął Rouen, 19 lipca poddała mu się cytadela w Caen. Następnie wojsko króla zawróciło na południe i maszerowało w kierunku Angers.

Sytuacja w tej stolicy rewolty przedstawiała się żałośnie. Każdy tu chciał być wodzem naczelnym, nikt nie zamierzał poddawać się pod czyjeś rozkazy; ale wśród obecnych tu książąt nie było militarnych autorytetów gwarantujących posłuch. Nie miał takiego prestiżu ani diuk de Retz, brat kardynała, ani diuk de Vendôme, ani stary już marszałek de Boisdauphin, ani hrabia de Saint-Aignan. Książęta o wielkim prestiżu - Epernon, Rohan, Montmorency - czekali w swoich prowincjach na sygnał z Angers. A w Angers kłócono się tylko.

To jednak nieścisle, bo oprócz kłótni trwały rokowania; działania wojenne nie przerwały rokowań Richelieugo z Luynesem. Faworyt króla nie życzył sobie wcale miażdżącego sukcesu księcia de Condé; Richelieu wątpił w sukces książąt widząc ich skłócenie i ostrzegał królową, że „malkontenci” z arystokracji nie mają poparcia w społeczeństwie. Trzeba było jednak dopiero klęski rebeliantów pod Ponts-de-Cé, 7 sierpnia, by Maria skwapliwie przyjęła szanse pokoju w tej drugiej „wojnie matki z synem”.

Ponts-de-Cé, pięć kilometrów od Angers, to bardzo osobliwe miasteczko, rozłożone na wyspach pośrodku Loary. Mosty i wyspy były solidnie ufortyfikowane, bo miejscowość broniła przejścia przez Loarę w bardzo newralgicznym punkcie. Wojska królowej osłabiło wycofanie się, w ostatniej niemal chwili, diuka de Retz z jego półtoratysięcznym oddziałem. Bitwa z 7 sierpnia przeszła do historii jako „farsa (*drôierie*) pod Ponts-de-Cé”, tak fatalnie się tu spisywali żołnierze Marii Medycejskiej. Jednakże „farsa” była krwawa; padło kilkuset żołnierzy, król Ludwik stawał bardzo dzielnie. „Opór ludzi królowej był równie marny, jak wielka ich panika” - pisał Richelieu. Panikarskie nastroje ogarnęły także Marię; na szczęście jej główny doradca zachował zimną krew i zręczność. To on poprowadził negocjacje z królem. Miał dwa atuty: rebelia nie była bynajmniej pokonana, Maria mogła się wycofać na południe i tam zebrać wokół siebie

wojska książąt; Luynes chciał zakończenia wojny z obawy już nie tylko przed wzrostem wpływów Condégo, ale i przed wymknięciem się króla spod jego wpływu. Ludwik powąchał prochu, odniósł efektowne zwycięstwa w Normandii i pod Ponts-de-Cé, mógł więc chcieć się usamodzielnąć.

Luynes przyjął bardzo dobrze pana de Richelieu. Wysłannik Marii Medycejskiej oświadczył mu, że czas skończyć spory w rodzinie; zlekceważył klęskę pod Ponts-de-Cé (to tylko potyczka z awangardą wojsk królowej); mówił z zatroskaniem o groźbie zjednoczenia się hugenotów przeciw królowi... Luynes przyjął te argumenty. Już 10 sierpnia podpisany został pokój w Angers, który przywracał stan poprzedni, tzn. zasady pokoju w Angoulême; rebelianci otrzymali pełną amnestię, a rząd miał spłacić długi królowej-matki. Król żądał w zamian tylko szczerego pojednania i zgody na rządy Luynesa. 13 sierpnia odbyła się nowa komedia serdeczności i zgody; król i jego matka spotkali się w zamku Brissac. Tym razem ona była zamyślona i posepna, król wesoły i pewny siebie: poczuł się wodzem i zwycięzcą.

Richelieu otrzymał teraz wyraźną (co nie znaczy, że szczerą) obietnicę Luynesa w sprawie kardynalskiego kapelusza. Zgodził się też - nie bez presji Marii - na małżeństwo swej ulubionej siostrzenicy, panny de Pont-Courlay, z krewniakiem Luynesa, panem de Combalet. Luynes proponował mu trwałe alians; Richelieu nie odmawiał, ale jako warunek stawiał powrót królowej-matki do Rady królewskiej. Oznaczałoby to de facto jego udział w rządzie, gdyż Maria byłaby jego tubą. Na tym rozmowy w sprawie sojuszu z Luynesem utknęły.

Maria była wdzięczna panu de Richelieu za układ pokojowy, uznając ten dyplomatyczny sukces za prawdziwy cud. Przyjaciele wyrabiali mu opinię pacyfikatora królestwa, ale w otoczeniu króla miał tylko reputację zręcznego intryganta wyzutego z lojalności. On sam był zadowolony, że udało mu się wyplątać tak szczęśliwie z rebelii przeciw legalnej władzy. „Zrozumiałem, że ci, którzy walczą z Państwem są ofiarami własnych rozumowań: za plecami wroga, z którym walczą, dostrzegają zawsze kata, który ich powiesi”. A więc nie tylko niespójność skłóconej koalicji książąt skazywała ją na porażkę: „Ci, którzy wojują z legalną władzą, są już w połowie pobici wskutek tego, że pracuje nad tym ich imaginacja”. Można się domyślać, jak go dręczyła nerwowa wyobraźnia. Na szczęście przy chorobliwej imaginacji miał też bardzo dobrą głowę.

Nie można tego powiedzieć o jego protektorce, ale i do Marii Medycejskiej przemówiło doświadczenie „drugiej wojny matki z synem”. Przede wszystkim straciła wszelkie zaufanie do wichrzycielskich, niestałych i tchórzliwych książąt: to z ich winy otarła się o klęskę, z której ją wybawił Richelieu. Diuka de Retz, który zrejterował spod Ponts-de-Cé, uznała wręcz za agenta rządu w jej obozie! Zdecydowała się zmienić politykę: odzyskanie politycznego wpływu uznała za możliwe w zgodzie z królem, postanowiła okazywać mu nie tylko lojalność, ale i afekt. Zaczęła tę nową taktykę realizować od zaraz. Była to wspaniała szansa dla biskupa Richelieu, który pragnął widzieć ją w Radzie królewskiej i liczył na swój powrót do władzy dzięki inteligentnemu wykorzystaniu jej wpływu. W

czym się zresztą nie mylił; musiał jedynie czekać dłużej, niż przypuszczał.



WOJNA Z HUGENOTAMI I SPRAWY EUROPEJSKIE

Ludwik XIII postanowił, jak powiadają wojskowi, rozwijać powodzenie i ruszył z wojskiem na południowy zachód, do Bearnu. Jego ojciec zobowiązał się ongiś przywrócić tam swobodę kultu katolickiego, ale do tej pory Bearn, kolebka Bourbonów, pozostawał bastionem żarliwego i ekskluzywnego protestantyzmu. Bez użycia siły restytucja katolicyzmu w Bearnie nie była możliwa. Sukces przyszedł z łatwością, dosłownie w ciągu kilku dni października 1620 roku. Stany Bearnu uległy pod naciskiem króla i jego armii. Umocniło to rząd na granicy z Hiszpanią i oskrzydlało od południa hugenockie prowincje. Ale po wyjeździe króla w Bearnie zaraz się zaczęły zaburzenia, stłumione przez diuka d'Epéron brutalnymi represjami. Co więcej, od listopada hugenoci podjęli przygotowania do wojny. Prowincje protestanckie uznały kampanię króla w Bearnie za *casus belli*, tym bardziej że po drodze król zajął kilka protestanckich miast w Gujennie i Poitou wprowadzając tu swoje garnizony.

Przez całą dekadę lat 1620-1629 wysiłek zbrojny monarchii skupiał się na likwidacji hugenockiego „państwa w państwie”. W Europie - także w regionach o żywotnym dla Francji znaczeniu działy się ważne rzeczy, ale Paryż w swej polityce zagranicznej ograniczał się do różnych zabiegów dyplomatycznych. Kolejni szefowie rządu w owej dekadzie (Luynes, Brûlartowie, La Vieuville, Richelieu) prowadzili taki właśnie kurs: wojny z hugenotami i dyplomatyizowanie na zewnątrz. Problem jest na tyle złożony, że wymaga kilku wyjaśnień.

Praw, zagwarantowanych im przez edykt nantejski (1598), hugenoci bronili aż do roku 1620 głównie na drodze legalnej. To prawda, że rebelie książęce miały w latach 1615-1616 i zwłaszcza 1620 poparcie sił wojskowych protestantyzmu; był to jednak tylko przejaw politycznej solidarności arystokracji obu wyznań, katolickiej i kalwińskiej. Gdy po roku 1620 rząd przyjął program likwidowania hugenockiej siły politycznej i militarnej (bo nie swobody protestanckiego kultu!) - położenie francuskiego protestantyzmu przedstawiało się już wcale nieświecie.

W pierwszej dekadzie XVII wieku Henryk IV, nawrócony kalwin, zaczął po cichu ograniczać prawa swych dawnych współwyznawców (opóźniał i zmniejszał wypłaty Skarbu na utrzymanie hugenockich garnizonów, utrudniał protestantom dostęp do urzędów, hamował ich akcje misyjne i remonty ich fortyfikacji). Liczba protestantów zmniejszała się i w 1620 roku wynosiła około 1.400 tysięcy. Nie byli już rozproszeni w całym kraju, dominowali w kilku prowincjach południa i zachodu (Poitou, Saintonge, Gujenna, Gaskonia, Bearn, Langwedocja, Delfinat). I tam jednak znajdowały się potężne bastiony katolicyzmu, jak Bordeaux, Tuluza, Grenoble. Osłabiały hugenotów częste konwersje wielmożów: za wpływowymi panami na katolicyzm przechodziły ich klientele i co najmniej część okolicznej szlachty protestanckiej. W ten sposób książę

Henri II de Condé, syn i wnuk hugenockich przywódców, był za Ludwika XIII gorliwym pogromcą protestantów; na katolicyzm przeszli świetni dowódcy kalwińscy, marszałek de Châtillon, wnuk słynnego admirała de Coligny, i diuk de Lesdiguières.

Byłoby niesłuszne mniemanie, że to partia klerykalna („dewoci”) z pomocą nuncjusza papieskiego manipulowała kolejnymi rządami i wyzyskiwała niewątpliwą pobożność Ludwika XIII, by popchnąć monarchię do wojen z hugenotami. U progu tych długich kampanii spokojny i rozważny kanclerz Sillery tak wyjaśniał sytuację dyplomatom weneckim: „Zło tkwi w naszej krwi i w naszych trzewiach. Hugenoci utworzyli obce ciało, które przynosi uszczerbek władzy królewskiej i wrywa monarsze berło z ręki. Bez pozwolenia zwołali do Roszeli swe zgromadzenie, wydają ustawy, ustanawiają podatki, zbierają pieniądze, tworzą zbrojne oddziały, budują fortyfikacje - tak jak gdyby króla wcale nie było i absolutna władza należała do nich samych. Król, na ile może, udaje obojętność, robi taką minę, jak gdyby nic nie widział, by móc się przyłożyć ze stanowczością do spraw zewnętrznych. Ale hugenoci zacinają się w krnąbrności, nie chcą słuchać władzy, stają się coraz bardziej zuchwali”.

„Krnąbrni” hugenoci dysponowali setką „miejsc bezpieczeństwa”: teoretycznie były to schronienia na wypadek prześladowań, w istocie - miasta wyjęte spod władzy króla. W dużych miastach protestanckich rządziły rady miejskie, w mniejszych dziedziczną władzę mieli hugenoccy wielmoże. To prawda, że fortyfikacje tych *places de sûreté* były przestarzałe i wymagały remontów; że garnizony hugenockie (opłacane ze Skarbu państwa) to w sumie ledwie 4 tysiące ludzi (w dużych miastach nie więcej niż 400 żołnierzy, w małych - ledwie kilka dziesiątek). Jednakże niektóre bastiony protestantyzmu miały reputację niezdobywalnych (Roszela, Bergerac, Montauban); niemal wszędzie garnizony były tylko częścią siły zbrojnej, bo dobrze wyćwiczeni i uzbrojeni - mieszczenie stanowili mocną rezerwę (w Roszeli ok. 8 tysięcy ludzi!); wielmoże protestanczy również mieli stałe oddziały zbrojne, a za pieniądze kalwińskiej szlachty i miast bez trudu można było formować armie zaciężne (bitni górale z protestanckich Sewennów słynęli z cnót wojskowych). Siła militarna hugenotów liczyła się więc poważnie, zwłaszcza na tle osłabienia armii królewskiej po śmierci Henryka IV.

Gdy mówimy o hugenockim państwie w państwie, mamy na myśli nie tylko tę siłę zbrojną. Także organizacja ustrojowa francuskich protestantów była obcym ciałem w systemie monarchicznym Francji. Mamy tu bowiem do czynienia z osobliwym fenomenem republiki wewnątrz monarchii. Wszystkie hugenockie prowincje podzielone zostały na kilka okręgów (*cercles*); wybierano tam posłów, co trzy lata, na ogólne zgromadzenie, które rozstrzygało najważniejsze sprawy i wybierało kandydatów na komisarzy przy królu, pilnujących przestrzegania Edyktu nantejskiego. Demokratyczna, republikańska była też struktura kalwińskich gmin wyznaniowych, zaś pastory odgrywali rolę działaczy politycznych, bardzo radykalnych w swym republikanizmie; ich wpływ na zgromadzeniach i w całej partii hugenockiej krzyżował się i ścierał z wpływami protestanckiej

arystokracji. W jednym wszakże punkcie szlachta i pastory byli mniej więcej zgodni. Pragnęli mianowicie rozszerzyć hugenocką strefę wpływów w Langwedocji, Poitou, a nawet na północ od Loary; chcieli uzyskać nowe przywileje ujęte w edykt „lepszy od nantejskiego”. Osłabienie monarchii po śmierci Henryka IV zdawało się sprzyjać takim planom, prawie nie jednak z nich nie wyszło. Tylko jedno miasto, Saint-Jean-d'Angély, stolicę Dolnej Saintonge, udało się diukowi de Rohan przyłączyć do „hugenockiego państwa”. Niemniej w drugiej dekadzie XVII wieku hugenoci umocnili swe wewnętrzne struktury organizacyjne.

Nie brakowało w partii hugenockiej rojeń o utworzeniu na południu Francji separatystycznej republiki protestanckiej na wzór niderlandzkich Zjednoczonych Prowincji. Wspierał te pomysły nie wygasły separatyzm południa: przyłączone brutalnie do monarchii kapetyńskiej w XIII wieku (niektóre prowincje jeszcze później), południe zachowało liczne cechy wyróżniające. Tę rolę, którą przy tworzeniu republiki Zjednoczonych Prowincji odegrał Wilhelm Orański, hugenoci rezerwowali dla diuka Henryka de Rohan.

Pochodził z arystokracji bretońskiej, ale zadomowił się na południu. Był to człowiek uparty jak muł, pełen energii, kipiący temperamentem, przystojny mimo niewielkiego wzrostu. Umiał zdobywać sobie przyjaciół wśród szlachty i mieszczan, nie przepadał za pastorami (rzekł kiedyś, że wolałby stać na czele watahy wilków niż zgromadzenia pastorów). Był twardy, jak diabeł pyszny, ale mądry, choć bez wielkiego wykształcenia i kultury. Znakomity generał i, co rzadsze wśród wielmożów, wyborny polityk. Nie bronił do końca spraw straconych: gdy zobaczył, że święta dla niego sprawa kalwińskiej wiary nie cierpi pod rządami kardynała Richelieu, zgodził się pójść na jego służbę. Miał brata, Benjamina de Soubise, który uważał się za wybitnego polityka i wodza. Mylił się bardzo.

Zauważmy, że republikańskie rojenia o uniezależnieniu się od Francji nie były powszechne w partii hugenockiej. Zamożna burżuazja protestancka nie chciała awantur, ceniła sobie monarchiczny ład. Żądała tylko od króla respektowania samorządu miejskiego, burżuazyjnych przywilejów gospodarczych i podatkowych, wreszcie swobody kultu kalwińskiego. Stosunki między tą burżuazją a hugenockimi wielmożami i pastorami nie były najlepsze. Ale, podobnie jak to było w Zjednoczonych Prowincjach, arystokracja i kler potrafiły przeciwstawiać umiarkowanemu, zamożnemu mieszczaństwu ruchliwy i radykalny lud miejski. Jak widać, partia hugenocka była nader niespójna.

Inną jeszcze jej słabością była świadomość pozycji mniejszościowej: kalwini stanowili ledwie 8% całej ludności królestwa. Przesadne jednak jest wyobrażenie, iż tę grupę mniejszościową oblewał ze wszystkich stron ocean katolickiej nienawiści. To prawda, że kler i dewoci pragnęli nawracać protestantów na prawdziwą wiarę choćby i siłą; że postępy kontreformacji niosły fanatyczne nastroje do wcale licznych środowisk ludowych; że katolicka burżuazja zazdrościła miastom protestanckim ich przywilejów ekonomicznych i wolności podatkowych. Z kolei jednak katolicy ksiądzęta doskonale rozumieli, że istnienie „państwa hugenockiego” z jego polityczno-militarnymi przywilejami jest ostoją siły i

znaczenia arystokracji obu wyznań. Osłabia bowiem „despotyzm” królewski, sprzyja „mieszaniu”, to znaczy monarchiczno-arystokratycznemu charakterowi ustroju politycznego. A dalej, liczni tak zwani „dobrzy Francuzi”, pamiętający dobrze tragedię wojen religijnych XVI wieku, dumni byli z pokojowej koegzystencji dwu wiar i dwu ustrojów w obrębie jednego królestwa; uważali to za rodzaj cudu, bo w Europie zwyciężała przecież tendencja do ujednoczenia wiary i ustroju, do nietolerancji i fanatyzmu. Edykt nantejski był dla nich takim samym wspaniałym wzorem francuskiej tolerancji, jak dla Polaków pół wieku wcześniej konfederacja warszawska. W 1620 roku, gdy zaczynały się znów wojny z hugenotami, takie opinie były dość rozpowszechnione.

Można oczywiście sympatyzować z protestanckim republikanizmem i z niechęcią obserwować jego likwidację przez królewski absolutyzm. Można także bronić poglądu, że w tym zwrotnym roku 1620, gdy upokorzenie książąt pod Ponts-de-Cé i protestantów w Bearnie dało początek powolnym postępom absolutyzmu, dalsza ewolucja polityczna Francji nie była wcale przesądzona. Ustrój jest na tyle „mieszany”, monarchiczny i stanowy zarazem, że kraj może obrać jedną z dwu dróg: utwierdzenie absolutyzmu królów lub ewolucję ku monarchii konstytucyjnej, takiej, jaka u schyłku XVII wieku uformuje się w Anglii. Władza monarsza jest absolutna w tym sensie, że nikt nie ma prawa kontrolowania królewskich decyzji. Ale jest też paternalistyczna. Ludwik XIII odziedziczył po ojcu umiejętność kontaktu z ludźmi prostymi; jego dwór - ze swą prostotą, brakiem sztywnej etykiety, familiarnością, oszczędnością - w niczym nie zapowiada monarchicznej pompy Ludwika XIV. Także pan de Luynes, choć skrzętnie gromadził rodowy majątek, pozostał wierny prostym tradycjom dworu Henryka IV. Dopiero kardynał Richelieu wyłamał się spod ich wpływu.

Monarchia jest też limitowana „starodawnymi zwyczajami”. Od króla poddani oczekują respektowania ich majątków, godności, przywilejów. Nie żyjemy przecież, powiadają Francuzi, pod rządami moskiewskiego cara czy też sułtana Turków! Święte prawa Boże i przywileje kościoła muszą być szanowane, a tak samo przywileje szlachty i parlamentów, miast i prowincji, stanu urzędniczego i korporacji zawodowych. I przywileje hugenotów też są, zdaniem wielu, ważną zaporą przeciw despotyzmowi króla, ministrów, faworytów.

A więc Francja stojąca na rozstaju, na skrzyżowaniu dróg politycznego rozwoju? Być może. Zauważmy tylko, że Anglia, która wśród zamętu rewolucji i kilku przewrotów poszła w XVII wieku drogą wiodącą do monarchii konstytucyjnej, była krajem mniejszym, bardziej jednorodnym wewnątrznie, lepiej - by tak rzec - wyrównanym społecznie. We Francji siły, które mogłyby popchnąć kraj ku monarchii umiarkowanej, były mniej dojrzałe, skłócone między sobą, niezdecydowane. Ujawniły to już obrady Stanów Generalnych 1614 roku; jeszcze wymowniej, w połowie XVII wieku, to samo pokaże Fronda.

Wypada wszelako powrócić do początku lat dwudziestych. W końcu listopada 1620 roku zgromadzenie protestantów zebrało się w Roszeli i podjęło intensywne przygotowania do wojny: gromadzono pieniądze, zaciągano żołnierzy, powołano dowódców wojskowych w ośmiu okręgach

(*cercles*). Wodzem naczelnym miał być Bouillon, ale zachował się biernie, co dało szansę Henrykowi de Rohan. Posłano ambasadę do Jakuba I Stuarta z prośbą o pomoc dla hugenotów. Była to idea popularna wśród Anglików, ale Paryż również posłał do Jakuba I ambasadora w osobie brata Luynesa, Cadeneta, i naciskał na to, by Anglia nie pomagała buntownikom. Ludwik XIII kazał zgromadzeniu roszeleńskiemu rozwiązać się, ale hugenoci odmówili wykonania rozkazu. W Langwedocji, Vivarais, Poitou protestanci walczyli już z katolikami w lutym i marcu 1621 roku, co groziło wybuchem wielkiej wojny religijnej. W końcu marca król mianował Luynesa konetablem, 18 kwietnia ruszył na wyprawę, trochę opóźnioną przez wiadomość o śmierci teścia, Filipa III.

Armia królewska była liczna: 40 tysięcy piechurów, 6 tysięcy jeźdźców. Charakterystyczne dla ostrożnej polityki Luynesa: wydatki na wojnę pokryto nie tyle z podatków, ile obciążając posiadaczy, funkcjonariuszy państwowych i kler. Żołnierze króla to na ogół dobrzy zawodowcy, artylerii było dosyć, ale dowódcy - z Luynesem na czele - bardzo marni. Także król, który starannie się przygotowywał do wyprawy (dyplomaci weneccy raportowali, że porzucił polowania dla matematyki wojskowej i studiowania planów fortec) był świetnym oficerem liniowym, ale nie miał żadnych talentów generalskich. Mało ruchliwa armia królewska ograniczyła się do oblegania równinnych miast, militarnej i politycznej ostoji hugenotów; działań w polu prawie wcale nie podejmowała. Nieliczna i źle uzbrojona, ale szybka, bitna, świetnie dowodzona armia Rohana nękała wojsko króla, chroniła wsie przed rekwizycjami i płądowaniem, czasem skutecznie pomagała obleganym miastom wprowadzając do nich żywność i posiłki. Wojsko królewskie nie umiało jeszcze dobrze prowadzić prac oblężniczych, artyleria działała źle, samowola oficerów była nagminna... Bezladne oblężenie pierwszego już miasta, bronionego przez Soubise'a, a mianowicie Saint-Jean-d'Angély, przeciągnęło się niepomiaralnie. Po prawie sześciu tygodniach Soubise poddał miasto 24 czerwca, ale zwłoka pod Saint-Jean-d'Angély opóźniła całą kampanię.

Jak na te trudne początki i fatalne dowodzenie kampania wojenna 1621 roku przyniosła rezultaty nie najgorsze. To prawda, że armia królewska - z winy króla, który się upierał przy oblężeniu - utknęła od sierpnia do listopada pod Montauban. Po Roszeli był to drugi co do znaczenia bastion hugenotów. Oblężenie poprowadzono nieudolnie, artyleria nie miała dość siły (i celności), by kruszyć mury miasta, Luynes liczył na agentów króla wewnątrz miasta, ale siatka ta została wykryta, a Rohan zdołał posłać obleżonym posiłki... Armia królewska była zniechęcona, dziesiątkowały ją dezercje i choroby. 10 listopada oblężenie zdjęto, ku wstydu i złości Ludwika XIII. Niemniej wzięto - często bez walki - około 80 twierdz i miast hugenockich. Protestantkie „państwa w państwie” zostało zredukowane do jednej trzeciej swego terytorium: do Roszeli, Górnej Gujenny, Langwedocji, części Vivarais i Delfinatu, przy czym połączenia między zachodnimi i południowymi posiadłościami hugenotów zostały przecięte. W zdobytych miastach burzono fortyfikacje i lokowano królewskie garnizony. Był to więc sukces, jakkolwiek tylko częściowy i kruchy, jako że owe garnizony króla w zdobytych miastach nie miały

dostatecznej siły.

13 grudnia 1621 roku padło ostatnie w tej kampanii miasto, Monheur; dwa dni później zmarł na szkarlatynę konetabl Francji diuk de Luynes. Jego wrogowie opowiadali z satysfakcją, że umarł w niełasce po żalonym niepowodzeniu pod Montauban. To przesada. Do końca jego wpływ polityczny był wielki. W sierpniu, po śmierci strażnika pieczęci du Vaira, przejął jego funkcje, co wywołało lawinę szyderstw i protestów. „Gdyby tak podzielić odpowiednio czas - mówił Condé - pan de Luynes nadawałby się na wszystkie swe stanowiska: dobry strażnik pieczęci na czas wojny, dobry konetabl w czasie pokoju”. Jeszcze w początku grudnia król okazał niełaskę swemu spowiednikowi za to, że ostro wystąpił on przeciwko Luynesowi. Po jego śmierci rozmawiał z królem o Luynesie wenecki dyplomata Giovanni Pesaro. „Odczuwam wielki ból rzekł Ludwik. - Kochałem go, bo i on mnie kochał; ale jednak czegoś mu brakowało”. To prawda, że umarli jechali szybko w pamięci i afektach króla Ludwika XIII; rychło więc uciszył swój ból i demonstrował nawet uczucie wyzwolenia, chęć osobistego dyrygowania rządem bez żadnego faworyta. Ostatnia droga zabalsamowanych zwłok Luynesa z południa do Amboise, gdzie chciał być pochowany, była jakby nauką o nietrwałości fortuny faworytów królewskich: służba, jak pisze Fontenay-Mareuil, grała sobie w karty na trumnie zmarłego pana.

A jednak linia polityczna Luynesa nie umarła z nim razem i król realizował ją po jego odejściu. To linia ograniczania wpływu książąt, rozbijania hugenockiego „państwa w państwie”, lawirowania w polityce europejskiej, ostrożności w nakładaniu podatków. Co się zaś tyczy owego poczucia wyzwolenia czy nawet radości, z jakim król przyjął śmierć faworyta, po bardzo krótkotrwałym żalu, to uprzedźmy wydarzenia: dokładnie to samo zdarzy się dwadzieścia jeden lat później, po śmierci kardynała Richelieu.

Tymczasem sytuacja pana de Richelieu nie zmieniała się. Miał nadal wielki mir u królowej-matki, Ludwik XIII zaś demonstrował dla Medyceuszki afekt i szacunek, ale w wirze zatrudnień wojennych nie miał oczywiście dla niej czasu. Moment Richelieugo jeszcze nie nadszedł. Po śmierci Luynesa król uznał, że wystarczy powierzyć ster rządu Brûlartom, to znaczy kanclerzowi Sillery i jego synowi, panu de Puisieux. Odejście faworyta nie przybliżyło więc biskupa Richelieu do władzy. Na nic się nie przydała inspirowana przezeń kampania pamfletów przeciw Luynesowi, której szczyt przypadł wiosną 1621 roku, tuż po tym, jak ogłoszono w Rzymie nominacje kardynalskie. Na liście znalazł się arcybiskup de La Valette, ale nie biskup Richelieu. Luynes zrobił bowiem, co mógł, by tę nominację sparaliżować, mimo obietnic dawanych latem 1620 roku „Prawda jest taka, że oni się tu wszyscy nienawidzą” - raportował papieżowi nuncjusz Bentivoglio. Zresztą nuncjusz także nie lubił Richelieugo i chętnie się do jego kłęski dołożył.

Teraz Luynesa już nie było. W krótkiej przerwie między dwiema kampaniami przeciw hugenotom, zimą z 1621 na 1622 rok, król rozmawiał wprawdzie przyjaźnie z Marią Medycejską i biskupem Richelieu, ale o przyznaniu im wpływu na rządy nie chciał słyszeć. „We Francji najlepszym

środkiem, jaki można stosować, jest uzbroić się w cierpliwość” - pisał później Richelieu. Było jasne, że umacniający się u steru rządów „brodacze” są już formacją wymierającą, że król będzie musiał jednak poszukać nowych, energicznych pomocników. Nie miał szans powiązany z „brodacami”, ale dużo młodszy Puisieux, „człowiek niewielkiej odwagi, który cały swój spryt lokuje w oszukiwaniu”: tak go określał diuk de Rohan. Wielką chrapkę na szefowanie rządowi miał książę de Condé, ale król go nie lubił, ministrowie zaś tylko udawali, że z nim sympatyzują, bo chcieli go przeciwstawić Marii Medycejskiej i jej głównemu doradcy. Jeśli jednak szanse panów de Puisieux i de Condé były nikłe, to perspektywy Richelieu rysowały się jeszcze gorzej. Nowo mianowany nuncjusz Ottavio Corsini raportował, że słusznie się w Paryżu boją biskupa Luçon, „bo ma on głowę tak [dobrze] urządzoną, że jest zdolny tyranizować i matkę, i syna zarazem”.

Rozczarowany Richelieu pragnął dostać choćby swój kapelusz i Maria Medycejska bardzo naciskała w tej sprawie ministra Puisieux. Ten odrzekł, że chętnie się zgodzi, jeśli Richelieu przeniesie się do Rzymu... Maria robiła też piękne oczy do króla. Ostatecznie stanął rodzaj układu. Król zgodził się, by królowa-matka uczestniczyła w niektórych posiedzeniach Rady; dano jej do zrozumienia, że powinna jednak hamować swe polityczne ambicje. Biskupowi Richelieu obiecano, że dostanie swój kardynalski kapelusz: Puisieux podjął odpowiednie zabiegi w Rzymie, gdzie po śmierci Pawła V tron papieski objął Grzegorz XV. Były to dla ambicji Richelieu sukcesy bardzo połowiczne. Gdy jego protektorka pojawiała się w Radzie, król i ministrowie dbali o to, by nie rozpatrywano naprawdę ważnych spraw. Wnet po powrocie do Rady (31 stycznia 1622) Maria, jak pisał Richelieu, „zrozumiała, że mają się tam przed nią na baczności, że jej pokazują jedynie wystawę sklepu i że nie wchodzi wcale do środka magazynu; udała wszelako, że tego nie dostrzega, mając nadzieję przezwyciężyć te trudności właściwym postępowaniem”. Oczywiście, to on jej zalecał cierpliwość i „właściwe postępowanie”.

Ostatecznie więc ośrodek dyspozycji politycznej po śmierci Luynes miał piętno prowizoryczności. Król Ludwik XIII obiecywał sobie, że sam będzie kierował państwem, bez faworyta i bez pierwszego ministra. Ale przez cały rok 1622 absorbowala go wojna domowa; ponadto zbijały go z tropu komplikacje międzynarodowe: niosły one wielość zadań i wątków, nad którymi nie panował. Condé był z nim na wyprawie wojennej i skompromitował się jako dowódca, a ponadto skłócił z królem i w końcu wyjechał do Włoch. Maria Medycejska siedziała w królewskiej Radzie tylko na skromnej strapontenie. Honorowe pierwszeństwo w Radzie miał kardynał Retz, w niczym niepodobny do swego słynnego krewniaka, autora pamiętników: był to człowiek zacny, pobożny, ale kompletne beztalencie. Po jego śmierci król powołał na to honorowe pierwsze miejsce kardynała de La Rochefoucauld, który też nie był wielkim politykiem. Szefami rządu byli Brûlartowie, to jest Sillery i Puisieux, ale ich kierowanie ograniczało się do załatwiania spraw bieżących i kurczowego trzymania się władzy. Byli jeszcze w rządzie ministrowie bez większych ambicji politycznych. Po śmierci epizodycznego strażnika pieczęci pana de Vic Brûlartowie

przeforsowali na to stanowisko swą kreaturę, Caumartina; finansami rządził hrabia Schomberg, ostrożny, mądry, uczciwy, ale polityk bardzo średniej miary. Tak jak i Luynes, bał się podnoszenia podatków, a wojnę finansował pożyczkami, subsydiami kleru, taksami od urzędników i kreowaniem nowych urzędów, które bez trudu sprzedawano chętnym. Ale i ta rozważna polityka obciążania głównie posiadaczy miała granice, których nie można było przekroczyć. Pieniędzy rząd miał o wiele za mało, by szybko złamać polityczną potęgę hugenotów. W szczególności oblężenie wielkiego, świetnie ufortyfikowanego protestanckiego bastionu - Roszeli - wymagałoby bardzo kosztownej rozbudowy floty. Na to rząd nie mógł sobie pozwolić.

Po krótkiej przerwie zimowej nowa kampania wojenna toczyła się od lutego do października 1622 roku; król uczestniczył w niej od marca. Ujawniła się kruchość sukcesu poprzedniej kampanii. Hugenoci zaczęli odzyskiwać utracone miasta (Sainte-Foi, Clairac, Nègrepelisse); gdziekolwiek wycięto okrutnie słabe królewskie garnizony. Rohan zrobił w początku 1622 roku coś w rodzaju zamachu stanu, ograniczył władzę zgromadzeń hugenockich i narzucił partii protestanckiej swe przywództwo bliskie wojskowej dyktaturze. Wreszcie w Poitou jego brat, Soubise, zaatakował królewskie garnizony, zdobył ważne punkty strategiczne i umocnił protestantów na wybrzeżu atlantyckim. Ogromnie to ubodło króla, toteż zaczął działania od tego obszaru. W połowie kwietnia Soubise został pobity; odzyskano straty, a pod Roszelą szybko pobudowano Fort-Louis, który miał odcinać protestancki port od lądowego zaplecza. Armia królewska zwróciła się na południe, ku Gujennie i Langwedocji. Odbijano utracone miasta i zdobywano nowe, tym łatwiej że Rohan ogołocił wiele mniejszych miast, aby obronić duże. Przezornie ominięto Montauban i w sierpniu podjęto oblężenie wielkiego centrum hugenockiego, Montpellier. Dowodził tu nieudolnie Condé: naraził armię królewską na wielkie straty i utracił wojskowy autorytet. Choroby znowu dziesiątkowały żołnierzy króla, z pieniędzmi było krucho, sukcesy Hiszpanii niepokoiły Ludwika XIII i zależało mu na odzyskaniu pewnej swobody manewru w sprawach zagranicznych. Król bał się też, by pod Montpellier nie powtórzyła się zeszłoroczna klęska pod Montauban. Ale i Rohan miał powody, by szukać szans pokoju: wojska królewskie powiększały swą ogromną przewagę, trudności finansowe nękały i jego, musiał wreszcie liczyć się z opozycją przeciw jego dyktaturze.

Mimo swych porażek - a raczej właśnie z ich powodu - Condé zaciekle domagał się prowadzenia wojny „aż do końca”. Gdy król zdecydował się negocjować, książę obraził się i wyjechał do Włoch. 18 października 1622 roku zawarty został pokój w Montpellier. Dewoci byli oburzeni, nuncjusz Corsini uznał ów układ za „haniebny”. Istotnie, dawał on pewne satysfakcje hugenotom i zwłaszcza Rohanowi. Król ogłosił generalną amnestię dla „buntowników”, potwierdził Edykt nantejski, przyznał hugenotom dalsze posiadanie twierdz, które były w ich rękach. Rohan otrzymał gubernatorstwo Sewennów i części Prowansji oraz pensję 60 tysięcy écus.

A jednak kampanie lat 1620-1622 wstrząsnęły polityczną strukturą

protestantyzmu. W 1620 roku król przejął kontrolę nad Bearnem, w roku 1621 nad Poitou i Gujenną, w 1622 roku nad Dolną Langwedocją. Hugenockie bastiony były już nieliczne - w sumie to pięć dużych miast; garnizony królewskie lokowały się na stałe w prowincjach południa. Ostoja partii protestanckiej pozostała Roszela. To był jednak piekielnie trudny orzech do zgryzienia. Bez drastycznego zredukowania potęgi hugenotów na południu późniejszy sukces króla i kardynała Richelieu pod Roszelą byłby zupełnie niemożliwy.

To prawda, że wojny z hugenotami osłabiły międzynarodową pozycję Francji w niebywale trudnym i ważnym momencie. Od 1618 roku rozkręcała się już - na razie powoli - wojna trzydziestoletnia. Z początku jako wojna między katolickimi i protestanckimi siłami Rzeszy rzymsko-niemieckiej. Dylemat Francji był niełatwy. Niemieccy książęta protestanci od XVI wieku należeli do jej sojuszników i klientów; wybór palatyna reńskiego Fryderyka V na króla Czech ogromnie osłabiał Habsburgów niemieckich, a zatem pośrednio i hiszpańskich. Z drugiej strony cesarz Maciej i jego następca (od 1619 roku) Ferdynand II apelowali do Ludwika XIII w imię solidarności władców przeciw „buntownikom protestanckim”: analogie z sytuacją francuską narzucały się Ludwikowi bardzo wyraźnie... Ponadto był on pobożny i ulegał wpływom swego spowiednika, jezuitę, Ojca Arnoux.

Gdy zatem w grudniu 1619 roku Ferdynand II posłał do Paryża księcia Fürstenberga z prośbą o skuteczną pomoc, król Francji zrobił jawne głupstwo. Obiecał Ferdynandowi wsparcie zbrojne, na szczęście dosyć ogólnikowo. „Brodacze” natychmiast zaprotestowali. Ze zbrojnej pomocy nic nie wyszło, natomiast - zgodnie z koncepcją Ojca Józefa, dobrze znającego stosunki niemieckie - postanowiono, że Francja zajmie się mediacją między katolikami i Unią Ewangelicką w Rzeszy. Wysłano tedy do Niemiec ambasadę z diukiem Angoulême. Wrocie armie katolików i Unii, stojące pod Ulm, przyjęły francuską mediację i 3 lipca 1620 roku podpisano w Ulm traktat, na mocy którego oba wojska wycofały się bez bitwy. Diuk Angoulême był ogromnie z siebie zadowolony, ale wbrew intencjom Paryża traktat ulmski posłużył zwycięstwu Ferdynanda II nad Czechami, dał bowiem katolikom wolną rękę w rozprawieniu się z „królem zimowym”, Fryderykiem reńskim. Diuk Angoulême został chłodno przyjęty w Wiedniu, bo Ferdynand II nie był wcale skłonny do kompromisów, a wnet potem - 8 listopada 1620 roku - przysłał klęskę Czechów pod Białą Górą. Niektórzy historycy skłonni są porównywać układ w Ulm z traktatem monachijskim 1938 roku, ale to już gruba przesada. Faktem jest wszakże, iż w latach 1620-1621 Habsburgowie niemieccy bardzo się umocnili. Unia Ewangelicka, która uprzednio błagała o pomoc króla Francji, w 1621 roku rozpadła się; Czechy wróciły pod władzę Habsburgów i utraciły swe przywileje; cesarz Ferdynand II odebrał pokonanemu „królowi zimowemu” godność elektora, skonfiskował i zajął zbrojnie jego księstwo, to jest palatynat reński. Miało to wielkie znaczenie dla Hiszpanii, bo właśnie w 1621 roku wygasł 12-letni jej rozejm z niderlandzkimi Zjednoczonymi Prowincjami. Okupacja palatynatu przez cesarza ułatwiała jego hiszpańskiemu kuzynowi transporty wojska na

wojnę z Holandią wzdłuż „osi reńskiej”. Z Mediolanu przez szwajcarskie przejścia i wzdłuż Renu, tuż obok francuskiej granicy, przewalały się masy hiszpańskich żołnierzy.

Jeszcze jeden atut dla Hiszpanów: w marcu 1621 roku zmarł Filip III, król słaby i o ciasnym umyśle. Jego następca, Filip IV, wstąpił na tron w wieku lat szesnastu. Nie brakowało mu ambicji, inteligencji i charakteru; zjadały go jednak choroby i neurotyczna wręcz erotomania. Rządy hiszpańskim imperium od 1621 roku powierzył człowiekowi silnemu: jego valido, pierwszy minister, książę-hrabia (*conde duca*) Olivares, młodszy nieco od Richelieugo, aż do śmierci kardynała będzie jego najgroźniejszym wrogiem i rywalem. Trudno o większy kontrast: nerwowemu, szczupłemu, chorowitemu i wytwornemu kardynałowi przeciwstawiał się zwalisty olbrzym, diabelsko pyszny, witalny, zarazem brutalny i chytry. Jednakże i tę wspaniałą górę mięsa podminuje dziedziczne obciążenie syfilityczne; zrujnuje siły fizyczne i umysł Olivaresa. Przeżyje Richelieugo niewiele ponad dwa lata.

Pierwsze lata rządów osobistych Ludwika XIII Hiszpanie zatrują w dużym stopniu niż Habsburgowie niemieccy. Król Francji, mimo hiszpańskiego małżeństwa, instynktownie nie znosił ojczyzny swej żony. Nie cierpiał hiszpańskiej świty Anny Austriaczki i zbliżył się do żony dopiero po przepędzeniu jej hiszpańskich dam. To znamienne, bo wśród francuskiej elity sympatie dla Hiszpanii były nader rozpowszechnione. Dewoci przyjmowali zza Pirenejów inspiracje jezuickie, kontreformacyjne; francuscy kupcy na wielką skalę i zyskownie handlowali z hiszpańskim imperium; konsumenci cenili sobie hiszpańskie importy; autorytet hiszpańskiej sztuki, a zwłaszcza literatury respektowali Francuzi oświeceni. Twierdzenia politycznych pamflecistów o odwiecznej, wrodzonej nienawiści Francuzów do Hiszpanii włożmy między bajki.

Była już mowa o transportach wojsk hiszpańskich przez doliny szwajcarskie. Otóż tym, co szczególnie zatruło życie Ludwikowi XIII, a potem i kardynałowi Richelieu, była tak zwana sprawa Walteliny. Ta długa dolina rzeki Addy stanowiła newralgiczny węzeł dróg do południowych Niemiec, Nadrenii, północnej Italii. Waltelina należała do Lig Gryzońskich, Graubünden: połączonych trzech lig, które nie wchodziły w skład konfederacji kantonów szwajcarskich, ale były z nią sprzymierzone. Niemieckojęzyczni i protestancy Gryzonowie władali włoską i katolicką ludnością Walteliny, co bardzo komplikowało całą sytuację.

W 1603 roku Henryk IV odnowił tradycyjny sojusz Francji z Gryzonami, który gwarantował swobodę przejścia przez Waltelinę Francuzom i ich aliantom (dotyczyło to głównie Wenecji) zamykając zarazem to przejście Hiszpanom. Jednakże w 1619 roku Hiszpanie wyzyskali wewnętrzny zamęt we Francji i okupowali Waltelinę pod pretekstem obrony tutejszej ludności katolickiej. No i zaczęło się.

Francja liczyła na to, że Gryzonowie sami wyrzucą Hiszpanów z Walteliny. Ale Graubünden okazały się na Hiszpanów za słabe; Gryzonowie zawarli więc z okupantem kompromis. Odzyskali władzę nad Walteliną, ale musieli dać Hiszpanom prawo przejścia oraz prawo zachowania pobudowanych tu szybko hiszpańskich fortów kontrolujących

dolinę. Oznaczało to utrwalenie władzy Habsburgów nad tym arcyważnym przejściem, ułatwienie łączności między posiadłościami hiszpańskimi poza Półwyspem Iberyjskim, utworzenie pomostu pomiędzy imperiami obu linii Habsburgów.

Paryż, zaangażowany w wojnę z hugenotami, usiłował odwrócić sytuację na drodze zabiegów dyplomatycznych. Posłano więc do Madrytu pana de Bassompierre. Umierający król Filip III nie chciał narażać swego następcy na wojnę z własnym szwagrem, Ludwikiem XIII, zalecił więc ministrom zwrot Walteliny. Zawarty już po śmierci Filipa III układ madrycki (15 kwietnia 1621) przewidywał oddanie Walteliny Gryzonom w zamian za nieingerowanie Francji w to, co się dzieje za Renem. Ale ani Francja nie chciała dawać Habsburgom zupełnej swobody w Niemczech, ani Hiszpania nie zamierzała wypuszczać z rąk waltelińskiego przejścia. Traktat madrycki nie został więc wykonany.

Na przełomie 1621 i 1622 roku sytuacja się pogorszyła. Gryzonowie dali za wygraną i formalnie scedowali Waltelinę Hiszpanom na mocy sekretnego układu w Mediolanie, zawartego z hiszpańskim namiestnikiem księstwa mediolańskiego Ferią. Gdy o układzie dowiedział się rząd francuski, rozpętała się burza; przez pewien czas wydawało się, że wojsko zbierane na kampanię 1622 roku przeciw hugenotom pomaszeruje z Lyonu wprost na Mediolan. Osobista decyzja Ludwika XIII, podjęta 12 marca, odwróciła wybuch wojny w Italii. Po różnych skomplikowanych perypetiach - Gryzonowie usiłowali odzyskać zbrojnie Waltelinę, mieli pewne sukcesy, ale we wrześniu 1622 roku ponieśli ciężkie klęski i terytorialne straty - stało się jasne, że Habsburgowie umocnili swe władanie nad sporną doliną.

Jednakże pokój w Montpellier dał wreszcie Francuzom większą swobodę manewru. Natychmiast po zakończeniu wojny z hugenotami Ludwik XIII podjął wysiłek montowania ligi, która by połączyła Francję, Sabaudię i Wenecję. Liga powstała w początku lutego 1623 roku, a jej głównym celem było przepędzenie Hiszpanów z Walteliny. Olivares replikował zrecznie: ogłosił, iż spór oddaje pod arbitraż papieża, zaś forty panujące nad Walteliną kazał odstąpić garnizonom papieskim. W ten oto sposób Olivares przechytrzył Francuzów, bo papież Grzegorz XV nie był Francji przychylny; pragnął on skłócić i rozbić Ligę francusko-sabaudzko-wenecką, a Hiszpanom zapewnił swobodę przejścia przez Waltelinę. Zmarł wprawdzie rychło, w czerwcu 1623 roku, a nowy papież Urban VIII miał dla Francji więcej życzliwości. Ale i on musiał lawirować pomiędzy Paryżem i Madrytem; prawo przejścia Hiszpanów doliną Walteliny było więc nadal respektowane przez papieskie garnizony. Taką sytuację zastał Richelieu, gdy doszedł do władzy.



KRYZYS RZĄDOWY 1623-1624

We wrześniu 1622 roku Grzegorz XV mianował biskupa Richelieu kardynałem. Wnet zrezygnuje on ze swego biskupstwa w Luçon; nie pojedzie po kapelusze do Rzymu (dostanie go z rąk króla Ludwika, w Lyonie, 22 grudnia 1622 roku: podziękuje pompatycznie monarsze, ale kapelusze złoży u stóp królowej-matki, na znak, iż jej go zawdzięcza); nie pojedzie też później na konklawe po śmierci Grzegorza XV. Najwyraźniej nie chciał przegapić momentu, w którym zacznie się zmieniać ekipa rządowa i można będzie wskoczyć do środka.

W rządzie coś się istotnie zaczęło ruszać, ale nic stąd dobrego dlań nie wynikło. Jeannin, jedyny „brodac”, którego sympatię Richelieu zdołał pozyskać, zmarł, zanim zdołał mu pomóc. Brûlartowie wydawali się niezniszczalni i ciągle mu blokowali drogę politycznej kariery. Nie wymagało to wielkiego wysiłku, bo Ludwik XIII z obsesyjną nieufnością spoglądał na konfidenta swojej matki. Fontenay pisze, że raz na widok kardynała Richelieu król rzekł: „Oto człowiek, który bardzo chciałby wejść do mojej Rady, ale po tym wszystkim, co przeciw mnie zdołał, nie jestem w stanie zdecydować się na to”. Ministrowie widzieli w nim jedyne poważnego rywala. „Kardynał Richelieu - raportował nuncjusz Corsini - nigdy nie zdoła dojść z nimi do porozumienia, tak bardzo boją się oni jego talentu, inteligencji i zbyt mocnej głowy [*troppo gagliardo cervello*]”. Sam zainteresowany tak to oceniał: „W każdej epoce można obserwować, iż pod rządem słabych ministrów wielka reputacja jest równie niebezpieczna jak reputacja zła... Można było jedynie liczyć na działanie upływającego czasu i jakoś się pocieszać w tym oczekiwaniu zmiany”.

Zmiana nastąpiła, ale jak się mogło wydawać, dla Richelieuego niekorzystna. Oto w styczniu 1623 roku odszedł uczciwy szef finansów, hrabia Schomberg, ongiś lojalny współpracownik biskupa Luçon, a jego miejsce zajął Charles markiz de La Vieuville. Tytuł markiza niech nas nie wprowadza w błąd: pochodził z rodziny urzędniczej, świeżo uszlachconej. Był kapitanem straży przybocznej króla, miał świetne stosunki z Ludwikiem XIII, bo wybornie polował. Co ważniejsze, miał również powiązania ze światem finansistów; jego teściem był ruchliwy i bogaty finansista Beaumarchais. Nie pierwszy to minister z takimi związkami: legitymował się nimi wygnany Barbin. Nie pierwszy to też przypadek, że oficer wziął zarząd Skarbu państwa, bo przed nim byli np. Sully i Schomberg. Wojna jest przecież jednym z najważniejszych działań ówczesnego budżetu, a dowódcy na stanowisku szefów Skarbu potrafią zadbać o potrzeby armii.

Vieuville do spółki z teściem zdołał przekonać króla, że Schomberg wybrał awansem dochody państwa za rok 1623, że kredyt Skarbu jest poderwany - co praktycznie uniemożliwiałoby wojowanie z Hiszpanami o Walsztyn. Cóż można zrobić, jeśli się jednak chce prowadzić politykę „wielkości i sławy Korony”? Trzeba uzdrowić budżet, przywrócić kredyt u

finansistów, dokonać niezbędnych oszczędności. Vieuville obiecał, że to właśnie zrobi. Brûlartowie nie bali się tego konkurenta, który miał być jedynie technikiem finansów powołanym na czas trudności Skarbu. Rzeczywiście, Vieuville zdołał uporządkować sprawy finansowe. Budżet roku 1622 był bardzo napięty z powodu kosztów wojny domowej, wydatki wynosiły około 50 milionów liwrów; budżety z lat 1623-1624 zmniejszyły się do trzydziestu kilku milionów zrównoważonych dochodów i wydatków. Sukces ten osiągnął Vieuville dzięki oszczędnościom na wydatkach dworu, pensjach i wojsku. Ale redukcje wydatków wojskowych wymagały oczywiście zabezpieczeń, toteż Vieuville zaczął mieszać się do wielkiej polityki, którą Brûlartowie uważali za swój zastrzeżony teren. Sytuacja międzynarodowa poprawiła się trochę w 1623 roku: nowy papież Urban VIII był przychylny Francji, co stwarzało nadzieje na uregulowanie kwestii Walteliny, w Niemczech rząd francuski mógł lawirować dość zręcznie między protestantami i Ligą katolicką sterowaną przez Maksymiliana Bawarskiego, rywala Habsburgów. Ta pomyślna koniunktura ułatwiała oszczędności, pozwalała bowiem zmniejszyć armię i ograniczyć garnizony.

Był, owszem, pewien sygnał ostrzegawczy. W poszukiwaniu dróg równoważenia budżetu Vieuville trochę podniósł podatki, czego unikano przez bardzo wiele lat. Wywołało to natychmiastową reakcję ludową: po długim okresie spokoju społecznego przyszła fala rewolt. Rząd zrozumiał ostrzeżenie, w latach 1624-1626 nie powtarzano już niebezpiecznych prób przykręcania śruby podatkowej. W sumie król ocenił wysoko skuteczność działań skarbowych pana de La Vieuville.

Ułatwiło mu to rozegranie pojedynku z Brûlartami. Maria Medycejska i Richelieu bardzo chcieli rozprawić się z nimi, jednakże różne intrygi, które wymyślał kardynał, nie skutkowały. La Vieuville sam, bez pomocy Richelieugo, doprowadził do upadku panów de Sillery i de Puisieux. Król ich zdymisjonował i zagroził nawet śledztwem parlamentu: stało się to 4 lutego 1624 roku. Nuncjuszowi Corsiniemu Ludwik XIII tłumaczył, że Brûlartowie ukrywali przed nim ważne informacje zmieniali jego dyrektywy, instruowali posłów bez jego wiedzy, a wreszcie przywłaszczali sobie część pieniędzy przeznaczonych na subsydia dla cudzoziemców. Kanclerz Sillery zmarł kilka miesięcy później, Puisieux nigdy już nie wrócił do polityki.

Vieuville zreformował strukturę rządu, sprawy zagraniczne i wojnę - spadek po panu de Puisieux - rozparcelował między czterech sekretarzy stanu, postaci nijakich, w istocie tylko wykonawców; strażnikiem pieczęci, a więc główną postacią w polityce wewnętrznej, był równie bezbarwny pan d'Aligre, kreatura króla. To znaczyło, że całą polityką zagraniczną i wewnętrzną mieli kierować król i Vieuville. Ludwik XIII znów postanawiał przyłożyć się solidnie do rządzenia krajem.

Opinia publiczna była zdziwiona, królowa-matka zmartwiona tym, że cała ta ministerialna rewolucja nie dała dostępu do władzy kardynałowi Richelieu, o którego talentach coraz więcej mówiono. Vieuville nie widział oczywiście żadnego powodu, aby wpuszczać takiego lisa do swojego kurnika. Ale główną przeszkodą była ciągle awersja króla do Richelieugo. Przez długi czas Ludwik uważał kardynała za człowieka nielojalnego,

dawną kreaturę Conciniego i rebelianta w drugiej wojnie matki z synem. Teraz coś jakby zaczynało się zmieniać, być może nie bez wpływu ciągłych molestowań Marii Medycejskiej. Jej polityka przyjęta po pokoju w Angers, to znaczy okazywanie królowi czułości dobrej matki i uległości wiernej poddanej, zaczynała kruszyć nieufność Ludwika. W końcu nie był już dziewięcioletnim dzieckiem, które łatwo było ujarzmić po śmierci Henryka IV! Poseł Toskany, Gondi, raportował swemu władcy tuż po upadku Brûlartów, że król ma jeszcze wątpliwości „które nie dotyczą wierności kardynała [Richelieu], lecz jego pełnego pychy i władczego umysłu”. Jednakże Ludwik nie odmawiał już słuchania tego, co kardynał ma mu do powiedzenia, a ten potrafił dobierać argumenty. Już jesienią 1623 roku dyplomata wenecki Pesaro raportował swemu Senatowi, że Richelieu „z całą pilnością stara się podnieść swą reputację u króla i zapewnić sobie jego afekt podsuwając mu idee chwały i wielkości jego Korony”. To była bardzo dobra taktyka.

Zadecydowało bez wątpienia przeświadczenie króla, że powaga sytuacji międzynarodowej wymaga ulokowania w Radzie królewskiej utalentowanego i finezyjnego dyplomaty. Przesądziło sprawę poparcie La Vieuville'a dla Richelieugo: szef rządu znużył się atakami Marii Medycejskiej. Podobno powiedział królowej-matce, że i on, i ona kiedyś pożałują tego wpuszczenia do rządu jej protegowanego. Na wszelki wypadek zaproponował królowi pewne ograniczenie działań Richelieugo. Miał on wejść - i wszedł - do Rady jako pełnoprawny jej członek (inne interpretacje są błędem powielanym przez wielu historyków); jednakże powiedziano mu, że ma wyrażać opinie tylko w Radzie, że mu nie wolno przyjmować obcych dyplomatów i pracować nad papierami państwowymi w domu. Oznaczało to, po pierwsze, że wchodził do Rady jako specjalista od dyplomacji; po drugie, że król i Vieuville chcieli go kontrolować bardzo ściśle. Sam Richelieu pisał, że najpierw odmawiał przyjęcia takiej roli, później się zgodził. Posłowi Toskany Gondiemu powiedział, że to słabe zdrowie nie pozwala mu przyjmować nikogo w domu... Gondi nie dał się nabrać, raport jego stwierdzał, że król i członkowie Rady przyjęli Richelieugo chłodno, że zdrowie kardynała wcale nie jest takie złe, że udaje on tylko skłonność do spokojnego życia. Obserwatorzy zagraniczni byli zgodni, że Richelieu będzie zmierzał do zajęcia pozycji szefa rządu. Oto opinia Wenecjanina Pesaro: „Kardynał panuje nad królową-matką; uważa się, że dzięki swym zaletom jest on najbardziej inteligentną i przenikliwą osobistością tego królestwa, zdolną do wielkich rzeczy; amator bogactw, chciwy zaszczytów, pragnie rządzić sam... Można sądzić, iż w niedługim czasie będzie on jedynym sternikiem okrętu w całej sferze spraw państwa”.

Po raz pierwszy zasiadł w Radzie króla Ludwika XIII - bo poprzednio był w Radzie królowej-matki - w Compiègne, gdzie właśnie przebywał dwór, 29 kwietnia 1624 roku, o godzinie drugiej po południu. Nie opuścił królewskiej Rady aż do śmierci.





IV. KREATURA KRÓLA



OŻYWIENIE DYPLOMACJI

Maria Medycejska była szczęśliwa i zachwycona polityczną promocją kardynała Richelieu, podejrzewano wszelako, że są to uczucia egoistyczne, „nie dla niego [kardynała], lecz z powodu tego publicznego świadectwa przychylnych uczuć, jakie do niej żywi jej syn król, a także dobrego rozumienia się ich obojga, wreszcie wolnego od cieni”: tak to oceniał świetnie ją znający rodak, Gondi. Niektórzy badacze określają lata 1624-1630 jako rodzaj triumwiratu, okres rządów Ludwika XIII, Medyceuszki i kardynała Richelieu.

No, na razie był to raczej duumwirat króla i Vieuville’a. Ten ostatni zdynamizował wyraźnie działania dyplomatyczne Francji po długim okresie kunktatorskiej ostrożności „brodaczy”. Chciał pokazać, że jest politykiem dużego formatu, a nie tylko zręcznym technikiem skarbowym i tubą wielkich finansistów.

Trzy sprawy popchnął Vieuville, choć nie wszystkie zdołał doprowadzić do końca; trzy sprawy mające wspólny mianownik, dążenie do mieszania szyszków Hiszpanom. Najprostsze było zawarcie układu ze Zjednoczonymi Prowincjami, uwikłanymi w ciężką wojnę z Hiszpanią. Francja, zainteresowana podtrzymaniem oporu Holendrów, zapewniła im sojusz polityczny i milionowe subsydia. To sukces Vieuville’a. Alians holenderski zawarto w początku czerwca 1624 roku.

Druga kwestia to mariaż angielski, a więc wydanie siostry Ludwika XIII Henriety za angielskiego następcę tronu Karola Stuarta. Mariaż ten miałby kolosalną zaletę: zapobiegałby rysującemu się uprzednio zbliżeniu Anglii i Hiszpanii (negocjowana bowiem była, z inicjatywy angielskiej, kwestia małżeństwa Karola Stuarta z hiszpańską infantką). Takie zbliżenie ogromnie by wzmocniło Hiszpanię: ułatwiłoby jej grę w Europie północnej (wokół Holandii, Niemiec, regionu bałtyckiego) a także ubezpieczyłoby jej olbrzymie imperium kolonialne. Z kolei mariaż francusko-angielski miałby wielkie znaczenie dla Francji. Paraliżowałby nadzieje hugenotów na angielską pomoc, byłby też jakąś próbą zrównoważenia umacniającego się sojuszu obu linii Habsburgów. Poprzednio dość luźne związki Hiszpanii z cesarzem rzymsko-niemieckim zaczęły się bowiem zacieśniać po wybuchu wojny trzydziestoletniej, a zwłaszcza po dojściu do władzy Olivaresa. „Dobrzy Francuzi”, tolerancyjni religijnie i nienawidzący Hiszpanii bardzo pragnęli mariażu angielskiego, ale, o dziwo, także dewoci, z Marią Medycejską, matką panny młodej, życzliwie przyjęli projekt wydania

Henriety Marii Francuskiej za heretyckiego księcia Walii. Liczyli bowiem na to, że Henrieta będzie misjonarką wiary katolickiej na pokojach dworu Świętego Jakuba i w sypialni przyszłego króla Anglii; w każdym zaś razie zakładali, że kontrakt małżeński będzie zawierał klauzule poprawiające radykalnie status licznych wciąż i bardzo dyskryminowanych angielskich katolików. Gra była warta świeczki.

Richelieu się niecierpliwił: „Sprawa mariażu angielskiego nie posuwa się naprzód i jest to wina pana de Vieuville” - pisał. To twierdzenie niełojalne. Rokowania z angielskimi wysłannikami, Kensingtonem i Carlislem, były piekielnie trudne. Angielski Jakub I interesował się szansą odzyskania palatynatu reńskiego dla swego zięcia, niefortunnego „zimowego” króla Czech Fryderyka; Francja skłonna była poprzeć roszczenia do palatynatu księcia Maksymiliana Bawarskiego, którego Paryż chciał widzieć w roli szefa niemieckiej „trzeciej partii”, katolickiej, ale antyhabsburskiej. Sugestie angielskie, by Francji w ogóle zerwała z Hiszpanią, były zupełnie nie do przyjęcia. Z drugiej strony dwór angielski musiał się liczyć z nastrojami własnej opinii społecznej, a zwłaszcza Izby Gmin: Anglicy nieufnie przyjmowali wszystkie flirty Stuartów z katolicyzmem, co bardzo utrudniało wyrażenie zgody na francuskie postulaty w kwestii swobody kultu katolickiego w Anglii.

Trzecia kwestia pałaca: Waltelina. Vieuville odrzucił projekt papieża Urbana VIII, którego garnizony wciąż kontrolowały dolinę, by Waltelina została zdemilitaryzowana i oddana Gryzonom, Hiszpanom zaś przyznane prawo przejścia, ale tylko z Italii do Niemiec. Taki kompromis Vieuville’owi nie odpowiadał; liczył on na zmonopolizowanie przejścia dla Francuzów i ich aliantów. Wysłał do Szwajcarii jako ambasadora nadzwyczajnego Hannibala d’Estrées, markiza de Coeuvres. Energiczny pan d’Estrées, brat sławnej kochanki Henryka IV, Gabrieli, zaczął przygotowania do wyrzucenia papieskich garnizonów z Walteliny: szybko i sprawnie robił wojskowe zaciągi.

Nowy członek rządu, kardynał Richelieu, ongiś uważany za „ministra hiszpańskiego”, nie mógł ani nie chciał krytykować takiej polityki Vieuville’a; nie proponował też dla niej alternatywy. Od czasu swej „niewoli awiniońskiej”, która się zbiegła z postępami hiszpańskiej ekspansywności, Richelieu bardzo negatywnie oceniał politykę hiszpańskich Habsburgów i rozważał perspektywy jej przyhamowania. Od czasu zaś gdy Maria Medycejska wróciła do Rady, Richelieu przez jej usta domagał się wygnania Hiszpanów z Walteliny. Teraz, jako członek Rady, stanowczo wypowiadał się przeciw przedłużaniu papieskiego „depozytu” - jak to nazywano - w Waltelinie.

Richelieu nie był więc w stanie zaatakować Vieuville’a na gruncie zasad i kierunków jego polityki zagranicznej. Trudno mu też było krytykować koncepcję porządkowania finansów państwa, bo tu Vieuville miał poparcie króla. Jednakże na obu tych obszarach podjął atak przeciw sposobom działania szefa rządu. Wykorzystał całą grupę specjalistów od pamfletu politycznego, podobnie jak przedtem, w 1617 roku przeciw zbuntowanym książętom, w 1621 przeciw Luynesowi, w roku 1623 przeciw słabym rządóm Brûlartów. Od początku Richelieu doskonale wyzyskiwał dobrą

propagandę polityczną dla wypromowania swojej osoby, swoich opinii i swojej polityki. Propaganda była dobra, bo robili ją fachowcy, ze znakomitym pamflecista, kanonikiem Franciszkiem Langlois de Fancan z paryskiego kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois. Postać to malownicza, bardzo typowa dla wspomianej już orientacji „dobrych Francuzów”, patriotycznej i rojalistycznej, antyhiszpańskiej i antyhabsburskiej, galikańskiej i tolerancyjnej w stosunku do hugenotów, żądającej silnego rządu i aktywnej polityki zagranicznej. W 1623 roku Fancan inteligentnie i brutalnie atakował słabość Brûlartów (*Dialog umierającej Francji*); teraz napadł na Vieuville'a, nieudolnego polityka i intryganta (*Głos publiczny do króla*).

Richelieu i jego propagandowe ogary podjęli nagonkę na Vieuville'a za jego „skapstwo”, to jest złą politykę oszczędności. Oto bowiem szef rządu poprzez redukcję armii i pensji „odebrał chleb” wielu zasłużonym ludziom, To argument na użytek opinii szlacheckiej. Ale zarazem są inne argumenty, przemawiające do szerszych kręgów: Vieuville pozwala wielkim finansistom okradać Skarb i poddanych króla, zadłuża u nich państwo, pozwala na przeniewierstwa i lichwiarskie procenty (teść szefa rządu Beaumarchais był wymieniany z nazwiska jako szczególny zdzierca). Miało to przemówić do wyobraźni króla. Jednakże dla Ludwika XIII rezerwowano inne jeszcze rewelacje: Vieuville uprawia samowolę w rokowaniach międzynarodowych. Oto np. żąda od Anglików, by w kontrakcie mariażu Henriety i Karola Stuarta umieścili klauzulę o swobodzie kultu katolickiego w Anglii - ale daje im do zrozumienia, że nie będzie zdziwiony, jeśli nie zrealizują takiej obietnicy. Albo inny rodzaj kabały: Vieuville wysyła za granicę agentów dyplomatycznych bez wiedzy rządu lub z innymi instrukcjami, niż uzgodniono w Radzie.

Do błędów dyplomatycznych i samowoli Vieuville dodał jeszcze grzech nieostrożności: wymykały mu się bardzo nierozważne słowa o królu i królowej-matce. Musiało się to źle skończyć. 13 sierpnia 1624 roku otrzymał od Ludwika XIII dymisję i został uwięziony w zamku Amboise, z którego zresztą później uciekł. W okólniku do francuskich dyplomatów król wyjaśniał, że to nie zarząd finansowy Vieuville'a, lecz jego samowola w akcji dyplomatycznej stała się przyczyną tej niełaski. Na placu jako główna osobistość rządowa pozostał kardynał Richelieu, ale pozycja jego była bardzo, bardzo krucha.



PIERWSZE SUKCESY, PIERWSZE TRUDNOŚCI

Na razie zmiany ekipy rządowej ograniczyły się do wyszukania nowego szefa finansów. Król zapytał Richelieugo, kogo by proponował, i zgodził się z jego pomysłem: do rządu wrócił hrabia Schomberg, który do początku 1623 roku zajmował się finansami; jego pomocnikiem został Michel de Marillac, doświadczony funkcjonariusz, człowiek z otoczenia Marii Medycejskiej. Wkrótce po upadku Vieuville'a zmarł stary kanclerz Sillery, więc Ludwik XIII mianował kanclerzem swą kreaturę, strażnika pieczęci

d'Aligre. Schomberg aż do śmierci był lojalnym pomocnikiem i przyjacielem kardynała, d'Aligre zaś był o wiele za krótki, by zagrozić jego dominującej pozycji.

Owa dominująca rola Richelieugo w rządzie - to tylko stan faktyczny. Nigdy nie otrzymał on formalnej nominacji na stanowisko pierwszego ministra, dopiero po latach król mu nadał tytuł ministra „głównego” (*principal ministre*). Niemniej sam fakt - zupełnie niezwykle - że konsultował się z nim przed nominacją następcy po Vieuville'u, pokazuje, iż król uznał Richelieugo za faktycznego szefa ekipy rządowej. Inteligentny poseł Toskany Gondi pisał, że „ta nowa struktura (*questa machina*) nie zawali się równie łatwo, jak to zwykle bywało”. Za taką śmiałą prognozą przemawiały bezsporne talenty kardynała Richelieu, brak wybitnych rywali na politycznej scenie, trudna sytuacja międzynarodowa, wreszcie przychylne przyjęcie Richelieugo przez obie wpływowe wśród elity faksje, tak dewotów jak i dobrych Francuzów. Dewoci dostrzegali w nim kardynała rzymskiego kościoła, człowieka z otoczenia Marii Medycejskiej, pisarza od lat ostro polemizującego z „herezją” i z hugenockim republikanizmem. Dobrzy Francuzi dostrzegli z kolei, że nie jest to bynajmniej zwolennik „partii hiszpańskiej”, docenili jego rojalizm, łączący program silnego rządu z ideą „wielkości Francji”. Dla dewotów gwarancją była przyjaźń, jaką Richelieugo darzył Ojciec Józef; poparcie udzielane mu przez takich ludzi jak Bérulle również się liczyło. Dobrzy Francuzi widzieli, że w poprzednich latach Richelieu wspólnie z nimi wojował przeciw słabym, uległym wobec Hiszpanów ministrom, że posługiwał się piórem Fancana, ujawniał antyhabsburskie poglądy. Teraz znów Richelieu zachował się zręcznie: zarekomendował do rządu dobrego Francuza Schomberga i obstawił go panem de Marillac, człowiekiem partii dewotów.

Oczywiście taka sielanka nie mogła trwać długo. Uwikłanie polityki w spory religijne stwarzało sytuacje konfliktowe trudne do załagodzenia zręcznym kompromisem. Prawda, na szczyblu politycznych liderów racje polityczne brały górę nad sentymentami religijnymi; Richelieu, ze swą racją stanu wynoszoną wysoko ponad względy konfesjonalne, nie jest w XVII wieku żadnym wyjątkiem. Hiszpania, bastion ortodoksji katolickiej, nie zawaha się wspierać aktywnie protestantów francuskich, gdy dostrzeże w tym szansę osłabienia francuskiego rządu. Ale w opinii społecznej dużo rzadziej spotykamy taki cynizm czy oportunizm. Dewoci będą z oburzeniem przyjmować każdy konflikt Francji z papieżem i monarchiami katolickimi, będą protestować przeciw wszelkim „ustępstwom dla herezji”, to jest ulgom udzielanym hugenockiej wierze. Dobrzy Francuzi potępiają wszystkie kompromisy korzystne dla Hiszpanii i umacniające wpływ papieża. Tymczasem Richelieu był na kompromisy skazany i wnet ściągnął na swoją głowę grad pamfletów, oskarżeń, intryg.

Obiecał królowi, jak pisał potem, „zrujnować partię hugenocką, ukrócić pychę wielmożów, sprowadzić wszystkich jego poddanych na drogę obowiązku i wynieść blask jego imienia wśród obcych narodów tak wysoko, jak mu się należało”. To znaczyło przyjąć program absolutyzmu, zlikwidować hugenockie państwo w państwie, ugiąć wichrzycielskich książąt, prowadzić walkę przeciw potędze domu habsburskiego. Nie był to

program nowy, jako linia polityczna rządu przyjęty został już za czasów Luynesa. Kłopot polegał na tym, że dotychczasowym rządowi brakowało środków materialnych, a czasem i energii, by program ów skutecznie realizować. Energii i zęczności Richelieu miał w nadmiarze, natomiast z pieniędzmi wciąż było krucho; różne zawile problemy międzynarodowe i wewnętrzne wywierały nań presję i doprawdy nie można było chwytać wszystkich srok za ogon jednocześnie.

Podobnie jak jego poprzednicy od czasów Luynesa, Richelieu przyjął prawidłową kolejność: najpierw uporządkować sprawy wewnętrzne, potem aktywizować politykę zagraniczną. Część roboty już wykonano przed jego powrotem do władzy; nadwątlona przecież została polityczna potęga hugenotów. Ale porządkowanie spraw wewnętrznych - to także pobudzenie do pracy słabego, rutynowego rządu, uzdrowienie finansów, wzmocnienie kontroli nad skorumpowanym, wymykającym się spod wpływu rządu aparatem administracyjnym, poskromienie wichrzycielstwa wielmożów. „Nie można już było kontynuować metod postępowania ludzi, którym Wasza Królewska Mość powierzał ster państwa, bez ryzyka utraty wszystkiego - pisał dużo później Richelieu. - Z drugiej strony nie można było zmienić od razu tych metod bez pogwałcenia reguł przezorności, która nie pozwala przerzucać się od jednej skrajności do drugiej, bez stosowania metod pośrednich”. Do unikania gwałtownych gestów, do giętkości i kompromisów musiała skłaniać Richelieu również kruchość jego osobistej pozycji: nie cieszył się przecież wielkim zaufaniem króla, zaś doświadczenie uczyło, że łaski skrytego, nieufnego i podejrzliwego Ludwika XIII jeździły na pstrym koniu. Swoboda manewru szefa rządu była wskutek tego bardzo ograniczona. Dodajmy jeszcze, że wnet się okazało, iż dwór jest kłębowiskiem żmij; konspiracje i intrygi dworskich koterii musiały absorbować wielką część energii Richelieu.

Wszechstronność jego ambicji nie była tylko produktem osobliwego mariażu talentu i pychy. Skoro przyjął program rządów absolutnych, musiał ogarniać politycznym działaniem bardzo rozległe pola życia społecznego, bo taka przecież jest sama natura absolutyzmu. To znaczy, że nie mógł się ograniczać do dyplomacji, wojska i „wielkiej” polityki wewnątrz kraju. Nagle upolityczniały się, na skalę dotąd nie spotykaną, różne obszary produkcji, handlu, nawigacji, publicystyki, literatury, teatru... Aby sobie z tym wszystkim dać radę, nie wystarczały jedynie talent i charakter. Trzeba też było doświadczenia.

Z jakim więc bagażem doświadczeń obejmował Richelieu ster rządu wielkiego, zamożnego, ale trapionego chorobami państwa? Nie da się nawet porównać tego bagażu do zasobu doświadczeń Luynesa czy Vieuville'a, gdy tamci stawali za sterem. Rzecz nie w wieku, bo Richelieu miał w tym kluczowym momencie 39 lat, Luynes dokładnie tyle samo, zaś Vieuville 42 lata. Ale droga Richelieu do władzy była dużo bardziej urozmaicona. Zdobył za młodu elementy wiedzy wojskowej. Jako bardzo aktywny biskup odległej diecezji poznał świetnie francuską prowincję, jej małe miasta, jej atlantyckie wybrzeże, drobną szlachtę, mieszczan, lokalną administrację, sytuację fiskalną, stan gospodarki. Później udało mu się dokładnie rozgryźć mechanizmy życia dworskiego, jego koterie, układy,

intrygi. Przyglądał się z bliska - a nawet pomagał - wojnie domowej arystokracji z rządem. Sprawdził się wcale nieźle jako efemeryczny minister spraw zagranicznych i wojny. Znał kurię rzymską. Solidne lektury podbudowały jego żywą inteligencję, przeciwności utemperowały jego niecierpliwość.

W bardzo chwiejnej sytuacji nowego szefa rządu potrzebne mu były szybkie sukcesy. Osiągnął je już w 1625 roku, w dwu ważnych sprawach: Walteliny i mariażu angielskiego. To nic, że załatwienie problemu Walteliny nie okazało się definitywne, że sojusz z Anglią rychło się rozchwiał. Ważne było samo powodzenie jego przedsięwzięć. Ale czy rzeczywiście jego?

Zauważono, że Richelieu temperował gniew króla na pana de La Vieuville, który uniknął procesu, a po ucieczce z Amboise rychło został ułaskawiony. Łatwo to wyjaśnić niechęcią do stwarzania precedensów przesadnie surowego traktowania upadłych gwiazdorów polityki: co dziś się zdarzyło Vieuville'owi, za rok mogło się przydarzyć panu de Richelieu. Gdyby przy tym przyjrzeć się uważnie owym pierwszym sukcesom nowego „sternika”, toby się okazało, że Richelieu zbierał to, co Vieuville zasiał. Kardynał powinien był z wdzięcznością wspominać swego poprzednika. To przecież Vieuville ożywił francuską dyplomację po długim zastoju, popchnął ją ku sojuszom protestanckim (układ z Holandią, rokowania o mariaż angielski) i ku bardziej zdecydowanym krokom przeciw Hiszpanom i prohiszpańskiej polityce papieżstwa (misja pana d'Estrées w sprawie Walteliny). Kardynałowi, człowiekowi Marii Medycejskiej, trudno byłoby przyjąć od razu taki kurs, dużo łatwiej działania już podjęte kontynuować.

No, i tak było mu nielekkko. Dewoci okazali niemiłe zaskoczenie akcją generała d'Estrées, który jesienią 1624 roku zaatakował energicznie papieskie garnizony i opanował forty w dolinie Addy. Waltelina została zamknięta dla Hiszpanów, ale dewoci byli wściekli: oto Francja robi afront papieżowi, prowadzi wojnę z jego żołnierzami! Urban VIII także nie miał ochoty okazać, iż chrześcijańska pokora jest jego główną cnotą. Wysłał do Paryża swego bratanka i szefa dyplomacji papieskiej, kardynała Francesco Barberiniego, który miał skłonić Francuzów do zwrotu zajętych fortów waltelińskich i przyjęcia kompromisowych rozwiązań co do przyszłości doliny. Młodzi paryżanie źle przyjęli papieskiego legata: koło katedry Notre-Dame zrzucano go z muła i porwano mu zwierzę; legat musiał szukać schronienia w katedrze. Poszkodowany był i 17-letni brat króla Gaston, którego koń spłoszył się i przygniótł jeźdźca. Niechętny papieżowi gallikanizm wydaje się nam nieraz orientacją elitarną, typową dla części kleru i szlachty, dla burżuazji, urzędników, intelektualistów. Ale szczepił się i on na starym, ludowym antyklerykalizmie. Legat nic nie zdziałał i wyjechał z Francji obrażony. Bassompierre zanotował w pamiętniku kostychną uwagę hiszpańskiego ambasadora Mirbela: „Barberini świetnie udowodnił, że jest młodzikiem i niedoświadczonym negocjatorem”.

Richelieu nie miał żadnych religijnych skrupułów na tle politycznego konfliktu z papieżem. Tuż po objęciu steru pisał do francuskiego ambasadora w Rzymie, w związku ze sprawą papieskich garnizonów w

Waltelinie: „Król nie życzy sobie więcej, by go zabawiano. Zmienił on ministra, a minister zmienił zasady działania”. Jeśli coś go mogło niepokoić, to reakcje wewnętrzne na gniewy i dąsy papieża. No i, oczywiście, stanowisko Hiszpanii: to ona, a nie papieństwo, była głównym przeciwnikiem Francji w grze o Waltelinę. Na szczęście król Ludwik był, jak się rzekło, zdecydowanie antyhiszpański i mocno zirytowany całą sprawą Walteliny. Aby rozszerzyć społeczne poparcie dla stanowczej polityki wobec Hiszpanii i papieństwa, Richelieu skłonił króla do zwołania Rady królewskiej w rozszerzonym składzie, z udziałem książąt, przedstawicieli parlamentu, dowódców wojskowych, kardynałów. Odbyła się ona w Fontainebleau 29 września 1625 roku.

Richelieu zρέcznie wypuścił na pierwszy plan kanclerza d'Aligre i Schomberga, którzy wygłosili wojownicze przemówienia. Książęta kościoła nie byli jednomyślni: La Rochefoucauld i Sourdis opowiadali się za zawieszeniem działań wojennych, natomiast kardynał de La Valette poparł rząd. Tak sarno poparli politykę rządu marszałek de Bassompierre i pierwszy prezydent parlamentu de Verdun. Maria Medycejska była bardzo ostrożna, ale niechętna konfliktowi z Hiszpanią i papieństwem. To już pierwsza, bardzo lekka rysa na jej stosunkach z kardynałem Richelieu. Bo jego przemówienie miało wyjątkowo mocny ton. Oświadczył, że pokój jest pożądany, ale nie wolno dopuścić do naruszenia honoru Francji. Oskarżył legata Barberiniego, że „przybył do Francji nie po to, by zawrzeć pokój, lecz aby pomóc Hiszpanom i osłabić determinację francuskiej Korony”. Stwierdził, że jedynym argumentem przeciw wojnie jest brak pieniędzy, ale szefowie finansów zapewniają, iż mają rezerwę na cztery miesiące wojowania. Ludwik XIII, konkludując, przyjął wojownicze opinie większości Rady.

W istocie gra Richelieugo - pierwsza poważna polityczna akcja po objęciu władzy - była bardzo cienka, wręcz wirtuozerska. Chciał osiągnąć swe cele: oddać Waltelinę Gryzonom i zamknąć ją dla Hiszpanów, ale pragnął to mieć bez wojny. Otwarta wojna z Hiszpanią byłaby tym większym hazardem, że w początku 1625 roku hugenoci pod wodzą Rohana i Soubise'a zdecydowali się na otwarte wystąpienie przeciw rządowi. Soubise zagarnął położone tuż obok Roszeli ważne strategicznie wyspy Ré i Oléron, władza w Roszeli dostała się w ręce protestanckich radykałów, którzy usunęli ostrożną, rojalistyczną oligarchię kupiecką, dotąd dominującą w radzie miejskiej.

To prawda, że kampania przeciw hugenotom z 1625 roku była łatwiejsza niż poprzednie. Protestanckie miasta Gujenny i Langwedocji nie poparły jednomyślnie i zdecydowanie tej wojny, Anglia i Holandia nie dały hugenotom pomocy, przeciwnie - dostarczyły okręty wojenne, świetnie wyposażone, królowi Ludwikowi. Dzięki tej pomocy udało się gładko pobić Soubise'a na morzu. Ale agenci Rohana nawiązali w Sabaudii ultratajne kontakty z wysłannikami Madrytu: Hiszpania gotowa była wspierać czynnie „heretycką” rebelię! Richelieu, który od początku dbał o świetną informację, zdołał się dowiedzieć o tych sekretnych rozmowach Rohana z Hiszpanami. Zresztą i bez pomocy Hiszpanii hugenoci odzyskaliby niemal bez walki utracone w latach 1620-22 pozycje, gdyby

tylko Francja zaczęła otwartą wojnę z Madrytem. Trzeba by było wtedy wycofać królewskie garnizony z południa Francji i cała potęga hugenocka zaraz by się tu odtworzyła!

Nie można więc prowadzić dwu wojen jednocześnie, z Hiszpanią i hugenotami. Richelieu perswaduje królowi, w memoriale z maja 1625 roku, że póki rząd się nie upora z hugenockim państwem w państwie - nic nie da się zrobić wielkiego przeciw Hiszpanom. Skoro zaś grozi wojna i z jednym, i z drugimi - należy wygasić oba konflikty, i to na warunkach najkorzystniejszych dla Ludwika XIII.

Sukcesy militarne rządu ułatwiły zawarcie pokoju z hugenotami. Uzgodniono go w końcu 1625 roku, ratyfikowano 6 lutego 1626 roku. Warunki pokoju przywracały w zasadzie stan sprzed wybuchu działań. To wygodne dla hugenotów z południa, mniej korzystne dla Roszeli. Rząd nie zburzy swego bastionu Fort-Louis, czego żądali roszelczycy; do Roszeli powróci też dawna władza, umiarkowana i rojalistyczna, powiązana z mieszczańską oligarchią. Radykałowie będą musieli odejść z rady miasta.

Historia zawarcia pokoju z Hiszpanią (traktat monzoński z marca 1626 roku, ratyfikowany w maju) jest szczególnie zawikłana, ale smakowita. Zważmy najpierw, że w konflikty z Hiszpanią wplątani byli przede wszystkim alianci Francji (Gryzonowie, Wenecja, Sabaudia), zaś Francuzi woleli grać rolę wspierających ich przyjaciół. Tak d'Estrées wyrzucił papieskie garnizony z Walteliny w imię praw Gryzonów i dla ochrony interesów Wenecji, której hiszpańska władza nad Walteliną groziła uduszeniem. W tymże czasie Francuzi pomagali zbrojnie księciu Sabaudii w wyprawie przeciw republice geneueńskiej, sojuszniczce Hiszpanii. Genua była ważna: to główny port, przez który przerzucano transporty wojska z Hiszpanii do Italii. Sabaudzki atak nie przyniósł zresztą sukcesu. Trzecim przedsięwzięciem, podjętym wspólnie przez Francję, Wenecję i Sabaudię, było przyjęcie na żołd i wysłanie do okupowanego przez Hiszpanów pałatynatu reńskiego kondotierskiej armii sławnego generała Ernsta Mansfelda.

Wszystkie te działania Francji oznaczały ukrytą wojnę; poszły za nimi inne jeszcze kroki: konfiskaty dóbr francuskich w Hiszpanii, przerwanie przez Ludwika XIII wymiany handlowej z Hiszpanią. Jednakże Richelieu pragnął jedynie, by Hiszpanie zrozumieli, że rząd francuski porzucił politykę wahań. Za wojowniczymi przemówieniami na Radzie w Fontainebleau nie kryła się intencja wszczynania otwartej wojny. Bardzo to irytowało sojuszników Francji, Wenecjan i Sabaudów. Pragnęli oni wciągnąć Ludwika XIII w działania wojenne na pełną skalę. To rozumiało: byli rzeczywiście zagrożeni przez hiszpańską ekspansywność w Italii, ich terytoria były bezpośrednia narażone.

Można wszelako zrozumieć również i politykę Richelieugo, który chciał osiągnąć swoje cele bez wojny z Hiszpanią. Natomiast wstydliwym epizodem, nad którym francuscy historycy wołają się nie rozwodzić, było wystawienie sojuszników do wiatru i rozpoczęcie rozmów o odrębny pokój z Hiszpanią bez wiedzy Wenecji i Sabaudii. Wiele więc pisano o błędnej, nieodpowiedzialnej postawie ambasadora Francji w Madrycie Fargisa; o niechęci Richelieugo do ratyfikowania układu, który wynegocjował Fargis;

o presji Marii Medycejskiej i dewotów, przed którą Richelieu uległ, gdy godził się na ratyfikowanie owego pokoju monzońskiego. Wszystko to nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością.

Rokowania Fargisa, podjęte na polecenie Richelieugo w końcu roku 1625, miały rozstrzygnąć sprawę Walteliny. Były tu dwa punkty sporne: prawo przejścia przez dolinę i władza Gryzonów nad katolickimi mieszkańcami Walteliny. W pierwszej kwestii Hiszpanie, pogrążeni po uszy w wojnie z Holandią i w konflikcie o palatynat, ustąpili: zgodzili się wreszcie na francuski monopol przejścia. Ale w drugiej sprawie pierwotna wersja układu zawierała sformułowania tak mętne, że dawały one Hiszpanii i papieżowi pole do różnych interpretacji i możliwości unicestwienia pierwszego, dla Francji zasadniczego punktu. Toteż instrukcje króla i Richelieugo dla Fargisa z 4 lutego 1626 roku polecały mu wynegocjować poprawki. Jeśli Olivares się zgodzi - pisano w owych instrukcjach - to Fargis ma wyjaśnić nuncjuszowi papieskiemu i posłom aliantów Francji, że on sam, na własną odpowiedzialność, podpisał traktat. Jeżeli zaś Olivares odmówi przyjęcia poprawek, Fargis musi natychmiast wracać do Francji, uzgodniwszy wprzód z Olivaresem zupełną tajemnicę wokół rozmów i nie zostawiając w rękach Hiszpanów żadnego dokumentu świadczącego o tym, iż miał dyrektywę zawarcia układu bez wiedzy i zgody aliantów. Czyli: Richelieu miał po prostu nieczyste sumienie wobec Sabaudii i Wenecji, a Fargisa rezerwował sobie do roli kozła ofiarnego.

Istotnie, Olivares się zgodził, 5 marca Fargis układ podpisał i sojusznicy Francji podnieśli okropny krzyk. Rząd francuski symulował zaskoczenie; król udał, że się bardzo rozgniewał na samowolnego Fargisa i zapewnił posłów Sabaudii i Wenecji, iż dokładnie zbada układ przed jego podpisaniem. Richelieu musiał mocno się zwijać, by uspokoić włoskich aliantów i skłonić ich do uznania faktów dokonanych. Duże nieprzyjemności robili mu też inni sojusznicy, Holendrzy, którzy liczyli na wejście Francuzów do wojny z Hiszpanią. Anglicy i niemieccy książęta protestancy byli bardzo niezadowoleni.

Układ monzoński został wszelako ratyfikowany w maju 1626 roku mimo dąsów i protestów sojuszników. I słusznie: był dla Francji sukcesem. Długa sprawa Walteliny kończyła się dla niej korzystnie. Kończyła się? No nie, jeszcze będą z nią później kłopoty.

W tej zawilej historii dostrzec można klasyczne metody działania księdza kardynała. A więc zupełny brak troski o prestiż i interesy jego duchownego zwierzchnika, papieża, jeśli polityka papieska popada w sprzeczność z interesem narodowym Francji. Richelieu każe strzelać do papieskich żołnierzy w Waltelinie. Kłamię jak z nut nuncjuszowi (nowemu: po Corsinim przyszedł Bernardino Spada). Pokazuje mu depesze do generała d'Estrées z rozkazem zawieszenia działań wojennych w Waltelinie, którym w istocie towarzyszyły tajne rozkazy, by usuwać dalej papieskie garnizony. Legata Barberiniego traktuje z niechęcią i wyższością. Królowi, bardzo przecież pobożnemu, tłumaczy, iż długofalowym interesom kościoła służy zahamowanie agresywności Habsburgów. Nawiasem mówiąc, sama purpura kardynalska Richelieugo jest solidną gwarancją dla katolickiego sumienia króla Ludwika: kryje ona wiele

wątpliwości i skrupułów religijnych, nieuchronnie rodzących się na tle prowadzonej przez Francję polityki.

Eminencja nie ma też żadnych wahań, gdy chodzi o wystrychnięcie na dudka sojuszników Francji. W sprawie układu monzońskiego oszukał ich z całą premedytacją.

Richelieu efektownie pokazuje dwa różne oblicza na użytek dwu kategorii odbiorców. Anglikom, Holendrom, Wenecjanom tłumaczy, że negocjuje z hugenotami, chce tylko uporządkować sprawy wewnętrzne - i zaraz potem zwróci się ku wojnie z Hiszpanami. Do Rzymu wysyła Ojca Józefa, który przez kilka miesięcy, wiosną i latem 1625 roku, przekonywał papieża o gorliwości rządu francuskiego w umacnianiu wiary katolickiej we Francji i za jej granicami. Ojciec Józef (a także Bérulle) to chodząca pobożność i katolicka gorliwość. Ale Ojciec Ignacy, kapucyn ze świty legata Barberiniego, pisał jesienią 1625 roku: „Mówią, że kiedy kardynał Richelieu chce zrobić jakiś dobry kawał, by nie powiedzieć szelmstwo, to zawsze posługuje się osobami pobożnymi”.

Richelieu bardzo nie lubi, gdy się krytykuje jego politykę. Pogardliwie konstataje, że tylko król, on i jeszcze parę osób pojmują *arcana regni*, tajemnice sztuki rządzenia. Czasem nawet nie godzi się na publikowanie pism popierających jego politykę, by nie dawać w ten sposób zaczynu do dyskusji.

Musi jednak odpowiadać na ataki dewotów. Bardzo gwałtownie zarzucali mu - już w tym 1625 roku - makiawelizm, obłudę, zdradę kościoła i wiary. Jego łaskawość dla hugenotów (ugodowy pokój z lutego 1626 roku) i sojusze z heretykami (a także „ateistycznymi” Wenecjanami!) - to pokój Boga z Belialem, alians wody i ognia... Richelieu nazywany jest „arcykapłanem kalwinów”, mówi się o nim: kardynał de la Rochelle. Szczególnie jadowite treści niósł pamflet zatytułowany *Napomnienie dla króla*, być może napisany w jezuickim otoczeniu legata Barberiniego, może zaś pióra niemieckiego jezuita Kellera (Cellarius). Był to gwałtowny atak na sojusze Ludwika XIII z „heretykami” i „ateistami”, na politykę antyhiszpańską (nie wolno atakować sąsiada z powodu jego sukcesów; potęga i powodzenie Hiszpanii nie usprawiedliwiają wojny z Filipem IV). Na takie napaści trzeba replikować, więc wokół Eminencji skupia się luźna grupa publicystów: ich związki z ministrem są zresztą zróżnicowane, bliższe lub dalsze. Czołową postacią jest tu Fancan, zaufany kardynała (posyłał go nawet z misjami dyplomatycznymi do Niemiec). Pisze dla Richelieugo człowiek, który potem będzie jego nieprzejednanym wrogiem, ksiądz Mateusz de Morgues, zdolny pisarz i teolog, kapelan Marii Medycejskiej. Pisze utalentowany literat Jean Sirmont. Są w tej grupie nawróceni protestanci, Jérémie Ferrier i Jacques Pelletier. Współpracuje z tą propagandą Ojciec Józef, wcale dobry publicysta (a w wolnych chwilach nawet poeta). Od 1624 roku kierował on ważnym politycznie organem, rocznikiem pod tytułem „*Mercure de France*”, bardzo uważnie czytany, przez oświeconą opinię wysoko cenionym.

Gdy zatem ukazuje się *Napomnienie dla króla*, rząd nie poprzestaje na państwowym potępieniu tego tekstu (uroczyście go spalono i obiecano karę śmierci za jego czytanie lub rozpowszechnianie). Ferrier pisze znakomity

traktat *Katolik patriota* (bo tak może lepiej tłumaczyć tytuł *Le catholique d'Etat*, dosłownie: katolik „państwowy”). Do tej repliki na *Napomnienie* przykładali zapewne rękę Ojciec Józef i ksiądz Bérulle, a i sam Richelieu pewnie ją przeglądał i korygował. Jest tu teza, że król współpracuje z Bogiem w dziele rządzenia światem, a moralność państwowa ma swe własne kryteria, nie identyczne z moralnością indywidualną. Jest postulat, by „katolik patriota” przestrzegał praw Boga nie usiłując badać poczynań króla. Nie można bowiem krytykować tego, czego się nie rozumie. Rząd nie jest w stanie poddawać swych sekretów pod osąd ludu; nie może też prosić o aprobatę pyszałków i zarozumialców, którzy by chcieli oceniać politykę państwa w szkolnej klasie i badać reguły rządzenia tak, jak się bada prawidła gramatyki. Ludwik XIII rządzi wedle chrześcijańskiego sumienia, instytucje, które mu pomagają rządzić, są katolickie. A sojusze z władcami protestanckimi są uprawnione, bo i owi władcy są legalni. Chrześcijański władca jest gwarancją realizacji celów korzystnych dla chrześcijaństwa; poddany ma go słuchać, a nie rezonować; wcale nie byłoby w interesie wiary chrześcijańskiej, gdyby Habsburgowie opanowali całą Europę. Ten *Katolik patriota* nie jest jedynie okolicznościowym, ulotnym pismem: już w 1625 roku daje on solidny wykład idei racji stanu, tak jak ją do końca życia rozumiał Richelieu.

Ostatecznie zawirowanie opinii nie było tak groźne, bo w początku 1626 roku rozstrzygnęła się kwestia pokoju z Hiszpanią i to w sposób dla interesów Francji korzystny. Pokój z hugenotami łatwiej było w takiej sytuacji strawić nawet zdeklarowanym dewotom. Mniej korzystne losy miał mariaż angielski, z którym łączono tyle różnych nadziei.



MIRAŻ ANGIELSKI

To małżeństwo Henriety Marii Francuskiej z Karolem Stuartem przyniosło niebywałe splątanie intryg politycznych i religijnych, kabał miłosnych, skandali obyczajowych. Siostrze Ludwika XIII rajono angielskiego następcę tronu, ale gdy wreszcie doszło do ślubu, Jakub I już nie żył, a pan młody był królem Anglii. Henrieta, jak pisze w pamiętniku wierny sługa Anny Austriaczki, Laporte, pocieszyła się bez trudu: „królestwo, które jej dawał ów zgon, warte było straty teścia; zresztą ludzie tej rangi nie mają prawa długo się smucić, bo ich osoby zbyt są cenione przez publiczną opinię”.

Droga do tego mariażu była najeżona trudnościami. Negocjacje z Anglikami, rozpoczęte jeszcze za rządów Vieuville’a, zakończyły się dopiero w listopadzie 1624 roku. Francuskie żądania, by Jakub I zgodził się na równouprawnienie katolików i na katolicką edukację dzieci Henriety Marii, były dla Anglików nie do przyjęcia. Ostatecznie stanęło na tym, że angielscy katolicy nie będą prześladowani, a skazanym zostanie udzielona amnestia. Przyjęto także dwuznaczną formułę, iż dzieci wychowywane będą przez matkę, bez wyraźnego stwierdzenia, że w jej wierze. Henrieta miała prawo zabrać do Londynu wielką francuską świtę, w tym około

trzydziestu księży: dewoci bardzo liczyli na misjonarskie talenty tego katolickiego desantu za Kanałem.

Potrzebna była wszelako dyspensa papieska na ślub katolickiej księżniczki z heretyckim księciem Walii. Urban VIII nie był zachwycony wynegocjowanymi warunkami; ksiądz Bérulle, który pojechał po dyspensę do Rzymu, miał tam ogromnie trudne zadanie. Jednakże Maria Medycejska, stara sojuszniczka papieża, uparła się przy tym angielskim mariażu. Jedną jej córkę, Elżbietę, była królową Hiszpanii; druga, Krystiana, miała zostać po śmierci teścia księżną panującą Sabaudii - i pięknym uwieńczeniem dzieła byłoby zrobienie z trzeciej córki królowej Anglii. Medyceuszka posunęła się aż do groźby, że w ostateczności obejdzie się bez papieskiej dyspensy, tak samo, jak ongiś Katarzyna Medycejska bez niej się obeszła wydając Małgorzatę de Valois za Henryka Nawarskiego, zatwardziałego kalwina. Papież nie miał wyboru: w początku 1625 roku zgodził się dać dyspensę. Karol I Stuart dał dobrze w Anglii widzianemu diukowi de Chevreuse pełnomocnictwo do zawarcia ślubu w jego zastępstwie. 8 maja 1625 roku nastąpiły zaręczyny, 11 maja - uroczysty ślub. „Diuk de Chevreuse zaręczył się z Madame i poślubił ją u bram katedry paryskiej, gdzie ustawiono dla tego celu estradę” - notuje w pamiętniku hrabia de Brienne. Mimo wszystko nie można było dawać ślubu wewnątrz katedry Notre-Dame, skoro pan młody tkwił w herezji. Szafarzem sakramentu był kardynał de La Rochefoucauld.

Zaczyna się teraz historia nader nieprawdopodobna, choć dobrze tyle że niedokładnie - znana wszystkim czytelnikom *Trzech muszkieterów*. Pod pretekstem rozmów politycznych z Francuzami i odwiezienia nowej królowej Anglii do Londynu pojawił się w Paryżu, już po ślubie - 14 maja - George Villiers, książę Buckingham. Faworyt Jakuba I, który teraz utrwał swą wszechwładną pozycję przy nowym królu Anglii. Historia jego romansu - jeśli można użyć tego słowa - z królową Anną Austriaczką przez kilka lat bardzo komplikowała życie kardynałowi Richelieu. Wymaga ona krótkiego wprowadzenia.

Anna Austriaczka była - nawet jeśli uwzględnić przesadę w zachwytach pochlebców - jedną z piękniejszych kobiet na francuskim dworze. Miała wspaniałe włosy (choć pochodziła z Hiszpanii była blondyną), wyraziste oczy, bardzo piękne ręce. Do osiemnastego roku życia żyła w cnocie, mimo trzech z górą lat małżeństwa. Potem przyszły trzy miodowe lata prawdziwego szczęścia: nawet Ludwik XIII, mało wrażliwy na damskie wdzięki, zauważył urodę swojej młodej żony. Można sądzić, że jego częste wizyty w sypialni Anny nie były wyłącznie spełnianiem obowiązku, któremu na imię zapewnienie sukcesji tronu. Sielanka trwała do 1622 roku. Król nie doczekał się - mimo wysiłków i starań - sukcesora, bo Anna miała nieszczęsną skłonność do poronień.

Ludwikowi XIII nie podobało się grono przyjaciółek żony: zupełnie słusznie uważał, że nauczyły Annę frywolnych rozmów i niestosownych lektur. Do grona tego należały: naturalna córka Henryka IV panna de Verneuil („szalona głowa” wedle Tallemanta); Ludwika księżna de Conti, córka szefa Ligi, słynnego Henryka Gwizjusza Pokiereszowanego, dama już prawie 50-letnia, ale wciąż bardzo swobodna w mowie i obyczajach

(król w szyfrowanych listach oznaczał ją kryptonimem „Grzech”); siostra Luynesa, pani du Vernet, i przede wszystkim wdowa po Luynesie, Maria z Rohanów, przyszła diuszesa de Chevreuse. Wszystkie bardzo irytowały króla. Ogłędnie mówiąc, nie były to westalskie dziewice.

W marcu 1622 roku zdarzył się wypadek, który gruntownie popsuł stosunki Ludwika XIII z żoną. Księżna de Condé wydała w Luwrze przyjęcie. Wracając z niego królowa, panna de Verneuil i pani de Luynes, za namową tej ostatniej, zaczęły biec przez wielką salę na pierwszym piętrze pałacu. Królowa potknęła się o podium, na którym stawiano tron, upadła i poroniła, jak zapisuje dokładny medyk Héroard, „płód mniej więcej czterdziestodniowy”. Ukryto wypadek przed królem, który właśnie ruszał przeciw hugenotom. Gdy się dowiedział - był już w Orleanie - kazał przepędzić panią de Luynes z dworu. O, powróciła bardzo szybko. Namówiła do małżeństwa swego amanta, diuka de Chevreuse, 45-letniego kawalera, który niechętnie dał się zaprowadzić do ołtarza. Król rozwścieczył się jeszcze bardziej, bo go prosiła o zgodę na ślub, po czym ślub zawarła nie czekając na odpowiedź. Działo się to w dodatku ledwie tery miesiące po śmierci Luynesa, a więc w okresie wdowiej żałoby. Jednakże diuk de Chevreuse był królowi sympatyczny i potrzebny. Zabijaka, pojedykowiec, donżuan, niezbyt mądry, ale dobry dowódca, lojalny rojalista, miał mir wśród szlachty i doskonale stosunki z angielskim dworem królewskim. Toteż pani de Chevreuse powróciła do Luwru. Sytuacja bardzo się jednak zmieniła; król odebrał diusziesie jej urząd nadintendentki dworu królowej Anny i traktował ją zimniej niż kiedykolwiek. Anna z prawdziwie kastylską dumą dąsała się na Ludwika za jego brutalną reakcję na tamto fatalne - nie pierwsze zresztą - poronienie. Król odwzajemniał się jej chłodem. Na domiar złego właśnie od początku 1622 roku Maria Medycejska odzyskała wpływy na dworze. Wedle konfidentki królowej Anny, pani de Motteville, to intrygi Medyceuszki podkopywały pozycję jej pani oraz jej wpływ na męża.

Tak więc w 1625 roku Anna Austriaczka odczuwa gorycz, urazę, frustrację; jej przyjaciółka Chevreuse jest w nie lepszym nastroju. Ale diuszesa potrafi się pocieszać romansami, królowa jest na to zbyt dumna i zbyt chłodna. Oto właśnie rozwija się w najlepsze miłość pani de Chevreuse z angielskim ambasadorem, przybyłym na ślub Henriety Marii, lordem Hollandem, przyjacielem księcia Buckingham. Jak się zdaje to Holland wpadł na pomysł rozerwania smutnej królowej Anny romansiem z Buckinghamem; Chevreuse gorliwie przyjęła tę ideę i zaczęła pleść o tym swej królewskiej przyjaciółce. Udało się jej zainteresować Annę opowieścią o tym, jak wszechmocny minister angielski wzdycha do niej po kryjomu (widział ją ponoć raz i z daleka, na balu, gdy w 1623 roku jechał przez Paryż do Hiszpanii).

Diuk de Bouquinguan, jak go nazywali Francuzi, był w wieku Chrystusowym i uchodził za przystojnego: miał kędzierzawe włosy, piękną oprawę oczu, bródkę w szpic i zawiadackie wąsy. Wspaniale potrafił przewracać oczami i robić miny romantyczne. Skądinąd był diabelnie próżny, narwany i brutalny. Pan de La Rochefoucauld, autor *Maksym* i jeden z legionu przyjaciół pani de Chevreuse, tak o nim pisał w swych

pamiętnikach: „Buckingham przybył tu z większym rozgłosem, okazałością i przepychem niż sam król... Królowej [Annie] wydał się mężczyzną, który spośród wszystkich na świecie jest najbardziej godny tego, by ją kochać”. Umiał ożywić znudzoną Annę - i wnet dworacy dostrzegli, że jest między nimi stosunek swobodnej familiarności. Król też to zauważył i był ponury. W Luwrze, wśród tłumu dworzan i służby historia nie mogła posunąć się za daleko, toteż trudno uwierzyć kardynałowi Retzowi, choć powołuje się on na relację diuszesy de Chevreuse. Czytamy więc w pamiętnikach Retza, że królowa wyznaczyła księciu schadzkę w małym ogrodzie Luwru; Chevreuse, towarzysząca Annie, oddaliła się nieco i „usłyszała odgłosy jak gdyby szamotania”, a gdy się zbliżyła, „zastała królową mocno wzruszoną, a księcia Buckinghama na kolanach przed nią”. Anna rzekła jej tego wieczora, że „wszyscy mężczyźni są brutalni i bezczelni”, a rano kazała jej zapytać Buckinghama, „czy jest całkiem pewny, że nie ma obawy, by mogła zająć w ciężę”. Ponieważ diuszesa powiedziała Retzowi, iż jej zdaniem była to jedyna „przygoda” Anny aż do czasów kardynała Mazariniego - należy sądzić, iż Retz opisuje tu słynną przygodę w ogrodach Amiens. W Luwrze trudno sobie podobną scenę wyobrazić.

Rozmowy polityczne z Buckinghamem niewiele dały. Sojusz z Anglią przeciw Habsburgom bardzo Francuzów interesował, ale Buckingham zbyt energicznie popychał Richelieugo do wojny z Hiszpanią; Anglia zawsze bardzo lubiła niszczyć swych wrogów cudzymi rękami. Ze zaś Ludwika XIII niepokoiły miłosne manewry Anglika wokół jego żony, więc wyjazd królowej Henriety został przyśpieszony. Ale jeszcze w Paryżu Anna miała dać do zrozumienia Buckinghamowi, że nie jest jej obojętny (Motteville pisze o „niejakim upodobaniu” królowej do angielskiego gościa). Wyjazd Henriety z Paryża nastąpił już 2 czerwca.

Król odprowadzał siostrę tylko do Compiègne. Obie królowe, Maria i Anna, a także brat króla Gaston - do Boulogne. Wreszcie grupa francuskich arystokratów towarzyszyć miała Henriecie aż do Londynu. Zarządzono, że Henrieta z Buckinghamem pojedzie inną drogą niż obie królowe francuskie. Jednakże postój w Amiens, od 7 czerwca, był wspólny. Składano więc sobie wizyty: Buckingham i Holland pojawili się w rezydencji królowej Anny. Świta Anny jej damy, panowie Putange i Laporte, lekarz Ripert - miała rozkaz towarzyszenia królowej krok w krok. Ale podczas przechadzki w pałacowym ogrodzie dwie pary, królowa z Buckinghamem i Chevreuse z Hollandem, wyprzedziły świtę, po czym z kolei Chevreuse i Holland zwolnili kroku. Królowa Anna znalazła się sam na sam z Buckinghamem w ustronnej alei.

Scenę, która teraz nastąpiła, Tallemant opisuje jako brutalną i by tak rzec, kompletną. Laporte, który był na miejscu, daje inną relację: „Na zakręcie innej alei... księżę Buckingham ujrzał, że jest z nią sam: korzystając z ciemności, która zaczęła już gasić światło dnia, posunął się zbyt daleko z wielką zuchwałością: chciał bowiem królową popieścić. W tym samym momencie wydała ona okrzyk; na jej głos wszyscy przybiegli”. Putange, giermek królowej, zatrzymał księcia, ale zaraz zobaczył, o kogo chodzi - i puścił zdobycz. Tyle Laporte; podobna jest relacja pana de La Rochefoucauld. „Okazja była ponętna i [Buckingham] próbował z niej

skorzystać z takim brakiem respektu, że królowa poczuła się zmuszona do przywołania swych dam”. Nie inaczej wreszcie madame de Motteville: „Królowa, zaskoczona tym, że się znalazła sama i najwyraźniej dotknięta natręctwem zbyt rozognionych uczuć księcia Buckinghama krzyknęła, przywołała swego giermka [Putange’a] i zganiła go za to, iż ją zostawił samą”. Ten krzyk królowej - dodaje Motteville dowodził „jej rozsądku i cnoty”; wiedziała, że jej sprawi wiele ambarasu dochodząc do uszu króla - ale nad te kłopoty Anna przełożyła „wewnętrzne poczucie niewinności”.

A więc scena w Amiens nie była chyba gwałtem, lecz banalną brutalnością erotyczną. Księżna de Conti twierdziła, że może dać gwarancję na nietkniętą cnotę królowej Anny „od stóp aż do pasa” - i zapewne powinniśmy jej wierzyć.

Maria Medycejska zarządziła wszelako natychmiastowy wyjazd orszaku Henriety do Boulogne: dobrym pretekstem była jej choroba (niegroźna, królowa-matka przeziębila się, co zresztą przedłużyło niefortunnie pobyt w Amiens). Anna Austriaczka odprowadziła szwagierkę tylko dwie mile za rogatki Amiens; do Boulogne Henrieta pojechała już bez obu królowych, towarzyszył jej jedynie brat Gaston. Przy drzwiach karocy Anny jechał przez te dwie mile Buckingham, ponoć on skruszony, ona niewzruszenie obojętna. Rozstanie nie było zresztą ostateczne, bo karawanę francusko-angielską zatrzymała w Boulogne sztormowa pogoda. Za radą pani de Chevreuse i Hollanda Buckingham powrócił więc do Amiens pod pretekstem chęci przedyskutowania z Marią Medycejską treści depeesz, które właśnie przywiózł kurier z Londynu. Chora królowa-matka przyjęła Anglika bez ceremonii, w łóżku.

Anna Austriaczka również leżała, bo puszczano jej krew. Gdy Buckingham poprosił o rozmowę, posłała do teściowej hrabinę de Lannoy z sugestią, by odesłać Anglika z kwitkiem, ponieważ nie może go przyjmować w łóżku. „Ech, czemuż by nie miała tego zrobić - rzekła Medyceuszka wedle relacji hrabiego de Brienne skoro ja sama to właśnie robię?” Brienne, świadek tej kabały, notuje dalej: „Różnica wieku i sytuacji mogłaby tu z powodzeniem służyć za kontrargument, ale pani de Lannoy przez delikatność wstrzymała się od jego użycia. Jednakże posłała po wszystkie księżne i damy znajdujące się w Amiens, aby uczestniczyły przy tej audiencji”. Laporte zapisał westchnienie Anny na wiadomość o powrocie Buckinghama: sądziła, iż już się odeń uwolniła. Ale dodaje, że wieczorem Anglik siedział jeszcze wciąż przy łóżku królowej, „o wiele dłużej, niżby na to pozwalała przyzwoitość”.

Ludwik XIII oczywiście dowiedział się o wszystkim. Przepędził z dworu Anny Austriackiej osoby, które jej towarzyszyły w ogrodzie w Amiens: Laporte’a, Putange’a, Riperta, kawalera de Jars. Ich niełaska nie trwała zresztą długo. Król postanowił również, że noga księcia Buckinghama nie postanie już na ziemi francuskiej - i tej decyzji przestrzegał konsekwentnie. Maria Medycejska daremnie przekonywała syna, że w całej historii nie ma nic poważnego. Anna była zła na męża, iż wie o jej przygodzie i oddalił jej zaufanych ludzi; wściekała się i na Richelieugo w przekonaniu, że to on doradził królowi tak ostrą reakcję. Pani de Chevreuse także nie poprawiła swych stosunków z królem. Richelieu miał w świcie królowej Henriety

swego krewniaka i agenta, biskupa de Lamothe-Houdancourt; raportował on do Paryża, że podczas pobytu w Anglii diuszesa de Chevreuse zachowywała się niebywale: Holland odstąpił ją Buckinghamowi, a diuk de Chevreuse nie dostrzegając tego skandalu. Nie jedyny to zresztą skandal. Jeśli wierzyć pamiętnikom pana de La Rochefoucauld, znana z *Trzech muszkieterów* historia diamentowych zapinek była prawdziwa. Rolę, którą Dumas przypisał demonicznej lady Winter, odegrać miała zazdrosna kochanka Buckinghama, hrabina Carlyle: to ona usiłowała się zemścić, kradnąc część owych zapinek, podarowanych Buckinghamowi przez lekko-myślną królową Annę. Ale La Rochefoucauld lubił kolekcjonować fantastyczne opowieści, a w owym roku 1625 miał dokładnie lat dwanaście.

Ważniejsze jest to, że mariaż angielski nie utrwalił sojuszu Francji i Anglii; po paru latach oba państwa będą w stanie wojny! Z pewnością na pogarszanie się ich stosunków rzucały cień uraza i chęć postawienia na swoim księcia Buckingham: wiele razy, pod różnymi pretekstami, usiłował powrócić do Francji. Niektórzy historycy skłonni są twierdzić, że owa wojna Anglików z Francuzami zaczęła się po to, by dać Buckinghamowi szansę przyjazdu do Francji w charakterze zwycięskiego negocjatora traktatu pokojowego. Można wszelako wątpić, czy piękne oczy i ręce Anny Austriackiej odegrały w dziejach stosunków Francji z Anglią taką rolę, jaką im przypisywano.

Richelieu uważał, że agresywność Buckinghama była irracjonalna, wynikała z jego szaleństwa. „Bardziej należy się obawiać wściekłości i szaleństwa wroga niż jego mądrości - pisał sentencjonalnie - tym bardziej że szaleniec nie działa wedle zasad powszechnie wśród ludzi przyjętych”. Ale degradacja stosunków francusko-angielskich miała przyczyny dużo głębsze. Małżeństwo Karola I z Henrietą Francuską było nieudane, głównie z winy żony, nie dość gorliwej i miłej dla męża. Nie skłaniało to Karola do przestrzegania klauzul kontraktu małżeńskiego. Katolicy angielscy niewiele zyskali na tym mariażu, zastęp francuskich księży ze świty Henriety odesłany został do domu. Nie byli bez winy: zalecali królowej manifestacyjnie demonstrować jej katolicką ortodoksję i nienawiść do anglikańskich herezji. W 1644 roku, gdy się wzniosła fala rewolucji angielskiej, Henrieta wróciła do Francji. Dożyła powrotu swego syna, Karola II, na angielski tron.



PIERWSZE KONSPIRACJE

Gdy pani de Chevreuse wróciła z Londynu, stwierdziła, że w otoczeniu królowej Anny robi się wrogie aluzje na temat króla i jawnie szydzi z kardynała Richelieu. Pani de Motteville twierdzi, że złośliwa diuszesa robiła wszystko, by tę nienawiść Anny do Richelieu pogłębić. Sam kardynał nie miał wobec tych dam wrogich intencji, przeciwnie. Pragnął mieć dobre stosunki z żoną króla i jej najlepszą przyjaciółką, tym bardziej że chciał się posłużyć diukiem de Chevreuse dla kontaktów z dworem angielskim. Zostawmy na razie na uboczu sprawę rzekomych zalotów

kardynała do Anny Austriaczki i pani de Chevreuse, zauważmy jedynie, że pisano o tym - wówczas i później - straszną masę jawnych głupstw.

Podobno już wcześniej, zaraz po popsuciu się stosunków Anny z królem, Chevreuse mówiła królowej o tym, że gdyby Ludwik umarł (zaczął bowiem niedomagać i stan ten okazał się chroniczny), to królewski brat i następca tronu, Gaston, byłby świetnym kandydatem na drugiego małżonka. Anna pozostałaby królową Francji i zamieniłaby nudnego, despotycznego śledziennika na wesołego i przystojnego chłopca. W roku 1626 diuszesa de Chevreuse wróciła do tej intrygi: pani Motteville pisze, że astrologowie przepowiedzieli rychłą śmierć króla. Ponadto Maria Medycejska uznała, że czas ożenić Gastona. Po zamążpójściu Henriety tylko on czekał na dobry mariaż. Od wielu lat Medyceuszka zaplanowała jego ślub z nieprawdopodobnie bogatą Marią de Bourbon Montpensier. Pani de Chevreuse oczywiście uznała, że należy temu małżeństwu przeszkodzić: rezerwowała Gastona dla Anny Austriaczki. Sama królowa łowiła te pomysły uchem raczej przychylnym; w każdym zaś razie nie mogła sobie życzyć, by - przy bezpłodności jej małżeństwa - właśnie Gaston dostarczać miał francuskiej Koronie sukcesorów. Tak powstał załazek dworskiej koterii wrogiej małżeństwu Gastona, *parti de l'aversion au mariage*. Koteria, potężna i bezwzględna w działaniu, zagroziła bezpośrednio rządowi, a nawet życiu kardynała Richelieu.

Brat króla Gaston-Jean-Baptiste, ksiązę d'Anjou, a potem ksiązę Orleanu, jak każdy najstarszy brat króla Francji zwany był krótko: Monsieur. W 1626 roku Monsieur kończył lat osiemnaście. Pani de Motteville pisała, że „miał wygląd królewskiego syna, ale źle odżywionego”. Wysoki, szczupły, raczej przystojny chłopak, delikatny, nie miał takiego powołania do zajęć wojskowych i myśliwskich jak jego królewski brat. Żywego umysłu, dowcipny, trochę libertyn (ale nie ateusz), wykształcony, lecz leniwy, był pozbawiony silnej woli, niezdecydowany, strachliwy, lekkomyślny. La Rochefoucauld pisał o nim: „Słaby, bojaźliwy, beztroski, jednocześnie i familiarny, i próżny”. W odróżnieniu od Ludwika XIII miał szczęście do doskonałych nauczycieli. Jego guwernerami byli: inteligentny pan de Brèves, później sumienny i religijny Korsykanin, Jean-Baptiste d'Ornano, pułkownik gwardzistów korsykańskich. Bardzo się do nich przywiązał. Ornano zapewnił mu świetnych preceptorów: znalazł się wśród nich Robert Arnauld d'Andilly, brat „wielkiego Arnaulda”, znakomitego filozofa i teologa, a także Agnieszki i Angeliki Arnauld, przeorysz sławnego Port-Royal.

Dzięki swym wychowawcom Gaston zdobył solidną kulturę intelektualną i literacką, stał się też później mecenasem sztuk i nauk. Miał niezwykłą jak na jego środowisko wrażliwość społeczną, umiejętność dostrzegania nędzy ludu. Ale można podejrzewać, że spoglądał na nią przede wszystkim jak na zjawisko, które da się doskonale wykorzystać w grze politycznej, bo ambicji politycznych Gastonowi nie brakowało. Chłopak był więc inteligentny, wykształcony, otwarty na zjawiska kulturowe i społeczne, a jednocześnie cięty, nonszalancki, źle wychowany (ze zgorzeniem pisano, że rozmawia z rękami w kieszeniach, kołysze się na piętach, gwizdże).

Miał ciężką pretensję do króla, gdy ten w maju 1624 roku odebrał panu d'Ornano funkcję jego gubernera (był to, jak się zdaje, pomysł Marii Medycejskiej). Szesnastolatek z gronem rówieśnych przyjaciół (nazywał ich swoją Radą Nicpoństwa, Conseil de la Vauriennerie) zaczął wówczas wyczyniać takie szaleństwa, że brat i matka dali za wygraną: w sierpniu 1624 roku Ornano wrócił na stanowisko gubernera. Zachował on jednak korsykańską urazę do Marii Medycejskiej i nieufność do jej konfidenta Richelieugo, nowego szefa rządu.

Richelieu rozumiał, że Gaston jako następca tronu jest ważną pozycją w grze politycznej. Pozyskał dla siebie Arnaulda d'Andilly, człowieka poważnego; największy wpływ na Gastona miał jednak Ornano. Podobno Ojciec Józef radził kardynałowi skaptować Korsykanina albo go zgubić; pragmatyczny Richelieu wolał zacząć od pierwszej części tej rady. W styczniu 1626 roku pan d'Ornano został mianowany marszałkiem. Może by poprawnie kolaborował z ministrem, gdyby nie sprawa małżeństwa Gastona.

Sam zainteresowany nie był pewny, czy chce się żenić z panną de Montpensier: dawała tu już znać o sobie sławna potem chwiejność Gastona. Jego faworyt Nicolas Goulas, autor ciekawych pamiętników, wyjaśniał to niezdecydowanie w sposób bardzo charakterystyczny dla mentalności środowiska dworskiego: chwiejność Gastona wynikałaby z jego „nadmiernej wiedzy”, bo zawsze miał on „tyle racji dla swych wątpliwości, że prawie niemożliwe dlań było dokonanie wyboru”. W tej sytuacji Ornano mógł przeważyć szalę i „partia awersji do małżeństwa” doskonale to rozumiała. A koteria przeciwników mariażu bardzo się umocniła. Anna Austriaczka dawała jej autorytet; damy z jej kółka - Chevreuse, Verneuil, księżna Conti - były animatorkami intrygi. Książę de Condé był drugim po Gastonie sukcesorem tronu i nie chciał utracić tej pozycji, więc się dołączył do koterii. Inny książę krwi, hrabia de Soissons, sam się chciał żenić z panną de Montpensier. Pani de Chevreuse pozyskała dwu braci naturalnych króla, Cezara i Aleksandra de Vendôme, a także wpływowego diuka de Montmorency. Liczono na poparcie hugenotów, Anglii, Zjednoczonych Prowincji.

Fontenay-Mareuil opisuje w swym pamiętniku zdarzenie, które sam widział: oto panie de Conti, de Chevreuse, de La Valette tak uwodzicielsko traktowały leżącego w łóżku z powodu kolki pana d'Ornano, „że zdawałoby się, iż na niego lecą i zamierzają go uwieść, gdyby nie to, że był już stary, a przy tym najbrzydszy ze wszystkich mężczyzn świata. Zachwycało to pocziwca tak bardzo, że niczego nie był im w stanie odmówić”. Zauważmy, iż ów starzec miał dokładnie 43 lata.

Marszałek de Bassompierre wyjaśnia, że Ornano nie zachował się nielojalnie wobec króla. Owszem, był on „w doskonałej zgodzie” z damami sprzeciwiającymi się małżeństwu Gastona, ale „sądził, że intencje króla są zgodne z ich zamysłami, jako że Jego Królewska Mość przykazał, w poprzednim roku, ukrócić zbyt już jawne machinacje robione dla spowodowania owego mariażu”. Tak istotnie było: Ludwik XIII nie zachwycał się wcale perspektywą małżeństwa Gastona, które by umacniało jego brata i tym wyraźniej podkreślało bezpłodność jego własnego związku

z Anną. Także panna de Montpensier, a zwłaszcza jej krewni Gwizjusze nie budzili sympatii króla.

Ludwik zapytał o zdanie kardynała. Richelieu odpowiedział w taki sposób, jaki często później będzie praktykował: w solidnym memoriale wyłożył racje za mariażem, argumenty przeciw niemu - i zamiast konkluzji stwierdził, że decyzja należy do króla. Także w rozmowie z marszałkiem d'Ornano Eminencja zajął stanowisko niewyraźne. Marszałek zachował się racjonalnie: przystał do partii, która wydawała się silniejsza i, jak sądził, trafiała w intencje króla.

Jednakże Ludwik XIII znużył się natarczywością Marii Medycejskiej i wyraził zgodę na małżeństwo brata, co zmieniło natychmiast całą sytuację. To, co mogło mieć pozór rodzinnej intrygi, stało się niebezpiecznie podobne do arystokratycznego spisku. Nawet bohaterowie byli w znacznej mierze ci sami co w latach 1616-17 i 1619-20. Rząd właśnie uspokoił, w lutym i marcu 1626 roku, wojnę z hugenotami i konflikt z Hiszpanią; Richelieu zamierzał przystąpić do zbierania sił przed złamaniem protestantów i podjęciem „wielkich rzeczy” w polityce europejskiej. Nagle okazało się, że prócz hugenotów i Habsburgów pojawia się trzeci przeciwnik: dworska kabała i arystokratyczna konspiracja. Porównywanie „partii awersji do mariażu” z Habsburgami czy choćby hugenotami może się wydawać groteskowe, ale dworska koteria po prostu była bliżej i była w stanie zniszczyć kardynała. Nie tylko politycznie, także *tout bonnement* fizycznie. Mało do tego brakowało.

Gaston, długo niezdecydowany, uznał, że i on żywi do mariażu awersję. Chyba spodobała mu się myśl, by poślubić Annę Austriaczkę, gdy tylko król zejdzie z tego świata. Na razie chciał wykorzystać całą tę awanturę wokół jego osoby, by wyjść wreszcie z cienia. Chciał tego również Ornano: liczył, że gdy Monsieur zasiądzie w królewskiej Radzie, on tam także się znajdzie „z takim samym miejscem przy Gastonie, jakie kardynał miał przy królu”. Tak to relacjonuje Fontenay dodając, iż Ornano pragnął „stać się drugim człowiekiem Francji”. To jasne: gdyby Gaston został królem, Richelieu zniknąłby z widowni, pierwszym ministrem byłby marszałek d'Ornano. Król odmówił bratu dostępu do Rady, co bardzo ubodło ich obu, Gastona i jego guwernera.

Spisek dworski ma swą logikę, jak bagno wciąga coraz głębiej jego uczestników. Z damskiej intrygi wyrastała klasyczna konspiracja, w której najgorliwsi byli dwaj bardzo antypatyczni bracia naturalni króla, panowie de Vendôme: młodszy, Aleksander, zwany wielkim przeorem, i starszy, diuk Cezar, gubernator Bretanii. Vendôme'owie obawiali się mariażu Gastona, bo wyniósłby on ród Gwizjuszy, którego nienawidzili; poza tym byli w bardzo złych stosunkach ze swym królewskim bratem. Przez panią de Rohan spisek nawiązywał kontakty z hugenotami; pani de Chevreuse uruchamiała swe przyjaźnie w Londynie; Gaston szukał poparcia w Sabaudii; próbowano rozmawiać z ambasadorami Hiszpanii i Holandii w Paryżu. Rozważane były plany ucieczki Gastona do Dieppe, Hawru, Metz; Monsieur wykluczył jednak ucieczkę do Roszeli. Celem spisku było już nie tylko obalenie projektu mariażu Gastona, ale zmiana polityki i ekipy rządowej, obalenie ministrów z kardynałem Richelieu. Prowadzono

nieostrożne rozmowy o zniknięciu ze sceny Ludwika XIII w wyniku naturalnej śmierci, ale może i detronizacji na korzyść Gastona. Później pojawili się usłudni świadkowie, którzy donosili o planach zabicia króla. Król i Richelieu uwierzyli w to, jak się zdaje, bez wystarczających dowodów. W pamiętnikach jednego z faworytów Gastona, pana de Bois d'Annemetz, znalazły się gwałtowne zaprzeczenia: nie, nie było żadnych pomysłów co do królobójstwa.

Tak rozgałęziona konspiracja nie może być zachowana w kompletnej tajemnicy. Gdy napływały informacje, że wokół Gastona rośnie spisek - Richelieu poradził królowi, by odseparować jego brata od złych doradców. Dwór znajdował się wówczas nie w Paryżu, lecz w Fontainebleau i tu późnym wieczorem 4 maja 1626 roku dokonano aresztowania marszałka d'Ornano. Król go zaprosił do swej sypialni, uraczył koncertem gry na gitarze, po czym spokojnie wyszedł i pozwolił działać panu du Hallier, kapitanowi gwardzistów.

Monsieur był skonsternowany, pani de Chevreuse straciła kontenans: złośliwi opowiadali, że ma twarz tak żałobną, jak gdyby nagle zniknęli we Francji wszyscy mężczyźni. Gaston nic nie wskórał u króla. Kanclerz d'Aligre, proszony o interwencję w obronie pana d'Ornano, odzegał się od odpowiedzialności za jego aresztowanie. Będzie go to drogo kosztowało. Król go usunie ze swej Rady, słusznie rozzłoszczony na takie wyłamanie się pana d'Aligre z solidarności rządowej.

Monsieur wysłał do Richelieugo Arnaulda d'Andilly „z wszystkimi prośbami, jakie tylko można sobie wyobrazić”; kardynał - jak zapisał Arnauld - „z wielkimi oznakami szacunku dla Monsieur odrzekł, iż zrobi, co będzie mógł, i powtarzał inne ogólniki”. Gaston i spiskowcy uznali Eminencję, nie bez racji, za winowajcę klęski pana d'Ornano.

10 maja pojawili się u kardynała dwaj panowie: komandor Achilles de Valençay, kawaler maltański (później zostanie on kardynałem), i Henri de Talleyrand-Périgord hrabia de Chalais (tak, słynny biskup Talleyrand był jego dużo młodszym krewniakiem). Chalais zeznał, że zawiązał się spisek na życie Richelieugo i że jego wuj Valençay, któremu się zwierzył, kazał mu się wypowiedzieć kardynałowi. Jak się zdaje, inspiratorem tej kabały był Aleksander de Vendôme. Wplątany w nią jednak został Monsieur i jego ludzie. Do rezydencji kardynała w Fleury, 4 kilometry od pałacu Fontainebleau, przybyć miał „na polowanie” Gaston z gronem spiskowców. Chciano rzecz załatwić zręcznie i gładko: podczas posiłku myśliwi symulować mieli kłótnię i wydobyć szpady, w zamieszaniu Richelieu otrzymałby przypadkowy sztych. Chalais, który to wszystko wyśpiewał, deklarował gotowość wiernej służby kardynałowi. Oferta została przyjęta, jak mówią dyplomaci, z zadowoleniem. Gdy zaś nad ranem 11 maja we Fleury pojawiła się służba Gastona - kardynał po prostu zostawił im cały dom i pojechał do pałacu w Fontainebleau. Asystował przy porannym *Iever* królewskiego brata, usłudnie podał Gastonowi koszulę i przeprosił go, że nie jest w stanie godnie przyjąć tak znakomitych gości. Dowiedział się o jego wizycie za późno i oddaje mu cały dom we Fleury do dyspozycji.

Było to dobrze rozegrane; Gaston zaniemówił. Hrabia de Chalais stanął

natomiast przed życiową szansą. Wybrał niestety fatalnie. Był to bardzo przystojny, gładki, świetnie wysportowany młody człowiek. Ale to już 27-letni mężczyzna, nie młokos osiemnastolatek, jak twierdzą - nie wiedzieć czemu - niektórzy historycy. Matka kupiła dlań wysoko ceniony urząd dworski wielkiego mistrza królewskiej garderoby i ożeniła bogato. Chalais miał więc majątek, dostęp do króla i zaufanie Gastona. Zainteresowała się nim tedy pani de Chevreuse, bo mógł być użyteczny w spisku. Z listów, które jej posyłał z więzienia, wynika, że Chalais zakochał się w niej nieprzytomnie, ale nie otrzymał jeszcze nagrody.

Gdyby hrabia de Chalais istotnie przeszedł na służbę Eminencji, zrobiłby karierę; zgubiła go próba prowadzenia podwójnej gry. Pani de Chevreuse namówiła go bez trudu na dalszą zabawę w konspiratora. Obiecywał więc kardynałowi, że skłoni Gastona do małżeństwa, potem się z tej obietnicy wycofywał. Nie zauważył, że gra się robi diabelnie niebezpieczna.

Król postanowił bowiem działać stanowczo. Dał kardynałowi ochronę osobistą, bo powtarzały się pogłoski o dalszych projektowanych zamachach na niego. Ostro przesłuchał Gastona. 31 maja brat króla przyznał się do części intryg i podpisał zobowiązanie, że będzie wiernie służyć Ludwikowi, zaniecha uczestnictwa w zмовach przeciw rządowi, co do losu pana d'Ornano zda się wyłącznie na łaskę króla.

Także dalsze kroki Ludwik XIII robił z własnej inicjatywy: Richelieu zachorował - być może dyplomatycznie - i nie pociągnął razem z dworem, który przez Blois udawał się do Nantes, aby zapobiec rebelii Vendôme'ów w Bretanii. Na wszelki wypadek kardynał posłał królowi, za pośrednictwem Marii Medycejskiej, prośbę o dymisję. To pierwsza z całej serii takich prośb. Ludwik dymisji nie przyjął: przepędził pana d'Aligre z rządu, strażnikiem pieczęci zrobił Michała de Marillac, na miejsce Marillaka w finansach powołał pana d'Effiat. I Marillac - lider dewotów, człowiek Marii Medycejskiej - i d'Effiat byli z kardynałem w bardzo dobrych stosunkach. 9 czerwca Ludwik posłał Richelieuemu z Blois serdeczny list. „Wszystko, dzięki Bogu, szło dobrze od czasu, gdy Pan tu jest. Mam do Pana pełne zaufanie i prawda jest taka, że nigdy nie znalazłem dotąd osoby, która by mi tak służyła wedle mego upodobania, jak Pan to robi. Dlatego też pragnę i proszę, aby Pan nie odchodził, bo moje sprawy źle by na tym wyszły... Dobrze widzę, że lekceważy Pan inne względy w imię mojej służby i z mojego to powodu liczni wielmoże są Panu niechętni. Niech Pan będzie pewny, że będę Pana wspierał przeciw każdemu i nigdy Pana nie opuszczę... Nigdy się nie zmienię, a jeśli ktoś Pana zaatakuje, ja będę Panu sekundował”. Na chwałę Ludwika XIII należy powiedzieć, że przez 16 lat rzetelnie dotrzymywał tej obietnicy.

Aresztowanie marszałka d'Ornano przy akompaniamencie gitary było jeszcze niczym w porównaniu z uwięzieniem braci Vendôme w Blois. Król spotkał się tu z Aleksandrem, przyjął go bardzo dobrze i prosił o sprowadzenie Cezara, gubernatora Bretanii: „Daję Panu moje słowo, że nie będzie on tu potraktowany gorzej od Pana”. Bracia pojawili się więc w Blois i król istotnie zachował idealnie równą miarę: 11 czerwca obu braci potraktował równie łaskawie, 13 czerwca obu kazał aresztować. Bastardzi Henryka IV znaleźli się w zamku Vincennes pod Paryżem. Aleksander

umrze w tym więzieniu, Cezar wyjdzie zeń dopiero po latach.

Nieszczęsny Chalais kompromitował się coraz bardziej. Bassompierre notuje w pamiętniku, że podczas pobytu dworu w Blois spotykał się on nocami z Gastonem: chodził doń w szlafroku, rozmawiał do godziny drugiej lub trzeciej nad ranem i powracał kryjąc się starannie. Nie docenił służb śledzących królewskiego brata. Gaston żalił się mu na wymuszone przez króla zobowiązanie; obaj konspiratorzy układali plany ucieczki z dworu. Z wielką dezynwolturą robili głupstwa. Postanowili poprosić dowodzącego w Metz diuka de La Valette, by otworzył bramy twierdzy przed Gastonem, ale La Valette zaraz powiadomił swego ojca, diuka d'Épernon, a ten złożył raport królowi.

W początku lipca dwór, już z kardynałem Richelieu, przybył do Nantes. Gubernatorem Bretanii na miejsce Vendôme'a król mianował - z poparciem kardynała - marszałka de Thémines; Ludwik prezydował też obradom bretońskich Stanów prowincjonalnych. Bardzo były grzeczne.

Wnet jednak nastąpiła eksplozja. Najlepszy druh pana de Chalais, młody hrabia Roger de Louvigny, pokłócił się śmiertelnie z przyjacielem i dla zemsty oskarżył go o spiskowanie. To jeszcze by nie była rewelacja dla króla i kardynała; jednakże Louvigny robił aluzje do zamysłu zabicia króla i ożenku Gastona z wdową po nim. Jeszcze bardziej to umocniło Richelieu: okazało się bowiem, że nie tylko na niego czyhali mordercy, złączyła go z królem solidarność niedoszłych ofiar spisku. W nocy z 8 na 9 lipca hrabia de Chalais został aresztowany w swym pokoju na zamku w Nantes. Dla osądzenia go król powołał nadzwyczajny trybunał pod prezydencją strażnika pieczęci Marillaka. Skomponowano go z sędziów parlamentu Bretanii: był wśród nich ojciec wielkiego Kartezjusza. Ów sąd ad hoc stał się wzorem dla wielu późniejszych nadzwyczajnych trybunałów, które załatwiały królowi i kardynałowi szybko oraz sprawnie polityczne procesy.

Gaston w popłochu rozważał szanse ucieczki z Nantes; jeden z jego faworytów, pan Le Coigneux, przekonał go, iż lepiej będzie szukać porozumienia z królem i kardynałem. Ostatecznie Gaston jako następca tronu nie ryzykował życiem ani wolnością (co najwyżej wolnością człowieka nieżonatego). 11 i 12 lipca król, Maria Medycejska i Marillac - Richelieu trzymał się na uboczu - poddali Gastona intensywnym przesłuchaniom. Złożył obszernie zeznania, spisano je, ale Gaston nie umieścił na protokołach swego podpisu. Projekt ucieczki z dworu przyjął na własną odpowiedzialność; nie obciążał hrabiego de Chalais; sypał szczegółami, które mu się wydawały bez znaczenia. Uderzał w pokorę, przyrzekał uległość, prosił o pardon dla dwu przyjaciół mocno uwikłanych w spisku, panów de Puylaurens i de Bois d'Annemetz. Obiecano mu, że nic im się nie stanie. Chciał też wydobyć z więzienia panów d'Ornano i de Chalais: użył wobec króla argumentu, że jeśli ich nie obroni, to nigdy nikogo nie znajdzie, kto by mu zechciał służyć... Gdyby miał więcej doświadczenia, toby rozumiał, że taki sposób obrony w obliczu ujawnionego spisku może tylko przynieść skutki odwrotne od zamierzonych. Po złożeniu zeznań uznał, iż wszystko jest w porządku: „był bardzo z siebie zadowolony” - wspomina Bois d'Annemetz. Urządzał z

przyjaciółmi wesołe wycieczki w okolice Nantes na osłach i mułach: to też relacja pana de Bois.

Pięć lat później Gaston przedstawił swoją wersję wydarzeń, zupełnie fantazyjną. Twierdził, że to Richelieu suflował hrabiemu de Chalais pomysły ucieczki z dworu, aby zgubić królewskiego brata; to Richelieu miał wykorzystać przeciw hrabiemu jego przyjaciela Louvigny'ego; zeznania pana de Chalais Richelieu wyłudził odwiedzając go w więzieniu i zwodząc obietnicą łaski.

Przez dziesięć dni po swej kapitulacji Gaston zastanawiał się jeszcze, czy się zgodzić na mariaż z panną de Montpensier. Potem opowiadał, że Anna Austriaczka i pani de Chevreuse na kolanach prosiły go, aby odmówił. Udawał, że jest wrogiem małżeństwa („Wolałbym zostać diabłem niż się ożenić!”). Potem nagle ustąpił. Pokusa była niemała. Król mu zapewnił ogromny apanaż: księstwo Orleanu, księstwo Chartres i hrabstwo Blois (to znaczy domeny królewskie w tych prowincjach) i 560 tysięcy na utrzymanie dworu. Majątek panny młodej był zresztą jeszcze większy. Zaręczyny odbyły się 5 sierpnia, następnego dnia był ślub: bez pompy i muzyki, w małym gronie, pan młody wystąpił w codziennym, nieco już zużyтым ubraniu. „Nigdy jeszcze nie było tak smutnego mariażu” - pisał Bois d'Annemetz.

Na wiadomość, że ślub się odbył, Chalais miał jakoby oświadczyć w więzieniu: „Król jest wielki i po trzykroć szczęśliwy, że ma tak wielkiego ministra”. Informację tę przekazuje nam kardynał Richelieu. Eminencja nie cierpiał na fałszywą skromność, lubił sam sobie wystawiać dobre świadectwo, jeszcze bardziej lubił wkładać je w usta swoich przeciwników.

Hrabiemu de Chalais nie brakowało fizycznej odwagi: zasłynął ongiś tym, że pokonał w pojedynku sławnego zabijakę hrabiego de Pontgibaud. Niestety, nie miał odwagi moralnej. Jego zachowanie w więzieniu było żałosne. Płakał, oferował swe służby kardynałowi i królowi, gotów był denuncjować ludzi z otoczenia Gastona, zmieniał zeznania, płał się w nich, kłął i bluźnił, groził samobójstwem, błagał o łaskę. Wysłał trzy czułe grypsy do pani de Chevreuse. Nie dostał odpowiedzi, a Richelieu, który kilka razy widział się z nim w więzieniu, zręcznie podniecił jego urazę i zazdrość. Zaczął wówczas sypać diuszese, oskarżać ją o spisek, o „diabelskie sztuczki”, którymi go usidliła i wciągnęła do konspiracji. Richelieu nie omieszkał pokazać tych zeznań pani de Chevreuse, która z kolei nie zawahała się obciążyć hrabiego de Chalais... Po wyroku hrabia odwołał zresztą swe zeznania: oświadczył, że składał je ze strachu.

To prawda, że Richelieu robił więźniowi jakieś nadzieje. Może nie tylko dlatego, by go skłonić do kompletnych zeznań; może pamiętał mu ostrzeżenie o „spisku z Fleury”. „Jeśli się Pan mną zechce posłużyć - pisał Chalais do kardynała - niech stracę honor, o ile godnie się nie odpłacę za darowane mi przez Pana życie”. Jest też prawdą, że Richelieu nie nalegał w tym przypadku - jak w wielu innych - na wyrok śmierci. Ale trudno by mu było takiemu wyrokowi zapobiec. Proces trwał od 11 do 18 sierpnia i toczył się wedle wszelkich reguł. Zeznania Louvigny'ego na temat planów zabicia króla były, to prawda, wątpliwe. Król, kardynał i wielu innych wierzyli, jak się zdaje, w ów zamysł królobójstwa.

Przyjaciele pana de Chalais w jakiś zręczny sposób usunęli z miasta nantejskiego kata. Do wykonania wyroku śmierci skłoniono więc szewca (wedle innych - żołnierza), który miał być powieszony i otrzymał obietnicę ułaskawienia. 19 sierpnia po południu odbyła się egzekucja. Kat-amator nie umiał operować mieczem, po wielu nieudanych uderzeniach zamienił go na ciesielski topór. Świadczenia są różne: jedni piszą o 29, inni o 36 ciosach zadanych skazańcowi, nim głowa oddzielona została od ciała. Jak się okazało, nieszczęsny Chalais miał być jedynym kozłem ofiarnym.

Puylaurens i Bois d'Annemetz otrzymali królewski pardon; pani de Chevreuse, bodaj najbardziej winna, była kobietą, i to skoligaconą z największymi rodami Francji. Król za radą kardynała zrezygnował nie tylko z wytoczenia jej procesu, ale i z aresztowania. Dostała rozkaz udania się do Poitou, do dóbr jej brata de Guéménée. Na wiadomość o tym wygnaniu zaczęła miotać groźby (wszyscy Francuzi w Anglii zapłacą za jej krzywdę!) i obelgi (król jest nieudolnym idiotą, kardynał to bałwan, *faquin*). Zmyliła nadzór i zamiast do Poitou udała się przez Paryż za granicę, do Lotaryngii. Rozkochała tam wnet panującego księcia, Karola IV: długonosego młodego człowieka źle żyjącego z żoną, niegłupiego, ale nadętego pychą i wielkiego kłótnika.

Panowie de Vendôme siedzieli w Vincennes, ale i im nie można było wytoczyć procesu. Zanosilo się natomiast na proces marszałka d'Ornano. W pamiętnikach dygnitarza parlamentu paryskiego Mateusza Molé znalazł się list strażnika pieczęci Marillaka z 21 sierpnia: minister donosił sędziemu, że król chce postawić przed sądem pana d'Ornano, bowiem proces hrabiego Chalais dowiódł, iż „całą tę rebelię wysnuł ze swej głowy wspomniany marszałek”. Ale 2 września pan d'Ornano zmarł w więzieniu na uremię. Rząd nadał wielki rozgłos opisowi jego śmiertelnej choroby i protokołowi lekarskiemu, ale i tak opowiadano sobie, że Richelieu kazał otruć pana d'Ornano. To oczywiście nonsens. Monsieur był bardzo zgnębiony tą śmiercią, zaczął pić i urządzać skandale. Wymykał się z Luwru w przebraniu pazia lub żołnierza, bratał się z włóczęgami i filutami: to relacja jego faworyta Goulasa. Tallemant twierdzi nawet, że podpałał rzemieślnicze kramy. Małżeństwo zupełnie go nie usatkowało.

Anna Austriaczka przegrała w sprawie małżeństwa Gastona, a jej nowa szwagierka nie pozwalała jej zapomnieć o klęsce. Była to osoba - wedle Tallemanta - „dumna jak smok”; mówiła do Anny per „siostró”, ku niebywałej wściekłości królowej. W październiku 1626 roku ogłosiła dworowi, że jest w ciąży, co bardzo poruszyło parę królewską. Ale w końcu maja następnego roku urodziła tylko córkę (to przyszła Grande Mademoiselle, postać bardzo malownicza). Ludwik XIII był kontent, że Gaston nie spłodził następcy tronu; Tallemant pisze, że król sapnął z radości („Wszystko trzasło”, „*Tout est fendu*” - oświadczył). Trzasło nie tylko następstwo do korony, ale i małżeństwo Gastona, bo jego żona zmarła w wyniku komplikacji połogowych. Monsieur był znów epuzerem do wzięcia, co bardzo skomplikowało bieg wydarzeń.

Anna miała wszelako większe jeszcze troski. Była wściekła na króla i kardynała za wygnanie pani de Chevreuse. Dumna Hiszpanka nie potrafiła też wybaczyć mężowi, że ją podejrzewał o maczanie palców w projektach

królobójstwa. Gdy ją wypytywał o jej stosunek do planów drugiego małżeństwa z Gastonem, odpowiedziała mu w sposób ironiczny i okrutny: „Nie tak wiele zyskałabym na tej zamianie!” Ludwik jej tego nie wybaczył; do końca życia miał podejrzenia, że jednak mogła sobie życzyć jego śmierci, także przyspieszonej morderczymi działaniami „konspiracji hrabiego de Chalais”. Ona z kolei miała mu bardzo za złe i te podejrzenia, i brutalny sposób przesłuchiwania jej. Wierny sługa i konfident Anny, Laporte, wspominał: „Przed wyjazdem z Nantes król zwołał wielką naradę z udziałem królowej-matki i kardynała Richelieu, na którą wezwano królową. Nie wiem dokładnie, co się tam działo, ale dokładnie wiem, że król kazał jej podać nie fotel, lecz składane krzeselko, tak jak gdyby była na śledztwie sądowym, po czym ją przesłuchiowano jak zbrodniarkę”.

Richelieu zyskał na tej całej aferze przyrost zaufania króla, ale stracił też niemało. Gdy pojawiła się sprawa mariażu Gastona, intencje kardynała były wielce godziwe. Pragnął jedności i zgody w rodzinie królewskiej, nie zamierzał brać strony królowej Marii przeciw królowej Annie lub odwrotnie: dlatego jego stanowisko w kwestii mariażu było tak neutralne. Zaniepokoił się, gdy dostrzegł, że z problemu matrymonialnego wyrasta spisek przeciw królowi, rządowi i jego własnej osobie. Król przyznał mu, właśnie w związku z konspiracją 1626 roku, prawo do posiadania osobistej gwardii; najwyższą łaską monarchy było upoważnienie, by gwardziści kardynała mieli wstęp do Luwru. Richelieu nie okazywał entuzjazmu; w liście do Bouthilliera z 8 września 1626 roku pisał: „Wyznaję, że to przykra sprawa być zmuszonym do otaczania się strażą. Pewne jest, iż od godziny, gdy ktoś musi się do tego środka uciekać, można sobie powiedzieć: *adieu*, wolności!”

Dramatyczne i makabryczne okoliczności śmierci hrabiego de Chalais dały początek twierdzeniom o panu de Richelieu jako człowieku „raczej katowskiej niż kardynalskiej czerwieni”. Opinia arystokratyczna żałowała „męczennika” de Chalais, współczuła nawet antypatycznym Vendôme’om, nie potępiała szaleństw Gastona. Bardzo na wyrost wołano o tyranii Richelieugo. Na wyrost, bo w końcu represje zarządzane zostały przez króla, a ich wymiar był nader ograniczony. Uderzono w hrabiego de Chalais, by przestrzec wielmożów: był on dość ważną postacią, aby jego śmierć zrobiła wrażenie, nie na tyle wszelako się liczył w hierarchii, by wyrok na niego mógł spowodować prawdziwą rebelię. Ważnych, a bardziej winnych oszczędzono. Wielmoże przycichli na jakiś czas, ale nie zrezygnowali z wicherzycielstwa. Tylko książę de Condé w tych miesiącach kryzysu 1626 roku zawarł sojusz z kardynałem. Wytrwa w nim konsekwentnie i bardzo mu się ów alians opłaca.

Co się zaś tyczy jedności i harmonii w rodzinie królewskiej, którą Richelieu chciał ratować - okaże się wnet, iż to zadanie ponad jego siły. Konflikty królewskiej rodziny i książęce spiski będą mu odtąd zabierały wielką część energii i będą go odciągały od naprawdy wielkiej polityki.



REFORMA PAŃSTWA

W 1626 roku hrabia Henri-Auguste de Brienne wrócił do kraju po rocznym pobycie w Anglii. „Zastałem za powrotem - pisał - wielkie zmiany w królewskiej Radzie. Kardynał nie tylko cieszył się całkowitym zaufaniem króla i królowej-matki, ale był nadto szefem Rady i miał tam taką pełną władzę, że przynoszono mu wszystkie depesze. Nic się tam nie decydowało bez jego opinii, rozporządzał we wszystkich sprawach i nie zachowywał żadnej miary w czymkolwiek - z wyjątkiem tego, co się tyczyło życzeń króla, które starał się odgadnąć i trafić tym sposobem w uczucia Jego Królewskiej Mości...” Brienne podkreślał, że Richelieu bardzo chciał uchodzić w oczach króla wyłącznie za jego kreaturę: „Wcale nie przychodził na dwór, gdy króla tam nie było, by nie dawać powodów do gadania, że stara się spodobać królowym, a choć swą fortunę zawdzięczał królowej-matce, starał się ledwie zachowywać pozory w stosunkach z tą władczynią. Był też na tyle zręczny, by dać królowi do zrozumienia, iż zależy i chce zależeć wyłącznie od niego”.

Cóż chciał zrobić z tą ogromną władzą? Jakie miał plany reform w systemie politycznym i życiu społecznym? Nie brak opinii, że Richelieu był wielkim nowatorem, co gorliwsi historycy piszą o nim jako o rewolucjonście. Kwestię jego politycznych opinii pozostawmy do osobnego omówienia. Stwierdźmy tylko, że w pierwszych latach swej władzy Eminencja jest umiarkowanym, inteligentnym konserwatystą. Jego celem był powrót do solidnej, tradycyjnej hierarchii społecznej ze szlachtą w roli głównej, z burżuazją sprowadzoną do należnej pozycji i właściwych jej zajęć, z potulnym ludem; politycznym zaś celem kardynała było przywrócenie absolutnej władzy króla. Katastrofa wojen domowych XVI wieku wstrząsnęła strukturą władzy monarszej, Henryk IV nie zdołał jej odtworzyć w całej krasie, okres regencji znów ją osłabił i przyniósł groźbę wznowienia wojen domowych. Otóż czas już najwyższy, by zmusić wszystkich - wielmożów, hugenotów, urzędników, lud - do posłuszeństwa królowi; czas przywrócić dawny blask Koronie i pokazać narodom Europy całą wielkość Francji. To raczej próba odtworzenia tego, co było - lub wyobrażano sobie, że było - niż program nowatorski, perspektywny. Reformy też się w nim zmieszczą, oczywiście; ale takie, które usuną deformacje ustroju socjopolitycznego, przywrócą prawidłową grę tradycyjnych instytucji.

Była już mowa o tym, że różne cele cząstkowe przejmował Richelieu od swych poprzedników: Conciniego, Luynesa, Brûlartów, Vieuville'a. Inteligentny Fontenay-Mareuil, admirator kardynała, notuje, iż osiągał on sukcesy „biorąc wszystko to, co było dobre we wszystkich poprzednich rządach, i odrzucając ich słabości”. Nie zamierzenia były tak bardzo nowe, ale konsekwencja, stanowczość, inteligencja, z jakimi starał się je urzeczywistniać.

Wejście do rządu, a potem promocja na strażnika pieczęci (to jest

głównego realizatora polityki wewnętrznej) Michała de Marillac - to potwierdzenie reformatorskiej orientacji. Marillac uchodził za zwolennika mocnej polityki i zdecydowanych zmian. Zajrzyjmy raz jeszcze do pamiętników Brienne'a: „Odebranie pieczęci kanclerzowi d'Aligre i przekazanie ich panu de Marillac kazało wierzyć, że rząd ma wielkie plany, jako że ów drugi był równie srogi, jak pierwszy był łagodny”. Zamiast udawać skromnego, mówić o swym niepokoju w obliczu tak wielkiego ciężaru władzy, Marillac „wygłosił podziękowanie królowi, które dało poznać, iż ma on całkowitą wiarę w swoje siły: powiedział monarsze, iż ma nadzieję, że Bóg uczyni mu tę łaskę i pozwoli dobrze wywiązać się z zadania”. Słabością Marillaka, pisze dalej Brienne, było to, iż „biedaczysko nie znał obyczajów dworu ani umysłowości króla”. Tu Richelieu miał nad nim ogromną wyższość.

Pierwszy zarys programu reform przedstawił Richelieu już w roku 1625; w jego sformułowaniu pomagał mu przyjaciel, biskup Angers Charles Miron (zmarł on w 1628 roku jako arcybiskup Lyonu). Jest tu pragmatyczny projekt reorganizacji królewskiej Rady; jest równie rozsądny plan reformy kościoła: wzmocnienie dyscypliny kleru, podniesienie autorytetu biskupów, staranny dobór ludzi na stanowiska kościelne, rozbudowa seminariów duchownych... We Francji państwo ingerowało od dawna w sprawy kościelne: na tym polega gallikanizm.

Znalazł się w projekcie z 1625 roku ostry zakaz pojedynków, co miało chronić szlachtę przed nią samą: Richelieu zawsze sądził, że kilka przykładowych egzekucji pojedynkowiczów zmniejszy upust krwi szlacheckiej. Ale to nie żadna nowość, chodzi raczej o dokładne przestrzeganie starych zakazów. Ważniejsze, choć też nienowe były plany uporządkowania Skarbu: oszczędności na wydatkach dworu, ograniczenie pensji i gratyfikacji dla wielmożów, wykup domeny królewskiej, której wielka część znalazła się w zastawie, jako gwarancja dla wierzycieli państwa.

Kluczowe znaczenie miał bez wątpienia projekt zniesienia sprzedawalności i dziedziczności urzędów. Owych urzędów na sprzedaż było mnóstwo, na wszystkie kieszenie: od wysokich funkcji państwowych przez administrację niższych szczebli aż do rozbudowanych urzędów miejskich. Mimo kreowania wciąż nowych urzędów Skarb chciał przecież zarobić - ich ceny w XVII wieku nieustannie rosły, popyt był olbrzymi. To zrozumiałe: nabycie urzędu przez zamożnego mieszczanina przynosiło niezłe dochody, przywileje (m.in. zwolnienia od podatków), prestiż społeczny, szanse rychłego zdobycia szlachectwa. Wysokie ceny urzędów - mówiono - to *impôt sur la vanité*, podatek od ludzkiej próżności. Od 1604 roku dzięki płaceniu *paulette* urzędy stały się dziedziczne. Richelieu skłonny był uważać, iż wszystko to jest typową deformacją ustroju. Obawiał się, że urzędnicy nie z królewskiej nominacji, zawdzięczający swe urzędy transakcji kupna lub spadkobrania, wymykać się będą kontroli rządu. Przyjmował punkt widzenia szlachty, złym okiem patrzącej na społeczną promocję burżuazji kupującej urzędy. Szlachta - pisał później kardynał - „od pewnego czasu tak została pomniejszona w swej roli wskutek istnienia wielkiej liczby urzędników, których z jej szkodą wyniósł

nieszczęsny zwyczaj naszego wieku, że bardzo potrzebuje poparcia przeciw poczynaniom takich ludzi”. Ale szczególne znaczenie przypisywał kardynał innej jeszcze racji. Otóż „tacy ludzie”, to znaczy burżuazja, inwestowali w urzędy (i w ziemię) swój kapitał, co naturalnie bardzo osłabiało rozmach przedsięwzięć handlowych, kolonialnych i przemysłowych. Miało to fatalny wpływ na stan bogactwa narodowego - Richelieu porównywał z żalem francuską ekonomikę z dynamiczną gospodarką Holandii i Anglii - a zatem i na zdolność płatniczą francuskich poddanych. Pogląd kardynała, zapisany w jego słynnym *Testamencie politycznym*, który powstawał w latach 1633-1639, był zgodny z wyobrażeniami wcześniejszych rządów: unikać należy obciążania ludu nadmiernymi podatkami. „W obliczu wielkich potrzeb Państwa - pisał Richelieu - monarchowie powinni wykorzystywać raczej wielką liczbę ludzi bogatych niż nad miarę puszczać krew ludziom ubogim”. Ten populizm miał również wyraźne feudalne podteksty: nakładanie na chłopów morderczych podatków zmniejszało ich zdolność świadczenia należności senioralnych i feudalnych, a zatem uderzało bezpośrednio w ekonomiczny interes szlachty.

Wszystko zatem skłania kardynała do projektowania likwidacji *paulette*, do zastąpienia sprzedawalności urzędów klasycznie prostym systemem nominacji rządowej. Od lat domagała się tego szlachta. Dopiero trochę później Richelieu zrozumie, że cała ta sprawa jest dużo bardziej skomplikowana z ekonomicznego, społecznego i politycznego punktu widzenia - i zarzuci ów postulat. Wrócimy do tej sprawy.

Pozostaną natomiast z projektu 1625 roku inne punkty mające na celu zwiększenie ekonomicznych aktywności Francji: żądanie tworzenia domów pracy „dla włóczęgów i nierobów”, przede wszystkim zaś postulat gruntownego zreformowania systemu edukacji. Chodziło o zmniejszenie liczby kolegiów, wypuszczających właśnie kandydatów do urzędów, jurystów i humanistów. Mieszczanie uczyć się powinni raczej sztuk mechanicznych niż sztuk wyzwolonych. „Jakkolwiek wiedza humanistyczna (*connaissance des Lettres*) jest absolutnie niezbędna w Państwie, to jest również pewne, iż nie powinno się jej nauczać wszystkich bez różnicy. Tak jak ciało we wszystkich swych częściach wyposażone w oczy stanowiłoby monstrum, podobnie i Państwo stałoby się monstrualne, gdyby wszyscy jego poddani byli uczeni. Ujrzelibyśmy wówczas równie mało posłuszeństwa, jak powszechnie przejawy zarozumiałości i pychy. Gdyby ta wiedza dostępna była umysłom wszelkich kategorii, ujrzelibyśmy, iż więcej jest ludzi zdolnych formułować wątpliwości niż potrafiących je rozstrzygać”. Pilnuj, szewcze, kopyta! Jeśli będzie mniej kolegiów i nie za dużo wiedzy - *bourgeois* zajmie się uczciwie handlem, żegluga, produkcją.

Kłopot polegał na tym, że owa reorientacja ekonomiczna byłaby ogromnie kosztowna. Zniesienie sprzedawalności i dziedziczności urzędów stanowiłoby kolosalne obciążenie dla Skarbu, jako że należałoby spłacić właścicieli stanowisk; nie można było po prostu tej ich własności skonfiskować. To samo dotyczy innych projektów: wykup domeny wymagałby olbrzymich sum, zakładanie domów pracy też nie dokonałoby

się za darmo. Pobudzenie aktywności przemysłowo-handlowych, odwrócenie uwagi mieszczan od pogoni za urządami zwiększyłoby, to prawda, zamożność podatników, a także ich liczbę (bo *bourgeois* kupujący urząd najczęściej otrzymywał przywileje wolności podatkowej). Jednakże wszystko to wymagało cierpliwości i czasu. Tymczasem Richelieu potrzebował pieniędzy pilnie. Nie tylko na ów wykup urzędów i zastawionych domen królewskich. Także na przygotowanie ostatecznej rozprawy z hugenotami: była już mowa o tym, że zdobycie Roszeli wymagało piekielnie kosztownej rozbudowy floty i skomplikowanych prac obłączniczych. W 1626 roku Richelieu tak się dusi z braku środków na sfinansowanie swych wielkich projektów, że gotów jest nawet zarzucić na czas jakiś swą ostrożność. „Bez pieniędzy nic się nie da zrobić stwierdzał. - Zaproponujcie tylko wielkie, nadzwyczajne środki: parlamenty się im sprzeciwią, spowodują, że lud zacznie krzyżeć. Jednakowoż, na pewien czas wypadnie to zlekceważyć, pozwolić się oczerniać, nie zwracać na to uwagi”.

Warto może przyjrzeć się, z czego właściwie żyła monarchia Ludwika XIII. Rekordowy był budżet roku 1622, a to w związku z wojną hugenocką: 50 milionów dochodów i tyleż wydatków. Dwie trzecie budżetu zjadały wydatki na dwór (6,2 mln), armię (22,6 mln) i aparat administracyjny (4,2 mln). Podatek bezpośredni, tradycyjna *taille*, przynosił dochód zadziwiająco mały: 9,8 mln. Dochody z domeny były nikłe, jako że lwia jej część znalazła się w zastawie. Bardzo wzrosły, w porównaniu z czasami Henryka IV, wygodne w poborze i spadające na barki ludu podatki pośrednie: do 8,1 mln. Główną pozycją stały się tzw. dochody uboczne, w tym przede wszystkim taksa od urzędników, *paulette*, i różne pożyczki przymusowe narzucane funkcjonariuszom państwowym: 20 milionów! Drugie miejsce zajęły tzw. dochody nadzwyczajne: wpływy ze sprzedaży urzędów i pożyczki wewnętrzne, z reguły zaciągane na wysoki procent. To przyniosło 11,4 milionów. Czyli: najważniejszym źródłem wzrastającego dochodu państwa były wpływy ze sprzedaży stanowisk, obciążające urzędników taksy i pożyczki, wreszcie podatki pośrednie. Wartość sprzedanych przez rząd urzędów obliczano, bardzo szacunkowo, na pół miliarda! Obrazuje ta skalę problemu, z którym chciał się wiać za bary kardynał Richelieu: jakże spłacić właścicieli stanowisk?

Wśród osobliwości systemu finansowego Francji jest jeszcze jedna. Od dawna już podatki pośrednie, cła i dochody z domeny oddawano w dzierżawę. Wystawiano je na licytację i wypuszczano w dzierżawę najczęściej na 6 lub 9 lat. Taka umowa dzierżawy nazywała się *traité* lub *parti*, a więc dzierżawcy podatków zwani byli potocznie *traitants* lub *partisans*. Od czasów Henryka IV *traitants* rzucili się na kupno urzędów finansowych (poborców, skarbników itp.): następowało stapianie się grupy *traitants* z aparatem finansowym państwa. Łatwo sobie wyobrazić, jak to umacniało samodzielność poczynań owych potentatów dzierżawiących podatki, jak osłabiało kontrolę państwa nad nimi. W efekcie *traitants* osiągnęli bardzo wysokie dochody żyłując podatników, popełniając przeróżne nadużycia. Dla państwa było to dość wygodne: mogło narzucać im wspomniane już pożyczki przymusowe, a nawet szantażować ich

śledztwem sądowym i procesem o malwersacje. Wówczas *traitants* targowali się i w końcu płacili: dawali przymusowe pożyczki, okupywali umorzenie śledztwa. Tak było np. przy przechodzeniu władzy z rąk Vieuville'a w ręce kardynała Richelieu. Przypomnijmy: oskarżono Vieuville'a, nie bez zachęt ze strony Eminencji, o powiązania z *traitants*, o tolerowanie nadużyć i zdzierstw tych rekinów finansjery. Dwa miesiące po upadku Vieuville'a rząd ogłosił, że *traitants* będą sądzeni niebawem za swoje złodziejstwa. Jak zwykle, była to tylko pogróżka, forma presji finansowej. Zagrożeni finansiści wykręcili się okupem w pięknej kwocie siedmiu milionów liwrów.

Kłopot polegał na tym, że uciekanie się do pożyczek przymusowych od urzędników i okupów od *traitants* miało swoje granice i u progu rządów kardynała państwo otarło się już o taką linię graniczną. Również zaciąganie zwykłych pożyczek, bardzo drogie (procenty były wysoką premią asekuracyjną na wypadek niewypłacalności państwa) stawało się coraz trudniejsze. Skarb państwa ugrzązł w wewnętrznych długach. Richelieu musiał więc od dnia objęcia władzy rozglądać się energicznie za nowymi źródłami dochodów. Sprzedaż urzędów mu się nie podobala, pragnął ją w ogóle zlikwidować. Podatki od ludu trudno było zwiększać, bo uderzało to w ekonomiczny interes szlachty, a ponadto groziło eksplozją rewolt chłopskich na wsi, plebejskich w miastach. Prawdziwa kwadratura koła!

Na szczęście rok 1626 jest spokojny, to znaczy bez działań wojennych. Richelieu przystępuje zatem do skombinowanych przedsięwzięć mających jednocześnie przygotować klęskę hugenockiego bastionu, Roszeli, i zapoczątkować reorientację francuskiej burżuazji ku żegludze, handlowi, akcji kolonialnej. Łatwo te zadania sprzęgnąć, ponieważ flota handlowa i marynarka wojenna nie bardzo się od siebie wówczas różnią: okręty wojenne łatwo wykorzystać do przewozu towarów i odwrotnie, statki handlowe mogą uczestniczyć w wojnie, bo dla ochrony przed piratami są one solidnie uzbrojone (nawet w działa) i mają wyszkoloną do walki załogę. Nie ma też wielkich różnic między jednostkami należącymi do króla i do osób czy spółek prywatnych. Okręty królewskie pożyczają się kupcom, prywatne wyzyskuje do celów wojennych. Marynarka wojenna chroni, to jedno z jej zadań, porty i handel wielkomorski.

Tak, tylko że owej marynarki w 1626 roku prawie nie ma: wieloletnie zaniedbania sprawiły, że Francja jest na morzu żałośnie słaba. Richelieu przede wszystkim koncentruje władzę rządu nad siłami zbrojnymi. We wrześniu 1626 roku zmarł następca Luynesa na stanowisku konetabla Francji, pan de Lesdiguières - i urząd konetabla zostaje zniesiony. Wkrótce i urząd Wielkiego Admirała zostanie wykupiony z rąk diuka de Montmorency. Oznacza to, że król i kardynał sami chcą decydować w ostatniej instancji o sprawach militarnych.

W październiku 1626 roku Richelieu otrzymał urząd wielkiego mistrza, naczelnika i nadintendenta żeglugi i handlu Francji. Zrozumiano to tak, w kraju i za granicą, że kardynał ma ambicje admiralskie. Pamiętnikarz markiz de Montglat notuje: „Gdy powierzono kardynałowi urząd admirała Francji, książę Buckingham nazywał go szyderczo admirałem słodkiej wody, gdyż... uważał się za tak potężnego na morzu, że wnet zmusi rywala

do krycia się w rzekach Francji, z których nie ośmieli się on wychylić”.

No, to są zupełnie bezzasadne przechwałki. Richelieu zdolny był do ogromnej koncentracji wysiłku i teraz te zdolności uruchomił. Konsultował się z armatorami, kupcami, żeglarzami, finansistami, dyplomatami; kazał zbierać informacje o stanie portów, arsenałów morskich, stoczni, urządzeń obrony wybrzeża... Wnet obejmie gubernatorstwo Hawru i Brouage: z tego drugiego zapiaszczonego portu pragnął zrobić konkurenta pobliskiej Roszeli. W stoczniach Normandii i Bretanii kazał budować, kosztem wielkiego finansowego wysiłku, 18 dużych jednostek (od 300 do 500 ton); kazał sprowadzać z Holandii znakomite materiały do budowy okrętów, a ponieważ Holendrzy bardzo się drożyli, odnowił stare związki handlowe z Polską i Szwecją: Gdańsk także mógł być partnerem morskiej Francji. Richelieu polecił sprowadzać doświadczonych stoczniovców z Anglii, Flandrii, Holandii; w 1626 roku ulokował w stoczniach holenderskich zamówienia na 5 jednostek, w roku następnym już na 12 okrętów. Gdy przyjdzie do walki pod Roszelą, Francuzi będą dysponowali z górami trzema dziesiątkami jednostek.

Mniejsze sukcesy przyniosły podjęte w tym samym czasie próby tworzenia wielkich i ambitnych kompanii handlowych, których Richelieu miał być dożywotnim zwierzchnikiem. Pierwsza, założona w 1626 roku, to Kompania Stu Wspólników z siedzibą w bretońskim porcie Morbihan. Ale w rzeczywistości owych wspólników było nie więcej niż tuzin. Kompania Morbihańska miała tworzyć kolonie w Indiach Zachodnich i Wschodnich, a przede wszystkim w Kanadzie. Druga kompania miała malowniczą nazwę: „Czółno świętego Piotra z kwiatami lilii” (Nacelle de Saint-Pierre fleurdelysée): czółno św. Piotra to symbol kościoła, kwiat lilii, wiadomo, to znak Burbonów. Ta znów kompania, odwołująca się do kościelnej i królewskiej protekcji, miała mieć dwa wolne porty, jeden nad Atlantykiem, drugi nad Morzem Śródziemnym - i odpowiednio dwie strefy działania: Afrykę Północną oraz Północną i Środkowo-Wschodnią Europę. „Czółno św. Piotra” miało także zakładać manufaktury.

Tworzenie owych kompanii wywołało niepokój w Holandii i Anglii, a zwłaszcza w hiszpańskich Niderlandach: władze hiszpańskie zabroniły swym poddanym emigrować do Francji i uczestniczyć w kompaniach handlowych kardynała Richelieu. Stały się dęba również liczne francuskie miasta, grupy kupców i powiązane z nimi prowincjonalne parlamenty. Uznały kompanie kardynała za niebezpieczną nowość, za groźną dla starych centrów handlowych i firm kupieckich konkurencję. Zwłaszcza w Bretanii protesty i opory były potężne.

Przyczyniły się one do fiaska pierwszych dwóch kompanii, i jeszcze trzeciej, powołanej w miejsce „Czółna św. Piotra” Kompanii św. Ducha. Jednakże niepowodzenie tych prób miało i inne przyczyny: mechaniczne kopiowanie wzorów kompanii holenderskich, zbyt ambitne cele, źle pomyślana struktura tych spółek - oto dalsze powody klęski.

Richelieu oczywiście rzucił do walki swoich propagandystów, którzy mieli tłumaczyć jego racje. To ważne: nie tylko Buckingham ośmieszał „admirala słodkiej wody”; wielu Francuzów nie pojmowało, jak można łączyć kapelusz kardynalski, funkcje faktycznego szefa rządu - i zarząd

wielkiego handlu oraz budowy floty. Był to bowiem taki osobliwy czas, gdy francuscy *bourgeois* bardzo się starali *vivre noblement*, żyć po szlachecku: przyjmowali szlachecki obyczaj, strój, styl życia i mówienia; dzięki małżeństwom wchodzili do wielkich rodów i klanów feudalnych, kupowali na wielką skalę majątki ziemskie. Chętnie też przekazywali swym agentom kierowanie biznesem: właśnie wówczas zniknęły sklepy i biura handlowe z parterów kamienic zamożnej burżuazji. Richelieu, protektor handlu i żeglugi, płynął pod prąd.

Nie poprzestał na propagandzie. Postanowił odwołać się do już poprzednio znanej instytucji: tak zwanego zgromadzenia notabli. Była to niezbyt liczna, złożona z nominatów reprezentacja klas posiadających. Zwołane pod koniec 1626 roku zgromadzenie składało się z 55 notabli: 12 duchownych wysokiej rangi, 10 szlachciców, 27 sędziów najwyższych trybunałów, jeszcze paru osób. Zabrakło tu książąt, bo król ich sobie nie życzył: to kara za udział w spisku hrabiego Chalais. Za to prezydencję zgromadzenia powierzono Gastonowi księciu Orleanu: to potwierdzenie zgody króla z bratem po perypetiach ubiegłych miesięcy. Zastępcami przewodniczącego byli kardynał de La Valette i marszałkowie de La Force (jedeny protestant wśród notabli) oraz Bassompierre.

W południe 2 grudnia 1626 roku otwarto obrady zgromadzenia w wielkiej sali tuileryjskiego pałacu. Richelieu przygotował się bardzo starannie do tej sesji notabli: zbierał informacje, opracowywał memoriały. Na otwarciu obrad nie wysuwał się jednak na pierwszy plan; ministrowie podzielili się zadaniami w ten sposób, że strażnik pieczęci Marillac mówił najpierw o ogólnym stanie państwa, jego położeniu finansowym, o potrzebie rozwoju handlu i żeglugi; następnie marszałek Schomberg o sprawach wojska, wreszcie Richelieu - o finansach państwa, a głównie o planie wykupu domeny królewskiej.

Marillac nie ukrywał, że sytuacja finansowa jest trudna, zapowiadał oszczędności (m.in. na dworze), ale dodał, że rząd nie chce podnosić podatków: przeciwnie, pragnie obniżyć wymiar podatku bezpośredniego, *taille*. Za główne źródła wzrostu dochodów państwa uznał wykup domeny (ale tego wątku nie rozwijał) i aktywizację żeglugi oraz handlu: to jest optymalny sposób szybkiego wzbogacenia Francji, której handel znalazł się w stanie letargu, której kupców sąsiedzi spychają do roli podrzędnej. Schomberg przedstawił projekt stałej armii liczącej 30 tysięcy ludzi, zdyscyplinowanej, dobrze opłacanej.

Przemówienie kardynała Richelieu trwało zaledwie pół godziny. Powiedział, że należy wykorzystać okres pokoju wewnętrznego i zewnętrznego dla reformy państwa, a zwłaszcza dla reform finansowych. Wykluczył nowe podatki, bo „lud nie zniesie większego ciężaru”; oszczędności na dworze obliczał na około 3 miliony: to oczywiście za mało, by zrównoważyć budżet. Za jedyny sposób naprawy finansów uznał wykup domeny, co przyniesie stały dochód roczny 20 milionów. Pozwoli to zapewnić równowagę finansową, ulżyć ludowi, zagwarantować środki na obronę kraju, uniezależnić Skarb od *traitants*. Stwierdził wreszcie, że wykup domeny - przy odpowiednim kapitale obrotowym na tę operację - może być zrealizowany w ciągu sześciu lat. Z tekstu przemówienia wynika,

iż ów 6-letni termin odnosi się tylko do wykupu domeny, a nie do wszystkich reform w państwie. Wśród historyków francuskich i trochę starszych (Tapié), i najnowszych (Pierre Chevallier) pokutuje tymczasem przekonanie, iż całość „wielkich reform ustroju” Richelieu chciał rozłożyć na sześć lat. A że na początku swej mowy wspominał o potrzebie wykorzystania pokoju dla działań reformatorskich, wniosek jest prosty: albo wprowadził notabli w błąd co do terminu, w którym można zrobić reformy, albo okrutnie błędził, licząc, że przed Francją jest jeszcze sześć lat pokoju zewnętrznego i wewnętrznego.

Otóż wypada wziąć kardynała w obronę przed tymi zarzutami. Na pewno nie liczył na sześć lat zupełnego spokoju. Na sześć lat pragnął rozłożyć tylko wykup domeny. Inne reformy, proponowane notablom, chciał zrealizować szybko i sprawnie. I jeszcze jedno: nie przesadzajmy z owym „wielkim” planem reform. Były one mniej ambitne, niż sądzą liczni badacze. Dość powiedzieć, że Richelieu zarzucił swe pomysły z 1625 roku zniesienia sprzedawalności urzędów.

Pierwsze trzy tygodnie obrad notable poświęcili na dyskusje nad sprawami wojska. Zatwierdzono, z licznymi poprawkami, projekt regulaminu dla armii: wzmacniał on dyscyplinę, porządkował sprawy zaciągów, żołdu, przeglądów (to jest kontroli, czy stan osobowy oddziałów zgadza się z listami wypłat żołdu: tu nadużycia były nagminne). 11 stycznia 1627 roku na plenarnym posiedzeniu notabli znów pojawił się Richelieu, tym razem w towarzystwie nadintendenta finansów Effiata. Antoine Coëffier markiz d’Effiat, zaufany kardynała, zarządzał finansami od lata 1626 roku aż do swej śmierci w roku 1632. Pochodził z bardzo świeżej szlachty (jeszcze jego dziad był zwykłym urzędnikiem finansowym); podobnie jak Sully i Schomberg, łączył wysokie funkcje militarne i finansowe (od 1629 roku był wielkim mistrzem artylerii, na rok przed śmiercią mianowany został marszałkiem). Jego wystąpienie inteligentnie wyjaśniało, że przyczynami finansowej choroby państwa są rozrzutność regencji, zawikłana i niechlujna buchalteria skarbowa, wysokie koszty kampanii wojennych i szeroki gest dowódców, wydających bez liczenia... Effiat przez sześć lat swych rządów w Skarbie będzie rzetelnie porządkował cały ten bałagan. Na razie stwierdzał, że deficyt jest dramatyczny: trzeba znaleźć środki - mówił - „aby można było przeżyć do końca roku”.

Jeszcze przed panem d’Effiat przemówił Richelieu i zaprezentował notablom kilkanaście propozycji. Nie można powiedzieć, że wyłania się z nich „wielki” plan reform. Jest tu kilka postulatów politycznych zmierzających do poskromienia wielmożów: należy ściśle zdefiniować zbrodnie stanu („obrazy majestatu”), nie grozić potężnym rebeliantom karami, których się potem nie stosuje, ale za to karać bezwzględnie; trzeba uruchomić trybunał wyjazdowy dla zbierania skarg ludności na lokalnych dygnitarzy. W zamian za to Eminencja obiecywał szlachcie więcej miejsc w królewskiej Radzie. Jest w mowie Richelieuego kilka propozycji „populistycznych”: trzeba zadbać o niskie ceny zboża, zredukować liczbę niektórych urzędów lokalnych, których działania są uciążliwe dla ludu, a także zmniejszyć liczbę uwolnionych od *taille*, aby dzięki zwiększeniu gro-

na podatników ulżyć ubogim. I to wszystko.

Główna część programu kardynała dotyczy przywrócenia równowagi finansowej państwa. zaproponował, aby ciężar utrzymania części wojska podczas pokoju przerzucić ze Skarbu na prowincje; aby też - zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią - ustalić listę fortec wewnętrznych, które powinny zostać zburzone: zmniejszyłoby to wydatnie koszty utrzymania królewskich garnizonów. Ale główne postulaty Richelieugo są trzy: przez radykalne oszczędności doraźne zrównoważyć budżet roku 1627 („przeżyć do końca roku”); zmniejszyć lichwiarskie procenty (nieraz 20% i nawet 30%) płacone przez Skarb jego wierzycielom; zorganizować w ciągu 6 lat wykup królewskiej domeny.

Ów wykup domeny to w istocie centralna propozycja kardynała. Ale operacja ta wymagałaby wielkiego kapitału obrotowego, od 10 do 15 milionów. To zbyt wielka suma, by można ją było pożyczyć od finansistów na zwykły handlowy procent. Jedynym wyjściem jest długoterminowa niskoprocentowa pożyczka od klas posiadających, reprezentowanych właśnie przez notabli. Richelieu dramatycznie apelował do społecznej elity królestwa, aby zechciała pomóc swemu państwu. Użył argumentu, który dziś ma prawo nas śmieszyć: rzekł, iż chodzi o taki wysiłek, jakim przy leczeniu ciężko chorego jest duży upust krwi. Trzeba stworzyć jeszcze jeden fundusz nadzwyczajny, „który pozwoli ustanowić inny, zwykły i trwały”: dochody z domeny, stabilizujące nareszcie budżet. Aby zaś posiadacze nie wątpili, że ów fundusz, z ich kufrów wyjęty, naprawdę uzdrowi finanse państwa - Richelieu zaklina się, że nie będzie on zużyty na inne cele. Jako gwarancję rzuca na szalę słowo króla, uczciwość twórców tego projektu („których poprzednie działania mogą służyć za rękojmię”: myślał oczywiście o sobie samym), sławę, jaką mu przyniesie sukces owego przedsięwzięcia (rzekł, iż „przekłada uncję sławy nad wszystkie doczesne korzyści”).

Nie pomogło. Notable odrzucili projekt funduszu obrotowego na wykup domeny: nie chcieli uzdrowienia budżetu kosztem własnych pieniężnych ofiar. Nie zgodzono się na przerzucenie ciężaru utrzymania wojska wewnątrz kraju na prowincje; redukcję niektórych urzędów lokalnych aprobowano, ale na takich warunkach ich wykupu przez Skarb, które sprawę dezaktualizowały. Przyjęto rządowy projekt rozbudowy floty i tworzenia kompanii handlowych, ale nie wskazano źródeł finansowych rozwijania marynarki - niech rząd sam sobie radzi! - ani nie określono charakteru kompanii. Odrzucono wnioski Richelieugo w kwestii trybunału wyjazdowego (sędziowie parlamentów uważali to za konkurencję dla ich trybunałów) i w sprawie karania rebeliantów. Zgodzono się na szereg innych punktów (ustalenie listy fortec do zburzenia, pilnowanie niskich cen zboża, zmniejszenie liczby zwolnionych od *taille*, rozszerzenie udziału szlachty w Radzie...). W sumie uznać wypadnie twierdzenia licznych historyków o sukcesie Richelieugo na zgromadzeniu notabli za bardzo fantazyjne.

Zgromadzenie ujawniło - podobnie jak Stany Generalne 1614 roku - głębokie skłócenie stanów. Szlachta z tępym uporem domagała się wszędzie pierwszego miejsca i przywilejów, głośno też krzyczała o

potrzebie zahamowania promocji społecznej burżujów. Nie chciała pomóc rządowi i nie doczekała się wykonania obietnicy o zwiększeniu jej roli w Radzie. Dygnitarze sądowi, którzy mogli Wpłynąć na postawy burżuazji urzędniczej i przemysłowo-handlowej, także nie poparli planów reformy finansowej: zaostrzyło to tarcia między nimi a rządem. Gallikanie - głównie sędziowie znów starli się z klerem trzymającym się poły Rzymu. W punkcie, który dotyczył definicji zbrodni stanu, była mowa o konszachtach z obcymi posłami. Gallikanie chcieli uznać nuncjusza papieskiego za jednego z takich „obcych posłów”; kler protestował, bojkotował nawet przez czas jakiś obrady notabli, nuncjusz obraził się i groził wyjazdem z Francji... Nic dziwnego, że Richelieu zrezygnował z pomocy notabli: nigdy już nie próbował zebrać takiego zgromadzenia, uznał, że lepiej przyjąć model absolutyzmu nie szukającego współpracy ze społeczną elitą, lecz dyktującego jej swe decyzje. Gdy w końcu lutego 1627 roku notable zamykali swe obrady, po 35 sesjach, końcowa deklaracja królewska brzmiała głucho, ograniczała się do pięknej retoryki i ogólnikowych obietnic.

Ponieważ załamał się plan reformy finansowej, Richelieu zwrócił się do finansistów o pożyczki. W latach 1627-1629 dostarczali oni Skarbowi około 40% jego dochodów, po 18 milionów rocznie. Niemal wszystko poszło na armię i flotę: pożyczkami tymi Richelieu finansował oblężenie Roszeli i kampanię wojenną we Włoszech. Później, gdy wydatki wciąż rosły, a kredyt państwa u finansistów bardzo osłabł, wypadło zwrócić się do polityki dociskania śruby podatkowej. Z fatalnym skutkiem dla spokoju społecznego Francji. Przez kraj zaczęła się wówczas przetaczać wielka fala rewolt chłopskich i plebejskich.



ROSZELA

Zgromadzenie notabli nie poprawiło stosunków między kardynałem a wielmożami. Kilka miesięcy po zakończeniu obrad stosunki te pogorszyły się jeszcze w rezultacie afery hrabiego de Bouteville.

François de Montmorency-Bouteville w wieku 26 lat miał już na sumieniu z górą dwadzieścia pojedynków. Po zabiciu kolejnego przeciwnika, hrabiego de Thorigny, schronił się w należącej do Hiszpanów Brukseli. Ludwik XIII odmówił mu formalnej amnestii, o którą się ubiegał; wówczas Bouteville rzucił wyzwanie królowi: przyjechał do Paryża i powiadomił o tym markiza de Beuvron, który zaprzysiągł mu zemstę za śmierć swego kuzyna Thorigny'ego. Pojedynek odbył się 12 maja 1627 roku w samym środku stolicy, na pięknym placu, zwanym wówczas place Royale, a dzisiaj place des Vosges.

Pojedynek, dodajmy, jak z *Trzech muszkieterów* Dumasa: na sześć szpad! Po stronie Beuvrona - jego przyjaciel Bussy d'Amboise, który dla tej okazji wstał z łóżka, chory, po kilkakrotnym puszczeniu krwi, oraz paż Buquet. Po stronie Bouteville'a - kuzyn i nieodłączny przyjaciel hrabia de Chapelles oraz paż La Berthe. Chapelles zabił pana de Bussy, La Berthe

został ciężko ranny. Beuvron i Buquet schronili się w Anglii, Bouteville i Chapelles uciekali do Lotaryngii, jednakże nie dość szybko. Ujęto ich, sprowadzono do Paryża i skazano na śmierć.

Kwiat arystokracji prosił króla o łaskę: Condé tłumaczył, że motywem delikwentów była chęć sławy, a nie lekceważenie obowiązku posłuszeństwa; diuk de Montmorency, kuzyn Bouteville'a, powoływał się na zasługi ich rodu. Wśród grona pań błagających o łaskę była hrabina de Bouteville, która chodziła w ciąży. Jej syn urodzi się już jako pogrobowiec: będzie to słynny marszałek Ludwika XIV, diuk de Luxembourg, zwany tapicerem Notre-Dame, bo zawiesił w paryskiej katedrze wielkie mnóstwo zdobytych na wrogu sztandarów. Ludwik XIII odmawiał książętom i damom, ale zapytał o zdanie kardynała.

Później Richelieu będzie demonstrował duszę Brutusa: twierdził, że cierpiał, że łzy hrabiny de Bouteville głęboko go poruszyły, ale „strumienie krwi szlacheckiej, które mogły być powstrzymane jedynie przez wylanie ich [skazańców] krwi, dały mi siłę do stawienia oporu mym uczuciom i do umocnienia Jego Królewskiej Mości...” Jednakże treść opinii kardynała dla króla zachowała się: znów jest tu wykład racji za i przeciw ułaskawieniu. Z tego mętnego i dość przewrotnego tekstu zda się wynikać opinia za ułaskawieniem winowajców: być może Richelieu spodziewał się trafić w ten sposób w uczucia i chęci króla wbrew pozorom skłonnego do łaski. Jeśli tak, to się mylił. Ale zarazem opinia naprowadza króla na drogę surowości, bo Richelieu pisze w niej dużo o powadze władzy i sprawiedliwości królewskiej, narażonej na szwank przez Bouteville'a. Konkluzja była w klasycznym stylu „radzę ci, rób, jak chcesz”: król „sam świetnie potrafi, po wysłuchaniu argumentów, podjąć decyzję najbardziej dla Państwa użyteczną”.

Egzekucja odbyła się na placu de Grève - to dzisiejszy plac Ratuszowy - 22 czerwca. Richelieu nie miał słów dla odwagi obu skazańców. Pan de Chapelles, ścięty w drugiej kolejności, zdążył jeszcze pomodlić się nad zwłokami przyjaciela. Kardynał przekazał kondolencje wdowie po Bouteville'u i jego kuzynowi, diukowi de Montmorency. Deklarował pomoc rodzinie straconego. Bardzo to piękne; szkoda jedynie, że w swych zapiskach ujawnił złość na paryski parlament, który nie zdecydował się na konfiskatę całej fortuny Bouteville'ów.

Piotr Paweł Rubens, który z malarstwem łączył wcale zręcznie dyplomację, pisał, iż się obawia, że „kardynał pomnożył w ten sposób zazdrość i nienawiść przeciw sobie: nie tylko krewniaków [straconych]; ale i niemal całej szlachty królestwa”. Na szczęście szlachta królestwa wnet będzie mogła dać upust swej energii w prawdziwej i bardzo krwawej wojnie przeciw Anglikom i hugenotom.

Wznowienie wojny z hugenotami i ostateczne złamanie ich politycznej potęgi historycy często łączyli ze zwrotem Richelieu ku ciągle potężnej partii dewotów. To prawda, że od schyłku 1626 roku wiatr zdawał się dąć w żagle tej właśnie partii. Zimą 1626 roku do Paryża dotarł *Traktat o herezji* jezuitów Santarellego, bardzo „ultramontański” (była tu m.in. teza o pośredniej władzy papieża nad królami). Wywołał gwałtowne reakcje gallikanów, potępienia parlamentu paryskiego i Sorbony; francuscy jezuiti

mieli sporo nieprzyjemności. I oto w listopadzie 1626 roku rząd dość brutalnie uciszył gallikańskich krytyków Santarellego. Wiosną 1627 roku dewoci robili postępy. Główna postać tej partii, Bérulle, został właśnie kardynałem. Richelieu utrzymywał z nim na zewnątrz bardzo poprawne stosunki, demonstrował respekt dla tego wybitnego teologa, ale w duchu go nie cierpiał. Mistycyzm Bérulle'a, jego wiara w nieustające interwencje Opatrzności w bieg wydarzeń politycznych, jego przekonanie, iż to on jest rzecznikiem Opatrzności, niezawodnym *his Master's voice* - wszystko to musiało irytować Richelieugo, pragmatycznego zwolennika Realpolitik. W czerwcu 1627 roku nowy punkt dla dewotów: Richelieu kazał uwięzić swego współpracownika Fancana, sztandarowego reprezentanta orientacji „dobrych Francuzów”.

Jest to sprawa zawila i mętna. Richelieu nie tylko posługiwał się Fancanem (jako pamflecistą i agentem dyplomatycznym), ale podzielał wiele jego poglądów. Podobnie jak dobrzy Francuzi kardynał był patriotą, realistą, nie życzył sobie prześladowań religijnych (teza o nawracaniu heretyków perswazją ciągle obowiązuje); nie uważał też, by Hiszpania zasługiwała na miano bastionu ortodoksji. Bez wątpienia jednak Fancan był zbyt niezależny w myśleniu, zbyt libertyński. Przywiązany namiętnie - jak na gust kardynała zbyt namiętnie - do idei sojuszków protestanckich, nie pragnął bynajmniej ruiny hugenockiego „państwa w państwie”. Zmiany w układzie sił międzynarodowych działały tymczasem na niekorzyść dobrych Francuzów. Widząc zmianę koniunktury Fancan pragnął się wycofać ze współdziałania z kardynałem, który uznał, iż jest to zdrada, niebezpieczna, gdy zważyć stopień wtajemniczenia Fancana w jego sekrety. Także inni opozycjoniści z grona dobrych Francuzów powędrowali do Bastylii: markiz de Montpinçon, markiz de Bonnivet. Fancan zmarł wkrótce po uwięzieniu. Richelieu atakował go potem z niebywałą gwałtownością: „W szaleńczy sposób zmierzał on do ustanowienia republiki wymodelowanej jego chorą wyobraźnią... Wszystkie jego idee były fałszywe... Choć uważał się za dobrego Francuza, zmierzał jedynie do ruiny królestwa. A choć był duchownym, cieszył się łaskami hugenotów... Od dawna już nawiązał stosunki z zagranicznymi protestantami i był ich szpiegiem”. Sama brutalność i przesada tych oskarżeń zdają się świadczyć o nieczystym sumieniu kardynała.

Błędne jest wszakże mniemanie, że to presja dewotów zmusiła Richelieugo do rozprawy z hugenotami już w 1627 roku, tuż po niepowodzeniu reformy finansowej proponowanej notabdom. Nie mając solidnych zasobów, kardynał nie przyśpieszałby tej wojny tylko dlatego, że go namawiali dewoci, Bérulle, Marillac czy Ojciec Józef. Bo też nie było to jedynie nowe wydanie wojny domowej. Kluczem do zrozumienia wydarzeń staje się klęska sojuszu z Anglią i rosnąca angielska groźba.

W sierpniu 1626 roku Karol I usunął z Anglii świętą francuską swojej żony; jego stosunki z Henrietą były już wówczas fatalne. Paryżowi zależało na ratowaniu dobrych stosunków z Anglią, toteż do Londynu pojechał marszałek François de Bassompierre. Był to wspaniały mężczyzna, postawny, gładki, dowcipny. Ludwik XIII bardzo go lubił, mówił mu po nazwisku: Betstein (przodkowie marszałka pochodzili z Nadrenii i tak się

nazywali). Bassompierre nie był już młody, dobiegał pięćdziesiątki: cieszył się jeszcze łaskami Henryka IV i podkochiwał się wówczas w Marii Medycejskiej („Mawiał - pisze Tallemant - że pragnie tylko urzędu dworskiego tapicera, aby dla króla pokrywać”). Ten doświadczony żołnierz i dyplomata spodobał się Anglikom, którzy skłonni byli zawrzeć za jego pośrednictwem porozumienie z Paryżem i przywrócić francuską świtę królowej Henriecie. Układ się rozbił o sprawę przyjazdu Buckinghama do Francji: Ludwik na to się nie zgodził.

Nie należy jednak sądzić, iż wojna z Anglią wybuchła o piękne oczy królowej Anny, w rezultacie namiętności „diuka de Bouquiquan” i zazdrości Ludwika XIII. Za pasjami i resentymentami królów i ministrów kryją się zazwyczaj aspiracje ich państw i interesy klas rządzących. Anglicy skłonni byli popierać hugenotów nie tylko przez protestancką solidarność, ale i dlatego, że hugenockie „państwo w państwie” osłabiało francuską monarchię. Morskie i kolonialne ambicje kardynała Richelieu zaalarmowały Anglików (nie zachwyciły też wcale Holendrów i Hiszpanów). Za szyderstwami z „admirala słodkiej wody” odnaleźć łatwo, prócz pychy „dumnego Albionu”, cień niepokoju. Ponieważ zaś Roszela również poczuła się zagrożona, Buckingham uznał za wskazane poprzeć prośby i projekty grupki hugenockich emigrantów w Anglii. Na ich czele był Benjamin de Soubise, kłamliwy, ambitny i przewrotny: chciał się zrewanżować za swą klęskę w kampanii 1625 roku.

Od schyłku 1626 roku położenie Francji komplikowało się. Jej finansowe kłopoty nie były tajemnicą dla sąsiadów: zdawało się, że siła obronna kraju na długo osłabnie. Na dworze lotaryńskiego Karola IV, w Nancy, wygnana pani de Chevreuse motała gigantyczną intrygę. Powstawał wielki plan koalicji, która by powaliła rząd Richelieugo. Książę Lotaryngii, który miał niezłą armię, ruszyłby przez Szampanię na Paryż, Anglicy dokonaliby desantu w Roszeli, Rohan poderwałby hugenotów w Langwedocji, obrażony na Francję książę Sabaudii uderzyłby na Prowansję i Delfinat. Zapewne kardynał Mazarini przesadzał, gdy pisał dużo później, iż pani de Chevreuse „ma głowę, którą można by rządzić czterema królestwami”. Ufajmy raczej opinii kardynała Retza, który przyznawał tej damie zdolność formułowania opinii „tak błyskotliwych, że oślepiły jak błyskawice”, ale zaraz dodawał zjadliwie: „Gdyby się była zjawiała w wieku, kiedy nie było wielkich spraw, nie byłaby sobie nawet nigdy wyobraziła, że takowe istnieć mogą”. Wolno nam traktować nie nazbyt serio piękną awanturnicę; pamiętajmy jednak, że jej intrygi współbrzmiły z żywotnymi interesami monarchów i ministrów. Ideę wielkiej koalicji przeciw Francji, nad którą pani de Chevreuse tak gorliwie pracowała, suflował jej nie kto inny jak Buckingham za pośrednictwem swego emisariusza do Nancy, lorda Montagu.

Szczególnym zagrożeniem dla Francji był jednak rysujący się na horyzoncie alians Anglii z Hiszpanią. Piotr Paweł Rubens, pracujący w Antwerpii, a zatem hiszpański poddany, z talentem służył za pośrednika między Olivaresem a Buckinghamem. Richelieu replikował własnymi zabiegami: Bérulle rokował w Paryżu z hiszpańskim ambasadorem Mirbelem, w Madrycie ambasador du Fargis znów bardzo się krzątał.

Ostatecznie rząd francuski wygrał ów wyścig. Alians z Hiszpanią zabezpieczał Francuzom tyły w perspektywie wojny z Anglią: Richelieu liczył się z nią już w pierwszych miesiącach 1627 roku. Byłoby naiwne mniemanie, że się sprzymierzył z Hiszpanami, aby zrobić przyjemność dewotom lub też ulegając ich naciskom. To był elementarny wymóg ostrożności. Sam kardynał stwierdzi, iż nie chodziło mu o to, by uczynić z Hiszpanii prawdziwego alianta, lecz o to, by nie ujawniła się ona jako zdeklarowany przeciwnik.

Brakowało pieniędzy. Na szczęście nie tylko Francji; także Buckingham ogromnie się musiał uwijać, by pokonać trudności finansowe. Richelieu i Effiat robili oszczędności, pożyczali też wielkie sumy pod gwarancją własnego majątku. Nie stracili na tych operacjach, to prawda, ale gest był wzniosły.

Pojawiła się jeszcze jedna komplikacja. Flota angielska ruszyła z Portsmouth 27 czerwca 1627 roku, kilka dni potem wiedziano już o tym na francuskim dworze - i oto Ludwik XIII, który natychmiast też ruszył na południowy zachód, ciężko zachorował w drodze, zaraz w początku lipca. Astrologowie, o których pisała pani de Motteville, przepowiadali śmierć króla o kilkanaście miesięcy za wcześnie. Teraz mieliby szansę na uratowanie reputacji, bo liczone się poważnie ze zgonem Ludwika. Przez sześć tygodni leżał w Villeroy, gdzie go dopadł atak choroby (zapewne zapalenie płuc połączone z ciężką chorobą jelit). Przez cały ten czas Richelieu sam podejmował decyzje: królowi nie powiedziano nawet o angielskim desancie na wyspie Ré. Od końca sierpnia Ludwik był na miesięcznej rekonwalescencji w Saint-Germain i pod Roszelą zjawił się, razem z kardynałem, dopiero 12 października. Rozłokowana tam armia królewska - kilkanaście tysięcy ludzi - znajdowała się pod nominalnym dowództwem Gastona Orleańskiego (Richelieu był temu przeciwny, przeforsowała jego nominację Medyceuszka). Gaston dotarł jednak na front dopiero w połowie września. W istocie dowództwo sprawował diuk d'Angoulême. Był odważny jak lew i znał się dobrze na dowodzeniu, grzeszył jedynie chciwością; Tallemant twierdzi, że powierzając mu dowództwo Richelieu rzekł: „Panie, król życzy sobie, abyście się powstrzymali od...” - i zrobił ręką ruch oznaczający kradzież. Diuk wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odpowiedział: „Panie, zrobi się wszystko, co tylko można, byleby króla ukontentować”. Niestety, inni marszałkowie i generałowie bardzo byli niezadowoleni: uważali, że diuk d'Angoulême jest za stary na dowódcę. Miał wówczas 54 lata. Radził sobie zresztą zupełnie dobrze.

Buckingham pojawił się pod Roszelą w połowie lipca. Miał około setki okrętów, transportujących wielotysięczny korpus ekspedycyjny. Powstała jednak sytuacja paradoksalna: Anglicy ruszyli na wojnę pod pretekstem obrony zagrożonej Roszeli, ale gdy już przybyli, władze miasta nie wpuściły ich do portu. Rządząca Roszelą kupiecka oligarchia - w odróżnieniu od pastorów i ludu - była umiarkowana i rojalistyczna, nie chciała się narażać pochopnie na zarzut zdrady stanu. Toteż Buckingham z ośmioma tysiącami żołnierzy dokonał 20 lipca desantu na wyspie Ré i przez prawie cztery miesiące oblegał główny punkt oporu Francuzów, fort

Saint-Martin. Gdyby Anglikom udało się opanować całą wyspę Ré, razem z fortem, mogliby paraliżować cały francuski handel atlantycki: kontrolowaliby ujścia Żyrondy i Loary.

Jednakże fort Saint-Martin ulokowany był na litej skale, niepodobna prowadzić tu prac minerskich, można było jedynie wziąć go głodem. Ponadto dowódcą dwutysięcznego garnizonu Saint-Martin został wyjątkowy zuch, ulubieniec króla, Jean de Saint-Bonnet sieur de Toiras. Rówieśnik kardynała - miał więc lat 42 - ongiś razem z panem de Luynes uczył Ludwika XIII oswajać ptaki. Do 35 roku życia interesował się jedynie polowaniem; dopiero podczas kampanii hugenockich lat 1620-22 ten dworak odkrył w sobie wspaniały talent militarny. Twardy, porywczy, niezależny w myśleniu, cieszący się sympatią króla - Toiras nie mógł liczyć na przyjaźń Richelieugo, który istotnie go nie znosił. Kardynała irytowały wspaniałe wyczyny militarne Toirasa na wyspie Ré, a potem we Włoszech; oponował - zresztą bezskutecznie - przeciw mianowaniu go marszałkiem, próbował wpłatać Toirasa w jedną z późniejszych możnowładczych rewolt, w końcu zmusił go do przejścia na służbę alianta Francji, księcia Sabaudii.

Oblężenie fortu Saint-Martin to klasyczny przykład wojny w koronkach. Odważne szturmowanie i heroiczne obrony przeplatały się z wymianą jeńców, grzeczności, prezentów. Buckingham posyłał Toirasowi świeże owoce, Toiras rewanżował się pudrem i wodą kwiatową, których angielskiemu dandysowi zabrakło. Obraz nieco psuje jakaś mętna historia z próbą zabicia Buckinghama przez rządowego agenta, który podawał się za hugenotę-dezertera z królewskiej armii. Był też upiorny głód obrońców fortu i mordercza dyscyplina utrzymywana przez Toirasa. Na szczęście angielska blokada wyspy nie była zupełnie szczelna, we wrześniu i październiku francuskie lekkie łodzie, *pinasses*, dwa razy dostarczały oblężonym żywność. W nocy z 7 na 8 października pomoc przybyła, gdy Toiras zaczął już rozmawiać z Anglikami o kapitulacji. Richelieu i jego propagandyści woleli przemilczeć fakt, że ta decydująca operacja, umożliwiająca Toirasowi przetrwanie, zorganizowana została przez Gastona księcia Orleanu. Zresztą po przybyciu pod Roszelę króla i kardynała wnet się okazało, że Gastonowi niewiele zostało pola do działania. Królewski brat wyjechał stąd w listopadzie.

Sytuacja samej Roszeli od lipca do września była dziwaczna. Władze miasta nie wpuściły Buckinghama, ale robiły świetne interesy na zaopatrywaniu w żywność jego korpusu. Miało to i ten skutek, że wyczerpało sporą część zapasów miasta, których później już nie zdążono odbudować. W lipcu władze Roszeli rozmawiały przyjaźnie z diukiem Angoulême, w sierpniu sytuacja się popsuła: armia króla zaczęła się przygotowywać do blokady miasta, roszelczycy umacniali swe fortyfikacje. W połowie sierpnia otrzymali apel króla o zjednoczenie się z rządem przeciwko Anglikom. Radykałowie roszelscy zaczęli gromko się sprzeciwiać ugodzie z królem, zamożni i umiarkowani *bourgeois* - w tym część władz - opuszczali zagrożone miasto. Wciąż jednak jeszcze rozmawiano... Richelieu pisał potem, że żądania Roszeli były tak wygórowane, „iż król zechciałby ich słuchać dopiero po przegraniu dwóch batalii”. Domagano się m.in. uparcie zburzenia owego Fort-Louis, który

roszelczycy uważali za zagrożenie nie dające się tolerować. 10 września zaczęły się działania wojenne, bo roszelczycy nie wytrzymali i jako pierwsi ostrzelali Fort-Louis.

Dramatyczne wydarzenia przeszło rocznego oblężenia Roszeli usuwają na drugi plan wojnę z hugenotami w Langwedocji, gdzie Rohan zrećnie i dzielnie wojował z siłami królewskimi: trzymał się jeszcze całe osiem miesięcy po upadku Roszeli, do połowy 1629 roku. Ale rozmach tej wojny na Południu nie da się porównać z wcześniejszymi kampaniami. Rohan zawarł układ z Buckinghamem (i wywarł presję na roszelczyków, by w październiku 1627 roku podpisali podobny układ). Liczył na angielski desant w Gujennie, który nie nastąpił. Później spodziewał się pomocy od Hiszpanów, ale już nie zdążył jej otrzymać. Musiał wręcz zmuszać protestanckie miasta, by mu pomagały; ludzi mógł rekrutować jedynie w Sewennach, których zasoby były ograniczone. Świetny talent wojskowy Rohana przyniósł mu kilka zwycięstw nad wojskami króla pod księciem de Condé i diukiem de Montmorency; mimo to jednak kontrolowany przezeń obszar kurczył się powoli jak jaszczurza skóra.

W początku października Richelieu rzekł księciu de Condé ruszającemu do Langwedocji, by wojować z Rohanem: „Trzeba zrujnować hugenotów. Jeśli wyspa Ré się obroni, będzie to łatwe. Jeśli stracimy Ré, będzie to sprawa trudniejsza, ale jednak wykonalna i konieczna... Inaczej Anglicy i roszelczycy zjednoczą się i staną się potęgą”

Richelieu i król zainstalowali się pod Roszelą obok siebie, kardynał w małym zamku Pont-de-la-Pierre, Ludwik w zamku Aytré. Eminencja znów pokazał, że jest zdolny do niebywalej koncentracji wysiłku. Doglądał wszystkiego: zaopatrzenia armii w zimowe ubrania, punktualnej wypłaty żołdu bez żadnych malwersacji, stanu kwater i higieny, wojskowej dyscypliny. Mnóstwo trudu włożył w przygotowania do kontrataku Schomberga na wyspie Ré; o mało nie utonął w drodze na sąsiednią wyspę Oléron, gdyż na morzu rozpuły się straszliwe wiatry. Naradzał się nieustannie z Ojcem Józefem, który też się troił: pisał repliki na manifesty roszelczyków, sterował siatką katolickich agentów rządu w oblężonym mieście, dyrygował całą armią księży i mnichów, którzy nabożeństwami i kazaniami podtrzymywali dobre nastroje wojska.

Gorzej z dowodzeniem. Było pod Roszelą wielu doświadczonych marszałków i generałów: Angoulême, Schomberg, Bassompierre, Ludwik de Marillac (brat ministra), kardynał de La Valette, który zdradzał nieprzeciętny talent wojskowy. Nie było tylko zgody, trwały rywalizacje i swary. Część arystokracji wojskowej nie zachwycała się wcale perspektywą zniszczenia politycznej potęgi hugenotów, szachującej i osłabiającej „despotyzm” monarszy. Rozmówiony w błyskotliwych *bons mots* Bassompierre mówił zaufanym: „Zobaczycie, będziemy na tyle szaleni, że zdobędziemy Roszelę!” Richelieu mu tego nie zapomni.

Wygłodzony i osłabiony garnizon Toirasa gonił resztkami i dał znać na ląd, że nie utrzyma się długo. 6 listopada Anglicy przypuścili szturm na fort Saint-Martin i ponieśli wielkie straty. Dwa dni później wylądował na wyspie Schomberg: osłabieni Anglicy zaczęli się cofać, zostali zaatakowani w bardzo niewygodnej dla nich sytuacji, stracili prawie 2 tysiące zabitych.

Reszta wsiadła na okręty, Buckingham dał rozkaz powrotu do Anglii. Opinia uznała uratowanie Toirasa i przepędzenie Anglików za olbrzymi sukces armii i Richelieugo osobiście. Słusznie, bo przygotowywał ten kontratak i popędzał dowódców. Jednakże po euforii zwycięstwa przyszły powszednie dni oblężenia: Roszela nie zamierzała kapitulować. Za murami miasta były ogrody i sady, oblężenie nie zahamowało rybołówstwa, nawet blokada okazała się nieszczelna i do portu wpływały statki z zaopatrzeniem. Francuzi mieli za mało okrętów, by zamknąć od morza pierścień blokady. Liczyli na pomoc hiszpańskiego alianta, ale Olivares zadowolił się gestem bez znaczenia: dla okazania sojuszniczej lojalności wysłał kilkadziesiąt okrętów w pobliże wybrzeży Bretanii i... nakazał, by flota stamtąd się nie ruszała!

Trzeba zatem było pomyśleć o zamknięciu blokady od strony morza przy pomocy wielkiej zapory. Pomysł nie był nowy, już podczas kampanii 1622 roku włoski inżynier Pompeo Targone zaprojektował tamę „łańcuchową”, *una catena*. Miał to być system pontonów połączonych łańcuchami. Targone zaczął swą budowę w październiku 1627 roku, ale armaty roszelczyków skutecznie ją rozbijały. Richelieu zgodził się zatem przyjąć inny plan, którego autorem był Clément Métezeau ze słynnej rodziny architektów królewskich. Z pomocą paryskiego mistrza budowlanego Jeana Thiriot zaczął on budowę tamy kamiennej, z dala od roszelskich baterii, długiej na 1600 metrów (ale pośrodku zaplanowano 200-metrową wolną przestrzeń, by przepuszczać przyływ morza). Tama miała się wznosić na osiem metrów ponad lustro wody, środkową wolną przestrzeń blokować miały ale tylko dla dużych statków, to była słabość projektu - zatopione okręty.

W początkach 1628 roku pojawił się pod Roszelą kończący już świetną karierę hiszpański generał Ambrogio Spinola. Komplementował prace oblężnicze i projekt tamy: radził „*abrir la mano y cerrar et puerto*”, otwierać dłoń i zamknąć port. Przez otwieranie dłoni należy rozumieć dobre opłacanie żołnierzy. Fontenay-Mareuil notuje w pamiętniku, że mający sporo czasu żołnierze - działania wojenne w zimie zastygły - znosili chętnie kamienie, których było w okolicy pełno; za każdy koszt dostawali żeton, a wieczorem solidną zapłatę, co najmniej 20 sous za dzień takiej pracy. Tama rosła, budowano ją z obu stron łądu jednocześnie. Nad bezpieczeństwem budowy czuwało podobno sześć tysięcy ludzi na pokładach 250 okrętów i łodzi; Richelieu nadzorował całość prac. W pamięci świadków pozostał jako wszechobecny szef, w pancerzu na kardynalskiej czerwonej sutannie, na pięknym karym koniu. Był na szczęście w dobrej formie fizycznej.

Gorzej z królem, którego nudziła monotonia oblężenia bez działań wojennych; męczył go brak rozrywek, irytowały nieustanne deszcze. „Król do tego stopnia zaczął się nudzić pod Roszelą - pisał Richelieu - że uznał, iż jego życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli nie zrobi sobie wycieczki do Paryża”. Między Ludwikiem i kardynałem powstały napięcia, Richelieu sprzeciwiał się wyjazdowi króla i powoływał się na grożącą wówczas demoralizację armii. No, nie był to jedyny powód. Faworyt Gastona Goulas zapisał w pamiętniku, że kardynałowi „zależało na tym, by

być dniem, a często i nocą przy osobie króla i zachowywać [dzięki temu] pełny wpływ na niego”. To zresztą pogląd powszechny - i uzasadniony. Richelieu miał skądinąd prawo niepokoić się o wpływy, jakim Ludwik może ulec w Paryżu. Wiedział, że Maria Medycejska zaczyna się irtować jego sukcesami, że sądzi, iż Richelieu fruwa już zbyt wysoko i przestaje być zainteresowany jej najjaśniejszą protekcją. Medyceuszka opowiada, że kardynał bawi się w generała bez żadnych po temu kompetencji, że bardzo jej to przypomina fanfaronadę pana de Luynes pod Montauban. Wierne przyjaciółki podtrzymywały królową-matkę w tym usposobieniu: jadownicie sączyły jej do ucha, że Richelieu woli siedzieć pod Roszelą, tam gdzie się mapa kończy, bo się z nią nudzi.

Gdyby kardynał poniósł pod Roszelą porażkę, Medyceuszka i bliscy jej ludzie - Marillac, Bérulle - skłanialiby zapewne króla, by dał niefortunnemu ministrowi dymisję. Czy na odległość Richelieu miałby szansę utrzymać poparcie króla, urabianego przez paryskie otoczenie? Nie mógł przecież liczyć na życzliwość Gastona, który w Paryżu znów wiódł życie wesołe, by nie rzec hultajskie, rozgoryczony tym, że nie on, ale Richelieu dowodzi pod Roszelą. Anna Austriaczka od dawna nie nosiła kardynała w sercu; teraz znów była poruszona aferą pana Montagu. Ten wysłannik Buckingham, od roku już spiskujący z panią de Chevreuse, został pochwycony przez agentów kardynała na terytorium lotaryńskim, a więc z jawnym pogwałceniem prawa międzynarodowego. Przy panu Montagu znaleziono walizę pełną papierów: instrukcji z Londynu, własnych jego notat, listów - w tym oczywiście i od pani de Chevreuse. Królowa Anna - jak pisze w swych pamiętnikach Laporte - straciła sen i apetyt z obawy, „że może być wymieniana w papierach milorda”. Prosiła podobno Laporte’a, by dotarł jakoś do pana Montagu i dowiedział się, czy jego papiery ją kompromitują. Montagu uspokoił Annę; król i kardynał nie zamierzali zresztą zaognić sytuacji. Montagu został wnet wypuszczony, wobec Karola IV Lotaryńskiego i pani de Chevreuse rząd francuski poczynił pewne gesty ugodowe. Ale Anna Austriaczka pamiętała kardynałowi, że znów się najadła strachu.

Tak więc wyjazd króla do tego gniazda os, jakim jest dwór w Paryżu, to z punktu widzenia Eminencji sprawa ryzykowna. Jednakże stan zdrowia Ludwika rzeczywiście się pogarszał. Richelieu doszedł do wniosku, że należy poprzeć ów plan wyjazdu do Paryża. 8 lutego Ludwik stracił swego starego medyka Héroarda („Bardzo go jeszcze potrzebowałem” - rzekł z żalem nieco egoistycznym); 10 lutego opuścił roszeleńską *place d’armes*. Pożegnał kardynała łaskawie, a nawet serdecznie: zapewniał, że nigdy nie zapomni jego służb, prosił, by się nie narażał na niebezpieczeństwo (w styczniu obaj mała nie utonęli podczas żeglugi na kanale). Także pożegnalne listy są liryczne. Ludwik pisał: „Może Pan być zawsze pewny moich uczuć i ufać, że aż do śmierci dotrzymam tego, co Panu przyrzekłem”. Richelieu replikował, że okazane mu przez króla dowody dobroci i czułości sprawiają, iż wyjazd „najlepszego w świecie Pana” przeszywa mu serce. Ludwik przekazał kardynałowi naczelne dowództwo pod Roszelą: Angoulême, Schomberg, Bassompierre znaleźli się pod jego rozkazami.

Richelieu demonstruje skromność; nazajutrz po wyjeździe króla pisze do kardynała de La Valette: „Byłem zerem, które w arytmetyce coś oznacza tylko wtedy, gdy są przed nim jakieś cyfry. Teraz, gdy królowi spodobało się postawić mnie na czele, jestem tym samym zerem, które ze swym własnym rozeznaniem nic jeszcze nie będzie znaczyć”. Zapewne nie była to skromność zupełnie udana. Jak się zdaje, Richelieu czasem wątpił w sukces i bał się swej klęski. Nie tylko Marii Medycejskiej przychodziła na myśl historia oblężenia Montauban przez konetabla de Luynes. Wolno się było obawiać zniechęcenia wojska, braku woli zwycięstwa u dowódców, nieszczelności blokady. 12 marca fatalnie zawiodła próba wzięcia Roszeli fortem. Mała grupa szturmowa z Ludwikiem de Marillac miała się dostać do miasta kanałem ściekowym i od wewnątrz otworzyć bramę: Richelieu czekał na ten moment z 5 tysiącami ludzi. Ale Marillac nie sforsował wejścia do Roszeli, bo zablądziła i nie przybyła na czas grupa saperów. Zdolny oficer pan de Pontis zapisał w pamiętniku, że Ojciec Józef „z gorliwością mało dyskretną” układał wciąż nowe projekty wzięcia miasta dzięki wymyślnym machinom i tajemnym przejściom; liczył też na swą siatkę katolickich agentów w Roszeli. Ale Ojca Józefa podtrzymywała wiara, że oblężenie jest dziełem Pana Boga, że Bóg sam kieruje tu wydarzeniami; Richelieu jest racjonalistyczny, a zatem i sceptyczny. Jest też bezwzględny: kazał przepędzić i zmusić do powrotu opuszczające Roszelę kobiety oraz dzieci. Obrońcy pragnęli pozbyć się w ten sposób niepotrzebnych gąb, bo już od stycznia 1628 roku miasto zaczęło odczuwać głód. W lutym Roszelę trapić zaczęły epidemie. Wolę walki pobudzały nadzieje na pomoc Anglików, a także radykalizacja miejskiej władzy.

W marcu poznano i aprobowano w Roszeli projekt traktatu z Karolem I: Anglicy obiecywali skuteczną pomoc, domagając się wpuszczenia ich floty do portu. Dokument ten dotarł morzem, co dowodzi, iż blokada ciągle była nieskuteczna. Zmienił się też skład władz miasta. Na ich czele stanął twardy człowiek morza, Jean Guiton, bezwzględny, a nawet okrutny, fanatyk oporu aż do końca. Udało mu się zahamować przejawy defetyzmu i poskromić wewnętrzne spory w mieście.

Oblegających podniosły na duchu dwa wydarzenia tej wiosny: ukończenie prac nad tamą i powrót króla. Ludwik spędził w Paryżu niewiele ponad miesiąc. Nużyły go przejawy troski królowej-matki, która lamentowała nad jego fatygami rujnującymi mu zdrowie, nad niebezpieczeństwami udziału w walce. Nie dał się zatrzymać w Paryżu. Gaston przypominał mu złośliwie, że upływa czas permisji, której mu łaskawie udzielił ksiądz kardynał. W połowie kwietnia wrócił do Aytré.

11 maja pokazała się na horyzoncie odsiecz angielska pod komendą admirała lorda Denbigha. Nie próbowała się przebić przez blokadę i po tygodniu bezradnego sterczenia z dala od portu zawróciła. „Bardzo to pocieszyło króla i kardynała” - raportował poseł wenecki Giorgio Zorzi. Lato 1628 roku było dla oblężonych straszliwym doświadczeniem. Jest to lato epidemii i głodu: roszelczycy zjadali psy, koty, szczury, wreszcie przedmioty ze skóry. Pojawiły się trudności z grzebaniem zmarłych. Spośród 28 tysięcy mieszkańców Roszeli oblężenie przeżyło niespełna pięć i pół tysiąca.

Nadzieja jest wszakże siłą potężną: w tym przypadku nadzieja na skuteczną interwencję Anglików. W istocie, wiosną 1628 roku udało się załagodzić konflikt Karola I i Buckinghama z Parlamentem. Przyjęcie przez króla programu reform (tak zwanej Petycji Prawa) rozwiązało sakwy angielskich posiadaczy. Buckingham gorączkowo szykował odsiecz dla Roszeli. 23 sierpnia padł ofiarą zamachu: zamordował go w Portsmouth, w rezydencji pełnej ludzi, pominięty przy awansie oficer John Felton. Jak wszyscy niemal purytanie, Felton skłonny był sądzić, że cyniczny i rozpuszny Buckingham jest narzędziem diabła.

Ludwik XIII i Richelieu nie chcieli z początku wierzyć tej wiadomości; gdy się potwierdziła, eksplodowali radością. Później dopiero Richelieu będzie bardziej refleksyjny: Feltona uzna za zdrajcę, a całe wydarzenie za godne ubolewania. Precedens mordowania pierwszego ministra przez fanatycznego opozycjonistę słusznie wydał mu się fatalny.

Jednakże ekspedycja angielska ruszyła pod komendą admirała Roberta Lindsey'a. Była potężna: ponad sto okrętów, pięć tysięcy żołnierzy, wielkie zapasy żywności i broni. Pojawiła się pod Roszelą w końcu września, 3 października próbowała ostrym ogniem rozbić flotę francuską i sforsować tamę. Król i kardynał śledzili przebieg bitwy na nasypie jednej z baterii: podobno świstały nad nimi kule Anglików, Richelieu osobiście odpalił jedno z dział. Rezultaty z obu stron były nikłe: Francuzi nie zadali wrogowi wielkich strat, Anglicy nie przedarli się do portu. Lindsey był niezłym admirałem, ale jego podkomendnych opanował defetyzm. Zaczęły się tedy rozmowy, do których Lindsey delegował lorda Waltera Montagu, tego samego, który przed niespełna rokiem przesiedział się we francuskim więzieniu. Bassompierre wziął go na okręt i pozwolił obejrzeć tamę, co miało utwierdzić Anglików w przekonaniu, że sukces militarny jest niemożliwy. Dodajmy nawiasem, że wkrótce po upadku Roszeli sztormy rozbiły tę wspianą budowlę, pomnik wysiłków Richelieu i jego żołnierzy. Trudno to było przewidzieć, więc Montagu udał się do Londynu po nowe - pokojowe, oczywiście - instrukcje.

Richelieu pragnął uniknąć rokowań pokojowych między królem Francji a jego poddanymi, a jeszcze bardziej - mediacji Anglików w takich rokowaniach. Ostatnie tygodnie oblężenia były dla roszelczyków upiorne: nie grzebano już martwych (podobno 18 października zmarło 400 osób: to plon jednej doby!), psy i koty dawno zostały zjedzone, w mieście odbywały się polowania na szpiegów, defetystów i dezertersów... Richelieu znów okazał się zręcznym propagandystą. Jego pamfletyści i agenci pisali i rozpowszechniali ulotki, atakujące tyranie Guitona, denuncjujące spekulantów i bogaczy, którzy wśród potwornego głodu siedzą na górze zapasów. Nastroje w mieście i stan zasobów były takie, że nawet twardy Guiton uznał za konieczne podjęcie rozmów z oblegającymi.

Kardynał rozumiał, że hardym roszelczykom można narzucić kapitulację, ale nie bezwarunkową. Na radzie wojennej zwołanej 26 października sprzeciwił się zwolennikom srogich represji i opowiedział za amnestią dla buntowników („Im większa jest wina Roszeli, tym bardziej zajaśnieje wielkoduszność króla”). Ludwik XIII stanął po jego stronie, co nie przeszkodziło rygorystom szydzić bezlitośnie z „hugenockiego

kardynała”.

Roszelczycy mieli złudzenia: próbowali się domagać zachowania mera Guitona, utrzymania fortyfikacji, amnestii dla emigranta Soubise'a. Richelieu oświadczył im, że nie będzie traktatu pokojowego, może być tylko akt łaski króla. Gwarantował im jedynie amnestię i wolność kultu wedle zasad Edyktu nantejskiego. Dwa dni później posłów Roszeli przyjął Ludwik XIII: był to 29 października. Król oznajmił, że autonomia miasta i jego przywileje zostają zniesione, kult katolicki - przywrócony, fortyfikacje będą zburzone. Amnestia pełna, ale Guiton i kilku jego pomocników miało się udać na wygnanie. Wolność kultu kalwińskiego została zagwarantowana.

Miasto zostało zajęte przez wojsko króla z żelazną dyscypliną, bez rabunków i nękania ludzi. Świadkowie stwierdzali zresztą, że miasto robi wrażenie widmowe, a ludzie wyglądają jak upiory („anatomie”, jak wtedy mówiono). Richelieu wszedł do Roszeli 30 października: gdy Guiton próbował go powitać, nie pozwolił na to. Orzekł, że mera już nie ma, zaś pan Guiton jest banitą. Eks-mer znajdzie zresztą później drogę powrotu do służby królewskiej.

Ludwik XIII zjawił się w mieście 1 listopada o godzinie 14: kazał rozdzielać żywność, wziął udział w uroczystym *Te Deum*, które odśpiewano w przywróconym kultowi rzymskiemu kościele Św. Małgorzaty. Zaraz też do miasta weszła królewska administracja i zaczęto burzyć mury. Osłabiało to ogromnie Francję morską, o którą kardynał tak zabiegał: Roszela straciła bezpowrotnie swą pozycję. Ale zauważmy, że Richelieu był przeciwny burzeniu jej fortyfikacji. Tu przeważyło zdanie króla. Poseł wenecki Zorzi tłumaczył, że Ludwik nie miał „wśród 12 milionów poddanych” ludzi na tyle zaufanych, by im bez obawy powierzyć tak potężną i niepokorną twierdzę.

10 listopada Lindsey dał rozkaz odwrotu; wnet też się zaczęły negocjacje pokojowe Francji z Anglią za pośrednictwem Wenecji. Potęga hugenotów była złamana, Ludwik XIII uszczęśliwiony. W początku grudnia położył w Paryżu kamień węgielny pod piękny, barokowy kościół Notre-Dame-des-Victoires. To jego wotum za zwycięstwo roszeleńskie. „Jeśli król Ludwik jest monarchą Francji, to kardynał jest jej gospodarzem (*padrone*)” - depeszował inteligentny Giorgio Zorzi.





V. PRZESILENIE



SPRAWY EUROPEJSKIE

W pamiętniku markiza de Montglat jest taka oto charakterystyka usposobienia króla Ludwika po wzięciu Roszeli: „Jakkolwiek wyraźnie przerzuczał na innych kierowanie swoim królestwem, to jednak nie przestał pożądać sławy i miłować wielkości swego państwa. A zatem, widząc, iż owe uśmiechy fortuny zawdzięczają swój szczęśliwy wynik działaniom kardynała, nabrał wielkiej estymy dla jego talentów, tak dalece, że rządził się odtąd tylko jego zdaniem, lekceważąc opinie wszystkich innych”. Ci „inni” to naturalnie książęta, i - przede wszystkim - dewoci skupieni wokół Marii Medycejskiej, Marillaka i Bérulle’a. Richelieu schlebiał im i starał się nie pogłębiać ich zawiści: mimo to chętnie utopiliby go w łyżce wody. Tymczasem skomplikowana sytuacja europejska wystawiała na nowe próby talenty kardynała, a zatem i estymę króla dla szefa rządu.

Wojna pod Roszelą bardzo poprawiła stosunki Francji z kurią rzymską, napięte od czasu przegrania papieskich wojsk z Walteliny. Urban VIII wyróżniał się żarliwą i ortodoksyjną wiarą, toteż wojna Richelieugo z „heretykami” bardzo mu się podobała. Tym bardziej że Francja była mu potrzebna. Ów papież-ortodoks to zarazem ambitny polityk. Chciał umocnić siłę militarną państwa kościelnego (otoczył murem Watykan, ufortyfikował zamek Św. Anioła, kazał fabrykować broń); nie życzył sobie wcale dominacji hiszpańskich kardynałów w kurii, a hiszpańskich Habsburgów w Italii. Pragnął zatem zrobić z Francji siłę przeciwważną Hiszpanom, nie utożsamiając oczywiście swych celów z celami polityki Richelieugo. Był przy tym arbitralny, pyszny, zarozumiały. Gdy mu kiedyś przypomniano, że dawne prawo zakazuje stawiać pomniki żyjącym papieżom - najeżył się i odpowiedział, że ta zasada nie dotyczy papieża jego formatu!

Francja miała dwu aliantów: Zjednoczone Prowincje i Hiszpanię. Hiszpania rada była wojnie Ludwika XIII z „heretykami”, a jeszcze bardziej z Anglią. Rada, ale nie na tyle, by Francuzom pomóc. Holendrzy z bólem przyjęli oblężenie Roszeli, lecz jej nie pomogli. Cieszyli się natomiast z wojny francusko-angielskiej i pragnęli, by się przedłużała. Po pierwsze, bogacili się na dostawach dla obu walczących krajów; po drugie, Hiszpania była dla nich głównym wrogiem, dostrzegali jednak jej powolne słabnięcie i nie uszły ich uwagi mocarstwowe ambicje Richelieugo. Żadna „wielkości”, silna na morzu Francja mogła też się stać groźna dla Zjednoczonych Prowincji.

Buckinghamowi nie udało się podjudzić przeciw Francji innego jej sojusznika - Wenecji. Pewne antyfrancuskie skłonności ujawniły Sabaudia i zwłaszcza Lotaryngia, której księcia urabiała pani de Chevreuse: Richelieu nacisnął na nie i bez wysiłku zdołał spacyfikować: sukcesy pod Roszelą (odsiecz wyspy Ré, fiasko ekspedycji Denbigha) bardzo mu w tym pomogły.

W Niemczech wojna trwała już dziesiąty rok. Niszczyła kraj nie dając przewagi ani protestantom, ani katolikom. W połowie lat dwudziestych zaszły tu dwa ważne wydarzenia. Słabnących protestantów niemieckich wsparła zbrojna interwencja duńskiego Chrystiana IV, który zaatakował katolików z poparciem Anglii, Holandii i Francji. A jesienią 1625 roku powstała potężna armia w służbie cesarza Ferdynanda II pod komendą genialnego kondotiera Albrechta von Wallensteina. Na szczęście dla Francji, w katolickim obozie Rzeszy nie było jedności. Cesarz nosił się z planem złamania dotychczasowego ustroju Rzeszy, przeobrażenia jej - po zmiążdżeniu protestantów - w silną monarchię. Wallenstein nie był jakimś wojskowym nuworyszem: to wielki pan, magnat czeski, mający własne i olbrzymie - polityczne ambicje. Jego armia miała operacyjną samodzielność: cesarz nie mógł jej wydawać rozkazów. Katolicy księżęta Rzeszy, skupieni w Lidze sterowanej przez Maksymiliana Bawarskiego, też mieli silną armię: dowodził nią inny wybitny kondotier, hrabia Johann von Tilly. Maksymilian był wrogo usposobiony do cesarza, już nie tylko z racji starej rywalizacji bawarskich Wittelsbachów z Habsburgami, ale i ze względu na przybieranie przez Ferdynanda II min absolutnego monarchy. Maksymilian nienawdził też Hiszpanów, którzy dawali cesarzowi fatalny przykład monarchii absolutnej i z którymi rywalizował w okupowanym przez garnizony bawarskie i hiszpańskie palatynacie reńskim. Władca Bawarii nie znosił wreszcie i Wallensteina, który mu odbierał polityczne oraz militarne przywództwo partii katolickiej w Niemczech. Nic tedy dziwnego, że między Paryżem a Monachium bez przerwy wędrowali emisariusze obu stron. Richelieu ciągle liczył na to, że uda się popchnąć Maksymiliana przeciw cesarzowi i w ten sposób skłonić Habsburga do pokoju, który zachowałby silną partię protestancką, gwarancję równowagi politycznej w Rzeszy.

U schyłku 1628 roku to nie sprawy niemieckie były więc główną troską Eminencji, ale narastające konflikty włoskie. Wszystko zaczęło się jeszcze w grudniu 1627 roku, gdy zmarł bezdziedzicznie książę Mantui Wincenty II Gonzaga. Jego państwo składało się z dwóch części oddalonych o blisko dwieście kilometrów. Na wschodzie księstwo Mantui, graniczące m.in. z Wenecją i hiszpańskim księstwem Mediolanu; na zachodzie markizat Monferratu ze stolicą Casale, wciśnięty między Sabaudię i księstwo mediolańskie.

Najbliższym krewnym, a więc i dziedzicem zmarłego księcia Mantui był francuski książę, diuk Charles Gonzague de Nevers: znany już nam jako błędny rycerz krucjaty antytureckiej, przyjaciel Ojca Józefa; we Francji mało było równych jemu wicherzycieli. Jednakże pojawili się także inni pretendenci do spadku, a Hiszpanie bardzo nie chcieli widzieć tu francuskiego księcia. W styczniu 1628 roku stanął układ pomiędzy

Hiszpanią i Sabaudią o podział Monferratu, przez który przebiegały ważne strategicznie drogi łączące przełęcz alpejskie z doliną Padu. Karol Emanuel sabaudzki zajął kilka twierdz w zachodniej części Monferratu, Hiszpanie oblegli jego stolicę.

Casale broniło się dzielnie, a diuk de Nevers zwrócił się o pomoc do swego króla. Ludwik XIII i Richelieu byli zainteresowani umocnieniem wpływów Francji w północnych Włoszech, ale oblężenie Roszeli odebrało im swobodę ruchów. Dopiero u schyłku 1628 roku sprawa pomocy dla Neversa zaktualizowała się - i podzieliła ekipę rządzącą.

Maria Medycejska, choć Włoszka, od początku była przeciwna interwencji w konflikt mantuański. „Ta sprawa interesuje bardziej Italię niż Francję - powiedziała posłowi weneckiemu - i jest powinnością papieża oraz Republiki [weneckiej], a nie innych, podtrzymać roszczenia diuka de Nevers i zapewnić mu sukcesję”. Królowa-matka, jak pisze Montglat, „twierdziła, że lepiej będzie zrobić porządek w wewnętrznych sprawach państwa niż wkraczać w sprawy zagraniczne nie mające dla Francji wielkiego znaczenia”. Przez uporządkowanie spraw wewnętrznych rozumiała szybkie zmiążdżenie hugenotów, którzy pod Rohanem bronili się jeszcze w Langwedocji. Pogląd taki suflowali jej oczywiście dewoci; ale zaważyła na nim zastarzała nienawiść Marii do diuka de Nevers. Laporte twierdzi, że ongiś Nevers odradzał Henrykowi IV małżeństwo z Medyceuszką i że królowa mu to pamiętała. Później, już za regencji, Nevers był duszą rebelii przeciw Marii. Montglat pisze, że właśnie wówczas znienawidziła Neversa śmiertelnie, bo rozgłaszał, iż „jak powszechnie wiadomo, Gonzagowie byli książętami wcześniej, niż Medyceusze otrzymali szlachectwo”...

Richelieu domaga się udzielenia Neversowi pomocy i przepędzenia Hiszpanów spod Casale. Twierdził - jak pisze ten sam Montglat - „że reputacja króla osiągnęła takie wyżyny, jakich można sobie było życzyć; nie wystarcza wszelako, że się ją zdobyło, należy ją utrzymać”. Ustąpić w tej sprawie Hiszpanom to natchnąć ich „zuchwalstwem podejmowania ciągle jakichś nowych działań przeciwko Francji”.

Dwa te stanowiska starły się na posiedzeniu królewskiej Rady 26 grudnia 1628 roku. Dewoci, Marillac i Bérulle, argumentowali wcale racjonalnie: Francja nie ma zaplecza silnych aliansów, brak pieniędzy, wojsko jest znużone długim oblężeniem Roszeli, trwa rebelia hugenotów w Langwedocji. Sprawa Mantui ma drobny wymiar, nie ma sensu irytować interwencją pod Casale Sabaudii i zwłaszcza Hiszpanii: kto wie, czy z tego drobiazgu nie rozgorzeje wielka wojna! Maria Medycejska popiera tę argumentację. Ale dewoci nie są jednomyślni: postać tak wpływowa jak Ojciec Józef jest zwolennikiem pomocy dla Neversa.

Richelieu nie sądzi, by sprawa Mantui była błaha. Napisze on później, że „Italia jest sercem świata”: oczywiście światem jest dlań Europa. Przez północne Włochy przebiegają przecież linie łączące różne posiadłości hiszpańskie, a także oba habsburskie imperia. Podczas burzliwej dyskusji w tym dniu 26 grudnia kardynał wyjaśnia wagę sprawy, uderza zręcznie w strunę „reputacji” króla (jakże mógłby on porzucić swego poddanego i alianta, którego wrogowie chcą wywłaszczyć?), uspokaja wreszcie lęk

przed wielką wojną. Interwencja pod Casale będzie tylko operacją policyjną, król Francji może zapewnić pokój w Italii nie później niż do maja. Potem armia zwróci się natychmiast przeciw hugenotom w Langwedocji, pokona ich do końca lipca. Nie później niż w sierpniu król będzie mógł powrócić do Paryża. Kalendarz ten zostanie zrealizowany z miesięcznym wyprzedzeniem.

Ludwik XIII przyjmuje opinię kardynała. Rysy we wzajemnych stosunkach Richelieugo i Medyceuszki, widoczne już wcześniej, bardzo się teraz pogłębiły. Także Gaston jest na kardynała rozwścieczony: liczył na dowództwo owej ekspedycji włoskiej, tymczasem król orzekł, iż sam się uda na odsiecz Casale. Jednakże złość Gastona jest bezpodstawną: Richelieu bardzo popierał jego kandydaturę, to sam król ją utracił decyzją swego wyjazdu z wojskiem do Włoch. Bassompierre, który uczestniczył w przygotowaniach do ekspedycji włoskiej, zapewnia, iż Ludwik tak był zazdrosny o sławę, jaką Gaston mógłby zdobyć we Włoszech, że nie mógł spać ze zgrzyoty („taką ma moc zawiść między krewnymi”). Richelieu rzekł królowi, że może odebrać Gastonowi już obiecane dowództwo, jeśli pojedzie sam, „na co monarcha śmiało się zaoferował”. Gaston demonstrował na różne sposoby swe niezadowolenie; na szczęście dla Richelieugo nie mógł się sprzymierzyć przeciw niemu z królową-matką, bo ich stosunki bardzo się teraz popsęły.

Medyceuszka zawsze wolała Gastona od Ludwika, ale tym razem młodszy syn potężnie ją rozzłościł. Od czerwca 1627 roku był on wdowcem do wzięcia i matka mu raiła swą młodą krewniaczkę, Medyceuszkę, siostrę wielkiego księcia Toskany. Gastonowi wpadła tymczasem w oko 17-letnia Maria Ludwika Gonzaga de Nevers, córka nowego księcia Mantui i starego wroga królowej-matki! Tak, to właśnie przyszła królowa Polski, żona najpierw Władysława IV, potem Jana Kazimierza. Maria Ludwika była ładna, inteligentna, dowcipna i wykształcona. Gdy król Ludwik udał się na włoską ekspedycję, powierzył Marii Medycejskiej regencję na czas swej nieobecności: chodziło oczywiście o to, by ugłaskać starszą panią po jej porażce w sprawie Mantui. Skorzystała z tej władzy między innymi po to, by wsadzić Marię Ludwikę do więzienia w zamku Vincennes. Stało się to w początku marca i doprowadziło Gastona do furii. Latem 1629 roku pojechał „dla ratowania zdrowia” do wód w Spa, na terytorium lotaryńskim. Poznał tam księżniczkę Małgorzatę, siostrę Karola IV; wynikną z tego wielkie komplikacje.

Ludwik szykował się do wyprawy w nastroju euforii: Bassompierre wspomina, że król zapłacił mu 12 tysięcy écus za prezent 12 butelek cydru z Normandii! Richelieu zaryzykował popsucie mu humoru. Tuż przed wyjazdem, 13 stycznia 1629 roku, odczytał królowi, w obecności królowej Anny i królewskiego spowiednika Suffrena, obszerny memoriał zatytułowany *Opinia dla króla po wzięciu Roszeli dla dobra jego spraw*. Teza główna *Opinii* jest taka, że jeśli Ludwik XIII pragnie teraz, po zdobyciu Roszeli, stać się „najpotężniejszym i najbardziej szanowanym władcą na ziemi”, to musi zbadać, jakie zalety osobiste są po temu konieczne i co powinno być zreformowane w państwie.

Opinia jest zaiste dokumentem zdumiewającym swą odwagą i

szczerością. Widać po nim, jak ogromną drogę przebył Richelieu od czasu, gdy jako młody biskup bezwstydnie schlebiał, ba, podlizywał się Marii Medycejskiej, księciu de Condé czy nawet Conciniemu. Analiza przywar i słabości Ludwika XIII jest tu przenikliwa i pozbawiona niedomówień; ton szczeroci i swobody, z jakim minister przemawia do władcy, sprawia niezwykle wrażenie. Jest tu także precyzyjnie zarysowany model stosunków między monarchą a sługą, któremu - jeśli król nie podejmie się sam prowadzić spraw swego państwa z „wymaganą pilnością i siłą” - delegować trzeba władzę królewską, „i to bez restrykcji”. Richelieu żąda od Ludwika zaufania, szczeroci, solidarnosci. Wyjaśnia, że jest niezbędny do realizacji wielkich planów. Stwierdza, że król nie powinien być zazdrosny „o swój cień”, gdyż „jego kreatury świecą tylko dzięki niemu, bo to on jest słońcem i tylko on sam promieniuje światłem”. I dalej: „To dobrze, że moja wiedza i moja żarliwość dla dobra publicznego dają mi wielki autorytet. Wspiera się on na fakcie, że informuję mojego Pana o wszystkim, co mi się wydaje pożądane dla osiągnięcia celu: aby stał się on pierwszym monarchą świata”. Jest więc *Opinia* czymś podobnym do wniosku o wotum zaufania, jakiego współcześni premierzy domagają się od swoich suwerenów, parlamentów. To zrozumiałe: Richelieu wyczuwał świetnie zbliżającą się próbę sił między nim a jego wrogami z grona dewotów i książąt. Jest wreszcie w *Opinii* dyskretna aluzja do jego odejścia: ostrzegał króla, że stan jego zdrowia jest kruchy, że wkrótce może już nie będzie potrafił unieść ciężaru rządzenia, tyle odczuwa cierpienie ciała oraz „trosk i smutku duszy”. Ach, nie przyjmujemy zbyt dosłownie tych lamentów. To prawda, że zdrowie kardynała nie było razowe; jego samopoczucie pogarszały neurotyczna wrażliwość i hipochondria. Wszystko jednak wskazuje na to, że nie zamierzał bynajmniej rezygnować dobrowolnie ze sprawowania władzy. Dla takich jak on władza jest narkotykiem: potęguje cierpienia, ale i wyzwala od przyziemnych przykrości ludzkiej kondycji, pozwala fruwać wysoko.

Z pewnością *Opinia* ze stycznia 1629 roku jest dokumentem przenikliwej inteligencji. Richelieu zrozumiał, że król „dojrzał” do przyjęcia takiej lekcji: Ludwikowi tak już zależy na jego służbach, że przyjmie bez eksplozji i *verba veritatis*, i postulaty dotyczące ich wzajemnych stosunków. Tak się też stało. Król spokojnie wysłuchał pouczenia, odpowiedział krótko, wykluczył możliwość odejścia kardynała z rządu.

Program polityczny, wyłożony w *Opinii*, w części odnoszącej się do spraw wewnętrznych powtarza dawniej sformułowane cele. Należy więc ostatecznie złamać opór hugenotów i odebrać im ostatnie twierdze; trzeba solidnie uzbroić granice burząc fortece wewnętrzne; wypadnie ulżyć ludowi przez zmniejszenie podatków; *paulette* powinna być zniesiona, co oznacza, że urzędy nie będą dziedziczne; konieczne jest poskromienie ambicji parlamentów i zmuszenie do posłuszeństwa wszystkich, wielkich i małych; trzeba wykupić zastawioną domenę.

Co się tyczy programu działań w polityce zagranicznej - jest on rozważny i umiarkowany (niektórzy badacze napiszą, z lekkim wyděciem warg, że to program „oportunistyczny”). Nie jest nowy postulat francuskiej potęgi na morzu („które daje wejścia do wszystkich krajów świata”). W

obliczu „zaborczego ducha” Hiszpanii wypada zająć postawę zdecydowaną; ale defensywną („zatrzymać postępy Hiszpanii”). To prawda, że Hiszpanie starali się od dziesięciu lat poprawić swe linie komunikacyjne i pozycje strategiczne poza Półwyspem Iberyjskim: w Waltelinie, palatynacie reńskim, teraz w Monferracie. Repliką Francji nie może być awanturnictwo. Należy unikać, „jak tylko będzie można, rozpalenia jawnej wojny z Hiszpanią i tylko w długim czasie, z wielką dyskrecją, działaniem powolnym i skrytym można by się posuwać naprzód...” Posuwać się, ale jak daleko? Nie, Richelieu nie łączy „wielkości Francji” z wielkimi ambicjami terytorialnymi. Pragnie powolnego „poprawiania” granic, zdobywania wygodnych „wejść”, „platform”, „otwartych bram” - to znaczy ważnych placówek strategicznych, pozwalających na szybkie działania wojenne i na utrzymywanie sąsiadów w należytych respekcie, a także na protegowanie ich w przypadku hiszpańskiego zagrożenia. Richelieu wylicza te punkty strategiczne: Strasburg to dogodny „wejście” do Niemiec, Genewa mogłaby się stać enklawą francuską, cytadela, którą należy pobudować w Versoix, dałaby wygodną bramę do Szwajcarii i wpływ na Szwajcarów (alians z nimi jest bardzo ważny, ale wymaga siły, bo ci „nieokrzescani ludzie” ulegają tylko potędze, którą widzą). Odzyskanie markizatu Saluces, odstąpionego Sabaudom przez Henryka IV, dałoby wpływ na księcia Sabaudii. Jest jeszcze mowa o aneksji Franche-Comté i Górnej Nawarry „jako należących do nas”. Istotnie, Franche-Comté, czyli hrabstwo Burgundii, francuskie swą kulturą, należało ongiś do książąt burgundzkich, bocznej linii Domu Francji - i u schyłku XV wieku niefortunnie scedowane zostało Habsburgom. A Nawarra to dziedzictwo rodu Albretów, który przez małżeństwo wniósł swe roszczenia nawarskie do koszyka Bourbonów.

Nie ma natomiast w *Opinii* ani słówka o Lotaryngii i hiszpańskich Niderlandach, które później staną się przedmiotem zainteresowań Richelieu. Teraz tylko wspomina się o potrzebie umocnienia twierdzy w Metz, który był francuską enklawą w środku Lotaryngii.

Taki program formułował kardynał 13 stycznia 1629 roku. Kilka dni później ruszono „powstrzymać postępy Hiszpanii” we Włoszech: 16 stycznia wyjechał król, 18 stycznia Richelieu. Zatrzymano się na dłużej w Delfinacie. Rozważane były różne warianty pochodu na południe, bo zimowe przejście przez Alpy stanowiło trudny problem techniczny. Richelieu musiał zadbać o koncentrację i zaopatrzenie wojska: zebrano na wyprawę - mimo trudności finansowych i wojny domowej w Langwedocji - siłę potężną, 35 tysięcy ludzi (pod Roszelą było około 20 tysięcy). Koszty tego wysiłku, dodane do 40 milionów, które poszły na oblężenie Roszeli, wnet już przyniosą skutki katastrofalne: wzrost podatków i falę ludowych rewolt.

W początku marca wszystko jest gotowe. Na granicy z Sabaudią Richelieu rokuje z Sabaudami o prawo przejścia królewskiej armii do Monferratu. Sabaudzki następca tronu Wiktor Amadeusz, szwagier Ludwika XIII - król oddał mu swą siostrę Krystianę - jest negocjatorem chytrym: pragnie wytargować jak najwyższą cenę. Kosztem Neversa, to

znaczy utrzymując zdobycze Sabaudii w zachodnim Monferracie. Powtarzano później anegdotę, iż Sabaudowie zażądali nawet jednej z francuskich twierdz jako gwarancji układu - i Richelieu zaproponował ironicznie, aby wybierali: czy wołą Orlean, czy też Poitiers. Włoscy negocjatorzy kręcą, Richelieu jest przekonany, że grają na zwłokę licząc, iż obleżone Casale rychło już padnie. Alarmuje więc króla.

Ludwik XIII, który rezydował niedaleko, ruszył natychmiast, w nocy z 5 na 6 marca: dotarł do sztabu kardynała i marszałków częścią na koniu, częścią brnąc w śniegu. Złożono naradę wojenną.

Aby się przebić na południe, należało wziąć szturmem barykady, które Sabaudowie wzniesli w poprzek górskiego przejścia do miasta Suza. Fontenay notuje, że gdy Francuzi tu przybyli, próbowali przekonać gospodarzy, by im odblokowali drogę: przyszli tu przecież jako przyjaciele i pragną przenocować w Suzie. Odpowiedziano im zza barykad, że „towarzystwo jest nieco zbyt liczne jak na przyjacielską wizytę”. W pamiętnikach Bassompierre’a czytamy, że wypadło przekonywać Ludwika XIII do koncepcji natychmiastowego ataku. „Sire - rzekł mu Bassompierre - towarzystwo jest gotowe, skrzypce już przybyły, maski czekają u bramy, gdy tylko Waszej Królewskiej Mości się spodoba - zaczniemy balet”. Na uwagę króla o brakach w amunicji armatniej Bassompierre odrzekł: „Czy naprawdę tak musi być, że z powodu jednej maski jeszcze nie gotowej balet nie zatańczy? Proszę dać nam wolną rękę, Sire, a wszystko pójdzie dobrze”. Richelieu, który pod Roszelą wciąż się kłócił z Bassompierrem - spokój i jowialność marszałka bardzo go irytowały tym razem go poparł. I słusznie: szturm barykad w wąwozie Suzy (Pas-de-Suse) stał się pięknym wyczynem militarnym. Górale z regimentu hrabiego de Sault - jak relacjonuje Fontenay - wdrapali się wysoko i z góry oddali gęste salwy do obrońców. Wszystkie trzy linie obronne Sabaudczyków wpadły w popłoch i uciekły; szturm powiódł się niemal bez ofiar w ludziach po obu stronach, „tak prędko uciekli [nieprzyjaciele] i tak się przy tym śpieszyli”.

Król i kardynał weszli więc do Suzy i tam się zaczęły rokowania z Karolem Emanuelem sabaudzkim. Zacytujmy znów relację Fontenaya o rozmowach księcia Sabaudii z Eminencją: „Powitania były krótkie, spojrzenia więcej niż chłodne, zwłaszcza ze strony księcia, który aż do śmierci nienawidził kardynała, bo wiedział, że trzeba z nim mówić w sposób klarowny i działać tak samo: a to nie należało do stylu Sabauda”. Richelieu bardzo się potem szczycił, że powiodły mu się rokowania z Karolem Emanuelem, „który swą złośliwością i zręcznością przewyższa Lucyfera”. A oto inna jeszcze opinia kardynała o władcy Sabaudii: „Jego umysł nie jest w stanie pozostawać w spokoju... Wciąż myśli o tym, jak skłonić do wojny jednych przeciw drugim wszystkich królów, książąt i mocarzy tej ziemi, aby samemu wyciągnąć korzyści z ich sporów”. Na wiarę takich opinii francuscy badacze wyrobili Karolowi Emanuelowi reputację wyjątkowego szelmy.

Ale to spojrzenie jednostronnie francuskie. Dość popatrzeć na mapę: pokazuje ona żalosne rozdrobnienie Italii i fatalne położenie Sabaudii, wciśniętej między Francję i hiszpańskie księstwo Mediolanu. Karol Emanuel należał po prostu do tego legionu włoskich patriotów, którzy z

bólem i zgrozą spoglądali na przewalające się przez Italię wojska cesarskie, francuskie, hiszpańskie. Od patetycznego oburzenia Petrarki wołał zrećność politycznej gry, propagowaną przez Machiavellego. Skoro nie chciał w północnej Italii ani dominacji hiszpańskiej, ani wpływów francuskich i skoro sam nie dysponował wielkimi zasobami materialnymi („jest on jak ryba wyjęta z wody” - pisał rezydent francuski w Turynie, co znaczyło, że się dusi z braku pieniędzy) - otóż, skoro taki był układ sił, Sabaudczyk musiał nadrabiać zrećnością. Wygrywając przeciw sobie „mocarzy tej ziemi” pragnął utrwalić swą trudną niepodległość. Przyznajmy mu do tego prawo.

Miał oczywiście i własne ambicje. Chciał zająć Genewę: dla niego to też „platforma” wpływu na Szwajcarów. Jeszcze bardziej mu zależało na Genui: on także doceniał znaczenie wyjścia na morze, a przy sposobności pragnął zablokować ten port dla hiszpańskich transportów wojskowych. Teraz również usiłował namówić Francuzów na mocne uderzenie. Chciał zaatakować Genuę, a Ludwika XIII skłonić do ataku na księstwo Mediolanu. Z pozoru to szaleństwo; ale Mediolan już przecież należał do Francji, przez prawie dwadzieścia lat, za Ludwika XII i Franciszka I. Ludwik XIII, rozgrzany sukcesem i dysponujący silną armią, wahał się, czy nie skorzystać z okazji. Na szczęście Richelieu pilnuje dobrze spraw Francji: nie chce jej narażać na „wielką” wojnę z Hiszpanami - i ma oczywiście rację.

Z Sabaudią zawarto więc ostatecznie dwa układy. Pierwszy wynegocjowano już pięć dni po bitwie pod Pas-de-Suse. Karol Emanuel otrzymał solidne odszkodowanie za rezygnację z roszczeń do części Monferratu, zapewnił Francuzom swobodę przejścia i zaopatrzenia dla obleżonego Casale, godził się wreszcie wpuścić wojsko francuskie do cytadeli w Suzie. W nocy z 15 na 16 marca Hiszpanie zdjęli obleżenie Casale. Richelieu przewidywał trafnie: ekspedycja włoska okazała się demonstracją zbrojną, a nie zapłonem wielkiej wojny. Powodzenie operacji było kompletne, ale czy trwałe?

W kwietniu Richelieu wynegocjował drugi układ z Sabaudami. Powstała więc liga Sabaudii, Wenecji i księcia Mantui, mająca wspierać tego ostatniego w przypadku nowych zakusów habsburskiej agresywności. Innym zabezpieczeniem miały być francuskie garnizony. Gdy Richelieu wyjeżdżał z Włoch, zostawił w Suzie 8 tysięcy ludzi, w Casale 4-tysięczną załogę z Toirasem, po walkach na Ré uznanym za specjalistę od wytrzymywania obleżeń.

Siedmiotygodniowy pobyt Ludwika XIII w Suzie dał mu niejedną satysfakcję. Prestiż króla Francji u Włochów bardzo wzrósł; posłowie państw włoskich (nawet prohiszpańskiej Genui) składali mu gratulacje z powodu sukcesu. Ludwik mógł pognać nielubianego Karola Emanuela: gdy się spotkali, oświadczył mu, iż przejście przez Alpy nie było aż tak trudne, jak mu przedtem mówiono! Po dziesięciu latach zobaczył siostrę Krystianę, która mu rzekła: „Wasza Królewska Mość okryła się taką sławą, że nie wiem, czy się ośmielę na nią spoglądać”. Przywrócony został pokój w Italii, w kwietniu zakończyła się też układem pokojowym wojna z Anglikami. Odbierało to nadzieję zbuntowanym hugenotom. Wysłannik

Rohana, niejaki Clausel, prowadził wprawdzie intensywne i supertajne rokowania z Hiszpanami, ale układ o finansowym wsparciu Hiszpanii - bastionu ortodoksji! - dla „heretyków” z Langwedocji podpisany został dopiero w maju: było już za późno, by mógł przynieść rezultaty. Przechwycona przez Francuzów korespondencja ujawniła, że w rokowaniach Clausela z Hiszpanami pośredniczył książę Sabaudii. Ludwik XIII potężnie zmył głowę szwagrowi, Wiktorowi Amadeuszowi; ten schował urazę do kieszeni i nie ustąpił przed żądaniami króla o ekstradycję Clausela przebywającego w sabaudzkiej stolicy, Turynie.

Opuszczając Suzę król przekazał naczelne dowództwo wojskowe w Italii kardynałowi. Cieszył się nim tylko dwa tygodnie: Ludwik wyjechał 28 kwietnia, Richelieu 11 maja. Kardynał z 9 tysiącami żołnierzy przybył 19 maja pod hugenockie miasto Privas, od pięciu dni oblegane przez króla Ludwika. Bunt Langwedocji dogorywał.



POKÓJ W ALAIS. INTRYGII DWORSKIE I DRUGA KAMPANIA WŁOSKA

Zdobycie Privas nie przyniosło sławy Ludwikowi XIII. Król zezwolił swym żołnierzom na splądrowanie miasta; regiment langwedocki, rozwścieczony śmiercią jednego ze swych dowódców, dołożył do tego podpalenia i masakry. Richelieu za to nie odpowiada; ale w liście do Marii Medycejskiej, po wyrażeniu zdawkowego ubolewania stwierdza chłodno, że los Privas skłoni inne miasta hugenockie do posłuszeństwa. W czym się zresztą nie myli: wnet następuje cała seria kapitulacji. Król zgodził się, za radą kardynała, na zwołanie generalnego zgromadzenia protestantów Langwedocji, które aprobowало główne żądania królewskie: zburzenie wszystkich fortyfikacji hugenockich i przywrócenie w Langwedocji kultu katolickiego (był on tu nie tylko zakazany, ale i brutalnie prześladowany).

Nie będzie już jednak traktatu pokojowego z hugenotami, lecz tylko jednostronny akt łaski króla, edykt pacyfikacyjny z Alais (27 czerwca 1629). Po okropnościach w Privas (i na mniejszą skalę w kilku innych miastach) zwyciężał duch religijnej tolerancji. Pokój w Alais likwidował polityczne struktury protestantyzmu: nie będzie już autonomicznych miast-fortec, mury blisko czterdziestu miast zostaną zburzone, polityczne zgromadzenia hugenotów są zakazane. Ale hugenotom gwarantuje się pełną amnestię, bezpieczeństwo osób i majątków, uczciwy wymiar sprawiedliwości (przez trybunały o mieszanym składzie wyznaniowym), wreszcie - swobodę wyznania i kultu. Protestanci mają być zwykłymi poddanymi króla, nie lepszymi, ale i nie gorszymi od katolików. Król wyraża nadzieję na rychłą konwersję hugenotów, na powrót Francji do jedności wiary - ale nadzieję tę lokuje w woli Boga, nie w administracyjnym przymusie.

Pokój w Alais jest bez wątpienia aktem mądrości politycznej kardynała, który taką linię postępowania od dawna propagował, ale i króla, który ją

przyjął. Dewoci bardzo mu to mieli za złe: mógł przecież wytepić siłą herezję i nie zrobił tego! Dewoci, jak pisze Fontenay-Mareuil, „tak bardzo nienawidzili hugenotów, że nie mogli ich ścierpieć: pragnęli, aby przy pomocy świętej wojny zmuszono ich bądź do nawrócenia się, bądź do opuszczenia królestwa”. Hugenoci odpłacą Ludwikowi XIII za wolność kultu rzetelną lojalnością. Gdy w 1632 roku południe Francji stanie się widownią nowego buntu arystokratycznego, za sprawą Gastona i diuka de Montmorency - protestanci zachowają wierność dla króla. Z wdzięcznością pokwituje to Richelieu w sierpniu 1632 roku, w liście do powszechnie szanowanego protestanta, marszałka de La Force.

Król Ludwik ma w połowie 1629 roku powody do satysfakcji ze swego ministra: oświadcza mu, iż „będzie go kochał aż do śmierci”. Ale barometr ich nastrojów wykazuje wahania, nie ustalił się bynajmniej na *beau fixe*. Richelieu ze zmartwionym zdziwieniem obserwuje u króla nagłe napady niechęci do niego, „których przyczyna pozostaje dla mnie nie znana i które często dotyczą mnie tak głęboko, że żadna siła nie jest w stanie mnie powstrzymać od wielkiego zniechęcenia”. Tajemnica nie wydaje się tak bardzo zawiła: Ludwik wie, co zawdzięcza talentom kardynała, ale jednak chce pozostać suwerenem swych decyzji. Gdy znużony upałami decyduje się wyjechać z Nîmes do Paryża, Richelieu usiłuje go zatrzymać aż do kompletnego uładowania spraw Langwedocji. Król reaguje ostro, choć tylko w gronie swych zaufanych: „Co to znaczy? Za kogo tu niektórzy się uważają? Czy chcą pozwalać sobie na stawianie mi warunków, na traktowanie mnie jak chłopca na posyłki (*galopin*)?” Ludwik wyjedzie więc zgodnie ze swym *bon plaisir*, królewską arbitralną wolą, Richelieu zostanie i dopilnuje zupełnej pacyfikacji miast langwedockich, przyjrzy się burzeniu ich murów.

Nie żałował chyba tej podróży triumfalnej, choć stan jego zdrowia był kiepski, wyraźnie źle znosił każdą podróż na południe. Mógł jednak paść swą próżnością. Miasta langwedockie były znużone długą walką z rządem, wyczerpane jej kosztami i stratami wojennymi. Jedynie Rohan otrzymał sute odszkodowanie za „straty w majątku”. Musiał co prawda opuścić Francję - został naczelnym wodzem wojsk republiki weneckiej, pozbawionej przesądów wyznaniowych ale wiadomo było, że takie wygnania wielmożów nie trwają z reguły długo. Po paru latach powróci do królewskiej służby: Richelieu będzie chciał wykorzystać jego talent. Jednak wielka masa hugenotów jest, jako się rzekło, znużona i wyczerpana. Toteż na trasie kardynała nie brak tłumów, nie entuzjastycznych, nie przesadzajmy, ale życzliwych. Richelieu potrafi pacyfikować nastroje: zapewnia, że król nie ma zamiaru robić żadnych rozróżnień wyznaniowych między swymi poddanymi, liczyć się będzie jedynie polityczna lojalność wobec monarchy.

Władze miejskie prześcigają się w gorliwości: usiłują eskortować kardynała (który wkracza do miast w pancerzu i rajtarskich butach) u strzemion jego konia, oferują mu paradne baldachimy. Richelieu odmawia, bo te honory należą się samemu królowi; podkreśla swój status zwykłego poddanego. Liczy, i słusznie, na satysfakcję Ludwika z jego skromności. W Montauban - to już ostatni etap langwedockiej inspekcji, na granicy

Gujenny - tłum podobno nie ogranicza się do okrzyków: Niech żyją król i kardynał. Przyzwyczajony do swych żonatych pastorów chce „zobaczyć panią kardynałową, Madame la Cardinale, najszcześniejszą kobietę świata, jako że ma tak godnego męża”. To z Montauban Richelieu pisze do króla, 21 sierpnia: „Można teraz rzec zgodnie z prawdą, że osuszone zostały źródła herezji i rebelii... Wszystko się tu ugina przed imieniem króla... najbardziej sprawiedliwego, pobożnego i odważnego spośród wszystkich, których Bóg dotąd dał Francji”. Z Montauban kardynał wraca na dwór, który rezyduje w Fontainebleau - i przybywa tu w połowie września. Wnet wybucha nowa awantura.

Są różne relacje. Sam Richelieu twierdził, że Maria Medycejska nie odpowiedziała na jego powitanie i tylko pogardliwie nań spojrzała. W otoczeniu Marii twierdzono z kolei, że królowa spytała go o zdrowie i dostała odpowiedź: „Czuję się lepiej, niżby sobie tego życzyło wielu spośród obecnych!” Bezsporne jest, że narastająca niechęć królowej-matki do kardynała ujawniła się po raz pierwszy na oczach dworaków. Richelieu, dotknięty do żywego, sięgnął po swą wypróbowaną broń: zgłosił chęć odejścia z rządu. Ludwik oświadczył matce, że nie może się obejść bez służb kardynała, i zażegnał konflikt.

Zażegnał, ale nie wygasił. Nie pomogła nawet nagła śmierć - podczas odprawiania mszy - kardynała de Bérulle (2 października). Wedle współczesnych to właśnie Bérulle najbardziej się przyczynił do zmiany usposobienia królowej-matki względem Richelieu. Teraz uparta Włoszka już nie potrzebuje inspiracji z zewnątrz: tak samo nienawidzi kardynała, jak ongiś go uwielbiała. „Znam jej usposobienie: nie jest zdolna wybaczać” - powie potem Richelieu weneckiemu dyplomacie.

Przyczyny tego rankoru były skomplikowane. Nie jest najważniejsza różnica zdań co do polityki zagranicznej, bo Medyceuszka chwiała się niekiedy w swych sympatiach dla Hiszpanii. Gorzej, że Richelieu wbrew jej zdaniu uratował diuka de Nevers, którego nienawidziła. Dołała oliwy do ognia ucieczka Gastona, latem 1629 roku, do Lotaryngii. Następca tronu znalazł się, wbrew woli króla, na obcym terytorium, co oczywiście naraża cały ład monarchii i ogromnie niepokoi kardynała. Na dworze krążą plotki, że Richelieu chce ściągnąć Gastona do kraju za cenę zgody na jego małżeństwo z Marią Ludwiką de Nevers. To bzdura: Eminencja nie popiera wcale tego mariażu, bo król go sobie wyraźnie nie życzy. Ale łatwowierna Medyceuszka wierzy tym plotkom i podnieca się w złości do Richelieu. Wszelako najważniejsza przyczyna owej nienawiści tkwi gdzie indziej. Sukcesy kardynała i estyma, jaką go darzył król, umacniały starzejącą się i gorzkniejącą Medyceuszkę w przeświadczeniu, że na własnej piersi wyhodowała zmię niewdzięczną i przewrotną. Richelieu nie tylko wymknął się jej, przestał być jej kreaturą, ale jeszcze sprowadził ją do roli figurantki. Kardynał i teraz informował ją o biegu wydarzeń, konsultował się z nią, prosił o poparcie. Jeśli jednak poparcia tego mu udzielała półgębkiem, to z obawy, iż zlekceważy jej odmienne zdanie. W 1630 roku wymknie się jej skarga zupełnie jednoznaczna: „Zostałam unicestwiona, pan kardynał zagarnął całą władzę!” Tego mu darować nie mogła. Jej przyjaciółki - księżna de Conti, diuszesy d'Elbeuf i de Guise - podjudzały

ją jeszcze przeciw kardynałowi. Na dworze powtarzano monstrualne plotki: po nagłej śmierci Bérulle'a mówiono, że to Richelieu go otruł.

W tym trudnym roku 1629 Eminencja powtarza, że na jego zgubę czyha potrójny wróg: „kabała wielmożów, kobiet i zagranicy”. Wielmoże wiedzieli świetnie, że chce im ugiąć karki przed monarszą władzą; nie darowali mu śmierci hrabiów de Chalais i de Bouteville. Kobiety - to przede wszystkim Medyceuszka i jej przyjaciółki, ale także diuszesa de Chevreuse, która w końcu 1628 roku wróciła do Francji i wciąż intrygowała do spółki z Anną Austriaczką (w lipcu 1629 roku Richelieu stwierdzi, że staje się to zupełnie nieznośne). Wreszcie cudzoziemcy - to Olivares i Ferdynand II, ale także nielojalny aliant Karol Emanuel i kłótlivy Karol IV lotaryński... Było jasne, że jeśli „kabała zagranicy” wpędzi Richelieugo w kłopoty, to „kabała wielmożów i kobiet” postara się obalić go i dokonać nowego rozdania kart.

Na zagęszczenie się kłopotów we Włoszech nie trzeba było długo czekać. Olivares postanowił wznowić oblężenie Casale i powierzył dowództwo w księstwie mediolańskim sławnemu zdobywcy holenderskiej Bredy, Ambrożemu Spinoli. Księstwo Mantui jest z kolei formalnie lennem cesarskim: wspierając się na tym anachronicznym tytule Ferdynand II odmówił inwestytury Neversowi i posłał przeciw niemu wojsko pod generałem Colalto, oficerem Wallensteina. Colalto bez wysiłku zajął terytorium księstwa Mantui i obległ jego stolicę, Hiszpanie wkroczyli do Monferratu i szykowali się do oblężenia Toirasa w Casale. Richelieu wie, że tym razem nie da się zrobić zwykłej demonstracji militarnej, jak w marcu: armia cesarska pod Mantu liczy 26 tysięcy, Hiszpanie Spinoli mają 18 tysięcy żołnierzy. Tym razem to będzie prawdziwa wojna. Kardynał liczy, że trzeba mieć 50 tysięcy ludzi!

A jednak wojna będzie, bo król jej chce. Na posiedzeniu Rady 21 listopada 1629 roku oświadczył to wyraźnie („Skoro Hiszpanie pragną wojny, to ją będą mieli aż po dziurki w nosie [*jusqu'á la gueule*]”). Co więcej, Ludwik bardzo chce sam dowodzić we Włoszech. Richelieu z wielkim trudem wybija mu to z głowy: nie można narażać jego osoby w delikatnej sytuacji, gdy następca tronu pojechał sobie za granicę i nie wiadomo, co tam knuje! Eminencja proponuje, że sam stanie na czele wyprawy - i król się w końcu zgadza. Wielmoże i dewoci nie protestują, bo wojowniczy nastrój króla na to nie zezwala. Marillac coś podobno przebąkiwał o swej dymisji, kardynał miał odrzec, że to nie pora. „Chciał wyjść drzwiami, wyrzucą go oknem” - komentują złośliwi dworacy. Przepowiednia się spełni, ale dopiero go roku.

Ta jesień 1629 roku, pełna zagrożeń, jest dla Eminencji bardzo pomyślna. Kardynał Bérulle odszedł *ad patres*, kapelusz kardynalski otrzymał natomiast Alfons de Richelieu. W listopadzie Eminencja otrzymuje od króla tytuł głównego ministra, *principal ministre*; w grudniu - stanowisko generalnego namiestnika króla na wyprawie wojennej do Włoch. Dworacy powtarzają *bon mot*, przypisywany diukowi d'Épernon, że Ludwik XIII zatrzymał dla siebie jedynie cudowną moc leczenia skrofułów... Na Boże Narodzenie kardynał przygotował wspaniałą fetę, podejmował u siebie Ich Królewskie Moście. 29 grudnia wyruszył do

Włoch jako generalissimus armii (22 tysiące ludzi): podlegają mu marszałkowie Bassompierre i Schomberg, diuk de Montmorency i kardynał de La Valette. Ciągnęli przez Lyon i Grenoble do Suzy. W Lyonie, 29 stycznia 1630 roku, Richelieu spotkał się z młodym dyplomata papieskim Giulio Mazarinim: Urban VIII oferował swą mediację w konfliktach włoskich. Mazarini twierdził potem, że od tego pierwszego spotkania *par genio*, to znaczy instynktownie, uległ fascynacji osobowością Richelieugo. Eminencja mniej był zachwycony. Wysoko ocenił zdolności mediatora („najpiękniejsza inteligencja, jaką tylko można sobie wyobrazić”), ale Mazarini wydał mu się zbyt „hiszpański” i „sabaudzki” w swych politycznych sympatiach.

W Suzie zaczęły się trudne rokowania z Sabaudami. Karol Emanuel chciał zachować neutralność i w stosownym momencie sprzedać się jednej ze stron jak najdrożej. Nie zamierzał więc dopełnić warunków ubiegłorocznego traktatu w Suzie, który go zobowiązywał do przepuszczania i zaopatrywania wojsk francuskich. Francuzom zaczynało brakować żywności. Głodni żołnierze obrzucili obelgami siedzącego w karocy Richelieugo; „Należałoby jednak im zabronić wygadywania podobnych głupstw” - oświadczył z zimną krwią. Kardynał zdecydował się dać Sabaudom nauczkę i uzyskał na to zgodę Ludwika XIII. W nocy z 18 na 19 marca Francuzi przeszli przez rzekę Doria. Inteligentny oficer, pan de Pontis, autor interesujących pamiętników, notował: „Szczególnie godne uwagi wydało mi się to... że mogłem zobaczyć biskupa i kardynała ubranego w pancerz koloru wody i płaszcz koloru martwych liści z niewielkim złotym haftem. Miał u kapelusza piękne pióro, przed nim jechało dwu paziów na koniu: jeden trzymał jego rycerskie rękawice, drugi zaś nakrycie głowy. Po obu jego stronach jechało dwu innych paziów, a każdy trzymał za uzdę rumaka wielkiej ceny, za nim postępował kapitan jego gwardii. Z tym całym ekwipażem przekroczył rzekę Doria: miał u boku szpadę, a w łęku siodła dwa pistolety. Gdy już przeszedł na drugi brzeg, zmusił konia do zrobienia dobrej setki skoków na oczach całej armii, tak jak gdyby przyjemnie mu było pokazać, że zna się coś niecoś na podobnych ćwiczeniach”. Eminencja najwyraźniej dobrze się czuje w roli generalissimusa.

Nie najgorzej się też w tej roli sprawdza. W ślad za cofającą się armią sabaudzką Francuzi maszerują na Turyn. Ale Richelieu dostaje wiadomość, że Sabaudowie ściągnęli pod Turyn tysiąc ludzi z załogi twierdzy Pinerolo, z francuska Pignerol. Kardynał natychmiast zwraca wojsko na południe: oblężenie jest sprawne, 22 marca miasto, zaś 29 marca cytadela Pignerol wpada w ręce Francuzów. Pignerol jest bramą do Italii, daje Francji kontrolę nad wejściem do doliny Padu. Toteż Karol Emanuel natychmiast wzywa na pomoc Hiszpanów Spinoli. Na wiadomość o tym Ludwik XIII bez zwłoki szykuje się do wyjazdu na południe. Król odzyskuje swobodę ruchów: w styczniu zawarł układ z Gastonem zapewniający królewskiemu bratu różne materialne i prestiżowe korzyści. Monsieur jest więc w kraju i znów przyrzeka królowi lojalność. 2 maja Ludwik jest już w Lyonie; pojawiają się tu także obie królowe, Maria i Anna, Gaston, ministrowie z Marillakiem.

W istocie moment jest wyjątkowy, jeden z tych, które decydują o wyborze drogi. Wyraża to klarownie memoriał Richelieugo dla króla, datowany 13 kwietnia: Ludwik otrzymał go w drodze, w Dijon, i nie odpowiedział od razu. „Jeśli zachowamy Pignerol - pisał Richelieu - i uczynimy zeń niezdobytą twierdzę, będzie to największa z możliwych zdobycz króla, który uzyska szansę stać się panem i arbitrem Italii”. Oznacza to jednak wojnę: bezpośrednio z Sabaudią, pośrednio z Hiszpanami. Alternatywa jest więc jasna. „Jeśli zdecydujemy się na zawarcie pokoju, trzeba go zawrzeć szybko, nie tracąc ani chwili, dopóki królewskie czyny mają taki rozgłos”. A wojna? „Jeśli król zdecyduje się na wojnę, trzeba porzucić wszelką myśl o spokoju, oszczędnościach i reformach wewnątrz królestwa”. Richelieu nie robi sobie złudzeń: należy dokonać wyboru między dwiema orientacjami politycznymi.

Ludwik XIII właściwie już wybrał wojnę: czyż inaczej jechałby z takim pośpiechem do Lyonu? Także Richelieu jest za rozwiązaniem wojennym. Gotów jest zaryzykować wielką wojnę z Hiszpanią. Rozumie, że wzięcie Pignerol to nie drugorzędny epizod. Zatrzymanie tej kluczowej pozycji zmieniałoby równowagę w Italii, a przecież „Italia jest sercem Europy”; Pignerol w ręku Francuzów byłby w znacznej mierze (bo jednak nie w pełni) przeciwwagą dla panowania Hiszpanów nad Mediolanem. Zdaniem kardynała gra jest warta świecy, gdyby nawet owa świeca miała podpalić Europę.

10 maja w Grenoble odbyła się narada sztabowa króla z kardynałem i marszałkami, którzy tu przybyli z Włoch. Ludwik zdecydował się zatrzymać Pignerol, ale przykazał kardynałowi pojechać do Lyonu i przekonać do tej decyzji Marię Medycejską i Marillaka. Starcie się dwóch politycznych opcji, Marillaka i Richelieugo, zaważyło ogromnie na dalszych losach Francji. O, nie dlatego, że dzieliła ich przepaść: obaj długo współpracowali w świetnej komitywie, obaj skłonni byli do umiaru i konserwatyizmu, obaj są rzecznikami absolutnej władzy króla. W młodości Michel de Marillac był gorliwym ligowcem, teraz też jest ascetycznie pobożny, popiera żarliwie kontrreformacyjne „odnowienie” katolicyzmu, ale ma już 67 lat i fanatyzm nim nie miota. Inni „dewoci” są bardziej nietolerancyjni. Jednakże Marillac jest pacyfistą, zwolennikiem pokoju między państwami chrześcijańskimi; sprawy reform wewnętrznych są mu bliższe niż „wielkość Francji” potwierdzana na polach bitew i w oblężeniach twierdz. Tak jak dawniej w działaniach katolickiej Ligi, a teraz w ruchu kontrreformacyjnym, są u Marillaka akcenty populizmu czy może socjalnej demagogii: motyw nędzy ludu powraca ciągle w jego argumentacji. Marillac świetnie wie, że wojna musi uruchomić na wielką skalę działanie śruby podatkowej, że już zresztą presja fiskalna zaczęła działać - i obserwuje reakcje ludu: rozlewanie się fali ludowych rewolt. Od lutego 1630 roku przez całą wiosnę i lato eksplodować będą bunty plebejskie w Dijon, Caen, Lyonie, Angers... W lipcu Marillac stwierdzi dramatycznie: „Wszystko we Francji jest brzemienne buntem, parlamenty żadnej rewolty nie karzą”. To małe zdanie ujawnia przenikliwość ministra: Marillac dostrzega groźbę neutralności dąsającej się na rząd burżuazji urzędniczej w obliczu społecznego buntu; wie, iż może dojść nawet do

aliansu burżuazji i ludu przeciw rządowi, a to by oznaczało załamanie całego socjalnego ładu monarchii.

Richelieu tego zagrożenia nie docenia. Znakomity historyk francuski G. Pagés trafnie stwierdza, że dla kardynała królestwo jest „spokojne”, jeśli tylko Gaston i wielmoże nie konspirują z obcymi dworami i nie prowokują wojny domowej. Dopiero później Richelieu zrozumie niebezpieczeństwa poruszeń ludowych i wyciągnie z tego wnioski. Teraz jego odpowiedź na argumenty Marillaka jest pełna pogardy dla ludu i wojownicza: „Awersja, jaką lud żywi do wojny, nie jest poważnym motywem wyrażania zgody na taki pokój. Zważyć trzeba, iż lud często tak samo odczuwa zło konieczne i tak samo skarży się na nie, jak na rodzaje zła, których można uniknąć; że poza tym lud jest zbyt ignorancki, by rozpoznać, co jest użyteczne dla Państwa, a jednocześnie wrażliwy i skłonny do skarżenia się na takie zło, które trzeba znosić, aby uniknąć większego”. Znamienne jest to lekceważenie, z jakim Richelieu wypowiada się o szansach pokoju: „taki” pokój - to, naturalnie, pokój na złych warunkach, bez honoru. Ocena kardynała jest fałszywa, bo po wzięciu Pignerol Francja mogła stawiać swoje warunki. Jednakże ma on dość tradycyjne, odziedziczone po średniowieczu wyobrażenia o honorze, godności, wielkości króla: najpełniej wyrażają się one na polu bitwy, w pognębieniu monarchów-rywali. Te wyobrażenia staczają nieraz trudne walki z umiarem i ostrożnością realistycznego polityka - i niekiedy odnoszą zwycięstwo. Tak jest wiosną 1634 roku.

Na lyońskim spotkaniu z dworem, w połowie maja, dzieją się rzeczy dziwne: Maria Medycejska popiera wojowniczą opcję kardynała! Także i ona uznała, że nie można się godzić na „pokój bez honoru”. Wobec tego pacyfistyczne argumenty Marillaka (wojny włoskie zawsze były zgubne dla Francji, w Skarbie nie ma dość pieniędzy, lud męczy się w biedzie, nie należy narażać króla) nie mają szans.

Od połowy maja do końca czerwca Francuzi bez wielkiego trudu okupują Sabaudię. Król i kardynał, ulokowani w Saint-Jean-de-Maurienne, między Chambéry a Suzą, próbują negocjować z Karolem Emanuelem, Spinolą i generałem Colalto. Ludwik XIII poparł kardynała, ale ów wybór między polityką Richelieu i orientacją Marillaka nie jest jeszcze definitywny. W czerwcu król wrócił na jakiś czas do Lyonu, gdzie dwór ulokował się na długie miesiące; wysłuchiwał znów argumentów Marillaka i nie uznał się za przekonanego. Wrócił do Saint-Jean, ale czuł się tam źle, cierpiał na zęby, bolała go głowa.

Czerwiec i lipiec 1630 roku nie będą pomyślne. Zajęto wprawdzie Sabaudię, a w końcu lipca zmarł stary lis, Karol Emanuel; tron Sabaudii przypadł szwagrowi Ludwika, Wiktorowi Amadeuszowi I. Ale rokowania z przeciwnikami - mimo mediacji Mazariniego, który się miota na wszystkie strony - idą źle. Colalto opanował Mantuę, Toiras z trudem bronił oblężonego Casale. W Lyonie Anna Austriaczka poroniła po raz czwarty, w Saint-Jean król czuł się fatalnie. Marillac twierdził, że ta choroba Ludwika jest ostrzeżeniem Pana Boga i wzywał do zakończenia wojny. W Sabaudii szerzył się tyfus, wojsko francuskie topniało wskutek chorób i dezercji. 25 lipca król postanowił, że wróci do Lyonu, co wprowadziło

kardynała w popłoch. Ludwik będzie tam przecież wystawiony na presję i zabiegi wrogów Richelieugo, a ten musi pilnować spraw w Sabaudii! Posłowi Wenecji Alvise Contariniemu kardynał wyznaje w końcu lipca, że już ledwie żyje: „Wszyscy zwrócili się przeciw mnie, bo go [sc. króla] tu sprowadziłem, tak jak gdyby było w mojej mocy utrzymać go w dobrym zdrowiu!” W sierpniu Contarini depeszuje do Wenecji, że Richelieu sam już nie wie, co robić: „żałuje, że zaczął tę wojnę, zdradzony przez wielmożów i znienawidzony przez lud z powodu podatków: szuka zatem wyjścia, ale honorowego”. Również Marillacowi kardynał donosi, że liczy na dobry pokój, jeśli tylko Mazarini przywiezie rozsądne propozycje. Jakże daleko odszedł od tej drażniącej pewności siebie, którą demonstrował w maju!

Na polecenie króla wraca do Lyonu 22 sierpnia. Epidemia, którą dotąd lekceważył, stała się tak groźna, że po drodze, w Grenobli, poddał się zabiegom dezynfekcyjnym. Był już wielki czas, aby uspokoić Ludwika, od kilku tygodni urabianego przez królową-matkę. Medyceuszka twierdzi, że Richelieu winien jest choroby króla, naraził lekkomyślnie jego życie, a cały jego włoski plan się rozsypał. Kardynał może rzucić na stół argument ważki: w początku września udało się zawrzeć z wrogami rozejm do 15 października. Ale w koncepcji Richelieugo jest to okazja do umocnienia armii, zwiększenia szans zwycięstwa; wedle jego przeciwników na dworze rozejm musi być wstępem do pokoju kładącego kres całej tej włoskiej awanturze.

Richelieu nazwie ów rok 1630 „rokiem udręczeń”. Ostatnia dekada września przyniesie bodaj najcięższą próbę: śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł Ludwik XIII, to także zagrożenie dla wolności, a może i życia kardynała. Król, który przez całe lato kwękał, poczuł się bardzo źle 22 września po południu, gdy wracał z wizyty u matki w opactwie Ainay, tuż pod Lyonem. Położył się w pałacu lyońskich arcybiskupów z wysoką gorączką. Był to banalny wrzód na jelicie, połączony z krwotokami: lekarze byli bezradni,

27 września uznali, że znakomity pacjent jest skazany. Ale później majaczący już król poczuł się nieco lepiej; dopiero 29 września wieczorem choroba weszła w stan krytyczny. Osłabiony gorączką i upływem krwi Ludwik zachował zupełną przytomność, przyjął sakramenty z rąk arcybiskupa Lyonu kardynała Alfonsa de Richelieu, pożegnał się spokojnie z rodziną i współpracownikami. Był to ranek 30 września, nikt już nie spodziewał się, że Ludwik dożyje wieczora. I wówczas wrzód pękł, znikło natychmiast wzdęcie brzucha, ropa z krwią obficie spłynęły („przez tylną bramę”, jak elegancko piszą świadkowie). Wyzdrowienie króla umacniało wiarę w cuda: o dziesiątej wieczorem tego samego 30 września wstał z łóżka, zrobił parę kroków po pokoju, nawet coś zjadł z wielkim apetytem. „Nie wiem już sam, czy umarłem, czy żyję - pisał na gorąco Richelieu do Schomberga - tak jeszcze jestem nieprzytomny: widziałem bowiem dziś rano największego, najcnotliwszego z królów, najlepszego w świecie pana w takim stanie, że nie miałem nadziei ujrzeć go przy życiu wieczorem!... Mój umysł jeszcze się nie otrząsnął z niebywałego niepokoju, jaki przeżyłem”.

No, miał do tego niepokoju powody. W otoczeniu Medyceuszki i Marillaka robiono już wielkie plany. Nowy król, Gaston I, ożeniłby się więc z wdową, Anną Austriaczką; Marillaka powołałby na szefa rządu; Maria Medycejska odzyskałaby utracone polityczne wpływy. Marillac zastanawiał się już nad składem rządu, bo wraz z kardynałem odejść by musieli jego współpracownicy, Schomberg i Effiat. Chciał wstawić na listę ministrów swego brata, przed rokiem mianowanego marszałkiem, Ludwika de Marillac; mieli ochotę na ministerialne stanowiska diuk de Guise, a nawet stary, 67-letni diuk de Bellegarde. W pamiętniku Montglata czytamy, że „najbardziej gwałtowni już skazywali go [Richelieugo] na śmierć, ci, których gwałtowność była mniejsza, na dożywotnie więzienie, zaś najłagodniejsi wysyłali go na pobyt do Rzymu”. Podobno umierający król zadbał o bezpieczeństwo swego sługi: kazał jakoby diukowi Henrykowi de Montmorency zapewnić kardynałowi eskortę zbrojną, która, w przypadku śmierci monarchy, przeprowadziłaby Richelieugo do bezpiecznego miejsca. Papieski Awinion był stosunkowo niedaleko, ledwie 220 kilometrów od Lyonu. Tam Richelieu uratowałby życie. Ale podobno oficer muszkietarów, pan de Tréville - znamy go z powieści Dumasa - gotów był natychmiast po zgonie króla wysłać kardynała na tamten świat, tak jak ongiś pan de Vitry Concinię. Natomiast Bassompierre zaklina się w swym pamiętniku, że nie był w zмовie z matką i bratem króla, i nie podejmował się wcale aresztować Richelieugo, o co go podejrzewano.

Niebezpieczeństwo nie minęło jednak całkowicie, bo obie królowe zaczęły regularne oblężenie osłabionego króla-rekonwalescenta. Obie na swój sposób - Maria krzykliwymi lamentami, Anna łagodnością czulej małżonki - starały się wydrzeć od niego obietnicę, że się pozbędzie tego okropnego kardynała, który nikczemnie naraził go na „tę piękną podróż” do Włoch i wpędził w śmiertelną chorobę. Ludwik opędał się z początku, tłumaczył, że wojna włoska nie jest zakończona, że potrzebuje jeszcze Richelieugo. Potem, znużony tą podjazdową wojną, oświadczył, że rozważy całą sprawę po powrocie do Paryża. Medyceuszka i Anna uznały to półprzrzeczenie za sukces i zapowiedź upadku „tyrana”. Ludwik wyjechał do Paryża 19 października, bez całego dworu, ale w towarzystwie kardynała. Ledwie jednak przybyli do Roanne, 90 km od Lyonu, a już wybuchła nowa bomba. Tym razem nie na tle spraw włoskich, ale drugoplanowych dla Richelieugo problemów niemieckich.

Aż do schyłku lat dwudziestych kardynał dbał jedynie o taką równowagę sił w Rzeszy, która nie pozwoliłaby cesarzowi odnieść miażdżącego zwycięstwa w wojnie. Dzięki Wallensteinowi Ferdynand II zaczął jednak odnosić poważne - choć jeszcze nie decydujące - sukcesy. Duńczycy, którzy wzmocnili obóz protestancki, dotkliwie to odczuli; równowaga się łamała, Habsburg nabierał pewności siebie.

Ojciec Józef, który świetnie znał stosunki niemieckie, gotów był - jak powiadał - szukać sojuszników przeciw cesarzowi Ferdynandowi „aż na biegunie”. To wyjaśnia misję, którą jeszcze w początkach 1629 roku odbył baron Herkules de Charnacé. Po śmierci jego żony - nawiasem mówiąc powinowatej Richelieugo - Ojciec Józef namówił go, aby „dla konsolacji” podróżował po świecie. Charnacé, inteligentny, energiczny i odważny,

zbierał cenne spostrzeżenia na Bliskim Wschodzie, w Rosji, Polsce, Niemczech; poznał Zygmunta III Wazę i szwedzkiego Gustawa Adolfa, który go zafascynował. Stwierdził, jak bardzo znużone wojnami między sobą są i Polska, i Szwecja. Pod Roszelą spotkał się z kardynałem i Ojcem Józefem; w styczniu 1629 roku otrzymał misję dyplomatyczną pogodzenia Polski ze Szwecją, a także Szwecji z Danią. Miał też utrzymać Duńczyków w obozie antyhabsburskim dzięki subsydiom francuskim, a wreszcie zachęcić Maksymiliana Bawarskiego do aktywnej polityki antycesarskiej, nęcić go wizją korony cesarskiej dla niego samego, pogodzić go z Duńczykami. Była to więc skomplikowana, trudna misja i powiodła się tylko w połowie. Duńczycy uznali bowiem, że warunki oferowane im przez cesarza są lepsze, i zawarli z nim pokój w Lubece, w czerwcu 1629 roku. Natomiast udało się baronowi de Charnacé pogodzić Szwecję z Polską (rozejm w Altmarku praktycznie zakończył na długo wojnę tych dwu krajów) i zbliżyć elektora brandenburskiego do Szwecji. Otworzyło to drogę do interwencji Gustawa Adolfa w wojnę trzydziestoletnią, a zatem wzmocniło pozycję obozu antyhabsburskiego w Niemczech.

W połowie 1630 roku znów się nadarzyła sposobność, by mieszać karty cesarzowi Ferdynandowi. Habsburg zwołał do Ratyzbony zgromadzenie książąt elektorów, pragnąc uzyskać od nich wybór swego syna na króla rzymskiego, co by mu zapewniło dziedziczenie tytułu cesarskiego. Richelieu wysłał do Ratyzbony zawodowego dyplomata Brûlarta de Léon i Ojca Józefa: ten drugi de iure był tylko ekspertem, ale odgrywał w rokowaniach ogromną rolę jako zaufany kardynała. Francuzi mieli skłócić książąt elektorów z cesarzem, sparaliżować wybór cesarskiego syna na króla Rzymian, spowodować rozwiązanie armii Wallensteina i wycofanie Hiszpanów z palatynatu reńskiego. A ponieważ rokowania prowadzone w Italii nie dawały rezultatów, Richelieu upoważnił swych wysłanników do uzgodnienia z cesarzem rozsądnego pokoju we Włoszech. Przypomnijmy: w lecie 1630 roku, gdy zaczynał się zjazd w Ratyzbonie, Richelieu bardzo pragnął wywikłać się z wojny.

Jego wysłannicy na zjazd spisali się dobrze. Podtrzymywali solidarność elektorów przeciw cesarzowi, umacniali ich w żądaniu, by cesarz poświęcił Wallensteina (skoro wojna z Danią jest skończona...). Obiecywali im nawet zbrojną protekcję Francji, gdyby cesarz gwałcił ich prawo do swobodnego głosowania, występowali w roli obrońców „wolności germańskich”, to jest niezależności książąt Rzeszy. Ferdynand II zrezygnował z armii Wallensteina, by zapewnić sobie wybór syna na króla Rzymian, ale elektorowie odmówili mu tego wyboru.

13 października 1630 roku posłowie francuscy sygnowali układ pokojowy z cesarzem. Nie był najgorszy. Pozytywnie załatwiał sprawę sukcesji mantuańskiej dla Neversa, choć z niewygodnymi, odległymi terminami i uciążliwymi warunkami. W zamian Ferdynand II otrzymywał dość dwuznaczne, łatwe do podważenia zobowiązanie Francji, że nie będzie podejmowała agresywnych działań przeciw Rzeszy. Natychmiast ruszyli do Włoch cesarscy kurierzy, by wstrzymać tam akcję zbrojną.

20 października układ raty zboński znany był w Lyonie: wzbudził tam wielką radość. Pacyfiści z Marillakiem mieli prawo się cieszyć. Ale dwa

dni później tekst dotarł do króla i kardynała bawiących w Roanne - i Richelieu eksplodował: posłowie przekroczyli swe uprawnienia, zawarli zły układ, trzeba odmówić jego ratyfikacji, zażądać modyfikacji, a póki co kontynuować działania wojenne w Italii. Król nie protestował, ale i nie okazał entuzjazmu. Pojechał w dalszą drogę do Paryża, kardynałowi natomiast przykazał zostać i przekonać do swego stanowiska Radę. „Przekonać” Marii Medycejskiej i Marillaka się nie dało, ale Richelieu miał w Radzie większość. Przeworsował swój pogląd, jednakże dał wrogom nowe argumenty przeciw sobie: oto kardynał dla własnych ambicji krzyżuje wysiłki pokojowe, rzuca wyzwanie cesarzowi, wtrąca kraj w otchłań nieszczęść. I tak dalej.

Cała afera z układem ratyzbońskim jest wielce charakterystyczna. Za jego niedostatki odpowiedzialny był w gruncie rzeczy sam Richelieu. Dał ostatnie instrukcje swym wysłannikom w końcu sierpnia i początku września: były dość ogólne i zostawiały spory margines swobody rokującym. Potem, zajęty przygotowaniami militarnymi i chorobą króla, milczał przez wiele tygodni. Nowe instrukcje, dość kategoryczne i zakreślające granice ustępstw, posłał dopiero 8 i 9 października; dotarły one do Ratyzbony cztery dni po podpisaniu układu. Brûlart de Léon i Ojciec Józef pośpieszyli się z zawarciem pokoju, bo ich informacje były niepełne. Wiedzieli, że sytuacja militarna w Italii jest bardzo zła, Casale bliskie upadku, a Richelieu bardzo już chce zakończyć konflikt. Jednakże te kilka tygodni milczenia kardynała zmieniło położenie. Rząd podjął wysiłek, by wykorzystać rozejm we Włoszech na wzmocnienie, zaopatrzenie i przegrupowanie armii. W końcu września zmarł pod Casale stary Spinola, co osłabiło Hiszpanów. Przebieg zjazdu w Ratyzbonie, a zwłaszcza rozwiązanie armii Wallensteina, to duży cios dla cesarza. Możliwości cesarskiego działania we Włoszech jeszcze bardziej ograniczyły postępy Gustawa Adolfa w Niemczech: zajął on Pomorze Zachodnie, zagrażał Meklemburgii i Śląskowi. „Cudowne” wyzdrowienie Ludwika XIII zdawało się wskazywać, że sama Opatrzność sprzyja kardynałowi Richelieu.

Kiedy więc otrzymał tekst układu ratyzbońskiego - eksplodował gniewem. Oceniał go niesprawiedliwie. W szczególności klauzula o francuskiej neutralności w sprawach niemieckich nie była wcale tak jednoznaczną rezygnacją z sojuszków Francji i kapitulacją przed Ferdynandem, jak uznał Richelieu. Zresztą zapomniał, że w toku wcześniejszych rokowań godził się już na dalej idące formuły! Przed wszystkim zaś ani się zająknął o własnej odpowiedzialności, o tym, że nie poinformował swych wysłanników, iż sytuacja uległa zmianie.

Niemniej miał rację odrzucając ów układ z Ratyzbony i dając rozkaz kontynuowania działań zbrojnych. Gdy wzmocniona i dobrze zaopatrzona armia francuska ruszyła po upływie terminu rozejmu, oby odblokować garnizon Toirasa w Casale, zrobiło to na Hiszpanach wrażenie. Następca Spinoli, Gonçalves z Kordoby, zgodził się odstąpić od oblężenia Casale; Hiszpanie mieli ewakuować i oddać Neversowi Monferrat, Francuzi - opuścić terytorium Sabaudii. 26 października pomiędzy gotującymi się do walki wrogimi armiami pojawił się Mazarini, który wynegocjował ów

układ. Wymachiwał gwałtownie białą płachtą i wołał: *Alta, alta! Pace! Pace!* Gdy w następnym, 1631 roku likwidowano konflikt włoski, układy pokojowe były dla Francji niepomernie korzystniejsze niż traktat ratyzboński. Polityczna intuicja nie zawiodła Richelieugo. Ale „rok udręczeń” nie skończył się w październiku 1630 roku i najgorsza próba miała dopiero nadejść.



„DZIEŃ WYSTRYCHNIĘTYCH NA DUDKA”

Podróż z Roanne do stolicy Richelieu odbył w towarzystwie Marii Medycejskiej, bez pośpiechu, najpierw statkiem, Loarą, później lądem. Królowa-matka po trzydziestu latach pobytu we Francji nie zapomniała jeszcze sztuki obłudy, którą uważano za umiejętność *par excellence* włoską. Kardynał postanowił znowu oczarować swą dawną protektorkę i bardzo się starał; ona udawała, że dobrze przyjmuje jego pochlebstwa i zabiegi. Już po powrocie napisał do niej list w stylu sprzed piętnastu lat: „W każdym miejscu, w którym by nie było Jej Królewskiej Mości, męczyłbym się tylko; bez przyzwolenia na Jej widywanie chcę tylko zezwolenia na odejście z tego świata”. Odpowiedzi nie dostał; z listów króla - który wypoczywał w małym pawilonie myśliwskim w Wersalu - dowiadywał się, że Maria bynajmniej mu dobrze nie życzy. Listy królewskie były zresztą niebywale serdeczne.

7 listopada Ludwik XIII przybył z Wersalu do Saint-Germain, gdzie już czekał nań Richelieu. Razem pojechali do Paryża w sobotę, 9 listopada. W Luwrze trwały jakieś prace remontowe, więc król zamieszkał w pałacu Ambasadorów na rue de Tournon: to dawny pałac Conciniego, zamieniony na rezydencję dla dyplomatów w misji nadzwyczajnej. Maria Medycejska mieszka o kilkadziesiąt kroków, we wspaniałym pałacu luksemburskim; Richelieu zatrzymał się w jego aneksie, tak zwanym Małym Luksemburgu (dziś to rezydencja prezydenta Senatu pod numerem 17 na rue de Vaugirard). Dostał tę siedzibę od Medyceuszki w 1627 roku, gdy jeszcze był z królową-matką w doskonałych stosunkach. Cały dramat tak zwanego „dnia wystrychniętych na dudka”, *journée des dupes*, rozegra się w obrębie tych kilkudziesięciu kroków.

Relacje o wydarzeniu są liczne - w pamiętnikach, listach, kronikach, depešach dyplomatów - ale ogromnie trudno jest rozwikłać występujące w nich sprzeczności. Nie mamy zatem całkowitej pewności, czy ów dzień oszukanych to niedziela, 10 listopada 1630 roku, czy raczej poniedziałek, 11 listopada; a może wydarzenia rozłożyły się na te dwa dni? Również co do przebiegu wypadków są wątpliwości, każda ich rekonstrukcja będzie przybliżona. Zauważmy jeszcze tylko, że ironiczne określenie *journée des dupes* puścił w kurs zaraz po fakcie zdolny dyplomata, libertyn i złośliwiec, Guillaume de Bautru. Tłumaczy się je zazwyczaj jako dzień zawiedzionych lub oszukanych, ale to zbyt bezbarwne: mówmy lepiej o dniu wystrychniętych na dudka lub wystawionych do wiatru. Byli nimi skoalizowani wokół królowej-matki wrogowie Richelieugo, wielmoże i

dewoci.

Pamiętniki, które barwnie opisują wydarzenie, nie pochodzą niestety od naocznych świadków (wyjątkiem jest relacja królewskiego faworyta Klaudiusza de Saint-Simon, ojca pamiętnikarza Ludwika, ale znamy ją tylko z pośrednich przekazów). Pierre Chevallier postąpił więc zapewne słusznie kwestionując wersję tradycyjną, pamiętnikarską, i rekonstruując fakty na podstawie raportów dyplomatycznych.

Otóż w niedzielę 10 listopada Ludwik wysłuchał pobożnie mszy w katedrze Notre-Dame. Król bardzo chciał doprowadzić do zgody między członkami swej rodziny i swoim głównym ministrem. Toteż po niedzielnej mszy urządził spotkanie Gastona i Richelieugo: brat królewski przyjął żądanie Ludwika, wyraził chęć utrzymywania dobrych stosunków z kardynałem. Po tym spotkaniu, które się odbyło u króla, w pałacu Ambasadorów, miała miejsce polityczna narada u królowej-matki, w Luksemburgu. Zajęła sporą część niedzielnego popołudnia. Postanowiono wysłać do Niemiec wytrawnego dyplomata, Abela Serviena, który miał wynegocjować korzystne zmiany w układzie ratyzbońskim, nie ratyfikowanym przez króla. Naczelne dwódstwo wojsk we Włoszech otrzymał marszałek Ludwik de Marillac. Jego talenty militarne były mierne, toteż promocję taką da się chyba wyjaśnić jedynie chęcią króla i kardynała, by udobruchać wrogów Richelieugo skupionych wokół Marii Medycejskiej i starszego z braci Marillaków.

Po naradzie król wyszedł z Luksemburga, Maria zatrzymała jednak kardynała. Oświadczyła mu wreszcie bez ogródek, że straciła definitywnie zaufanie do niego i odbiera mu wszystkie funkcje, jakie od dawna przy niej piastował (szefa jej Rady, nadintendenta jej dworu, wielkiego jałmużnika). Oznaczało to, że z dworu królowej-matki zostaną przepędzone wszystkie osoby powiązane z kardynałem, w tym kilka jego krewniaczek, z ulubioną siostrzenicą panią de Combalet.

Rezydenci angielscy raportowali do Londynu, że król nie tracił nadziei na pogodzenie Marii z kardynałem i kazał ministrowi pojawić się nazajutrz u królowej-matki na audiencji pożegnalnej. Sam Ludwik udał się przed południem 11 listopada, piechotą i w towarzystwie Saint-Simona, z ulicy de Tournon do Luksemburga. Maria liczyła na decydującą rozmowę z synem w sprawie dymisji Richelieugo, rozmowę *tête-à-tête*. Ale królewskie *tête-à-tête* jest inne niż zwykłych śmiertelników: w pokoju oprócz Saint-Simona znalazły się ponoć jeszcze trzy damy i paru paziów. Saint-Simon zapewniał, że chłodna z początku Medyceuszka szybko się rozpałała i zaczęła miotać na kardynała „cały strumień obelg, a wreszcie i takich, które znane są tylko [przekupkom] w Halach [targowych]”.

Richelieu poszedł do pałacu luksemburskiego gdzieś około jedenastej lub pół do dwunastej. Królowa-matka przykazała służbie pozamykać wszystkie przejścia do gabinetu. Richelieu znalazł jednak otwarte przejście z prywatnej kaplicy, połączonej z gabinetem schodami. Jeden z pamiętnikarzy (Goulas) zapewniał, że mu pomogła dysponująca kluczem pokojówka Medyceuszki, która była na jego usługach. Richelieu, jak wiadomo nie grzeszący przesadną skromnością, napisał dużo później, iż to sam Pan Bóg „posłużył się przypadkiem nie zamkniętych drzwi”, by mu

dać szansę obrony przed ruiną... Maria Medycejska powtarzała potem wiele razy: „Kardynał byłby zgubiony, gdybym tylko nie zaniedbała zamknięcia jednej zasuw”.

Co stało się po wejściu kardynała? Z dość zgodnych relacji wybierzmy wersję Bassompierre'a: „Pan kardynał wszedł tam, co trochę zdziwiło króla, który rzekł do królowej, zbity z tropu: Otóż i on. Kardynał dostrzegł to zdziwienie i powiedział im: Upewniam się, że tu była mowa o mnie. Królowa mu odpowiedziała: Nie, nie było. Gdy na to jej replikował: Proszę to wyznać, Madame - rzekła mu, że owszem, było tak, i bardzo cierpko zwróciła się przeciw niemu”.

„Cierpko” - to łagodnie powiedziane. Fruwały podobno epitety: zdrajca, kłamca, łotr. Maria zarzucała mu, że ją zrujnował, że chce ożenić Gastona ze swą siostrzenicą Combalet, że pragnie obalić króla... Żądała, by król wybierał między nią i kardynałem, pytała, czy woli lokaja od własnej matki, zapowiadała, że jej noga nie postoi w królewskiej Radzie, dopóki Richelieu tam się będzie zjawiał. Popełniła błąd. Ten potop agresywnej wulgarności, który król bezskutecznie usiłował powstrzymać, przypominał Ludwikowi dawne lata, gdy Maria narzuciła mu swą dominację. Richelieu przykląkł i, jak pisze Saint-Simon, zaczął „bardzo pokorny dyskurs”. Zapewniał, że wycofa się z dworu, skoro stracił bezpowrotnie jej łaski, płakał. Maria uznała to za komedię (wiele razy powtarzała już przedtem, że Richelieu potrafi płakać na zamówienie, ilekroć tego zechce).

Są różne relacje o reakcji króla. Jedni twierdzili, że nie dał kardynałowi żadnej nadziei i odwrócił głowę, gdy ten wychodził, mocno zbulwersowany całą sceną. Raporty dyplomatyczne konstatują przeciwnie, że wyraził wolę zatrzymania Richelieu w swej służbie. Twierdzi to m.in. dobrze poinformowany rezydent tokański, Gondi, dodając wszelako, iż król polecił kardynałowi udać się „na kilka dni” do pobliskiego (30 km od Paryża) Pontoise; przez ten czas Ludwik miał załagodzić cały konflikt.

Nie ulega wątpliwości, że w otoczeniu Marii Medycejskiej rozumiano opacznie sens owego wydarzenia: uznano, iż królowa-matka pognębiła znienawidzonego wroga, a król przystał na jego odejście z rządu. Nawet pan de Marillac, zwykle opanowany, jubilował: widział się już w roli pierwszego ministra. W pamiętnikach pana de Pontis, który był wówczas w Italii razem z armią, czytamy, że Ludwik de Marillac nie posiadał się z radości: dostał depezę od brata z informacją o niełasce Richelieu. Marszałek Schomberg był przekonany, iż oznacza to i jego niełaskę. Wnet zresztą sytuacja się odwróciła.

Po południu 11 listopada pałac luksemburski wypełnił się zadowoloną ciżbą dworzan: większość arystokracji dworskiej szczerze się radowała z upadku Richelieu, gratulowano więc królowej-matce i panu de Marillac. To był właśnie ów krótki dzień wystawionych do wiatru.

Król wrócił da siebie, do pałacu Ambasadorów. Jeśli wierzyć relacji Saint-Simona, rzucił się na łóżko z taką wściekłością, że „poleciały mu wszystkie guziki z kaftana”. Mniej już skłonni będziemy wierzyć tej samej relacji, gdy Saint-Simon wyolbrzymia swą rolę w dalszym ciągu historii. Był on, od 1626 roku, faworytem Ludwika, ale, by tak rzec, faworytem osobistym: o jego wpływie na decyzje polityczne nie ma mowy. W

odróżnieniu od innych faworytów króla nie wyróżniał się urodą, miał nieciekawą fizjonomię i niski wzrost (Bassompierre, który go nie cierpiał, mówił o nim: „Ta mała pluskwa”). Kariera tego 18-letniego paza zaczęła się wówczas, gdy król się znużył jego poprzednikiem, przystojnym, ale brutalnym i aroganckim Barradasem. „Król - pisze Montglat - żywił taką namiętność do Barradasa, że zawsze trzymał rękę na jego ramieniu i nie mógł wytrzymać ani chwili, gdy go nie widział”. Wedle Montglata to Richelieu zniszczył Barradasa w opinii króla zręcznymi intrygami. Jego następcą stał się właśnie Klaudiusz de Saint-Simon, który wpadł królowi w oko, bo był wyjątkowo zręczny i pomysłowy na polowaniu oraz, jak pisze Tallemant, nie ślinił się, gdy dał w róg myśliwski: Saint-Simon na długie 10 lat utrwalił swą pozycję przy królu, między innymi dlatego, że pojął, iż nie należy wojować z kardynałem Richelieu. Z reguły stawał po jego stronie i tak też było z pewnością pamiętnego dnia 11 listopada 1630 roku.

Można jednak powątpiewać w jego relację o długiej, dwugodzinnej rozmowie, którą odbył z królem po powrocie z Luksemburga do pałacu Ambasadorów. Saint-Simon wyraźnie się podaje za akuszerę decyzji Ludwika XIII, korzystnej dla kardynała. To już jawna przesada. Nie od jego dobrych rad zależały królewskie postanowienia; tym razem zresztą decyzja króla była już zapewne podjęta z góry.

Kardynał Richelieu, wielce poruszony, wrócił do swego Małego Luksemburga i naradzał się z gronem przyjaciół. Bardzo liczne relacje zgodnie podkreślają wielką rolę, jaką odegrał w podtrzymaniu Richelieu na duchu oddany mu kardynał de La Valette. Jego ojciec, diuk d'Epemon, uważał syna za pacholka Richelieu i ze złością nazywał kardynała La Valette *cardinal Valet*, „kardynał Lokaj”. Otóż namawiał on gorąco Richelieu, by nie rezygnował przedwcześnie z gry („kto porzuca partię, ten przegrywa”). Problem przedstawiał się bardzo banalnie: czy Richelieu ma wyjechać do Pontoise, czy też poczekać na wyjaśnienie następstw całej awantury. Są zresztą różne relacje co do sensu owej podróży do Pontoise. Gondy wspominał o takim rozkazie króla, inni pisali, że kardynał chciał tylko przenocować w Pontoise i stamtąd jechać dalej, do Hawru, którego był gubernatorem. Z Hawru, w razie konieczności, można było ruszyć za granicę.

La Valette, wedle relacji Montglata, przekonywał Richelieu, „aby się wystrzegął tracenia króla z oczu, bo, jakiegokolwiek przyrzeczenia by mu [król] dawał, gdy go już nie będzie widywał, z łatwością o nim zapomni; zaś w otoczeniu królowej-matki i wszystkich jego wrogów nie zgodzi się nigdy na jego powrót”. La Valette radził więc przyjacielowi udać się raz jeszcze do króla pod pretekstem audiencji pożegnalnej i wpłynąć na jego decyzję. Zabawnie to referuje pamiętnik pana de Pontis: La Valette radził Richelieu, by się nie zniechęcał, gdyż „królowie są obrazem samego Boga [na ziemi] i tak jak Pan Bóg pragną, aby ludzie im się naprzykrzali”.

Saint-Simon twierdzi, że po długiej z nim rozmowie król mu polecił wysłać dyżurnego szlachcica do Małego Luksemburga i wezwać tą drogą Richelieu, by się udał do Wersalu na spotkanie z królem. Ponoć La Valette natychmiast przybiegł do pałacu Ambasadorów i został przyjęty przez Ludwika. Król wyraził przypuszczenie, że La Valette się zdziwił

wezwaniami Richelieugo do Wersalu - i dostał potwierdzającą odpowiedź. Ludwik rzekł wówczas: „Pan kardynał ma dobrego władcę [*maître*]. Proszę mu powiedzieć, że mu się polecam i że ma bez zwłoki przybyć do Wersalu”. Aby pojąć zdziwienie La Valette’a („większe niż W.K.Mość może sobie wyobrazić”), należałoby dodać, że mały pawilon myśliwski w Wersalu nie miał rangi rezydencji królewskiej. Ludwik XIII bardzo lubił ten pałacyk i traktował go jak azyl: polował tu tylko i wypoczywał, nigdy tu nie wzywał ministrów, nie odbywał posiedzeń i narad. Wezwanie Richelieugo do tego świętego miejsca było nie tylko czymś niezwykłym, ale i świadectwem królewskiej łaskawości. W pamiętnikach pana de La Rochefoucauld czytamy, że i królowej Marii Medycejskiej przyjaciele radzili, by podążyła za królem do Wersalu, ale ta odrzuciła ową „zbawienną radę”, gdyż „bała się, iż będzie się w Wersalu nudzić oraz że źle zostanie tam rozlokowana”. Może jednak bała się raczej tego, że król źle przyjąłby podobny pomysł.

Ludwik powitał Richelieugo w Wersalu wieczorem 11 listopada: obsypał go komplementami, między innymi i za to, że nie uchybił szacunkowi należnemu królowej-matce. Później była długa rozmowa króla i kardynała w cztery oczy: Robert Arnauld d’Andilly twierdzi, że trwała cztery godziny. Richelieu ujawnił potem trochę szczegółów: prosił króla o przyjęcie jego dymisji wskazując na fałszywą sytuację, w jakiej go stawia tak zdeklarowana nienawiść Marii Medycejskiej. Król replikował, że jego decyzja zatrzymania Richelieugo jest nieodwołalna, że respektując swoją matkę ma wszelako większe zobowiązania wobec swego państwa i że zresztą zachowanie Marii Medycejskiej jest rezultatem „kabał i monopoli”. Zapowiedział, że zaraz się zabierze do intrygantów, „którzy sprowokowali tę burzę”. Co też nastąpiło.

Do Wersalu wezwani zostali obecni w Paryżu ministrowie, z wyjątkiem Marillaka, któremu król polecił udać się do Glatigny, wsi w pobliżu Wersalu. Marillac zrozumiał: spalił część papierów, spakował się i dopiero około pierwszej w nocy dotarł do Glatigny. Gdy rankiem 12 listopada pojawili się u niego wysłannicy króla, by odebrać pieczęcie państwa i przekazać mu rozkaz wyjazdu pod strażą do Normandii - Marillac miał już napisany list do króla z prośbą o dymisję.

W nocy z 11 na 12 listopada w Wersalu Ludwik obradował z ministrami. Zdecydowano o dymisji i aresztowaniu Marillaka; strażnikiem pieczęci został na jego miejsce pan de Châteauneuf, kreatura Richelieugo. Nie było bezpiecznie pozostawiać na stanowisku naczelnego wodza armii we Włoszech brata Marillaka, toteż król posłał kurierem rozkaz aresztowania Ludwika de Marillac. Wykonali go marszałkowie de La Force i Schomberg, zdumieni tym zwrotem fortuny.

Koniec braci de Marillac był smutny. Michel de Marillac zmarł w sierpniu 1632 roku w swym więzieniu, zamku w Châteaudun. Skarżył się przyjacielom, że nadzorują go tu tak rygorystycznie, iż nawet do ustępu towarzyszy mu łucznik! Marszałkowi Ludwikowi de Marillac wytoczono proces o nadużycia przy budowie cytadeli w Verdun, szykanowanie podkomendnych i gwałty na ludności cywilnej. Zarzuty nie były zapewne całkiem bezpodstawne, ale w opinii ówczesnej nie wystarczały do wydania

wyroku śmierci, który też zapadł słabą większością sędziowskich głosów (13 : 10). Ścięto go w Paryżu 10 maja 1632 roku. W pamiętnikach pana de Pontis znajdziemy wyrazy oburzenia na „zimne i obojętne stanowisko” Richelieugo wobec tego wyroku na „człowieka niewinnego”: rzekł ponoć, że nie sądził, iż proces tak się skończy, ale „widocznie sędziowie wiedzieli więcej niż inni”. Oburzenie na cynizm kardynała podzielało wielu arystokratów; jednakże marszałek de Marillac nie był w złych stosunkach z Eminencją i, jak się zdaje, nie uważał się za ofiarę jego zemsty. Jeśli tak, to miał rację, bo do wyroku śmierci przyczynił mu się głównie król, a nie kardynał.

Usunięcie ze sceny Marillaców, nominacja pana de Châteauneuf i kilka pomniejszych decyzji personalnych - to likwidacja opozycji przeciw kardynałowi wewnątrz ekipy rządowej. Pozostała jednak na dworze arystokratyczna kamaryła Marii Medycejskiej. Znamienne, że po zwycięstwie Richelieugo 11 listopada nikt, nie wyłączając triumfatora, nie był zadowolony. W pamiętniku hrabiego de Brienne jest relacja, jak zaraz po dniu wystrychniętych na dudka królowa-matka rzekła mu z niepokojem: „Pan nie zna go [Richelieugo]: tak jak nie ma człowieka bardziej odeń zgnębnego, gdy mu fortuna nie sprzyja, tak też jest gorszy od smoka, gdy wiatr dmie w jego żagle”. Nastroje dworskiej artystokracji opisuje La Rochefoucauld: „Wszyscy wielmoże królestwa poczuli, że ich powalono: uważali, że od wolności przeszli do stanu niewoli”. Medyceuszka symbolizowała „łagodność regencji”, Richelieu natomiast - tyranie.

O „tyranie” tak pisał Brienne: „Byłem u pierwszego ministra i znalazłem go zadowolonego z jego szczęśliwego losu; zdawał się z ukontentowaniem spoglądać na to, że wszyscy *grands seigneurs* z dworu uważali za szczęście móc wejść do jego antyszambru, aby mu się kłaniać, gdy przechodził tamtędy w drodze do Luwru”. Ale w poufnych rozmowach z dyplomatami Richelieu nie promieniował radością. Contarini tak raportował swą rozmowę z kardynałem u schyłku listopada: „Na co mogą się przydać, westchnął [Richelieu], wszystkie wielkie dzieła, które jestem w stanie przedsięwziąć dla króla i dla naszych sojuszników, skoro wiem, że królowa nie wybaczy mi nigdy... Będę musiał nieustannie się strzec, aby zachować życie i królewskie łaski”.

Toteż najbliższe tygodnie po 11 listopada wypełniły zabiegi króla i kardynała o ugłaskanie Marii Medycejskiej: hrabia de Brienne zdumiewał się intensywnością tych starań ze strony zwycięskiego przecież Richelieugo. Prosił o interwencję m.in. nuncjusza, kardynała Giovanniego Bagni, królewskiego spowiednika Suffrena, sekretarza Marii pana de Rancé. Także Ludwik bardzo nalegał na matkę. Dopiero w okolicach Bożego Narodzenia Maria zgodziła się przyjąć kardynała i uczestniczyć w posiedzeniach królewskiej Rady. Nie oznaczało to wcale, że jej złość zelżała; pragnęła tylko wymusić zwolnienie braci Marillaców. Na Radzie traktowała kardynała jak powietrze.

Ponieważ zwrot polityczny z 11 listopada miał wyraźny koloryt antyhiszpański - usunięto z dworu niedobitki hiszpańskiej świty Anny Austriaczki - więc żona króla niespodziewanie zbliżyła się do jego matki. Obie królowe bardzo się dotąd nie lubiły, teraz natomiast zaczęły działać

wspólnie. Na Nowy Rok 1631 roku odmówiły zgodnie królowi swego towarzystwa w teatrze, gdzie miała być grana jakaś komedia. Ludwik ze złością się i pojechał na polowanie zabierając Richelieugo.

Wśród tych *parents terribles* króla był jeszcze i niezdolny Gaston. Wspominaliśmy, że 10 listopada Ludwik skłonił go do zgody z kardynałem, „co Monsieur - jak pisze Bassompierre - obiecał królowi nader zimno, pod warunkiem że będzie on [Richelieu] zachowywał się wobec niego, jak powinien”. Oznaczało to, że na faworytów Gastona powinny być spływać strumienie łask i pieniędzy. Zauważmy, że Gastona łączyły z Marią Medycejską uczucia wrogości do kardynała, ale ich motywacje były różne. Monsieur nie miał bynajmniej orientacji prohiszpańskiej i wcale nie należał do dewotów; przeciwnie, skłonny był do libertynizmu, a wśród jego faworytów znalazło się miejsce dla ateuszki, bluźnierców i antyklerykałów, takich jak Bautru czy baron de Blot-l’Eglise. Natomiast bardzo źle przyjmował Gaston politykę poskramiania arystokratów; zupełnie mylnie uważał Richelieugo za wroga szlachty: to kardynał, wedle Gastona, zabił panów de Chalais i de Bouteville, otrul w więzieniu marszałka d’Ornano. I tak dalej.

Otóż wśród faworytów Gastona najważniejsi padówczas byli panowie Le Coigneux i Puylaurens. Richelieu pragnął ich sobie skaptować, toteż wykonując ugodę z 10 listopada przyznał im różne stanowiska i korzyści: 6 grudnia Gaston, zachwycony, oświadczył kardynałowi: „Nienawidziłem Pana od dwóch lat; teraz pragnę Pana kochać równie mocno, jak przedtem nienawidziłem”. Sielanka.

Trwała krótko, bo apetyty faworytów były olbrzymie. Pan Le Coigneux chciał, ni mniej, ni więcej, zostać kardynałem: był on „głową polityczną” świty Gastona i miał święcenia. Romantyczny i rycerski Puylaurens kontentował się tytułem diuka. Rząd im nawet przyrzekł te awanse, ale sprawa musiała się przeciągnąć. Niełatwo było dostać w Rzymie kapelusze dla pana Le Coigneux, bo był uwikłany w paskudne afery obyczajowe, a nie można było zrobić diukiem Puylaurensa nie awansując pana Le Coigneux, który był ważniejszy. Rozczarowani faworyci podjudzili zatem Gastona do zerwania z kardynałem. 30 stycznia 1631 roku Monsieur pojawił się niespodziewanie u Richelieugo, obrzucił go gradem pretensji i wypowiedział mu swą przyjaźń; szalał podobno tak, że Richelieu zląkł się o swe życie w mniemaniu, iż Gaston chce go nadziać na swą szpadę. Zaraz potem Monsieur wyjechał z przyjaciółmi do Orleanu, gdzie pełnił obowiązki gubernatora. W dodatku okazało się, że Maria Medycejska, która po śmierci żony Gastona położyła rękę na jej klejnotach, wydała je teraz Gastonowi. Była to bajeczna kolekcja o wartości ponad miliona liwrów. Nietrudno wywieźć taki wiatyk i zużyć na sfinansowanie wojny domowej: kardynał był więc wściekły i zaniepokojony.

Zawiodła też ostatnia próba pojednania Marii Medycejskiej z kardynałem, podjęta przez króla w Compiègne, dokąd Ludwik wyjechał z obiema królowymi 12 lutego. Król usiłował wykorzystać w tym celu medyka Marii Medycejskiej, Vautiera, który miał wielki wpływ na starszą panią. Rokowali z Marią Schomberg i Châteauneuf. Bez rezultatu. Markiz de Montglat, pamiętnikarz wiarygodny; zapewniał, że sam król prosił w

końcu matkę o pogodzenie się z Eminencją, „posuwając się aż do klękania przed nią i oferując jej się w roli gwaranta szacunku i wierności, jakie będzie on [sc. Richelieu] żywić dla niej przez całe swe życie; ale absolutnie nie zdołał jej zmiękczyć”.

22 lutego 1631 roku odbyła się w Compiègne narada króla z ministrami. Richelieu przedstawia Ludwikowi cztery możliwości. Pogodzić się z Gastonem: ale to jest niemożliwe, bo jego faworyci nim rządzą, a ich ambicje są nie do przyjęcia. Pogodzić się z Marią: ale wobec jej nieszczerości i żądzy dominowania należałoby po prostu oddać jej rządy, na co król nie może przystać. Trzecia możliwość: przyjąć jego, Richelieugo, dymisję. To rozbroi wrogów i takie właśnie wyjście kardynał doradza. No, w szczerść mówcy nikt oczywiście nie uwierzył. I czwarte wyjście: zniszczyć całą tę kabałę, oddalić z dworu królową-matkę, wokół której intryga się skupia. Richelieu nie zaleca wcale tak brutalnego sposobu, ale jeśli król i ministrowie tak zadecydują, to i owszem, „ugnie się” przed ich wolą. Ministrowie są za czwartym rozwiązaniem, ale kręcą, bo to delikatna sprawa wkraczać w stosunki monarchy z matką. Ludwik XIII rozstrzyga sprawę: Maria będzie oddalona z dworu, jej kabała całkowicie rozbita.

Nazajutrz o świcie król opuszcza Compiègne wraz z żoną bez pożegnania ze śpiącą jeszcze Marią; zamek w Compiègne zostaje otoczony przez wojsko pod komendą marszałka d'Estrées. Królowa-matka ma być później przewieziona do Moulins, na bezpieczną odległość 300 kilometrów od Paryża. Jej przyjaciółki zostają wygnane z dworu. Już poprzednio król przepędził kilka z nich, m.in. panią du Fargis i żonę marszałka de Marillac, kuzynkę Marii. Teraz mają zniknąć z dworu księżna de Conti, panie d'Elbeuf, d'Ornano i inne jeszcze damy. Wśród panów, którzy powędrowali do Bastylii, znaleźli się Vautier i marszałek de Bassompierre; ten drugi cierpiał za dawne łaski, jakimi się cieszył u Medyceuszki, i za quasi-małżeński długotrwały związek z panią de Conti. Ale Fontenay-Mareuil wyjaśnia, że wainiejsza była obawa Richelieugo, iż Bassompierre cieszy się zbyt wielką sympatią króla, a zarazem nie może być pozyskany dla kardynała, „bo nie jest tak skromny i uległy, jak muszą być przyjaciele Richelieugo”. Aresztowanie Bassompierre'a to dowód, jak ogromny wpływ zyskał kardynał na króla, bo Ludwik rzeczywiście lubił dowcipnego i mądrego marszałka.

Sam Bassompierre pisał, że już 23 lutego diuk d'Epernon uprzedził go o groźącym aresztowaniu. Nie chciał uciekać; wstał następnego dnia przed świtem. „Spaliłem - chwali się - więcej niż sześć tysięcy listów miłosnych, które ongiś dostałem od różnych pań”. Spotkał się z królem, który dementował pogłoski o jego aresztowaniu („Wiesz dobrze, Betstein, jak cię lubię!”). A jednak 25 lutego powędrował do Bastylii. Gubernator tej fortecy, pan du Tremblay (brat Ojca Józefa) zapewniał go, że posiedzi bardzo krótko: wyszedł jednak dopiero po dwunastu latach, gdy Richelieu już nie żył. Miał wtedy 63 lata, ale na pytanie Ludwika XIII przyznał się do lat pięćdziesięciu. „Nie liczę - wyjaśnił - tych lat, gdy nie mogłem służyć Waszej Królewskiej Mości”.

Maria Medycejska zwlekała z wyjazdem do Moulins pod pretekstem

stanu zdrowia. Zarazem robiła tyle krzyku na temat jej uwięzienia, że król w końcu kazał zdjąć straż wojskową sprzed zamku w Compiègne. 18 lipca 1631 roku opuściła miasto w grubym woalu, pieszo: za roгатką wsiadła w karocę i pojechała do twierdzy La Capelle. Liczyła na jej komendanta, wroga kardynała, ale rząd miał już sygnał o jej zamiarze i forteca nie wpuściła królowej-matki. Zdecydowała się wówczas przekroczyć granicę hiszpańskich Niderlandów. Podejrzewano, że Richelieu bardzo jej ułatwił tę ucieczkę. Nigdy już nie wróciła do Francji.

Jeszcze wcześniej granicę przekroczył Monsieur. Zostawiliśmy go w Orleanie: gdy się dowiedział, że na rozkaz króla kolumna wojska posuwa się ku Orleanowi, uciekł z małą, 400-osobową grupą przyjaciół i żołnierzy. Dijon zamknęło przed nim bramy, więc przeszedł przez granicę do Besançon, stolicy hiszpańskiej prowincji Franche-Comté, stamtąd zaś udał się do stolicy Lotaryngii, Nancy. Dotarł tam w kwietniu 1631 roku. Na placu pozostał, przy królu, kardynał Richelieu.

W pamiętnikach dygnitarza parlamentu paryskiego, Omera Talona, czytamy, że błędem wrogów kardynała było to, iż nie chcieli pójść „na całego”, gdy już wypowiedzieli mu wojnę. „Należało to zrobić wedle dobrych reguł makiawelicznej polityki, której zasady i praktykę kardynał Richelieu znał lepiej niż inni. Stało się więc tak, że ich powściągliwość wyniosła go niebywale do góry. Jego wrogowie bowiem nie tylko się ujawnili, ale i wycofali się z gry”. To znaczy, że dopiero wyjazdy Gastona i Medyceuszki za granicę, w marcu i lipcu 1631 roku, umocniły definitywnie potęgę Richelieugo.

Zaczynał się dwunastoletni okres jego rządów, który historycy francuscy skłonni są oceniać nie tylko jako najważniejszy, ale i najwspanialszy. Wolno nam nie przyjmować tej opinii na wiarę.





VI. KARDYNAŁ DIUK DE RICHELIEU



CZŁOWIEK

W pierwszych miesiącach 1631 roku intrygi dworskie zostały sparyalizowane, konflikt włoski załatwiony dla Francji nad wyraz pomyślnie, w sprawach niemieckich koniunktura bardzo się poprawiła. Można by sądzić, że 45-letni Richelieu osiągnie stan politycznej i osobistej stabilizacji, równowagi wynikającej z dojrzałości i doświadczenia. Ale to złudzenie. Mamy wszak do czynienia z człowiekiem nadwrażliwym, nerwowym, zżeranym przez choroby, zagrożonym także i w swej równowadze psychicznej. Żył w nieustającej obawie przed niełaską króla, zamachem wrogów, spiskiem możnych, klęską wojenną, atakiem choroby. Żył także w nieustającym podnieceniu nadziei, oczekiwaniu na urzeczywistnienie się ambitnych planów. Mateusz de Morgues, który długo mu służył, nim stał się jego wrogiem, pisał, że Richelieu „miota się ciągle, bo jest zawieszony między strachem i nadzieją. Odnajduje sen dopiero wtedy, gdy zmęczy go łóżko, w którym się rzuca, nie mogąc podjąć decyzji”.

Już jako młody biskup skarżył się na ataki febry i potworne migreny. Mam słabą głowę - pisał nie bez poczucia humoru „i wielu ludzi chętnie w to uwierzy, ale rozumiejąc to w innym sensie niż ja”. Gdy miał zaledwie 26 lat, przez pewien czas podróżował tylko w powozie wyposażonym w łóżko (*litière*). Od 1621 roku bóle newralgiczne i migreny stały się chroniczne („zabijają mnie” - pisał). Stosunkowo nieźle zniósł trudy oblężenia Roszeli, a potem dwu kampanii włoskich. Ale od połowy „roku udręczeń”; to jest od czerwca 1630 roku, powrócił do zwyczaju podróżowania w *litière*. W 1632 roku mało nie umarł, gdy wrzód w pęcherzu spowodował wstrzymanie moczu. Dwa lata później będą go dręczyć hemoroidy i nigdy ich już porządnie nie wyleczy: pani de Chevreuse szydziła okrutnie z jego *cul pourri*. Trudno mu było i siedzieć, i nawet leżeć. W ostatnich latach życia było jeszcze gorzej: na całym ciele rozsiewały mu się wrzody, ogólna infekcja organizmu osłabiała go okrutnie. W latach 1640-42 wymiana listów między królem i kardynałem obfituje w skargi obu na stan ich zdrowia: byłem wczoraj zupełnie rozbity, czuję się kruchy jak szkło, wziąłem tej nocy lekarstwo, mam wielką potrzebę wypróżnienia, zaraz wezmę lekarstwo, czuję się lepiej, dziękuję za troskę o moje zdrowie, proszę troszczyć się o siebie, posyłam panu winogrona, ale boję się, że jeszcze nie bardzo dojrzałe, proszę, by je pan kazał dobrze umyć przed jedzeniem... Zdarzało im się konferować w łóżkach.

Richelieu żyje otoczony lekarzami, których świetnie opłaca. Jego

główny lekarz, profesor słynnej uczelni w Montpellier, François Citois - to jeden z konfidentów, należał do najbliższego kręgu zaufanych. Był przy swym znakomitym pacjencie od czasów Luçon. Richelieu zwał go *mon petit docteur* i traktował nieco ironicznie jego sztukę, która polegała na kulcie puszczenia krwi, środków przeczyszczających i lewatyw. Kardynał sądził, że sam wie więcej o swym zdrowiu niż jego lekarze, a jednak połykał preparowane przez nich medykamenty (w 1635 roku wydał na nie blisko półtora tysiąca liwrów!). „Ta resztką życia, która ci pozostaje, utrzymuje się jedynie dzięki sztucznym środkom” - pisał okrutnie Mateusz de Morgues. Owe sztuczne środki, *artifices*, to obok lekarstw talizmany, relikwie, cudowne panacea. Wierzył w siłę proszku sprowadzonego z Persji, pudru z ludzkich kości, który nosił przy sobie przeciw migrenom; ufał w moc mikstury sporządzonej ze zwierzęcych wydzielin, którą mu przysłał generał zakonu kartuzów. Przestrzegał surowej diety, z reguły jadał sam, nie tykał wspaniałych potraw, które stawiano na stole, gdy podejmował u siebie gości.

Oddajmy jeszcze raz głos Mateuszowi de Morgues: „Ci, którzy się z nim stykali bardziej zażyłe, konstatawali w jego świetnym umyśle (który wielu podziwiała) sporą przymieszkę szaleństwa: wszystko go raniło, nic nie mogło uleczyć”. Równowaga umysłowa w jego najbliższej rodzinie chwiała się nieraz. Ulubiona siostra Nicole miała napady szaleństwa i umrze w zamknięciu w Saumur; ciągle się skarżyła na zimno, uroiła sobie, że jest ze szkła i może się stłuc, więc bała się nawet siadać. Brat Alfons, skądinąd bardzo dobry biskup, również miewał urojenia: „wśród wielu innych bzików wmawiał sobie niekiedy, że jest Bogiem Ojcem” (Tallemant).

Świadkowie dostrzegali i u Armanda Jana de Richelieu objawy psychicznego nie zrównoważenia: nerwowe tiki i depresje, napady płaczu („krokodyle łzy”, „płacz na zamówienie”, wedle opinii Marii Medycejskiej). Podlegał gwałtownym zmianom nastroju, po długich okresach bierności i przybicia przechodził do gorączkowej aktywności i napadów gniewu. Dręczył się pytaniami, co powinien powiedzieć królowi, wielmożom, obcym dyplomatom. Obawiał się też złych nowin, które go zwały z nóg; przykazywał, aby je dozowano z wielką ostrożnością, nie wszystkie naraz. Dyplomaci wspominali jego oblicze, ściągnięte często konwulsyjnie. Twierdzono, że niemal co miesiąc zamykał się na dwa lub trzy dni i widywał jedynie z lekarzami i służbą. Jego kamerdyner Olivier twierdził nawet, że krzyczał wówczas, pieniał się, miotał na łóżku. Sam Richelieu mówił arcybiskupowi Bordeaux Sourdisowi, że jego napady gniewu „mają zawsze uzasadnienie racjonalne”. Ale jego bibliotekarz Gabriel Naudé zapewniał, że „Richelieu zabawiał się czasem walcząc ze swymi domownikami, wyciągając ich z kątów pokoju przy użyciu długiej rury, ciskając im książki na głowę, dając im prztyczki w nos, robiąc im codziennie nowe sztuczki...” Tallemant twierdzi, że bił kapitana swojej gwardii, a nawet posuwał się do rękoczynów w stosunku do ministrów, kanclerza Séguiera i szefa finansów Bulliona, którego kiedyś podobno mało nie udusił. Można by to uznać za brutalną agresywność właściwą wielu potentatom tamtego czasu. Niektóre relacje czynią zeń wszelako

człowieka na poły szalonego: można sądzić, że to plotki rozpuszczane przez wrogów i powtarzane jeszcze po wielu latach. W jednym z listów Karoliny Elżbiety Bawarskiej, bratowej króla Ludwika XIV (jej korespondencja to kopalnia dworskich plotek), czytamy: „Richelieu ulegał gwałtownym napadom maniakałnym, czasem wyobrażał sobie, że jest koniem. Skakał wówczas wokół bilardu, rozdawał służbie kopniaki, rżąc przy tym, i przez godzinę robił potworny hałas. Potem służba kładła go do łóżka. Po przebudzeniu niczego nie pamiętał”.

Spostrzegano jednocześnie, że ten człowiek, skłonny do brutalności, arogancji, czasem nawet furii - miał cechy kobiece. Potrafił czarować i uwodzić, był nadwrażliwy, wyposażony w kobiecą intuicję, kapryśny, przebiegły, utalentowany w intrygach. Jeśli czuł się dobrze w pancerzu i rajtarskich butach, to nie gorzej w sukni duchownej; bardzo dbał o swój wygląd i swą toaletę, a elegancji stroju dorównywała elegancja manier, gdy chciał nią błysnąć. Nie przepadał za końmi jak wielcy panowie i myśliwi, kochał się w kotach. Łatwo zgadnąć, jak interpretowali to złośliwcy: dostrzegali kocie cechy jego charakteru, a więc fałsz, drapieżność, okrucieństwo skryte za przymilną miękkością.

Można się zastanawiać, jak ten człowiek, zżerany fizycznymi słabościami i niezrównoważony psychicznie, mógł z powodzeniem prowadzić sprawy wielkiego państwa w tak piekielnie trudnym czasie. Sam Richelieu oceniał to jako problem inteligencji i woli. „Wiedziałem, że format mojego talentu jest w stanie dopasować się do wagi moich zadań, ale ów ciężar zadań znacznie przewyższa możliwości mej słabej konstrukcji fizycznej... Pojmowałem wreszcie, że jestem jak żołnierz, któremu powierzono obronę pozycji nie do utrzymania i który dobrowolnie przyjął takie poświęcenie swej osoby, bo droższy mu jest honor niż życie”. Czyli: moja inteligencja jest na miarę mej funkcji, zaś ambicja, wola, charakter pozwalają przezwyciężyć słabość ciała.

Co się tyczy charakteru, sztychowano niekiedy z jego tchórzliwości, z dbałości o własne bezpieczeństwo, z okrucieństwa wobec tych, którzy czyhali na jego życie. Jednakże pamiętajmy, że Richelieu był świadkiem, jak tłum masakrował zwłoki Concinię; za jego życia fanatyk zamordował Buckingham, a podkomendni - Wallensteina. Spiski przeciw jego „tyraniu” nie były wymysłem nadwrażliwej imaginacji kardynała, ale chlebem codziennym ówczesnego życia politycznego. Łatwiej pojąć Richelieu, gdy się wie, jak pesymistyczna była jego ocena ludzi: ich słabości przemieszanej z nieobliczalnym zuchwalstwem, ich wrogości do władzy i pogardy dla autorytetu, niecierpliwości i słomianych zapalów, lekkomyślności i egoizmu. Jego napady gniewu połączone były nieraz z pogardą. Nie oszczędzał przede wszystkim swoich rodaków, uważał ich za szczególnie trudnych do pokierowania. „Chętnie rozbiłby Francję, gdyby była ze szkła” - pisał jeden z jego wrogów. To złośliwość; wszelako Richelieu miał to przekonanie, że istnieje przepaść między wielkimi szansami, a nawet przeznaczeniami Francji - i lekkomyślnością anarchicznych, płochych, rozgadanych, bezczelnych Francuzów. Przy takim spojrzeniu na innych pojawiała się skłonność, by ową „wielkość Francji” fundować głównie na własnej woli, poświęceniu swej osoby, na

sile własnego charakteru.

Inteligencja była to prześwietna. Nawet wśród depresji i gniewu potrafił zachować chłodną głowę; bez wątpienia liczne napady jego furii były po prostu wykalkulowane. Potrafił też gniewać się zupełnie na zimno. Morgues szydził z owego miotania się na łóżku, gdy Richelieu nie potrafił podjąć decyzji. Ale może po prostu nie śpieszył się z decyzjami, bo nie ufał swym nerwom, swym gwałtownym reakcjom: wołał odczekać, twierdził sam, że postanowienia podjęte w gniewie zawsze mu się obracały na szkodę. Z rozwagą, rodzajem oportunisty, elastycznością zachowań łączył wspaniałą zdolność łapania w locie nadarżających się okazji. Umiał, jak wytrawny szachista, ogarniać kilkoma spojrzeniami wszystkie pola i figury politycznej szachownicy. Gdy w latach trzydziestych Francja znalazła się w samym środku wojny europejskiej - Richelieu jak arcymistrz prowadził wielką symultaniczną grę i nie tracił kontroli nad wszystkimi szachownicami.

Mimo swej choleryczności „był negocjatorem bardzo zręcznym i rozważnym, prawie nigdy nie popełniał błędów, a jeśli już jakiś błąd zrobił, umiał go natychmiast naprawić”. To opinia pana de Brienne, też świetnego dyplomaty. W ogóle „umiał wybornie bronić swego zdania” (Retz). Dyskutował zażarcie, ale zdobywał się w dyskusji na wdzięk; miał w zapasie solidne argumenty, lecz potrafił też improwizować, mówić z werwą, replikować błyskotliwie.

Czegoś jednak brakowało tej świetnej inteligencji. Był wrogiem wszelakich utopii i teoretycznych systemów, szydził z pedanterii zawodowców intelektu. Pięknie: to cechy umysłu pragmatycznego i realistycznego, wrażliwego na konkrety, mocno trzymającego się faktów. Wszelako bez lekkiej choćby przymieszki utopijności politykowi brakuje tej siły wyobraźni, po której poznajemy wielkich nowatorów, wytyczających główne linie historycznej ewolucji. Tego u Eminencji nie było; jego wróg i admirator w jednej osobie, kardynał Retz, przeczuwał taką ocenę jego działań, gdy pisał: „Jego działalność polityczna miała na uwadze tylko ten okres, w którym żyć będzie, ale też nigdy żaden minister nie zrobił tyle co on, by uwierzono, że przygotowuje przyszłość państwa”. Był o wiele lepszy w taktyce niż w strategii. Cóż z tego, że genialnie rozgrywał partię po wejściu Francji do wojny trzydziestoletniej? Przecież nie do każdej gry warto siadać, nie z każdym partnerem, nie w każdym czasie i nie o każdą stawkę. Trzeba będzie jeszcze wrócić do tego wątku.

Podobnie jak Machiavellemu, i tak samo bez sensu, stawiano mu zarzut amoralności. Wrogowie niemało zrobili, by przypisano mu reputację złego człowieka. Zabawną anegdotę przekazuje Tallemant. Oto Richelieu urządził złośliwy kawał swemu jałmużnikowi księdzu Mulo. „Jesteście złym człowiekiem, panie” - wołał w gniewie Mulo. „Milczcie lepiej, milczcie, bo was każe powiesić - odparł Richelieu. - Rozgłaszacie tajemnice, które wam powierzyłem na spowiedzi”...

Czy istotnie był człowiekiem złym i amoralnym? Oto opinia Retza: „Bardziej niż ktokolwiek inny z ludzi światowych potrafił nieomylnie odróżnić rzecz złą od gorszej, dobrą od lepszej, co u ministra jest wielką zaletą... Dążył do dobrego albo przez skłonność, albo przez rozsądek,

ilekroć interes nie skłaniał go do złego, i zdawał sobie doskonale sprawę, ilekroć je popełniał... Był słowny, o ile jakieś wyższe względy nie zmusiły go do postępowania inaczej i w takim przypadku nie zaniedbywał niczego, by ratować pozory dobrej wiary”. Bez wątpienia podzielał opinie swych propagandystów, że moralność polityczna różni się znacznie od moralności prywatnej.

Z wszelką pewnością był politykiem dworów, pałaców, gabinetów, ambasad - a nie trybunem i wodzem. Długo nie doceniał przyczyn i niebezpieczeństw ludowego niezadowolenia, zwłaszcza że rewolty rozpały się na prowincji. Gdy latem 1636 roku sromotne klęski wojenne zwróciły przeciw niemu gniew paryżan - Ojciec Józef, kapucyn, a więc zawodowy misjonarz nawykły do rozmowy z tłumem, zarzucił mu podobno, że się zachowuje „jak zmokła kura”. Potrafił wszakże siłą woli przewycięzać strach. Pięknie to skwitował Retz: „Nie panował duchem ani sercem nad niebezpieczeństwami. Nie ustępował przed nimi jednym ani drugim”.

Z siłą woli i piękną inteligencją łączył nadludzką pracowitość. Miał wśród arystokracji dworskiej opinię nietowarzyskiego, a nawet nieuprzejmego, bo nie lubił tracić czasu na przyjmowanie gości i udzielanie audiencji. Bassompierre ryczał raz w jego antyszambrach: „Czy go nam w końcu dzisiaj pokażą?” Pan de Pontis opisuje, jak z powinowatym kardynała panem de Brézé pojechali raz do rezydencji Richelieugo w Rueil. Znaleźli kardynała na przechadzce w ogrodzie, ale ledwie się odwrócił, spojrział - „i zawołał: Bardzo uniżony sługa! To był zwykły komplement pożegnalny: częstował nim tych, którym dobrze nie życzył. Natychmiast zrozumiałem ten język... Zawróciłem do Paryża i ciągle mi się zdawało, że z tyłu słyszę wołanie kardynała Richelieu: Bardzo uniżony sługa!”

Eminencja nie przepada także za audiencjami dla obcych dyplomatów. W miarę możliwości przerzuca ten ciężar na najbardziej zaufanego ze współpracowników, Ojca Józefa. Rozkład jego zajęć jest dziwaczny. Oto relacja pana Aubery, którego historyczne dzieła o kardynale ukazały się ledwie kilkanaście lat po śmierci ich bohatera: „Kardynał kładzie się około godziny jedenastej (wieczorem) i nigdy nie śpi dłużej niż trzy lub cztery godziny. Gdy już minął pierwszy sen, każe sobie przynosić światło i tekę, aby móc pisać samemu lub dyktować osobie, która specjalnie po to śpi w jego pokoju. Następnie znów zasypia około godziny szóstej i wstaje między godziną siódmą a ósmą. Pierwszą rzeczą, którą robi, gdy się już pomodli, to wezwanie służby, której daje do przepisania depesze naszkicowane w nocy”. Nocna praca odbywa się oczywiście w łóżku. Jeśli Richelieu jest w Paryżu, to zaczyna od spraw bezpieczeństwa wewnętrznego. Przyjmuje więc pana de Nouveau, dyrektora poczty, pana du Tremblay, gubernatora Bastylii, i szefa paryskiej policji (był nim pan Moreau, a później słynny „kat” kardynała, Izaak Laffemas). Otrzymuje od nich informacje zdobyte na różne sposoby: dzięki przejętej na poczcie korespondencji, w rozmowach z więźniami Bastylii, nudzącymi się i gadatliwymi, wreszcie w wyniku procedur sądowych i działań policji. Później jest praca do godziny jedenastej.

W godzinach południowych - czas odprężenia. Doktor Citois, bohater

leczenia lewatywą, ma przynajmniej tę zasługę, że nakłaniał gorąco Richelieugo do takiej regularnej *détente*, redukującej przeciążenia psychiczne. Kardynał przechadza się więc po ogrodzie z gronem najbardziej zaufanych przyjaciół. Nie mówi się, broń Boże, o polityce; jest rozmowa o teatrze, muzyce, literaturze, wymienia się plotki krążące na dworze i w Paryżu, opowiada zabawne anegdoty. Jest w tym gronie doktor Citois, którego lojalność przeszła wszystkie próby: Richelieu posługuje się nim nieraz jako swoim piórem przy najbardziej poufnych okazjach. Jest równie zaufany pan Rossignol, ekspert od szyfrów i od ich łamania, w służbie Richelieugo od 1627 roku. Są jeszcze inni, jak księża Mulot i Beaumont, a przede wszystkim ksiądz Boisrobert. Syn mieszczanina i protestanta, nazywał się naprawdę François Metel. Przedstawiany często jako błazen, skandalista i postać groteskowa, Boisrobert był dowcipny i inteligentny. Poeta dworski, autor panegiryków, wierszy do baletów i innych błahostek, miał dobry smak i stał się literackim agentem kardynała, pośrednikiem między ministrem a środowiskiem pisarzy. Był rzeczywiście libertynem w podwójnym znaczeniu tego słowa: wolnomyślny w kwestiach światopoglądowych, rozpustny w obyczajach. Jego cienki dowcip, talent do robienia bliźnim kawałów, wspaniała dar opowiadania przepędzały melancholię i nerwowe depresje Richelieugo, nie pozwalały kardynałowi przeżuwać podjętych już decyzji z żalem i skrupułami. W początku 1641 roku Boisrobert popadł w niełaskę, gdy nadto już zaczął szaleć; po pewnym czasie jednak powrócił do intymnego towarzystwa kardynała.

Ludzie bliscy Eminencji zachowali o nim, z małymi wyjątkami, dobre wspomnienie. Markiz de Montglat pisał: „Był on najlepszym panem, krewnym lub przyjacielem, jaki kiedykolwiek istniał. Jeśli tylko miał przeświadczenie, że ktoś go kochał, jego fortuna była zapewniona, bo nie opuszczał nigdy tych, którzy się z nim związali. Ale i przeciwnie, nie wybaczał nigdy tym, których uważał za wrogów, i gubił ich bez ratunku”. A oto zdanie Retza: „Nie był hojny, ale dawał więcej, niż obiecywał, i mnożył wciąż nadzwyczajnie fawory, które rozdawał... Umiał być dobrym przyjacielem”. Żądał oczywiście bezwzględnej lojalności, ale także inteligencji, inicjatywy, giętkości: nie należał do polityków czujących się dobrze w otoczeniu miernot. Potrafił długo zabiegać o pozyskanie do swej służby kogoś, kto mu wpadł w oko. Pamiętniki pana de Pontis są w niemałej części historii takich zabiegów. Richelieu poznał Pontisa pod Roszelą, gdy ten był porucznikiem gwardzistów króla. Starał się go pozyskać za pośrednictwem Ojca Józefa („On się nie myli w wyborze ludzi... Nagradza cnotę wszędzie tam, gdzie ją rozpozna” - rzekł Pontisowi kapucyn). Pontis, zażarty rojalista, odmówił. Uznał, że kardynał, „niezależnie od tych wielkich usług, które oddał państwu, ujawniał mniej przywiązania niż powinien, dla swego władcy, bo zabierał ze służby królewskiej i przyciągał do swej świty tych, których uznał za najwierniejszych służebników monarchy”. Później Richelieu ponawiał starania, by pozyskać Pontisa. Kazał mu się odwiedzić jeszcze tuż przed swą śmiercią. Pontis posłuchał, odwiedził ministra („złożyłem uszanowanie panu kardynałowi i ucałowałem kraj jego prześcieradła”), nic z tego jednak nie wyszło. Pan Sublet de Noyers, minister wojny, rzekł mu wtedy o

kardynale, iż „jest to największy geniusz, najpierwszy człowiek świata, dobroczyńca całej ziemi, który wydobywa z prochu i awansuje do ważnych dostojństw tych, których uznaje za godnych; pracuje jedynie po to, aby ukontentować wszystkich poddanych króla, i świadczy dobrodziejstwa nawet swoim wrogom”. Te ostatnie słowa były aluzją do listu Pontisa ze złośliwymi uwagami o kardynale, który wpadł w ręce policji „nie bez jakichś czarnoksięskich sztuczek”, tyle środków ostrożności zastosował autor, by się przed tym uchronić.

W próbach pozyskania sobie ludzi Richelieu i jego pomocnicy uciekali się nieraz do metod bliskich szantażowi. Robert Arnauld d'Andilly dostał w 1634 roku urząd intendenta; gdy odmówił, minister Servien ostrzegał go, że Richelieu bardzo się poczuje obrażony! Ale historia Pontisa świadczy, że odmowa mogła zablokować karierę, nie powodowała natomiast prześladowań. Są na to i inne dowody. Gdy na początku lat czterdziestych nabrzmiewał wyjątkowo groźny spisek hrabiego de Soissons, Richelieu miał o nim mało informacji. Zaprosił zatem do Rueil pułkownika hrabiego de Gassion, przyszłego marszałka Francji. Dał mu piękny diament i zachęcał, by wszedł do spisku. Gassion odrzekł, że woli służyć „bez intrygi i zdrady”. „Monsieur, król życzy sobie, by mu służono wedle jego uznania!” - rzekł Richelieu i dostał odpowiedź, że Gassion gotów jest mu oddać życie, ale nie uczciwość. Nazajutrz kardynał wznowił starania i znów spotkał się z odmową. „To wystarczy, panie de Gassion; pańska kariera może na tym ucierpieć - rzekł Richelieu - ale nie moja estyma dla pana”.

Prawdą jest, że wymagający od swych ludzi absolutnej lojalności Richelieu czasem nie był wobec nich lojalny. Potrafił przerzucać na swych podwładnych winę własnych zaniedbań: historia traktatu ratybońskiego jest tu dobrym przykładem, a będą jeszcze inne podobne. Ale oddajmy kardynałowi sprawiedliwość: nie mścił się na ludziach, którym zrobił takie świństwo. Piorunował na negocjatorów z Ratyzbony, gdy chciał odrzucić traktat, ale bynajmniej nie stracili oni jego łask.

Richelieu nie był opętany bez reszty polityką. Spędził dzieciństwo na wsi (pejzaż jego rodzinnej okolicy nie przedstawiał się zresztą ciekawie) i zachował wrażliwość na przyrodę, przestrzeń, wodę, las czy ogród. Wybudował sobie wspaniały pałac w Paryżu, ale dużo lepiej się czuł w ulubionym Rueil. Dziś to paryskie przedmieście, 15 kilometrów od centrum miasta, ale wówczas była to szczerza wieś. Paryski Palais-Cardinal musiał być imponujący, bo Richelieu uważał, iż szef rządu wielkiego mocarstwa musi demonstrować przepych: bez luksusu nie ma przecież prawdziwej wielkości! Jednakże to nie przez snobizm kardynał kolekcjonował piękne obrazy i rzeźby, meble, arras. Miał naprawdę dobry smak, jego wrażliwość estetyczna jest cechą wyróżniającą go na dworze Ludwika XIII. To on zapewnił świetną karierę brukselskiemu malarzowi Filipowi de Champaigne. Oficjalny malarz dworu od 1628 roku, stał się największym francuskim portrecistą XVII wieku i jednym z najwybitniejszych malarzy religijnych w całych dziejach tego gatunku. Odwdzieczył się kardynałowi serią wspaniałych portretów, ale największe chyba wrażenie robi potrójny szkic do portretu Richelieu z londyńskiej

National Gallery: z obu profilów i *en face* widzimy twarz piękną i władczą; wyraz oczu jest taki, że łatwiej zrozumieć, czemu ludzie pod wzrokiem kardynała zapominali języka w gębie. Wszystko w tym szkicu jest finezją i prawdą.

A więc Richelieu nie jest monomaniakiem polityki. Umie docenić wartość pięknego obrazu i urok pejzażu. Lubi dobry żart, nawet tłusty i libertyński, w stylu pana de Bautru czy Boisroberta. Ma zrozumienie dla dobrej literatury, ogromnie się interesuje teatrem. Wiadomo było, że żywi ojcowskie uczucia w stosunku do kilku utworów dramatycznych. Sztuki takie, jak *Roksana*, *Mirame*, *Europa* to jego teksty teatralne, pan Desmarets de Saint-Sorlin tylko je „zwersyfikował”, to znaczy dorobił do nich rymy. Kardynał gra też pięknie na lutni: złośliwi twierdzą, że nauczył się ongiś gry, aby uwodzić Marię Medycejską włoską muzyką.

Zauważmy wszelako, że te pozapolityczne zainteresowania Richelieugo na różne sposoby splątane są z polityką. Jego zaufany, hiszpański Żyd López, służy mu jako koneser i dostawca dzieł sztuki, ale przy okazji i jako szpieg, dyplomata, liwerant wojskowy. Richelieu proteguje literatów i chętnie przebywa w ich towarzystwie, ale oczekuje od nich politycznych świadczeń. Istotnie, stopniowo pod rządami kardynała polityzują się różne dziedziny pisarstwa: teatr, poezja, historiografia... W tekstach teatralnych Richelieugo pełno jest aluzji politycznych: potępienie rebelii, pochwała „mocnej” polityki. Wielkie, sążniste i bardzo dziś nas nudzące dzieło, *Europa*, to gloryfikacja polityki zagranicznej kardynała i roli Francji w wojnach europejskich. *Mirame*, sztuka wystawiona na inaugurację wielkiego teatru w Palais-Cardinal (1641), zawierała złośliwe aluzje do historii Anny Austriaczki i Buckinghama. Ksiądz Antoni Arnauld (bratanek „wielkiego Arnaulda”), który był na przedstawieniu, notował w swym pamiętniku: „Jak wielu innych dziwiłem się, że ośmielono się zaprosić królową, by oglądała intrygę, która bez wątpienia nie mogła się jej spodobać, i której, przez szacunek, nie będę wyjaśniał. Musiała wszelako znieść tę zniewagę, którą – jak powiadano - ściągnęła na siebie odrzucając z pogardą umizgi kardynała. Trochę ją pomściła nędzna opinia, jaką sztuka ta zyskała: kardynał był tym wystarczająco udręczony. Nie można było wówczas brać innego rewanzu za obelgi człowieka, który stał się panem wszystkiego i dla wszystkich był groźny”.

Jakże to było z owymi umizgami kardynała do królowej Anny? Zauważmy, że Richelieu jest rasowym mizogynem. Zrobił karierę przez kobiety, ale nie cierpiał ich politycznych ambicji i, z małymi wyjątkami, miał do nich stosunek pogardliwy. Uważał, że dają pierwszeństwo namiętnościom nad rozumem, są złośliwe i skłonne do intryg, brak im przyzwoitości i skromności. Mateusz de Morgues zapewnia, że za młodu kąsały go żądze; pochłonięty polityką i schorowany stracił jednak zainteresowanie tą stroną egzystencji. Gdy uważał, że musi symulować uwielbienie dla jakiejś damy, której potrzebował, robił to niezręcznie. Był tak *mal inspiré* w roli wzdychającego kochanka, robił miny tak afektowane i tak bajdurzył, że szydzono sobie z niego.

Postać rozpustnego kardynała nie jest wówczas niczym nadzwyczajnym: w otoczeniu Richelieugo taką reputację miał słusznie arcybiskup Tuluzy

kardynał de La Valette, nieco później kardynał Retz. Kogóż to nie uważano za konkietę lub za obiekt zapałów Richelieugo! Najpierw Leonora Dori i Maria Medycejska. „Było dużo obmowy na temat stosunków kardynała Richelieu, przystojnego mężczyzny, z królową-matką” - pisze Tallemant. Nic w tym konkretnego. Potem Anna Austriaczka. Tenże Tallemant, arcymistrz plotki, twierdzi, że kardynał proponował Annie, iż zastąpi przy niej króla-cherlaka i pomoże jej urodzić delfina, „bo jeśli nie urodzi dzieci, to wciąż będą nią gardzić... i do Hiszpanii ją odesłać mogą”. Takiemu następcy tronu zaś Richelieu służyłby gorliwie wspólnie z matką dziecka. To zupełnie nieprawdopodobne, zważywszy stosunki Richelieugo z Anną i, przede wszystkim, z królem. Pani de Motteville, najzaufańsza powiernica Anny, nie wierzyła w jakąś miłość kardynała do jej pani. Notuje tylko wyznanie Anny, że raz Richelieu przemówił do niej „w sposób zbyt zalotny jak na wroga”: król jednak wszedł do komnaty, nim zdążyła osadzić zalotnika. O zalotach kardynała pisała też pani de Chevreuse: informowała ministra Châteauneuf, którego wciągała do spisku przeciw Eminencji, że Richelieu jest przy niej jego niefortunnym rywalem. Trudno uwierzyć, by w tym 1632 roku ciężko chory Richelieu pragnął uwieść piękną awanturnicę. Łatwiej przyjąć, że konszachty jej z panem de Châteauneuf sprawiały, iż stał się niespokojny i nerwowy, co pani de Chevreuse mogła sobie tłumaczyć jako zazdrość. Pisała zresztą do pana de Châteauneuf, że kardynał w rozmowach z nią przechodzi od gniewu do „niebываłej unizoności”... Jest zupełnie pewne, że Richelieu wiele razy udawał supiranta, gdy ze względów politycznych zależało mu na pozyskaniu jakiejś wpływowej damy.

Opowiadano także, iż chciał uwieść słynną z piękności Marię Ludwikę, córkę Neversa. Była ona w samym środku ważnych dla kardynała intryg Gastona. Podobnie wygląda sprawa dwu wizyt, jakie złożyła Richelieuowi słynna kurtyzana Marion Delorme: ta z kolei uwikłana była w aferę Cinq-Marsa, ostatni i bodaj najgroźniejszy spisek dworski przeciw kardynałowi. Plotkowano o stosunkach Richelieugo z żoną jego współpracownika, ministra Klaudiusza Bouthillier, którą istotnie bardzo lubił i cenił. Domyślano się nawet, iż jej syn Leon Bouthillier był w rzeczywistości synem kardynała: tak gorliwie naśladował on maniery, język, styl bycia Richelieugo, i tak szybko zrobił przy Eminencji karierę: w 1632 roku, mając 24 lata, został ministrem spraw zagranicznych! Po prawdzie, nie było to wówczas tak wiele, bo polityką zagraniczną sterowali bezpośrednio Richelieu i Ojciec Józef, Bouthillier junior to tylko wykonawca. Ale bardzo zaufany i dopuszczany do największych sekretów.

Najcięższe działo wytoczono w związku z faktem, że pałac Richelieugo prowadziła jego ulubiona siostrzenica Maria de Combalet. Jej mąż zginął podczas kampanii hugenockiej 1622 roku i piękna młoda wdowa chciała się zamknąć w klasztorze. Richelieu uprosił ją, by mu zapewniła opiekę domową: powoływał się na swą samotność i złe zdrowie. Stopniowo porzuciła wdowią czerń, zaczęła w służbie wuja rozwijać swe niemałe towarzyskie talenty, wdzięk, a nawet kokieterię: trochę pozyskiwała ludzi dla sprawy Richelieugo, trochę szpiegowała. To ona płacze u stóp grobowca kardynała w kościele Sorbony: jest to jeden z najwspanialszych

marmurów mistrza klasycystycznej rzeźby Girardona.

Tallemant pisał: „Bardzo obgadywano jej wuja i ją: lubił bowiem kobiety, a bał się skandalu. Siostrzenica była piękna, nie można zaś się było dziwić, że żył z nią w takiej bliskości”. No cóż, kto chce, niech wierzy.



POLITYK

Richelieu należy do przedstawicieli tego nurtu, który już się pojawił dawno, wśród zamętu wojny domowej XVI wieku. W 1588 roku katolicki pamflet egzorcyzmował tych, którzy „krzyczą bez przerwy: Państwo, Państwo, porządek, porządek, nie troszcząc się w pierwszym rządzie o świętą religię, a nawet twierdząc, że Porządek publiczny we wszystkim i wszędzie powinien mieć przed nią pierwszeństwo: słusznie ich się nazywa Politykami”. Wyklinano „polityków” jako uczniów Makiawela, „ewangelisty Dworu”. Już za czasów Richelieugo jeden z jego propagandystów, Ferrier, tak replikował: „To zadziwiające, jak słowo «Państwo» jest nienawistne ludziom, którzy żyją dzięki Państwu i bez niego byliby ubogimi żebrakami... Drukuje się jeszcze nadal książki, w których można wyczytać jako zarzut: *Statianorum secta*, sekta tych, którzy wielbią Państwo (*l'Etat*). Można było usłyszeć, jak na ulicach krążą zarzuty pod adresem «upaństwowionego kardynała» moglibyśmy więc odtąd się obawiać, że to herezja być radcą stanu (*conseiller d'Etat*), sekretarzem stanu (*secrétaire d'Etat*) i królem miłującym swe Państwo”. Słownik ludzi otaczających kardynała to w rzeczy samej wyraz ideologii etatyzmu. Mówi się więc o *coup d'Etat*: rozumie się przez to szybkie i gwałtowne, a dla państwa zbawienne rozwiązanie, w odróżnieniu od długich, finezyjnych zabiegów: przykładem jest wzięcie Roszeli lub *journalée des dupes*. Słynny pisarz polityczny Guez de Balzac radził królowi Ludwikowi robić *coups d'Etat* z królową Anną, tak by zaradzić szybko brakowi sukcesora „z własnej krwi”...

Dużo się mówi o sekrecie państwa, *mystère d'Etat*. Polityka to sztuka dla elity, niezrozumiała dla prostaków, niedostępna pospółstwu; ale i wykształconym nie można ujawniać niektórych *secrets d'Etat* ze względu na bezpieczeństwo publiczne, *sûreté d'Etat*. Ciągłe powraca pojęcie konieczności państwowej, *nécessité d'Etat*: materializuje się ona w postaci wojny, zwiększonego podatku, bezlitosnej represji... Konieczność państwowa to rodzaj srogiej bogini, która narzuca się bez pardonu samym władcom, zmusza do milczenia tradycyjne prawa, zwyczaje, przywileje. Ale największe wzięcie ma oczywiście pojęcie racji stanu, *raison d'Etat*. Jest to jakby kwintesencja całej sztuki rządzenia, podporządkowywania spraw prywatnych, jednostkowych - interesom ogólnym, dobru państwa. Racja stanu wyraża konflikt wartości, każe rezygnować z różnych ludzkich uczuć władcy i ministra. Na jej głos milkną uczucia miłości (stąd polityczne mariaże królów), miłosierdzia (stąd głośne egzekucje wbrew błaganiom arystokracji), hojności (królowie muszą więc zabierać pieniądze poddanym

zamiast im je rozdawać), a nawet poczucie honoru (racja stanu może zmusić władcę do złamania danego słowa). Dewoci, żegnając się nabożnie, twierdzili, że taka racja stanu jest po prostu racją piekła, *raison d'Enfer*; oburzona *Statianorum secta* replikowała, że to nienawiść do państwa jest prawdziwą teologią diabelską. Wiele atramentu wylano w tych sporach.

Richelieu nie stworzył tego prądu etatystycznego, ale świetnie w nim się mieścił, a przez 18 lat swych rządów przewodził mu i starannie go orientował. Także w jego tekstach ciągle się powtarzają takie pojęcia, jak racja stanu (*raison d'Etat*), prawa państwa (*droits d'Etat*), zasady stanu (*maximes d'Etat*), tajemnice stanu (*secrets d'Etat*), więzienia stanu (*prisons d'Etat*), zbrodnie stanu (*crimes d'Etat*), katolicy „państwowi” (*catholiques d'Etat*): ci ostatni w odróżnieniu od ultramontańskich, lojalnych bardziej wobec Rzymu niż wobec własnego państwa. Zauważmy jedynie, że teksty samego Richelieugo, często redagowane lub kompilowane przez jego sekretarzy, nie mają tej zborności i teoretycznej głębi, które cechują najlepsze dzieła otaczających go pisarzy politycznych. Jego *Pamiętniki* dyktowane są sekretarzom z myślą o ukazaniu jego wielkości, dalekowzroczności, słuszności podejmowanych przezeń decyzji. *Zasady stanu* - to wariacje na tematy dobrze znane od czasów Makiawela. *Testament polityczny*, wychwalany bez opamiętania przez admiratorów Richelieugo, to zbiór - nader chaotyczny - informacji o wydarzeniach, pobożnych życzeń, reguł rządzenia. Jako pisarze polityczni Guez de Balzac czy Cardin Le Bret biją Eminencję na głowę.

Jako się rzekło, Richelieu nie wymyślił etatyizmu: ale też jego polityka miała być powrotem do dobrych zasad absolutyzmu końca XV i pierwszej połowy XVI wieku, nadwątlonych chaosem wojen domowych i słabością regencji. Nie wierzymy wszelako w takie „powroty” do dawnych, dobrych zasad. Dawne reguły i idee były teraz interpretowane na nowo, nieraz wyraźnie deformowane i adaptowane do nowych sytuacji; często spokojnie przechodzono obok dawnych zasad nie kwestionując ich zresztą wyraźnie. Jedną tradycję przeciwstawiano innej, nie obawiano się w razie potrzeby przedstawiać stanowisko całkowicie prezentystyczne, bez kłopotania się o dobre dawne czasy.

Ideologię etatystyczną czasów Richelieugo tworzone najczęściej na hasło z góry, nie spontanicznie; kardynał organizował tę publicystykę, dyrygował grupą swoich autorów. Pozostawiał im zresztą pewną swobodę wypowiedzi, co widać po różnicach ich opinii. Poglądy te formowały się z dnia na dzień, niekiedy bezładnie, w gorącym kontakcie z aktualnością, bez ambicji tworzenia wielkiego systemu teoretycznego. Powstawały w polemice z wrogami polityki kardynała i dla jej usprawiedliwienia, wyjaśnienia, zareklamowania.

Gadanie o „totalitaryzmie” tej ideologii jest nonsensem, już choćby dlatego, że państwo nie miało technicznych możliwości kontrolowania wszystkich pól, całej ludności i całego obszaru królestwa. Nie miało też takich ambicji. Domagało się natomiast posłuszeństwa od wszystkich. Ów „etatyzm” ułatwiał rozmiękczenie i likwidowanie solidarności uznanych za szkodliwe: rodzinnych, klanowych, feudalnych, protestanckich... Łamał też zwyczaje anarchiczne, jak szlachecka mania pojedynków: krew szlachty

winna przecież płynąć tylko w imię celów przez państwo wskazanych.

Prąd etatystyczny reprezentowany przez Richelieugo miał nader szerokie poparcie społecznej opinii, choć nie do końca równie solidne. Nie patrzmy na stan nastrojów klas posiadających przez pryzmat nienawistnych wypowiedzi i spisków arystokracji dworskiej. Wśród elity umysłowej nie brak zdeklarowanego poparcia dla polityki zapewniającej ład, obiecującej racjonalność, respektującej wolność wewnętrzną ludzi (protestantom wolno było wierzyć po swojemu, libertyni mogli myśleć, co chcieli, a nawet mówić, byle nie za głośno). Postawy świętych pisarzy, Malherbe'a i Voiture'a czy genialnego Kartezjusza, świadczą o zgodzie na taki ład państwowy. Ceniła go sobie burżuazja i spora część prowincjonalnej szlachty. Motywacje bywały różne. Władza absolutna lubiła zawsze wygrywać swe melodie na dwu strunach: ambicji narodowej i obawy przed zagrożeniami narodowej wspólnoty. Hasło wielkich przeznaczeń narodu trafiało zwłaszcza do szlachty; mniejsza jej część, jak się okaże, skłonna była wierzyć w zagrożenie kraju przez Habsburgów. Burżuazja, zwłaszcza urzędnicza, jest wrażliwa na hasła narodowej niezależności; boi się zagrożeń z zewnątrz, ale przede wszystkim nieszczęść wojny domowej, których Francja zaznała do woli w XVI stuleciu.

Jednakże polityka Richelieugo kryła w sobie poważne niebezpieczeństwa. Silna władza skłonna jest przecież nadużywać swej siły. Jakież mogą być gwarancje, że nie kontrolowane przez nikogo decyzje króla i ministra rzeczywiście umocnią ład wewnętrzny i autorytet międzynarodowy Francji? Jeden z najlepszych pisarzy politycznych w służbie kardynała, Jean de Silhon, pisał, że „taka granica oddziela króla od zwykłego człowieka... iż miejsce namiętności duszy zajmują dziś u niego interesy jego Państwa”. Pięknie; jak jednak rozpoznać bezbłędnie interesy państwa? Richelieu i jego ludzie odwołują się wyniośle do tajemnic sztuki rządzenia, które przenika i odgaduje mądrość rządzących. Cóż jednak, jeśli rezultaty ich działań wcale nie zagwarantują ładu wewnętrznego i międzynarodowego sukcesu? Wystawia to na ciężką próbę wiarę w mądrość rządzących: polityka jest wszak sztuką stosowaną.

Richelieu zapowiada epokę klasycyzmu: pragnie każdej rzeczy zapewnić jej właściwe miejsce, utrwalić porządek, hierarchię, dyscyplinę. Bliski rządowi uczony lekarz Cureau de la Chambre wplótł do swego medycznego traktatu, opublikowanego w 1636 roku, rozważania o państwie jako organizmie. Richelieu pokazany tu został jako dusza państwowego ciała, jako ten, który potrafi wewnątrz organizmu „rozmiękczyć ciała twarde, złagodzić smak rzeczy gorzkich, połączyć rzeczy, które się różnią”. W przekładzie na język polityki oznaczałoby to, że kierowany przez Richelieugo biurokratyczny aparat służy koordynacji społecznych interesów, uciera kompromisy pomiędzy klasami i grupami społecznymi. Nie łudźmy się jednak: pod powierzchnią klasycznego monarchicznego ładu kłębił się wielki splot konfliktów socjalnych. Przyjęta przez kardynała opcja wojenna cały ów tumult jeszcze bardziej rozjątrzyła. Początek lat trzydziestych miał tu szczególne znaczenie.

W dramatycznym 1630 roku Ludwik XIII mógł wybierać między dwiema orientacjami politycznymi, które symbolizowały nazwiska

Richelieugo i Marillaka. Przyjaciel Marillaka Mateusz Mole umieścił w swych pamiętnikach takie jego wyznanie: „Dostrzegam jasno to, czego państwu potrzeba, i przyjemnie by mi było służyć mu nie tylko w utrzymaniu pokoju, ale i w trzech głównych punktach, w których państwo wymaga skutecznego i bardzo oddanego starania. Są to: religia, sprawiedliwość i ulgi dla ludu. Nasze państwo jest rekonwalescentem i potrzebuje troskliwej lekarskiej opieki”. Tekst pochodzi z jesieni 1630 roku.

Co się tyczy problemów religii, program Richelieugo był niepomiaralnie bardziej racjonalny: po złamaniu politycznej potęgi hugenotów dał im wolność kultu. Marillac chciał natomiast przyspieszać gwałtownie powrót Francji do jedności świętej rzymskiej wiary, co groziło wielkimi komplikacjami wewnętrznymi. Dość przypomnieć sobie, ile powikłań przyniosło u schyłku XVII wieku odwołanie Edyktu nantejskiego, gdy absolutyzm był o wiele potężniejszy, a protestantyzm niepomiaralnie słabszy niż w roku 1630. To, co w programie Marillaka kryje się pod hasłem „sprawiedliwość”, mieści się i w koncepcji Richelieugo: chodzi tu bowiem o umocnienie prawa i praworządności. Wielkie dzieło ustawodawcze Marillaka z roku 1629, od jego imienia (w wersji zdrobniałej) zwane poufale Code Michaud („kodeks michałkowy”) - to osiągnięcie aprobowane w pełni przez Richelieugo. Natomiast wysunięty na czoło programu Marillaka pacyfizm i sprzężone z nim zadanie ulg dla ludu zakwestionowane zostały przez wybór dokonany przez kardynała.

Richelieu tak streszczał argumenty Marillaka: „Nieszczęścia i udręczenia ludu Francji, marniejącego pod ciężarem bardzo wielkiego, niewiarogodnego ubóstwa, każą nam pragnąć pokoju, aby móc mu przynieść ulgę... Częste niepokoje, które się wydarzyły w licznych miastach królestwa, dają podstawy, by się obawiać ich następstw, jeśli wojna będzie kontynuowana, a to z powodu środków, do jakich trzeba się będzie uciec dla ściągnięcia pieniędzy [na wojnę]... Zła reputacja i opinia, jaką wówczas zyska sobie wojna... sprawia, że ogół Francuzów: urzędnicy, kupcy, lud znosić ją będą niechętnie i będą ganić tych, co ją doradzali; o tyle też oporniej znosić będą ciężary, które konieczności wojenne każą im narzucić”. Mnożące się już, na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, rewolty ludowe były głównym argumentem Marillaka. O, nie idealizujmy owego populizmu pana de Marillac. Żądał on nie tylko ulg podatkowych dla ludu, ale także użycia wszystkich sił militarnych monarchii dla pacyfikacji rewolt ludowych. Właśnie dlatego za tak pilne zadanie uznawał przyjęcie pacyfistycznego kursu w polityce zagranicznej Francji. Co do społecznych następstw opcji wojennej kardynała Richelieu nie mylił się wcale.

Richelieu dokonał tego wyboru wojennego wśród narastającego buntu ludowego, który długo lekceważył; przy niechęci sporej części klas posiadających do wojennego wysiłku; nie dysponując silną armią i utalentowanymi generałami; wiedząc, że stan finansów jest żaloszny. „Pieniądze nie mają znaczenia - pisał do Schomberga - istotne jest, byśmy urzeczywistniali naszą politykę!” Na domiar złego Francja wkraczała w tę politykę wojenną akurat w okresie nieurodzajów, głodu i epidemii, które

znaczyły lata 1629-31 i osłabiły klasę producentów na wsi i w mieście. A cały czas po roku 1630 to trwająca przez długie dziesięciolecia stagnacja ekonomiczna : Francja wkroczyła w okres gospodarczej recesji przycinanej od czasu do czasu ostrymi kryzysami.

Admiratorzy kardynała Richelieu tłumaczą nam, że musiał, po prostu musiał wybrać wojnę, gdyż inaczej groziły Francji straszliwe, choć bliżej nie określone klęski. Te klęski, które wojna przyniosła, ustalić łatwiej. Wrócimy jeszcze do sprawy. Jedno jest pewne: trzeba było zrezygnować z planu reform wewnętrznych, naszkicowanego już w 1625 roku. Richelieu łudził się jeszcze: „Śmiem zapewnić, że ów plan jest nie tylko tak racjonalny, ale i tak łatwy do wykonania, iż jeśli Bóg uczyni W. Królewskiej Mości tę łaskę i wnet będziemy mieli pokój... to, zamiast przekazywać tę opinię w testamencie, zdołam go, jak ufam, sam zrealizować”. Ale pokój z Hiszpanią zawarł dopiero jego następca, Mazarini, siedemnaście lat po śmierci Richelieugo.

Wojna uniemożliwiła więc uzdrowienie finansów państwa. Nie było oczywiście pieniędzy na wykup domen; nie można było zrezygnować z usług dzierżawców podatków, *traitants*, tych pijawek i ludu, i Skarbu. „Jest to - pisał o nich kardynał - klasa szkodliwa dla Państwa, a jednak niezbędna. Ta kategoria funkcjonariuszy stanowi zło, bez którego niepodobna się obejść, które należy tylko zredukować do znośnych rozmiarów”. W konsekwencji o żadnych ulgach dla ludu nie mogło być mowy. Przeciwnie, wypadło docisnąć śrubę podatków pośrednich i bezpośrednich, prowokując nieustanne rewolty. Richelieu świetnie wiedział, że to jest niebezpieczne. Cytuje się często jego pogardliwą opinię: „Gdyby lud żył w zbytnim dostatku, niemożliwe by się stało utrzymanie go w ryzach obowiązku... Gdyby go uwolnić od podatków, uznałby się za zwolnionego i od posłuszeństwa. Można go przyrównać do mułów, które, nawykłe do ciężarów, bardziej się narowia wskutek długiego spoczynku niż pracy”. Ale pamiętać wypada, że zaraz dodawał, iż obciążenia ludu, jak i owych mułów, muszą być „w proporcji do ich sił”. Nadmierna presja podatkowa groziła zresztą nie tylko buntem ludu. „Nie można nieustannie zwiększać ciężaru podatków - pisał Richelieu - bowiem podatki powodują drożyznę i dotykają szlachtę wiejską, której dochody nie rosą...” Podatek dla króla jest strasliwym konkurentem dla senioralnych dochodów: była już o tym mowa.

Wypadło również zrezygnować z reformy administracji, to znaczy ze zniesienia sprzedawalności i dziedziczności urzędów. Już w okresie zgromadzenia notabli 1626 roku broszura, która wyszła z kręgów bliskich kardynałowi, tak się do notabli zwracała: „Przede wszystkim, Panowie, strzeżcie się budzić niezadowolenie wszystkich urzędników, jeżeli nie zdecydujecie się zarazem ulżyć wyraźnie ludowi i pozyskać jego serce... Lud z natury lubi zmiany i do nich dąży, jeśli go nie powstrzymuje strach przed karą. Tak więc, jeśli funkcjonariusze podżegać będą lud albo udawać, że nie dostrzegają jego działań, wszystko pograży się w nieładzie”. Trudno wyraźniej powiedzieć, że reforma administracji możliwa jest tylko w okresie społecznego spokoju, bo inaczej popchnie burżuazję urzędniczą w objęcia buntującego się ludu.

W swej *Opinii dla króla* ze stycznia 1629 roku Richelieu wraca jeszcze do idei zniesienia *paulette*. Ale w latach trzydziestych wypadnie położyć na tych planach kamień grobowy. Nie tylko ze względu na potrzeby Skarbu, choć wystawianie na sprzedaż wciąż nowych urzędów i dochody z *paulette* bardzo się liczyły w napiętym dramatycznie budżecie państwa. Richelieu wspomina wszelako, jak stary Sully, „czarodziej finansów” króla Henryka IV, tłumaczył mu decyzję tego monarchy o ustanowieniu *paulette*: „Ów wielki władca miał na względzie nie tyle dochód, który stąd mógł osiągnąć... Choć względy fiskalne miały nań wielki wpływ, to jednak przy tej sposobności potężniejsza była racja stanu”. Już w 1932 roku wnikliwy badacz, G. Pagès, trafnie zauważył, że w XVII wieku sprzedawalność i dziedziczność urzędów stały się „ważnym elementem struktury politycznej i socjalnej królestwa: ich zniesienie wstrząsnęłoby całą budowlą”, gdyż dawały one monarchii „szeroką i solidną bazę w społeczeństwie”. To znaczy po prostu: przyciągały burżuazję do władzy, wtapiał jej zamożne i aktywne elementy w świat instytucji feudalnych, gwarantowały jej lojalność wobec króla.

Richelieu rozumiał to doskonale. W napiętej sytuacji społecznej lat trzydziestych, wśród mnożących się rewolt chłopskich i plebejskich monarchia miała skromne rezerwy bezpieczeństwa wewnętrznego: armia zaangażowana w wyczerpującej wojnie, garnizony królewskie wewnątrz kraju szczuplutkie; wiejska szlachta, poirytowana polityką podatkową, która osłabiała zdolności płatnicze chłopów, spoglądała na rewolty ludowe nie na tyle wrogo, na ile rząd by sobie życzył. Filarem bezpieczeństwa stawały się często mieszczańskie straże, nieźle wyposażone, w dużych miastach wcale silne. A tymi strażami miejskimi dysponowała właśnie burżuazja urzędnicza. Jakże się jej narażać w takim położeniu? „Z trudem można by zmienić konstatację Richelieu - zasady dysponowania urzędami bez pogorszenia nastrojów właścicieli urzędów. A w takim przypadku można by się obawiać, że - inaczej niż w przeszłości, gdy niemało się przyczyniali do utrzymania ludu w ryzach obowiązku - dołożyliby się bardziej niż ktokolwiek do podniecania w przyszłości ludowych brewerii”. Inaczej mówiąc, reforma administracji przyniosłaby zerwanie między rządem i urzędniczą burżuazją, zagroziłaby aliansem burżuazji i ludu przeciw absolutyzmowi. Wniosek Richelieugo jest klarowny: „Zniesienie sprzedawalności i dziedziczności urzędów, miast otworzyć wrota [politycznym] cnotom, otworzyłoby je dla spisków i walk wewnętrznych... Cena urzędów nie jest złą rękojmią wierności urzędników”. Można się przy tym pocieszać refleksją pozbawionego złudzeń pragmatyka i konserwatysty: tylko tworząc zupełnie nowe państwo mamy moc zmieniania wszystkiego, ustanawiania ustroju wedle racjonalnych zasad, „ale rozważa nie pozwala działać w taki sam sposób w starożytnej monarchii, której niedoskonałości przekształciły się już w zwyczaje i której nieład tworzy, nie bez pożytku, część ustroju Państwa”.

Oprócz tej pociechy pozostają jeszcze szanse działania, które by zredukowało ujemne następstwa sprzedawalności i dziedziczności urzędów. Stąd też kariera intendentów, to znaczy komisarzy królewskich słanych do armii i na prowincję: urząd ów, nadzwyczajny w zamyśle, lecz utrwalający

się z czasem, wyjęty był spod zasady dziedziczności i sprzedawalności, zależny zatem bardzo ściśle od dyrektyw rządu.

Ale i tym narzędziem trzeba było operować bardzo ostrożnie, bo urzędnicy lokalni źle znosili kontrolę i dyrektywy intendentów. Mieli mocny argument. Niepokojny lud, jak twierdzili, nawykł słuchać głosu starych, tradycyjnych urzędów; mieszanie się intendentów w stosunki między urzędnikami lokalnymi i ludem jest więc tylko szkodliwą nowością osłabiającą posłuszeństwo poddanych... To zrozumiałe: burżuazja urzędnicza pragnie rezerwować dla siebie rolę mediatora między rządem i ludem. Mnożenie przez Paryż misji intendentów irytuje ją ogromnie. Nie jedyny to zresztą powód urzędniczych dąsów. To, że Richelieu zrezygnował z prób zniesienia *paulette*, jest oczywiście powodem do zadowolenia; ale jednocześnie rząd rozmnażał liczbę urzędów wystawianych na sprzedaż. Bourgeois, którzy już wcześniej nabyli urzędy, reagują jak ludzie, którzy wdrapali się na dach i wciągają za sobą drabinę. Łatwo to pojąć: pojawianie się nowych, często konkurencyjnych urzędów grozi obniżeniem wartości dawnych, pomniejsza prestiż administracji, czasem ścieśnia kompetencje starych funkcjonariuszy. Inny powód niezadowolenia: rząd, rozpaczliwie potrzebujący pieniędzy na wojnę, odwołuje się po staremu do przymusowych pożyczek od urzędników. Funkcjonariusze lokalni dąsają się zatem; ich postawa w obliczu rewolt ludowych będzie nieraz dwuznaczna i chwiejna.

Inny kapitalny punkt planu reform Richelieugo, który dał rezultaty nikłe: reorientacja zainteresowań Francuzów, umocnienie Francji na morzu, postęp wielkiego handlu i aktywności kolonialnych, rozwijanie krajowego przemysłu... Przypomnijmy, że przyczyny tych zainteresowań kardynała mieściły się wybornie w polityce feudalnej monarchii, nie ma więc podstaw do bajdurzenia o jego „proburżuazyjnej” misji dziejowej, o popchnięciu przezeń kraju na tory kapitalistycznej modernizacji. Racje Richelieugo są trojaki. Po pierwsze, polityczne: potęga na morzu „daje dostęp do wszystkich krajów świata”, bez niej król Francji nie może rywalizować z Anglią, Holandią, Hiszpanią. Po wtóre, by tak rzec, feudalne: dobrze będzie osadzić burżuazję na tym miejscu, które jest jej właściwe, zniechęcić ją do pogoni za urzędami i szlachectwem, za przywilejami i własnością ziemską. Nie jest zadaniem burżuazji grać rolę sobowtóra szlachty, jej miejsce to kantor kupiecki, bank, biuro armatorskie, manufaktura. I po trzecie, są jeszcze racje fiskalne: zamiast wyciskać podatki od ludu „nieproporcjonalnie do jego sił”, co grozi zbudzeniem tej *bête grossière*, prostackiej bestii, lepiej obciążać bogactwo płynące z wielkiego handlu morskiego, kolonizacji, postępów przemysłu.

Niektórzy badacze ubolewali, że Francuzi nie dorośli do tych wspaniałych planów wielkiego kardynała, nie pojęli ich i nie poszli tym tropem: geniusz Richelieugo przegrał w starciu z małością jego rodaków. Jeśli jednak spojrzeć na sprawę chłodnym okiem, dojdziemy do wniosku, że przyczyny nikłego sukcesu kardynała w tej sferze były bardziej skomplikowane. W latach trzydziestych XVII wieku uwikłanej w ciężki konflikt wojenny Francji brakowało dostatecznej stabilizacji politycznej i finansowej, która jest potrzebna do powodzenia takich ambitnych planów

ekonomicznych. Wojna ściągała nieuchronnie mieszczańskie kapitały ku zbrojeniom, pożyczkom dla Skarbu, dostawom dla armii. Te państwowe zamówienia rozgrzewały zresztą marną koniunkturę: wspomnieliśmy, że po roku 1630 nadszedł długi czas ekonomicznej stagnacji, nie sprzyjającej przemysłowo-handlowej ekspansji. Załamanie się planu reformy urzędów i ciągle duża oferta urzędów na sprzedaż także ściąga mieszczańskie kapitały. Burżuazja doskonale wie, że ekonomiczne plany Richelieugo mają motywacje fiskalne: woli zatem lokować swe pieniądze w pożyczkach dla Skarbu i szlachty, w kupnie urzędów i ziemi. Ucieka w ten sposób przed podatkami tym skuteczniej, że własność urzędu wiedzie do nobilitacji, a więc i do przywilejów podatkowych. Aby uruchomić mieszczańskie kapitały w handlu, przemyśle, aktywności kolonialnej - Richelieu decyduje się na stworzenie zachęt w postaci przywilejów, monopoli, nobilitacji. Tłumaczy królowi, że lepiej już uszlachcać burżujów za przedsiębiorczość handlową niż za samo posiadanie urzędów, często tytularnych, „takich, które służą im [właścicielom] tylko do uzasadniania ich nieróbstwa, a ich żonom do nadymania się”. Pomysł wyborny i nawet dość skuteczny, ale powstaje w ten sposób błędne koło: bogactwo gromadzone przez uprzywilejowanych kupców i monopolistyczne korporacje znów się wymyka Skarbowi, bo korzysta z przywilejów podatkowych! „Była to zabawa w ciuciubabkę - pisze znakomity historyk radziecki Borys Porszniew. - Absolutyzm starał się pochwycić burżuazję, a ta ciągle zjawiała się znowu za jego plecami”. Państwo cisnęło mieszczan, jak mogło, ci zaś, jak mogli, dobierali się do państwowych pieniędzy: odsetki od pożyczonych kapitałów, dzierzawione podatki, pensje urzędnicze tonęły w ich kieszeniach.

Byłoby oczywiście nieprawdziwe twierdzenie, że ekonomiczne ambicje Richelieugo poniosły zupełną klęskę: owszem, przemysł i handel Francji rozwijały się, ale zupełnie nie na miarę jego oczekiwań; kraj pozostawał daleko w tyle za Holandią i Anglią. Kardynał nie bez sukcesów inicjował zakładanie manufaktur i popierał zakłady już istniejące: tekstylne w Turenii, Normandii, Owernii; fabrykę mydła w Paryżu; manufaktury w Argonne produkujące szkło dla masowego odbiorcy... To Richelieu wpadł na pomysł, by manufaktury paryskie i pikardyjskie wytwarzały luksusowe szkło na wzór weneckiego Murano. U progu lat trzydziestych zmodernizowano przewóz towarowy i pocztowy; prowadzono budowę urządzeń portowych i kanałów, dbano o stan dróg.

Wielki handel morski jest ciągle oczkiem w głowie Eminencji. Chce on prowadzić politykę handlową z rozmachem, „na wszystkich azymutach”, ale z wyraźną preferencją dla wielkiego obszaru atlantyckiego. Nie zapomina w tej grze o zachodniej Afryce (Senegal, Gambia), bardzo żywo interesuje się Antylami, ale największe nadzieje łączy z Kanadą. Jednakże kanadyjska Kompania Nowej Francji, mimo aktywnego działania bardzo wybitnych ludzi morza (Izaak de Razilly, Samuel Champlain), miała osiągnięcia nikłe: w roku śmierci Richelieugo było w Kanadzie ledwie parę setek osadników francuskich. Bardziej interesowali się tym wielkim krajem misjonarze niż kupcy. Dużo więcej zdziałała Kompania św. Krzysztofa, potem nazwana Kompanią Wysp Ameryki. Sprowadzała z Antyli tytoń,

cukier trzcinowy, indygo... Gdy Richelieu umierał, na Wyspach było 7 tysięcy Francuzów.

Kardynał spoglądał natomiast z nieufnością na handel lewantyński: sądził, że jego domeną są artykuły luksusowe, które należałoby produkować w kraju, a jeśli się to nie da zrobić, najlepiej z nich zrezygnować. Powtarzane kilkakrotnie edykty przeciw zbytkowi nie były tylko ukłonem dla surowej skromności Ludwika XIII, miały także cele merkantylistyczne. Ale marsylscy negocjanci wytłumaczyli Eminencji, że nie należy przesadzać: importy z Bliskiego Wschodu (jedwab, bawełna, skóry) pobudzają produkcję manufaktur lyońskich i tureńskich, pozwalają na zyskowny eksport do Niemiec, Anglii, Hiszpanii. Zaczęto więc działania, dyplomatyczne i militarne, by oczyścić Morze Śródziemne z północnoafrykańskich piratów. Francuzi podróżowali z misjami handlowymi zleconymi przez rząd aż do Persji, z Rosją cara Michała Romanowa zawarto korzystny układ. Richelieu zamyślał już o skierowaniu handlu perskiego nowym szlakiem, przez Rosję i Bałtyk do Francji. Pomysł utopijny, tradycyjne drogi handlu śródziemnomorskiego takiej konkurencji się nie bały. U schyłku życia kardynała Francuzi sięgnęli jeszcze dalej na południowy wschód: w 1642 roku powstał Fort-Dauphin na Wyspie Św. Wawrzyńca, przemianowanej teraz na île Dauphine. To kraj Malgaszów, późniejszy Madagaskar.

Opis tych działań *tous azimuts* przedstawia się imponująco; więcej w tym wszakże ambicji niż trwałych osiągnięć. Powiodło się natomiast kardynałowi stworzenie potężnej armii i floty, co zawsze uważał za elementarny warunek respektu dla władzy wewnątrz i na zewnątrz kraju. „Kto ma siłę - pisał Richelieu - ma często i rację w polityce (*en matière d'Etat*), a ten, kto jest słaby, z trudem może się uwolnić od opinii pozbawionego racji w osądzie większości ludzi”. Siła pozwala osiągać sukces, który dla opinii jest zwykle ostatecznym argumentem; siła umożliwia stłumienie oporu przeciwników władzy. „Tak krótko przytępnę pazury tym, których należy się strzec, że ich zła wola stanie się bezsilna... W takim celu lepiej jest zrobić za dużo niż za mało... nic bowiem nie rozprasza tylu intryg jak terror i rzucanie postrachu”.

Wnet się jednak okazało, że samo istnienie potężnej armii nie rozbraja oporów; armia niemal bez reszty zaangażowana była w wojnie. Właśnie w tej kosztownej i niepopularnej wojnie, która pogłębiała cały tumult społecznych konfliktów. Chłopi i lud miejski burzyli się przeciw gwałtownemu wzrostowi podatków, a w niektórych regionach także przeciw gwałtom i rabunkom przeciągającego lub kwaterującego wojska. Przy okazji rewolt antyfiskalnych nie poprzestawano często na odmowie świadczenia podatków i na atakowaniu poborców, ich biur i kas. Rewolta ludowa zwracała się przeciw strukturom władzy lokalnej, niekiedy zaś zabarwiała się ostrymi akcentami walki klasowej. W mieście pojawiał się konflikt „chudych” i „tłustych”, na wsi - kwestionowanie całego systemu feudalnej zależności.

Ucisk podatkowy odczuwali najbardziej chłopi i rzemieślnicy; pośrednio uderzał on także w szlachtę i innych właścicieli, bo przecież narażał ich dochody: świadczenia senioralne chłopów, należności z tytułu dzierżawy

ziemi, czynsze... Rewolty ludowe nie zawsze więc były od początku ostro zwalczane przez szlachtę, kler, burżuazję, urzędników lokalnych. Mnożyły się informacje o neutralności klas posiadających, a nawet o ich współudziale w rewoltach. Rezultat był taki, że Richelieu nie mógł zastosować owej metody „terroru i postrachu” jako metody jedynej (zrobi to później, w obliczu nowej fali rewolt z lat 1660-1680, Colbert). Richelieu musiał lawirować, łączyć represje z ustępstwami i amnestiami: „z obawy przed nieposłuszeństwem lub większą jeszcze rebelią”, jak szczerze przyznawał.

Klasy posiadające miały jeszcze inne powody, by się niepokoić i burzyć. Szlachta bardzo źle przyjęła próbę przywrócenia średniowiecznej instytucji pospolitego ruszenia (*ban et arrière-ban*): ziemianin uważał wojnę za sprawę zawodowców. Kler nie płacił podatków, ale dawał państwu tak zwaną dobrowolną darowiznę. O jej wysokość za rządów Richelieugo toczyły się ostre spory z krajowymi zgromadzeniami kleru, a kardynał nie miarkował bynajmniej języka: mówił konfratrom, co myśli o ich skąpstwie. W 1639 roku wielkie oburzenie kleru wywołała tak zwana deklaracja z Saint-Germain: rząd ogłaszał, że majątki kościoła nie są jego niewzruszalną własnością. W razie konieczności państwowej król może odebrać kościołowi to, co jego przodkowie w swej szczodrośliwości mu nadali! Ale na kolejnym zgromadzeniu kleru w 1641 roku znów doszło do kłótni z rządem o wysokość darowizny.

Burżuazja urzędnicza, mająca wielki wpływ na całą burżuazję, irytowała się na działania intendentów, przymusowe pożyczki, inflację urzędów wystawianych na sprzedaż. Niemala część kupców i przemysłowców niepokoiła się udzielaniem przywilejów wielkim kompaniom handlowym i przedsiębiorstwom przemysłowym.

Markiz de Montglat tak kwitował polityczne osiągnięcia Richelieugo: „Wyniósł on Francję do najwyższych szczytów wielkości, takich jak za Karola Wielkiego, gdyż obalił partię hugenocką, która stawiała czoło pięciu królom; upokorzył Dom Austriacki [tj. Habsburgów], który chciał dyktować swą wolę całemu chrześcijaństwu; umocnił władzę króla do tego stopnia, że nikt w jego królestwie nie mógł mu stawiać oporu”. Co do pierwszego punktu, obalenia potęgi hugenotów, zgoda: był to sukces polityczny. Warto tylko pamiętać o kosztach społecznych zwycięstwa, o dwudziestu z górą tysiącach rozszelczyków zabitych lub zmarłych z głodu i chorób. Nie wolno też pomijać kosztów społecznych „upokorzenia Domu Austriackiego”. I zauważmy nawiasem, że markiz de Montglat ulegał propagandzie rządowej sugerując, iż istniała groźba habsburskiej „uniwersalnej monarchii”.

Ale co do trzeciego punktu nie należy się łudzić. Gdy kardynał umierał w 1642 roku, można było powtórzyć to, co Marillac mówił dwanaście lat wcześniej: „Cała Francja pełna jest buntów”. Nie da się nawet powiedzieć, że Richelieu poskromił spiski arystokratyczne, bo i z nimi borykał się do śmierci. W ostatnim jego okresie, po roku 1630, stały się tym groźniejsze, że usiłowały się zaszczepić na rewolcie ludowej, w przekonaniu - klarownie wyłożonym przez kardynała Retza - że lud jest ciemny i ślepy, łatwo więc pokierować jego nienawiścią. Jeśli Richelieu nie upadł w

obliczu tych kłębiących się intryg, opozycji i rewolt, to dlatego, że był stanowczy i zręczny, ale również dlatego, że sprzyjało mu szczęście. Był przekonany, że to sama Opatrzność interweniuje w obronie swego sługi.



KARDYNAŁ

Richelieu jest chrześcijaninem wierzącym i praktykującym: to wątpliwości nie ulega. Prawda, że jego pobożność ma przedziwne rysy, chciałoby się rzec: średniowieczne. Nie chodzi już tylko o wiarę w moc relikwii czy kult różnych sanktuariów, takich jak kościół Notre-Dame-des-Ardilliers w Saumur. Kardynał wierzy w sny, koniunkcje planet, złe i dobre dnie, a nawet w siłę złych czarów, w moc czarodziejskich zwierciadeł... To tym bardziej znamienne, że sam się uważa za racjonalistę. „Skoro człowiek jest istotą suwerennie rozumną - pisał - to musi zapewniać suwerenne rządy rozumu. A to wymaga nie tylko, by człowiek niczego nie robił bez rady rozumu, ale też obliguje go do skłaniania wszystkich, którzy są pod jego władzą, aby czcili nakazy rozumu i sumiennie ich przestrzegali”.

Jest prawdą, że w pobożności Richelieugo nie było miejsca dla mistycyzmu, kultu ascezy i kontemplacji, a więc tych fenomenów, które w jego czasach upowszechniała „odnowa katolicyzmu”. Praktyki religijne Richelieugo są regularne, lecz oszczędne: codziennie pół godziny modłów, msza wysłuchiwana i komunia przyjmowana w niedziele. Sam odprawiał mszę tylko w wielkie święta, ale tak postępowało wielu ówczesnych biskupów. Otrzymał od papieża szereg dyspens, m.in. od regularnego odmawiania brewiarza i od postów (tłumaczył to brakiem czasu i złym stanem zdrowia). Rygory moralności osobistej starał się akomodować do niedoskonałości ludzkiej natury i do obyczaju: zbawienie stawało się w takiej koncepcji dostępne dla wszystkich, którzy spełnią minimum wymagań.

Teksty religijne, które wyszły spod pióra Richelieugo, precyzyjnie wyrażają zasady takiej łatwej moralności. W dyrektywach dla spowiedników - zalecenia wyrozumiałości, skłonność do kompromisów. W dziełach teologicznych - atak na Kalwina za jego przesadne wymagania moralne. Droga do zbawienia - twierdzi Eminencja - jest mniej uciążliwa, niż to wielokrotnie przedstawiano, prawa Bożego nie tak znów trudno przestrzegać. W sporze o to, czy skrucza ma wynikać z miłości Boga, czy też z obawy o własne zbawienie, Richelieu skłania się do uznania, że starcza pokajanie się ze strachu. Kardynał będzie konsekwentnie bronił takich, można by rzec: liberalnych, realistycznych interpretacji teologicznych zasad. Skrucza nie jest czymś skomplikowanym i trudnym, spowiedź zawsze zmasać może grzechy, wypada uznać autonomię słabej ludzkiej natury... Nietrudno spostrzec, że poglądy te doskonale korespondują z całą teorią racji stanu. Bo racja stanu zakładała zawsze przynajmniej częściową autonomię polityki w jej stosunkach z religią, realiów w konfrontacji z zasadami. Moralny rygoryzm, przeciwnie, nie dopuszczał myśli o innej racji stanu niż racja dobrego rządu zgodnego z

uniwersalnymi zasadami moralnymi.

Wrogowie kardynała chętnie atakowali jego politykę z pozycji zasad religijnych; przy okazji dostawało się i jego liberalnej teologii (nim Richelieu doszedł do władzy, nie wzbudzała ona tak namiętnych sprzeciwów). To tłumaczy, czemu uważał on krytykę swych opinii religijnych za zjawisko niebezpieczne politycznie. Odczuje to bardzo dotkliwie dawny przyjaciel Richelieu, opat de Saint-Cyran: subtelny spór wokół problemu skrucy nabierze zabarwień politycznych i zaprowadzi Saint-Cyрана w 1638 roku do więzienia w zamku Vincennes. Wyjdzie z niego dopiero po śmierci kardynała, tuż przed własnym zgonem.

Jako książe kościoła Richelieu wysoko ceni godność i władzę biskupów: postulat starannego ich doboru powracał nieustannie w jego wypowiedziach, z akcentem na „dobre urodzenie” kandydatów. Wśród gwałtownych sporów ultramontanów i gallikanów kardynał zachowuje drogę środkową. Nie jest ultramontaninem, bo zdecydowanie odrzuca myśl o wpływie papieża na sferę polityki państwa, bo nie lubi jezuitów i nie ufa im (jest zresztą w ogóle niechętny przesadnemu mnożeniu zakonników i klasztorów). Ale nie jest też gallikaninem: zbyt wielki ma respekt dla Rzymu, utrzymuje niezłe stosunki (choć nie pozbawione napięć) z papieżem Urbanem VIII i jego rodem, wpływowym domem Barberinich. Gdy ambasador Francji w Rzymie, marszałek d'Estrées, zaplątał się w ostry konflikt z Barberinimi (tłem było zabójstwo jego koniuszego, Le Rouvraya) Richelieu starał się bardzo, by zlikwidować napięcie między Francją a papieżem. Skrajni obrońcy wolności gallikańskich, tacy jak doktor Sorbony Edmund Richer, mieli z kardynałem niemało kłopotów. Wrogowie - np. arcybiskup Tuluzy de Montchal - oskarżali niekiedy Richelieu, że chciał oderwać kościół Francji od Rzymu, aby go bezkarnie tyranizować: To kompletny nonsens. Faktem jest, że gdyby istotnie chciał zostać patriarchą narodowego kościoła Francji znalazłby solidne poparcie: może byłoby solidniejsze od sprzeciwów. chęci tyranizowania kleru nie ma mowy. Richelieu był dumny ze swego kardynatu, szczerze pragnął, by kler cieszył się autorytetem; częściej, niż się przypuszcza, w swej polityce wyrażał jego życzenia (nie tylko wtedy, gdy oblegał Roszelę lub tępił pojedynki: także wówczas gdy ujarzmił parlamenty i narzucał im punkt widzenia kleru w różnych kwestiach jurysdykcyjnych). W 1633 roku diak d'Epéron pobił arcybiskupa Bordeaux Sourdisa przed wejściem do bordoskiej katedry; ludzie diaka zmalretowali wówczas kilku księży. Richelieu zmusił dumnego wielmożę do publicznego ukorzenia się: d'Epéron musiał na kolanach prosić Sourdisa o wybaczenie i rozgrzeszenie.

Oczywiście można uznać za „tyranizowanie” kościoła Francji wciąż ponawiane pod jego adresem żądania pieniędzy. Richelieu zapomniał, to prawda, że jako biskup Luçon energicznie protestował przeciw nadmiernemu obciążaniu kleru. Jako szef rządu z początku jeszcze zachowywał umiar. Gdy w 1625 roku „heretyk” Soubise zaczął wojnę, kardynał ostrożnie wykorzystał okazję („Lepiej dostać 1,4 miliona od zadowolonego kleru niż 1,5 miliona od niezadowolonego”). Podniósł swe wymagania co do „dobrowolnej darowizny” w okresie kosztownej wojny

pod Roszelą: otrzymał 3 miliony. W latach trzydziestych sytuacja stała się delikatna, bo kardynał potrzebował pieniędzy na wojnę z katolickim królem Hiszpanii. W 1636 roku dostał 3,5 miliona: zacni księża myśleli, że mu to już wystarczy do końca wojny. Ale końca konfliktu nie było widać, a w 1640 roku Eminencja zażądał od konfratrów 6,6 miliona! Na zgromadzeniu kleru w Mantes wiosną 1641 roku rozpętała się burza. Richelieu nie zawahał się po prostu usunąć z obrad, przy pomocy królewskich *lettres de cachet*, dwóch buntowniczych arcybiskupów, Bellegarde'a i Montchala, i popierających ich czterech biskupów. Uznawał tę prostą zasadę, że od politykowania jest on, a nie inni biskupi. Musiał jednak trochę ustąpić, ostatecznie otrzymał 5,5 miliona.

Niektórzy badacze twierdzili, że Richelieu gruntownie zlaicyzował politykę. To przesada. Sama rzeczywistość niosła wówczas pewne postępy laicyzacji. Od czasu średniowiecznych krucjat przeciw albigensom królowie Francji solennie się zobowiązywali do „tępienia herezji”. Wydanie edyktu nantejskiego usunęło taką misję z rządowego programu francuskiej monarchii; „pokój łaski” w Alais potwierdził nantejskie zasady wolności „heretyckiego” kultu. Gdy nieco później Marillac planował przyciśnięcie hugenotów dla przyspieszenia procesu „nawróceń”, Richelieu go temperował elegancko, lecz stanowczo: „Wszystkie te rzeczy wydają mi się bardzo dobre, ale nie wiem, czy są one na czasie... Obawiam się, że te innowacje, których intencja jest najzupełniej godna pochwały, nie utwierdzą pokoju, który obecnie zapanował”. Zastopowanie pomysłów Marillaka nie oznacza, że Richelieu nie pragnął szybkiego powrotu Francji do „jedności wiary”. Motywacje polityczne bez wątpienia dominowały w jego wojnach z hugenockim „państwem w państwie”; kardynał byłby jednak słusznie oburzony, gdyby ktoś mu chciał odebrać motyw gorliwości katolickiej. Po upadku Roszeli podobno wyrażał przekonanie, że „przed upływem dwu lat nie będzie już hugenotów we Francji”.

Zdarzające się tu i ówdzie, już po pokoju w Alais, przypadki dyskryminowania i nękania protestantów nie budziły szczególnego oburzenia Eminencji, gdy się o nich dowiadywał. Ale jego plan „ogólnej konwersji” hugenotów, uzgadniany z Ojcem Józefem, stawiał nie na dragonady, lecz na pozyskanie pastorów. Usiłowano ich zdobyć perswazją i przekupstwem, obiecywano im bardzo tłuste beneficja i zaspokojenie wszelakich ambicji. Richelieu był przeświadczony, że pozyskani dla sprawy pastory pociągną za sobą resztę protestantów. Ojciec Józef sporządzał już listy zjednanych kalwińskich ministrów: było ich podobno około osiemdziesięciu. Szykowano efektowny *coup de théâtre*: synod duchownych obu wiar z publiczną debatą teologiczną zakończoną proklamowaniem przyłączenia się hugenotów do świętej religii rzymskiej. Nowy (od 1631 roku) nuncjusz Alessandro Bichi doniósł o tym papieżowi, który rzecz przyjął chłodno: ortodoksyjny Urban VIII nie gustował w publicznych dyskusjach z heretykami. Protestanci także okazali się bardziej oporni niż optymistycznie przypuszczali Richelieu i Ojciec Józef. Potem inne troski zepchnęły na dalszy plan sprawę „powszechnej konwersji” protestantów.

Jak to jest więc z ową laicyzacją gry politycznej pod rządami kardynała Richelieu? Nie wątpimy dziś (robili to jego wrogowie) w szczerść jego

religijnych przekonań. On z kolei nie wątpił, że nie zderza się z nimi i nie naraża ich jego polityka. Był przekonany, że sprzyja ona sprawie chrześcijaństwa i życia religijnego Francuzów, że jest zgodna z katolickimi standardami ocen. Richelieu chce lojalnie służyć religii i państwu, Bogu i królowi. Pochlebiało mu porównanie jego osoby do Mojżesza, który tak samo łączył autorytet i mądrość w obu sferach, religijnej i świeckiej; który tak samo oczerniany i atakowany był przez niewdzięcznych rodaków... Porównanie pochodzi od samego Saint-Cyrana, wielkiego teologa i wielkiego wówczas jeszcze (1626) przyjaciela Richelieugo.

Na jedno nigdy nie chciał przystać: by owe katolickie standardy ocen przykładali do jego polityki ludzie spoza królewskiego rządu: papież, kardynałowie kurii, jezuici, teologowie, kler... Francuska monarchia sama przez się jest związana z wartościami chrześcijańskimi: swym Bożym ustanowieniem i arcychrześcijańskim znamieniem swych królów, którzy zwa się dumnie *rois très-chrétiens* i namaszczeni są w Reims świętym olejem przyniesionym z Nieba przez samego Ducha Świętego. Dodatkową gwarancją jest surowa pobożność jej obecnego władcy, Ludwika XIII. To Richelieu będzie namawiał króla na ofiarowanie królestwa Francji Matce Boskiej i ułoży odpowiedni projekt. Prawda, że motywacje ich były nieco odmienne. Richelieu zaczął mówić o oddaniu Francji pod protekcję Marii Panny w roku wojennych klęsk (1636) z intencją uproszenia militarnych sukcesów; król zdecydował się na to u schyłku 1637 roku, gdy zwycięstwa już ujawniły Boską przychylność. W zamyśle Ludwika XIII Matka Boska jako protektorka Francji miałaby jej dać łaskę rychłego pokoju.

Ludwik nie podzielał zresztą obaw dewotów, że Francja naraża się na Boży gniew wojując z katolickimi Habsburgami, co gorsza, w sojuszu z wyznawcami herezji. Król był do głębi antyhiszpański; kardynał bez trudu go przekonywał, że sukcesy Hiszpanii wcale nie służą sprawie chrześcijaństwa. Pomagało królewskiemu sumieniu i to, że papież Urban VIII nigdy nie potępił zdecydowanie wojny Francuzów z Hiszpanią: papieżowi wcale się nie podobały wpływy hiszpańskich kardynałów w kurii rzymskiej i dominacja Filipa IV w północnej Italii. Co się zaś tyczy sojuszów protestanckich, Ludwikowi XIII trafiała do przekonania sławna sentencja Ojca Józefa, iż te alianse są jak trucizny, „których mała dawka służy za odtrutkę, zaś nadmiar zabija”. Ostrożne wykorzystywanie protestantów to tylko odtrutka na habsburską ekspansywność.

Jeśli więc Ludwik tak tęsknił do pokoju, to dlatego, że jego sumienie niepokoiły cierpienia, straty i ofiary w wyniku przedłużającej się wojny. Moralny niepokój króla był niewątpliwie ostrzejszy niż obawy kardynała. Richelieu także spoglądał z troską na nieszczęścia ludzkie spowodowane przez wyniszczającą wojnę. Ale Richelieu zawsze był zdania, że państwo działa w nieco innym wymiarze etycznym niż jednostki. Uważał - i nie odmówimy mu przecież racji - że polityka nie jest zajęciem dla ludzi pokroju świętego Franciszka. Mężowie stanu nie mogą postępować demonicznie, ale absurdalne byłoby żądanie, aby zachowywali się jak święci. Moralność polityczna ma własne reguły: dlatego zbrodnie publiczne, *crimes d'Etat*, powinny być karane surowiej niż identyczne zbrodnie z motywów prywatnych. Dlatego też poddani związani są naka-

zami surowej moralności chrześcijańskiej, król zaś może być od nich zwolniony, jeśli tego wymaga realizacja jego misji, powierzonej mu wszakże przez samego Boga.

Richelieu nie wypisywał więc nigdy laicyzacji reguł gry na fasadzie swej polityki, ale wkraczała ona tylnymi schodami, wraz z teorią konieczności państwowej i racji stanu. Pięknym wykładem takiej subtelnej, sofistycznej, dwuznacznej koncepcji był dość wczesny (1627) tekst Silhona, jednego z najzdolniejszych pisarzy politycznych w „truście mózgów” Richelieugo. Gromi on, to należy do rutyny, Machiavellego jako symbol politycznej amoralności. Ale odrzuca i „drugą skrajność”: zbyt wąskie rozumienie granic tego, co interes publiczny usprawiedliwia. Proponuje drogę środkową, równowagę „między tym, na co sumienie pozwala, i tym, czego sprawy państwowe wymagają”. Otóż odróżniać trzeba to, co jest złe z natury, od rzeczy złych tylko w pewnych okolicznościach. Trucizna może być wszak pożytecznym lekarstwem! W sprawach moralnie wątpliwych polityk wskaże właściwą drogę swemu władcy radząc się i sumienia, *conscience* (ono wskazuje opinię moralnie preferowaną), i rozwagi politycznej, *prudence* (która znów wybiera opinię najkorzystniejszą). Obłuda jest moralnie naganna i nadużywać jej w polityce nie wolno; ale Silhon z uznaniem cytuje pogląd Ludwika XI, że kto nie potrafi dysymulować, ten nie umie rządzić. Minister króla musi świetnie rozumieć to konkurowanie zasad moralnych i maksym stanu, więc najlepiej się stanie, jeśli funkcje te sprawować będzie wielki książę kościoła, biegły i w sprawach religii i w polityce. Co było do dowiedzenia. Kardynalska purpura Richelieugo służy nie tylko jego dobremu samopoczuciu, ale i przykrywaniu działań, które prostaczkowie skłonni byliby uznać za moralnie szpetne.



DIUK I PAR FRANCJI

W sierpniu 1631 roku dobry król Ludwik nadał kardynałowi Richelieu tytuł diuka i para Francji. Było to nie tylko wspaniałe wynagrodzenie za wierne służby, ale także wyborne alibi dla zachłanności kardynała. *La pairie oblige*, parostwo Francji zobowiązuje posiadacza tytułu do szczególnej magnificencji. Już i przedtem zresztą Richelieu sądził, że wyjątkowa okazałość odpowiada jego randze głównego ministra, prestiżowi monarchii i wielkości Francji.

Ludwik XIII - ostatni z Burbonów, który jeszcze potrafił rozmawiać z ludźmi prostymi, cenił umiar i nie gustował w luksusach - miał kardynałowi za złe to sadzenie się na przepychy. Richelieu kontrował uszczypliwości i zarzuty: twierdził, że respekt dla majestatu monarchy wymaga godnej jego oprawy, a Ludwik o tym zapomina. Ganił oszczędność króla, który nie życzył sobie tłumy służących ani osobistych posług arystokracji. *W Testamencie politycznym* kardynał rozwodzi się o sprawach etykiety i świetności dworu. Z pretensją pisze o nadmiernej familiarności królewskich obyczajów, o umniejszaniu wspaniałości dworu i etykietałnych zaniedbaniach. Przy stole monarchy zbyt jest mało

arystokracji, jedzenie i jego podawanie nie są dość wytworne, sługi zaniedbane, za mało luksusu w wyposażeniu komnat, brak pięknych koni w stajniach, każdy może sobie wejść na królewskie pokoje... Można by dojść do wniosku, że Richelieu urodził się o kilkadziesiąt lat za wcześnie: jak wybornie by się czuł na dworze króla Ludwika XIV!

„Richelieu był skąpy: nie znaczy to jednak, że unikał wydatków, tylko bardzo lubił pieniądze”. Ta opinia Tallemanta oburza admiratorów kardynała, a jednak chyba trafia w sedno. Eminencja nie darmo jest potomkiem paryskich mieszczan i autentycznej arystokracji: płynie w nim krew La Porte’ów i Rochechouartów. Z pewnością lubił gromadzić pieniądze, wykazywał talent do spekulacji nieruchomościami i operacji kredytowych: to pożyczanie pieniędzy prywatnych Skarbowi państwa, które tak rozczuła wielu historyków, było po prostu dobrym interesem! Dwór kardynała to obiekt wielu eksperymentów ekonomicznych, administracyjnych i finansowych; od rządców swego majątku domagał się dyscypliny i ładu. Gdy w styczniu 1627 roku wygłaszał swą wielką mowę na zgromadzeniu notabli, radził wzorować zarząd finansów państwa na doświadczeniach „ekonomów dworów prywatnych”, którzy mają porządek w budżecie i planują zawsze jakieś sumy na nieprzewidziane wydatki. To bez wątpienia aluzja do wzorowego zarządu jego własnego majątku. Ale, z drugiej strony, potrafił się „postawić”, okazać hojność, wydawać olbrzymie sumy wedle klasycznych feudalnych wzorów. Przykładem jest zamek w Richelieu.

Po otrzymaniu tytułu diuka i para Francji kardynał postanowił potwierdzić go wspaniałym kompleksem majątkowym i pałacem. Wypadało, jak sądził, pobudować tę rezydencję w rodzinnym gnieździe, Richelieu. La Fontaine, przypomniawszy, że to okolica nieurodzajna, bez rzek i dobrej komunikacji, szydził: czemuż to kardynał, „który mógł wszystko”, nie wpadł na pomysł, by przenieść tu Loarę lub chociaż wielki trakt wiodący do Bordeaux? „Zastanowienia godne - pisał Tallemant - są te słabostki człowieka, który mógłby wsławić najgłuchszy zakątek Francji, a sądzi, że wielka budowla upiększająca klejnot jego ojca dużo mu chwały przysporzy, nie baczy na rozliczne ambarasy... i za nic sobie ma, że okolica nie jest ani piękna, ani zdrowa”. Kardynał kupuje w okolicy liczne majątki, inne otrzymuje w drodze zamiany: tak wszedł w posiadanie dóbr Champigny, za które dał bratu króla, Gastonowi, inny majątek. Pech chciał, że pałac w Champigny był bardzo świetny, co martwiło kardynała: nie mógł przecież zaćmiewać pałacu w Richelieu! Przez jakiś czas Eminencja rozważa nawet projekt zburzenia Champigny. Rzeczywiście, godne zastanowienia są te słabostki mądrego i pragmatycznego polityka; zdumiewająca jest siła feudalnego przesądu.

Od końca 1631 roku budową pałacu w Richelieu kieruje słynny architekt Jacques Lemercier, który rozbudował Luwr, zaprojektował kościół Św. Rocha na ulicy Saint-Honoré, a dla Richelieu zbudował w Paryżu Palais-Cardinal oraz kościół Sorbony. Wzorem dla pałacu w Richelieu był Luksemburg Marii Medycejskiej, ale rozwiązanie nieco inne, wymiar budowli - większy. Prace posuwały się wolno, jednak już w 1635 roku liczni goście podziwiali monumentalny pałac w olśniewająco białym

kamieniu, nie wykończony, ale imponujący. Jedynie sam diuk-par de Richelieu nie miał czasu, by tu przyjechać. Planował podróż do Richelieu latem lub jesienią 1640 roku: nic z tego nie wyszło. Gdy w 1642 roku wracał do Paryża z południa kraju, powstał projekt podróży przez Poitou i obejrzenia pałacu w Richelieu; jednak lekarze doradzili choremu kardynałowi inną drogę, tak by mógł skorzystać z wód leczniczych w Bourbon. Pod koniec 1642 roku, gdy Richelieu umierał w Paryżu, jego pałac był już całkowicie gotowy, pozostały tylko drobne prace do wykonania w kaplicy i w ogrodzie. Nigdy nie zobaczył tego monumentu feudalnych ambicji. Wedle oceny współczesnych był to jeden z najpiękniejszych pałaców Europy; obrazy i sztychy to potwierdzają.

Tytuł diuka de Richelieu odziedziczył po kardynale wnuk jego starszej siostry Franciszki, markiz de Pont-Courlay. Diukowie de Richelieu grali niemałą rolę w życiu dworskim i politycznym Francji aż po XIX wiek. Po rewolucyjnym zamęcie domenę i pałac odzyskał w 1814 roku Armand-Emanuel de Richelieu, szef rządu Ludwika XVIII. Gdy zmarł w 1822 roku, jego dziedziczki, dwie siostry, rozparcelowały ziemię i park pałacowy. Sam pałac sprzedano w 1835 roku niejakiemu panu Boutrou, który uznał, że najlepiej będzie budowlę rozebrać i sprzedać piękny kamień... Pozostał tylko mały pawilon prawego skrzydła.

Klęskę poniósł także inny zamysł kardynała: miasteczko Richelieu, wybudowane tuż obok pałacu w regularnym planie prostokąta (700x500 metrów), z fosą i murem obronnym. „Mimo wielu przywilejów nadanych mieszkańcom nikt tam długo nie zagrzewa miejsca” - pisał Tallemant. Trudno się dziwić: okolica była smętna, bez wody, oddalona od szlaków handlowych. Oskarżano Richelieugo, że proponował różnym funkcjonariuszom rządowym nabywanie domów w tym miasteczku: było im to zupełnie niepotrzebne, ale niektórzy uznali, iż propozycja kardynała jest nie do odrzucenia.

Richelieu to największe przedsięwzięcie budowlane kardynała: powtarzano sobie, że pałac ten kosztował astronomiczną sumę 14 milionów liwrów! Paryska siedziba Eminencji, Palais-Cardinal na ulicy Saint-Honoré, była znacznie mniej luksusowa. Zna ją każdy, kto zwiedzał Paryż, ale pod inną nazwą. Richelieu zmarł w Palais-Cardinal; na mocy jego testamentu pałac przeszedł na własność króla Ludwika XIII, stąd też nowa nazwa tej rezydencji, Palais-Royal. W 1672 roku Ludwik XIV sprezentował pałac swemu bratu, Filipowi księciu Orleanu - i odtąd aż do czasów króla Ludwika Filipa Palais-Royal związany był z burzliwymi dziejami linii orleańskiej Domu Francji.

Dzisiejszy stan Palais-Royal zupełnie nie przypomina kształtu, jaki mu nadał Lemercier w latach 1629-1639. Zmieniły go, chyba nie na korzyść, przeróki i przebudowy w XVIII i XIX wieku. Ówczesny styl budowania, dość oryginalny, zwany wtedy po prostu stylem „nowoczesnym” (*style moderne*) był osobliwym połączeniem cech renesansu, baroku oraz zapowiedzi klasycyzmu. Nie ma w nim pompy cechującej *grand style* czasów Ludwika XIV, jest umiar, ład, wdzięk. Najlepiej go reprezentują niektóre pałace dzielnicy Marais: hôtel de Sully, hôtel de Chalons-Luxembourg, hôtel d’Ormesson...

Richelieu kupił już w 1624 roku hôtel de Rambouillet przy rue Saint-Honoré, a potem w jego okolicy liczne domy (czy raczej rudery) i ogrody. Pozwoliło to Lemercierowi budować z rozmachem, a na zapleczu Palais-Cardinal stworzyć wspaniałe założenie ogrodowe. Sam pałac nie był jednak monumentalny, natomiast słynęło jego wyposażenie. Dekorował go Filip de Champaigne, wypełniły wyborne płótna i rzeźby (częścią sprowadzone z Włoch), meble i arras. Obok pałacu wyrosła ogromna sala teatralna z dwoma rzędami balkonów i pięknym plafonem Le Maire'a. Uważano ją za jedno z szaleństw kardynała.

Ulubiona wiejska rezydencja Richelieu to dworek w Rueil. Tak jak Palais-Cardinal był tuż obok Luwru, z Rueil niedaleko - ledwie parę kilometrów - do pałacu w Saint-Germain, w którym często przebywał Ludwik XIII. Z dworku w Rueil nic już dziś nie pozostało.

To prawda, że Richelieu buduje nie tylko dla siebie; jego wielkim dziełem stała się przebudowa Sorbony. W sierpniu 1622 roku, po śmierci starego kardynała Retza, Richelieu został wybrany prowizorem Sorbony. Cenił ów urząd i nie traktował go jako funkcji honorowej: powiększył skład ciała profesorskiego, łagodził eksplozje gallikańskiego radykalizmu Sorbony, uśmierzał gniewy nuncjusza na niepokornych doktorów. A w 1626 roku wystąpił z projektem przebudowy uczelni, bo średniowieczne budynki już się sypały.

Uczona korporacja okazała należną wdzięczność, ale w głębi duszy bała się bałaganu, naruszenia przyzwyczajęń, skutków finansowych imprezy (wielką część dochodów Sorbony przynosiły czynsze ze starych domów, które miały ulec wyburzeniu). Także ultramontani kęśali kardynała za to, że chce fundować nowe gmachy gallikańskim „schizmatykom”! Koszty były ogromne, wedle planów Lemerciera miały wynieść dwa miliony liwrów. Trzeba było wiele wyburzyć, a także wykupić liczne domy i ogrody w okolicy. Richelieu kapał pieniędzmi po trochu, na początku dał ledwie 300 tysięcy. W 1627 roku położono kamień węgielny pod wielką aulę, w 1629 roku zaczęto budowę domu profesorskiego, od roku 1630 trwały już prace przy wznoszeniu kościoła Sorbony (kosztorys: 600 tysięcy). Po wyburzeniu wykupionych domów otworzył się widok na fasadę kościoła: tak powstał plac Sorbony.

Od początku Richelieu wyrażał życzenie, by pochowano go właśnie w kościele Sorbony. Tu też przywieziono 10 grudnia 1642 roku jego ciało w podwójnej trumnie z ołowiu i drzewa; złożono ją w piwnicy pod głównym ołtarzem. Spadkobiercy kardynała natychmiast przestali finansować roboty wykończeniowe w kościele; zaczęły się o to długie procesy i jeszcze kilkadziesiąt lat po śmierci Richelieu kościół Sorbony był w środku pustawy. Piękny grobowiec kardynała Girardon ukończył ponad pół wieku po złożeniu tam jego szczątków.

Dwór Richelieu budził mieszane uczucia: jedni podziwiali i zazdrościli, inni robili jadowite uwagi o bezwstydnym luksusie pośród powszechnej nędzy kraju, wtrąconego przez kardynała w nieszczęścia wojny. Było na tym dworze 180 domowników. Kardynał na służbie trzymał 36 paziów, starannie wybranych: „w tym względzie był wybredniejszy od króla i przyjmował tylko dzieci hrabiów oraz markizów” (Talleyrand).

Służy mu spory zastęp szlachty; ma własną orkiestrę, teatr, bardzo liczną służbę osobistą i doborowy personel kuchenny, W stajniach - 140 koni i mułów. Wyposażenie jego kaplicy słynie z przepychu; kardynał sam stwierdza w jednym z listów, że ma srebra i biżuterię wartości 300 tysięcy liwrów. Jeden dzień jego podróży wraz ze świtą kosztował, jak kiedyś wyliczono, 2700 liwrów. Dla porównania: roczna pensja referendarza w Radzie królewskiej, to jest odpowiedzialnego urzędnika przygotowującego sprawę do rozstrzygnięcia przez Radę, wynosiła 1300 liwrów. Zaufany intendent Richelieugo Le Masle otrzymywał dwa tysiące rocznej płacy.

Z papierów Le Masle'a wiemy, że w roku 1638 wydatki kardynała wyniosły z górą 1.250.000 liwrów, dochody przekroczyły 1,3 miliona. Richelieu ma konto w wielkim banku Tallemant-Rambouillet: wypłaty po kilkadziesiąt tysięcy nie należały do rzadkości. Jego intendenci mieli „na wszelki wypadek” rezerwę gotówki w kwocie podobno przekraczającej trzy miliony. Ulokowano ją w kilku pewnych miejscach, także i poza Paryżem. Inwentarz sukcesji kardynała wykazuje sumę 22,4 miliona liwrów!

Skąd się wzięła ta fortuna? Majątek odziedziczony po ojcu nie miał większego znaczenia. Likwidacja tej sukcesji przeciągnęła się ogromnie, nastąpiła już po śmierci Henryka de Richelieu w 1619 roku. Richelieu musiał się długo użerać z niejakimi panami Adumeau, którzy prowadzili interesy jego ojca. Słowo „użerać się” nie jest za mocne: obie strony oskarżały się o fałszerstwa dokumentów i sprzeniewierzenia! Ostatecznie biskupowi Luçon dostało się z ojcowizny około 25 tysięcy rocznego dochodu. Biskupstwo i inne beneficja kościelne dawały mu mniej więcej drugie tyle - i z tym zaczynał.

„Największa część mego majątku przypadła mi z gratyfikacji od Ich Królewskich Mości [tj. od Marii Medycejskiej i Ludwika XIII] za wierną dla nich służbę oraz z moich oszczędności”. Przez słowo „oszczędności” należałoby rozumieć zręczne spekulacje nieruchomościami i operacje kredytowe na styku z finansami państwa (dla prywatnych operacji finansowych Richelieu wykorzystywał chętnie Radę Admiralicji, której prezydował jego wuj Amador La Porte; pożyczał nieraz Skarbowi państwa i nieźle na tym zarabiał).

Pewne jest, że Maria Medycejska dała pierwszy impuls jego majątkowi; nie wierzymy jednak Mateuszowi de Morgues, iż Richelieu wydarł jej miliony. Królowa-matka, bałaganiara i lubiąca hojność, dysponowała rocznym dochodem około 900 tysięcy; Richelieu otrzymał od niej trochę beneficjów kościelnych, którymi rozporządzała oraz kilkakrotnie wysokie gratyfikacje pieniężne. Nie wyszła na tym źle, bo Richelieu jako nadintendent jej dworu wprowadzał trochę porządku do finansów Medyceuszki, a u króla wyjednał ponoć spłatę jej pokaźnych długów. „Król w swej dobroci dał mi więcej, niż jestem wart” - pisał Richelieu. Chwalił się jednak swą skromnością: odrzucał wiele darów Ludwika (opactw, gubernatorstw, majątków), by się nie narażać na zarzuty; inni członkowie Rady wyciągali od króla pobory trzykrotnie większe od jego pensji; od czasu, gdy wszedł do rządu, wydawał „aż cztery razy więcej niż przedtem, nie powiększając znacznie swoich dochodów”. Była w tych twierdzeniach,

mówiąc ogólnie, malownicza przesada. Prawda, że pisał tak w 1629 roku, nim jeszcze nastąpił pełny rozkwit jego fortuny.

Dostał od króla liczne nadania pensji, dochodów z domen i praw senioralnych, beneficjów kościelnych, praw morskich (np. prawo do towarów z rozbitych statków czy do skonfiskowanej kontrabandy). Dochodowe były liczne gubernatorstwa, które otrzymał (Brouage, Hawr, Aunis, Honfleur, wyspa Ré...). Do tego dodać należy gaje z tytułu funkcji w administracji rządowej.

Majątki ziemskie, nie tylko w Poitou, bo także w Normandii, Anjou i Maine, przynosiły mu rocznie 175 tysięcy. Renty - głównie na nieruchomościach w Paryżu, Saint-Germain, Fontainebleau dawały 220 tysięcy rocznie. Nie dziwny się, że mógł wydawać rocznie ponad milion dwieście tysięcy liwrów. Był to, jak pisał jeden z jego pamflicistów, Sirmond, „wydatek pełen splendoru i odpowiedni do rangi, jaką kardynał miał u boku monarchy, któremu służył”.

Markiz de Montglat relacjonuje, że szef finansów Claude de Bullion rzekł raz królowi, iż pieniądze państwa toną w trzech otchłaniach: jedną jest marynarka, drugą artyleria, trzecią - dwór Jego Eminencji. Marynarką zarządzał sam Richelieu, wielkim mistrzem artylerii zrobił swego krewniaka La Meilleraye. Zarzucano mu w kręgach jego wrogów, że na cele morskie wydaje trzecią część dochodu Francji i „robi z admiralicji swoje Peru”. To gruba przesada; ale, jak się rzekło, w Radzie Admiralicji istotnie zbiegały się nici interesów państwa i prywatnych spraw finansowych kardynała.

Zauważmy wreszcie, że olbrzymi prestiż kardynała nie wynikał tylko z władzy i urzędów; tytułów i godności, majątku i wystawnego trybu życia. Na ów prestiż składały się także osobiste związki rodu Richelieugo ze szczytami feudalnej elity. „Kardynał nie mógł znieść - pisze Tallemant - by mu ktoś zarzucił, że nie jest znacznego rodu i nic mu bardziej nie leżało na wątrobie”. Cały dwór trząsał się ze zgrozy powtarzając pogłoski, że kardynał pragnie wydać swą ulubioną siostrzenicę, wdowę Combalet, za jednego z książąt krwi: hrabiego de Soissons, a nawet, jeśli się da, za Gastona Orleańskiego, następcę tronu! W pamiętnikach Laporte'a czytamy, że Anna Austriaczka bała się, iż król, zirytowany brakiem potomstwa, rozwiedzie się z nią i odeśle do Hiszpanii: rzekomo pracował nad tym Richelieu, pragnąc ożenić króla z wdową Combalet. To już oczywiście bzdura. Pani de Combalet będzie usychać i gorzknieć w swoim wdowieństwie; na pociechę otrzyma w 1638 roku tytuł diuszesy d'Aiguillon. Panna de Montpensier, córka Gastona z pierwszego małżeństwa, złośliwie opisuje, jak w 1637 roku zwiedzała wykańczany właśnie zamek w Richelieu („To dzisiaj najpiękniejszy i najwspanialszy zamek, jaki można zobaczyć”) i jak źle ją tam przyjęła pani de Combalet. Najulubiejsza krewna kardynała „tak się przyzwyczaiła do respektów składanych jej przez wszystkich, że źle znosiła obecność osoby, której te respekty od niej się należały”.

Niepowodzenie z małżeństwem pani Combalet powetował inny mariaż. Młodsza siostra kardynała, Nicole, wydana została przezeń za znacznie młodszego od niej Urbana de Maillé-Brézé, potomka bardzo znakomitej

rodziny. Zrobił przy kardynale wielką karierę państwową, choć bardzo źle traktował żonę i żył z kochanką nader kiepskiego pochodzenia, żoną własnego sługi. Na usprawiedliwienie pana de Brézé przypomnijmy, że Nicole miała napady choroby umysłowej.

Otóż z tego małżeństwa urodził się syn, Armand de Brézé, zupełnie zdrowy psychicznie, zdolny i władczy: Richelieu rozpoznawał się w tym wspaniałym siostrzeńcu i obsypał go łaskami i dobrami doczesnymi (także w testamencie zapisał mu sporą porcję majątku). Armand, znakomity marynarz, zginął w bitwie morskiej cztery lata po śmierci wuja. Jego siostra, Claire-Clémence, niestety odziedziczyła po matce umysłową ociężałość. Otóż o rękę tej niewydarzonej krewniaczki kardynała poprosił go, dla swego syna, sam książę de Condé. Richelieu trochę się bał, jak król przyjmie ten pomysł, toteż zachował rezerwę. Złośliwa panna de Montpensier zapisuje w swych pamiętnikach, iż wówczas Condé „poprosił kardynała o pannę de Brézé niemal na kolanach i zrobił tyle, aby ją dostać, ile by musiał zrobić, aby otrzymać dla swego syna królową całego świata”. Trochę zapewne przesadziła; jednakże Condé, od 1626 roku wierny sojusznik kardynała, bardzo manifestacyjnie okazywał mu respekt: złośliwi pamiętnikarze opisują to z lubością (oto np. gdy Richelieu przechodzi, książę de Condé usłużnie przytrzymuje przed nim zasłonę). Znamy zresztą listy Condégo w sprawie owego mariażu: pełno tam płaskich pochlebstw pod adresem „najpobożniejszego kardynała, najwspanialszego dowódcy armii, najroztropniejszego doradcy, najuczciwszego ze wszystkich ludzi”. Condé zapewniał Richelieugo, że jego syn, diuk d’Enghien, „płonie chęcią zawarcia tego związku”. Było to łgarstwo wierutne, bo d’Enghien - przyszły Wielki Kondeusz - był dumny jak diabeł i uważał ów mariaż za paskudny mezalians, a poza tym był zakochany w pięknej Marcie de Vigean. Jego ojciec nie tylko pragnął się podlizać wszechmocnemu ministrowi: fascynowała go też fortuna kardynała. W tym się zresztą zawiódł, bo panna dostała posag mniejszy znacznie, niż liczył, a swym testamencie Richelieu ją pomiął. D’Enghien nie darował tego do końca życia.

Król niechętnie wyraził zgodę na to małżeństwo, toteż Richelieu wolał już nie podejmować innej oferty księcia de Condé: aby Armand de Brézé ożenił się z jego córką, panną de Bourbon. Kardynał uznał, że może „dawać szlachcianki książętom, ale nie księżniczki szlachcom”. Alians jego krewniaczki z księciem krwi, połączenie rodu du Plessisów z Domem Francji - to olbrzymi sukces prestiżowy Richelieugo. Na wspaniałym balu zaręczynowym w Palais-Cardinal, na początku 1641 roku, 13-letnia narzeczona wywróciła się tańcząc kuranta, bo dano jej buty na bardzo wysokich obcasach, aby ją trochę podwyższyć. „Żadne względy - pisze panna de Montpensier nie mogły przeszkodzić wybuchowi śmiechu całego towarzystwa, nie wyłączając i diuka d’Enghien, który z żalem tylko godził się na to całe przedsięwzięcie, z obawy, by się nie narazić swemu panu ojcu”. Młoda diuszesa d’Enghien (to ciągle relacja panny de Montpensier) dopiero rok po ślubie zaczęła się uczyć czytania i pisania, dopiero w dwa lata później przestała się bawić lalkami.

Richelieu prowadził, można by rzec, całe biuro matrymonialne: zwracali

się do niego o mariaże z jego krewnymi wysocy funkcjonariusze i dumni arystokraci. Był to sposób pozyskania łask ministra i wejścia do jego klanu. Kanclerz Pierre Séguier uprosił kardynała o połączenie, swej córki Marii z krewniakiem Richelieugo, markizem de Coislin; dał pannie młodej olbrzymi posag, pół miliona liwrów: to była cena kupienia sobie protekcji kardynała. Marszałek de Vitry (ten sam, który ongiś zabił Conciniego i spowodował w ten sposób upadek ministra de Luçon) został osadzony w Bastylii i tak bardzo chciał z niej wyjść, że oferował swą córkę kardynałowi, by ją wydał za mąż wedle uznania. Richelieu oddał ją swemu krewniakowi, który miał kłopoty z małżeństwem, ponieważ los go obdarzył wielkim garbem.

Wspomnijmy o jeszcze jednym atrybucie prestiżu kardynała: od 1626 roku, gdy kabała dworska podjęła próbę zamachu na jego życie, król mu przyznał prawo do posiadania własnej gwardii. Złośliwi co prawda twierdzili, że był to pomysł samego kardynała, który suflował go Ludwikowi za pośrednictwem królowej-matki. Z początku to ledwie trzydziestka konnych, później liczba aniołów stróżów Richelieugo systematycznie rosła. W 1631 roku otacza go 120 konnych gwardzistów i 100 żandarmów, od 1634 roku pojawia się kompania pieszych muszkieterów kardynała (100, potem 200 ludzi). Konni gwardziści to dobra szlachta, rekrutowana starannie i bez terminu służby: Eminencja wymagał od nich absolutnej lojalności, „bez odwołania i zastrzeżeń”, jak pisał pan de Pontis. Oni z kolei cenili sobie służbę u patrona, od którego tak wiele zależało. Richelieu dawał im żołd, utrzymanie i wspaniałe uniformy; poznawano ich po czerwonym krótkim płaszczu bez rękawów z białymi galonami i białym greckim krzyżem na wszystkich czterech częściach płaszcza. Dowódców gwardii dobierał Ojciec Józef: pan de Beauplan zmarł pod Roszelą, potem był pan de Saint-Georges (ten sam, który jako jedyny usiłował bronić Conciniego w dniu zamachu), pan de La Houdinière, wreszcie pan de Bar, później generał w służbie Ludwika XIV. Gwardziści kardynała - Dumas nie wymyślił tego, choć przesadził - rywalizowali z muszkieterami króla. To też elitarna formacja, nieliczna (150 osób), złożona z dobrej szlachty, rozpoznawana po niebieskich płaszczach ze srebrnymi galonami i krzyżami.

Zupełnie inny był charakter muszkieterów pieszych kardynała. To plebejusze, rekrutowani na trzy lata, gorzej opłacani, nie umundurowani nawet jednolicie, ale sprawni i zdyscyplinowani. Dowodził nimi słynny pojedynkowiec, szlachcic z Artois, pan de Cavoye.

Muszkieterowie strzegli bezpieczeństwa Eminencji na zewnątrz jego rezydencji i kwater, pilnowali bram i dróg dojazdowych. Gwardziści mają służbę wewnętrzną, w drodze eskortują powóz kardynała, a ich kapitan nie może ani na moment opuszczać jego osoby. Oficerowie gwardii są ludźmi zaufanymi i dostają od kardynała różne misje, najczęściej do armii: przekazują rozkazy, zbierają informacje, przeprowadzają inspekcje. Czasem i gwardziści, i muszkieterowie biorą udział w walkach z wrogiem; trzecia formacja w służbie kardynała, kompania żandarmów, z reguły jest przy armii, na froncie.

Łatwo zgadnąć, jak eksploatowano istnienie tych prywatnych oddziałów

w kregach wrogów Richelieugo. Celował w tym jak zwykle Mateusz de Morgues: gwardia kardynała to obraza majestatu króla, uzurpacja królewskich praw, dowód tchórzostwa Richelieugo. A przede wszystkim symbol jego tyranii, jeden z instrumentów despotycznej władzy.





VII. INSTRUMENTY WŁADZY



KRÓL I MINISTER

Po śmierci Ludwika XIII, którą zgon kardynała Richelieu wyprzedził ledwie o parę miesięcy, powstał sonet Corneille'a poświęcony zmarłemu monarsze. Królowi bez przywar, *sans vice*, którego jedynym grzechem było dokonanie złego wyboru: w rezultacie „ambicja, pycha, zuchwałość, chciwość zawłaszczyły jego władzę i wydawały nam rozkazy”. Zacytujmy w wolnym przekładzie dwie zwrotki tego pięknego wiersza: „Wszędzie zwycięski, był niewolnikiem na własnym dworze; zaledwie odszedł z tego świata jego i nasz tyran, a już go zmusił, by zstąpił za nim do grobu. Czy słyszano kiedykolwiek o takim nieszczęściu? Straciwszy trzydzieści trzy lata swego panowania, umarł właśnie wtedy, gdy rządzić zaczynał”.

Richelieu tyranizujący „jego i nas”, króla i poddanych: to stereotyp bardzo częsty wśród współczesnych. Omer Talon, wielki dygnitarz sądowy, twierdził, że Richelieu stał się „absolutnym panem tego królestwa”. Pani de Motteville, tuba dworskiej opozycyjnej arystokracji, mniemała, iż Ludwik XIII musiał wieść życie „bez zadowolenia i bez honoru”: oczywiście z powodu wszechwładzy Richelieugo. Pan de Montglat, przedstawiciel światłej, a nawet uczonej opinii (był historykiem i tyle miał erudycji, że zwano go Montglat-la-Bibliothèque), wyrażał przekonanie, iż król „raczej bał się Richelieugo, niż lubił”. Pan de Pontis, typowy reprezentant szlachty wojskowej, zapisuje w pamiętniku taki obrazek: podczas groźnej rebelii diuka de Montmorency (1632) widział na własne oczy, jak przybywający na dwór kurierzy z pola bitwy zwracali się z raportami nie do obecnego przy tym Ludwika XIII, ale do kardynała. Łatwo mnożyć podobne oceny i anegdoty na temat „ujarzmienia” króla przez wszechwładnego ministra.

Rzeczywistość jest dużo bardziej złożona. Zauważmy najpierw, że każda bez wyjątku decyzja rządowa uchodziła wówczas za wyraz woli monarchy, była decyzją króla w jego Radzie („*par le roi en son Conseil*”). Dotyczy to również wielkiego mnóstwa aktów, o których Ludwik XIII nie miał pojęcia. Obok Rady królewskiej w wąskim sensie, nielicznego sztabu decyzyjnego (*Conseil d'en haut*), istnieje przecież Rada jako wielka maszyna rządowa, z licznymi sekcjami i tłumem funkcjonariuszy. Urzędnicy Rady wysyłają „w kraj” tysiące standardowych decyzji królewskich imitując podpis monarchy. W archiwach drzemie mnóstwo takich aktów zdyskwalifikowanych i ostatecznie nie wyekspediowanych, a już opatrzonych podpisem: *Louis*.

Ale w ważnych sprawach, a już zwłaszcza w sytuacjach krytycznych - gdy jakiś parlament czy gubernator uprawia opozycję, gdy wielmoże się buntują - nie wystarcza taki produkt urzędniczy. Potrzebne są uroczyste „listy królewskie”, z wyraźnym podpisem monarchy i z jego pieczęcią. Niejednokrotnie Ludwik XIII musi domagać się takim listem, aby adresat wykonał rozkazy królewskich ministrów! Często i to nie wystarcza: sytuację uratować może jedynie obecność samego władcy z odpowiednim zbrojnym orszakiem. Rozumiał to dobrze Richelieu, stąd tak często ponawiane jego żądania, by król gdzieś tam się udał albo w jakimś miejscu zagrożonym pozostał: wybuchały na tym tle między nimi spory, niekiedy burzliwe. Nie dotyczy to zresztą jedynie sytuacji skrajnych (rebelii, demoralizacji wojska). Gdy w roku 1636 klęski wojenne skłoniły rząd do prób wskrzeszenia średniowiecznej instytucji *ban et arrière-ban* (pospolite ruszenie) - szlachta oświadczała często intendentom, że takie rozkazy może przyjmować tylko bezpośrednio od króla. Absolutyzm ma to do siebie, że jest swoistą *religion royale*, czyni z króla jedyne źródło wszelkiej władzy. Cytowane już twierdzenie Richelieugo, iż jest on tylko zerem, które się liczy wówczas, gdy stoi przed nim inna cyfra - to nie była figura retoryczna, ale trzeźwa ocena własnej sytuacji.

Wzajemne stosunki króla i ministra były skomplikowane, trudne i dręczące dla obu stron. Fakt, że Ludwik zmarł ledwie pięć miesięcy po śmierci kardynała, dał asumpt do powtarzanej często opinii, którą zacytujemy w wersji Omera Talona: „W dalszym biegu zdarzeń pan i sługa wzajem się wpędzili do grobu w rezultacie niepokojów i udręczeń, które sobie zadawali”. Król od 1626 roku, gdy napisał cytowany już list z 9 czerwca, wielokrotnie zapewniał kardynała, iż kocha go wiernie, ceni ogromnie jego służby, nigdy go nie porzuci, wspierać go będzie przeciw wszystkim wrogom, nie zmieni się nigdy w swych uczuciach... Listy Ludwika do kardynała zdumiewają czasem efuzją tych uczuć. List datowany 28 stycznia 1634 roku był wręcz płomienny („Ogień Wersalu gorzej mocniej niż ogień w Rueil i trwać będzie wiecznie”). Także osobiste spotkania obu współników są często gorące, wibrują emocjami: tak było np. w Wersalu pamiętnego wieczora 11 listopada 1630 roku; podobnie 3 stycznia 1633 roku, w zamku Rochefort, gdy król ujrzał Richelieugo po bardzo ciężkiej chorobie z jesieni poprzedniego roku. Wyraził wówczas radość „równą tej, jaką mieli nieprzyjaciele Richelieugo na fałszywą wieść o jego śmierci”.

A jednak rodzaj kurateli, jaką nad nim sprawował „drogi kuzyn” (Richelieu miał prawo do tego tytułu z racji kardynalskiego kapelusza) - to dla króla przedmiot udręczeń, nie zawsze skrywanych. Tak było zwłaszcza w ostatnich latach, gdy Ludwika niepokoiła przedłużająca się wojna, zaś ukochany faworyt Cinq-Mars judził monarchę przeciw kardynałowi. Panna de Montpensier notuje w swym pamiętniku: „Właśnie w owym czasie [król] tolerował, by obgadywano przy nim dość swobodnie kardynała Richelieu, a oznaką, że mu to nie było niemiłe, mógł być fakt, iż sam o kardynale mówił w podobny sposób”. Zauważało to wiele osób i w różnym czasie: Monsieur, spowiednik królewski jezuita Caussin, Cinq-Mars... Inna sprawa, że gdy ktoś próbował wyciągnąć stąd zbyt pośpieszne i ambitne

wnioski, kończyło się to źle, jak dla ojca Caussina, lub tragicznie, jak w przypadku Cinq-Marsa.

Zazdrosny o swą władzę i podejrzliwy Ludwik niekiedy dawał wyraz swym emocjom w obecności samego kardynała. Cały dwór powtarzał anegdotę, ujawniającą błyskotliwą przytomność umysłu Richelieugo. „Niech pan idzie pierwszy - rzekł król kardynałowi - bo i tak się mówi, że to pan jest prawdziwym królem”. Richelieu chwyta świecznik i replikuje: „Tak, Sire, idę, aby Ci oświetlać drogę”

Udręczenia kardynała w jego stosunkach z królem są podwójnego rodzaju. Przede wszystkim jego władza, jakkolwiek ogromna, jest, by tak rzec, warunkowa: zawisała na nici osobistego zaufania i faworu monarchy. Nić wydaje się solidna, sam król nieustannie ponawia swe gwarancje, ale niekiedy stosunki wzajemne monarchy i ministra przechodzą fazy niebezpiecznych napięć. Są również owe królewskie dąsy, podejrzania, kostyczne uwagi. A od czasu zabójstwa Conciniego Richelieu wie, że Ludwik XIII potrafi dysymulować i rzucać gromy. Z perspektywą niełaski zawsze więc należy się liczyć. Niełaska zaś to nie jest wówczas zwykła dymisja. Może oznaczać wyrok śmierci, jak w przypadku Ludwika de Marillac, albo uwięzienie, które stało się udziałem La Vieuville'a, Michała de Marillac czy pana de Châteauneuf. W najlepszym razie to wygnanie z dworu i Paryża do dóbr, czego zasmakował stary kanclerz Sillery.

Drugie udręczenie dotyczy sposobu wykonywania władzy, jeśli już przyjąć, że jest ona trwała, nie zagrożona niełaską. Richelieu powtarzał, że zdobycie paru stóp kwadratowych królewskiego gabinetu było niekiedy trudniejszym zadaniem niż wielkie podboje w Europie. Ludwik XIII był rzeczywiście zazdrosny o swą najwyższą władzę, podejrzliwy, małostkowy. O, z pewnością nie można go uznać za głupca, ale jego inteligencja nie miała rozległych horyzontów, daru syntetyzowania i przewidywania następstw różnych możliwych sytuacji, w czym tak celował „komputerowy” umysł Richelieugo. Król ceni wartość detalu, i to nie jest źle: również Richelieu powtarza, że nie docenione drobiazgi mogą wywołać najpoważniejsze następstwa. Jednakże Ludwik XIII, pozostawiony sam sobie, tonie w chaosie szczegółowych wydarzeń, o których chce wszystko wiedzieć. Brak umiejętności selekcjonowania i hierarchizowania informacji musi zamulać proces podejmowania decyzji. Znamioną cechą takiej umysłowości staje się małostkowość. Bilety, które król śle „swemu kuzynowi”, kardynałowi Richelieu, stanowią często *curiosum*: mieszają, bez ładu i składu, wielkie wydarzenia i ważne problemy z drobnymi incydentami i plotkami dworskimi. Całe szczęście, że Ludwik trzeźwo oceniał granice swych możliwości - i dostrzegał intelektualne walory Richelieugo.

Z kolei Richelieu dostrzegał słabości swego „najlepszego w świecie pana” i czasem nawet mu je wytykał. „Król jest dobry - pisał w cytowanej już *Opinii* ze stycznia 1629 roku - cnotliwy, dyskretny, odważny i żądny sławy; ale trzeba też rzec, iż jest porywczy, nieufny, zawistny i ulega kaprysom równie próżnym jak błahym. Popychają go to jedni, to znów drudzy: jest impulsywny i nieustannie zmienia zdanie, wahając się między tym lub tamtym wpływem”. Powinien zwłaszcza „jak zarazy” unikać

zawiści: „ta jego skłonność kępuje działania jego podwładnych, podczas gdy działać sam nie może i nie chce”. Ludwik szuka zbyt łatwych dróg: „Charakter Waszej Królewskiej Mości odwodzi ją od wielkich przedsięwzięć; bezustanny wysiłek szybko ją fatyguje”. Król nie powinien ani bać się, gdy sprawy idą źle, ani zapominać o niebezpieczeństwach, gdy zagrożenie minie. Nie wolno mu się też dręczyć przesadnymi skrupułami sumienia, bo „królowie nie grzeszą w taki sam sposób jako ludzie i jako władcy”: jako ludzie podlegają prawu Bożemu, jako monarchowie muszą zmierzać do celów, wyznaczonych im przez Niebiosa, używając bezwzględnie swej siły i korzystając z prawa karania, które sam Bóg im delegował. Ale - tu aluzja do rysu okrucieństwa w charakterze Ludwika - surowe karanie nigdy nie powinno sprawiać monarchom przyjemności.

Bez wątplenia odważna charakterystyka królewskich wad w *Opinii* z 1629 roku była podsumowaniem pięcioletnich już doświadczeń w pracy kardynała z Ludwikiem XIII. Richelieu zdążył w tym pięcioleciu posmakować monarszej nieufności i zazdrości o władzę, chwiejności, wahania się między różnymi wpływami. Przeszkadzał mu strach króla przed piekłem. Stąd tak charakterystyczne dla jego filozofii politycznej rozróżnienie: sprawiedliwość Boża jest wieczna i poza światem doczesnym, „natomiast Państwa nie istnieją inaczej, jak w widzialnym świecie; ich ocalenie następuje tu, natychmiast, albo nie następuje wcale”. Jest wreszcie w *Opinii* przestroga przed małostkowością: niech król unika zarzutów, że wielkie sprawy mniej go interesują niż to, co szczegółowe i wtórne (*l'accessoire*).

No, codzienna praca Eminencji z „najlepszym panem na świecie” nie była samą tylko rozkoszą. „Ten pierwszy minister - notuje pan de Brienne - zmieniał chętnie miejsce pobytu dla przypodobania się królowi, który nie lubił pozostawać długo w tej samej okolicy”. Czy zawsze Richelieu robił to „chętnie”, można wątpić, ale jego zasadą było, od początku współpracy, nie zostawiać króla zbyt długo samego - a ściślej wydanego na działanie Bóg wie jakich wpływów. Ludwik XIII traktował swe królewskie rzemiosło niezwykle serio i poświęcał mu mnóstwo czasu. Nie miał żadnych określonych z góry godzin pracy: na listach do kardynała i innych ministrów często notował godziny, w których je pisał. Wynika stąd, że pracował o najróżniejszych porach dnia i nocy. Chciał być informowany o wszystkim, o czym wiedział Richelieu, a to niemało; Retz pisze, że kardynał „ze wszystkich ministrów, jacy kiedykolwiek istnieli, był chyba najlepiej poinformowany”. Król złościł się, gdy przychodziły depesze, a minister, do którego były adresowane, gdzieś się właśnie zapodział: Ludwikowi zależało tak bardzo na wiadomościach z depesz, że często otwierał pakiety nie czekając na zjawienie się adresata. Konsternowało to ministrów, bo w depeszach sprawy polityczne sąsiadowały nieraz z informacjami prywatnymi, a nawet zwykłymi plotkami.

Główną domeną zainteresowań Ludwika były sprawy militarne: wyżywał się w decydowaniu o ruchach wojsk, reorganizacjach, awansach i zaopatrzeniu. „Miał umysł zorientowany na szczegóły - zapisuje w pamiętniku La Rochefoucauld - i przykładał się pilnie tylko do drobiazgów. Jego wiedza o sprawach wojny była taka, jaka przystoi prostemu oficerowi,

a nie monarsze”. Złościł się bardzo, jeśli Richelieu czy inny minister podjął w sprawach wojskowych decyzję, której z nim nie skonsultował, lub - nie daj Boże zmienił jego postanowienia.

W ogóle zresztą królewskie gniewy, złe humory, melancholie dawały się we znaki kardynałowi i ministrom. Nie zapomniano, że w pierwszym dziesięcioleciu swych rządów Ludwik usunął wielu ministrów niespodziewanie, brutalnie, ukrywając czasem swe intencje do ostatniej chwili, a nawet zwodząc ofiarę oznakami życzliwości jeszcze w przeddzień niełaski. W latach trzydziestych to już się nie zdarzało.

Richelieu potrafił bronić się przed gniewem króla i jego zarzutami. Przybierał ton starego, wiernego sługi; zrećźnie owijał odmowę uznania zarzutów bawełną komplementów. „Wasza Królewska Mość jest zbyt dobra i zbyt sprawiedliwa, by na mnie składać odpowiedzialność za cudze błędy, oraz ma zbyt wielkie doświadczenie, by nie uwzględnić tego, iż w wielkich sprawach rezultaty nigdy nie odpowiadają dokładnie wydanym rozkazom” - oto typowy przykład z września 1635 roku.

W latach trzydziestych kardynałowi trudniej było niż przedtem utrzymywać ciągły osobisty kontakt z królem. Wojna wymagała nieraz ich obecności w różnych miejscach, pogarszał się stan zdrowia obu partnerów. Dwaj ministrowie stali się pośrednikami pomiędzy szefem rządu i monarchą: minister wojny François Sublet de Noyers i, przede wszystkim, minister spraw zagranicznych Leon Bouthillier hrabia de Chavigny (dla odróżnienia od ojca, ministra skarbu, zwany na dworze panem Młodym, Monsieur le Jeune): Chavigny genialnie opanował sztukę chodzenia wokół króla, badania jego nastrojów, korzystania z dobrych chwil. Gdy konstatawał, że Ludwik ma napad złych humorów („melancholii”, jak powiadano), odkładał do lepszej chwili przekazanie listów z propozycjami kardynała. Świetnie umiał bronić projektów Richelieu, łagodzić napięcia między królem i głównym ministrem. Nieraz mu się przy tej sposobności oberwało od monarchy, czasem Ludwik oświadczał, że go nie chce więcej widzieć. Wówczas role się odwracały: Eminencja brał w obronę Chavigny’ego i sklejał zgodę. W jednym z listów do przyjaciela, kardynała de La Valette, Chavigny pisał, że się nie obawia o swą pozycję, bo choć król źle go widzi, to jednak „jest w bardzo dobrych stosunkach z kardynałem”!

To zdumiewające wyznanie: minister nie przejmuje się gniewem absolutnego i kapryśnego monarchy, bo czuje nad sobą ochronny parasol Eminencji. Ale taki był rządowy układ. W latach trzydziestych to Richelieu dobiera ministrów, król ich tylko aprobuje pro forma. Richelieu kieruje pracą ministrów i odpowiada za nich: jeśli król ma jakieś pretensje do któregoś ministra, to wylewa swe żale na głowę kardynała. Odpowiada to powtarzanej wielokrotnie maksymie Richelieu: tylko jeden sternik może trzymać dłonie na kole sterowym państwa!

Prawda, jeden minister wyłamywał się trochę z owego układu: Claude de Bullion, który do spółki z Bouthillierem-ojcem rządził finansami. Szczególną pozycję zapewniały mu zręczność techniczna i polityczne doświadczenie, a także i to, że ani król, ani nawet Richelieu nie czuli się pewnie w gąszczu problemów finansowych. Bullion miał zatem pewną

niezależność: śmiało apelował do króla, gdy uważał, że jakieś decyzje Richelieugo są nie do przyjęcia. Zresztą i odwrotnie, kardynał czasem musiał prosić Ludwika o pomoc, by skłonić Bulliona do uległości. Król lubił i cenił tego sprawnego, pewnego siebie i charakternego ministra; na dworze plotkowano, iż rozważał kandydaturę Bulliona jako ewentualnego następcy Richelieugo. Jednakże Bullion, starszy od kardynała, zmarł na dwa lata przed nim.

Listy Richelieugo do króla, przekazywane zwykle przez Chavigny'ego, starannie przedstawiają problemy i alternatywne propozycje rozwiązań. Ludwik opatruje najczęściej te raporty krótką aprobatą: *bon*, dobrze, lub: *id le faut*, tak trzeba. Czasem jednak raport wraca z odmiennym zdaniem króla, jego pytaniem lub komentarzem. Ludwik niekiedy usprawiedliwia się za swe niezgrabne gryzmoły („pisałem leżąc w łóżku”) lub sumituje się za styl swoich komentarzy („Proszę wybaczyć, jeśli nie są wyrażone poprawnie, ale nigdy nie uczyłem się elokwencji inaczej jak tylko w armii, wśród żołnierzy”). Bywają instrukcje króla dla kardynała brzmiące nader wyniośle: „Pewien jestem, że zadba Pan o bardzo dokładne i staranne wykonanie rozkazów zawartych w tym liście w imię dobra służby dla mnie”. Inne deklaracje królewskie mają zgoła odmierne zabarwienie: „Nigdy nie będę miał innego zamysłu, jak tylko postępować za Pańskimi opiniami, we wszystkich sprawach i dokładnie”.

Richelieu ma w zanadru różne wybiegi, jeśli król nie daje się od razu przekonać. Nie zawsze warto wytaczać najcięższą armatę, groźbę dymisji. Czasem kardynał prosi o wywieranie wpływu zaprzyjaźnionych ambasadorów i władców. W listopadzie 1639 roku śle instrukcję do francuskiego agenta w Holandii, pana d'Estrades: w kwestii francuskich subsydiów książę Orański może uzyskać dużo więcej, jeżeli „zechce nacisnąć na króla, aby podjął się on oblężenia Dunkierki lub Gravelines...”

Ogromne i zapewne przesadne wysiłki podejmował Richelieu dla obstawiania Ludwika XIII przychylnymi dlań faworytami osobistymi. Pan de Montglat pisze: „Kardynał stał się panem Rady w rezultacie zmian, które do niej wprowadził, ale mniemał, że nie uzyska nigdy całkowitej władzy, jeśli nie będzie również panem [królewskich] gabinetów, do których pragnął dopuszczać jedynie swoje kreatury”. I dalej: „Intrygi gabinetowe sprawiały kardynałowi Richelieu więcej kłopotów niż cała wojna z zewnętrznym wrogiem. Królewskie małe *coucher* napawało go zawsze obawą; bardzo by pragnął, aby do osoby Jego Królewskiej Mości nie zbliżał się nikt, kto nie wyszedł spod jego ręki. Było tak, bo król bez oporu słuchał donosów [na kardynała], a nawet znajdował w tym przyjemność. Ale też natychmiast mówił o donosach kardynałowi, przed którym niczego nie potrafił ukryć, a ten nigdy nie wybaczał”. W innym jeszcze miejscu Montglat powiada, że Richelieu pragnął mieć przy królu swą kreaturę, „przed którą monarcha mógłby się zwierzać i która by dbała, aby nic się nie działo wbrew interesom kardynała”. Nakład energii wydatkowanej na te zabiegi był ogromny, bez wątpienia nieproporcjonalny do korzyści i zagrożeń. Po śmierci pana de Luynes król starannie oddzielał swe łaski prywatne i polityczne: żaden faworyt nie zdobył już politycznego wpływu.

W latach dwudziestych Richelieu zdołał obalić Barradasa, nie dopuścił, by faworytem Ludwika stał się niemiły mu pan de Toiras. W 1626 roku pomógł utrwalić, na całe dziesięć lat, wpływy Saint-Simona. Gdy król stracił wreszcie zainteresowanie Saint-Simonem, powstała niebezpieczna próżnia. Wypełniły ją - to osobliwość tego okresu - dwie panny, Maria de Hautefort i Luiza Angelika de La Fayette, a wreszcie syn zmarłego ministra, marszałka d'Effiat, markiz de Cinq-Mars.

Wypadnie bliżej się zająć tragikomicznymi zmaganiem kardynała o paraliżowanie szkodliwych oddziaływań faworytów. Zauważmy tylko na razie, że Eminencja nie miał większych skrupułów wybierając dla króla młodą dziewczynę lub przystojnego chłopca i upatrując w nich swych szpiegów oraz instrumenty swego wpływu na monarchę. Groteskowość sytuacji powiększa jeszcze fiasko tych usiłowań. Ale groteska ociera się wciąż o dramat: panna de La Fayette powędruje do klasztoru, piękny markiz de Cinq-Mars na szafot. Afera Cinq-Marsa spowodowała też najgorszy kryzys w stosunkach króla i kardynała, z trudem zakłajstrowany zaledwie na dwa tygodnie przed śmiercią Richelieugo.

Daleko więc było do ideału, naszkicowanego w licznych tekstach kardynała, a przede wszystkim w jego *Testamencie politycznym*. Jego koncepcja rządów pierwszego ministra jest klarowna. Główny problem to dobry wybór, jakiego powinien dokonać monarcha, wybór człowieka i zarazem polityki. Trudność polega na tym, że rzadko się zdarza połączenie w jednej osobie wszystkich cnót potrzebnych pierwszemu ministrowi: mądrości, zdolności, uczciwości, odwagi, lojalności... Łatwiej jednak monarsze dokonać raz na zawsze dobrego wyboru szefa rządu, niż samemu rozstrzygać należycie wszystkie spiętrzające się problemy rządzenia. Król winien tylko przestrzegać kilku prostych reguł.

Najpierw, darzyć w sposób widomy zaufaniem swego ministra: także i lekarz lepiej leczy, gdy pacjent okazuje mu zaufanie. Dalej, zezwalać ministrowi na pełną swobodę wypowiedzi: niech ta swoboda mówiącemu nie szkodzi, niech monarcha będzie dla niej osłoną. Podobnie muszkieter strzela celniej, gdy jest kryty. Król winien następnie podtrzymywać otwarcie swych ministrów, chronić ich przed intrygą i kalumnią wrogów, karać intrygantów i oszczerców. Im lepszy, zdolniejszy i wierniejszy jest sługa, tym większe wysiłki podejmują wrogowie, by mu zaszkodzić, by go skompromitować w oczach króla. Tak samo im potężniejsza twierdza, tym energiczniejsze zabiegi nieprzyjaciela, by skorumpować jej komendanta. Richelieu zwraca uwagę na zasadniczą solidarność króla i ministra: „Jeśli monarsze wydarzy się nieszczęście, wierny sługa pada ofiarą tego samego zła”. I jeszcze dwie reguły: król powinien zachowywać sekret tego, co mu minister mówi; powinien też raczej go zachęcać, niż ganić. Zachęty winny być również i materialnej natury, „bo niewielu ludzi kocha cnotę całkiem nagą”.

Ten idealny obraz nie był wiernym odbiciem rzeczywistości; przecież jednak nie odbiegał od niej w sposób rażący. Stosunki między królem i kardynałem najkrócej można by zdefiniować w taki oto sposób: Ludwik XIII deleguje Eminencji wielką część swych praw, ale kontroluje sposób ich wykorzystania, daje zgodę na linię polityki państwa i nadzoruje jej

realizację; Richelieu natomiast formułuje zasady owej polityki i, po uzyskaniu królewskiej aprobaty, koordynuje polityczne działania. Obaj współpracownicy są sobie potrzebni: bez króla Richelieu jest „tylko zerem”, bez kardynała Ludwik znalazłby się w bardzo trudnym położeniu. „Im bardziej sprawy się wikłały pisze Montglat - tym bardziej król wierzył, że potrzebuje Richelieugo. Gdy ujrzał, że ma na plecach wojnę... uznał, że musi we wszystkim zdać się na niego”.

Każdy z nich miał w kieszeni swą tajną broń. W milczeniach, napadach gniewu, dąsach Ludwika mogła się kryć groźba niełaski; Richelieu w razie potrzeby wyciągał swą prośbę o dymisję. A jednak ci dwaj ludzie drażliwi, despotyczni, schorowani - do końca byli solidarni w obliczu tych samych zagrożeń, nadziei, obaw, sukcesów.

Inteligentny Omer Talon zapisał w pamiętniku, jak to na początku 1634 roku, w parlamencie paryskim, Richelieu wygłosił - w obecności Ludwika XIII - panegiryk na cześć króla, „najdoskonalszy, jaki można sobie wyobrazić... Wszystkie komplikacje, które wystąpiły wewnątrz i na zewnątrz królestwa, zdawały się być stworzone specjalnie po to, by dać królowi okazję do zaradzenia im i tylko jemu przysporzyć sławy. Mantua byłaby więc utracona dlatego, by król miał honor przywrócić tam panowanie księcia [Nevers]; Casale byłoby dwukrotnie oblegane po to, aby król je zachował dla prawowitego pana...” Ciekawe, czy Talonowi świłała myśl, iż ów panegiryk na cześć króla był jednocześnie w ustach Richelieugo pochwałą własnej osoby i własnej polityki?



KREATURY RICHELIEGO

Była już mowa o tym, że termin „kreatura” nie ma w XVII wieku ujemnego zabarwienia; przeciwnie, wyraża wdzięczność i lojalność względem potężnego, a łaskawego patrona. W styczniu 1639 roku. Richelieu pisze, że się cieszy z wiadomości o dobrym zdrowiu króla i życzy mu go „z gorliwością prawdziwej i żarliwej kreatury (*d'une vraie et passionnée créature*)”. Otóż, tak jak kardynał jest kreaturą króla - jego z kolei otacza cały tłum własnych jego kreatur. Ludzi, którzy dzięki niemu otrzymali urzędy, którzy pracują pod jego kontrolą i tworzą ogromny kardynalski klan.

Wedle naszych obliczeń wiek XVII to już drugie stulecie epoki nowożytnej; a jednak, gdy się przyglądamy działaniom owego klanu, dostrzegamy bez trudu charakterystyczne cechy średniowiecznych stosunków wasalnych. Oczywiście stosunki między patronem i jego kreaturami nie są tak sformalizowane i zrytualizowane. Wszelako i tu najbardziej się ceni osobistą lojalność. Pod inną nazwą: to już nie lenna wierność (*fides, foi*), ale oddanie, przywiązanie (*dévouement*). Sens tego pojęcia jest wszakże bardzo zbliżony. *Dévouement* liczy się bardziej niż kompetencja, toteż kreatury kardynała bez trudu przechodzą z jednego stanowiska na inne, zmieniając całkowicie sferę rządzenia: ze Skarbu do spraw zagranicznych, z wojska do Skarbu...

Nagminnym zjawiskiem jest kumulacja urzędów. Sam Richelieu dawał przykład: łączył funkcje pierwszego ministra, zarząd marynarki i żeglugi, liczne gubernatorstwa prowincjonalne, funkcje dworskie. Chavigny, który był młokosem i nie bił rekordów kumulacji, połączył urząd ministra spraw zagranicznych, gubernatora Antibes, zarządcy zamku w Vincennes (ważnego więzienia stanu), kanclerza dworu Gastona Orleańskiego (w tym charakterze rządził majątkami królewskiego brata), wielkiego skarbnika orderów królewskich.

Z kumulacją urzędów idzie w parze brak ścisłego rozgraniczenia kompetencji. Chavigny jest ministrem spraw zagranicznych, ale polityką zagraniczną zajmuje się mnóstwo ludzi, pod najwyższą kontrolą króla: Richelieu, Ojciec Józef, ministrowie wojny Servien i Sublet de Noyers, ministrowie finansów Bouthillier-ojciec i Bullion, pod koniec okresu rządów Richelieugo jeszcze Mazarini. Rekompensatą dla Chavigny'ego mogło być to, że jego zadania z kolei przekraczały znacznie sprawy dyplomacji. Przyjmował i wysyłał dyplomatyczną korespondencję, rozmawiał z ambasadorami i posłami, uczestniczył w podejmowaniu decyzji o polityce zagranicznej - ale jednocześnie robił mnóstwo innych rzeczy. Administrował kilkoma prowincjami, zajmował się czasem sprawami marynarki, czuwał nad listą pensji nadawanych przez króla, załatwiał niektóre problemy związane z więźniami stanu, administrował w szerokim zakresie sprawami królewskiego dworu, pośredniczył między kardynałem i królem, reprezentował interesy Richelieugo na dworze Gastona, pełnił u Gastona funkcje kanclerskie, wreszcie prowadził dla Eminencji mnóstwo spraw o charakterze prywatnym. Jakże się dziwić, że solidny ambasador Anglii, nawykły traktować z ministrem spraw zagranicznych, skarżył się na nieuchwytność pana de Chavigny („równie trudno go znaleźć jak mysz w stodole”).

Obok braku specjalizacji uderza nas rozmywanie oficjalnej hierarchii. W tradycji rządowej Francji na plan pierwszy wysuwał się kanclerz: jeśli był mocną osobowością, stawał się drugą osobą w państwie, czymś w rodzaju wicekróla. Kanclerz Pierre Séguier nie jest nawet, by tak rzec, wicekardynałem. W ekipie ministerialnej Richelieugo to nie on wysuwa się przed inne kreatury Eminencji, ale szef finansów Bullion. A ponad wszystkich ministrów wyrasta najbliższy konfident Richelieugo, kapucyn Ojciec Józef. Był tylko zwykłym członkiem królewskiej Rady, ale nie darmo zwano go szarą Eminencją.

Zasada osobistej lojalności po jednej stronie, osobistego zaufania po drugiej - to wyjaśnienie podobnych fenomenów jak kariera Ojca Józefa. Ale zdarzają się przypadki jeszcze bardziej zdumiewające. Oto pan Citois, który jest tylko mistrzem upustów krwi i lewatyw. Ten medyk Jego Eminencji dopuszczany jest do wielkich sekretów państwowych i wywiera na swego patrona wpływ niemały. Rzecz była zresztą w kraju znana. Oto przyszły minister, a wówczas intendent w Pikardii, Sublet de Noyers, pisze w czerwcu 1635 roku list z Péronne do kanclerza Séguiera. Skarży się na kłopoty z jakimś panem de la Marbière, „zięciem medyka Jego Eminencji, pana Citois”, który powołuje się na swe wpływy u kardynała. Intendent referuje sprawę i robi w końcu zastrzeżenie: „Po życzliwości,

jaką Pan raczy okazywać swemu bardzo uniżonemu słudze, śmiem się spodziewać, że w całej tej sprawie nie zostanę wymieniony, z uwagi na pana Citois”!

W klanie Eminencji ogromną rolę odgrywają jego krewni. Pojęcie rodziny jest przy tym iście średniowieczne, to znaczy niebywale rozszerzone. Rodzina to wielka struktura pozioma, ogarnia nawet bardzo dalekich kuzynów i powinowatych. Starcza ożenić się z krewniaczką kardynała w szóstym i siódmym stopniu pokrewieństwa, by stać się jego familiantem i wejść do klanu. Dla dopuszczonych do kompanii jest to rękojmia łask Wielkiego Patrona; dla kardynała gwarancja lojalności: familianci nie będą przecież uprawiać opozycji. Oczywiście gwarancja taka nie jest niezawodna. Trzeba wszelako wielkiej nielojalności, by się narazić na niełaskę i represje.

Jesienią 1634 roku przydarzyło się kardynałowi takie - i podwójne - pudło. Dwie jego kuzynki, panny de Pontchâteau, wydane przezeń zostały za dwóch wielkich panów, powiązanych w dodatku z wrogami Eminencji: mogła się zdawać, że to nowy krok Richelieugo na drodze poskramiania arystokracji. Starszej panie de Pontchâteau dostał się syn diuka d'Épernon, niebezpiecznego wroga kardynała - diuk de La Valette; młodsza wychodziła za pana de Puylaurens, mianowanego właśnie diukiem, głównego faworyta Gastona. Kontrakty ślubne podpisywane były w prywatnym gabinecie kardynała w Rueil; podwójny mariaż uświetniły wspaniałe festyny, bale, komedie i balety.

Niestety. Puylaurens okazał się nielojalny: nie dotrzymał obietnic złożonych kardynałowi: nie wpłynął w oczekiwanym kierunku na Gastona. Co gorsza, utrzymywał kontakty z wrogami królestwa. Dwa i pół miesiąca po wejściu do „rodziny” kardynała los Puylaurensa się dopełnił: „Richelieu kazał go aresztować w Luwrze, podczas próby baletu”, pisze panna de Montpensier. Przed Gastonem, dość wystraszonym, kardynał udawał Rzymianina: dobro króla stawia oto przed uczuciami rodzinnymi! Z drugim familiantem także skończyło się fatalnie. We wrześniu 1638 roku, podczas oblężenia hiszpańskiej twierdzy Fuenterrabia skłóceniu dowódcy, księżę de Condé i diuk de La Valette, ponieśli sromotną klęskę. Condé zrzucił winę na diuka, ten zamiast się usprawiedliwiać wołał uciec do Anglii. Richelieu dojrzał w tym wszystkim nie zwyczajną nieudolność, ale spisek: naciskał na króla, by wytoczyć diukowi proces. Skazano La Valette’a zaocznie na śmierć i dokonano egzekucji in effigie. „Związek rodzinny z kardynałem nie dał mu osłony - pisze Montglat - bo ten karał surowo uchybienie obowiązkowi i nie oszczędzał swych krewniaków bardziej niż innych”. Ta reakcja pana de Montglat jest dokładnie taka, jakiej kardynał oczekiwał.

Miał wszelako Montglat rację, gdy stwierdzał, że Richelieu starał się ułatwić swym krewnym zadanie: „Nie chciał, by król mógł mu zarzucać potem wybór krewniaka”. Gdy zatem powierzył w 1639 roku dowództwo swemu kuzynowi de La Meilleraye (był to wnuk adwokata La Porte’a, dziada Richelieugo ze strony matki) - dał mu takie środki, tylu ludzi i tyle dział, że, jak pisze Montglat, było niemożliwe, aby La Meilleraye nie odniósł sukcesu. Tu zresztą pamiętnikarz nieco przesadził. La Meilleraye miał po prostu talent dowódczy, był energiczny i odważny. Inni krewni

kardynała mimo różnych ułatwień ponosili porażki i popadali w niełaskę u patrona. Na krótko niełaska dotknęła szwagra Richelieugo, Urbana de Maillé-Brézé; nie sprawdził się siostrzeniec kardynała markiz de Pont-Courlay i oddać musiał stanowisko generała galer królewskich innemu krewniakowi, utalentowanemu Armandowi de Brézé. Klasyczne mycie głowy krewniakom urządził Richelieu nierzadko. I nie bez powodu. Mniej tu było samowoli i opozycji niż później w klanie Bonapartów, ale chyba tyle samo miernoty ożenionej z ambicjami.

Osobisty charakter powiązań kreatur kardynała z patronem podkreśla jeszcze i to, że spora część klanu towarzyszy mu nieustannie: jeździ z nim po kraju, śpi pod jednym dachem, pracuje pod jego dyktando, rozwesela szefa lub służy mu do wyładowywania gniewu i złości. W zamian za wierną służbę kreatury Richelieugo mają godności i urzędy, władzę i prestiż, dostęp do tajemnic stanu; gaże, gratyfikacje i nadania majątków. „Można nazwać Richelieugo najlepszym w świecie panem dla tych, którzy mu służyli” - stwierdza w pamiętniku ksiądz Antoni Arnauld. Z kolei kreatury kardynała ciągnęły za sobą do góry własnych protegowanych, płacąc im za lojalność ułamkiem władzy, częścią prestiżu, dochodami i godnościami. Niekiedy patronowali duży karierom. Sublet, który miał niewielki krąg przyjaciół i był oszczędny w faworach (hamował nieraz awanse oficerów) - zdołał jednak zapewnić w 1641 roku stanowisko generała dowodzącego armią swej kreaturze. Był to Jean-Baptiste Budes hrabia de Guébriant, od 1642 roku marszałek Francji. „Nareszcie jesteśmy generałami *en chef* armii” - pisał do faworyta. - Powiadam: my, bo mam, zdaje się, moją część w tym dobrym losie i honorze, który Panu przypadł”.

Powstawały w ten sposób wielopiętrowe hierarchie kreatur obsiadających stanowiska administracyjne, sądowe, wojskowe, kościelne; zawsze wsparte na zasadzie osobistych lojalności i łańcuchu wzajemnego zaufania. Z naszymi wyobrażeniami o bezosobowej, biurokratycznej maszynerii absolutyzmu nie ma to nic wspólnego, żywo natomiast przypomina średniowieczne hierarchie senioralno-wasalne.

Na pierwszy plan bez wątpienia wybija się rudowłosy mnich w kapucyńskim habicie, François Le Clerc du Tremblay, czyli Ojciec Józef. W opinii wrogów jawi się nam jako rodzaj ambitnego i chciwego XVII-wiecznego Rasputina. „Zacny ojczulek - pisał Mateusz de Morgues - który zdycha z ambicji w swoim pokutnym worku... który skrył w szorstkim kapturze żądę posiadania szkarłatnego kapelusza... wykolejony mnich pragnący zachować swą karoce, swój [pański] tryb życia, swój dobry stół i uwolnić się od rygorów swej reguły, od świętej klauzury w swym klasztorze... zakonnik-luteranin”. Markiz de Montglat demonizował z kolei nie tyle jego osobę, ile jego politykę: „Był to bardzo zręczny człowiek, który podpalił całą Europę i, jakim tam by nie był kapucynem, zrobił wszystko, co tylko mógł, by dać luteranom panowanie nad Niemcami”.

Określenie „szara Eminencja” może sugerować, iż była to szara mysz żyjąca w głębokim cieniu i sącząca dyskretnie swe rady wszechmocnemu kardynałowi. Otóż nic podobnego. Pochodzeniem społecznym, wykształceniem, a przez długi czas także politycznym wpływem Ojciec Józef przewyższał wyraźnie Richelieugo. Urodził się w Paryżu, w roku

1577. Jego ojciec pochodził z dobrej rodziny szlacheckiej, miał stanowisko prezydenta jednej z izb parlamentu paryskiego i był wysoko notowany na dworze Henryka Walezego (ojcem chrzestnym Franciszka du Tremblay był jeden z książąt krwi). Matka wywodziła się z bardzo wielkiego rodu La Fayette'ów. Na giełdzie szlacheckich snobizmów takie pochodzenie notowane było nierównie wyżej niż szlachecko-mieszczańskie pochodzenie Richelieugo. Podobnie jak Richelieu odbył studia w Paryżu na Sorbonie i później w „akademii” Pluvinela. Ale potem studiował jeszcze we Włoszech, między innymi prawo, głównie na słynnym uniwersytecie padewskim. Towarzyszył ambasadorowi Henryka IV w misji do Londynu, obracał się w uczonych i literackich kręgach dworu Elżbiety I. Później także wiele podróżował, mnóstwo czasu spędzał w Rzymie, Madrycie, w Niemczech. Szczegółową wiedzą o świecie (także pozaeuropejskim) bił na głowę Richelieugo, który odbył raz tylko młodzieńczą podróż do Rzymu, później zaś spędził trochę czasu w Sabaudii podczas kampanii włoskich. Wreszcie przez długi czas Ojciec Józef miał wielkie wpływy u regentki Marii Medycejskiej, potem u króla Ludwika, a także wśród hierarchii kościelnej i arystokracji dworskiej. To on wówczas protegował Richelieugo, którym był zafascynowany, a nie odwrotnie. Jako jedyny wybitny przedstawiciel partii dewotów poparł kardynała w momencie, gdy drogi tej grupy i Richelieugo zaczęły się rozchodzić; oddał na usługi szefa rządu swą wiedzę, inteligencję, gorliwość i pracowitość.

Przyczyny, dla których świetnie się zapowiadający kandydat na dyplomata wstąpił nagle do nowicjatu kapucynów w Orleanie, były i są nadal niezupełnie jasne. Plotkowano wiele o jego trudnych latach dziecińczych i młodzieńczych: ojciec go odumarł w wieku 10 lat, co było dlań wstrząsem; przeżył potem gwałtowną a nieszczęśliwą miłość... Opowiadano nawet, że zdecydował się na klasztor po tym, jak jego matkę zmaltretowała grupa żołnierzy-maruderów. Mówiono również, iż nie jest zupełnie zrównoważony psychicznie, ma urojenia i halucynacje, że dla umartwienia torturuje się rozpalonym żelazem. Nikt nie kwestionował jego błyskotliwej inteligencji, wiedzy, świetnych talentów kaznodziejskich, zręczności w negocjacjach dyplomatycznych. Wiedzy o problemach politycznych miał, jako się rzekło, więcej niż Richelieu, który go jednak przewyższał wolą, zdolnością koncentracji, umiejętnością podejmowania decyzji. Ojciec Józef był również świetnym publicystą, a w wolnych chwilach nawet poetą. Napisał sążnisty poemat po łacinie pod tytułem *Turcjada*, który w opinii pochlebców uchodził za chrześcijańską *Eneidę*. Wahalibyśmy się podpisać pod tą oceną.

Po pobycie w seminarium kapucynów w Rouen, na samym początku stulecia, i po stażu w klasztorze paryskim na ulicy Saint-Honoré (nauczał tu kapucynów filozofii), Ojciec Józef zaczął pełnić coraz ważniejsze funkcje zakonne. Miał wielkie powołanie misjonarskie, marzyło mu się nawracanie pogan. Na razie ograniczał się do działań misjonarskich w zachodnich prowincjach Francji, gdzie wciąż bardzo liczni byli protestanci. Przy tej sposobności poznał biskupa Luçon.

Od spraw francuskich długo odciągały go chimeryczne rojenia o krucjacie antytureckiej; jego współnikiem był tu równie chimeryczny diuk

de Nevers, który jako potomek po kądzieli dynastii Paleologów, ongiś władców Bizancjum, wymarzył sobie powrót do Konstantynopola na czele „chrześcijańskiej milicji”. Nevers szukał poparcia dla tej idei - bez efektu - m.in. w Niemczech i w Polsce, u Zygmunta III. Ojciec Józef sekundował mu gorliwie w kurii rzymskiej i w Madrycie. Nic z tego wszystkiego nie wyszło, między innymi dlatego, że po zwycięstwie Chodkiewicza pod Chocimiem (1621) obawy przed Turkami bardzo się w Europie zmniejszyły, trudno było liczyć na antyturecką solidarność władców i szlachty. Potem Ojciec Józef wciągany był coraz bardziej w politykę rządu francuskiego, u boku Eminencji; diuk de Nevers musiał się zająć swą mantuańską sukcesją.

Coś jednak pozostało z rojeń o krucjacie. Ojciec Józef mianowany został prefektem kapucyńskich misji zagranicznych, które przemierzały wiele krajów, także Afryki i Azji. Okazało się, że skromni braciszczowie św. Franciszka mogą znakomicie wykonywać funkcje wywiadowcze. W szerokim sensie słowa: zbierali informacje polityczne, ekonomiczne, handlowe... Ta sieć kapucyńskich misji bardzo ułatwiała rządowi w Paryżu rozpoznanie sytuacji międzynarodowej.

Ojciec Józef od początku rządów Richelieugo współpracował z nim półoficjalnie, lecz bardzo aktywnie. Ogromnie ich zbliżyła sprawa likwidacji hugenockich struktur politycznych; pod Roszelą kapucyn był tak niebywale aktywny, że doczekał się gorących pochwał króla. Wbrew innym dewotom pozostał przy kardynale. Zaważyły tu różne motywy: żywe poczucie „narodowej wielkości Francji”, niechęć do Habsburgów, zamiłowanie do gry politycznej i, *last not least*, fascynacja osobowością Richelieugo. W latach trzydziestych, gdy położenie międzynarodowe Francji coraz bardziej się komplikowało, rola Ojca Józefa jako eksperta i doradcy w sprawach dyplomatycznych nieustannie rosła.

Współpraca tych dwóch ludzi, czerwonej i szarej Eminencji, układała się harmonijnie, choć różnice zdań się zdarzały. Ostre ataki kardynała na układ ratyzboński bynajmniej nie popsuły wzajemnych stosunków: gdy w grudniu 1630 roku kapucyn wrócił do Paryża, Richelieu powitał go komplementami, złożył mu jako pierwszy wizytę w klasztorze i bez trudu namówił na dalsze współdziałanie.

Są liczne dowody, że kapucyn potrafił wpłynąć na zmianę stanowiska kardynała w różnych kwestiach. Oczywiście bywało i odwrotnie. Gdy wysyłano za granicę agenta z ważną misją, Ojciec Józef układał projekt instrukcji, dawał ją Eminencji, później obaj dyskutowali nad sprawą, uzgadniali poglądy - i kapucyn dyktował instrukcję definitywną. Niekiedy zachowały się oba teksty, pierwsza wersja Ojca Józefa i ostateczna instrukcja: można wówczas zbadać różnice i ustalić, o ile pogląd Richelieugo był odmienny. Są to sprawy bardzo szczegółowe, nie pozwalające na uogólnienia: czasem to kapucyn był ostrożniejszy, zachowywał rezerwę, a kardynał ujawniał więcej energii czy wręcz wojowniczości, czasem bywało akurat odwrotnie. W zasadniczych kwestiach obaj *compères* bez trudu dochodzili do porozumienia.

Był też Ojciec Józef w dobrych stosunkach z oboma Bouthillierami: ojcem, który pełnił funkcje ministra spraw zagranicznych do roku 1632,

oraz jego synem i następcą, hrabią de Chavigny. Przyjmował różne uwagi czy inicjatywy Chavigny'ego, był dlań życzliwy. Nie obeszło się jednak bez zatargów: Chavigny skarżył się czasem kardynałowi na dominację kapucyna, który przecież - choć członek ścisłej Rady królewskiej - nie miał formalnych tytułów do dyrygowania ministrem spraw zagranicznych.

Największe wpływy miał kapucyn w latach 1632-35. Był jeszcze w świetnej formie fizycznej, choć zbliżał się do sześćdziesiątki. Richelieu przerzucał nań sporą część audiencji dla obcych dyplomatów i kapucyn świetnie sobie z tym radził. Chwytał natychmiast sedno sprawy, ale gdy mu na tym zależało, potrafił problem zaciemniać i komplikować. Umiał być i uprzedzająco grzeczny, i brutalny; jeśli nie chciał się zobowiązywać, genialnie się wywijał albo po prostu stwierdzał, że ostatnie słowo ma i tak kardynał Richelieu.

Jesienią 1632 roku Richelieu był bliski śmierci; także i w następnym roku kardynał czuł się marnie, był przybity i zmęczony, wspominał, iż niewiele mu czasu zostało na tym świecie. W ekipie rządzącej i na dworze zaczęły się szeptki i plotki w sprawie następcy. Wymieniano hrabiego Schomberga, ale ten zmarł właśnie w 1632 roku; mówiono o ministrze wojny Serwienie (Ojciec Józef go nie znosił), wielkie ambicje miał kardynał de La Valette. Ale coraz częściej plotkowano, że sam Richelieu widzi swego sukcesora w osobie Ojca Józefa. W grudniu 1633 roku dyplomata tokański Gondi raportował, że Richelieu już przekonał króla, by jako szefa rządu przyjął kapucyna, „który jest *creatura et anima* wspomnianego kardynała-diuka”. Najlepszą drogą do zapewnienia takiej sukcesji było uzyskanie dla Ojca Józefa kapelusza kardynalskiego: dałoby mu to niezbędny prestiż. Zaczęto o tym mówić już pod koniec 1632 roku, ale papież Urban stracił serce do kapucyna: uważał, że jest on odpowiedzialny za rozjątrzenie wojny w Niemczech, że napuścił na katolików niemieckich luteranina, szwedzkiego Gustawa Adolfa... Gdy francuski ambasador w Rzymie naciskał na papieża, ten mu odrzekł: „Ta sprawa to mój Pignerol”. Była to aluzja do uporu, z jakim Ludwik XIII odmawiał zwrotu tej ważnej sabaudzkiej twierdzy. Ostatecznie więc kapucyn umrze w kapturze, kapelusz kardynalski przejdzie mu obok nosa.

Ostatnie jego lata, 1635-38, były trudne. Ciągłe jeszcze sprawny intelektualnie i aktywny, tracił fizyczne siły. Jesienią 1636 roku, po ciężkich klęskach Francuzów na froncie, król bardzo się na szarą Eminencję zezłościł: kapucyn ujawniał poprzednio tyle wojennego entuzjazmu, optymizmu, tyle inicjatywy, że rozczarowanie Ludwika zwróciło się w znacznej mierze przeciw niemu. Wejście Francji do wojny trzydziestoletniej w 1635 roku nie zmniejszyło zresztą wcale znaczenia dyplomacji, bo w tamtych czasach potrafiono jednocześnie wojować i negocjować poufnie. Ojciec Józef ciągle - i coraz bardziej nawet - był kardynałowi potrzebny. Rujnował resztki zdrowia w tej wyczerpującej pracy, ale byłby ogromnie zmartwiony, gdyby tego nie mógł robić. Podobnie jak w kardynale Richelieu, tkwił w nim ciągle dawny uczeń akademii wojskowej pana de Pluvinel: pod Roszelą snuł wielkie plany zdobycia miasta, teraz także pasjonował się po amatorsku operacjami militarnymi. Kiedyś, gdy wojował palcem na mapie i śmiałym manewrem

przeprowadzał wojsko przez rzekę, jeden z generałów oblał go zimną wodą: „Ojcze, twój palec nie jest mostem”, rzekł drwiąco.

W 1638 roku Urban VIII już się łamał pod nieustannym naciskiem Francuzów w sprawie kardynalskiej nominacji dla Ojca Józefa, gdy nagły atak apopleksji stał się sygnałem, że kapucyn jest bliski śmierci. W październiku Richelieu zlecił ambasadorowi w Rzymie nie nalegać już na ten awans i, jeśli będzie trzeba, spowodować jego odroczenie. Bał się, że nominacja, tuż przed śmiercią, Ojca Józefa zablokuje szanse innego francuskiego kandydata. Tym kandydatem stał się Giulio Mazarini.

15 grudnia 1638 roku przy kolacji przyszedł drugi udar. Już po pierwszym kapucyn nie odzyskał pełnej sprawności, miał między innymi trudności z mówieniem. Zmarł 18 grudnia. Richelieu bardzo się przejął: „Straciłem moją podporę” - oświadczył.

Kapucyn miał na ogół szczęśliwą rękę w doborze ważnych agentów dyplomatycznych. O jednym była już mowa: to baron Herkules de Charnacé, kreatura Ojca Józefa, a zarazem powinowaty kardynała (jego zmarła żona była z domu de Maillé-Brézé). Jako ambasador w Holandii dostał dowództwo francuskich posiłków. W 1637 roku, podczas oblężenia Bredy, ostrzegał księcia Orańskiego przed narażaniem się. „Jeśli pan się boi, niech się pan cofnie” - rzekł książę. Charnacé rzucił się w gęsty ogień i zginął. Chciałoby się powiedzieć, że wytrawni dyplomaci takich gestów nie robią. A jednak Charnacé był świetnym dyplomata, tylko, jak i inni, ten zręczny gracz ciągle miał Bayarda za skórą.

Doskonale się spisywał w dyplomacji inny żołnierz, kuzyn Ojca Józefa, markiz de Feuquières, inteligentny, ostrożny, uprzejmy. Udał się też kapucynowi wybór dwóch agentów, słanych często do Niemiec. To panowie La Grange aux Ormes i Melchior de Lisle. Choć protestanci, byli z kapucynem w zażyłych stosunkach. O panu de Lisle jeden z dyplomatów angielskich powiadał, że to naprawdę niezrównany szelma. Był bystry, przedsiębiorczy, bezpośredni: osiągał świetne rezultaty negocjując z Niemcami przy kielichu. Kreatury Ojca Józefa potrafiły działać śmiało i elastycznie, dostosowując się do zmiennych okoliczności. „Znalazłem tu sprawy w takim sianie, że bardzo to było odległe od instrukcji, którą otrzymałem na dworze” - tak w 1633 roku uzasadniał Feuquières swe inicjatywy. I dostawał dla nich aprobatę.

Zdarzały się jednak Ojcu Józefowi porażki. Jego kreatura, hrabia Henri de Marcheville, mianowany ambasadorem w Konstantynopolu, zachowywał się tam tak arogancko, że w 1634 roku wsadzono go po prostu na francuski statek odpływający do kraju. Inny pociotek kapucyna, Heucourt, został w 1638 roku skazany na śmierć za konszachty z Hiszpanami. Nieudane były również niektóre protekcje wojskowe Ojca Józefa. Szwagier Feuquièresa Arnauld z poręki kapucyna został gubernatorem Philippsbourga: zawinił jawną lekkomyślnością i utracił tę ważną twierdzę dając się zaskoczyć wojskom cesarskim. Ludwik XIII był wściekły i ciskał gromy na dowódców, „którzy robią karierę dzięki mnichom”. Jednakże Ojciec Józef przetrwał wszystkie - było ich jeszcze więcej - porażki swoich kreatur.

Kapelusz kardynalski, który miał otrzymać Ojciec Józef, przypadł w

końcu Mazariniemu, ale nie bez trudności, dopiero u schyłku 1641 roku. Długo też trwała przemiana tego papieskiego dyplomaty w kreaturę Richelieugo. Znali się od stycznia 1629 roku, pierwsze wrażenia po obu stronach były wyborne, lecz Mazarini wydał się Eminencji zbyt „hiszpański”. Wszelako sam Mazarini twierdził potem, że gdy miał 22 lata pewien parmeński astrolog zalecał mu służyć nie Hiszpanom, lecz Francuzom, bo u nich czeka go wielka kariera. Był to bez wątpienia zdolny astrolog.

W latach 1631-36 Mazarini wiele czasu spędzał w Paryżu; jego liczne misje na zlecenie papieża Urbana VIII miały zawsze pacyfistyczne cele: chodziło najpierw o zlikwidowanie konfliktu włoskiego, później o uchylenie groźby wielkiej wojny między Francją a Habsburgami. To mu się nie powiodło: gdy w 1635 roku wojna wybuchła, Mazarini liczył na to, że wynegocjuje znowu, jak jesienią 1630 roku pod Casale, rychłe zakończenie działań wojennych. Jednakże w marcu 1636 roku papież kazał mu opuścić Paryż: uznał, że jego wysłannik jest zbyt „francuski”. Istotnie, bliskie już wówczas i serdeczne były jego stosunki z kardynałem Richelieu. Mazarini, uczynny, miły, inteligentny, świetnie bawił Eminencję rozmową; pomagał mu sprowadzać z Włoch dzieła sztuki, antyczne, renesansowe i współczesne. Miał rzeczywiście doskonały gust artystyczny. Wybornie też negocjował: stwierdził, że Richelieu szybko się nuży trudnymi pertraktacjami. Potrafił go więc zabawić, świetnie wyczuwał, kiedy w negocjacjach trzeba szybko posuwać się do przodu, kiedy zaś nastrój rozmówcy wymaga zrobienia pauzy. Doskonale też sobie radził z Ojcem Józefem, ale głównym jego zwolennikiem w Paryżu stał się Chavigny.

Po wyjeździe z Paryża w marcu 1636 roku Mazarini nudził się okropnie w państwie kościelnym (najpierw w Awinionie, potem w Rzymie). Jesienią tegoż roku przyjął ofertę Richelieugo i stał się nieoficjalnym jego agentem w kurii rzymskiej. Bronił tu przez trzy lata interesów Francji, montował profrancuską partię w kolegium kardynalskim, starał się wpływać na papieża. Wyszukiwał też nadal dla Richelieugo dzieła sztuki, zajmował się sprawą stosunków między Francją a państwami włoskimi (stał się zwłaszcza specjalistą od problemów Sabaudii). Był już wówczas zdecydowanie antyhiszpański. Od stycznia 1639 roku był oficjalnym kandydatem Francji do nominacji kardynalskiej („Nieźle jest mieć dobrych przyjaciół, a ja nie należę do najmniej ważnych, jacy są na tym świecie” - pisał mu wówczas Richelieu). Latem 1639 roku stał się naturalizowanym Francuzem (przez co zresztą nie utracił statusu obywatela państwa kościelnego) i jako poddany króla Ludwika XIII mógł teraz otrzymać we Francji tłuste beneficja. Na zaproszenie Ludwika i za zgodą papieża opuścił Rzym 13 grudnia 1639 roku: od tej pory losy Mazariniego związały się już, na dobre i złe, z Francją.

Jego stosunki z Eminencją były znakomite. Richelieu trzymał go w rezerwie jako głównego negocjatora pokojowego, bo coraz więcej wówczas się mówiło o zwołaniu wielkiego kongresu w Kolonii lub Monasterze dla zawarcia powszechnego pokoju. Póki co służył kardynałowi w załatwianiu zawitych spraw Sabaudii, a w 1642 roku pomagał mu rozbijać rozgałęzioną konspirację Cinq-Marsa. W tych ostatnich miesiącach życia Richelieu

rozważał bez wątpienia kandydaturę Mazariniego jako swego następcy. Trudności były jednak znaczne: Mazarini słabo znał stosunki wewnętrzne Francji, zajmował się głównie polityką międzynarodową, opinia francuska z trudem strawiłaby taki awans cudzoziemca, zresztą Mazarini nie był nawet członkiem królewskiej Rady. Ludwik XIII powołał go do Rady dopiero po śmierci Richelieugo. Ale król miał wówczas ostatni napad woli rządu, nie życzył sobie nowego pierwszego ministra. Funkcje rządowe podzielił między trio Sublet - Chavigny - Mazarini, z wyraźną preferencją dla Subleta. Mazarini zrobi wielką karierę dopiero po śmierci Ludwika XIII, przy regentce Annie Austriackiej.

W latach trzydziestych ministrowie królewscy to kreatory Richelieugo; przezeń byli dobrani i kontrolowani. Udało się kardynałowi stworzyć zespół ludzi sprawnych, lojalnych, niezłe (mimo pewnych zatargów) współpracujących ze sobą. Ostatni przypadek spiskowania przeciw szefowi wydarzył się w 1632 roku, gdy strażnik pieczęci Châteauneuf dał się wplątać w intrygi pani de Chevreuse i zapragnął zostać pierwszym ministrem. Usunięty w początku 1633 roku spędził 10 lat w więzieniu; zastąpił go lojalny Séguier. Zdrad już później nie było, zdarzył się tylko mały kryzys rządowy w początku 1636 roku, gdy w niełaskę popadł utalentowany minister wojny Abel Servien. Zwróciły się przeciw niemu wpływowe kreatory kardynała w rządzie. Bullion mu zarzucał rozrzutność w wydatkach wojskowych, a zwłaszcza złą organizację zaciągów; Ojciec Józef miał do Serviena pretensje o kunktatorstwo w prowadzeniu działań wojennych i psucie stosunków Francji z jej sojusznikiem, sabaudzkim Wiktorem Amadeuszem; Chavigny insynuował nawet, że Servien ma kunszachty z wrogami kardynała... Klótnia w rządzie miała przedłużenia w rodzinnym klanie Richelieugo. Wśród jego krewniaków powstały dwie faksje: jedna skupiała się wokół pana de Maillé-Brézé, druga, mocniejsza, przy panu de La Meilleraie. Servien przyjaźnił się z panem Brézé. Kardynał był bardzo niezadowolony, że wśród jego kreatur eksplodowały takie konflikty; niechętnie, z ociąganiem, zgodził się na odejście Serviena, którego lubił i cenił. Chavigny zarzucał patronowi, że niełaska Serviena jest nadto łagodna: eks-ministra nie dotknęły represje, Richelieu okazał się bardzo wyrozumiały. Następcą Serviena został Sublet de Noyers.

Przez dziada La Porte'a Richelieu miał stare zażyłości z rodziną Bouthillierów: Dionizy Bouthillier odziedziczył kancelarię La Porte'a i opiekował się sierotami po Franciszku du Plessis. Cztery jego synowie rychło znaleźli się w klanie Richelieugo. Sebastian, bardzo zaprzyjaźniony z Eminencją, został biskupem, ale zmarł u progu wielkiej kariery swego przyjaciela, w 1625 roku: Wiktor Bouthillier dzięki poparciu Richelieugo został biskupem Boulogne, potem koadiutorem arcybiskupa Tours, jałmużnikiem Gastona Orleańskiego. Trzeci brat, Dionizy Bouthillier de Rancé, stał się sekretarzem i doradcą Marii Medycejskiej: gdy kardynałowi Richelieu zdarzało się opuścić dwór, pan de Rancé służył mu za szpiega i donosił o każdym kroku królowej-matki. Wreszcie Klaudiusz de Bouthillier został w 1629 roku ministrem spraw zagranicznych, nie bez wielu intryg, bo partia Marillaka miała innego kandydata. W 1632 roku oddał ten urząd synowi Leonowi, a sam został - do spółki z Bullionem -

szefem finansów.

Jego lojalność w stosunku do Eminencji była nieskazitelna, ale talenty bardzo mierne. Wiedzieli o tym wszyscy; gdy w 1640 roku zmarł mądry i twardy Bullion, Ludwik XIII bardzo się martwił, jak Bouthillier sobie sam poradzi w dżungli finansów państwa. „*Huomo di pochissimi talenti*” (Człowiek maleńkiego talentu) - pisał o nim Wenecjanin Contarini. Inni dyplomaci mieli doń pretensje o to, że nie stać go na szybką decyzję. „*Butillierius filius nihil nisi cursitat, pater differt omnia*” (Bouthillier-syn ciągle gdzieś biega, ojciec wszystko odkłada na później) - to opinia słynnego Holendra Grocjusza, który pełnił wówczas w Paryżu funkcje agenta szwedzkiego kanclerza Oxenstierny. Miał jednak Bouthillier niemałe zalety. Rojalista bez zmały i skazy, szczerze uwielbiał Ludwika XIII. Rozkazy Richelieugo były dlań równie święte, jak przykazania Boże. Claude Bouthillier to idealny wykonawca woli zwierzchników: sumienny, pracowity, wierny, dokładny. Jako jeden z dwóch nadintendentów finansów zostawiał Bullionowi wielką politykę skarbową i z radością wykonywał nużące prace techniczno-rachunkowe. Wyřęcał nierzadko syna w żmudnej robocie papierkowej resortu spraw zagranicznych, kardynałowi załatwiał różne prywatne zlecenia, trochę dlań szpiegował na dworze. Gdy w 1641 roku Zgromadzenie kleru nie chciało dać żądanej „dobrowolnej darowizny”, Bouthillier zajął się kupowaniem głosów deputowanych; ponieważ był oszczędny, łapówki dawał dosyć skromne. Każda ekipa rządząca potrzebuje takiego drwala, każdemu szefowi rządu przydaje się takie *factotum*.

O Leonie Bouthillier hrabim de Chavigny, jego licznych funkcjach i gorliwych działaniach była już mowa. Zdolniejszy od ojca, obrotny, witalny - miał wśród tych zajęć czas dla przyjaciół i kochanek. Obcy ambasadorowie ze zgorzeniem opisywali jego „lubieżności”; Anglik Leicester raportował, że francuski minister spraw zagranicznych często „nocuje w domach, w których się trzyma kąpiele i łaźnie parowe, a czasem i w innych miejscach”. Z tego samego donosu wiemy, że Chavigny, Bullion i inni jeszcze dygnitarze „piją czasem jak wściekli”. Zaszkoziło to widocznie jego zdrowiu, -bo Chavigny zmarł w 1652 roku mając zaledwie 44 lata; nie mogło jednak zaszkodzić karierze. Richelieu z taką wyrozumiałością traktował młodego ministra, że złe języki widziały w tym potwierdzenie plotek, iż był on owocem cudzołożnej miłości kardynała i pani Bouthillier. Żona Klaudiusza i matka Leona w istocie cieszyła się wielkim afektem Richelieugo, co poświadczają liczne listy, które jej posyłał. Miała z domu bardzo dumasowskie nazwisko: Maria de Bragelonne.

Wielkie kariery Bouthillierów były typowym przykładem tego, co wówczas określano mianem faworytyzmu. François Sublet de Noyers, od 1636 roku minister wojny, na swój awans musiał natomiast zapracować długim stażem urzędnika królewskiej Rady i intendenta. Chavigny obejmował urząd ministra w wieku 24 lat, Sublet był w momencie ministerialnego awansu dokładnie dwa razy starszy. Miał twarz gryzonia i maleńki wzrost: król go nazywał familiarnie małym poczcivicem, *le petit bonhomme*. Poczcivic był wyjątkowym zelantem religijnym: „codziennie

się beatyfikuje” - mówił o nim ironicznie Richelieu. Podejrzewano, że jest on jezuitą i zwano go „jezuita kalosz”. „Kaloszem” w paryskiej gwarze nazywano studenta, który nie mieszkał w kolegium, ale miał kwaterę w mieście: przychodząc na wykłady taki ekstern zostawiał kalosze przed drzwiami kolegium: Otóż Sublet był, zdaniem wielu, takim „eksternem” u jezuitów.

Le petit bonhomme znał się na sprawach wojska i wyróżniał się mrówczą pracowitością. Od dnia nominacji na ministra do śmierci Richelieugo wyekspediował około 18 tysięcy listów i depesz do dowódców wojskowych; czasem słał kilka depesz w ciągu jednego dnia do tego samego generała. Tłumaczył, że „dobry sternik tyle razy zmienia swoje żagle, ilekroć zmienia się wiatr, i nie można go ganić za lekkomyślność”. Co ważniejsze, żądał, by jego polecenia były wykonywane bez żadnej zwłoki i kontrolował, czy tak się dzieje. Cenił wartość detalu, nie tracąc z oka szerokiej przestrzeni, na której się toczyła gra wojenna i polityczna. Richelieu cenił go bardzo, choć specjalnie nie darzył afektem; radził się Subleta w różnych kwestiach administracyjnych i wojskowych, obsypywał go łaskami. Na wniosek kardynała król powierzył Subletowi ważne stanowisko nadintendenta budowli królewskich: dawało ono administracyjny zarząd Luwru i innych pałaców monarszych, królewskiej drukarni i mennicy.

Sublet służył także kardynałowi, choć dużo rzadziej niż Chavigny, w roli pośrednika między Eminencją i królem. Przekazywał Ludwikowi propozycje kardynała, informował szefa o nastrojach monarchy. Jeden z pamiętnikarzy twierdzi, że gdy czasem Ludwik narzekał przy nim na Richelieugo, Sublet nie puszczał pary z gęby. „Nie chciał usprawiedliwiać kardynała ze strachu, że obrazi króla, ani potwierdzać argumentów króla z obawy, że obrazi kardynała”.

Podobnie jak Sublet kanclerz Pierre Séguier wypracował swą ministerialną karierę długą praktyką zawodową. Był sędzią i jednym z prezydentów parlamentu paryskiego, strażnikiem pieczęci został w roku 1633 po upadku pana de Châteauneuf: miał wówczas 45 lat. Dwa lata później otrzymał tytuł kanclerza. Był to tytuł dożywotni i do tej pory pocieszał się nim pan d'Aligre, od 1626 roku w niełasce. Kanclerz to tradycyjnie wielka postać: szef sądownictwa, odgrywał też dużą rolę przy tworzeniu i interpretacji prawa, przy zawieraniu traktatów międzynarodowych. Wpływał na nominacje sędziowskie i pracę sądów, z parlamentami włącznie; przykładał pieczęcie na administracyjnych decyzjach króla, aktach łaski, ale i ustawach: jeśli uważał, że są sprzeczne z interesem państwa, mógł odmówić ich opieczetowania, co często skłaniało króla do nowego zbadania sprawy. Oczywiście przed wyraźnym rozkazem monarchy kanclerz musiał się ugiąć. Miał też policję sztuk i nauk: nadzorował szkoły i akademie, drukarnie, księgarnie, pracownie artystów.

Była to wielka władza, jednakże Séguier w całej tej sferze kanclerskich uprawnień przygnieciony był autorytetem Richelieugo. Włączył się do klanu kardynała dzięki małżeństwu córki z krewniakiem Eminencji. Później, za czasów Ludwika XIV umocni własny klan, z solidną bazą w majątkach ziemskich, urzędach, rentach: gdy umierał w 1672 roku,

pozostawił w spadku co najmniej 4 miliony liwrów. To zresztą niewiele w porównaniu z dwudziestoma kilkoma milionami Richelieugo czy ośmioma milionami Bulliona. Ale przeciętny dygnitarz z administracji centralnej nie przekraczał wówczas sumy jednego miliona.

Séguier, wybitny humanista, był kolekcjonerem: zbierał nie tylko dzieła sztuki, ale także rękopisy i książki. Dzięki jego archiwum znamy dość dobrze mechanizmy zarządu wewnętrznego Francji w XVII wieku. Był też Séguier pobożnym i skrupulatnym chrześcijaninem. Zastanawia nas dzisiaj, jak ów świątły humanista i człowiek wielkiej wiary czuł się w roli oberpolicmajstra, którą mu chętnie powierzał Richelieu. Wiadomo, że potrafił bezlitośnie miażdżyć ludowe rewolty.

Postacią numer dwa w tej ekipie rządowej nie był jednak Séguier, lecz nadintendent finansów Bullion. Najstarszy z całego grona, gdy po śmierci pana d'Effiat (1632) obejmował - do spółki z Bouthillierem - zarząd Skarbu, miał koło sześćdziesiątki. „Był mały, gruby, czerwony i łasy na wyzerkę” - pisał Tallemant. I dalej: „Miał niejedną ślicznotkę i hulał zapamiętale. Kazał sobie robić lewatywy, aby potem znów ćpać do rozpuku. Nadzwyczaj wybredny był w smakowaniu wina”. Nawet damy z arystokracji miały doń słabość mimo jego niepokąźnego wyglądu, bo, ciągle wedle Tallemanta, „potwierdzał znakomicie przysłowie, które głosi, że im mniejszy kundel, tym ogon okazalszy”. Na tle świętoszków Subleta i Séguiera, na tle bezbarwnego pracusia Bouthilliera - Bullion jest postacią pełnokrwistą. Bo to nie była bynajmniej figura groteskowa, ale znakomity minister finansów, z tych, którzy potrafią wycisnąć pieniądze z kamieni. Był znacznie lepszym cudotwórcą niż eks-kapucyn Dubois, którego Ojciec Józef zarekomendował kardynałowi jako specjalistę od zamiany ołowiu w złoto. Richelieu zgodził się ułatwić takie eksperymenty: gdy nic z nich nie wyszło, imć Dubois został skazany na śmierć za... magię i fałszowanie pieniądza! Okazuje się, że w mniemaniu kardynała magia wtedy jest karygodna, gdy nieskuteczna.

Bullion pochodził z dość zamożnej rodziny urzędniczej szlachty; przez długie lata nabierał doświadczenia administracyjnego w różnych sekcjach królewskiej Rady. W klanie Richelieugo znalazł się około roku 1628. Jako minister przez długie lata umożliwiał kardynałowi prowadzenie „polityki wielkości”, a potem - wielkiej wojny. Ale zachował wobec Eminencji postawę tak niezależną jak żaden z ministrów. W opinii obcych dyplomatów uchodził - i słusznie - za pacyfistę: dostarczał pieniądze na cele wojenne, ale wciąż wzdychał do pokoju, mówił królowi i kardynałowi o potrzebie reformy wewnętrznej. W listach i memorandumach do Richelieugo dramatyzował sytuację, zarzekał się, że już niczego więcej nie może zrobić. Gdy otrzymywał od króla i kardynała wyraźne rozkazy, nie buntował się, ale znakomicie potrafił uprawiać bierny opór. Krył się w gąszczu zawikłanych mechanizmów finansowych monarchii, wybornie gmatwał sprawę, dawał mnóstwo obietnic, których następnie nie dotrzymywał. Richelieu go lubił i cenił; często jednak Bullion doprowadzał go do rozpacz swym nieposłuszeństwem. Listy kardynała dowodzą, że wszechwładny szef rządu słabo kontrolował swą finansową maszynę; przyznawał się on zresztą szczerze (i może trochę przesadnie) do

niekompetencji w tej dziedzinie. Różne klęski wojenne Richelieu tłumaczył chętnie królowi oporem Bulliona: nadintendent finansów stawał się kozłem ofiarnym także w przypadku zawinień samego szefa rządu. Tak było np. w 1639 roku gdy z braku pieniędzy na opłacenie Gryzonów Francuzi stracili kontrolę nad Walseliną. Richelieu szalał, straszył króla upadkiem francuskich wpływów we Włoszech i oddaleniem się perspektywy pokoju. W istocie wielka część winy za to, co się stało, spadała na samego kardynała i na Ojca Józefa.

Opowiadano mnóstwo plotek o dokumencie, jaki Richelieu wymusił od Bulliona. Wedle Montglata i Tallemanta było to przyznanie się do złodziejstw, na podstawie którego można było Bullionowi wytoczyć proces sądowy; Tallemant twierdzi nawet, że aby zmusić Bulliona do złożenia podpisu, kardynał dusił mu szyję szczypcami z kominka (!). Prawda jest bardziej banalna. Syn Bulliona zapragnął się ożenić z córką markizy de Toucy, krewniaczką kardynała. Jednakże minister, a nawet syn ministra nie mógł się wtedy żenić bez zgody króla. Ludwik nie okazał entuzjazmu, więc Bullion - za cenę interwencji Richelieugo - zgodził się w styczniu 1639 roku na podpisanie układu z kardynałem. Zapewne bez zachęty w postaci szczypiec.

Bullion zobowiązał się, primo, zrezygnować z „namiętności” i „załatwiać wszystkie sprawy wedle wskazań rozumu”; secundo, ograniczyć swą fortunę i „nie pożądać na przyszłość dalszego jej wzrostu”. Punkt trzeci przewidywał takie zmiany w księgowości, by kardynał mógł ją kontrolować, punkt czwarty - najbardziej utopijny - nakładał na Bulliona obowiązek pracy nad reformą finansów i „ulgami dla ludu”. Richelieu natomiast zobowiązał się załatwić sprawę mariażu Bulliona-syna.

Prawdą jest, że ten sprawny szef finansów ogromnie powiększył fortunę Bullionów, ale gadano o tym z wielką przesadą: przypisywano mu 2,5 miliona rocznego dochodu, dwa razy więcej, niż wynosiły dochody Richelieugo! W istocie miał około 8 milionów majątku. Jego chciwość i zamiłowanie do luksusu budziły zgorszenie wśród rosnącej nędzy ludu; inna sprawa, czy akurat Richelieu, drugi smolący ganek, miał moralne prawo mu przyganiać. Bullion pobudował sobie piękny pałac w Wideville, między Wersalem a Saint-Germain. Ulubionym towarzyszem jego hulank był Chavigny; Bullion lubił go wyřęcać w kontaktach z ambasadorami angielskimi. Był specjalistą od spraw Anglii, tak jak Mazarini - specjalistą od problemów włoskich.

Wszyscy ci członkowie ekipy rządowej mieli tę wspólną cechę ze swym szefem, że zrobili karierę bez wielkiego nazwiska, tytułu, majątku. Ich początki były stosunkowo skromne. Richelieu odsunął na dalszy plan książąt krwi, szczyty arystokracji, wielkie dynastie urzędnicze. Stworzył swój rząd z ludzi zdolnych, sprawnych, pracowitych, a przede wszystkim oddanych. Nad wszystkimi górował mocną indywidualnością, wolą, inteligencją, wyobraźnią. Ani on, ani jego ministrowie nie stali się wielkimi reformatorami instytucji: poruszali się w obrębie urzędzeń tradycyjnych, mieli usposobienie konserwatywne. Ale jak wielu inteligentnych konserwatystów potrafili działać z wielką elastycznością i zmieniać dawne układy sił. W ten sposób rząd kardynała Richelieu bardzo umocnił pozycję

administracji centralnej, a osłabił administrację prowincjonalną i wojskową oraz sądy najwyższe (parlamenty, z paryskim na czele).

Wśród kreatur Richelieugo niemałe znaczenie mieli jego domownicy. O doktorze Citois, spowiedniku Mulet, specjaliście od szyfrów panu Rossignol - była już mowa. Pofne zadania wykonywał sekretarz Charpentier, pomagający kardynałowi od czasów Luçon. Umiał świetnie imitować pismo Richelieugo; gdy etykieta wymagała, by list był własnoręczny, zwykle produkował go Charpentier. „Nie znałem nikogo, kto by mi służył z większym oddaniem, honorem, lojalnością” - pisał o nim kardynał w swym testamencie prywatnym. Jego kuzyn Cheret był w służbie Richelieugo od 1630 roku: zazwyczaj pełnił dyżury nocne i pisał depesze, dyktowane przez kardynała w godzinach jego nocnej pracy. Przy jakimś osobniku posłanym do Bastylii znaleziono listy od Chereta, w których skarżył się on na „ciężką niewolę”, jaką jest ta służba u kardynała. Wedle Tallemanta Richelieu, zirytowany, chciał go wyrzucić, z trudem uratowała go pani Combalet.

Ważne miejsce w domu kardynała zajmował ksiądz Le Masle. Był przy swym patronie od niepamiętnych czasów. Kierował prywatnymi finansami Richelieugo; był intendentem pałacu, ale czasem i on dostawał polityczne zadania. W bibliotece kardynała pracowali: pan Cébéret, teolog i dyplomata, oraz Gabriel Naudé. Sekretarzem Eminencji do spraw morskich był pan Martin.

W literaturze od lat błąka się legenda o wszechwiedzącej, niebywale rozgałęzionej „sekretnej policji” Richelieugo. Wyobrażano sobie ją jako potężną machinę biurokratyczną zorganizowaną w takich samych strukturach, jakie powstały później w absolutnych monarchiach XVIII i zwłaszcza XIX wieku. Niestety, nie potwierdzają takich wyobrażeń materiały archiwalne. Oczywiście istniała policja, tak kryminalna, jak polityczna; Richelieu sprzeciwiał się, gdy Bullion pragnął oszczędzać na płacach policjantów. Jednakże świetna informacja, jaką dysponował Richelieu na temat opozycji, spisków i w ogóle poruszeń elity dworskiej oraz arystokracji - to nie była zasługa agentów policyjnych. Kardynał szukał energicznie, i bez trudu znajdował informatorów w samym inwigilowanym środowisku. W zamian za przyrzeczenie fortuny, kariery czy choćby przymknięcia oka na jakieś grzechy pozyskiwano dla Eminencji „anteny”. Były to anteny i nadawcze, i odbiorcze: z jednej strony śledzono zachowania różnych ważnych osób, z drugiej, wedle dyrektyw kardynała i jego kreatur, starano się wpływać na opinie, postawy, postępowanie tych osób. Zachowały się liczne półszyfrowane listy, które ten proceder ujawniają: zwykle szyfrowano tylko nazwiska, liczbami lub pseudonimami (Scypion, Matuzalem...).

Przy królu wiernie służyli kardynałowi królewscy pokojowcy, panowie de La Chesnaye i de Boissonval. Bardzo aktywna była przy Annie Austriackiej para kreatur kardynała, hrabina i hrabia de Brassac (hrabiego Richelieu zrobił nadintendentem dworu królowej). Gdy król upodobał sobie pannę Marię de Hautefort, nieprzychylną kardynałowi, ten pozyskał sobie jej przyjaciółkę, pannę de Chemerault, piękną i ubogą (zwano ją la Belle Gueuse). Później faworytą króla została dumna, niezależna i pobożna

panna de La Fayette: Richelieu obstawił ją swą kreaturą, dominikaninem Ojcem Carré, który pełnił obowiązki spowiednika panny. Gdy w wyniku całego splotu intryg La Fayette poszła do klasztoru, Richelieu pragnął naraić królowi jako nową faworytę pannę de Chemerault, ale nic z tego nie wyszło.

Szczególnie mocno obstawiony został dwór Gastona Orleańskiego. Gdy brat króla wrócił po wielu peregrynacjach do kraju i zainstalował się na zamku w Blois - w jego otoczeniu znalazło się sporo ludzi kardynała. Nie wszyscy byli szpiegami Richelieugo. Niektórzy po prostu mieli dość ryzyka, pragnęli pogodzić Gastona z kardynałem, a co najmniej zapewnić sobie reasekurację u wszechmocnego ministra. Tu należą dwaj kuzyni, Leonard i Nicolas Goulasowie. Leonard był zaufanym sekretarzem Gastona (dobrze imitował jego pismo): szczery z patronem jak królewski błazen, a wierny jak pies, nie zdołał jednak zniechęcić Gastona do spiskowania. Jest w tej grupie ksiądz de La Rivière, *bel esprit*, mądry, wygadany i dandys: pierwszy duchowny, który ośmielił się nosić perukę; zmieniał bez przerwy swe koloratki i chwalił się powodzeniem u dam. Prawdziwymi agentami Richelieugo na dworze Gastona byli pan Brûlart de Boulay i wspomniany już pan de Bautru, dowcipniś i libertyn. Oczywiście ważną rolę na zamku w Blois grał także kanclerz Gastona Chavigny, notoryczna kreatura Richelieugo. Brat króla nie wtajemniczał go w swe zamysły, ale też nie uważał za narzuconego mu wroga. Chavigny potrafił zabawić Gastona, a to Monsieur cenił najbardziej. Łatwiej było nań wpłynąć dowcipem niż brutalnym naciskiem.

Jednakże prócz rządu i dworu należało jeszcze kontrolować wielki obszar państwa. Richelieu chętnie by i tu poprzestał na tradycyjnych instytucjach i na lojalności ich szefów. Kłopot polegał na tym, że o tę lojalność było bardzo trudno. Funkcje gubernatorów prowincji i dowódców armii oraz floty siłą tradycji należały do starej, rodowej arystokracji, skłóconej z kardynałem, nie poddającej się łatwo dyscyplinie rządów absolutnych. Z kolei niedawno nobilitowana szlachta urzędnicza i aspirująca do nobilitacji urzędnicza burżuazja tworzyły, dzięki paulette, silne dynastie i klany, połączone korporacyjną solidarnością. Właśnie w pierwszej połowie XVII wieku ugruntowała się pozycja tych dygnitarskich dynastii, które już do końca *ancien régime'u* tworzyć będą jego armaturę. To takie nazwiska, jak Ormesson, Talon, Caumartin, Lamoignon, d'Aligre, Séguier, Loménie de Brienne, de Mesmes, Molé... Ci „ludzie w tozde” mają w swych rękach urzędy sędziowskie i finansowe; od nich zależy ład wewnętrzny i zasobność Skarbu. Uzupełnia tę strukturę wielka liczba urzędów miejskich, także sprzedawalnych i dziedzicznych.

Otóż urzędnicza szlachta i burżuazja także mają liczne powody do niezadowolenia z rządów kardynała. Znamy już te powody: chodzi o mnożenie i wystawianie na sprzedaż wciąż nowych urzędów, przymusowe pożyczki, zakusy na *paulette*... Zadanie Eminencji, który pragnie posłusznych i sprawnych działań całego aparatu władzy, jest zaiste niełatwe.

Bardzo się starał, aby mu sprostać. Co się tyczy stanowisk gubernatorskich, dokonano na nich wielu zmian. Konspiratorzy tracili je wraz z

wolnością (pan de Vendôme, gubernator Bretanii), a nawet życiem (diuk de Montmorency, gubernator Langwedocji). Wiele gubernatorstw wzięł sam Richelieu, inne oddał swym kreatorom. Stara szlachta rodowa zatrzymała wielką porcję gubernatorstw. Historycy często skupiali swą uwagę na ostrych konfliktach Richelieugo z potężnymi wielkorządcami prowincji: diukiem d'Épernon, gubernatorem Gujenny, diukiem de Guise, gubernatorem Prowansji. Jednakże szczegółowe badania świetnego znawcy okresu, Rolanda Mousniera, wykazały, że lojalność szlacheckich gubernatorów wobec kardynała była zjawiskiem częstszym i solidniejszym, niż dawniej przypuszczano.

Co się tyczy armii, wśród marszałków Francji pojawili się bliscy współpracownicy kardynała (w 1625 roku Henri de Schomberg, zaś w roku 1637 jego syn Charles; w 1631 roku pan d'Effiat) oraz jego krewniacy (w 1632 roku de Maillé-Brézé, w 1639 roku de La Meilleraye). Nie byli to, po prawdzie, wielcy wojownicy. Po nominacji Effiata diuk d'Épernon, bliski już wtedy osiemdziesiątki, rzekł: „No cóż, panie d'Effiat, to i wy jesteście marszałkiem Francji! Za moich czasów fabrykowano ich niewielu, ale za to pierwszorzędnej jakości”. Sprawiedliwość każe wszelako przyznać, że i wśród pozostałych marszałków tego czasu, nie wypromowanych przez kardynała, brak było Wallensteinów.

Także marszałków-opozycjonistów dotknęły represje. Ludwik de Marillac i Montmorency zostali ścięci, Ornano i Bassompierre uwięzieni. Toirasa kardynał odsunął na boczny tor.

Osobliwością polityki Richelieugo było łamanie monopolu rodowej szlachty na stanowiska dowódcze przez promocje duchownych. Wielkie kariery zrobili zwłaszcza kardynał de La Valette („kardynał Lokaj”) w roli generała i arcybiskup Bordeaux Henri de Sourdis jako admirał. Obaj wykazali niemałe talenty dowódcze, wygrali sporo bitew.

Wobec „ludzi w todze” rząd stosował politykę zręczną. By ich sobie nie zrazić, Richelieu wycofał się z projektu reformy urzędów, zniesienia sprzedawalności i *paulette*. Omer Talon stwierdzał, że w rozmowach z delegatami parlamentu paryskiego „Richelieu był kurtuazyjny i grzeczny aż do przesady”. Jednak, dodawał pamiętnikarz, z sędziami parlamentów „rząd postępował twardo, chciano załatwiać sprawy autorytatywnie, nie w drodze uzgodnień”. Ale bo i ambicje polityczne parlamentów były wygórowane. Sprzeciwiały się one działaniom królewskich intendentów, nowym podatkom, kreowaniu nowych urzędów; poprzez krytyczne uwagi („remonstracje”) paraliżowały królewską działalność ustawodawczą. W wielu prowincjach parlamenty nie reagowały zdecydowanie przeciw rewoltom ludowym; rząd je podejrzewał o współnictwo z rebeliantami, o podżeganie do buntów. Stąd ostre konflikty z parlamentami w Aix, Rouen, Bordeaux. Delegatom parlamentu paryskiego Ludwik XIII oświadcza twardo w styczniu 1632 roku: „Jesteście ustanowieni po to tylko, by rozstrzygać spory między panem Piotrem i panem Jakubem... Jeśli będziecie kontynuowali te wasze poczynania, utnę wam rogi”. Ale aż do 1642 roku konflikty między rządem a parlamentami trwały.

Zręczność polityki kardynała polega na stosowaniu wypróbowanej zasady *divide et impera*. W obliczu kontestacyjnych nastrojów dygnitarzy

parlamentów, sędziów, urzędników finansowych i miejskich, Richelieu postawił na grupę „togi rządowej”. Był to spory zastęp radców królewskich i referendarzy, pracujących w różnych sekcjach królewskiej Rady. Ludzie z różnych środowisk społecznych: z dobrej rodowej szlachty lub szlachty wątpliwej; z kupieckiej burżuazji; z rodzin drobnych urzędników i totumfackich wielkich panów. Ludzie wykształceni, mający zwykle już staż pracy w administracji lub sądzie, sprawni i lojalni. Ich mentalność była zupełnie różna od zachowawczej mentalności „togi dziedzicznej”: nie są obrońcami urzędniczych przywilejów, tradycji, prestiżów, ale przede wszystkim ludźmi w dyspozycji rządu. Ich ambicje związały się całkowicie z popieraniem rządowej polityki, a kariery rekompensowały duży kapitał, który musieli zainwestować (urząd referendarza kosztował 150-180 tysięcy, wkupienie się do jakiegoś wpływowego klanu wymagało dania córce wielkiego posagu). Kariery to nieraz wspaniałe. Referendarze królewscy uważali, że mają monopol na stanowiska intendentów, a te z kolei wiodły ich do dygnitarstw ministerialnych, ambasadorskich, gubernatorskich. Nie wszystkich, oczywiście.

Opinie i postawy „togi rządowej” są kopią, może w zmniejszonym formacie, poglądów i postaw Richelieugo. Z korespondencji urzędowej królewskich referendarzy i radców, a zwłaszcza intendentów, wyłania się ich zamiłowanie do ładu, precyzji, klarowności. Są rojalistami i rzecznikami racji stanu, ale temperowanej moralnością chrześcijańską. Bo ci racjoniści to ludzie pobożni, wierzą w nieustającą interwencję Boga w sferę spraw ludzkich, cuda, manewry diabła... Głębokiemu przywiązaniu do praworządności towarzyszy wrogość do przywilejów ograniczających swobodę działań państwa. Są to ludzie wykształceni (pozostają po nich piękne biblioteki), ale - podobnie jak Richelieu - nieufni w stosunku do uniwersytetów, zbyt odległych od praktyki, kształcących raczej retorów niż sługi państwa. W większości to paryżanie lub prowincjusze już *parisianisés*. Ich szlachectwo jest z reguły bardzo młode, więc bardzo się krzątają, by dodać mu patyny. Nie zawsze trzeba w tym celu fałszować pergaminy, zazwyczaj wystarcza wesprzeć się na podobieństwie lub identyczności nazwisk z nazwiskami szlachty mającej rzetelną genealogię „od czasu krucjat”.

Niemal wszyscy intendenci Richelieugo wywodzą się z tego środowiska referendarzy królewskiej Rady. Bardzo znamienne: Richelieu wcale nie był entuzjastą instytucji intendentów, to jest nadzwyczajnych (ale utrwalających się) komisarzy króla do spraw wojskowych, finansowych i sądowych. W obliczu opozycji, a choćby tylko bierności tradycyjnych urzędów takie przedłużenie władzy rządowej w prowincjach i przy armiach okazało się jednak niezbędne. Nie tylko po to, by popędzać lokalne władze. Ścieśnienie sfery działań urzędników tradycyjnych przez działania owych komisarzy nadzwyczajnych było nieuchronne; niektórych funkcjonariuszy skarbowych intendenci w istocie wywłaszczyli z ich kompetencji.

W archiwum Séguiera zachowała się obfita korespondencja między intendentami i kanclerzem. Widać z niej, że kardynał Richelieu wzbudzał strach wśród groźnych królewskich komisarzy. Intendent François de Verthamon pisze z Périgueux, że ukarze winnych rewolty („zaraz gdy tylko

będziemy mieli pewność, że jesteśmy silniejsi”); prosi jednak kanclerza, by skłonił króla do ogłoszenia ulg podatkowych. I na zakończenie dodaje, że musiał mu o tym napisać, „nie śmiejąc wysyłać do Pana Kardynała nic innego jak tylko ogólnikową depeszę”. Intendent Jean d’Estampes de Valençay donosi Séguierowi z Rennes o wybuchu „wścieklej rewolty”, która trwała trzy dni; o usiłowaniu podpalenia jego rezydencji i zabicia go; o tym, że dopiero 4 tysiące żołnierzy spacyfikowało sytuację. Ale w liście do Richelieugo ten sam intendent opisuje wydarzenia jako małą, jednodniową rebelię!

Intendenci miażdżą rewolty, paraliżują spiski, wspierają siłą wojska ściąganie podatków, wydają zarządzenia policyjne, poganiają opieszale władze lokalne, dbają o zaopatrzenie wojska, zaciągi, przygotowania obronne. Nie są jednak bezdusznymi automatami do wykonywania rozkazów. Pertraktują z rebeliantami, zawieszają na własną odpowiedzialność pobór zbyt ciężkich podatków, doradzają rządowi amnestie dla buntowników i ulgi podatkowe. Intendent Lalanne błaga z Bordeaux o ogłoszenie amnestii: to jest jedyny warunek bezpieczeństwa! Sublet de Noyers pisze z Amiens o „skrajnej nędzy” ludu i domaga się odłożenia nowego podatku „do korzystniejszej pory”. Louis de Valois donosi z Abbeville, że sam musiał zawiesić pobór nowych podatków, „tak pod naciskiem konieczności, jak i w celu zachowania [dla króla] przychylności i serc tego ubogiego ludu, który jest uzbrojony... Dużo brakuje do tego, by mógł on zapłacić nowe podatki”. Intendent Geoffrey d’Orgeal apeluje do kanclerza: „W imieniu całej tej prowincji [Owernii], najnędzniejszej i najuboższej w całym królestwie, błagam, by zechciał Pan się zatroszczyć i przykazać mi, co mam robić wśród takiego nagromadzenia nieszczęść, że tysiąc razy więcej z nich szkody niż pożytku ze wszystkich podatków, jakie Jego Królewska Mość mógłby tu nałożyć”. Intendenci mnożą apele o amnestię („abolicję”, jak wtedy mówiono) dla zrewoltowanego ludu, denuncjują grabieże i gwałty wyrządzane przez wojsko, oceniają realne możliwości płatnicze swych prowincji. François de Villemontée pisze w czerwcu 1636 roku, że należałoby zredukować podatki okręgu Poitiers z projektowanych 4 milionów do 3,2 miliona: to i tak będzie o 300 tysięcy więcej niż w poprzednim roku! Ten raport pokazuje skalę wzrostu obciążeń.

Nie ulega wątpliwości, że należałoby też zweryfikować zaszarganą reputację kilku intendentów, których wrogowie kardynała pokazywali w przeczernionych barwach. To między innymi Michel d’ Emery, Charles de Machaut (zwany *coupe-tête*, „obcinaczem głów”, tyle śledztw prowadził na zlecenie Eminencji), Jean de Laubardemont, a przede wszystkim „kat kardynała”, Izaak de Laffemas. Tallemant przekazał opinię, jaką Laffemasowi wystawił pewien radca stanu: „*Vir bonus, strangulandi peritus*”: zacny mąż, w wieszaniu doświadczony. Boisrobert cytuje reakcję Laffemasa na widok wyjątkowo pięknej pogody: „Ach, jak wspaniale można by dziś wieszać!”

Laffemas był synem słynnego teoretyka ekonomii, promotora postępu przemysłowo-handlowego Francji. Z zawodu Laffemas-ojciec pełnił obowiązki krawca i kamerdynera przy królu Henryku IV. Młody Izaak

zajmował się aktorstwem i pisaniem poezji oraz dramatów, kiepskich, choć śmiałych. Ten libertyn i *bel esprit* wziął się jednak później do praktyki sądowej i administracyjnej; od 1616 roku był agentem Richelieugo. Został referendarzem Rady królewskiej, a w 1633 roku kardynał zrobił go intendentem w Szampanii i w Trzech Biskupstwach (Metz, Toul, Verdun), gdzie rozgałęzione wpływy miał rozbity w poprzednim roku spisek Gastona Orleańskiego. Donosił wówczas z Troyes: „Wydałem już ponad 60 rozkazów aresztowania, co zadziwia całą prowincję; mogę powiedzieć, że przeprowadziłem tak potężne śledztwo, iż dowodów nam nie zabraknie”. Nieco później przesłuchiwał kawalera de Jars, zaplątanego w spisek pani de Chevreuse i ministra de Châteauneuf: słynał już wtedy jako mistrz przesłuchań. Podesłał mu teologa, a później i spowiednika-jakobina, którzy mieli skłonić Jarsa do zeznań: „ale - pisał - nie mogę z niego niczego wyciągnąć poza stwierdzeniem, że go zgubiły kobiety”. Wiedząc już o ułaskawieniu Jarsa przez króla urządził w Troyes komedię egzekucji: liczył, że na szafocie skazaniec zechce jednak złożyć zeznania. Był niezmiernie zawiedziony, bo Jars ciągle milczał, a lud tak się uradował ułaskawieniem, że chciał śpiewać w kościele *Te Deum*.

Bardzo sprawnie działał potem jako intendent w Limousin i wreszcie w Pikardii. Ścigał szpiegów i dezertów, licznych, bo po klęskach wojennych z lata 1635 roku wojsko uległo demoralizacji. We wrześniu 1636 roku raportował: „Pragnąłbym, aby W. Królewskiej Mości spodobało się zakończyć na tym moje zadania kryminalne i dać mi szansę służby w innej dziedzinie... abym nie uchodził już w opinii za człowieka krwawego”. Od 1637 roku aż do śmierci kardynała Laffemas był szefem policji paryskiej. Gwałtowny wzrost przestępczości w stolicy niepokoił rząd i Laffemas temu zaradził. Zreorganizował służby policyjne, urządził skuteczne obławy na złodziei, oszustów, prostytutki. Nadal też prowadził śledztwa w sprawie arystokratycznych spisków, inwigilował środowisko wielmożów (policja miała pełną listę służby w arystokratycznych domach, szukała też informacji u kurtyzan, oberżystów, hotelarzy). Laffemas tępił pojedynki, ściagał autorów politycznych pamfletów, węszył za podejrzaną korespondencją... Był intendentem i policjantem bezwzględny, sprawnym, ale absolutnie uczciwym. Nawet złośliwy Tallemant nie wątpił, iż Laffemas to „człowiek czystych rąk”: inni wyciskali z urzędu namiestnika policji do 20 tysięcy rocznie, on się kontentował kwotą 6 tysięcy! Służył na swój sposób państwu; nawet gdy popadł w długotrwałą niełaskę po śmierci kardynała, nigdy nie przestał być wiernym rojalistą. Nie przyszło mu do głowy kumać się z Frondą.

Wiktor Hugo zrobił Laffemasa klasycznym czarnym charakterem w swym melodramacie *Marion Delorme*. Ma on i skądinąd skromne miejsce w dziejach literatury: przez cały czas swej kariery politycznej pisał wiersze, satyry, epigramy. Pewne wzięcie miało jego epitafium na śmierć Bulliona, którego Laffemas nie lubił i oskarżał o podejrzaną sposoby robienia fortuny. „Nędzarze stracili ojca: zrobił ich cały milion” - pisał w tym wierszu.

Fatalną reputacją cieszył się również Jean-Martin baron de Laubardemont, inny specjalista od politycznych śledztw i represji. Prowadził

między innymi dochodzenia w sprawie aresztowanego opata de Saint-Cyran, które jednak nie doprowadziły do procesu, oraz śledztwo w przedmiocie głośnej konspiracji Cinq-Marsa. Największy rozgłos zapewniła mu wszelako główna rola w sprawie księdza Urbana Grandier i opętanych przez diabła mniszek z Loudun. W historii tej ma swoje miejsce - nie bardzo zaszczytne - kardynał Richelieu.

Oczywiście pobożny Richelieu miał prawo wierzyć w diabła i jego szkaradne sztuczki. Problem polegał jednak na tym, że sprawa mniszek z Loudun miała wyraźne podteksty polityczne i była przedmiotem obrad królewskiej Rady w początku grudnia 1633 roku.

Zauważmy przede wszystkim, że w tej epoce Kartezjusza mamy do czynienia z wielkim kontrreformacyjnym zapałem, odrodzeniem mody na mistyków, stygmatyków, konwulsjonistów; obsesje i historie religijne były zjawiskiem częstym. Psychoza demonizmu mnożyła przypadki „opętań diabelskich”, zwłaszcza w żeńskich klasztorach. Trzeźwy Tallemant tłumaczył „diabelskie grymasy” w Loudun po części histerią (pewien szlachcic „miał tam dwie córki, zabrał je do domu, kazał dobrze karmić, różg nie żałować i diabeł wyniósł się natychmiast”), po części zaś manipulacją (zakonnicom obiecano dużo złota, „nauczyły się więc udawać opętane... Wbito im do głowy kilka słów łacińskich i sporo świństw”). Manipulacja była zwrócona przeciw księdzu Grandier.

Bez wątpienia proboszcz Grandier nie był świętym: jego przygody miłosne w niewielkim mieście Loudun, zbyt liczne i zbyt nieostrożne, narobiły mu mnóstwo wrogów. Należeli do nich spowiednik urszulanek z „opętanego” klasztoru, ksiądz Mignon, a co gorsza, surowy biskup Poitiers, La Roche-posay, przyjaciel Richelieugo. Miał jednak Grandier i potężnych protektorów: gubernatora Jeana d'Armagnac i arcybiskupa Bordeaux, Sourdisa. Toteż pierwszy proces przeciw Grandierowi - nie za to, że był przyjacielem diabła, ale za to, iż był wrogiem celibatu - skończył się ostatecznie uwolnieniem podsądnego. Sourdis radził mu opuścić Loudun, Grandier niestety nie posłuchał tej mądrej rady.

Współcześni chętnie dawali wiarę plotkom, że urszulanki zaczęły udawać opętane za namową wrogów Grandiera: księdza Mignon, a może i kapucynów, ufnych w potężną protekcję Ojca Józefa. Jeśli to nawet nieprawda, bez wątpienia owi wrogowie wykorzystali „opętanie” pobożnych panien, by zniszczyć Grandiera. A podteksty polityczne były dla sprawy decydujące. Jean d'Armagnac popadł w konflikt z kardynałem, co się skrupiło na jego protegowanym. Przeorysza, matka Joanna od Aniołów, z domu de Belciel, była kuzynką wpływowego Laubardemonta, który miał w klasztorze jeszcze dwie szwagierki. Jedna z mniszek, panna de Razilly, to krewniaczka samego kardynała Richelieu! W dodatku cała afera rozgrywała się niecałe 20 kilometrów od rodowej siedziby Eminencji, w jego strefie wpływów jako diuka i para. Toteż Richelieu, Ojciec Józef i Séguier bardzo się interesowali sprawą: śledztwo powierzyli Laubardemontowi. Nie był to jakiś pospolity siepacz (jego korespondencja z misji intendenckich ujawnia wrażliwość na położenie ludu, ucisk podatkowy i gwałty żołnierskie); z pewnością jednak nie można mu w sprawie Grandiera przypisać bezstronności. Skłócony z panem d'Armagnac, mocno

zainteresowany reputacją klasztoru urszulanek, pragnął też przypodobać się kardynałowi i Ojcu Józefowi.

W czasie przesłuchań i egzorcyzmów - były to żalosne sceny hysterii i obsesji seksualnej - zakonnice denuncjowały Grandiera jako diabelskiego pacholka. Laubardemont wszystko starannie notował. „Diabeł oznajmił pewnego razu: Panu de Laubardemont przyprawiono rogi! A Laubardemont, jak zwykle, zakończył wieczorem protokół słowami: «Co poświadczam», i złożył podpis” (Tallemand). Wygrzebano też stary (z 1617 roku) paszkwil na kardynała, anonimowy, i przypisano właśnie Grandierowi. Cała sprawa zaczęła jednak budzić wątpliwości światłej opinii, potem ironiczne i sarkastyczne komentarze. Zeznania mniszek były sprzeczne, kilka z nich się ze swych zeznań wycofało, pewien uczony medyk z uniwersytetu w Poitiers tłumaczył w zupełnie naturalny sposób przywidzenia i halucynacje „opętanych”. Ale klęska urszulanek i triumf Grandiera (który bronił się bardzo dobrze) byłyby porażką Laubardemonta i rządu, a nawet samego kardynała osobiście. Laubardemont w swym raporcie robił też aluzje do sukcesu licznych w Poitou hugenotów, jakim stałaby się kompromitacja zakonnice.

W sądzie, na procesie, Grandier nawet nie miał możliwości dokładnie przedstawić swej wersji wydarzeń. Spalono go żywcem, choć robiono mu poufne obietnice, iż zostanie przedtem uduszony.

Urszulanki jeszcze przez parę lat, siłą rozpędu, ulegały „diabelskim grymasom”. Robiły to sugestywnie. Wiosną 1635 roku, rok po straceniu Grandiera, zwiedzał opętany klasztor Gaston Orleański, skłonny do libertynizmu. Zrobiło to na nim wrażenie; Richelieu pisał wówczas do królewskiego brata: „Jestem rad, że diabły z Loudun nawróciły Waszą Wysokość”. Matka Joanna od Aniołów rychło się uwolniła od demona i nawet otrzymała moc robienia cudów. Richelieu przyjął ją, dał jej sutą gratyfikację; wielcy panowie szukali kontaktu z tak świętą osobą. Nawet Anna Austriaczka spotkała się z nią, gdy w 1638 roku chodziła w ciąży. Na grobie zmarłej w 1665 roku przeoryszy długo jeszcze zjawiały się pielgrzymki zwolenników „cudotwórczyni”.

Wcale jednak silny był prąd sceptycyzmu i szyderstwa. Opowiadano, że stygmaty matki Joanny są zrobione czerwonym atramentem, że mniszki udawały opętanie, bo je przekupiono, że Grandiera spalono na podstawie babskich plotek. Wrogowie kardynała ujawniali polityczne motywy całej afery. Sprawa Loudun stała się głośna, bowiem zaangażowali się w nie Richelieu i jego kapucyn. W tych samych latach trzydziestych XVII wieku podobnych procesów było wiele, ale wszystko odbywało się bez rozgłosu; w aferze loudunskiej połączyły się protesty ludzi światłych i wrażliwych na uczciwość wymiaru sprawiedliwości - z wrogością sporej części elity do rządów kardynała.

W *Pamiętnikach*, spisanych na użytek potomności, Richelieu z niejakim zaambarasowaniem prześlizguje się nad tą paskudną sprawą: stwierdza, że egzekucja Grandiera zapobiegła niebezpiecznej agitacji. W prywatnych wypowiedziach traktował aferę z niesympatyczną dezynwolturą. Zachował się jego list do Gastona, lekko chorego, pisany w maju 1636 roku: „Monseigneur, dowiedziałem się, za powrotem jednego z

louduńskich diabłów, że Wasza Wysokość dotknięty jest chorobą: nie tak ciężką jak ta, która draży tamte biedne panny...”

To prawda, że w głośnych procesach politycznych Richelieu nie krępował się zbyt rzetelnością postępowania. Pani de Motteville twierdzi, że jakoby „był on przyzwyczajony powiadać, iż na podstawie dwóch linijek pisma można zrobić proces człowiekowi najzupełniej niewinnemu”. To raczej plotka wrogów kardynała niż wierny cytat. Faktem jest także, iż król, który bardzo pragnął, by go zwano Ludwikiem Sprawiedliwym, nie krępował się wcale regułami prawa: gdy przewodniczył zaocznemu procesowi przeciw diukowi de La Valette, jego decyzje konsternowały sędziów. I, dodajmy, miał rację Tallemant, gdy starał się trochę pomniejszyć krwawą reputację kardynała i jego „katów” w rodzaju Laffemasa. Ich działanie przypadło bowiem na okres rozzuchwalenia szlachty, uważającej się za nietykalną. Richelieu postarał się o naoczne przykłady, że taka nietykalność wcale nie obowiązuje.

W głośnych procesach politycznych, takich jak hrabiego de Chalais czy marszałka de Marillac, tworzono trybunały nadzwyczajne, skomponowane - w umiejętnie dozowanych proporcjach - z sędziów parlamentu i funkcjonariuszy Rady królewskiej (radców stanu i referendarzy). Był to klasyczny przykład inwazji „togi rządowej” do sfery tradycyjnie zastrzeżonej dla „togi sędziowskiej”. Znajdowano zawsze dość sędziów parlamentu, by bez ryzyka dla wyniku procesu pokazać opinii, że „toga dziedziczna” i „toga rządowa” równie gorliwie służą królowi przeciw konspiratorom i buntownikom.



DYKTATURA OPINII

Teoretycy i praktycy racji sianu podzielali pogląd Machiavellego, że posłuch władzy zapewnia nie tylko siła, ale i wiara. Wiara w mądrość i sprawiedliwość rządu rodzi się z nieustannego tłumaczenia, uzasadniania, reklamowania jego polityki. Ale aby formować opinię publiczną, trzeba znać jej nastroje i rozumieć jej reakcje. Richelieu nie kontentuje się propagandą prawomyślną: chce, aby była skuteczna. W *Testamencie politycznym* chwalił się swym wyczulonym słuchem, swym zwyczajem, by wysłuchiwać jak najwięcej. Potrafił błyskawicznie reagować na wiadomości. „Podczas *lever* kardynała - pisze Mateusz de Morgues - przybywało 5 lub 6 kurierów: z Italii, od króla, od księcia de Condé, z Pikardii i jeszcze z innych miejsc. Natychmiast przywoływał sekretarza i rozkazywał sporządzać teksty dla drukarzy oraz ogłaszać nowiny na Pont-Neuf w takiej formie, jaką chciał wmówić publiczności, z nakazanymi przezeń przekręceniami”.

Pont-Neuf to tradycyjna giełda ulotek i broszur, także politycznych pamfletów. Klasyczny pamflet jest krótki, ma charakter rozwiniętego artykułu wstępnego, to znaczy komentuje, z określoną polityczną tendencją, ostatnie wiadomości. Richelieu ceni sobie takie małe, dobrze napisane teksty. Nota z roku 1631, spisana ręką jego sekretarza

Charpentiera, jest rodzajem instrukcji dla autorów w służbie kardynała: „Sądzić należy, iż więcej są warte różne małe utwory rozsiewane przez pewien czas niż grube tomy”. Mowa o „różnych” utworach, bo różnaitość talentów kardynalskich pamflecistów pozwala umiejętnie orkiestrować ważniejsze kampanie: o tym samym pisze się więc w wersji problemowej, satyrycznie, plotkarsko...

Kardynał patronuje z wysoka sforze pisarskiej, którą zatrudnia; często jednak sam się angażuje w tę pracę. Najchętniej poprzestaje na wskazówkach co do ogólnej idei tekstu, który ma powstać. Ale czasem jest współautorem, nierzadko poprawia utwór, który inspirował; zdarza się, że szkicuje schemat pamfletu czy broszury, a inni ów schemat wypełniają. W ten sposób powstawał zalew propagandy rządowej, w którym ginęły dużo mniej liczne teksty opozycyjne.

A przecież Richelieu bardzo źle znosił przenikanie takich pism do opinii publicznej. Tolerancja dla odmiennych poglądów z pewnością nie była jego cnotą. Tallemant pisał o jego niebywalej wrażliwości na *coups de langue*, przycinki. „Druki, które przeciw niemu wydawano w Brukseli, strasznie go martwiły. Tak się nimi przejął, że wpłynęły w niemałym stopniu na wybuch wojny z Hiszpanią”. Faktem jest, że Mateusz de Morgues, który się znalazł w Brukseli obok dostojnej emigrantki, Marii Medycejskiej, mocno dokuczał kardynałowi. Jego paszkwile były doskonale zrobione i piekielnie agresywne: szczególnie dotkliwy był jeden, w formie rzekomych listów wymienianych między kardynałem Richelieu a jego bratem Alfonssem. Nieprzypadkowo Eminencja jest autorem memoriału o dziejach prawodawstwa na temat paszkwili (od ustawy XII tablic poczynając!); intencją tego opracowania było udowodnienie, że paszkwilanci zasługują na karę śmierci. Polowanie na opozycyjne pisma i ich autorów było zadaniem Laffemasa, który lubił tę robotę. Ścięto dwóch, Le Venanta i Rondina; wszelako większość autorów i wydawców działała bezpiecznie za granicą. Richelieu czasem wysyłał więc tam jakiegoś paryskiego księgarza z misją ustalenia, kto pisze i wydaje te wrogie pisma. I zawsze bardzo się starał o szybkie replikowanie.

Z początku głównym organizatorem „gabinetu prasowego” kardynała był Fancan; skupił on grupę harcowników piszących szybko i łatwo. Oprócz wymienianych już (ksiądz Mateusz de Morgues, konwertyci Ferrier i Pelletier, Jean Sirmond) do grona tego należeli adwokaci Abel de Sainte-Marthe, Louis Giry i Raoul Boutray; teolog Filesac; bibliotekarz króla Nicolas Rigault. Niełaska Fancana (1627) zbiegła się w czasie ze zwrotem kardynała ku autorom większego intelektualnego formatu. Sygnałem zjawiska było opublikowanie, w 1627 roku, ważnego zbioru esejów *Recueil de lettres nouvelles*, pod redakcją Nicolasa Faretta. Dali tu swe teksty świetni pisane polityczni, Balzac i Silhon, znany nam już Boisrobert, a nawet „książę poetów”, stary (72-letni) François de Malherbe, subtelny i klasycznie klarowny. Malherbe szybko się zadeklarował jako wielbiciel Richelieugo. W liście do poety Racana pisał już we wrześniu 1625 roku na temat kardynała: „Wie Pan, że w mym temperamentcie nie ma skłonności, by schlebiać i kłamać: ale zapewniam Pana, że w tym człowieku jest coś, co przekracza zwykły ludzki wymiar... Dotąd, gdy wypadło budować coś

od nowa lub naprawiać jakąś ruinę, używano jedynie gipsu; dzisiaj, widać to dobrze, używa się tylko marmuru”. Jedna z ostatnich ód Malherbe’a (1628) także była poświęcona Eminencji.

Zbiór Fareta z 1627 roku obfituje w pochwały Richelieugo i jego polityki, ale jest w nim i szerszy oddech, analiza zasad, na których musi się wspierać solidne państwo. Mówi się tu wiele o specyficznej politycznej mądrości, o potrzebie oświeconego przywództwa, o ładu państwowym, o skutecznej kontroli wszystkich obszarów ludzkiego działania. Wrogowie kardynała twierdzili, że jego zwolennicy tworzą sektę uprawiającą kult państwa, *statolâtrie*. Jednakże ta ideologia etatyzmu ani nie rezygnuje z moralności chrześcijańskiej, ani nie proponuje totalitarnego, pełnego poddania jednostki państwu. Wielu etatystów z kręgu Richelieugo podkreślało wartość wewnętrznej wolności człowieka; jej potwierdzenie w politycznej praktyce odnajdowano np. w tolerancji dla wierzeń protestanckich, gwarantowanej pokojem w Alais.

Pożytek, jaki Richelieu miał ze swych utalentowanych zwolenników, był bardzo bezpośredni. Chapelain, Godeau, Gombauld zdolni pisarze - przeglądają projekty jego przemówień, Desmarets i Bourzey - jego teksty teologiczne. Balzac i Le Bret właśnie w latach trzydziestych tworzą swe wielkie traktaty o władzy absolutnej. Silhon, Sirmond, Chastelet produkują pisma publicystyczne przekraczające wymiar zwykłych pamfletów. Boisrobert, Chapelain i Chastelet są agentami kardynała w środowisku literackim i wciągają je w służbę wielkiej polityki wielkiego ministra. Chapelain to bourgeois mający dwie namiętności: literaturę i politykę. Poeta i prozaik średniej klasy, był zawsze lojalnym admiratorem kardynała, jego stosunek do Richelieugo zabarwiał się bardzo osobistym afektem. „Ten człowiek o brzydkiej twarzy - pisze Tallemant w dodatku niski i wiecznie charczący, przypomina jarmarcznego kuglarza... ślini się niczym stara kurwa”. Chapelain starał się bardzo, by wpoić pisarzom polityczną uległość, gust do oficjalnych stanowisk, nieustającą gorliwość w służbie państwu: ironizował na temat Sirmonda, który wzbogacił się, „nasycił i przestał śpiewać”. Także Hay du Chastelet pochodził z burżuazyjnego środowiska i pasjonował się pisarstwem. Jego gorliwość i ruchliwość jako literackiego agenta kardynała były tak wielkie, że patron nazywał go ironicznym swoim chartem. Chastelet cieszył się szczerze, gdy mógł aportować Eminencji jakąś nową zdobycz: pozyskanego zwolennika, panegiryczny utwór.

Lata trzydzieste przyniosły ważne wzbogacenie tradycyjnych form politycznej propagandy (pamflet, broszura, traktat). Już od roku 1611 ukazywał się rocznik, „Le Mercure français”, publikujący ważniejsze pamflety, małe rozprawki, deklaracje rządowe. Za czasów Richelieugo redagowaniem tego periodyku zajął się Ojciec Józef. „Le Mercure” był ceniony przez czytającą publiczność, ale jako rocznik nie miał oczywiście tej gorącej aktualności, ważnej w politycznej akcji propagandowej.

Zaradzić temu miała gazeta doktora Teofrasta Renaudot. Jej twórca, znany medyk i krajan Richelieugo (pochodził z Loudun), prowadził w Paryżu biuro adresowe i informacyjne. W maju 1631 roku wypuścił pierwszy numer swej „La Gazette de France”. Przedstawiała się skromnie:

raz na tydzień cztery strony, później osiem stron. Wychodziły jednak i suplementy; co roku Renaudot wypuszczał też komplet wszystkich numerów porządnie zebranych. Redaktor chwalił swą „Gazetę”: twierdził, że zapobiega ona fałszywym pogłoskom, które potrafią wszak rozpalić bunt i rozruchy... Renaudot bardzo potrzebował poparcia rządu, bo paryscy księgarze i wydawcy, źli na konkurencję dla ich broszur i pamfletów, chcieli go zadziobać. Richelieu pojął w lot wartość wynalazku swego krajana i sterował jego tygodnikiem bardzo starannie. Chwalił redaktora („To najzdolniejszy z mych doradców”), ale nieraz beształ go ostro i krytykował. Napisał w jednym z listów do króla: „Gazeta będzie wykonywała swe obowiązki lub Renaudot zostanie pozbawiony pensji, z której dotąd korzystał”. Oczywiście obowiązkiem owym było zręczne propagowanie w „Gazecie” polityki rządu. Miała ona świetnych współpracowników, sam król pisywał do „Gazety” zwięzłe artykułiki, najczęściej o wydarzeniach wojennych, ale także o ważnych sprawach dworskich, takich jak jego pojednanie z Gastonem czy audiencja udzielona któremuś ambasadorowi. Richelieu zamieszczał w „Gazecie” artykuły dotyczące wielkiej polityki oraz stosunków międzynarodowych.

Poetyka przyjęta w organie Renaudota wydaje się nam irytująca natrętnym pochlebstwem i serwilizmem. Takie jednak wówczas obowiązywały konwencje, taką modę przyniósł wpływ włoskiej „dworności”. Posłużmy się przykładem z ostatnich tygodni życia kardynała. W październiku 1642 roku „Gazeta” donosiła: „Dnia 11 tego miesiąca Król przybył do Fontainebleau i tam nocował. Tam też udał się z Nemours, dwa dni później, Kardynał-Diuk. Nie jestem w stanie opisać wam tego dobrego przyjęcia, jakie mu przygotował Jego Królewska Mość, ani tych czułych uczuć, które u niego wzbudziło całkowite wyzdrowienie jego pierwszego ministra. Wielce dzięki temu wzrosła radość z wszystkich sukcesów tej szczęśliwej kampanii [mowa o zdobyciu Perpignan]; można dziś wyczytać w gestach i na obliczu Jego Eminencji, że dało mu to wspaniałą satysfakcję, gdy ujrzał, iż jego niezrównane rady nie tylko uwierzytelnione zostały sukcesem, ale także (co ceni on sobie nie mniej) zadowoleniem jego tak dobrego Pana”. Pięknie napisane; może warto jedynie dodać, że akurat wtedy stosunki króla i ministra znajdowały się w głębokim kryzysie: barometr ich wzajemnych uczuć spadł tak nisko, jak nigdy jeszcze dotąd. Również wiadomość o „całkowitym wyzdrowieniu” Richelieugo - to propaganda krzepiąca, lecz całkowicie nieprawdziwa. Miał jeszcze przed sobą siedem tygodni życia.

Wysiłki Richelieugo, by kontrolować poruszenia opinii publicznej, nie ograniczały się wszelako do propagandy. Wszystkie zjawiska kulturowe i prądy umysłowe kardynał był skłonny oceniać z punktu widzenia ich socjopolitycznych konsekwencji. Powiadał, że gdyby dość wcześnie aresztowano Lutra i Kalwina, oszczędzono by ludzkości wielu cierpień. W „Mercure français” z 1625 roku można było wyczytać, że „zuchwałość języka i pióra często wyprzedza chwytanie za broń”: pokój społeczny wymaga zatem kontrolowania języków i piór... Jednakże polityka Richelieugo nie ogranicza się do cenzury; domagał się on pozytywnych świadczeń piśmiennictwa, jego wkładu do „wielkości Francji”. Ów wkład

pojmowany był dwojako. Upolitycznienie literatury miałoby służyć wprost, bezpośrednio, „polityce wielkości”. Ale chodzi również o to, by literatura francuska reprezentowała najwyższe standardy artystyczne: wielkość państwa to także wspaniałość jego kultury, doskonałość i wpływy francuskiego języka, sprawność pióra w ręku francuskich pisarzy.

Polityzacja piśmiennictwa nie jest pojmowana jako jego degradacja. Przeciwnie. Chapelain tłumaczył, że gdy literat pisze o sprawach państwa, to podejmuje się „najszlachetniejszego działania, jakie przypaść może ludzkim talentom”. Gabriel Naudé twierdził, że dobre pisarstwo tyleż jest warte, co solidne wojsko: dwunastu zdolnych pisarzy może wykonać tę samą robotę co dwie potężne armie!

Zastrzeżenie, że chodzi o dobrych pisarzy, było ważne. Richelieugo niecierpliwiła gorliwość pisarzy marnych, „których pochwały tak samo drażnią jak oszczerstwa”. W liście do kawalera du Guet kardynał ironicznie pisał o osobach, „które zamierzały tworzyć książki chwające rząd i które poprosiłem, by się od tego powstrzymały”. Być może prośby były nie dość skuteczne, bo wydaje nam się dzisiaj, że czasy Richelieugo przyniosły mnóstwo marnych panegiryków na chwałę rządu. Ale może to tylko kwestia różnicy smaku.

Dwa zbiory, opublikowane w 1635 roku (*Ofiara Muz dla wielkiego kardynała Richelieu* i *Parnas królewski*) i wypełnione utworami uczniów Malherbe'a, zredagowane zaś przez Boisroberta - ranią nasze ucho pochwałami „niebiańskich cnót” kardynała, „boskiego Armanda, największego z ludzi”, a także podziwem dla jego dokonań „równych cudom”. Nadgorliwość płatnych pismaków? Nie, są wśród tych panegirystów dobrzy pisarze i inteligentni ludzie, którzy wiedzieli, czego się od nich oczekuje. Ogromne *Pamiętniki* Richelieugo, produkt jego biur i sekretarzy, ale fabrykowany z autentycznego surowca i pod kontrolą Eminencji - to także nie kończący się hymn na cześć wielkiego ministra, jego dalekowzročności, jego mądrej polityki.

Dwa wspomniane zbiory z 1635 roku są przykładem wdzierania się polityki do poezji. Oczywiście tym łatwiej było upolitycznić historiografię. Richelieu sam przyłożył ręki do „poprawiania” historii; jej *rewriting* nie jest przecież wynalazkiem naszych czasów. Gdy w roku 1636 przygotowano reedycję mowy kardynała na zamknięcie Stanów Generalnych w 1615 roku - autor zmienił tekst, bo i jego polityka się zmieniła. Chapelain twierdził, że gdy Richelieu już się umocnił, od pospolitego pamfletu wolał aluzyjne dzieła historyczne. W ten to sposób Sirmont pisał *Żywot kardynała d'Amboise*: dzieje wybitnego ministra dobrego króla Ludwika XII, zmarłego przed stu z górą laty, to prawdziwy festiwal aluzji do czynów kardynała Richelieu. Dupleix produkował historię Henryka IV w intencji ukazania kardynała jako ucznia i kontynuatora wielkiego monarchy. Pan Chaintreau przypomina jeszcze starsze dzieje: historia króla Jana II i jego faworyta konetabla de Luna to krytyczny opis kariery pana de Luynes przy królu Ludwiku XIII, miłościwie panującym.

Do upolitycznienia teatru sam Richelieu się dołożył. Nie tylko *Roksanę*, *Mirame* i *Europa*, do których miał ojcowskie uczucia. Także przez

stworzenie „spółki pięciu autorów”: sam kardynał proponował temat sztuki, Chapelain dawał szczegółowy plan, wreszcie każdy z owej piątki (Rotrou, L'Estoile, Boisrobert, Corneille i Colletet) pisał jeden akt. Spółka przetrwała aż do 1638 roku.

Byłoby jednak niesprawiedliwe postrzeganie Richelieugo wyłącznie w postaci natrętnego promotora koniunkturalnego upolityczniania kultury. W odróżnieniu od swych poprzedników - Conciniego, Luynesa - ma on prawdziwe zainteresowania kulturalne. Może zbyt ufa swoim gustom: bardzo dobrym w dziedzinie sztuk plastycznych, mniej już pewnym w sferze literatury. Można więc kwestionować jego upodobania poetyckie lub teatralne, ale nie jego zasługi dla pisarzy i ludzi teatru. Literaci mieli przy nim szanse otrzymania pensji, stanowisk, godności, szanse bardzo ścięśnione natychmiast po śmierci kardynała („Te sprawy już nas nie obchodzą” - orzekł wówczas król) i nie przywrócone bynajmniej pod rządami Mazariniego. Teatr był poprzednio nader podejrzaną rozrywką: nie tylko aktorów, ale i dramatopisarzy traktowano niechętnie lub pogardliwie. „Komedie zaczęto... darzyć estymą dopiero od czasów kardynała Richelieu, który bardzo dbał o teatr” (Talleyrand). Trudno nie żywić podziwu dla uwikłanego w piekielnie zawiłą grę polityczną ministra, który mimo wszystko znajduje czas na czytanie i komentowanie najnowszego piśmiennictwa, który pasję dla teatru posuwa aż do własnych prób dramatopisarskich, który przy swym pałacu buduje najpiękniejszą i największą salę teatralną Paryża. To był szef rządu, który naprawdę uważał, że francuska *grandeur* wymaga także wielkiej narodowej kultury.

Bardzo różnie oceniano jego decyzję o powołaniu - w styczniu 1635 roku - Akademii Francuskiej. Wśród współczesnych nie zabrakło szyderców, którzy mówili z przekąsem o *Eminente Académie*. Spowiednik króla, Ojciec Caussin, z całym przekonaniem oświadczał, że Richelieu „lubi literaturę” i „proteguje sztuki” wyłącznie w tym celu, by „mieć lokajów i pochlebców”. Mówiono dowcipnie o Akademii jako nowej „ptaszarni Psafona”: znany z antycznej anegdoty Psafon tak bardzo chciał uchodzić za boga, że nauczył ptaki powtarzać chórem: „Psafon jest wielkim bogiem!” Pierwszy historyk Akademii Francuskiej - pisał o niej dwadzieścia lat po jej powstaniu pan Pellisson-Fontanier cytuje opinię elity szlacheckiej o akademikach: „Płaci im się, by popierali wszystko, co kardynał robi”. Mateusz de Morgues jest po swojemu gryzący: „To kanalia, która dla chleba walczy z prawdą”. Nawet „kardynalista” Balzac pisał z prowincji: „Donoszą mi, że to tyrania, która się rozpanoszy nad umysłami”.

Historia Akademii jest osobliwa. Zaczęło się od spotkań dziewięciu uczniów Malherbe'a, którzy po śmierci mistrza (zm. 1628) zbierali się u Valentina Conrarta, na rue Saint-Martin. Co tydzień dyskutowali o sprawach aktualnych, polityce, literaturze, teatrze. W 1634 roku na spotkaniach tych pojawił się Boisrobert: spodobały mu się i poinformował o nich Richelieugo. Ten kazał mu namówić grupę Conrarta, by się zgodziła na przekształcenie grona przyjaciół w instytucję oficjalną, na wzór akademii włoskich: sam kardynał byłby jej protektorem. Propozycja nie wzbudziła zachwyty, ale jakże odmówić Eminencji?

Król podpisał patent Akademii Francuskiej w styczniu 1635 roku. Kardynał jej wyznaczył misję oczyszczenia języka z ekstrawagancji, wdzierających się do francuszczyzny wraz z wpływami baroku, a także z barbaryzmów i nieprecyzyjności wiodących do mieszania pojęć. Wielki słownik języka francuskiego i jego gramatyka - ta pierwsze zadanie Akademii; następnym byłoby określenie reguł dla dobrej poezji i prozy. Ale kodyfikując językowe i pisarskie normy, solidne, precyzyjne, klarowne - Akademia miałaby przymierzać do nich dzieła literackie, oceniać produkty piśmiennictwa i swymi ekspertyzami wpływać na kształt francuskiej literatury. To zadanie Akademii wzbudziło obawy i opory pisarzy. Ostatecznie stanęło na tym, że oceniać będzie ona dzieła swoich członków, zaś utwory innych pisarzy - tylko na ich własną prośbę. Wnet się okazało, że trudno jest nie poprosić o ocenę Akademii, jeśli Eminencja sobie takiej oceny życzy: w ten sposób Corneille musiał poddać ekspertyzie akademików swojego *Cyda*.

Richelieu kontrolował bardzo ściśle dobór członków Akademii. W pierwszym jej gronie obok grupy Conrarta i kilku pisarzy powiązanych z kardynałem, jak Boisrobert czy Desmarets de Saint-Sorlin, znalazł się Séguier oraz cały zastęp publicystów politycznych i funkcjonariuszy rządowych. Nie budziło to zachwytu innych pisarzy i salonów pobudzających ruch umysłowy. Sprawiedliwość nakazuje jednak przyznać, że Richelieu wpuścił do Akademii grupę pisarzy bez żadnych powiązań z rządem, a wobec całego grona postępował z respektem i umiarem.

Bez wątplenia Akademia miała służyć nie tylko gloryfikacji rządu, ale również - i przede wszystkim - „wielkości Francji” poprzez wspaniałość jej piśmiennictwa. Misję tę wypełniała nie zawsze fortunnie, co poświadcza głośny „spór o *Cyda*”. Bernard de Fontenelle, krewniak Corneille’a, pisał, że „gdy zjawiał się *Cyd*, kardynał był tak zaniepokojony, jak gdyby ujrzał Hiszpanów u bram Paryża... Richelieu podburzył przeciw temu dziełu pisarzy, co nie musiało być trudne, i sam stanął na ich czele”. Łatwo uznać, że to tylko legenda: Fontenelle urodził się dwadzieścia lat po premierze *Cyda*. Wydaje się jednak, że francuscy historycy nieco zbyt pochopnie odrzucili polityczne motywy niechęci kardynała do sztuki sławiącej hiszpańską tradycję rycerską. Fascynacja elity szlacheckiej hiszpańską tradycją i kulturą była zdecydowanie zbyt silna jak na gust Ludwika XIII i jego ministra. *Cyd* „zjawiał się” pod koniec roku 1636, roku dramatycznych klęsk w wojnie z Hiszpanami. I, na domiar złego, gloryfikował szlachecką manię pojedynków, z którą Richelieu tak wytrwale wojował! Fenomenalny sukces sztuki u paryskiej publiczności mógł irytować kardynała: także z powodów politycznych, nie tylko z motywów estetycznych.

Te drugie również miały swą wagę. *Cyd* dowiódł, że można stworzyć dzieło wybitne i entuzjazmujące publiczność - nie respektując wcale kanonów „regularnej” tragedii, nie odwołując się do tematyki antycznej, biblijnej lub mitologicznej. To powrót do konwencji „tragikomedii”, której Richelieu i jego literaccy pupile nie cenili: widzieli w niej brak szacunku dla klasycznych reguł oraz nagromadzenie awantur, *coups de théâtre*, nieprawdopodobieństw fabularnych i psychologicznych. Richelieu kazał zaostrzyć ton ekspertyzy, którą szykowała na temat *Cyda* Akademia

Francuska. Z motywacją bardzo znamioną: *Cyd* naraża dzieło odrodzenia klarownej sztuki dla elity, schlebia publiczności ignoranckiej, nie wiedzącej, co jest naprawdę piękne...

Ostatecznie więc w opinii akademików o *Cydzie* znalazły się, obok zdawkowych pochwał, ostre sformułowania o ludziach, którzy dają się zwodzić „falszywymi i niedoskonałymi pięknościami”. Ale oddajmy znów sprawiedliwość kardynałowi. Powściągnął zbyt brutalne ataki na Corneille’a, w których dochodziły do głosu animozje osobiste; trzy lata po kłótni o *Cyda* oklaskiwał inne wielkie dzieło Corneille’a - *Cynnę*. Z wszelką pewnością pojmował, że są to utwory potwierdzające wybornie ową francuską wielkość, za której promotora się uważał.

Zauważmy jednak, iż cała ta polityka kulturalna ma zdecydowane zabarwienie klasowe. „Wielka” sztuka jest elitarna: dla elity przeznaczona, kształtująca wrażliwość, uczucia, postawy (także polityczne) elity. Lud był zawsze, w opinii kardynała, głupi, ignorancki i zły. Ten barbarzyński stwór, ten Kaliban potwierdza swe niesympatyczne cechy miałością swych kulturalnych zapotrzebowań: starcza mu groteska, jarmarczna farsa, horror. Tak już jest i niechaj tak będzie.

Czy „dyktatura opinii” kardynała Richelieu była skuteczna? Ideologia etatyzmu, którą niosły utwory jego pamflecistów i pisarzy, na pewno trafiała do znacznych odłamów opinii: do burżuazji, sporej części prowincjonalnej szlachty i kleru, do ludzi powiązanych z aparatem władzy. A jednak po śmierci kardynała ujawniły się silne wrogie reakcje przeciw jego osobie i jego polityce. Nawet jego pisarskie kreatury, z Balzakiem na czele, zwracały się chętnie przeciw zmarłemu protektorowi. Był w tym z pewnością efekt dekompresji: długo gwałcona swoboda opozycyjnej wypowiedzi odzyskiwała swe prawa. Ale zaważyły także nie spełnione nadzieje. Etatyzm obiecywał wszak stabilność, ład wewnętrzny, racjonalność władzy, pomyślność. Tymczasem wielu etatystów uznało pod koniec rządów kardynała, że w miejsce *raison d’Etat* wkracza chyba brak politycznego rozsądku, *déraison d’Etat*.





VIII. WOJNA UKRYTA



CZAS INTRYG I REBELII

Rok 1631 to dziwny czas, przemieszanie sukcesów międzynarodowych i domowych kłopotów. „Małe wojny” dwu poprzednich lat pozwoliły zwycięsko zamknąć awanturę włoską, która wywołała tyle niepokoju wśród przeciwników polityki kardynała. Przy wydatnej pomocy Mazariniego zawarto 6 kwietnia pokój w Cherasco. Zapewnił on uznanie Habsburgów dla sukcesji mantuańskiej diuka de Nevers, gwarantował Gryzonom władanie nad Walteliną, z terytoriów włoskich miały się wycofać wszystkie obce wojska: hiszpańskie, francuskie, cesarskie.

Richelieu wyciął wszakże Habsburgom kawał w pięknym makiawelskim stylu i przy pomocy włoskiej *commedia dell'arte*. W końcu marca zawarł z Wiktorem Amadeuszem sabaudzkim tajny układ, który zapewniał Sabaudowi, kosztem Neversa, część Monferratu, a Francji - władanie nad Pignerol, tą bramą do północnej Italii. We wrześniu wojska francuskie ewakuowały się z Sabaudii, zgodnie z traktatem w Cherasco. Ale w kazamatach pignerolskiej cytadeli ukryło się 800 żołnierzy francuskich - i tylko część garnizonu demonstracyjnie opuściła miasto. Wnet potem Francuzi podnieśli krzyk, że władze hiszpańskie i cesarskie gwałcą układ w Cherasco. Oświadczyli, że Ludwik XIII musi mieć jakieś gwarancje. Wiktor Amadeusz udał oburzenie na wiarołomnych wrogów Francji i ogłosił, że oddaje Pignerol Francuzom na sześć miesięcy. Były to długie miesiące, trwały 65 lat.

Układ w Cherasco nie zawierał już żadnych ograniczeń co do francuskiej polityki w Niemczech, jak to przewidywał traktat ratyzboński. A w Niemczech działy się rzeczy ważne: w lipcu 1630 roku wylądował tu Gustaw Adolf, w początku 1631 roku władał już niemieckim Pomorzem. Dnia 23 stycznia 1631 roku kolejny sukces Francji: układ o subsydiach z królem Szwecji. W zamian za jeden milion rocznie Gustaw Adolf zobowiązał się wojować w Niemczech ze swą silną (38 tysięcy ludzi) i doskonale wyćwiczoną armią. Przyrzekł też respektować kult rzymski w zajętych przez siebie katolickich terytoriach Rzeszy i zachować neutralność w stosunku do katolickiej Ligi z Bawarią na czele. Ten układ z Bärwalde, wynegocjowany przez Charnacégo, przyszedł trochę późno, gdy pierwsze sukcesy Szweda podniosły jego cenę (pierwsza oferta francuska to 600 tysięcy rocznych subsydiów). Richelieu wolałby też, aby Gustaw Adolf był dyskretniejszy i nie chwalił się tak owym układem. Ostatecznie jednak Bärwalde to dla Francji dobry interes: Szwedzi szachować mieli cesarza,

któremu sukcesy ze schyłku lat dwudziestych stanowczo przewróciły w głowie. Wojna w Niemczech rozpalila się znowu.

No, Richelieu wcale nie życzy Szwedom miażdżących sukcesów, wolałby, aby Gustaw Adolf i Ferdynand II wzajemnie się wykrwawili. A w każdym razie chce mieć szansę gry na dwóch fortepianach. W maju 1631 roku podpisany więc zostaje, najpierw w Monachium, a potem w Fontainebleau, 8-letni sojusz obronny francusko-bawarski. Król Ludwik i książę Maksymilian wzajemnie sobie gwarantują obronę terytoriów, co praktycznie oznaczało, że Francja chce utrzymać Maksymiliana w posiadaniu części palatynatu reńskiego. Paryż uznaje też i obiecuje popierać elektorski tytuł księcia Bawarii, który cesarz odebrał palatynowi reńskiemu i przeniósł na Maksymiliana. Niestety nie udało się wbić klina między Bawarczyka i cesarza: Maksymilian zastrzegł w układzie, że dotrzyma swych zobowiązań wobec Ferdynanda II.

W trójkącie francusko-szwedzko-bawarskim każda ze stron miała swe własne wyrachowania. Richelieu prowadził, z pomocą Ojca Józefa, delikatną grę: chciał, by Szwedzi nie pogryźli się z katolicką Ligą, by Gustaw Adolf i Maksymilian, neutralni we wzajemnych stosunkach, służyli polityce antyhabsburskiej; król Szwecji miałby atakować dziedziczne posiadłości cesarza, pozbawionego bawarskiej pomocy. Maksymilian pragnął oderwać Francję od jej protestanckich sojuszników i przepędzić Szwedów z Niemiec, tak wszelako, by nie umocnić zanadto cesarza. Gustaw Adolf wreszcie zamierzał zagarnąć na stałe Pomorze i stworzyć w Niemczech potężny blok księstw protestanckich pod swoją protekcją; liczył na to, że Liga katolicka nie zachowa wobec niego neutralności, co i jego zwolni od zobowiązań przyjętych w Bärwalde.

Pogodzenie dwu tak różnych układów, aliansu z Monachium i traktatu bärwaldzkiego, byłoby możliwe tylko pod tym warunkiem, że obaj partnerzy, bawarski i szwedzki, będą naprawdę skłonni do neutralności we wzajemnych stosunkach. A tak wcale nie było. Przy ich bardzo sprzecznych zamysłach szanse Richelieuego na odgrywanie roli arbitra, strażnika równowagi - były nikłe; co gorsza, chcąc grać na dwu fortepianach można z łatwością narazić się obu stronom, wzbudzić ich nieufność i znaleźć się w izolacji. Bez wątpienia Liga katolicka miała więcej sympatii Richelieuego niż luterkański „Got”, „król śniegów”, jak nazywano Gustawa Adolfa. Z drugiej strony wszakże to właśnie Szwed dawał szansę skutecznego pognębnienia Habsburga. Był to dylemat, który kosztował Richelieuego wiele bezsennych nocy.

Sama ewolucja wydarzeń mieszała mu szyki i paraliżowała szansę zaplanowanej gry. W maju 1631 roku wygłodzeni i zdemoralizowani żołnierze katolickiej armii Tilly'ego spustoszyli i zmasakrowali protestancki Magdeburg: mówiono ze zgrozą o 40 tysiącach zamordowanych! Był to szok dla protestanckiej części Niemiec. Przy Gustawie Adolfie skupili się niemal wszyscy protestanci książęta, w tym ostrożni dotąd elektorowie brandenburski i saski. Błyskawiczna i skuteczna kampania Gustawa Adolfa latem i jesienią 1631 roku poraziła z kolei katolików. We wrześniu Tilly poniósł miażdżącą klęskę pod Breitenfeld. Katolicycy władcy niemieccy wpadli w popłoch i skupili się przy cesarzu. Szwed uznał, że jest

zwolniony ze zobowiązania neutralności wobec Ligi, bo sama Liga zaczęła z nim wojnę. Pod koniec roku Gustaw Adolf znalazł się w strefie bezpośrednich zainteresowań Francji, nad Menem i Renem.

Już od kilku miesięcy wszakże kardynał obserwował z niepokojem to, co się działo na lewym brzegu Renu. Wiosną 1631 roku w Lotaryngii ulokował się Gaston. Ostatnie spotkanie królewskiego brata z Eminencją, 30 stycznia, miało przebieg burzliwy: była już mowa o tym gwałtownym zerwaniu ich krótkotrwałego sojuszu. „Jest pan bezczelny - krzyczał Gaston - jest pan nicością bez dobrego pochodzenia, zasługiwałby pan, bym go ukarał jak lokaja!...Tylko pańska duchowna godność mnie powstrzymuje!” Richelieu zachował się ulegle: przytrzymał nawet strzemień odjeżdżającemu Gastonowi. „Należy się ode mnie wotum świętej Dziewicy za to, że mnie ocaliła - rzekł - ale ta kompania zapłaci mi za to!” Przypomnijmy: do zerwania skłonili Gastona jego zawiedzeni w nadziejach faworyci, Puylaurens i Le Coigneux.

Monsieur zamieszkał w Nancy; później uznał, że klimat stolicy Lotaryngii jest niezdrowy i przeniósł się do pobliskiego Epinal. Nawiązał natychmiast kontakt z Marią Medycejską, gdy ta w lipcu zjawiała się w Brukseli. Oboje bardzo pragnęli obalić kardynała i wrócić z triumfem do Francji.

Już 30 maja Gaston ogłosił gwałtowny manifest w formie listu do Ludwika XIII. Wylał oczywiście wielkie wiadro pomyj na Eminencję, tyrana i łotra, nieludzkiego i przewrotnego księdza, rządzącego przy pomocy perfidii, okrucieństwa i gwałtu. To bez znaczenia. Groźniejsze były w tym manifeście akcenty socjalnej demagogii. „Mniej niż jedna trzecia Twoich poddanych na wsi je normalny chleb; jedna trzecia żyje tylko plackami owsianymi; pozostała trzecia część nie tylko zmuszona jest uprawiać żebraninę, ale też marnieje w tak żałosnej nędzy, iż niektórzy umierają po prostu z głodu, inni żywią się jak bydłeta żołądkami, zielem i podobną strawą; najmniej godni pożałowania są wśród nich ci, którzy zjadają zmieszane z krwią otręby, zbierane w rynsztokach przed rzeźniczymi jatkami”.

Mogło to stanowić sygnał, że Gaston pragnie zaszcześcić swe spiski na ludowych rewoltach, które w 1631 roku eksplodowały w różnych prowincjach Francji. Niezłą okazją mogły być poruszenia w Prowansji, tolerowane - na złość rządowi - przez gubernatora diuka de Guise, od dawna skłóconego z kardynałem. Richelieu wysłał wojsko pod księciem de Condé, by spacyfikowało Prowansję, i wezwał na dwór nielojalnego gubernatora. Jednakże Guise wołał pożegłować z Marsylii do Włoch, gdzie zmarł w 1640 roku. Tak więc nie dało się postawić na diuka de Guise jako sojusznika konspiracji Gastona.

Inną sposobnością stały się masowe protesty Langwedocji, od jesieni 1631 roku, przeciw zniesieniu jej przywilejów podatkowych. Kłopot polegał na tym, że tutejszy gubernator, powszechnie lubiany diuk Henri de Montmorency, był lojalnym poddanym króla, przyjacielem Ludwika XIII z lat dziecińczych, a i z kardynałem miał niezłe stosunki. Zanim dojrzeje on do udziału w spisku Gastona, minie jeszcze trochę czasu.

Gaston nawiązał kontakty z diukiem Fryderykiem Maurycym de

Bouillon, synem Henryka, „demona rebelii”, i nie mniejszym od ojca awanturnikiem. Negocjował także z Wiktorem Amadeuszem Sabaudzkim. Hiszpanów w pobliskim Franche-Comté prosił o pomoc wojskową dla planowanej akcji. Bardzo go wspierał w tych intrygach książę Lotaryngii Karol IV. Zainteresowała Gastona jego siostra Małgorzata, panna na wydaniu, pobożna, głupia, zacna i sympatyczna. Przyjaciołom, zdziwionym, że tak szybko wyparowała jego dozgonna miłość do Marii Ludwika de Nevers, tłumaczył, iż ma wielkie długi wdzięczności względem księcia Karola.

3 stycznia 1632 roku w wielkim sekrecie wziął ślub z Małgorzatą; uczestniczyli w ceremonii jedynie członkowie rodziny panny młodej i dwaj przyjaciele Gastona, Puylaurens oraz diuk d’Elbeuf. Ludwik XIII i kardynał przez dłuższy czas nie mieli pojęcia o tym potajemnym małżeństwie.

Trzy okoliczności zwróciły pod koniec 1631 roku aktywność Richelieugo ku wschodniej granicy Francji: pojawienie się w Nadrenii Szwedów (tutejsi książęta katoliccy mieli mocne powiązania z Francją, a Szwedzi brutalnie traktowali ich zamożne terytoria); intrygi Gastona w Lotaryngii, Franche-Comté i Sedanie; drobny rachunek do wyrównania z cesarzem: wojska cesarskie w 1630 roku zajęły dwie miejscowości, Vic i Moyenvic. Należały one do biskupstwa Metz, a więc wchodziły w skład francuskich od 1552 roku Trzech Biskupstw, do których zwierzchnie pretensje zgłaszali cesarze Rzeszy. Otóż w grudniu 1631 roku Ludwik XIII pojawił się w Metz z silną armią, przegonił cesarskie garnizony z Vic i Moyenvic, zarazem zaś postraszył skutecznie księcia Lotaryngii. 6 stycznia 1632 roku zawarł z Karolem IV wygodny dla Francji układ w Vic: pozbawiał on w istocie Lotaryngię samodzielności dyplomatycznej i militarnej. Francja otrzymała w Lotaryngii ważną twierdzę Marsal i prawo swobodnego przemarszu wojsk. Gaston przezornie wyniósł się z Lotaryngii do Brukseli, gdzie Maria Medycejska niecierpliwie czekała na rychły upadek Richelieugo.

Ludwik XIII miał w ręku gotową do walki armię. Uległość Lotaryngii dała mu swobodę manewru. A że Szwedzi instalowali się na zimę w Nadrenii, Richelieu miał wielką ochotę odpowiedzieć akcją na akcję i obsadzić francuskimi garnizonami dobrze wybrane twierdze alzackie (wielka część Alzacji należała do cesarza). Bardzo też pragnął odciągnąć Gustawa Adolfa od Renu, skłonić go do ataku na ziemie dziedziczne cesarza (Austrię i Czechy), umocnić francuską obecność w Nadrenii. Z takimi sugestiami kardynał posłał do króla Szwecji swego szwagra de Maillé-Brézé, ale Gustaw Adolf bardzo źle przyjął francuskich wysłanników: nie zamierzał być narzędziem w ręku Richelieugo. Z wejścia do Alzacji też nic nie wyszło: Ojciec Józef bardzo się temu sprzeciwiał i Richelieu ostatecznie dał za wygraną. Odnotujmy tylko, że wyraźnie się wtedy wahał między dwiema różnymi politykami. Nie wykluczał akcji zbrojnej w Niemczech, kusilo go wykorzystanie zdumiewających sukcesów Gustawa Adolfa dla szybkiego zrujnowania potęgi cesarza. Druga możliwość to spokojne przyglądanie się, jak w pustoszonej wojną Niemczech katolicy i protestanci wyniszczają się wzajemnie. I ta druga

koncepcja przeważała. *Opinia dla króla*, opracowana przez kardynała i Ojca Józefa, datowana 21 stycznia 1632 roku, wspominała o zawieszeniu Francji między obawą przed hegemonią Habsburgów a niepokojem w obliczu protestanckich sukcesów. „Idealem byłoby sprowadzenie i jednych, i drugich do takiego stanu, że już nie byłoby powodu, aby się ich obawiać. I to jest cel, do którego należy zmierzać”. Ale gra jest delikatna: „Trzeba tu połączyć zręczność z siłą, negocjacje z użyciem wojska”. Francja nie powinna zatem angażować się w wojnę: ani z Habsburgami, ani z Gustawem Adolfem wojować nie należy. Wypada natomiast podtrzymać katolicką Ligę, hamować postępy szwedzkie, oddalić Gustawa Adolfa od Renu, trzymać nad wschodnią granicą mocną armię i zwiększać wpływy francuskie w Nadrenii. Taka pozycja czujnego i aktywnego obserwatora tragicznych wydarzeń niemieckich wymagała istotnie zręczności, której kardynałowi nie brakło, ale ostatecznie była bardzo wygodna.

Co się tyczy wzmocnienia obecności francuskiej w Nadrenii, Gaston i jego szwagier, Karol IV, mimowolnie bardzo pomogli kardynałowi. Książę Lotaryngii, skompromitowany popieraniem intryg Gastona, znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Diuk de Roannez, który miał we Francji różne kondemnatki, błąkał się za granicą i wszedł do kabały Marii Medycejskiej oraz Gastona. Ponieważ chciał wrócić spokojnie do domu, wyśpiewał wszystko agentom rządu. Była to woda na młyn Richelieugo. W czerwcu 1632 roku wzmógł się nacisk Francuzów na Lotaryngię i książe Karol IV musiał przyjąć układ w Liverdun, który oddawał Francji nowe strategiczne pozycje na lotaryńskim terytorium. Książę Karol, wielki przechera, spisał wprawdzie uprzednio dokument odzegnujący się od wymuszonych zobowiązań, ale Francuzi umocnili się na jego zachodniej rubieży. Wnet potem, w lipcu, elektor arcybiskup Trewiru poprosił Francję o protekcję i kilka jego twierdz nad Renem otrzymało francuskie garnizony. Tak zaczęto tworzyć strefę bezpieczeństwa dla wschodnich prowincji francuskich, tampon protegujący je przed ewentualnym atakiem. Później Richelieu wydatnie ją poszerzy.

Wśród uczestników kabały Gastona diuk de Roannez wymienił diuka de Montmorency. Chrześniak Henryka IV, marszałek Francji od 1630 roku - dzielnie dowodził w kampaniach przeciw hugenotom i w kampaniach włoskich lat 1629-30 - był Montmorency postacią ujmującą. Ludwik XIII traktował go *en ami*, kardynał miał wobec niego dług wdzięczności: przypomnijmy, że podczas choroby króla w Lyonie Montmorency miał ponoć dawać Eminencji gwarancje osobistego bezpieczeństwa. Montmorency był niemal udzielnym władcą w swej Langwedocji: prowadził tu świetny dwór przyciągający szlachtę, cenili go bourgeois, wobec ludności chłopskiej uprawiał trochę staroświecki paternalizm. Nie miał wrogów prócz jednego: braku politycznej mądrości. Wśród jego słabości było namiętne pragnienie, by zostać konetabliem Francji: funkcję tę zniósł król dopiero niedawno, w imię centralizacji dowodzenia armią. Wmówiono diukowi, że jedyną szansą tego awansu jest pogodzenie króla z jego bratem i matką, co wnet przyniesie szczytom arystokracji powrót na pierwszy plan, z którego wypchnął wielmożów Richelieu.

Inną słabością Montmorency'ego było uleganie kiepskim doradcom. Słuchał swej żony, ambitnej Marii Felicji z domu des Ursins. Rodzina des Ursins to włoscy Orsini, arystokracja skuzynowana z Medyceuszami - i Maria Felicja żyła w wielkiej przyjaźni z Marią Medycejską. Innym zaufanym diuka był biskup diecezji Albi, Włoch Alfons del Bene, przyjaciel Gastona. Jego bratankowie, zwący się już z francuska d'Elbéne, byli w służbie królewskiego brata, a jeden z nich, Guy, odegrał rolę pośrednika w negocjacjach Gastona z diukiem de Montmorency.

Gdy Richelieu dowiedział się o tych konszachtach, zachował się elegancko; wypada mu oddać tę sprawiedliwość: nigdy nie mnożył wrogów ponad potrzebę, wolał powiększać liczbę swych przyjaciół. Przez swych zaufanych ostrzegł diuka, by nie występował przeciw królowi. Diuszesa Maria Felicja odrzuciła wszelako argumenty kardynała. Z relacji obecnej przy rozmowie damy honorowej wynika, że Montmorency powiedział żonie: „Dobrze, Madame: sama tego chciałaś. Zrobię to, by zadowolić twoją ambicję, ale pamiętaj, że zapłacę życiem”. Starał się jedynie powstrzymać Gastona przed działaniem zbyt pochopnym, ale bez skutku; Gastona poganiał bowiem jego lotaryński szwagier, naciskany bezlitośnie przez króla Ludwika i jego wojsko: Lotaryńczyk widział ocalenie tylko w szybkiej zmianie rządu we Francji. Własnych żołnierzy Gastonowi nie dał.

Monsieur ruszył z Brukseli 18 maja 1632 roku. W Nadrenii czekała nań mała (4-5 tysięcy) armia najemników. 12 czerwca Gaston był już we Francji: chciał wejść do Dijon, ale władze miejskie oświadczyły mu, że przyjmują rozkazy tylko od króla, i nie wpuściły go. Słał na wszystkie strony listy i manifesty, zapewniał, że pragnie wyzwolić króla z niewoli, w której trzyma go „tyran” Richelieu, wzywał szlachtę królestwa, by się doń przyłączała. Ale pozyskał zaledwie około trzystu szlachty z Owernii i Prowansji, natomiast stracił dużą część swoich najemników, którym nie pozwolił grabić, więc dezercerowali z jego armii bez żenady. Gdy w końcu lipca dotarł wreszcie do Langwedocji, było z nim, oprócz służby, zaledwie kilkuset zbrojnych.

W lipcu również Montmorency zadeklarował się po stronie rebelii. „Było to - pisze markiz de Montglat - działanie godne raczej zwykłego karabiniera niż generała, tak bardzo zuchwały i nierozważny miało charakter”. Wydawało się, że można będzie wesprzeć bunt na niezadowoleniu całej prowincji: od jesieni przecież Langwedocja wrzała i protestowała przeciw polityce podatkowej. Nic z tego! Rebelia pozyskała trochę szlachty i kilku biskupów. Ale parlament Tuluzy, a za nim burżuazja urzędnicza i miasta były przeciwne awanturze, liczni w Langwedocji hugenoci nie ruszyli nawet palcem. Nieśmiałe próby wyzyskania ludowego niezadowolenia ze wzrostu podatków nie dały większego rezultatu. Prowincja nie udzieliła buntowi solidnego poparcia.

Richelieu był jednak mocno zaniepokojony i domagał się, by król ruszył do Langwedocji. Ludwik zdecydował się na to w połowie sierpnia, zanim wszakże dotarł do Lyonu, było już po wszystkim.

Gaston liczył na dywersję Hiszpanów, którzy mieli w liczbie paru tysięcy przejść przez Pireneje: kłamał, że dysponuje pełnym poparciem Langwedocji i sąsiednich prowincji. 30 lipca połączył się z ludźmi diuka de

Montmorency, ich siły wzrosły do 4-5 tysięcy żołnierzy. Schomberg, który ich dopadł po miesiącu, miał ledwie dwa tysiące. Montmorency był przekonany, że go pobije: posłowi Schomberga rzekł wyniośle, że porozmawiają po bitwie. Stoczono ją 1 września, pod Castelnaudary. Trwała tylko pół godziny, naliczono zaledwie około setki zabitych. Zwyciężyli lepiej dowodzeni i bardziej zdyscyplinowani ludzie Schomberga. Diuk de Montmorency szarżował samobójczo jak szaleniec. Gdy w końcu przygniótł go koń, miał 17 ran i wymiotował krwią. Szlachta z oddziałów Schomberga odwracała wzrok udając, że go nie dostrzega: chciano jego ludziom dać szansę ratowania diuka, ale swoi go opuścili. W końcu Montmorency sam poprosił żołnierzy króla o spowiednika i o przekazanie jego żonie ślubnego pierścienia. Sądzone, że umiera, i przeniesiono go do najbliższej chłopskiej chaty.

Gaston nie wziął udziału w walce, podobno powstrzymany niemal siłą przez swych doradców. Zebrał resztki rozbitych oddziałów i następnego dnia - znów ta wojna w koronkach! - grzecznie proponował Schombergowi nową bitwę. Marszałek roztropnie nie chciał się bić z następcą tronu i schronił się za murami Castelnaudary. Gaston kłamał więc znowu: w korespondencji z Hiszpanami (którzy mu nie pomogli spodziewaną dywersją) twierdził, że właściwie wygrał bitwę, bo *place d'armes* pozostała przy nim! Wycofał się jednak do Béziers, skąd łatwo było uciec morzem do Hiszpanii, i zaczął rokowania z królem. Bullionowi, który z nim pertraktował w imieniu Ludwika XIII, rzekł potulnie, ale kłamliwie: „Doświadczenie mnie nauczyło, że nie należy nigdy występować przeciw królowi”. Akurat!

Richelieuemu spadł z piersi ogromny głaz. „Teraz, gdy pan de Montmorency jest jeńcem, sprawy nie potoczą się po myśli tych, którzy się przeciwstawiają postępowi Francji” - pisał do marszałka de La Force. Na podstawie otrzymanych relacji miał pewność, że Montmorency wnet umrze, i rozповідаł, iż diuk zasługuje na dożywotnie więzienie: wspaniałomyślność ta miała być bez ryzyka. Jeniec zrobił mu niemiłą niespodziankę, bo wyżył. Król oddał go pod sąd parlamentowi w Tuluzie, co było nagrodą za wierność tego trybunału.

Sprawa stała się wszelako bardzo kłopotliwa, bo ze wszystkich stron rozlegały się wołania o łaskę: Montmorency cieszył się popularnością we Francji i poza jej granicami. Interweniowali w jego obronie papież Urban VIII, księżę Sabaudii, Anna Austriaczka, stary diuk d'Angoulême, władze republiki weneckiej - i cały kwiat arystokracji francuskiej. Siostra diuka de Montmorency, księżna de Condé, nie mogła dostać się do króla, który w październiku stanął w Tuluzie, bo Ludwik zabronił ją wpuszczać do miasta. Spotkała się tylko pod miastem z kardynałem: uklękła i z płaczem prosiła go o interwencję; ten jej obiecał wstawić się u króla w obronie diuka, klęczał też przed nią i płakał. Ale w memoriale na użytek monarchy, gdzie jak zawsze były argumenty za i przeciw wyrokowi śmierci, przewagę dał argumentom za niewzruszoną surowością. Jego późniejsza opinia o panu de Montmorency była lakoniczna: „Dużo serca, mało rozsądku, a na ostatek zdrada”. Gdy kochanka Montmorency'ego księżna de Guéméné przypominała kardynałowi przyjaźń łączącą go z oskarżonym, odrzekł jej

zimno: „To nie ja zerwałem ją jako pierwszy”.

Gaston, rokujący z Bullionem w Béziers, uważał uratowanie Montmorency'ego za sprawę honoru, jako że to on wciągnął diuka w awanturę. Aby osiągnąć ten cel, udawał wielką uległość, wyklinał przed Bullionem wicherzycielstwo arystokratów („Należałoby ich zniszczyć wspólnymi siłami, nic nie są warci”), zwał na Medyceuszkę winę całej awantury („Powinna teraz zabawiać się już tylko modlitwą”). Twierdził później, że dostał od Bulliona zapewnienia co do łaski dla diuka de Montmorency. W układzie z Béziers który podpisał 29 września, nie było o tym mowy. Gaston odzyskiwał swe tytuły i apanaże oraz otrzymał pardon dla tych jego przyjaciół, którzy byli wówczas przy jego osobie. Wykluczało to grupę jego stronników pozostałych w Brukseli, a także pana de Montmorency. Prawdą jest wszakże, iż Richelieu znów zagrał po makiawelsku. Nie chciał doprowadzać Gastona do desperacji, bał się, że znowu ucieknie za granicę, więc kazał Bullionowi dać mu nadzieję. Bullion oświadczył zatem, że podpisanie układu w takim kształcie, jaki Gastonowi przedstawia, zmiekkczy króla i ułatwi mu okazanie łaski panu de Montmorency.

Ludwik XIII twierdził na łożu śmierci, że posłanie pod topór tego starego przyjaciela wiele go kosztowało, że i później bolał nad tą decyzją. Jeśli to prawda, należałoby uznać, że znakomicie potrafił ukryć swe uczucia za maską monarszej sprawiedliwej surowości. Zdobywał się nawet na *bons mots*. Na prośby marszałka de Châtillon odrzekł: „Nie byłbym królem, gdybym [w tej kwestii] rozumował jak poddany”. Panu de Charlus powiedział, że nie należy diuka ułaskawiać, ale trzeba go żałować. Gdy spowiednik Ojciec Arnoux opowiadał mu o pobożnej śmierci diuka, „z którego miłosierny Bóg uczynił wielkiego świętego w Niebiosach”, król replikował: „Mój ojciec, wołałbym się przyczynić do jego zbawienia w łagodniejszy sposób”. Nie wzruszyły go ani pokorne błagania arystokracji, ani wołania mieszczan Tuluzy na ulicach miasta, aby skorzystał z prawa łaski. „Powiedzcie diukowi - oświadczył panu de Charlus - że mogę mu uczynić jedynie taką łaskę, iż kat go nie dotknie, nie zwiąże mu rąk i tylko utnie mu szyję”. Dalibóg, Richelieu nie musiał bardzo cisnąć swego „najlepszego w świecie pana”, by go skłonić do „dania wielkiego przykładu”.

Posel Wenecji Giovanni Soranzo twierdził po prawdzie w swej depeszy, że król może by i ugiął się, gdyby nie bezlitosna postawa Richelieugo. Soranzo twierdzi także, iż Montmorency liczył na pomoc kardynała, wierzył, że Eminencja zechce go uratować. Przed sądem diuk zachował się godnie; 30 października otrzymał wyrok śmierci, który wykonano na wewnętrznym podwórzu tuluzańskiego Ratusza noszącego dumną nazwę Kapitolu. Obecni byli tylko urzędnicy miejscy i straż.

Ta śmierć istotnie stała się „wielkim przykładem”. Nawet wróg Richelieugo, Olivares, podziwiał stanowczość, z jaką jego rywal potrafił doprowadzić do takiej egzekucji. W ciągu pięciu miesięcy dwóch wielkich panów, marszałków Francji, dało głowę: Marillac w maju 1632 roku, teraz Montmorency. Wrażenie było potężne.

Niestety, sukces polityczny rządu przyćmiły nowe kłopoty z następcą tronu. Po podpisaniu układu w Béziers Gaston udał się do swego Orleanu.

Po drodze ścigały go wiadomości z Tuluzy: w Dijon dowiedział się o procesie diuka de Montmorency, w Tours o jego śmierci. Uznał, że król złamał dane mu przez Bulliona obietnice; oświadczył, iż nie czuje się bezpieczny, i szybko uwinął się z przekroczeniem granicy. W listopadzie zjawił się w Brukseli. Maria Medycejska nie chciała go widzieć i wyjechała do Gandawy: dowiedziała się, że w trakcie rokowań z Bullionem nie próbował zadbać o jej powrót do Franej i nie wyrażał się o niej czule. Ich skłócenie to pewna pociecha dla Richelieugo; nieduża, bo właśnie przeciekła wiadomość o potajnym małżeństwie Gastona, a konszachty jego z Hiszpanami przyprawia kardynała w dwu najbliższych latach o niejedną ciężką migrenę. Będzie to w wielkim stopniu paraliżowało swobodę działań politycznych Richelieugo.



ZŁA JESIEŃ 1632 ROKU

Wrogowie kardynała mieli nadzieję, że stracenie diuka de Montmorency zgubi szefa rządu w opinii dworu i szlachty. Nic takiego nie nastąpiło. Montmorency zapisał mu w testamencie cenny legat: komplet wspaniałych mebli i obraz świętego Sebastiana, który Richelieu kiedyś oglądał z wielkim podziwem, a którego twórcą był mistrz boloński Carracci. Przyjmując ów zapis Richelieu dawał do zrozumienia, że w jego stosunku do diuka nie było żadnej osobistej animozji, że to tylko sprawa stanu. Zresztą pełną odpowiedzialność za wykonanie wyroku śmierci wziął na siebie Ludwik Sprawiedliwy; Richelieu wielu ludziom zdążył opowiedzieć, że pragnąłby dożywotniego więzienia dla ostatniego z Montmorency'ch. W linii męskiej ród ten wygasł bowiem na niefortunnym współniku Gastona.

W listopadzie 1632 roku runął jednak na kardynała grad złych wiadomości. Monsieur uciekł do Brukseli. Po niedawnym zgonie ministra finansów marszałka d'Effiat zmarł teraz wierny współpracownik Richelieugo, zwycięzca spod Castelnaudary, marszałek Schomberg. Gustaw Adolf zaczął nową, piorunującą ofensywę w Niemczech, gdzie Wallenstein powrócił do służby cesarskiej. 16 listopada król Szwecji pobił Wallensteina na głowę w bitwie pod Lützen, ale sam w niej zginął.

Można było uznać tę wiadomość za pomyślną, bo i wojska cesarskie zostały pokonane, i nazbyt już ambitny „król śniegów” schodził gwałtownie ze sceny. To jednak nie znaczy, że Richelieu się nie martwi. Królowi napisał, że jego zdaniem Gustaw Adolf mógłby jeszcze poczekać ze swą śmiercią jakieś pół roku. Talentu militarnego Szweda będzie brakowało w walce z Habsburgami, a jego odejście nie oznacza, że kłopoty ze Szwedami się skończyły. W imieniu córki Gustawa Adolfa, 6-letniej królowej Krystyny, władzę będzie teraz sprawował kanclerz Axel Oxenstierna: miał on w ręku mniej atutów niż Richelieu, ale wcale nie był mniej inteligentny i zręczny.

W tym fatalnym listopadzie ujawniła się pierwsza intryga polityczna przeciw kardynałowi usnuta przez Annę Austriacką i jej otoczenie. I wreszcie Richelieu znalazł się jedną nogą na lepszym świecie. Nigdy już

nie będzie miał takiej fizycznej sprawności jak jeszcze niedawno, pod Roszelą czy w kampanii włoskiej 1630 roku. Po wybuchu „wielkiej” wojny w 1635 roku ten pięćdziesięcioletni mężczyzna stanie się siwym starcem podróżującym jedynie w *litière*.

Ludwik XIII opuścił Tuluzę natychmiast po egzekucji Montmorency’ego i wracał szybko do Paryża. Richelieu wpadł na pomysł, by zaprosić Annę Austriacką - także obecną w Tuluzie - do zwiedzenia portu w Brouage, którego był gubernatorem, Roszeli, którą rzucił na kolana, i wspaniałego Zamku w Richelieu, który właśnie budował. Opinia publiczna zarzucała mu, że skłócił gruntownie rodzinę królewską i zmusił matkę oraz brata monarchy do emigracji. Nie byłoby więc źle oczarować i skłonić do aliansu przynajmniej żonę króla. Pomysł wydawał się realny, jako że najlepsza przyjaciółka królowej, pani de Chevreuse, od roku była w dobrych stosunkach z kardynałem. Dawała mu się wykorzystywać do poskramiania swego przyjaciela, księcia Karola Lotaryńskiego: układ w Vic ze stycznia został zawarty przy jej wydatnej pomocy. Richelieu nie orientował się jeszcze, że siedziała wówczas na dwóch stołkach, a jej wrogość do niego wcale nie zelżała.

W początku listopada królowa Anna i kardynał, z ogromną świtą dygnitarzy i arystokracji dworskiej, ruszyli z Tuluzy do Bordeaux. Płynęli Garonną; Richelieu zaplanował, prócz atrakcji turystycznych, liczne rozrywki dla dam. Niestety podróż zabawna nie była. W Lectoure powalił kardynała ostry atak bólów nerkowych, później przyplątał się do tego wrzód w pęcherzu. Otoczenie Anny Austriackiej traktowało chorego kardynała niegrzecznie i szyderczo. Pani de Chevreuse wciągała do jakichś podejrzanych narad królową i ministra de Châteauneuf, strażnika pieczęci.

Charles de l’Aubespine markiz de Châteauneuf był człowiekiem inteligentnym i pracowitym; wydawał się dotąd lojalną kreaturą Richelieu. Z wielką gorliwością prezydował trybunałowi sądzącemu marszałka de Marillac, którego brata wcześniej zastąpił na urzędzie strażnika pieczęci. Miał już 52 lata, a więc wedle standardów epoki był solidnym starszym panem. Na swe nieszczęście miał skłonności do namiętnych uczuć dla młodych i pięknych kobiet. „Ta jego słabość - pisze pani de Motteville - była z kolei przyczyną słabości, jaką do niego miewały damy: bardzo się one przyczyniły swymi intrygami do jego kariery i fortuny, ale tak samo do jego nieszczęścia”. Pani de Chevreuse bez trudu owinęła go koło palca. Słała mu mnóstwo listów (w papierach ministra znaleziono ich około sześćdziesięciu) pełnych pochlebstw i obietnic. Twierdziła, że Richelieu jest jego - oczywiście niefortunnym i tylko pociesznym rywalem. To z otoczenia pani de Chevreuse wychodziły kretyńskie plotki, powtarzane na dworze, że zadurzony kardynał na rozkaz pani de Chevreuse wykonywał przed nią i przed królową tańce z kastanietami!

To oczywiście bzdury; poważną sprawą było to, co się wnet miało ujawnić. Otóż pan de Châteauneuf wypaplał diusziesie de Chevreuse różne sekrety rządowe. Mówił jej między innymi o zamierzeniach kardynała dotyczących Lotaryngii, a ta informowała natychmiast księcia Karola IV. Królowa i pani de Chevreuse buntowały go przeciw tyranii Richelieu,

wmawiały weń, że doskonale by go mógł zastąpić na stanowisku pierwszego ministra, dyskutowały z nim o sojuszu z Hiszpanią... Konszachty te miały niebezpieczne rozgałęzienia: już na dworze londyńskim mówiono o panu de Châteauneuf jako nowym szefie rządu Francji, kabała nawiązała kontakty z Gastonem Orleańskim w Brukseli. Pani de Chevreuse miała wprawę w takich machinacjach.

Wszystko to miało się ujawniać stopniowo, ale Richelieu wyczuwał atmosferę politycznej intrygi. Zaniepokoił się, gdy Anna Austriaczka postanowiła cały orszak ciągnący Garonną zatrzymać w Cadillac, w zamku gubernatora Gujenny diuka d'Epéron. Ten stary wróg kardynała zrobił mu dopiero co brzydki figiel: prosząc króla o łaskę dla Montmorency'ego, przypomniał Ludwikowi XIII, że i Richelieu ongiś buntował się przeciw niemu do spółki z Marią Medycejską!

Cierpiący na wrzód i wstrzymanie moczu kardynał szedł pieszo od brzegu Garonny do zamku w Cadillac, bo świta królowej złośliwie pozbawiła go karocy. W zamku diuk d'Epéron oddalił jego gwardzistów. Laporte zapisuje w pamiętniku, że Richelieu spędził w Cadillac noc strachu; zamiast kolacji wypił tylko bulion produkcji własnego kucharza, bo się bał, że gospodarz „może mu zrobić brzydki kawał”. Wczesnym rankiem ruszył sam, bez reszty dworu, w dół Garonny, do pobliskiego Bordeaux. Jego stan pogarszał się gwałtownie. Złożył mu wizytę diuk d'Epéron z całą czeredą zbrojnych gwardzistów: Richelieu sądził przez chwilę, że chcą go zamordować. Ale stary antagonista kardynała był dlań uprzejmy: sądził zapewne, że wkrótce będzie miał satysfakcję oglądać go w trumnie. Anna Austriacka także przybyła z krótką wizytą do Bordeaux, pokazała się kardynałowi na chwilę i ruszyła w dalszą drogę, do Blaye.

Jeden z lekarzy bordoskich przy pomocy bardzo brutalnego zabiegu uratował Eminencji życie: wstrzymanie moczu zostało przerwane. Laporte opisuje, jak królowa i pani de Chevreuse wysłały go z listami do Bordeaux. Miał się dowiedzieć, czy Richelieu jeszcze dyszy. „Znalazłem go między dwoma łózkami, na krześle, gdy bandażowano mu siedzenie: podano mi lichtarz, bym mu świecił przy czytaniu listów”. Gdy Laporte wracał, w połowie drogi znalazł go kurier od pana de Châteauneuf, który „z ogromną niecierpliwością chciał się dowiedzieć, czy Jego Eminencja umrze z tej choroby”. Wiadomość, że Richelieu się jednak wylizał, skonsternowała kandydata na jego następcę. Królowa, pani de Chevreuse i Châteauneuf przesłuchali dokładnie Laporte'a i dowiedzieli się, że kardynał bardzo go wypytywał o kontakty strażnika pieczęci z obiema paniami. Zaraz też złożyli poufną naradę, „na której, jak sądzę, nie postanowili nic innego, jak tylko robić dobrą minę... musieli się bowiem obawiać, że kardynał podejrzewa ich intrygę”.

Richelieu także nie był spokojny; liczył się z jakimś zamachem diuka d'Epéron, zawiedzionego cudownym wyzdrowieniem kardynała. Pod koniec listopada uciekł z Bordeaux do Brouage: zostawił Epéronowi pismo z przeprosinami i wyjaśnieniami, że bordoski klimat mu nie służy. Przeniesiono go w sekrecie przed gospodarzem, na materacach, do wielkiej łodzi, która go wywiozła w bezpieczne miejsce. W Brouage wypoczywał i zastanawiał się nad skomplikowaną sytuacją. Należało zadbać o to, by

śmierć Gustawa Adolfa nie zniechęciła do wojny Szwedów i protestantów niemieckich. W tej intencji pojechał do Niemiec wysłannik kardynała i Ojca Józefa, pan de Feuquières: miał porozumieć się z Oxenstierną, a w Berlinie i Dreźnie zagrzać do działania dwu najsilniejszych władców protestanckich, elektorów brandenburskiego i saskiego. Misja ta okazała się ważna, bo w Dreźnie dotarł do pana de Feuquières Czech Vilem Kinsky: tak zaczęły się sekretne konszachty Wallensteina z Francuzami. Ale to się działo dopiero w połowie następnego, 1633 roku.

U progu tego roku, 3 stycznia, Ludwik XIII spotkał się z kardynałem w zamku Rochefort. Król okazywał wielką czułość swemu ministrowi i jeszcze większą irytację na panią de Chevreuse. Richelieu ledwie go powstrzymał przed natychmiastowym aresztowaniem pana de Châteauneuf; chciał bowiem, by kabała rozwijała się jeszcze czas jakiś pod odpowiednią kontrolą, co pozwoliłoby zgromadzić więcej obciążających dowodów. Także późniejsze listy króla do kardynała pokazują, że Ludwik XIII naciskał na szybkie rozbicie intrygi. 25 lutego król samodzielnie podjął decyzję o aresztowaniu markiza de Châteauneuf. Richelieu mógł udawać, że to królowi przypada zasługa większej czujności w obliczu spisków. Pan de Châteauneuf miał więcej szczęścia niż jego poprzednik, który zmarł w więzieniu; był od Marillaka młodszy i zdążył jeszcze wyjść na wolność z zamku w Angoulême, dokąd go posłano. Ale stało się to dopiero po śmierci kardynała, a więc po długich dziesięciu latach. Intryga pana de Châteauneuf to ostatnia próba wysadzenia kardynała z siodła, która wyszła ze ścisłej ekipy rządowej. Ale to zarazem pierwsza duża kabała przeciw Eminencji montowana przez królową Annę i jej przyjaciół. Będą jeszcze następne.

Na trwające już represje przeciw uczestnikom rebelii diuka de Montmorency nałożyły się teraz prześladowania przyjaciół pani de Chevreuse i markiza de Châteauneuf. Jednego z nich, marszałka d'Estrées, musiał uspokajać sam kardynał; innego, który dzielnie zachował przy sobie sekrety pani de Chevreuse, kawalera de Jars, ułaskawiono dopiero po doprowadzeniu na szafot. Mówiono, że zaważyło na tym akcie łaski pokrewieństwo Jarsa z kardynałem przez Rochechouartów.

Pani de Chevreuse zgodziła się pomóc Eminencji i interweniowała u Karola Lotaryńskiego, by przerwał przygotowania wojskowe. Miała nań wielki wpływ i osiągnęła zamierzony przez Richelieugo cel. Mimo to nie udało się jej pozostać na dworze; król jej nie cierpiało od dawna, teraz miał świetną okazję, by ją znów oddalić. Kazał diukowi de Chevreuse wywieźć żonę do zamku Couzières, w Turenii. Od wszystkich intryg politycznych diuszesy króla bardziej złościły jej szyderstwa i kpiny. Rzeczywiście, umiała szydzić z Jego Królewskiej Mości i z Jego Eminencji w sposób brawurowy.

Przed wyjazdem do Couzières uzgodniła z królową Anną, że będą korespondować ze sobą i krzyżować politykę Richelieugo na obcych dworach. Znalazły mnóstwo chętnych do przewożenia tej sekretnej korespondencji i zaszkoziły niemało już nie tylko kardynałowi, ale po prostu Francji: informowały wrogów o planach rządu francuskiego, ruchach wojsk, snuły projekty dywersji, doradzały, jak najlepiej

pokrzyżować zamysły Ludwika XIII i Richelieugo. Na szczęście Hiszpanie nie zanadto serio przyjmowali te damskie kabały, rady i donosy.



DYPLOMACJA I ZIMNA WOJNA

Przyjęta w memoriale z 21 stycznia 1632 roku formuła: „łączyć negocjacje z użyciem wojska”, oznaczała w praktyce kombinowanie dwóch celów. Dyplomacja francuska lat 1633-34 zmierza do podtrzymania, subsydiami i obietnicami, wojennego zapału wszystkich tych, którzy walczą z Habsburgami; działania zbrojne mają na celu poszerzenie francuskiej obecności militarnej w rozległej strefie między Mozela i Renem. To wejście do Nadrenii motywowane jest różnymi względami. Chodzi więc o stworzenie osłony dla wschodnich prowincji francuskich: Trzech Biskupstw, Szampanii i Burgundii. Powstaje dla nich, na lewym brzegu Renu, silna strefa bezpieczeństwa. Po drugie, chodzi o zakłócenie swobodnej komunikacji między prowincjami hiszpańskimi, południowymi Niderlandami i Franche-Comté. Nie bez znaczenia jest wreszcie i to, że tam, dokąd wejdą francuskie garnizony, nie usadowią się już i nie będą grabić Szwedzi. Czy zresztą można jeszcze mówić o armii szwedzkiej? Armia Gustawa Adolfa, podczas jego błyskotliwej, lecz krótkiej epopei niemieckiej, to istotnie wojsko narodowe, szwedzkie. Po śmierci króla dowodzona przez Gustawa Horna i Johana Banera armia szwedzka wchłania coraz więcej najemników różnej narodowości, głównie Niemców. Wnet będą oni stanowili więcej niż połowę „szwedzkiej” siły zbrojnej. Dyscyplina i wartość bojowa tego wojska wyraźnie się zatem obniżają. Tymczasem w Nadrenii licznie są rozsiane władztwa terytorialne książąt duchownych, z elektorami Trewiru, Wormacji i Moguncji na czele: o korytarzu reńskim Niemcy mówią jako o Pfaffengasse, ulicy klechów. Kardynał Richelieu i Ojciec Józef, potępiani tak często za sojusze z protestantami, bardzo chcą zapewnić katolikom z Nadrenii protekcję przed gwałtami protestanckiej soldateski.

To jednak nie dotyczy Lotaryngii, która potrafiłaby się obronić. Trudno też powiedzieć, że książę Karol IV nie był ustępliwy w obliczu nacisków potężnego sąsiada z zachodu: świadczą o tym układy w Vic i Liverdun, później przerwanie przygotowań wojskowych... W pamiętnikach Laporte'a czytamy, że ta ustępliwość księcia Karola ogromnie irytowała jego panią, Annę Austriaczkę. W wielkiej tajemnicy przed królem i kardynałem królowa kazała mu pojechać do Lotaryngii i zawieźć Karolowi aksamitny damski czepek z bukietem pięknych piór.

Fakt, że Karol IV przyjął w Nancy Gastona wiosną 1631 roku i że oddał swą siostrę francuskiemu następcy tronu bez zgody Ludwika XIII - to wspaniały pretekst do „ostatecznego załatwienia kwestii lotaryńskiej”. Richelieu potrafił takie okazje chwytać w lot. Faworyt Gastona Nicolas Goulas zapisał w swym pamiętniku, że Ludwik XIII, skoro tylko spacyfikował sytuację wewnętrzną, „postanowił ukarać małego księcia, który zrobił mu taki wybryk (*frasque*) wbrew samym przyrzeczeniom... Nie

mógł już mu ufać po okazaniu takiej wzdary jego potędze i jego osobie”. Ów „wybryk” to oczywiście potajemny ślub Gastona. Paradoks polega na tym, że Karol IV wcale nie aranżował ślubu siostry z Gastonem i wcale nie był nim zachwycony. Trochę dlatego, że przeczuwał komplikacje, trochę dlatego, że ulegał ciągle diusziesie de Chevreuse i wiedział, iż ta nadal myśli o przyszłym małżeństwie Gastona z Anną Austriaczką, gdy tylko Ludwik XIII odejdzie *ad patres*.

W sierpniu 1633 roku król ruszył zatem przeciw „małemu księciu”. żądał ni mniej ni więcej, jak oddania mu stolicy księstwa, potężnej twierdzy Nancy. Oblężenie było krótkie, 25 września wojsko francuskie weszło do Nancy: Karol IV układem w Charmes przyjął wszystkie warunki Richelieugo. „To już tylko szkielet, tylko widmo władcy” - mówił kardynał o księciu Lotaryngii. Wkrótce potem, w styczniu 1634 roku abdykował na rzecz brata. Ów brat, Nicolas-François, nie mając jeszcze pełnych święceń był kardynałem i biskupem Toul. Złożył zaraz swe godności kościelne i ożenił się ze swą kuzynką i szwagierką Klaudyną. Eks-kardynał wnet znalazł się w konflikcie z dowódcą wojsk francuskich marszałkiem de La Force i wraz z żoną schronił się w Toskanie.

Lotaryngia de facto była anektowana przez Francję, ale tutejsza rodzina książęca zrećcznie się wymknęła kardynałowi Richelieu. Książę Karol stał się kondotierem w służbie cesarskiej; oddał też katolickim siłom Rzeszy wcale niezłą formację żołnierzy lotaryńskich, którymi dowodził. Jego siostra Małgorzata już podczas oblężenia Nancy wymknęła się w męskim przebraniu i dotarła do hiszpańskich Niderlandów. Połączyła się tam z Gastonem, który nie tylko rozgłosił wiadomość o swym małżeństwie, ale i ponowił ślub uroczyście dzięki usłudżnemu arcybiskupowi Malines. Nicolas-François i Klaudyna byli w Toskanie; siostra Karola IV, Henryka, zamężna za księciem de Phalsbourg, także zrećcznie się ulotniła. Zadurzyła się w faworycie Gastona, panu de Puylaurens.

Wiosną 1634 roku, gdy Nicolas-François opuścił Lotaryngię, Karol IV znów przyjął tytuł księcia panującego i ogłosił, iż unieważnia wszystkie akty dotyczące stosunków francusko-lotaryńskich. Jego poddani na ogół dochowywali mu wierności, co nadało francuskiej okupacji brutalny charakter. Uparci, konserwatywni i gorliwie katoliccy Lotaryńczycy byli przywiązani do swej rodziny książęcej i do swej niezależności państwowej; „heretyckie” sojusze Francji okropnie im się nie podobały, a miejscowy kler utwierdzał ich w takim usposobieniu. Do oporu przeciw Francuzom skłaniały ich także manifesty i działania zbrojne wygnanego księcia Karola oraz świadomość, że potężne siły polityczne - cesarz, papież, król Hiszpanii potępiają aneksję i domagają się restytucji Lotaryngii jej prawowitemu władcy.

Richelieu nie bardzo się wysilił, by jakoś zalegalizować działania w Lotaryngii: proces „o porwanie francuskiego następcy tronu” wytoczony księciu Karolowi przed parlamentem paryskim to była prawnicza farsa. Kardynał uważał wszelako, że Lotaryngia jest tak cennym łupem, iż nie wolno pod żadnym pozorem wypuścić go z rąk. Do końca życia, nawet w trudnych okresach niepowodzeń militarnych, nie chciał słyszeć o zwrocie Lotaryngii, która też została przy Francji przez większą część długiego

panowania Ludwika XIV, do traktatów ryswickich z 1697 roku. Jeden rzut oka na mapę wyjaśnia, jak olbrzymią wartość strategiczną ma w tym czasie Lotaryngia, wbijająca klin między hiszpańskie Niderlandy i Franche-Comté.

A do tego dodać należy szansę infiltracji, przez terytorium lotaryńskie, do sąsiedniej Alzacji. Poszatkowana na mnóstwo władztw terytorialnych Alzacja znalazła się wówczas w położeniu żalonym, wydana na łup przemarszów, grabieży i okupacji całej międzynarodowej soldateski: niekarnych i brutalnych oddziałów cesarskich, hiszpańskich, lotaryńskich, szwedzkich. Wśród tego potwornego zamieszania ład monarchiczny, reprezentowany przez armię marszałka de La Force stojącą tuż za miedzą, wydawał się Alzaczynom wcale niezłym parasolem ochronnym. Od jesieni 1633 roku mnożą się tedy prośby o francuską protekcję wojskową ze strony małych państweczek na wschód i na południe od Lotaryngii (hrabstwa Hanau, Montbéliard, Salm, Hagenau, biskupstwo Bazylei...). Garnizony francuskie wciąż się zbliżały do Renu, militarna obecność Francji za Wogezami umacniała się. Latem 1634 roku Szwedzi zgodzili się wreszcie - Richelieu bardzo o to zabiegał - przekazać Francuzom twierdzę Philippsburg, położoną na prawym brzegu Renu!

Nie oznacza to, że kardynał rzucał się na każdą okazję, nawet bardzo pojętną. Odrzucił, u schyłku 1632 roku, plan Henryka de Rohan, który pragnął wrócić ze służby dla Wenecji do służby królowi Francji. Rohan proponował, że z wojskami zaciężnymi i szwedzką pomocą zbrojną obsadzi Waltelinę, co zapobiegłoby jej ewentualnemu zajęciu przez Hiszpanów i bardzo by skomplikowało hiszpańskie przemarsze z Włoch do Niemiec. Pokusa była silna, ale Richelieu bał się, że żyjący jeszcze Gustaw Adolf zastąpi Francję w roli protektora Gryzonów i kantonów szwajcarskich. Rohan nudził się jeszcze przez dwa lata; dopiero jesienią 1634 roku dostał rozkaz działań przeciw Karolowi IV, próbującemu odzyskać Lotaryngię, i pobił go w świetnie zaplanowanej kampanii.

Inna odrzucona pokusa: wiosną 1634 roku wysłannicy Holandii zaproponowali Francji sojusz ofensywny, wspólny podbój i podział hiszpańskich Niderlandów. Richelieu odmówił. Nie dlatego, że nie pragnął zdobyć terytorialnych na tym obszarze, bo bardzo ich chciał i już w styczniu 1633 roku dyskutował z Ojcem Józefem, ile należałoby zagarnąć z Niderlandów hiszpańskich. Po prostu uznał, że jeszcze ciągle jest za wcześnie na otwartą wojnę z Hiszpanami.

Strategiczne pozycje Francji we Włoszech to posiadłości diuka de Nevers, Mantua i Monferrat, a także zabrany Sabaudom Pignerol. I tutaj Richelieu nie wykluczał umacniania swych militarnych przyczółków. Dyplomatom weneckim wspominał o chęci przejęcia dolin otaczających Pignerol, „gdyby mógł je dostać od księcia Sabaudii po przyjacielsku”; snuł też plany, by zabrać trzy twierdze sabaudzkie w zamian za... Genewę, którą by Wiktor Amadeusz mógł zająć z francuską pomocą. Irytowały Richelieugo namolne żądania Neversa, by francuskie garnizony opuściły Monferrat: nie wykluczał brutalnej aneksji tego terytorium, gdyby francuska obecność była tu nadal źle widziana.

Wszystko to nie były wielkie podboje, raczej umacnianie „gorących”

granic, tworzenie wygodnych platform dla działań wojskowych. Nie w pełni udało się plany te zrealizować bez „wielkiej” wojny, naciskiem zbrojnym i zręcznością dyplomacji. „Richelieu ma większy apetyt niż żołądek, więcej ambicji niż możliwości zrealizowania projektów, których szanse rozważa z upodobaniem”: to trafna opinia angielskiego dyplomaty w depeszy do Londynu. Tak czy inaczej włożmy między bajki opowieści wielu francuskich historyków, że tylko Habsburgowie, a przede wszystkim Hiszpanie, mieli wówczas ekspansywne zamysły, zaś Richelieu jest wzorem umiaru i aniołem pokojowych intencji. W tych krytycznych latach 1633-34 nieustannie waha się on między pokusą wejścia do „wielkiej” wojny a świadomością ryzyka takiego kroku. Wie, że kraj nie jest dobrze przygotowany do ciężkiego i długotrwałego wysiłku militarnego.

Tym większe pole działania dla dyplomacji pozwalającej wojować cudzymi rękami. W początku 1633 roku niepokoi Richelieuogo perspektywa rozejmu między Hiszpanią i Zjednoczonymi Prowincjami. Po ciężkich klęskach Holendrów w pierwszym okresie wojny (do dziś przypomina je jedno z najświetniejszych płócien Velazqueza, *Kapitulacja Bredy*) od 1629 roku karta się odwróciła. Holenderskie sukcesy militarne pozwalały myśleć o korzystnych warunkach rozejmu, a nawet pokoju z Hiszpanią. Większość rządzących krajem zamożnych *bourgeois*, tak zwanych regentów, jest pacyfistyczna. Za wojną opowiadają się jednak siły potężne: namiestnik (stathouder) Fryderyk książę Orański, bo wojenne zwycięstwa zapewniały mu niemal królewską władzę w tej mieszczańskiej Republice, oraz Kompania Zachodnioindyjska, która nie miała zamiaru oddawać Hiszpanom swych kolonialnych zdobyczy.

Aby zapobiec rozejmowi hiszpańsko-holenderskiemu, Richelieu śle w styczniu 1633 roku do Holandii jednego ze swych najlepszych dyplomatów, Herkulesa de Charnacé. Ma on zapewnić Holendrom dalsze świadczenie francuskich subsydiów (milion liwrów rocznie), a także, jeśli się okaże, że to za mało, francuskie posiłki zbrojne (aż do 7 tysięcy ludzi). Pomogłyby one robić podboje w hiszpańskich Niderlandach, zaś Francja miałaby w tych podbojach swój udział. Dla zachowania pozoru neutralności żołnierze francuscy wojowaliby pod rozkazami księcia Orańskiego. Wreszcie Charnacé ma użyć w razie potrzeby najcięższej armaty: obiecać księciu Orańskiemu wejście Francji do otwartej wojny. Wtedy trzeba tylko zadbać o to, by zaplanować dla Francuzów jak największe korzyści polityczne i terytorialne.

Kardynała niepokoi także sytuacja w Niemczech po śmierci Gustawa Adolfa. Koalicja sił protestanckich była tu zawsze luźna, niespójna, pełna wewnętrznych napięć. Prestiż króla Szwedów tę koalicję podtrzymywał; czy nie rozpadnie się ona, gdy go zabrakło? Czy chwiejni elektorowie saski i brandenburski nie ulegną pokusie korzystnego pokoju z cesarzem? Czy za nimi nie pójdą pomniejsi władcy protestanczy? Zmusiłoby to Szwedów do wycofania się z wojny w Niemczech.

Richelieu usiłuje więc na dwa sposoby zadbać o swoje interesy. Jeden jest klasyczny: trzeba podtrzymać zwartość i wolę walki sił protestanckich czynnych w Niemczech. Drugi nietypowy: Wallenstein zamierza zdradzić sprawę cesarską, więc należy podjąć próbę skorzystania z tej

nieoczekiwanej sposobności.

Misję do protestanckich Niemiec otrzymał pan de Feuquières. Miał umocnić animozje władców protestanckich do cesarza, zagrozić ich do dalszej wojny. Na czele partii protestanckiej jako sukcesor Gustawa Adolfa stanąć miałyby - wedle projektów kardynała i Ojca Józefa - elektor saski Jan Jerzy II. Wybór to bardzo niefortunny i wypadło go zarzucić: Jan Jerzy traktowany był z pogardą przez innych władców protestanckich, bo znano go z pijaństwa, braku energii, ciągłot do zawarcia pokoju z cesarzem. Feuquières musiał odstąpić od instrukcji kardynała i poprzeć kandydaturę Oxenstierny jako szefa obozu protestanckiego w Niemczech. Nie zdołał też - co mu zalecał Richelieu - uzyskać poparcia Szwedów i protestantów niemieckich dla francuskiej infiltracji militarnej na lewym brzegu Renu. Czego zresztą należało się spodziewać; kardynał nie mógł być tym bardzo zaskoczony.

Ostatecznie jednak sytuacja w Niemczech wydawała się korzystna. W kwietniu 1633 roku umocnił się, na zjeździe w Heilbronn, związek sił protestanckich dyrygowany zręczną ręką Oxenstierny. Feuquières zawarł ze Szwedami nowy układ we Frankfurcie (w kwietniu), do którego potem dołączył się podobny układ Francji z książętami protestanckimi (we wrześniu). Wszystko to było bardzo kosztowne: francuskie subsydia dla Szwedów i Niemców płynęły złotą rzeką. W zamian Richelieu oczekiwał od nich respektu dla katolicyzmu niemieckiego i - ciągle ten sam motyw! - neutralności w stosunkach z Bawarią i całą katolicką Ligą. Tłumaczył swym protestanckim sojusznikom, że w Niemczech nie należy prowadzić wojny religijnej, lecz polityczną walkę z Habsburgami. Starał się ich olśnić perspektywą definitywnego oderwania Bawarii od cesarza i stworzenia nowej większości w kolegium elektorów, co by pozwoliło przełamać po dwóch stuleciach monopol Habsburgów na godność cesarza Rzeszy. Oto elektor Trewiru jest już w kieszeni króla Francji, elektor Kolonii też szuka protekcji Ludwika XIII. Starczy dodać do nich głosy elektora brandenburskiego i nowo kreowanego elektora bawarskiego - a antyhabsburska większość w kolegium elektorów będzie zagwarantowana. W Niemczech ustali się nowa równowaga polityczna, korzystna dla protestantów...

Historia zdrady Wallensteina i jego negocjacji z Francuzami nie jest zupełnie jasna. W obszernych Pamiętnikach kardynała także rozmazuje się ona, i nie bez powodu: Richelieu nie lubił rozwódzić się nad sprawami nieudanymi, wolał przekazywać potomnym opis zmagania i sukcesów, niepowodzenia chętnie tuszował.

Była już mowa o tym, że w połowie 1633 roku w Dreźnie dotarł do pana de Feuquières wysłannik Wallensteina Vilem Kinsky. Francuski dyplomata zachował ostrożność, gdy jednak poprosił swój rząd o instrukcje, otrzymał odpowiedź wielce zachęcającą. Rada królewska w Saint-Germain, zebrana 16 lipca, uchwaliła, by upoważnić pana de Feuquières do zawarcia układu z cesarskim generalissimusem. Jeśli Wallenstein wystąpi ze swą armią przeciw cesarzowi, to Francja da mu subsydia, nawet do wysokości jednego miliona (a więc tyle, ile otrzymywała Holandia). Obiecano także poprzeć roszczenia Wallensteina do korony czeskiej, jeśli tylko kosztem

cesarza utrwali swą władzę nad Czechami. Lojalnie wymieniono w tej sprawie informacje ze Szwedami: Oxenstierna miał o niej pogląd wielce sceptyczny. Później na wiele miesięcy zapadła cisza. Wallenstein sondował także Saksonię: wolałby nawet sojusz z Sasami pod hasłem przepędzenia z Niemiec wszystkich obcych wpływów, co naturalnie miałyby ostrze antyszwedzkie i antyfrancuskie. Motywy działań Wallensteina nie są zupełnie jasne, bo też i postać to niejednoznaczna. Pod koniec jego kariery ujawniał się w jego charakterze brak zrównoważenia; grzęznął w przesadach i praktykach magicznych, fantasmagoriach, nieumiarkowanej gwałtowności.

W początku stycznia 1634 roku Kinsky wznowił rokowania z panem de Feuquières: Wallenstein nabrał przekonania, najzupełniej fałszywego, że może liczyć na swych oficerów i swą armię. Mamy nawet jakieś niejasne informacje, że rząd francuski przygotował wówczas i wysłał tekst układu z Wallensteinem. Ale podejrzenia cesarza, że wielki kondotier zdradził, były już wówczas tak mocne, że generałowie Gallas i Piccolomini otrzymali rozkaz rozprawienia się ze swym dowódcą. Zrzucili to zadanie na podkomendnych - i 25 lutego 1634 roku Wallenstein został zamordowany w Chebie.

Było to gorzkie rozczarowanie dla Richelieugo, który obiecywał sobie wiele po tym niespodziewanym uśmiechu fortuny, jakim wydawała się zdrada Wallensteina. W całej sprawie Ludwik XIII szedł zresztą za kardynałem z niechęcią i ociąganiem. Po zabiciu Wallensteina z rozkazu cesarza - pisze w swym pamiętniku hrabia de Brienne - „Jego Królewska Mość, który mniemał, iż autorytet podtrzymuje się strachem, bardzo chwalił tych, co posłuchali cesarza. Ten pogląd spotkał się z dezaprobatą kardynała. Robił nawet z tego powodu wymówki królowi, który następnego dnia wypowiedział się na ów temat całkiem inaczej”.



DROGA DO WOJNY JAWNEJ

Obóz protestancki w Niemczech, choć wstrząsany wewnętrznymi podziałami i wzajemnymi nieufnościami, prowadził jednak dalej wojnę z cesarzem. Wprawdzie w Unii z Heilbronn nie byli obecni elektorowie brandenburski i saski, ale podejmowano próby stworzenia wokół tych dwóch książąt podobnych związków. Armie protestanckie miały dobrych dowódców, Szwedów (Horn, Baner, Torstenson) i Niemców (książęta Hessen-Kassel i Bernard von Sachsen-Weimar, najzdolniejszy z nich wszystkich). W 1633 roku nie brakowało im sukcesów militarnych.

W Holandii partia wojenna z księciem Orańskim i Kompanią Zachodnioindyjską na czele wzięła górę. Charnacé wynegocjował nowy traktat francusko-holenderski (15 kwietnia 1634 roku), ważny co prawda tylko na rok. Wojna Zjednoczonych Prowincji z Hiszpanią trwać miała dalej, zaś wkład Francji ograniczał się do subsydiów, wydatnie jednak zwiększonych (do 2,3 miliona). To przy okazji misji do Paryża dla ratyfikowania owego układu Holendrzy złożyli swą ofertę, o której już była

mowa: propozycję otwartego wejścia Francji do wojny z Hiszpanią, podboju i podziału hiszpańskich Niderlandów. Richelieu skłonił króla do jej odrzucenia. Francja miała nadal wojować cudzymi rękami (ale i własnymi pieniędzmi) oraz umacniać swą strefę bezpieczeństwa nad Renem.

A więc kardynał odrzuca i inną ponętą ofertę, tym razem szwedzką. Otóż latem 1634 roku protestanci ponieśli w Niemczech serię porażek; Oxenstierna tracił autorytet, jego wpływ na książąt skonfederowanych w Heilbronn osłabł, szwedzki kanclerz bał się ich zbliżenia z cesarzem. W końcu sierpnia wyraził najpierw zgodę na oddanie Francuzom Philippsburga, kluczowej twierdzy na prawym brzegu Renu, a kilka dni później zaproponował panu de Feuquières, że wojska szwedzkie ewakuują cały obszar Nadrenii, oddadzą Francuzom swe pozycje w tym regionie i skoncentrują się na wschód od Łaby! Ceną tego ustępstwa byłoby otwarte wejście Francji do wojny. Francuzi prowadziliby ją nad Renem, gdzie była ich strefa zainteresowań i wpływów, Szwedzi - we wschodniej połowie Niemiec, gdzie z kolei znajdowały się ziemie dziedziczne cesarza i obszar nadbałtycki, przedmiot zakusów Szwecji.

Przyjęcie tej propozycji ogromnie by umocniło militarną pozycję Francji nad Renem i zakończyło rywalizację Francji i Szwecji w tym regionie, od 1631 roku jątrzącą ich wzajemne stosunki. Ale też i cena była olbrzymia. Richelieu obawiał się, że zniechęceni ostatnimi porażkami księżęta protestanccy po wejściu Francji do wojny tym skwapliwiej poszukaliby zbliżenia z cesarzem. Francuzi i Szwedzi mogliby znaleźć się w obliczu jakiejś „świętej unii” wszystkich Niemców pod hasłem przepędzenia z Niemiec obcych najeźdźców. Ponadto kardynał uznał - i słusznie - że propozycje Oxenstierny świadczą o jego osłabieniu. Sądził więc, że można będzie skłonić Szweda do różnych ustępstw nad Renem za cenę dużo niższą niż wejście do wojny.

Wypada tylko chwalić kardynała za okazanie takiego umiaru. Jednakże od końca 1632 roku - to znaczy od czasu, gdy zabrakło Gustawa Adolfa - Richelieu nieraz już balansował na samej krawędzi „wielkiej” wojny. Z jej perspektywą liczył się od dawna. W wielokrotnie cytowanej *Opinii dla króla* ze stycznia 1629 roku wspominał o unikaniu „jawnej wojny z Hiszpanią” - ale tylko „jak długo to będzie możliwe”. Po wzięciu Pignerol, w memorandum z kwietnia 1630 roku, pisał o wyborze wojny ze świadomością, że opcja taka oznacza rezygnację ze „spokoju, oszczędności i reform”. Oszczędności (a to znaczy: ulgi podatkowe dla ludu) i reformy (czyli uporządkowanie spraw wewnętrznych) są ważnym zadaniem, ale ustąpić muszą przed „wielkością” króla. Wykładnikiem owej „wielkości” nie są głównie terytorialne zdobycze - choć i o nich jest mowa - ale potęga i „reputacja” monarchy. *Opinia* ze stycznia 1629 roku to recepta, by Ludwik XIII idąc za radami kardynała dążył do pozycji „najpotężniejszego i najbardziej szanowanego władcy na ziemi”. A więc takiego, który każdemu innemu monarsze w każdej chwili może utrzyć nosa.

Ta mania wielkości ściera się jednak z politycznym realizmem inteligentnego polityka. I stąd owe wahania, stąd zbliżanie się do krawędzi wojny i wycofywanie na pozycje rzekomej neutralności. Rzekomej, bo

przecież Richelieu skwapliwie leje do ognia benzynę i na tym ogniu skrętnie piecze swoje kasztany. Owszem, chętnie mówi o „generalnym” lub „honorowym” pokoju. Gdy jednak ujawnia swym dyplomatom warunki pokoju, które uznałby za „honorowe”, staje się jasne, że ani cesarz, ani Hiszpania nie wezmą go za słowo, nie przyjmą takiej platformy negocjacji. To tylko mydlenie oczu.

W początku stycznia 1633 roku kardynał zaczyna swój taniec nad przepaścią, bo się boi, że po śmierci Gustawa Adolfa protestanci niemieccy zniechęcą się do wojny, a Holandia wyzyska swe sukcesy dla zawarcia rozejmu z Hiszpanami. W memorandum dla króla Richelieu pisze zatem, że jeśli subsydia nie powstrzymają państw protestanckich od pacyfistycznych skłonności, to Francja powinna wejść do wojny i stanąć na czele tych państw. Twierdzi - i zapewne nie okłamuje króla, tylko się łudzi - że otwarta wojna nie będzie bardziej kosztowna od „zbrojnego pokoju”, z milionowymi subsydiami dla aliantów, będzie natomiast dużo bardziej korzystna. To ważne stwierdzenie. Richelieu jest niecierpliwy i ambitny, skręca się z niepokoju na myśl, że to inni, a nie Francja, mogą mieć z wojny solidne i efektowne korzyści.

U progu 1633 roku mówi się więc w Paryżu o wojnie. Ojciec Józef oświadcza w lutym nuncjuszowi, że Francuzi są wprawdzie rozważni, ale i przygotowani do wielkiej wojny, *una gran guerra*. Jeszcze w kwietniu Soranzo raportuje do Wenecji, co usłyszał od kapucyna: „Za trzy lub cztery miesiące będzie generalny pokój czy też jakiś dobry początek rokowań pokojowych, albo otwarta wojna, *una guerra aperta*”.

Później nastroje opadły: skoro Holendrzy i Niemcy walczą dalej, można jeszcze poczekać. Wiosną 1634 roku gorączka znów się podniosła. Holendrzy kusili wspaniałymi zdobyczami w południowych Niderlandach, Ludwik XIII zachowywał się jak chłopak łykający ślinę na widok słodczy za szybą. W początku czerwca Richelieu przedstawił mu nowe memorandum. Bez wątpienia chciał wykorzystać wojownicze usposobienie króla, a jednocześnie zabezpieczyć się przed wadą, którą mu wytykał już w *Opinii* ze stycznia 1629 roku: brakiem wytrwałości, szybkim zniechęcaniem się w obliczu pierwszych przeciwności, nieuniknionych przecież przy „wielkich przedsięwzięciach”. Toteż memoriał z czerwca 1634 roku jest dziwnie niezborny. „Wyczuwa się w nim - pisał znakomity badacz Gustave Fagniez chęć utwierdzenia króla w jego skłonności [do wojny], wraz ze stwarzaniem pozoru, że się ją zwalcza, w taki więc sposób, by przerzucić nań całą odpowiedzialność. Stąd różne obiekcje, które Richelieu zaraz sam osłabia wyliczając nasze zasoby i słabości nieprzyjaciela oraz wymieniając wszystkie racje, które sprawiają, iż wojna jest korzystna; na koniec przychodzi uznanie, że jest ona konieczna”. Ludwik XIII to uczeń pojętny, choć niezbyt błyskotliwy. W początku sierpnia tegoż 1634 roku wyłożył z kolei po swoim „racje przemawiające za prowadzeniem wojny” i przesłał ów tekst kardynałowi. Dość niezgrabnie powtórzył argumenty, które Richelieu i Ojciec Józef od dawna już wałkowali; jeśli Francja nie wejdzie do wojny, to grozi jej utrata aliantów, ani armia cesarska, ani samotna Hiszpania nie są w stanie walczyć w Italii, w Hiszpanii rząd ma trudności, a hiszpańskie wojsko jest

źle zorganizowane. I tak dalej.

Jednakże Richelieu ciągle grał na zwłokę; odrzucił ofertę Oxenstierny z końca sierpnia. Wnet jego ostrożność ustąpić wszakże miała przed kolejnym przyływem wojowniczości. Nastąpił bowiem dramatyczny zwrot w wydarzeniach wojennych.

Hiszpanie podjęli kolejny wysiłek, by zmienić bieg wojny w Niderlandach. Wystawili potężną armię, która latem 1634 roku ciągnęła z Włoch do Brukseli pod wodzą kardynała-infanta don Fernanda, młodszego brata Anny Austriackiej i króla Filipa IV. To jeszcze jeden - obok panów de Richelieu i de La Valette - kardynał o generalskich aspiracjach i bez wątpienia najzdolniejszy wódz z całej tej trójki.

Kardynał-infant zboczył z drogi do Brukseli, przeszedł przez Dunaj i na zachód od Donauwörth połączył się z armią cesarską, wzmocnioną już dzięki posiłkom, jakie Gallasowi i Piccolominiemu przyprowadził Karol IV Lotaryński. Armie „katolickie” dysponowały 50 tysiącami ludzi przeciw 36 tysiącom żołnierzy koalicji szwedzko-protestanckiej pod Hornem i Banerem. 6 września 1634 r. pod Nördlingen koalicja ta doznała klęski miazdzącej: na polu bitwy zostawiła 12 tysięcy zabitych. Katolicy wzięli 6 tysięcy jeńców, w tym marszałka Horna. Resztki rozbitych protestantów pociągnęły ku Renowi.

Wiadomość o katastrofie dotarła na dwór francuski 11 września. Już w sześć godzin po przybyciu kuriera Richelieu opracował dla króla nowe memorandum, bardzo odmienne w stylu od dotychczasowych. Nie ma tu subtelnych rozważań nad różnymi hipotezami, nie ma gry argumentów za i przeciw. Jest twardy styl polityka bardzo pewnego swoich racji. Jak refren powtarza się na początku zdań formuła: *Il est certain que*, jest pewne, że... Otóż taką oczywistością stało się, wedle kardynała, że czas przejść do otwartej wojny. Inaczej bowiem grozi rozpad „partii protestanckiej”, osamotnienie Francji, skupienie całego impetu Hiszpanii i cesarza na wojnie z Francuzami.

Ale i wśród tej wojennej ekscytacji Richelieu nie traci skłonności do rozwagi. Jest zdecydowany na „otwartą wojnę”, ta determinacja nie oznacza wszakże gotowości do gestów gwałtownych. Wyjaśnia więc królowi, iż nie należy się nadmiernie śpieszyć. Trzeba wprzód zorientować się dokładnie, jaka jest sytuacja zwyciężonych i co oni zaproponują. Wypadnie dodać im odwagi, obiecać pomoc („jeśli wykażą, że dzięki tej pomocy mogą się utrzymać”). Należy wreszcie zbroić się, przygotować kraj do wojny. Czyli: sprawa wojny jest przesądzona, jednakże chodzi teraz o to, by ją zacząć w najkorzystniejszych dla Francji warunkach. I wnet się okaże, iż „otwarta wojna” nie jest jeszcze na pojutrze. Przez osiem miesięcy uda się jeszcze wojować per procura.

„Richelieu nie chciał ryzykować tego kroku [wojny], jak długo następca tronu znajdował się w ich [Habsburgów] ręku” - pisze markiz de Montglat. W istocie, dość uświadomić sobie zły stan zdrowia Ludwika XIII i wszystkie komplikacje, gdyby podczas wojny królem został Gaston znajdujący się na terytorium wroga. Francuzi pamiętali dobrze, jaką katastrofą stało się wydarzenie z 1525 roku, gdy wśród zajadłej wojny z Hiszpanami król Franciszek I wpadł nagle w ich ręce.

Dyskretne negocjacje z Gastonem zaczęły się jeszcze w 1633 roku, ale słyły opornie. Prowadził się on w Brukseli gorsząco: pocieszał się z miejscowymi pięknosciami, u boku Hiszpanów uczestniczył w oblężeniu holenderskiej załogi miasta Maastricht. Okazało się tam, że fizycznej odwagi mu nie brakuje.

Richelieu zdecydował się go postraszyć. W styczniu 1634 roku paryski parlament ogłosił, że Karol IV „porwał” następcę tronu i że małżeństwo Gastona z Małgorzatą Lotaryńską jest prawnie nieważne. Richelieu wygłosił w parlamencie mowę, z której wynikało, że król nigdy tego mariażu nie uzna, ale obsypie brata łaskami, jeśli ten wyrzeknie się Małgorzaty i powróci do kraju. Natychmiast jednak wznowiono poufne targi z wysłannikiem Gastona księdzem d’Elbène.

Wiosną 1634 roku układ już wydawał się bardzo bliski, bo położenie Gastona stało się trudne. Do końca 1633 roku korzystał on z protekcji namiestnika hiszpańskich Niderlandów, infantki Izabeli. Ta pobożna dama, córka Filipa II i Elżbiety z Walezjuszy, miała wielką słabość do świszczypały Gastona. Niestety starsza pani przeziębła się podczas religijnej procesji i zmarła w grudniu 1633 roku. Gaston stracił nie tylko jej poparcie, ale i wszystkie swoje pieniądze. Musiał żyć na kredyt, bo jego dobra we Francji obłożono oczywiście sekwestrem.

Z matką był ciężko skłócony. Maria Medycejska także negocjowała warunki swego powrotu do Francji, ale wymagania Richelieugo były nie do przyjęcia: żądał jej zgody na oddanie pod sąd dwóch jej zaufanych: politycznego doradcy księdza Chanteloube i Mateusza de Morgues, którego paszkwile doprowadzały Eminencję do rozpacz. Skoro Medyceuszka nie mogła wrócić do Francji, chciała na złość kardynałowi zatrzymać za granicą Gastona. Zaczny ksiądz Chanteloube zorganizował nawet zamach na życie głównego doradcy Gastona, pana de Puylaurens, który bardzo naciskał swego patrona na pogodzenie się z królem. W maju 1634 roku strzelano doń z muszkietu, ale niecelnie; wystraszony Puylaurens jeszcze gorliwiej zabiegał o powrót do Francji.

Hiszpanie, podobnie jak królowa-matka, zainteresowani byli zatrzymaniem Gastona u siebie. Następca infantki Izabeli markiz Aytona zmusił go wiosną 1634 roku do podpisania układu, mocą którego wyrzekał się on starań o rychły powrót do kraju. Latem znów uczestniczył w oblężeniu Maastricht. Bał się, że któregoś dnia może po prostu zostać wsadzony na okręt i wywieziony do Hiszpanii.

Wszystko to przyspieszyło rokowania z królem i kardynałem. W październiku 1634 roku układ był gotowy. Gaston otrzymywał z powrotem wszystkie apanaże, król miał spłacić jego brukselskie długi (400 tysięcy!) i coś jeszcze dołożyć tytułem gratyfikacji, jego przyjaciele odzyskiwali swe majątki, urzędy i godności. Puylaurens zawarł osobny układ z kardynałem. Obiecano mu tytuł diuka i para, gubernatorstwo prowincji Bourbonnais i rękę kuzynki Richelieugo panny de Pontchâteau jako gwarancję łask Eminencji. W zamian miał wywierać „korzystny” wpływ na Gastona, przede wszystkim w sprawie wyrzeczenia się małżeństwa z Małgorzatą. Układ nie załatwiał bowiem wyraźnie tej kwestii, przewidując jedynie, iż ważność małżeństwa zostanie zbadana i rozstrzygnięta „wedle praw kró-

lestwa”. W przypadku orzeczenia nieważności mariażu Gaston miał uzyskać swobodę; mógłby się żenić lub nie żenić wedle własnej woli. To ważny punkt, bo ciągle kursowały plotki, że kardynał zamierza go ożenić ze swą ulubienicą wdową Combalet. Puylaurens niebacznie przyrzekł Eminencji, że skłoni Gastona do zgody na wyrzeczenie się żony, i to w ciągu kilku miesięcy. Był to młody człowiek bardzo pewny siebie, chłodny („Kiedyż stopią się te pańskie wewnętrzne lody?” - zapytał go raz Richelieu) i pozujący na wielką siłę woli, co robiło od dawna ogromne wrażenie na słabym Gastonie.

Brat królewski wymknął się Hiszpanom, pod pretekstem polowania, 8 października 1634 roku Dotarł do pierwszej francuskiej twierdzy po kilkunastu godzinach nieprzerwanej ucieczki, podobno tak szybkiej, że zajeździł na śmierć swojego konia. Spotkanie z Ludwikiem nastąpiło w Saint-Germain 21 października i było bardzo serdeczne: „Wybaczyłem ci, nie mówmy już o przeszłości” - rzekł mu król. Gaston, który obok tytułu księcia Orleanu miał i tytuł hrabiego Blois, właśnie Blois wybrał na stałą siedzibę. Rozbudował wspaniale tutejszy zamek: jako mecenas sztuki miał szczęśliwą rękę. Ponieważ Małgorzata Lotaryńska została za granicą, dobrał sobie później na konkubinę mieszczkę z Blois Louison Berger. „Była to brunetka, dobrze zbudowana, średniego wzrostu, przyjemnej twarzy i wielce dowcipna jak na pannę takiego pochodzenia, nigdy nie bywała na dworze” - pisała córka Gastona, panna de Montpensier. Rzecz dziwna: Monsieur nie dochowywał żonie wierności, ale oparł się wszystkim naciskom Puylaurensa i innych, nie zgodził się na unieważnienie małżeństwa. A wystarczyłoby w tym celu, by oświadczył, iż istotnie został „porwany” przez szwagra, Karola IV.

Richelieu wypełnił swe zobowiązania. Puylaurens otrzymał rękę jego kuzynki i tytuł diuka-para. Najlepiej na tym wyszedł pan de Saint-Simon, który też został diukiem i parem: faworyt osobisty króla nie mógł być przecież gorszy od faworyta królewskiego brata! Gdy się jednak okazało, że Puylaurens nie wykonał swoich zobowiązań i Gaston upiera się przy swym małżeństwie - Richelieu się rozżłościł. Uznał, że został bezczelnie wyfrycowany, co wymagało przykładowej kary.

Podczas krótkiego pobytu Gastona na dworze, 14 lutego 1635 roku, diuk de Puylaurens grzecznie został zaproszony przez króla na próbę baletu w Luwrze - i aresztowany. Dwaj inni faworyci Gastona, Fargis i Coudray-Montpensier, także powędrowali za kraty. Kardynał Richelieu spędził z nimi uroczy wieczór u ministra Séguiera na kolacji i grze w karty, po czym obaj zostali aresztowani.

Ongiś marszałek Ornano przeżył w Vincennes tylko cztery miesiące; powtórzyło się to dokładnie z Puylaurenssem, który zmarł 1 lipca 1635 roku. Nawet plotki były takie same. „Ogłoszono - pisał w pamiętniku pan de Montrésor - że zmarł na szkarlatynę, ale trzeba zauważyć, że trucizna daje te same objawy; żaden z jego przyjaciół nie miał prawa zobaczyć go podczas choroby ani po śmierci”. To właśnie pan de Montrésor zajął miejsce opróżnione przez śmierć Puylaurensa, ale i on, i Gaston, nauczeni doświadczeniem, nie trąbili o tym głośno.

Gaston przyjął zresztą nad podziw spokojnie aresztowanie Puylaurensa:

podobno tańczył w owym balecie, wystawianym feralnego wieczora, aż do trzeciej nad ranem! Widać było, że jest już mocno zmęczony koczowaniem za granicą. Richelieu nie był jednak spokojny. Gdy wiosną 1635 roku Gaston wypuścił się z Blois na wycieczkę Loarą, kardynał wpadł w popłoch: podejrzewał, że następca tronu chce się zemścić za aresztowanie jego przyjaciół i ucieka prosto do Anglii. Bardzo się uspokoił na wiadomość, że niedowiarek Gaston pragnął jedynie obejrzeć słynne „diabły z Loudun”. Opętanie tamtejszych mniszek zrobiło na nim wrażenie na tyle silne, że na jakiś czas przestał bluźnić i kłać! Kardynał, pełen szczęścia, że nie chodziło o ucieczkę, gratulował mu „nawrócenia”.

Powrót i ustawkowanie się Gastona - to usunięcie wielkiej kłody na drodze do wojny. Innym ważnym krokiem ku wojnie było uregulowanie stosunków z sojusznikami protestanckimi.

Wysłannicy pokonanej pod Nördlingen koalicji szwedzko-protestanckiej pojawili się w Paryżu pod koniec października 1634 roku. Już wcześniej miasta i twierdze Górnej Alzacji, kontrolowane przez Szwedów, oddały się pod francuską protekcję. Zaś układ, podpisany w Paryżu z wysłannikami koalicji (1 listopada 1634), został po prostu podyktowany przez Francuzów. Łapczywość, z jaką Richelieu zastrzegł sobie w tym traktacie różne korzyści od aliantów, świadczy o przecenianiu tak ich paniki, jak ich skłonności do ustępstw. Prawdopodobnie pomogło też kardynałowi przekupienie głównego negocjatora, wicekanclerza Szwecji Jacoba Loefflera. Traktat paryski dawał Francji wielki wpływ w radzie politycznej i radzie wojennej protestanckiej Unii, dalsze postępy w Alzacji, likwidację milionowego subsydium dla Szwedów; wykluczone zostały oddzielne układy z wrogiem, protestanci mieli respektować wszędzie kult katolicki, król Francji mógł przyjmować wrogich władców pod swą protekcję, co dawało im status neutralności. I tak dalej.

Alianci chcieli wydusić od kardynała decyzję o natychmiastowym wejściu Francji do wojny. Nic z tego! Traktat paryski wspomina o tym jako o wydarzeniu nieuniknionym, ale przyszłym. Gdyby kardynał chciał trzymać się ściśle układu, mógłby nigdy nie wypowiedzieć wojny Habsburgom, bo wpisał tam bardzo wygodną klauzulę. Uzależniła ona udział Francji w wojnie od udziału elektorów saskiego i brandenburskiego; tymczasem Jan Jerzy Saski właśnie w listopadzie przyjmie preliminaria pokoju z cesarzem.

Książęta protestanckiej Unii ratyfikowali w grudniu ów paryski układ, ale Oxenstierna odrzucił go i przegonił Loefflera ze służby. Trudno mu się dziwić. Posłał do Paryża słynnego Holendra Grocjusza, który był wówczas agentem szwedzkim. Nie bardzo go lubiano we francuskiej stolicy; rokowania szły opornie. W swych raportach, pisanych po łacinie, Grocjusz z przekąsem donosił, że Richelieu ma czas na różne błahe zajęcia. Oto Eminencja zakłada

Akademię Francuską (*novum collegium virorum doctorum*, jak niezbyt ściśle pisze Grocjusz). Ba: „*Cardinaii Riceliaco tantum est otii, ut poetis dictet argumenta comaediarum*” (Kardynałowi Richelieu zostaje tak dużo wolnego czasu, że może dyktować poetom [!] tematy do komedii). Mowa oczywiście o „spółce pięciu autorów”.

W kwietniu 1635 roku zjechał do Compiègne, gdzie przebywał dwór, sam Oxenstierna, przygotowany na te same trudności i opory, które bezskutecznie zwalczał Grocjusz. Był przyjemnie zaskoczony, bo wynegocjował traktat z Francuzami niemal natychmiast (28 IV 1635). „Sposób negocjowania pana kanclerza - pisał Richelieu - jest nieco gotycki i bardzo fiński”. To kalambur: *finnois* brzmi prawie tak samo jak *finaud*, przebiegły. Ale na sukcesie rozmów zaważył nie tyle talent Oxenstierny, ile sam rozwój wydarzeń.

Wśród sprzecznych wpływów ścierających się na dworze wiedeńskim przeważały opinie spowiednika cesarzowej, Hiszpana Quirogi. Nie wierząc w szansę zniszczenia niemieckiego protestantyzmu Quiroga radził Ferdynandowi II, by ofiarował zdeorientowanym klęską luterańskim władcom korzystne warunki pokoju. W końcu listopada 1634 r. elektor saski przyjął takie wygodne preliminaria pokojowe; podpisano je w Pirnie koło Drezna i w maju 1635 roku potwierdzono w pokoju praskim. Korzystne warunki pokoju z cesarzem mogły skusić wielu protestanckich władców, z elektorem brandenburskim i księciem Brunszwickim na czele. Niedawno przejęty z rąk Szwedów Philippsburg na prawym brzegu Renu francuska załoga utraciła 24 stycznia 1635 roku, i to w najgłupszy sposób: dała się zaskoczyć. W marcu alianci stracili ważną twierdzę nad Mozela, Sierck, zaś wkrótce potem, 26 marca, Hiszpanie dali Francuzom piękny pretekst do wypowiedzenia wojny: uwięzili elektora Trewiru arcybiskupa Filipa von Sötern i zajęli jego stolicę. Był on pod osobistą protekcją Ludwika XIII. Jego aresztowanie to i wielka obraza króla Francji, i świetny pretekst, by Francję pokazać w roli gwaranta „wolności niemieckich”, to znaczy obrońcy suwerenności słabych książąt Rzeszy (ale i władców północnowłoskich) przed habsburską ekspansją. Do tego jeszcze dodać należy pogrożki generałów cesarskich, którzy zapowiadali zwrócenie całego impetu przeciw Francji i groteskowe fanfaronady kondotiera w cesarskiej służbie, Karola Lotaryńskiego. Mówił on już nie tylko o odzyskaniu swego państwa, ale o swym rychłym triumfalnym wejściu do Paryża, ba, o zastąpieniu na tronie Francji nieudolnego Ludwika XIII przez niego samego! Cesarski rezydent we Francji Sebastian Lustrier (rozmawiano z nim jeszcze ciągle o pokoju, ale bez żadnej wiary w sens tych rozmów) oceniał pesymistycznie zdolności obronne Francuzów. Depeszował, że Francja jest podminowana rewoltami ludowymi, jej wojsko niedoświadczone, finanse słabe, arystokraci podkopują wciąż Richelieugo. Warto może zacytować depeszę Lustriera z 12 lutego 1635 roku: „Kardynał Richelieu jest perfidny, fałszywy, bojaźliwy, zarozumiały, zacięty, żywego umysłu. Uwielbia pochwały, nienawidzi Domu Austriackiego. Z temperamentu choleryczny i oschły”.

Cała ewolucja wydarzeń w pierwszych miesiącach 1635 roku skłaniała Eminencję do szybkiego zamanifestowania jedności Francji z jej sojusznikami. Tak więc Oxenstierna miał dość łatwe zadanie. Traktat z Compiègne był dla Szwedów dużo korzystniejszy niż układ paryski sprzed pół roku. Zawarto go wkrótce po posiedzeniu Rady królewskiej w Rueil (1 IV 1635), podczas którego rząd francuski zdecydował definitywnie przystąpić do wojny: aresztowanie Söterna przeważało szalę. Układ z

Compiègne potwierdzał tę decyzję. Francja miała więc zacząć otwartą wojnę z Habsburgami; obie strony zobowiązały się nie zawierać odrębnego pokoju; Richelieu poskromił swe apetyty alzackie i zgodził się zrezygnować z żądań, by Szwedzi oddali zajęte arcybiskupstwo Moguncji i biskupstwo Wormacji. Traktat paryski likwidował subsydia jednego miliona dla Szwedów, co bardzo oburzyło Oxenstiernę: tę sprawę postanowiono w Compiègne pozostawić do dalszych rokowań.

Jeszcze wcześniej, bo 8 lutego 1635 roku, Francja sygnowała nowy traktat z Holandią. To już coś więcej niż układ o subsydiach, to pełny sojusz, i nie obronny, ale ofensywny. Obie strony miały wnet podjąć atak na hiszpańskie Niderlandy (każda z armią 30 tysięcy ludzi). Ludność tej prowincji miała być wezwana do powstania przeciw Hiszpanom: jeśli pójdzie za tym apelem w ciągu trzech miesięcy, hiszpańskie Niderlandy otrzymają niezależność. W przeciwnym przypadku kraj zostanie podzielony między Francję i Holandię, przy czym Francji przypadnie Artois, Hainaut, część Flandrii, hrabstwo Namur i Luksemburg. Wielbiciele Richelieugo powiadają - mając na myśli pierwsze rozwiązanie - że z wyprzedzeniem dwu stuleci był on prekursorem niepodległości Belgii. Niezupełnie to tak, bo autonomiczna republika południowych Niderlandów znalazłaby się pod protekcją Francji i Holandii, a więc w praktyce oba rozwiązania nie tak bardzo się różniły.

Królewska deklaracja, datowana 12 maja 1635 roku, stwierdzała, że Hiszpanie nie usłuchali wezwania do zwolnienia arcybiskupa Trewiru, co zmusiło Ludwika XIII do wypowiedzenia im wojny. Znamienne, że i teraz Richelieu usiłował wystawić do wiatru szwedzkich oraz niemieckich sojuszników: Francja wypowiedziała wojnę Filipowi IV i infantowi Don Fernandowi jako namiestnikowi hiszpańskich Niderlandów (kryła się w tym fikcja, że Niderlandy to odrębny twór państwowy, a nie hiszpańska prowincja). Nie proklamowano natomiast wojny z cesarzem, co skłoniło Oxenstiernę do odmowy ratyfikacji układu z Compiègne, który tę wojnę z cesarzem przewidywał. Richelieu ciągle liczył na to, że wojna może mieć charakter lokalny, może ograniczyć się do walk na granicy z hiszpańskimi Niderlandami. Sądził, że cesarz, szachowany przez Szwedów, nie zostanie wciągnięty w wir tej wojny, a przynajmniej nie dokona się to zaraz. Kardynał ciągle więc kluczy i waha się. Korespondencja Mazariniego ukazuje go w tych krytycznych miesiącach jako człowieka schorowanego, bojącego się wojny i pragnącego jej, przeskakującego od nadmiernej pobudliwości nerwowej do kompletnego przybicia.

Znamienne, jak wielki cień na mentalność króla i kardynała rzucają efektowne tradycje średniowiecza. W Eminencji siedzi kawał Machiavellego, to pewne, ale także niemały kawał Du Guesclina i Bayarda. Oto 19 maja 1635 roku pojawia się w Brukseli francuski herold, oficer króla, pan de Gratiollet. Ma na sobie średniowieczny kostium, dzierży dumnie laskę herolda, poprzedza go trębacz. Podobno spotkała go spacerująca właśnie z damami Maria Medycejska i pękała ze śmiechu. Kardynał-infant Don Fernando herolda nie przyjął, więc rozrzucił on kopie deklaracji wojennej Ludwika XIII na brukselskiej Grand' Place. Któż mógł wówczas odgadnąć, że tak malowniczo zaczęta wojna trwać będzie

dwadzieścia cztery lata, pochłonie góry złota i mnóstwo ludzkich istnień? Król i kardynał postawili na swoim; dali najwyższy, niezbity dowód przywiązania do idei „wielkości królestwa”. *Quidquid delirant reges, plectuntur Achivi*: lud będzie płacił za te szaleństwa królów.

W pamiętnikach pana de Montrésor są pod adresem Eminencji ostre zarzuty, że wypowiedział wojnę „w ciągu jednego dnia”, bez zastanowienia się i przygotowań, bez konsultacji z arystokracją królestwa, „w wyniku swej naturalnej impetyczności, którą trudno nazwać inaczej jak desperackim szaleństwem”. To oczywiście przesada. Więcej racji ma Montrésor, gdy twierdzi, że kraj nie był w pełni przygotowany do wyczerpującej wojny. To samo pisał cesarski agent Lustrier, to samo powtarzało wielu współczesnych. Nie bezzasadnie. Pojawiał się wśród wrogów kardynała pogląd - zapisał go m.in. Tallemant - że na decyzji o wojnie zaważyła irytacja Richelieu z powodu brukselskich paszkwili na jego osobę. Jeszcze inni twierdzili, że traktował wojnę z Hiszpanią jako rodzaj osobistego pojedynku między nim a wielkim rywalem, Olivaresem. „Obaj oni pisze pan de Fontenay-Mareuil - byli niepohamowanie ambitni i żądni sławy, każdy więc starał się... przewyższyć drugiego wielkością swych czynów i owoców, które z nich zebrać mieli ich monarchowie”.

W tekstach obliczonych na szeroki odbiór i na użytek potomnych Richelieu dowodził, że Hiszpania pragnie ujarzmić wszystkie państwa Europy „i w ten sposób ustanowić uniwersalną monarchię”. Czy sam w to wierzył? Przecież Hiszpania, nękana przewlekłym kryzysem ekonomicznym, słaba demograficznie, z upadającym rolnictwem i zacofaną techniką, zależna od importu z zagranicy i otrzymująca coraz mniej złota amerykańskiego - to naprawdę nie jest kandydatka na władczynię świata. Rozprawiano wiele o „okrażeniu” Francji przez posiadłości hiszpańskie. Jednakże szwajcarski biografista Richelieu Burckhardt trafnie pisał, iż było to „okrażenie silnego przez słabeusza”. Prowincje hiszpańskie poza półwyspem Mediolan, Franche-Comté, Niderlandy południowe - same są przecież okrażone, komunikacja między nimi coraz bardziej utrudniona, wewnątrz podminowane są brakiem lojalności czy przynajmniej obywatelskiej gorliwości ich populacji.

Prawdą jest, że od 1631 roku zacieśniały się związki między obiema liniami Habsburgów, hiszpańską i austriacką: ich symbolem był ślub syna i przyszłego następcy cesarza Ferdynanda II, także Ferdynanda, z infantką Marią Anną, siostrą Filipa IV. Mimo to Hiszpanie nie byli w stanie, po kilkunastu latach wojny, poradzić sobie z małą Holandią! Niemcy, pustoszone katastrofą wojenną, wykrywawiały się straszliwie: gdy wojna trzydziestoletnia dobiegła końca, z 21 milionów Niemców pozostaniezaledwie około 7 milionów. Oczywiście Habsburgowie mogli długo jeszcze wojować i zadawać ciosy, ale na pewno nie byli w stanie utworzyć „monarchii uniwersalnej”; nawet powalenie Francji pozostawało całkowicie poza sferą ich możliwości.

Zdawano sobie z tego sprawę we Francji. W pamiętniku pana de Fontenay-Mareuil znajdziemy świetną analizę układu sił. Pisał on, że już od kampanii włoskich 1629-30 roku „zaczęto pojmować to, co później dostrzeżono jeszcze wyraźniej: że mianowicie potęgą króla Hiszpanii,

uważana dotąd za tak przerażającą i dającą mu szansę monarchii uniwersalnej, nie jest taka, jaką się wydaje. Jej słabości ujawniły się natychmiast, gdy została mocno zaatakowana. Francja, całkiem przeciwnie, miała niewyczerpane zasoby... co się bierze bez wątplenia ze zwartości wszystkich jej części... jej wielkiej żyzności, która sprawia, że nie mając Indii otrzymuje więcej złota i srebra w zamian za swe produkty, niżli kruszców tych zostaje tym, co Indie mają, a wreszcie niezliczonej rzeszy oficerów i żołnierzy, którzy się tu zawsze znajdują”. Czyli: Francja góruje nad Hiszpanią pod względem politycznym, ekonomicznym i demograficznym. Trafione to było w dziesiątkę. Ale przecież Richelieu nie jest mniej spostrzegawczy od pana de Fontenay. Publicznie rozprawiał o groźbie monarchii uniwersalnej; w poufnych pismach do francuskich dyplomatów uderzał w inne tony. Oto przykład: w styczniu 1632 roku pisał do rezydenta w Madrycie, że przecież Hiszpania jest słaba, „gdyż jej siły, rozproszone między liczne i bardzo od siebie oddalone prowincje, nigdzie nie byłyby w stanie oprzeć się zjednoczonemu i zwartemu mocarstwu, takiemu jak Francja”.

Owa wojna, do której Francja weszła w maju 1635 roku, miała tę osobliwość, że u jej progu i przez cały czas jej trwania nieustannie się mówi o pokoju powszechnym... Z ideą wielkiego kongresu pokojowego już w 1634 roku wystąpił Urban VIII; Ludwik XIII akceptował w zasadzie tę inicjatywę w styczniu 1635 roku, cesarz Ferdynand II - w marcu. Także po deklaracji z 12 maja negocjacje pokojowe wciąż się toczyły: wolne, nieskuteczne, ale nie zarzucane nigdy.

Na takim kongresie pokojowym w 1635 roku Francja miałaby mocne atuty przetargowe: usadowiła się przecież w Lotaryngii i w części Alzacji, umocniła swe sojusze protestanckie. Od początku jednak Richelieu pragnął upokorzyć Habsburgów, osiągnąć korzyści terytorialne i udowodnić, iż Ludwik XIII jest „najpotężniejszym władcą na ziemi”. Można zrozumieć te motywy; trudniej pojąć, czemu Richelieu lekceważył potworne koszty takiego sukcesu. Ale przynajmniej nie mówmy, że bronił się przed habsburską „monarchią uniwersalną”.





IX. LES MISÈRES DE LA GUERRE



FRANCJA U PROGU WIELKIEJ WOJNY

Właśnie w tym 1635 roku zmarł genialny rytownik Jacques Callot: jego lotaryńską ojczyznę już wcześniej dotknęły straszliwe niedole wojny, *les misères de la guerre*, i taki tytuł nadał swemu cyklowi grawiur, porażającemu do dziś wstrząsającym realizmem. Nieszczęścia wojny trzydziestoletniej towarzyszyć będą odtąd kardynałowi Richelieu aż do śmierci. Żadna ze zmagających się stron nie była tak silna, aby zmiażdżyć przeciwnika lub wyczerpać jego zasoby. Żadna nie chciała - po tylu wysiłkach i ofiarach - zrezygnować z walki bez wyraźnych rekompensat terytorialnych i prestiżowych. Każdy liczył na różne słabości wroga, na jego wielką klęskę bitewną, na śmierć rządzących, na wewnętrzną rewoltę zmieniającą polityczne układy.

Słabości Francji u progu 1635 roku trafnie oceniała cytowana depesza cesarskiego dyplomaty. Francuskie wojsko od bardzo dawna nie uczestniczyło w wielkich wojnach: jego doświadczenie ograniczało się do walk domowych i militarnych promenad w północnej Italii. Organizacja armii nie była dobra. Mimo licznych kontroli (*montres*) stan oddziałów jest nie do ustalenia: zawsze można „pożyczyć” trochę fałszywych żołnierzy. Oficerowie patrzą przez palce na dezercje, bo pozwalają one schować do kieszeni część pieniędzy na żołd. Stan cywilny żołnierzy nieuchwytny (zna się ich nie z nazwisk, ale ze standardowych, powtarzających się przydomków), a zatem dezercje lub przechodzenie z pułku do pułku są nagminne.

Najwyższym wodzem jest sam król, niezły oficer - Ludwik wie, jak się robi manewry, i zna zasady taktyki - lubiany przez dowódców i żołnierzy, bo jego stosunek do towarzyszy broni zadziwia familiarnością i swobodą. Kiedyś ogolił bardzo zręcznie całe grono swoich oficerów: zawsze miał talenty manualne („tysiące zalet sługi, pańskiej ani jednej” - pisze Tallemant). Niestety ten dobry kapitan pozbawiony był wyobraźni strategicznej. Pan de Brienne pisze, że „z niecierpliwością pragnął zaczynać wojny, gdy ich nie miał na głowie, i równie skwapliwie chciał je kończyć, gdy się już zaczęły”. Richelieu będzie miał prawdziwe utrapienie z jego pacyfistycznymi nastrojami, „melancholiami” i skrupułami sumienia.

Brakowi prawdziwych koncepcji strategicznych monarchy nie potrafiła zaradzić jego ekipa rządowa. Także i ona była za słaba, aby tworzyć wielkie plany działań wojennych i zapewniać jedność najwyższego dowodzenia. Richelieu często teraz nie uczestniczył w posiedzeniach Rady.

Każda armia operowała samodzielnie, a cały wysiłek rządu polegał na próbie odgadnięcia zamiarów strategicznych nieprzyjacielskich generałów i na gromadzeniu wystarczających sił, aby się tym planom przeciwstawić. Przeważała więc zdecydowanie postawa defensywna.

Richelieu nie ufał swym marszałkom i generałom, nie miał wysokiego wyobrażenia o ich talentach, o ich lojalności wobec rządu, ich posłuszeństwie. Wprowadził zatem praktykę posyłania po dwóch, a nawet trzech wysokich oficerów do każdej armii. Mieli się wzajemnie pilnować, co by gwarantowało posłuch rządowym rozkazom. W istocie wiodło to naturalnie do jątrzenia się wzajemnych zawiści, do sporów i rozmywania dowódczej odpowiedzialności.

Co gorsza, sceptyczna ocena Eminencji dotycząca talentów jego generałów była w pełni zasadna. W 1635 roku nie brakowało marszałków Francji: rząd dysponował okrągłą ich dziesiątką. Diuk de Vitry, mający najdłuższy staż marszałkowski (od 1617 roku) mianowany został za to, że zgrabnie uwinął się z zabiciem Conciniego. Był to brutalny zupak i malwersant; Richelieu go nie znosił, wnet też pośle go do Bastylji. Od 1618 roku marszałkowską buławę nosił diuk de Chaulnes: dostał ją za to, że był bratem królewskiego faworyta pana de Luynes. Z dwoma utalentowanymi marszałkami Richelieu miał na pieńku: pana de Bassompierre trzymał od 1631 roku w Bastylji, pana de Toiras usunął na boczny tor (zginął on zresztą już w 1636 roku). Wśród pozostałych Richelieu cenił wysoko - i słusznie - marszałka de La Force, ale miał on już z górą 80 lat. Było jeszcze kilku niezłych dowódców, takich jak marszałkowie de Châtillon, de Créqui, d'Estrées: żaden nie dysponował naprawdę wielkim talentem. Wśród marszałków Francji był też sędziwy minister Henryka IV, diuk de Sully; miał wielką przeszłość i od dawna już wycofał się z czynnego życia.

Także marszałkowie mianowani już po wybuchu wojny - młody Schomberg, La Meilleraye, diuk de Gramont, hrabia de Guébriant nie są wielkimi wodzami. O swym szwagrze de Maillé-Brézé Richelieu powiadał, że go rozczarował i że żałuje, iż go obsypał łaskami. Gdy pan de Brézé opuścił swą armię, bo bardzo chciał zapolować na kuropatwy, lunął nań prawdziwy potop wymówek i żalów Eminencji.

Z marszałkami konkurowali książęta krwi i ludzie ze szczytów arystokracji. Książę de Condé jako dowódca był miernotą; niewiele lepszy był syn d'Eperona diuk Bernard de La Valette (przewyższał go wyraźnie brat, kardynał de La Valette). Rohan to dobry generał, ale Richelieu nie da mu wielu szans dowodzenia. Diuk d'Angoulême wyróżniał się odwagą, miał doświadczenie, ale już się mocno postarzał: przekroczył sześćdziesiątkę.

W istocie Francja miała w wojnie trzydziestoletniej tylko dwóch naprawdę wielkich wodzów. Jednym był wzięty na francuską służbę książę Bernard von Sachsen-Weimar, świetny talent militarny. Uważano we Francji, że nie przypomina Niemca: „Miał on - pisze Robert Arnauld d'Andilly - tę mądrość i uprzejmość, które pozwalały brać go nie za Niemca, lecz raczej za Włocha”. Świetny, przewidujący strateg z doskonale umeblowaną głową i wielką wewnętrzną dyscypliną, był też książę Bernard człowiekiem głębokiej pobożności i żałowano jedynie we Francji, że tak

pobożny mąż pójdzie do piekła jako heretyk. Drugim znakomitym dowódcą stanie się diuk d'Enghien, późniejszy Wielki Kondeusz; jednakże, gdy zaczynała się wojna, miał on zaledwie czternaście lat. Jego wspaniałe zwycięstwo nad hiszpańską „straszliwą piechotą” pod Rocroi przyjdzie dopiero pół roku po śmierci Richelieugo.

Nie można powiedzieć, że Richelieu nie przygotowywał kraju do wojny. W okresie „wojny ukrytej” armia francuska liczyła około 60 tysięcy ludzi; w lipcu 1635 roku Ludwik XIII miał już 134 tysiące żołnierzy piechoty i 26 tysięcy jazdy. Poszczególne jednostki tej wielkiej armii - kompanie, regimenty - były nierówne i liczebnością, i jakością. Najwyżej w hierarchii lokowały się wojska gwardyjskie, zaś na drugim miejscu cztery regimenty zwane „starymi” (pikardyjski, piemoncki, szampański i nawarski): miały one starą i dobrą tradycję bojową, a na ich czele stali oficerowie arystokratycznego pochodzenia. Inne, gorsze regimenty nadrabiały chętnie pompatycznymi nazwami. Sam kardynał dał dowód dużej fantazji: wymyślił nazwę „kawalerii węgierskiej” dla jeźdźców zaciąganych w prowincjach Rouergue i Périgord! Kryzys, głód, ucisk podatkowy, w regionach walk także zniszczenia wojenne wsi sprzyjały zaciągom do wojska. Jednakże wśród żołnierzy króla Francji było wielu cudzoziemców, głównie Szwajcarów i Niemców. Liczni oficerowie przybyli z Niemiec, Irlandii, Szkocji, Szwajcarii; niektórzy się wybili, jak Niemiec Papenheim czy Szkot pułkownik Hébron, recte: Hepburn. Niemniej armie cesarza i Filipa IV w jeszcze większym stopniu były międzynarodową zbieraniną. Gdy zarzucano kardynałowi jego protestanckie sojusze, replikował sarkastycznie: „A niechże Dom Austriacki dokona przeglądu swoich armii i usunie wszystkich nie wyznających wiary katolickiej! Zobaczymy, ilu żołnierzy mu wówczas zostanie”.

Jednakże samo wydatne zwiększenie efektywów wojska nie załatwiało sprawy. Nie stworzono jedności dowodzenia, natomiast rozciągnięto wojsko na nieprawdopodobnie rozległym teatrze działań militarnych. Zaopatrzenie armii nie było dostateczne. „Historia poświadcza - pisał Richelieu - że dużo więcej armii zgubił brak chleba i porządku niż wysiłek wrogich wojsk. Mogę uczciwie potwierdzić, że w moich czasach wszystkie przedsięwzięcia, które poniosły klęskę, właśnie tym brakom ją zawdzięczały”. Wielka śmiertelność w wojsku i masowe dezercje sprawiały, że wypadało wciąż ponawiać zaciągi. Wszystko to było oczywiście bardzo kosztowne.

Olbrzymie koszty pociągała też za sobą rozbudowa floty wojennej. Jej budżet w 1642 roku wynosił prawie 4,5 milionów liwrów. Wysiłek Richelieugo w tej dziedzinie był doprawdy kolosalny. Stworzył dobrą administrację marynarki, wedle holenderskich wzorów; na jej czele stał wuj kardynała Amador La Forte, który dobrał sobie wybitnych ekspertów. Flota miała też niezłych dowódców (arcybiskup de Sourdis, hrabia d'Harcourt, wnet i Armand de Brézé) oraz oficerów: wielu zaczynało karierę w zakonie maltańskim, ale są także świetni kapitanowie nieszlacheckiego pochodzenia. Francja ciągle jeszcze jest zależna od stoczni holenderskich (dopiero za Colberta zacznie na dużą skalę budować wielkie okręty u siebie). Jednakże w stoczni francuskiej powstał okręt admirałski, „La

Couronne” (1200 ton, 72 działa), który był wydarzeniem europejskim: z różnych krajów marynarze zjeżdżali się do Brestu, aby go obejrzeć. Powstawały także wielkie galery (zbudowana w Tulonie „La Réale” obliczona była na 660 wioślarzy). Jesienią 1642 roku koncentracja francuskiej floty obu obszarów, Ponantu (Atlantyk) i Lewantu (Morze Śródziemne) to 65 dużych okrętów i 22 galery. Kardynał, szef marynarki i handlu, ma powody do dumy i okazuje ją.

Niestety, wielkie koszty wysiłku militarnego nie poprawiały stanu nastrojów społecznych, a od samego początku opinia kraju nie entuzjazmowała się tą wojną. Owszem, w sytuacji krytycznej pojawia się tu i ówdzie refleksy patriotyzmu, podatność na hasła obrony Ojczyzny. Wszelako bardzo było trudno skłonić zaplecze kraju do zorganizowanego wysiłku. Szlachta ujawniała głęboką niechęć do prób wskrzeszenia instytucji pospolitego ruszenia, chłopci - do tworzenia wiejskich milicji, wszyscy do obciążeń podatkowych. Richelieu przyznawał swym rodakom cnotę waleczności, ale pisał też z rozczarowaniem: „Nie ma na świecie narodu równie niezdatnego do prowadzenia wojny jak nasz. Lekkomysłność i niecierpliwość, które okazuje on w obliczu najmniejszego (!) wysiłku - to dwie jego cechy potwierdzające, ku memu wielkiemu żalowi, taką właśnie ocenę”. Całe szczęście, że „każdy naród ma własne przywary”: Hiszpanie lubią masowo się buntować przeciw swej władzy, Niemcy często się przerzucają z jednej orientacji do drugiej... To redukuje ujemne następstwa francuskiego charakteru.

Claude Bouthillier powiadał kardynałowi, że finanse są „nerwem wojny”. Niestety, już przed 1635 roku nerwy te były wielce osłabione. Zadłużenie rosło, bo zimna wojna kosztowała dużo. Francja uprawiała, jak to nazywano, „dyplomację pistoli” w Niemczech; płaciła duże subsydia Duńczykom, Szwedom, Holendrom. Niemalym obciążeniem Skarbu było pogodzenie się, w 1634 roku, z Gastonem i jego żarłocznymi faworytami. „Pieniądze nie mają znaczenia, bylebyśmy mogli realizować naszą politykę” - powtarzał Richelieu. Ciekawe, że Eminencja i jego klan, krewniacy i kreatury kardynała, wcale nie sądzą, iż „pieniądze nie mają znaczenia”, gdy chodzi o mnożenie ich własnych fortun. Nie mają znaczenia jedynie skargi wyciskanych jak gąbka podatników. Jeśli nie doszło do całkowitej katastrofy finansowej, to w wielkiej mierze dzięki zręcznej polityce Bulliona i pracowitości Bouthilliera.

Richelieu uważał, iż wojna jest sytuacją tak nadzwyczajną można by mniemać, iż spadła z nieba jako dopust Boży - że żadne względy racjonalne czy moralne nie mogą hamować żądań podatkowych państwa. A wojna jest grą kosztowną. Na przełomowy rok 1635 Bullion przewidywał fundusz wydatków militarnych w kwocie 36 milionów. Dla porównania: najbardziej napięty budżet roku 1622, gdy toczyła się wojna domowa z hugenotami, przydzielał na wydatki wojskowe 22,6 mln. Kwota 36 milionów to prawie dwa razy tyle, ile wynosiły wszystkie wydatki państwa za czasów Henryka IV. W kwietniu 1635 roku Richelieu pisał do Bulliona: „Pracowaliśmy tu wspaniale, aby nie przekroczyć ani o grosz funduszu 36 milionów, które pan przeznaczył na wszystkie wydatki wojenne”. Ale gdzie tam! Kardynał do spółki z ministrem wojny Servienem nie utrzyma się później w tych

granicach, fundusz zostanie wydatnie przekroczony.

A jednak wnet się okazało, że granice presji podatkowej istnieją. W połowie maja 1635 roku, właśnie wówczas, gdy francuski herold jechał do Brukseli z deklaracją wojenną, w Bordeaux eksplodowała rewolta ludowa. Jej przyczyny: nałożenie nowego podatku od wina i przybycie urzędnika, który miał zorganizować jego pobór. Richelieu nie wierzył oczywiście w żywiołowość rewolty: sądził, że można znaleźć jakichś arystokratycznych podżegaczy, oskarżał potem gubernatora Gujenny d'Épernona, iż tolerował rebelię zamiast złamać ją od razu. W rzeczywistości d'Épernon dysponował z początku tylko małym oddziałem złożonym z osobistej gwardii gubernatora i grupy szlachciców. Burżuazja bordoska przyjęła rewoltę plebsu z życzliwą neutralnością, mieszczańska milicja - jedyna solidna siła zbrojna - nie ruszyła nawet palcem, by rebelii zapobiec, a potem, by ją stłumić. Diuk d'Épernon prosił więc o pomoc wojska. Jakże jednak dać mu tę pomoc, gdy właśnie zaczyna się wojna? Bunt bordoski zaczął się rozlewać, ogarniać prowincję, małe miasteczka i wieś. W połowie czerwca spiętrzyła się w Bordeaux druga fala rewolty. Teraz jednak, w obliczu walk ulicznych i barykad, część gwardii mieszczańskiej poparła diuka d'Épernona. Gubernator opanował miasta i rozproszył chłopską odsiecz, która pragnęła się połączyć z bordoskimi rebeliantami i nawet już zajęła jedno z przedmieść. Pod wpływem tych wydarzeń, w imię solidarności z bordoskimi plebejuszami zagrożonymi masową represją, ruszyły się teraz inne miasta: Agen i Périgueux; fermentowały latem 1635 także miasta mniejsze, już nie tylko w Gujennie, ale i w Langwedocji: zagrożona rewoltą była Tuluza. W Agen szybko odcięto miasto od burzących się okolicznych wsi, po czym burżuazyjne władze z pomocą mieszczańskiej gwardii dość szybko stłumiły rewoltę. W Périgueux było gorzej, zapewne dlatego, że nie wystąpił tu silny nacisk mas chłopskich, który w Agen spłoszył burżuazję. W efekcie tutaj burżuje zachowali neutralną postawę wobec rebelii, gwardia burżuazyjna wahała się, intendent królewski Verthamon musiał lawirować i przyrzec jakieś ulgi.

Wrażenie tych wydarzeń w Paryżu było wielkie. Król i kardynał niepokoił się, bo szlachta wcale się nie paliła, by pomóc panu d'Épernon w miażdżeniu rewolt, gwardie mieszczańskiej były zbyt chwiejne, wojska zaś nie można było ściągać z frontu. Richelieu pisał z troską do króla, że musiał nawet dać rozkaz wycofania z Gujenny formowanych tam właśnie nowych regimentów, bo nie chciały maszerować przeciw rewolcie. Nic w tym dziwnego: zaciągi robiono przecież wśród miejscowych chłopów. Intendenci - Verthamon, Lalanne - doradzali rządowi amnestię dla rebeliantów oraz wyraźne ustępstwa w kwestii podatków. Lud, jak pisał Verthamon, odczuwa „melancholię i troskę” w obliczu zagrożenia nadmiernymi podatkami; byłoby zatem pożądane, aby król „zechciał... go uwolnić od owego smutku, który może się wyrodzić w prawdziwą frenezję rabunków, wicherzenia i mordów”. Richelieu musiał, po prostu musiał wziąć pod uwagę te alarmujące raporty i konkluzje intendentów. Pisał potem, że rozważał odroczenie realizacji edyktów podatkowych, że wypadło przyznać też amnestię („z wyjątkiem przypadków szczególnie szkodliwych”).

Groźba rewolty stwarza zatem - jak się okazało - granice nacisku fiskalnego. Nie można było przeciągać struny. Toteż gdy Richelieu przekroczył ów limit wydatków wojennych w kwocie 36 milionów, nie zdecydował się na próbę powiększenia podatków. Rząd zaczął się uciekać na coraz większą skalę do pożyczek, sprzedaży urzędów; redukcji pensji i rent. Była już o tym mowa, że i takie sposoby miały ograniczony zasięg: nie sposób ich nadużywać, bo groziła wówczas rewolta funkcjonariuszy, arystokracji dworskiej, rentierów. Powstawał zatem diabelski krąg. Gdy rząd dochodził do krawędzi buntu uprzywilejowanych, zwracał się znów ku naciskowi podatkowemu. Kiedy przebierał miarę w powiększaniu obciążeń podatkowych, napotykał mur rewolt i stawał przed nim bezradnie: przebicie go represjami było na dłuższą metę niemożliwe.

Kardynał wnet będzie żądał od swych nadintendentów finansów, by „robili cuda”. Jednakże epoka cudów już minęła i nic nie pomagały nawet wyrafinowane pochlebstwa. Wiosną 1635 roku Eminencja pisze do pana de Bullion: „Wyznaję, że moja ignorancja w kwestiach finansowych jest tak wielka, i uznaję pańską kompetencję w tej sferze za tak dużą, iż jedyną radą, jaką mogę Panu dać, jest taka, by posługiwał się Pan środkami, które sam Pan uznaje za najużyteczniejsze w służbie dla króla. Zapewniam Pana, że w miarę wszelkich moich możliwości we wszystkim będę Pana wspierał”. Bez wątpienia kokietował trochę; jego finansowa ignorancja wcale nie była tak kompletna.

Cuda wszakże nie następowały. Richelieu zgodził się, przypomnijmy, na eksperymenty mnicha Dubois, który w lasku Vincennes przy pomocy zręcznie wydrążonej laski pokazywał, jak z ołowiu robić złoto. Bardzo przykrym zawodem było dla kardynała ujawnienie oszustwa, tak przykrym, że Dubois zapłacił za to głową. Skoro zaś nie pomagały pochlebstwa i wiara w cuda - Richelieu wpadał w drugą skrajność: złościł się na nadintendentów finansów, zarzucał im bierność, nieudolność, czasem nawet brak uczciwości. Żądał poskromienia nadmiernej chciwości *traitants*, dzierżawców podatków; na ich zdzierstwa składał winę ludowych rewolt, próbował zadowolić rebeliantów ustępstwami. Bullion tłumaczył mu wówczas chłodno, że ustępstwa w jednej prowincji sprowokują tylko żądania podobnych koncesji w innych regionach kraju. Jeszcze gorzej było, gdy próbowano odkuć się za wymuszone ustępstwa zwiększonym naciskiem na inne prowincje. Tak, był to prawdziwie diabelski krąg. Jednej zasady Richelieu przestrzegał twardo: oszczędzał Paryż. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozproszone, żywiołowe, źle zorganizowane rewolty osłabiają rząd, ale nie zagrażają mu bezpośrednio. Prawdziwym niebezpieczeństwem stałoby się połączenie potężnych, lecz chaotycznych sił prowincji z przywództwem Paryża. Dopiero kilka lat po śmierci Richelieuo Mazarini, nie widząc już innego wyjścia z błędnego koła, zdecydował się obciążyć Paryż, wycisnąć tę gąbkę. Rezultatem był potężny wstrząs Frondy, który o mało nie obalił struktur absolutyzmu monarchicznego.

W depeszy Sebastiana Lustriera obok niedoświadczenia armii, rewolt ludowych, choroby finansów - jako słabość Francji wylicza się jeszcze arystokratyczne spiski przeciw rządowi. Nie zabraknie ich już w tym

pierwszym okresie działań wojennych, który stał się czasem próby. Richelieu wygładzał i upiększał obraz sytuacji: w tekstach o przeznaczeniu doraźnym, dla bieżących celów spisanych, chodziło mu o pokrzepienie serc; w pismach adresowanych do potomności - o to, by nie rzucić cienia na swą politykę, zawsze dalekowzroczną, rozumną, sterowaną wielkim umysłem i żelazną wolą. Nie dajmy się zwodzić tym lukrowanym fałszom. Położenie wnet się zaczęło pogarszać; po kilkunastu miesiącach wojny wielki i mądry minister popadnie w stan bardzo podobny do paniki. Uczucie strachu nie było mu i przedtem obce, teraz płacił nim za popchnięcie kraju do niepopularnej, źle przygotowanej wojny. Niestety, miliony jego rodaków płaciły drożej: nędzą, rozpaczą, głodem, śmiercią.



DWA LATA KLĘSK I SPISKÓW

Miłe złego początki. W pierwszych miesiącach wojny Richelieu choruje wprawdzie ciężko, z trudem trzyma rękę na sterze; dobry los zdaje mu się to jednak wynagradzać. Koniunktura międzynarodowa jest, jak można sądzić, pomyślna. Richelieu umocnił sojusze z Holandią i Szwecją oraz swój wpływ na protestancką Unię. Liczył na antyhiszpańskie i antykatolickie tradycje i postawy Anglików. Pragnął zacieśnić związki państw włoskich - Wenecji, Sabaudii, Modeny, Parmy, Toskany, Mantui i państwa kościelnego - w wielkiej antyhabsburskiej konfederacji pod prezydencją papieża i protekcją Francji.

Także pierwsze operacje wojskowe były bardzo udane. Jeszcze w maju armia Flandrii pod wodzą panów de Brézé i de Châtillon pobiła Hiszpanów pod Avein: nieprzyjaciel zostawił na polu bitwy 5 tysięcy ludzi, Francuzi wzięli 600 jeńców. W Paryżu odśpiewano *Te Deum*. Nad Renem książe Bernard Sasko-Weimarski i kardynał de La Valette odnosili sukcesy. Henri de Rohan, świetny specjalista od wojny górskiej, szybkim manewrem opanował Waltelinę, zamykając to przejście dla nieprzyjaciół i uniemożliwiając ich atak na Gryzonów.

Jakże szybko wszystko zaczęło się sypać! Traktat ze Szwecją zawarty w Compiègne nie został ratyfikowany, bo Francja nie wypowiedziała wojny cesarzowi. Dopiero w 1637 roku dojdzie do ściślejszego aliansu Francji i Szwecji. W latach 1635-37 mamy do czynienia właściwie z dwiema wojnami: Francja wojuje z Hiszpanami, Szwecja z cesarzem (bo i Oxenstierna nie kwapił się wypowiadać wojny Hiszpanom). Nie ma formalnego sojuszu Francji ze Szwecją, gdy Wiedeń i Madryt wojują w ścisłej kooperacji. Protestancka Unia władców niemieckich była już tylko cieniem dawnego związku. Gdy elektor saski sygnował pokój praski z cesarzem (30 maja 1635), kolejni władcy protestancy - z elektorem Brandenburgii i książętami meklemburskimi - zaczęli się do tego pokoju przyłączać. W Unii pozostała grupa słabszych książąt nie liczących na korzystne warunki pokoju z cesarzem: książęta Brunszwicko-Luneburski i Wirtemberski, landgraf Hessen-Kassel, książę Dwumostów i inni jeszcze; niektórzy byli wygnańcami, jak Bernard Sasko-Weimarski, który stracił

swe terytorium. Szczątkiem siły militarnej Unii były głównie dwie armie. Hessen-Kassel miał około 10 tysięcy ludzi, Bernard Sasko-Weimarski około 18 tysięcy. Po długich i niełatwych rokowaniach udało się Francuzom wziąć armię Bernarda na żołąd i poddać swej kontroli. Książę Bernard miał za to otrzymać w przyszłości habsburskie posiadłości w Alzacji (układ w Saint-Germain z 27 października 1635 roku). To sukces: Ojciec Józef powtarzał, że bez Bernarda Niemcy byłyby dla Francji stracone! Kardynał nie przepadał za księciem Sasko-Weimarskim, obawiał się, że może mu wyrosnąć na nowego Gustawa Adolfa. Kiedyś, gdy po błyskotliwych zwycięstwach Bernarda król zachłysnął się nimi i pisał o „naszych sukcesach”, Richelieu replikował mu sucho: „Nie mamy tu we Francji żadnego diuka Sasko-Weimarskiego”.

Rachuby na życzliwość Anglii zawiodły. Londyn był zaniepokojony perspektywą usadowienia się Francji w Niderlandach hiszpańskich. Anglicy zawsze uważali, iż ujście Skaldy to pistolet wymierzony w wyspę brytyjską i nie zamierzali się godzić z jego opanowaniem przez Francuzów. Przebąkiwano już nawet o sojuszu angielsko-hiszpańskim czy o wejściu wojsk angielskich do hiszpańskich Niderlandów. Richelieu z kolei zaczął rozważać szanse francuskich posiłków dla irlandzkiej, a zwłaszcza szkockiej rebelii, która tliła się nieustannie.

Bardzo połowiczne i nietrwale były sukcesy dyplomatyczne we Włoszech. Nie udało się stworzyć wielkiej konfederacji włoskich państewek. Papież Urban VIII nie chciał wprawdzie być, jak mówił, „kapelanem króla Hiszpanii”. Nie zamierzał jednak płacić za niezależność od Filipa IV uległością wobec Ludwika XIII. Wenecja była zbyt ostrożna, by się pochopnie angażować, Toskana i zwłaszcza Genua zbyt mocno powiązane z Habsburgami. Ostatecznie udało się skusić Wiktora Amadeusza perspektywą podboju i włączenia do Sabaudii księstwa Mediolanu. Traktat w Rivoli (11 VII 1635) to ofensywny sojusz Francji z Sabaudią; sabaudzki władca podjął w nim zobowiązania w imieniu książąt Mantui, Parmy i Modeny, bo uważał ich udział w aliansie za pewny. Książę Modeny wymówił się jednak. Niewiele więc wyszło z planów stworzenia silnego profrancuskiego bloku państw włoskich, tym bardziej że władca Toskany zaczął zaraz montować coś w rodzaju trzeciej siły, ligę neutralnych. Jako sojusznik Francji Wiktor Amadeusz nie cieszył się sympatią Richelieugo, ale bardzo go popierał Ojciec Józef. Plan podboju księstwa Mediolanu zawiódł całkowicie, w Italii Francuzi nie zanotują sukcesów: to raczej Hiszpanie będą tu górą.

Rozwiały się jak dym także i plany szybkiego podboju południowych Niderlandów. Zaopatrzenie armii francuskiej było nędzne, co pobudziło żołnierską skłonność do grabieży; opór ludności prowokował do represji. Choroby, dezercje, głód sprawiły, że po paru miesiącach armia zaczęła się zmieniać w niekarne bandy łupieżców. Panowie de Brézé i de Châtillon tym mniej panowali nad sytuacją, że natychmiast po pierwszych sukcesach się skłócili. Wypadło armię wycofać z teatru wojennego; wywieziono ją morzem z pomocą Holendrów. „Serce mi rozkrwawiła - pisze kardynał do króla wiadomość o nędzy, w jakiej zatracona została cała armia Flandrii... Na widok, jak marnie giną oddziały króla, ludzie zaczynają gardzić jego

potęgą”.

Fatalne zaopatrzenie osłabiło także armie La Valette’a i księcia Bernarda w Nadrenii. W Lotaryngii wzmógł się opór ludności, armia marszałka de La Force zaczęła ponosić porażki. Nie tylko zaopatrzenie było zresztą nędzne, dyscyplina także, zarówno żołnierzy, jak i oficerów. Eminencja pisze do króla: „Moim zdaniem należy pozbawiać szlachectwa wszystkich tych, którzy opuścili armię bez zgody na urlop... Bez takiej surowości obawiałbym się, doprawdy, masowej dezercji”. U progu jesieni 1635 roku wybuchła wielka awantura: Ludwik pragnął udać się do Lotaryngii, do armii La Force’a, kardynał bardzo stanowczo go powstrzymywał, król się zezłościł i potraktował Eminencję tak ostro, że potem miał wyrzuty sumienia. Opór Lotaryńczyków doprowadzał Richelieugo do furii: skłonny był uważać mieszkańców anektowanego de facto kraju za Francuzów, a więc ich opór za zdradę. Radził równać z ziemią buntujące się miasta (a gdyby brakło na to czasu, przynajmniej palić domy), dewastować wsie, niszczyć zbiory zboża. Istotnie, Lotaryngia boleśnie teraz odczuła *Ies misères de la guerre*. Gdy odzyskano w październiku Saint-Mihiel, które uprzednio skapitulowało, Richelieu naciskał króla, by mimo opinii wojskowych dał przykład grozy i wysłał wszystkich żołnierzy na galery...

Wyjazd Ludwika XIII do Lotaryngii wbrew woli kardynała jest sygnałem nowej sytuacji. Król, który lubił wojaczkę, będzie teraz dość często działał w dużym oddaleniu od swego szefa rządu. Richelieu nigdy takich separacji nie lubił; teraz wypadnie mu się z nimi pogodzić. Trochę to uniezależni króla od ministra, przede wszystkim w sferze decyzji operacyjnych. Ciągłe jednak będą w żywym kontakcie korespondencyjnym, przepływać będzie między nimi cała rzeka listów, depesz, pośpiesznie kreślonych biletów.

Powrót Ludwika z Lotaryngii był niewesoły. Ujrzał fatalny stan swojej armii, niewiele mógł na to poradzić, więc przeżywał wyjątkowo ciężki atak „melancholii”. Całą kampanię roku 1635 wypadło uznać za nieudaną; na zimę, zgodnie z ówczesną praktyką, przerwano aktywność militarną. Wrogowie kardynała oczywiście korzystali ze wspaniałej okazji, by ministrowi zaszkodzić. Richelieu postanowił wyprzedzić ataki, więc wypróbowanym zwyczajem zaczął mówić o swej dymisji. I tym razem manewr poskutkował. Król przyrzekł mu iść dokładnie za jego dobrymi radami. Jedną z ofiar klęsk - ale także, jak wspominaliśmy, animozji wewnątrz klanu kreatur kardynała - stał się minister wojny Abel Servien, zastąpiony w początkach 1636 r. przez Subleta de Noyers.

Najgorsze miało dopiero przyjść wiosną i latem. Z dwu stron: w maju zaczęła się największa pod względem zasięgu terytorialnego rewolta chłopska w dziejach Francji, w lipcu i sierpniu skuteczna ofensywa Hiszpanów i wojsk cesarskich. Żakeria chłopska wybuchła niemal równocześnie w rozległych terytoriach pomiędzy Garonną i Loarą; objęte ogniem prowincje zachodnie, południowe i centralne to łącznie jedna czwarta obszaru Francji! Na kilka miesięcy przed eksplozją Sublet de Noyers, jeszcze intendent, a nie minister, pisał proroczo, że trudno będzie nakłonić do posłuszeństwa wygłodzone żołądki ludu. Rewolta trwała przez całe lato, osłabła zimą 1636 na 1637 rok, odzyskała wigor wiosną i została

zmiażdżona ostatecznie dopiero w listopadzie 1637 roku.

Wystąpiły w niej cechy osobliwe, a dla rządu szczególnie niebezpieczne. Nadchodziły raporty, że zbuntowani chłopci wściekają się już nie tylko na złych królewskich ministrów, doradców, funkcjonariuszy, ale i na samego monarchę, który troszczy się o pijawki dzierżawiące od rządu podatki, natomiast nie dba o wynędzniały lud. Rewolta była przy tym mniej chaotyczna niż wcześniejsze poruszenia. Intendent w Angoulême donosił w początkach czerwca: „Uzbrojeni są [rebelianci] w rusznice i piki, a podzieleni na 12 czy 15 kompanii prowadzonych przez ich proboszczów. Wszyscy maszerują w porządnym szyku, z braku bębnow przy dźwiękach piszczałek i skrzypiec... W ogromnym zamieszaniu tej kanalii jest jakiś niebezpieczny porządek: organizują ćwiczenia swych oddziałów, zbierają się na określone hasło, przez emisariuszy podżegają swych sąsiadów, by przystępowali do ich rewolty”. W lipcu ten sam intendent pisze: „śmiem twierdzić, jak i wszyscy tutejsi porządni ludzie, że na tych naszych furiatów, durniów i barbarzyńców lepiej podziela jeden wystrzał armatni i jedno przykładowe ukaranie niż cały tysiąc sylogizmów”. Zaniepokojony Richelieu informował króla o raportach z prowincji, wedle których „nie można stłumić rewolt inaczej niż tylko siłą i że konieczne jest posłanie starych regimentów”. To było w czerwcu 1636 roku; już w lipcu kardynał zdał sobie sprawę, że rewolta jest zbyt rozległa, by zdusić ją siłą wojska. Trzeba by ogołocić fronty wojny, i to właśnie w momencie ofensywy wroga. Hiszpanie zaczęli atak w Pikardii; mówiono, że się szykują do przejścia Pirenejów. Groziło zatem ich połączenie się z rewoltą chłopską na południu.

Richelieu zmienia więc zrećźnie taktykę. Skoro nie pomagają „sylogizmy”, to znaczy propaganda i perswazja, zaś armat posłać nie można, należy rokować i ustępować. Eminencja godzi się, by delegaci insurgentów przybyli do Paryża, także na prowincji władze lokalne prowadzą rozmowy, a zgromadzenia buntowników układają swe postulaty. We wrześniu rząd zgadza się na wydatną redukcję podatków i ruch chłopski przycicha. Sytuacja jest wszelako bardzo napięta, bo zrewoltowana wieś nie ufa dobrej woli rządu. I słusznie, gdyż wiosną 1637 roku pojawią się nowe żądania podatkowe i próby odbicia sobie na sąsiednich prowincjach tego, co rząd stracił w wyniku swoich ustępstw. Toteż od maja 1637 roku rewolty się odnowią.

Lato 1636 roku także na frontach wojny to czas ciężkiej próby. Wiosną książę de Condé obległ, bardzo nieudolnie, miasto Dôle w Franche-Comté. Ta hiszpańska prowincja miała długie tradycje przynależności do Rzeszy, a zatem cesarz Ferdynand uznał, iż atak na nią jest uderzeniem w jego autorytet. Wojska cesarskie będą zatem wspierać Hiszpanów w ich letniej ofensywie.

W lipcu padną dwie niewielkie, ale ważne twierdze, La Capelle i Catelet. Ich komendanci, panowie du Bec i de Saint-Léger, poddali się praktycznie bez walki i na żądanie Richelieugo skazani potem zostaną (zaocznie, bo byli już za granicą) na rozszarpanie końmi przed paryskim Ratuszem. Tymczasem zła passa klęsk trwała nadal. Główne siły francuskie w Pikardii, źle dowodzone przez hrabiego Soissons, cofały się. Wróg

przekroczył Somnę, zajął Roye i Montdidier. Opowiadano, że przednie straże hiszpańskie widać było w okolicach Compiègne i Pontoise, a więc tylko kilkadziesiąt kilometrów od Paryża. Trzeba było poważnie się liczyć z oblężeniem stolicy, której mury obronne zostały fatalnie zaniedbane. Wróg jej nie zagroził od niepamiętnych czasów; jako ostatni oblegał Paryż, przed prawie półwiekiem, król Henryk IV, gdy katolicy opierali się przed uznaniem jego władzy.

8 sierpnia zaczęło się oblężenie twierdzy Corbie, która zagradzała nieprzyjacielskiej armii drogę do Paryża. Była dobrze zaopatrzona i należało się spodziewać długiej obrony. Jej dowódca, pan de Soyecourt, miał dobrą załogę, prawie 2 tysiące ludzi. Poszedł on za przykładem, jaki dali panowie du Bec i de Saint-Léger: kapitulował po tygodniu, niemal bez walki, nim wróg zdołał przypuścić szturm. „Nigdy jeszcze nie słyszano - oburzał się Richelieu o takim tchórzostwie jak tych trzech łajdaków, którzy nie chcieli się bronić w twierdzach przez siebie trzymanyh”. Soyecourt podzieli los dwóch „łajdaków”, którzy się poddali wcześniej: ucieknie i zostanie skazany na śmierć zaocznie.

Co się tyczy tchórzostwa: Richelieu był podobno bliski nastrojom paniki. Tuż po upadku Corbie paryski parlament zaczął się buntować, żądał dochodzenia w sprawie złego przygotowania kraju do wojny i sposobu, w jaki wykorzystano sumy budżetowe przeznaczone na obronę. To mógł być sygnał do buntu arystokratycznej elity przeciw kardynałowi. Na szczęście król bardzo nie lubił politycznych ambicji parlamentów. Wezwał sędziów do Luwru i po prostu zabronił im „próbować brać go pod kuratelę”, „mieszać się do jego spraw”.

Jest jednak jeszcze lud paryski, pobudliwy, a mający teraz prawo do zdenerwowania. Bogaci uciekali do Chartres i Orleanu, lud musiał się natomiast liczyć z wszystkimi udrami oblężenia miasta. Wrogowie kardynała opowiadali, że zaniedbał on troski o fortyfikacje, bo przecież musiał budować Palais-Cardinal... Richelieu ciągle jeszcze dobrze pamięta tłum masakrujący zwłoki Concinię na Pont-Neuf; boi się pokazywać publicznie, cierpi na ostre kryzysy nerwowe.

„Słyszano wszędzie tylko szemrania ludu przeciw kardynałowi pisze Montglat - któremu też grożono jako przyczynie całego zamieszania. Ale ten był nieustraszony: by pokazać, że się niczego nie boi, wsiadł do swej karocy i jeździł po ulicach bez straży, a nikt się nie ośmielił powiedzieć mu choćby słowa. Choć robił dobrą minę, to jednak był nadal mocno zaambarasowany: bardzo się niepokoił, jak znaleźć lekarstwo na tak ciężką chorobę”. Podobno to zasługa Ojca Józefa, że Richelieu wziął się w garść: w długiej nocnej rozmowie kapucyn podniósł na duchu Eminencję mieszając argumenty racjonalne i wizjonerskie przepowiednie. To Ojciec Józef ponoć wysłał Richelieuę na ulice miasta bez silnej eskorty: zarzucił kardynałowi, że się zachowuje „jak zmokła kura”. Złośliwy Tallemant twierdził wszelako, że karoca Eminencji była opancerzona, strażnik zajmował miejsce lokaja, zaś do środka karocy Richelieu zapraszał marszałka de La Force, bardzo popularnego wśród paryskiego ludu.

Drugi problem: jak na klęski zareaguje Ludwik XIII. Montglat pisze, że król przeżył wielki szok, gdy polując w lasach pod Compiègne ujrzał po

drugiej stronie rzeki Oise hiszpański patrol. Faktem jest jednak, że król celująco zdał ten trudny egzamin. Prawda, pomógł mu refleks patriotyzmu paryżan, burżuazji i ludu. Na prowincji szalały rewolty, szlachta - ku wielkiemu rozczarowaniu monarchy - bardzo źle reagowała na wezwania, by się stawiała konno na pospolite ruszenie. Tymczasem gdy Ludwik zebrał w wielkiej galerii Luwru delegacje paryskich cechów, „wszyscy bourgeois się opodatkowali... otworzyli swoje sakiewki i dali wszystko, czego od nich chciano, takiego mieli stracha” (Montglat). Król podobno rozczulił się i całował z dubeltówki nawet najskromniejszych rzemieślników obecnych w Luwrze: tak to przeciwności uczą ludzi pokory, powiada markiz de Montglat.

Faktem jest, że paryżanie - burżuazja i lud - odpowiedzieli bardzo szybko i gorliwie na apele Ludwika XIII o ratowanie kraju. Pieniądze płynęły do kas państwowych, rzemieślnicy, tragarze, służba domowa zaciągali się do wojska. Do kierowania zaciągami wyznaczono sędziwego marszałka de La Force ze względu na to, że lud go lubił. Stał on na stopniach Ratusza i ścisnął ręce nowo zaciężnym. Rekwirowano konie, ćwiczone oddziały, szykowano solidne zaopatrzenie. Richelieu miał w tym oczywiście swój udział; porównywanie jego roli z wkładem Dantona w obronę Francji i stolicy półtora wieku później - to już tylko fantazje wielbicieli kardynała. W końcu sierpnia król był tak optymistyczny i rozgrzany, że - jak depešował Grocjusz do Oxenstierny - obiecywał jeszcze w tym roku triumfalne wejście do płonącej Brukseli! W istocie, we wrześniu zebrano na froncie pikardyjskim świeżą i dobrze zaopatrzoną armię, od 50 do 60 tysięcy ludzi.

Ponieważ „święta unia” obowiązuje, wyznaczono na jej wodzów dwu znanych wicherzycieli, Gastona Orleańskiego i hrabiego de Soissons. Wrogowie kardynała natychmiast zaczęli rozpowiadać, że rząd to zrobił w złej wierze, aby posłać ich na pewną zgubę... Jeśli groziła jakaś zguba, to raczej generalskiej reputacji obu tych książąt krwi, odważnych w walce, ale przeciętnych w dowodzeniu. W październiku zaczęła się wielka akcja oblężnicza pod Corbie, która zaangażowała do 40 tysięcy żołnierzy! Zamiast próbować szturm, podjęto oblężenie wedle wszystkich uczonych reguł. Na szczęście wróg nie próbował przerwać tej blokady. Z armią hiszpańsko-niemiecką stało się na mniejszą skalę to samo, co w poprzednim roku przydarzyło się francuskiej armii Flandrii: po paru miesiącach zaczęła się po prostu rozprzegać. W odwrocie utraciła dwie trzecie swoich efektywów. Odzyskanie Corbie nastąpiło 10 listopada, po krótkiej kanonadzie.

Sukces bezsporny. Bardzo mu pomógł patriotyczny zryw mieszkańców Paryża, który się tłumaczy inteligentną polityką rządu: była już mowa o tym, że ciśnięto podatkami prowincje, natomiast oszczędzano Paryż. Nie można jednak było uznać, że kampania 1636 roku przybliżyła zwycięstwo Francji. Kraj przeżył ciężkie chwile, dwie próby ofensywne załóżnie zawiodły. O jednej już wspomnieliśmy: to akcja księcia de Condé w Franche-Comté, nieudane oblężenie Dôle. Porażką zakończyła się także próba zdobycia księstwa Mediolanu. Podjęto ją pod naczelnym dowództwem Wiktora Amadeusza: księżę Sabaudii okazał się niezłym,

inteligentnym wodzem, ale miał za mało sił. Dotarł na dystans kilkudziesięciu kilometrów od Mediolanu, wygrał bitwę, nie otrzymał jednak spodziewanych posiłków francuskich i w połowie sierpnia musiał się wycofać z całej operacji. Nie bez wpływu na bieg tych wydarzeń była niechęć Richelieugo i do księcia Sabaudii, i do działających w Italii francuskich dowódców, Rohana oraz Toirasa.

Okazało się więc w toku owej kampanii, że i armia francuska, i wojska Habsburgów znacznie lepiej sobie radzą w obronie niż w ofensywie. Paryż i Mediolan przeżyły trochę strachu, ale też na strachu się skończyło. Brak było Francuzom dobrych dowódców, brak umiejętności prowadzenia działań ofensywnych z dala od baz operacyjnych, trudno też było o śmiałość inicjatywy. Po odzyskaniu Corbie wojna straci tempo; wysiłek militarny Francji polegać będzie później, w roku 1637 i następnych latach, głównie na kilku kosztownych oblężeniach ważnych miast i twierdz. Oczywiście dokonywała się wówczas ta powolna, empiryczna reorganizacja armii, bez której nie byłyby możliwe przyszłe zwycięstwa. I tu rola Richelieugo była znaczna, ale zasługę dzieli on z całym gronem fachowych współpracowników, przede wszystkim z Subletem de Noyers.

Jesienią 1636 roku Richelieu ciągle jeszcze dla arystokracji jest głównym winowajcą zagrożenia, które zawisło nad Paryżem. To dobra sposobność, aby projektować nowy spisek przeciw niemu. Gdy Francuzi oblegali Corbie, dawny faworyt króla Barradas proponował hrabiemu de Soissons aresztowanie Richelieugo. Nic z tego nie wyszło. Więcej szans mieli dwaj panowie: Claude de Montrésor, faworyt Gastona, i Henri de Saint-Ibal vel Saint-Ibar, faworyt hrabiego de Soissons. Skuzynowani ze sobą, uknuli wspólnie spisek mający na celu zabicie kardynała i pozyskali zgodę - dość niewyraźną, jak się zdaje - obu swoich patronów. Gaston i Soissons od dawna zaprzyjaźnieni, dowodzili teraz armią w Pikardii i ich wzajemne stosunki akurat nie były szczególnie czułe.

Pan de Montrésor, krewniak Puylaurensa i jego następcą w roli głównego faworyta Gastona Orleańskiego, udawał Rzymianina i kochał się we wspaniałych, corneillowskich tyradach. „Miał minę Katona, ale poza tym w niczym doń nie był podobny... Ludzie o tym charakterze nic w życiu sami zdziałać nie potrafią i dlatego tym chętniej wszystkim wkoło doradzają” - pisał o nim jego bliski krewny, kardynał Retz. Co się tyczy pana de Saint-Ibar, Gaston powiadał, że „przy wszystkich swych zaletach jest to postać żałosna”. Tych dwóch wiecznych malkontentów roznosiła ambicja; fakt, że ich patronowie mieli w ręku silną armię, właśnie bijącą nieprzyjaciela i działająca blisko stolicy, uznali za wyborną okazję do przewrotu pałacowego.

Monsieur miał powody, aby pragnąć upadku Richelieugo. Jego przyjaciele wciąż trafiali za kraty (m.in. da tknęło to, na jakiś czas, Goulasa i La Rivière'a); Richelieu był nieprzejednany w sprawie lotaryńskiego małżeństwa Gastona. Właśnie w sierpniu 1636 roku wymusił od niego, w swym gabinecie w Rueil, uznanie nieważności tego mariażu. Ale Gaston poskarżył się sekretnie papieżowi, iż podpisał ów dokument pod przymusem. Urban VIII odmawiał zresztą, grzecznie i stanowczo, swego poparcia dla sprawy unieważnienia małżeństwa, co jeszcze bardziej

zaczynało Gastona w oporze. Ciągłe też wisiała nad królewskim bratem groźba nacisków kardynała na jego mariaż z „wdową Combalet”: nigdy nie pojawiła się wyraźnie taka propozycja, ale na dworze i w otoczeniu Gastona bez przerwy o tym paplano. Opowiadano zresztą, że i nad hrabią de Soissons wisi ten sam miecz Damoklesa, że „tyran” widzi w nim również epuzera dla swej ulubionej siostrzenicy.

Hrabia de Soissons to nie był zwykły arystokrata, lecz księżę krwi królewskiej. Jego ojciec to stryjeczny kuzyn króla Henryka IV. Ludwikowi de Bourbon hrabiemu de Soissons nie brakowało ambicji. Markiz de Montglat tak o nim pisze: „Karmiono go od młodości nadmierną pychą i względem całej szlachty zachowywał się tak niegrzecznie, że rzadko go odwiedzano i nie zdobył sobie w świecie żadnego wpływu. Kazał nawet obić kijem pewnego szlachcica, barona de Coupet, z powodu jakiejś damy: ta metoda działania tak bardzo obraziła całą szlachtę, że zerwali z nim wszyscy godni ludzie”. Później, dodaje Montglat, zrozumiał, że mu to szkodzi, i zmienił manieri. Zaczął pozyskiwać sobie zwolenników, głównie wśród oficerów, pieniędzmi i grzecznym traktowaniem. „W krótkim więc czasie osiągnął dzięki temu, że w armii go adorowano: wszystkie oddziały szły chętnie za nim. Ten wielki wpływ obudził zawiść kardynała”. Dziesięć lat wcześniej bardzo chciał się żenić z panną de Bourbon-Montpensier, ale dostała się ona Gastonowi. Teraz miał ochotę na małżeństwo z jej i Gastona córką: ponoć nawet planował jej porwanie, bo nie liczył, by król i kardynał przystali na ten ślub, ale Gaston się na porwanie nie zgodził. Panna de Montpensier pisze w swych pamiętnikach, że nie miałyby nic przeciwko małżeństwu z hrabią de Soissons, choć był o dwadzieścia trzy lata od niej starszy: uważała go za „księcia krwi w każdym calu”.

Montrésor i Saint-Ibar zachowali niebywałą dyskrecję: w swój spisek wtajemniczyli; prócz Gastona i hrabiego de Soissons, tylko cztery osoby! Plan był taki, aby zabić kardynała po jednej z wojennych porad, które w październiku 1636 roku odbywały się często w królewskiej głównej kwaterze, mieście Amiens. W pałacu, który gościł taką radę wojenną, straż trzymali tylko gwardziści króla. Ludwik XIII odjeżdżał jako pierwszy zabierając swą straż: to był odpowiedni moment, by zabić kardynała. Ustalono, że umówiony sygnał da Monsieur. Jak się wydaje, spiskowcy nie mieli jasnego poglądu na temat dalszego rozwoju wydarzeń. Przyjęli chyba formułę, którą później sprecyzował Bonaparte: *on s'engage et puis on voit*, trzeba się zaangażować w walkę, a potem się zobaczy.

Niezgrabny, lecz smakowity opis owego „spisku z Amiens” przekazały pamiętniki hrabiego de Montrésor. Oddajmy mu głos: „Rada [wojenna] się odbyła. Gdy ci panowie [Monsieur i hrabia de Soissons) wyszli wraz z królem i ten wsiadł do karocy, by wrócić do swej kwatery, jeden z tych, którym zawierzyli, przemówił do nich na ucho pytając, czy trwają w swym postanowieniu. Odpowiedzieli mu, że trwają. Na dolnym stopniu schodów ukazał się między oboma panami [księżętami] pan kardynał. Ten sam [spiskowiec] patrzył pilnie w twarz Monsieur i był bardzo zdziwiony, gdy spostrzegł, że Jego Wysokość zaczyna wchodzić na schody i biegnie pod górę z szybkością, której niepodobna sobie wyobrazić. Wszystko, co mógł

[ów spiskowiec, oczywiście sam Montrésor] zrobić, to złapać go za futrzany kołnierz z bawołu i rzec mu: «Chcecie, Panie, się zgubić». Monsieur nie zatrzymując się dotarł aż do sali obrad. Ta sama osoba zaczęła mu tam przedstawiać wszystkie trudności nagłej zmiany decyzji i łatwość wykonania planu: nie mogła jednak wydusić od niego niczego oprócz kilku niewyraźnych słów. Nie można z nich było wyciągnąć innego wniosku, jak tylko ten, że Monsieur nie ma ni zamiaru, ni dość siły, by wydawać rozkazy i postanawiać. Tymczasem pan hrabia stał w tym samym miejscu z panem kardynałem i ze spokojnym obliczem zabawiał go rozmową. Za nim [tj. za kardynałem] był jeden z trzech wtajemniczonych i często dawał hrabiemu znaki [to bez wątpienia Saint-Ibar]. Dwaj pozostali [spiskowcy] znajdowali się w pewnym oddaleniu na podwórzu... Ten, który pobiegł za Monsieur, powrócił do pana hrabiego i też dawał mu znaki. Kardynał wsiadł do swej karocy i, by rzec całą prawdę, uniknął największego niebezpieczeństwa, jakie mu groziło w całym jego życiu. Były jeszcze potem inne propozycje w tej samej materii, ale nie poparto i nie podtrzymano ich, jak należało, by zapewnić szanse powodzenia”.

„Spiskowcy mieli kardynała w ręku w Amiens - pisał Retz - i nic mu nie zrobili. Nigdy nie zdołałem się dowiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało. Wszyscy mi o tym opowiadali, jeden zrzucał winę na drugiego... Pewne jest natomiast, że po powrocie do Paryża wszystkich strach ogarnął”. Relacja Montrésora daje klucz do tej zagadki: dwaj główni animatorzy spisku nie chcieli działać bez wyraźnego znaku książąt krwi, tymczasem ani Gaston, ani hrabia de Soissons nie potrafili zdobyć się w krytycznym momencie na wydanie rozkazu. Gaston - jak pisał Montglat tłumacząc fiasko spisku z Amiens - „nigdy nie miał dość sił, by doprowadzić do końca to, co z premedytacją uknuł: tak bardzo tracił głowę”. Decyzja Gastona była tym bardziej niezbędna, że - jak twierdzi Montglat - spiskowcy chcieli przedstawić taką wersję śmierci kardynała, wedle której Richelieu zginął, bo obraził królewskiego brata... Cała konspiracja miała charakter kiepskiej amatorszczyzny; na szczęście dla spiskowców udało się zachować sekret.

Gaston opuścił front działań wojennych już 20 października. Kilka dni potem za jego przykładem poszli król i kardynał: nie byli obecni przy szturmie na Corbie. 18 listopada Gaston zjawił się w Paryżu pod pretekstem chęci pogratulowania królowi zwycięstwa. Wolał jednak stanąć u jakiegoś łazienika: może nie ze strachu, gustował w takich ekstrawagancjach. 19 listopada z kolei przybył do stolicy hrabia de Soissons. Król mu właśnie odmówił przyrzeczonego uprzednio dowództwa w Szampanii; Ludwik pisał kardynałowi, że jego kuzyn popłakał się, gdy się dowiedział o tej odmowie. Hrabia bał się aresztowania; po Paryżu krążyły plotki, że zamek w Vincennes gotuje się na przyjęcie jakiejś ważnej osobistości... 20 listopada Monsieur i hrabia de Soissons spotkali się na obiedzie u wspólnego przyjaciela i po długiej rozmowie pośpiesznie opuścili Paryż, nim jeszcze noc zapadła. Gaston wylądował w swoim Blois, Soissons u księcia de Bouillon w Sedanie. Król i kardynał, którzy nie mieli pojęcia o „spisku z Amiens”, zupełnie nie podejrzewali, że książęta tak nagle dadzą drapaką i nie rozumieli, co się właściwie stało. Weneckiemu

dyplocie Contariniemu Ludwik szczerze się przyznał, że nie wie, o co chodzi, ale nie boi się żadnych intryg obu uciekinierów.

Richelieu wolał jednak się zabezpieczyć, przede wszystkim ze strony następcy tronu: nie życzył sobie oczywiście jakiejś nowej ucieczki Gastona za granicę ani innych jego intryg. W rzeczywistości po fiasku w Amiens obaj spiskujący książęta przez krótki czas pieścili myśl o utworzeniu wielkiej partii opozycyjnej i zaczęli od wysłania Montrésora do diuka d'Épernon. Potem wszakże, jak pisał Montrésor, „powiedzieli sobie w Paryżu *adieu*, i nigdy się już nie zobaczyli”, zaś Monsieur zarzucił projekt tworzenia owej partii.

W grudniu 1636 roku zaczęły się więc długie negocjacje króla i kardynała z Gastonem. Chavigny'emu podał on jako powód ucieczki historię z wymuszonym od niego dokumentem w sprawie nieważności jego małżeństwa; domagał się, by król wreszcie uznał jego lotaryńską żonę. Ludwik ustąpił i zgodził się rozważyć takie uznanie. Niemniej targi z Gastonem trwały jeszcze wiele tygodni. Charakterystyczną anegdotę zapisał Montglat: oto z Paryża wysłano do Blois hrabiego de Guiche na rokowania z królewskim bratem. Monsieur traktował go zimno. Podczas pijatyki Guiche „tak potężnie się upił, że zaczął paplać za dużo... Mówił z pijackim uporem, że nic go nie obchodzi ani król, ani Monsieur, ani cała królewska rodzina, że za swego pana uważa jedynie Imć Kardynała. Ten nieszczęsny przypadek wyszedł mu na dobre: ponieważ pijacy zwykli mówić wszystko to, co myślą, kardynał uwierzył, że [Guiche] mówił z serca... i uznał, że ma obowiązek zadbać o jego fortunę”.

Zniecierpliwiony kardynał skłonił w końcu króla do nacisku zbrojnego: Ludwik ze swymi elitarnymi formacjami ruszył w stronę Blois i dotarł aż do Orleanu. 8 lutego 1637 roku dopełniła się tu kolejna - która to już? - rytualna scena pojednania króla z bratem. Uzgodniony parę dni wcześniej układ był dla Gastona korzystny: ogólna amnestia objęła jego przyjaciół, jego długi (znowu!) miały być spłacone przez króla, obiecano mu 100 tysięcy na koszty przebudowy zamku w Blois (to przynajmniej pieniądze, które nie poszły w błoto). Ludwik XIII uznał wreszcie ważność małżeństwa Gastona z Małgorzatą Lotaryńską, jednakże miało ono być jeszcze raz - już trzeci - celebrowane w kraju „wedle normalnych i zwyczajowych w takim przypadku reguł obowiązujących w tym królestwie”. Ponieważ regułą obowiązującą była zgoda króla na mariaż w jego rodzinie, oznaczało to, iż ów artykuł układu zostanie zrealizowany wówczas, gdy się królowi spodoba. Perypetie małżeńskie Gastona zakończą się dopiero kilka miesięcy po śmierci Richelieugo. Pamiętniki marszałka d'Estrées i raporty nuncjusza notują pogłoski, że jeszcze w zimie 1641 roku kardynał nie tracił nadziei na małżeństwo Gastona z „wdową Combalet”, która w styczniu 1638 roku została diuszesa d'Aiguillon i była bardziej *présentable*.

Co się tyczy hrabiego de Soissons, przez wiele miesięcy król i kardynał wymieniali z nim słodkie listy. Hrabia pisał pokorne i wiernopoddańcze epistoły, ale z bezpiecznego Sedanu ruszyć się nie zamierzał. Dopiero w sierpniu 1637 r. oku zawarto z nim układ: otrzymał solenną amnestię (*in blanco*, bo spiszek z Amiens pozostał tajemnicą) oraz prawo pozostania w Sedanie przez cztery lata. Na krótko przed upływem tego terminu Soissons

zbuntował się, zwyciężył wojsko królewskie - i zginął w tej zwycięskiej bitwie.



NOWE INTRYGI DWORSKIE

Wiosną 1630 roku Ludwik XIII zobaczył w świcie Marii Medycejskiej czternastoletnią niebieskooką blondynkę, pannę Marię de Hautefort. Przez długie lata - aż do jesieni 1639 roku, z przerwą w latach 1636-1637, gdy zaćmiła ją panna de La Fayette - Hautefort będzie platoniczną faworytą króla. W korespondencji z kardynałem Ludwik XIII oznaczał ją mianem *la créature* lub *l'inclination* (skłonność). „Skłonność” króla wyrosła na piękną, pełną temperamentu kobietę. Jej los nie był godny zazdrości. Pan de La Rochefoucauld, który żył z nią w wielkiej przyjaźni, pisał, iż „król okazywał jej swą namiętność raczej przez długie i nudne asystowanie niż przez czynione jej łaski”.

Tallemant twierdzi, że król zaczynał swe „zaloty” słowami: „Odrzućmy grzeszne myśli”. Po sześciu latach odgrywania roli *chevalier servant* przy pannie de Hautefort rozgniewał się ciężko na swego faworyta Saint-Simona, bo ten namawiał monarchę na przekroczenie granicy niewinnej przyjaźni; wygłosił podobno piękną tyradę na temat tego, co wolno, a czego nie wolno królowi. Ta niewczesna interwencja miała jakoby przyśpieszyć upadek Saint-Simona.

Zacytujmy jeszcze Tallemanta: „Dwórki mówiły jej: Niewiele, miła, wskórasz, nasz król to święty. Istotnie, dziwne były te jego amory. Z uczuć miłosnych znał tylko zazdrość. Pannę de Hautefort bawił rozmową o koniach, psach, ptakach i innych takich rzeczach... Pewnego dnia panna de Hautefort trzymała bilecik w ręku. Ludwik chciał go przeczytać, ona się wykręcała. Wreszcie spróbował wziąć go siłą. Ona, jako że doskonale znała króla, schowała bilecik za biust i rzekła: Jeśli Wam tak bardzo zależy, weźcie go sobie... Sięgnął wtedy po szczypecę z kominka, z obawy, że musiałby ręką dotknąć piersi pięknej damy”. Gdy jednak zaczynano tylko mówić o małżeńskich planach panny de Hautefort, król złościł się i paraliżował te projekty. Dopiero po śmierci Ludwika trzydziestoletnia Hautefort zdołała znaleźć sobie męża w osobie marszałka Karola de Schomberg.

Nie sposób się dziwić, że pełna temperamentu młoda kobieta męczyła się ze swym platonicznym adoratorem. Król się żalił kardynałowi, że „Skłonność” mu dokucza, spiera się z nim, a nawet zachowuje się w sposób dlań obraźliwy. Zwłaszcza w ostatnich dwu latach związek ów był nader burzliwy. Ludwik pisał kardynałowi bileciki w swoim topornym stylu: „Kreatura jest ciągle w złym humorze przeciwko mnie...”; „Nie wiadomo, jak się z nią kierować, uważa za złe wszystko, co się zrobiło myśląc się jej przypodobać”; „Codziennie stwierdzam jej złą wolę przeciw mnie, co doprowadza mnie do rozpacz przy tej miłości, jaką mam dla niej”... Panna de Montpensier twierdzi, że kłótnie z panną de Hautefort były przyczyną ciężkich ataków „melancholii” króla że Ludwik starannie zapisywał wszystko, co „Kreatura” mu rzekła i co on na to jej odpowiedział. „Po jego

śmierci znaleziono w jego szkatułce długie protokoły wszystkich kłótni, które prowadził ze swymi kochankami”. Zaczyna panna de Montpensier, wtedy jeszcze dziecko; zda się wierzyć, że jej królewski stryj rzeczywiście miał kochanki.

Już sam fakt, że „Skłonność” wpędza króla w czarną melancholię, jest dla kardynała niekorzystny. Co gorsza, panna de Hautefort, osoba wcale nie głupia, bardzo nie lubiła Richelieugo. Była w doskonałych stosunkach z Gastonem i hrabią de Soissons. Co zaś szczególnie osobliwe, żyła w wielkiej przyjaźni z królową Anną Austriaczką i po trochu maczała palce w jej intrygach. Bez wątplenia Anna wiedziała, że nie ma powodów do pospolitej małżeńskiej zazdrości o pannę de Hautefort. Więcej: wpływ „Skłonności” na króla mógł się klanowi królowej bardzo przydać. Czy trzeba więcej powodów, by kardynał gryzł się i niepokoił? Warto się było zastanowić, jak wyrugować „Kreature” z królewskich faworów.

Markiz de Montglat twierdzi, że w jakimś szczególnie burzliwym okresie stosunków króla z panną de Hautefort kardynał podsunął mu pannę Luizę de La Fayette. Ludwik „zaczął z nią rozmawiać, by zrobić na złość tamtej. Ponieważ jednak był on człowiekiem stałych przyzwyczajzeń, w miarę jak ją widywał i spotykał się z nią, nabrał do niej sympatii. Przyjaźń ta ciągle rosła i panna pozyskała wielkie fawory, które trwały przez dwa lata”. Jest wątpliwe, czy kardynał „podsunał” rzeczywiście królowi nową faworytę; z pewnością usiłował się nią posłużyć dla swoich politycznych celów.

W odróżnieniu od dorodnej blondyny Hautefort, Louise-Angélique de La Fayette była drobną brunetką. Miała reputację osoby poważnej i pobożnej, ale nie melancholijnej. Do jej mocnych stron należała zupełna bezinteresowność i niezależność od cudzych wpływów, a przede wszystkim to, że szczerze się zadurzyła w melancholijnym i „świętym” monarsze. Ludwik zaczął ją zauważać gdzieś wiosną 1635 roku; pod koniec roku wyraźnie już wypierała na dalszy plan pannę de Hautefort. W korespondencji z kardynałem król ją określał po prostu jako „Dziewczynę”, *la fille*: La Fayette miała zaledwie 16 lat. Emocjonalnie Ludwik był z nią dużo mocniej związany niż ze „Skłonnością”.

To tym niebezpieczniejsze dla kardynała, że panna de La Fayette niepokoiła go co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze, przy „Dziewczyźnie” skupił się klan zaciekłych wrogów Richelieugo z panią de Sénecey i biskupem Limoges, Franciszkiem de La Fayette. Po drugie, wnet się okazało, że nowa faworyta absolutnie nie zamierza dać się wykorzystać w roli instrumentu kardynała. Po trzecie, „Dziewczyna” nie miała politycznych ambicji, ale jej przekonania religijne nie były pozbawione politycznych implikacji. W jej poufnych rozmowach z królem odzywał cały arsenał argumentów partii Bérulle’a i Marillaka, partii dewotów: sojusze z protestantami obciążają monarsze sumienie, wojna z katolickimi Habsburgami jest moralnie niebezpieczna, wysiłek wojenny oznacza nędzę, głód, śmierć dla wielu dobrych chrześcijan... Ludwik wysłuchiwał tego wszystkiego dość spokojnie, bo i on miewał już - po klęskach 1635 i zwłaszcza 1636 roku - skrupuły sumienia.

Zacząła się tedy groteskowa zabawa w podchody wokół panny de La

Fayette. Ze względu na jej niezależne usposobienie należało działać z wielką ostrożnością. Klan pani de Sénecey zdołał ulokować przy panie de La Fayette, w roli serdecznej przyjaciółki i powiernicy, młodą dwórkę Denise d'Aiches. Kardynał miał sukces nie mniejszy: naraił faworycie jako spowiednika swą kreaturę, dominikanina Ojca Carré, i to tak zręcznie, że panna nie podejrzewała powiązań między zakonnikiem i Eminencją. Zaczynając Ojciec Carré był zaiste kreaturą w naszym rozumieniu tego słowa: nie wahał się zdradzać kardynałowi tajemnic świętej spowiedzi, a Eminencja uważał najwyraźniej, że doniosły cel polityczny uświęca obrzydliwe środki. O inteligencji panny de La Fayette świadczy to, że wnet zerwała ze szpiegującą „powiernicą” panną d'Aiches; o bystrości pani de Sénecey - że odgadła rolę Ojca Carré i nakłoniła Luizę de La Fayette, by się z nim rozstała. Kardynał musiał się odtąd kontentować donosami królewskiego kamerdynera Boissonvala, protegowanego Luizy, który się zgodził przejść na służbę Eminencji.

Od Ojca Carré Richelieu dowiedział się, w początku 1636 roku, że Luiza de La Fayette zastanawia się nad wstąpieniem do klasztoru. Oczywiście kazał natychmiast utwierdzać pannę w tak pobożnym postanowieniu. Bystra „Dziewczyna” zorientowała się, że kardynałowi na tym zależy, i jej zapal do życia zakonnego bardzo przygasł. Koteria pani de Sénecey i krewniacy Luizy wychodzili ze skóry, by ją zniechęcić do zakonnego welonu. Ludwik XIII oświadczył, że pozostawia swej „Dziewczynie” zupełną swobodę wyboru: nie zachwycała go perspektywa jej zakonnych ślubów, ale i tak zastanawiał się, czy ich związek nie jest grzeszny. Nie chciał odbierać Panu Bogu nowicjuszek, bał się narażać zbawienie miłej mu panny.

Jeśli wierzyć relacjom jednej z przyjaciółek Luizy, bardzo pomogła kardynałowi niechęć, jaką do „Dziewczyny” żywił klan królowej Anny, do którego oczywiście należała odstawiona do kąta panna de Hautefort. La Fayette narażona była na nieustanne obmowy, przytyki, brzydkie kawały, plotki i podejrzania. Oto przykład zaczerpnięty z pamiętników Laporte'a, wiernego sługi Anny Austriaczki. Jego anegdota jest wulgarna, ma wszelako tę zaletę, że nieźle ilustruje niewyszukane zabawy dworu Ludwika XIII. Laporte kwestionuje opinię o Luizie de La Fayette jako dziewczynie poważnej i pobożnej: owszem, lubiła tańczyć dla przyjemności króla, często się śmiała „przy okazji, a niekiedy nawet trochę więcej, niżby należało, bo któregoś wieczora w Saint-Germain znalazła po temu rację i śmiała się tak gwałtownie, że nasiusiła pod siebie. Długo potem siedziała nie ośmielając się powstać. Król zostawił ją więc w tej sytuacji, a królowa życzyła sobie, by się podniosła: natychmiast wtedy dostrzeżono wielką kałużę”. Wszyscy obecni zaczęli się śmiać, z wyjątkiem kilkorga osób z klanu panny La Fayette; jedna z jej protektorek oświadczyła, że to musi być sok z cytryn, które panna miała w kieszeni i zgmiotła siadając. Królowa Anna kazała Laporte'owi rzecz sprawdzić: „Zrobiłem to zaraz i powiedziałem jej, że to wcale nie pachnie cytryną”. Na dworze wnet się pojawiły zjadliwe wierszyki o wydarzeniu.

Otóż podobne nękanie królewskiej faworyty przyczyniło się ponoć w sposób decydujący do jej niechęcenia życiem dworskim i w ogóle życiem

światowym. W maju 1637 roku panna de La Fayette opuściła dwór dla klasztoru wizytek w Paryżu, na rue Saint-Antoine. Jednakże król, bardzo zgryziony jej krokiem, nie odmawiał sobie przyjemności częstych rozmów z młodą mniszką przez kratę w klasztornym parlatorium. Dla kardynała była to przykra niespodzianka: napracował się bardzo, by posłać pannę do klasztoru, tymczasem jej wpływ na opinie i sumienie króla mógł się utrwać nadal dzięki owym rozmowom przez kratę.

Gorzej: zawiódł Eminencję jego zwykły talent w wyborze ludzi. Richelieu przyjął z satysfakcją odejście królewskiego spowiednika Gordona, który nieco za mocno potępiał prowadzenie wojny, po czym wybór Eminencji padł na jezuitę, Ojca Nicolasa Caussin, autora modnych pobożnych książek. Miał on opinię człowieka niepraktycznego i kardynał był pewny, że jest pozbawiony politycznych ambicji. Zakonni zwierzchnicy Caussina ostrzegali Eminencję, że Caussin nie nadaje się na królewskiego spowiednika, ale uparł się i nie chciał ich słuchać. Pouczył starannie swego kandydata i 25 marca 1637 roku objął on obowiązki przy królu. Wnet się okazało, że wybór ten był ciężkim błędem kardynała.

Richelieu dał do zrozumienia Caussinowi, że powinien rozdzielić króla i pannę de La Fayette, tymczasem jego protegowany postanowił sprzymierzyć się z panną i zniechęcał ją do życia w klasztorze. Gdy mu się nie powiodło, zachował kontakty z eks-faworytą: jako spowiednik i króla, i panny de La Fayette wykorzystywał ich spotkania u wizytek, by urabiać po swojemu monarchę. Okazało się bowiem, że Caussin i młoda mniszka mają te same polityczne opinie: potępiają wojnę z Habsburgami, protestanckie sojusze, ucisk podatkowy ludu. Oboje pragną też skłonić króla do zgody z matką, wygnanie Marii Medycejskiej oceniają jako rzecz gorszą. Minęły już lata od śmierci Bérulle'a i Marillaka, ale duch partii dewotów odrodził się niespodziewanie, i to w niebezpiecznej bliskości przy królu. Caussin oświadczył swym przyjaciółom, że nie ma zamiaru ograniczać się do grzechów, jakie popełnia Louis de Bourbon, że pragnie też tępić grzechy Ludwika XIII. Grzechy króla uważał za dużo cięższe od grzechów człowieka prywatnego, pobożnego przecież i cnotliwego.

Wywracało to do góry nogami całą koncepcję Richelieugo, który zawsze zwalczał polityczne ambicje królewskich spowiedników. Co gorsza, Caussin był nielojalny wobec swego dostojnego protektora i zaczął spiskować z królem przeciw niemu. Gdy Ludwik XIII po raz pierwszy wstąpił do klasztoru wizytek, 30 czerwca 1637 roku, nie uprzedził o tym Richelieugo, ale Caussin o odwiedzinach wiedział z góry. Spowiednik starał się potem przekonać kardynała, że owe wizyty w klasztorze są bez znaczenia, i nie posłuchał polecenia Eminencji, by im próbował przeciwdziałać. Niepokoiły Richelieugo coraz częstsze konferencje króla ze spowiednikiem i kilkakrotnie próbował wkraczać w te narady. Aby zmylić wścibskiego ministra, „spiskowcy” postanowili udawać, że układają krótkie modlitwy (*officia*) po łacinie: gdy Richelieu wchodził, pochylali się nad nimi gorliwie. Ludwik zdobył się nawet na kalambur: te małe modlitwy (*petits offices*) - rzekł - oddają nam wielką przysługę (*grand office*). Ostatnim dzwonkiem alarmowym dla Eminencji stała się sprawa obsady biskupstwa Mans, które jesienią 1637 roku wakowało wskutek

śmierci biskupa. Ojciec Caussin namówił króla, by mianował biskupem Mans niejakiego księdza de La Ferté, jednego z jałmużników królewskich. Ludwik posłuchał tej rady i podjął decyzję bez konsultowania się z Eminencją. Czegoś podobnego nie było już od wielu lat: król uzgadniał zawsze takie nominacje z kardynałem. Richelieu, gdy się o tym dowiedział, pokazał klasę: udał kompletną ignorancję i gorąco doradził królowi kandydaturę księdza de La Ferté. Jednakże Ojciec Caussin był już u kardynała całkowicie spalony.

Niepokój Richelieugo można uznać za przesadny. Król wysłuchiwał cierpliwie, gdy Caussin krytykował kardynała i jego wojenną politykę. Podobnie wysłuchiwał innych wrogów Eminencji i przedtem, i potem. Lubił mistyfikacje i chętnie bawił się w spiskowanie przeciw kardynałowi pod osłoną łacińskich oficjów: to jego rewanż za zbytnią zależność polityczną od Richelieugo. Zapewne dostrzegał niepokój swego ministra i bawił się nim, bo w jego charakterze zawsze był niemiły rys okrucieństwa. Dodatkowej satysfakcji mogło mu dostarczać zwodzenie intryganta Caussina, jako że i dysymulację uprawiał *con amore*. O tym, by dał się przekabacić dewotom, nie mogło wszakże być mowy. Owszem, wojna rodziła skrupuły jego sumienia; ale tuż po klęsce Ojca Caussin uspokoił je wspomnianą decyzją o oddaniu Francji pod osobliwą protekcję Panny Marii. Wszystkie ważne decyzje absolutnych królów Francji kończyła tradycyjna formuła: *car tel est notre bon plaisir*, bowiem tak nam się podoba. „Dwadzieścia lat temu - pisze Tallemant - król wymyślił sobie, że powinien królestwo oddać w opiekę Pannie Najświętszej, i w deklaracji, którą ogłosił, umieścił następujące zdanie: «Aby wszyscy nasi mili poddani poszli do rajów, bowiem tak nam się podoba». Piękny dokument tymi właśnie słowami zakończył”.

Ostatni wielki atak Ojca Caussin nastąpił 8 grudnia 1637 roku: król powtórzył wszystko Chavigny'emu, a ten spisał notę dla kardynała. Otóż jezuita palnął swemu Najjaśniejszemu penitentowi kazanie, w którym rzucił na jego głowę i sumienie odpowiedzialność za sześć tysięcy kościołów spalonych w Niemczech przez heretyków, jego aliantów; za gwałty i mordy popełniane przez Szwedów; za los jego matki, której grozi głód na wygnaniu; za chęć zawarcia sojuszu z Turkami przeciwko niemieckim katolikom... Król odrzekł, nie speszony, że bardo by chętnie widział sułtana w Madrycie, co by zmusiło Hiszpanów do zawarcia pokoju z Francją, a potem połączyłby swe siły i siły Hiszpanii w walce z Portą. Caussin oskarżał Richelieugo o tyranie, o przekupywanie jezuitów, by konsultowali króla zgodnie z jego życzeniami, a nawet o zalecanie się do królowej Anny! Najogólniej wypada powiedzieć, że w swym kazaniu zacny Ojciec był *mal inspiré*. Posiał jednak niepokój w królewskim sumieniu, malując Ludwikowi ucisk podatkowy i nędzę ludu, grożąc mu utratą afektu poddanych i, na koniec, wzywając do szybkiego zawarcia pokoju.

Gdy następnego dnia Richelieu dowiedział się o tej scenie, nastąpiła w Rueil niemiła scena numer dwa: wyjaśnienia pomiędzy jezuitą i Eminencją. Przerwało je przybycie króla. Kardynał kazał Caussinowi wracać do Paryża; bez większego wysiłku zbił jego argumenty w rozmowie z

Ludwikiem, który najwyraźniej pragnął być przekonany. Oczywiście konsekwencją takiego zakończenia afery musiało być oddalenie Caussina z dworu. Jezuita został wygnany do dalekiej Bretanii. Król oświadczył Contariniemu, że od dawna już wiedział, iż jego spowiednik „zszedł z dobrej drogi, gdyż był całkiem [pro]hiszpański”. Następca Caussina, jezuita Sirmond, zachowywał się już bardzo potulnie. Co się zaś tyczy panny de La Fayette, król już wcześniej dał jej do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmawiać z nią o polityce.

Zanim jeszcze odparty został ten ostatni szturm dewotów, Ludwik XIII musiał spacyfikować własną żonę. Latem 1637 roku eksplodowała bowiem tak zwana afera listów hiszpańskich, znana też pod nazwą „afery Val-de-Grâce”. Wspominaliśmy już o obfitej korespondencji z zagranicą, jaką prowadziły dwie stare przyjaciółki, Anna Austriacka i pani de Chevreuse, wciąż nudząca się w Couzières. Laporte, który był przy tej korespondencji głównym poczmistrzem i którego wpadka rzecz ujawniła, pomniejsza wagę całej afery. Tłumaczy w swych pamiętnikach, że w gruncie rzeczy chodziło o sprawy rodzinne: królowa Anna bała się, że Richelieu skłoni króla do rozwodu z nią pod pretekstem braku dzieci, spowoduje jej haniebne odesłanie do Madrytu, potem zaś ożeni króla ze swą siostrzenicą Combalet... „To już był taki zwyczaj Jego Eminencji, że błahostki (*choses de rien*) przedstawiał jako wielkie konspiracje”. Ale ten sam Laporte nie ukrywa, że przez wiele lat królowa pisywała listy do dawnego ambasadora Hiszpanii w Paryżu Mirbela, który bawił w Brukseli; do braci - Filipa IV i kardynała-infanta Don Fernanda; do księcia Lotaryńskiego; póki żyła - także do infantki Izabeli. Królowa komponowała listy po hiszpańsku, Laporte je szyfrował (on też rozszyfrowywał odpowiedzi), a zachowanie tajemnicy udawało się długo, bo przestrzegano wielkich środków ostrożności. Szyfrowany tekst Laporte wpisywał między wierszami „zupełnie niewinnego wywodu” sympatycznym atramentem. Osobliwe, że zadawano sobie tyle trudu, aby przesyłać za granicę *des choses de rien*.

W rzeczywistości jednak nie chodziło o błahostki: w tym miejscu Laporte łąał jak z nut. Twierdził on, że w „hiszpańskich listach” królowej nie było niczego „przeciwko królowi i Państwu”, że co najwyżej znajdowały się w nich szyderstwa z Jego Eminencji. Sama Anna Austriaczka przyznała się, iż - jak mówił kardynał „było tam więcej”. A środki ostrożności zawiodły, bo w imprezę wplątano mnóstwo różnych osób. W korespondencji między królową i panią de Chevreuse pomagali Anglicy, Craft i Montagu, a dalej: młody pan de Marsillac, znany potem jako pan de La Rochefoucauld, autor *Maksym*; szlachcic z Poitou de la Thibaudière; *bourgeois* z Tours, Chenetier - i inne jeszcze osoby. Obie damy korespondowały z Londynem za pośrednictwem lorda Montagu i hrabiego Crafta. Listy do Lotaryngii wędrowały poprzez szwagierkę pani de Chevreuse, Odetę de Jouarre, do hiszpańskich Niderlandów dzięki usłudze pana Augera z angielskiej ambasady w Paryżu. „W ten sposób - pisze Laporte - królowa miała wiadomości ze wszystkich stron, i to tak, że tego nie dostrzegano”.

Do czasu! Kardynał kazał obserwować wszystkie kontakty między królową i panią de Chevreuse w Couzières; król miał na oku Laporte'a i

podejrzewał go o intrygowanie do spółki z królową. Jeden ze wspomnianych pośredników, de La Thibaudière, okazał się konfidentem Chavigny'ego, a zatem i uchem kardynała. Jak twierdzi Laporte, ludzie Eminencji złapali wreszcie list królowej do Mirbela, „w którym były takie sformułowania, że bardzo rozgniewały króla”. Wobec podejrzeń, że list przeszedł przez ręce Laporte'a, król kazał go aresztować. Aby zaś złapać go na gorącym uczynku, wciągnięto do intrygi pana de La Thibaudière i wzięto Laporte'a, gdy miał ukryty w ubraniu list królowej do pani de Chevreuse. Miał go właśnie przekazać Thibaudière'owi udającemu się do Tours. Królewscy muszkietierowie przeprowadzili operację bardzo zgrabnie. Złapano Laporte'a na rogu ulic des Vieux Augustins i de la Coquillière, wrzucono do karety i zawieziono do Bastylji. Został osadzony w ciemnicy, w której przedtem siedział stracony już alchemik Dubois, specjalista od zamiany ołowiu na złoto. Nie znaleziono jednak podczas rewizji w jego mieszkaniu kluczy do szyfrów i innych ważnych papierów: ukrył je dobrze, w dziurze zręcznie zalepionej, a mieszczącej się w kącie okna. Być może wyobrażenia literatury o niebywałej fachowości „policji kardynała” są nieco przesadzone. Także przejęty list królowej do pani de Chevreuse sprawił Eminencji zawód: nie było w nim żadnych rewelacji.

Aresztowanie Laporte'a miało miejsce 12 sierpnia 1637 roku. Następnego dnia wieczorem wywieziono go z Bastylji: był pewien, że jedzie na stracenie, ale wysadzono go w Palais-Cardinal. Richelieu przesłuchiwał go przez prawie pięć godzin. „Dał mi do zrozumienia - pisze Laporte - że jeśli zgodzę się powiedzieć to, czego sobie życzył, zapewni mi taką fortunę, iż ludzie mojego stanu będą mi zazdrościć”. Stosował też stare prokuratorskie podstępny: Anna Austriaczka już i tak wszystko wyznała, Laporte ma tylko potwierdzić jej słowa... Gdy delikwent się opierał, Richelieu groził mu procesem: „A to pójdzie bardzo szybko, jako że chodzi o interes Państwa i służbę dla króla”. Apelował też do rojalizmu: obowiązki wobec króla mają pierwszeństwo przed lojalnością wobec królowej, Laporte musi być posłuszny monarsze „gdyż urodził się Francuzem”. Wreszcie kardynał udowodnił swemu gościowi kłamstwo: Laporte nie wiedział, że La Thibaudière jest na usługach rządu, i bezskutecznie wypierał się kontaktów z konfidentem Chavigny'ego. Nazajutrz więzień napisał list do królowej Anny, dość zabawny: pytał, co ma mówić swym inkwizytorom, oświadczył, że jeśli będzie to konieczne ze względu na służbę dla niej, „powie, co wie, chociaż przecie nic nie wie”. Dostał odpowiedź, że ma mówić całą prawdę, na co oświadczył, że list królowej wydaje mu się podejrzany (wręczył mu go kanclerz Séguier, a list był otwarty). Domagał się, by Anna przekazała mu rozkazy przez osobę budzącą zaufanie.

Ponieważ się upierał, oddano jego sprawę samemu Laffemasowi, którego Laporte określa jako „wielkiego szubienicznika Francji”. To był specjalista od krzyżowych przesłuchań („Przepytawał mnie o setki drobiazgów, aby mnie zapłatać”). Podobno królowa znalazła sposób - dzięki zręczności panny de Hautefort - by go poinformować, co rząd wie o jej korespondencji. Ostatecznie Laporte tylko do tego się przyznał, co kardynał i tak już wiedział. Laffemas groził mu torturami, ale nie wydusił z niego nic więcej. Po sześciu tygodniach „wyjęto” go z izolowanej ciemnicy

i, jak powiada, „korzystał ze swobód Bastylji”: przechadzał się po twierdzy, miał prawo do kontaktów ze światem zewnętrznym. Opisywał swe spotkania ze sławnymi więźniami Bastylji: marszałkiem de Vitry, kawalerem de Jars, marszałkiem de Bassompierre („który ciągle opowiadał o swych amorach i zalecał się do uwięzionej również panny de ***”), z lekarzem Medyceuszki Vautierem, studiującym w więzieniu astronomię... Wyszedł po dziewięciu miesiącach i został wygnany do Saumur, ale ujęty jego wiernością Richelieu próbował go wziąć na swoją służbę i robił mu przez pośrednika ponętne propozycje.

Sprawa Laporte'a skończyła się łagodnie, bo królowa przyznała się i upokorzyła. 14 sierpnia król posłał jej z Saint-Germain polecenie, by się udała do zamku w Chantilly: chodziło o jej odseparowanie od otoczenia. Przybyła tam 12 sierpnia. Wiedzano, że królowa dużo czasu spędza w założonym przez siebie paryskim klasztorze benedyktynek, Val-de-Grâce: król i kardynał podejrzewali, że pod pretekstem pobożnych praktyk pisze tam swoje „hiszpańskie listy” i spotyka się z pośrednikami korespondencyjnych kontaktów. Kanclerz Séguier z udziałem arcybiskupa Paryża zrobił nalot na klasztor i przeprowadził rewizję, której rezultaty były nikłe. Przeorysza, Luiza de Milly, wyparła się wszystkiego, nie rozproszyła jednak podejrzeń, tym cięższych, że pochodziła z hiszpańskiej prowincji Franche-Comté, a jej brat był gubernatorem w stolicy tej prowincji, Besançon. Arcybiskup natychmiast odebrał jej godność przeoryszy, a kanclerz kazał ją wywieźć z klasztoru. Nową przeoryszą została krewniaczka Richelieugo, panna de Pontchâteau. Ale papiery znalezione w Val-de-Grâce nie miały większej wartości. Poza listem do Mirbela i bystrym a upartym w milczeniu Laportem król i kardynał niewiele mieli w garści.

No, była jeszcze królowa. Z depeszy posłów weneckich wynika, że przesłuchiwał ją w Chantilly pan de Chavigny i nic nie wskórał. Laporte twierdził, że kanclerz Séguier pokazał Annie przejęty list do Mirbela. „Jej Królewska Mość chciała go zatrzymać i ukryła go na piersi, ale że pan kanclerz zapragnął go stamtąd odebrać, sama list mu oddała”. Nie jest jasne, czemu wiedząc o przejęciu tego listu upierała się przy twierdzeniach, że korespondowała tylko z panią de Chevreuse. Trudno przyjąć, że Laporte się mylił pisząc o liście do Mirbela i że rząd przejął - jak niekiedy twierdzono - list od Mirbela, w którym była tylko wzmianka o liście królowej, na który odpowiadał, prosząc zarazem, by mu odpisała. Być może Anna rozważała możliwość potraktowania nieszczęsnego listu jako falsyfikatu: w końcu nie był to chyba tekst własnoręczny. W pamiętnikach hrabiego de Brienne jest relacja o rozmowie autora z królową: hrabia pytał, czemu nie stwierdziła, że chodzi o falsyfikaty, i dostał odpowiedź, że naraziłaby na tortury „osobę, której list powierzała”. To znaczy Laporte'a.

Tak czy inaczej, z początku chciała zaprzeczać. 15 sierpnia było to wielkie święto - przyjęła komunię, po czym przysięgła na święty sakrament, przed swym sekretarzem panem Le Gras, że nie korespondowała z zagranicą. Powtórzyła tę przysięgę przed królewskim spowiednikiem Caussinem. Chodziło jej o to, by Le Gras i Caussin poinformowali Richelieugo o tych przysięgach. Jak pisał potem sam

Richelieu, dwa dni później Le Gras zaaranżował jego spotkanie z królową, do czego kardynała zobowiązał podobno sam król. Teraz Anna przyznała się do korespondencji z Hiszpanami, ale twierdziła, że pisała tylko o sprawach rodzinnych, „Było tam więcej, Madame” - przerwał jej kardynał. Kazała wówczas wyjść świcie i przyznała się do różnych politycznych machinacji, zdając się zarazem na dobroć kardynała... Król zażądał spisania tych zeznań. „Między innymi - stwierdzała królowa - wyrażałam niekiedy niezadowolenie z mojej sytuacji; pisałam do markiza Mirbela i dostawałam od niego listy: były tam sformułowania, które musiałyby sprawić przykrość królowi. Doniosłam markizowi Mirbelowi, że mówi się o układzie z księciem Lotaryngii, aby na to uważał. Wyznałam mój niepokój z tego powodu, że się mówi, iż Anglicy dogadają się z Francją zamiast pozostać po stronie Hiszpanii. List, który został powierzony Laporte'owi, miał być zawieszony do pani de Chevreuse; była w nim wzmianka o wizycie, którą wspomniana pani de Chevreuse pragnęła mi złożyć incognito”. Na koniec tego wyznania - trudno je uznać za kompletne - królowa obiecywała, że już się to nie powtórzy.

Bez wątpienia cała ta afera była dla Anny Austriaczki ciężkim przeżyciem. Laporte twierdził, że przez dwa dni nic nie piła i nie jadła, że cierpiała na duszności i trzeba było dwa razy puszczać jej krew. W pamiętnikach pana de La Rochefoucauld jest wzmianka o tym, że Anna proponowała mu zorganizowanie ucieczki do Brukseli: oprócz królowej pojechałaby też panna de Hautefort. La Rochefoucauld twierdzi, że miał wielką ochotę zrobić taki figiel królowi i kardynałowi, ale nic z tego nie wyszło, gdyż królową ostatecznie uwolniono od winy (!).

Depesze dyplomatów stwierdzają, że Richelieu wystąpił jako mediator i złagodził złość króla. Racja stanu nie pozwalała eksploatować przesadnie całej historii z „listami hiszpańskimi”; rozwód z królową nie wchodził w grę (papież nigdy by się na to nie zgodził), zaś separacja z Anną ostatecznie rujnowałaby nadzieje na urodziny delfina. Toteż na wyznaniu Anny znalazł się dopisek króla: przeczytał tę szczerą (ejże!) spowiedź, deklaruje, że chce zapomnieć o tym, co zaszło, i żyć z królową „jak dobry król i dobry mąż”. Królewski pardon nie był jednak bezwarunkowy: zakazał żonie korespondencji z panią de Chevreuse i z kimkolwiek innym bez jego wiedzy, zabronił jej wizyt w klasztorach, chyba że za jego zgodą, wzmocnił swą kontrolę nad jej otoczeniem. Anna uznała, jak się zdaje, że w porównaniu z groźbą unieważnienia małżeństwa i odesłania jej do Hiszpanii - restrykcje te są dość niewinne. Prawdopodobnie uznała rolę kardynała w całej aferze za korzystną dla niej i życzliwą. Zapewne domyślała się, że Richelieu obserwuje jej poczynania bardzo uważnie. To prawda, w jej otoczeniu nigdy nie brakowało przyjaciół kardynała i zwykłych szpiegów. Teraz na pierwszy plan wysunęli się hrabiostwo de Brassac. On w szyfrze nosił miano Jasmin, ona - Aminthe. W szyfrowanych listach informowali Richelieugo (Marc-Antoine) o działaniach królowej Anny (Diane) i jej stosunkach z królem (Alexandre). Kilka lat później, gdy konspiracja pana de Cinq-Marsa doprowadziła Richelieugo na krawędź przepaści, Anna Austriaczka przyczyni się do miażdżącego sukcesu Eminencji nad spiskowcami. Nie polubiła oczywiście kardynała, broń Boże, ale uważała,

że rozważa nakazuje liczyć się z nim poważnie i nie narażać się mu nieostrożnie.

Afera Val-de-Grâce została zamknięta pojednaniem królewskiej pary; pozostała jeszcze do załatwienia sprawa pani de Chevreuse. Richelieu za pośrednictwem niejakiego księdza Dorata usiłował skłonić ją do kompletnej spowiedzi obiecując przebaczenie króla. Dama najpierw zaprzeczyła wszystkiemu, potem, w końcu sierpnia, złożyła wyznania bardzo fragmentaryczne. Prosiła przyjaciół w Paryżu o sygnał, gdyby groziło jej aresztowanie: panicznie bała się więzienia. Panna de Hautefort miała jej posłać modlitewnik z okładką zieloną, jeśli sprawy pójdą dobrze, z okładką czerwoną - gdyby musiała się ratować przed aresztowaniem. Dostała 5 września książeczkę oprawioną na czerwono. La Rochefoucauld twierdził w swych pamiętnikach, że była to jakaś pomyłka, że uległa fałszywemu alarmowi. To wątpliwe: ponoć wnet po modlitewniku dotarł do niej ostrzegawczy list Anny. Zapewne królowa i panna de Hautefort uwierzyły fałszywym pogłoskom o zamierzonym aresztowaniu diuszesy. Pani de Chevreuse natychmiast uciekła z Couzières. Zrobiła to wedle klasycznego dumasowskiego wzoru: w męskim czarnym stroju, z blond peruką kryjącą czarne włosy i wielkim bandażem na czole. Bardzo jej pomógł pan de La Rochefoucauld, którego zamek w Verteuil znalazł się na szlaku ucieczki. Miał on wtedy 24 lata, nosił nazwisko de Marsillac i zaliczał się do bardzo dużego grona amantów diuszesy. Po prawie dziesięciu dniach i wielu perypetiach pani de Chevreuse przekroczyła granicę hiszpańską w Pirenejach. Z Hiszpanii wiosną 1638 roku przeniosła się na teren neutralny, do Londynu, skąd łatwiej było negocjować o powrót do kraju. Ponieważ wynik rokowań z kardynałem jej nie zadowolił, została w Anglii (powróci dopiero po śmierci ich obu, kardynała i króla).

Zrobiła ze swej rezydencji w Londynie wielki ośrodek intryg politycznych i opozycji. Jesienią 1638 roku ściągnęła tu Marię Medycejską, intrygowała do spółki z całą „antykardynalską” emigracją francuską w Anglii (byli tu m.in. Soubise, Le Coigneux, diuk de La Valette). Wspierała w 1641 roku rebelię hrabiego de Soissons (pomagała mu w zaciągach najemników), była w serdecznych stosunkach z hiszpańskim ambasadorem w Londynie, pisała listy do Olivaresa. Podtrzymywała wojenny zapal Hiszpanów, przekonując ich o słabościach Francji (król i kardynał już ledwie zipią, opozycja wewnętrzna jest potężna...). Doszło do tego, że jeden z agentów Richelieugo do kontaktów z diuszesą de Chevreuse żalił się, iż nie może nawet wymienić jej nazwiska, nie powodując ataków furii kardynała.

Wszelako wyjazd pani de Chevreuse miał tę dobrą stronę, że ułatwił poprawę stosunków między królem i królową. Ludwik zapewnił żonę, likwidując aferę Val-de-Grâce, że chce być dla niej „dobrym królem i dobrym mężem”. I rzeczywiście: w następnych miesiącach król, pozbawiony towarzystwa panny de La Fayette i nękanym humorami panny de Hautefort, nieco częściej spotykał się z żoną, a nawet wchodził do małżeńskiego łóża. Anna miała już 36 lat; Ludwik nie tracił jednak nadziei, że po pięciu nieudanych ciążach urodzi mu jeszcze dziedzica. Para królewska odbywała w latach trzydziestych intensywne kuracje w

uzdrowisku Forges, słynnym ze wzmacniających wód leczniczych. Wzywała na pomoc świętego Norberta, który - nim się ustatkował - słynął z niezwyklej płodności i uchodził za najlepszego orędownika w tej materii. Anna Austriaczka szczerze opłacała modły o syna, które zanosily jej ulubione benedyktyunki z klasztoru Val-de-Grâce. Skuteczność tych modłów do dziś dnia potwierdza jeden z najpiękniejszych kościołów Paryża: wdzięczna Anna ufundowała kościół Val-de-Grâce, zaprojektowany przez wielkiego Mansarta.

To zabawne, że przy wszystkich owych staraniach szczęśliwe poczęcie delfina - przyszłego Ludwika XIV - było dziełem klasycznego przypadku. Ludwik-Bożydar (Louis-Dieudonné), bo tak nazwano następcę tronu, to, można by rzec, chłopiec z deszczu. Ludwik XII, który nie potrafił siedzieć długo w tym samym miejscu, wyjechał 5 grudnia 1637 roku z Wersalu i pragnął przenocować w nie istniejącym już (rozebrany w latach Rewolucji) zamku w Saint-Maur. Przejeżdżając przez Paryż (Saint-Maur leży na wschód od stolicy) odwiedził pannę de La Fayette w klasztorze wizytek. Gdy już miał ruszyć w dalszą drogę, zaskoczyła go straszliwa ulewa. Kapitan gwardzystów królewskich pan de Guitaut, ulubieniec króla, nie miał ochoty telepać się w tym potopie aż do Saint-Maur i zrećnie namówił króla na przenocowanie w Luwrze, gdzie już zainstalowała się na zimę królowa Anna. A ponieważ apartamenty króla nie były przygotowane na jego przyjazd, więc Ludwik spędził noc w sypialni swej żony. Dokładnie dziewięć miesięcy później, 5 września 1638 roku, urodził się w Saint-Germain przyszły Ludwik Wielki.

Kardynał nie był obecny przy tym wydarzeniu: król polecił mu zostać na froncie pikardyjskim, gdzie trzeba było popędzać generałów, ślamazarnie oblegających trzymaną przez Hiszpanów twierdzę Catelet. Król uważał, że bez obecności jednego z nich dwóch całej armii pikardyjskiej grozi pójście w rozsypkę. Tak więc wiadomość o urodzinach delfina dotarła do kardynała w Saint-Quentin. Zarządził zaraz *Te Deum* i posłał szczęśliwym rodzicom bardzo radosne gratulacje. W liście do królowej, nader zwięzłym („wielkie radości nie są wymowne”), wyrażał przekonanie, iż Bóg dał jej syna po to, by całemu chrześcijaństwu przyniósł on uspokojenie konfliktów i błogosławieństwo pokoju. No, nie było to udane prorocstwo.

Czy miał powody do radości? Oczywiście tak. Urodziny delfina umacniały Koronę, pobudzały w społeczeństwie nastroje rojalistyczne, obiecywały złagodzenie „melancholii” Ludwika XIII, którego autorytet bardzo się utwierdzał. Prawda, że opozycja szerzyła paskudne plotki odmawiające mu satysfakcji ojcostwa: jako prawdziwego ojca delfina wymieniano między innymi kardynała Richelieu. Wszystko to bzdury. Gdy w 1640 roku Anna urodzi drugiego syna (to przyszły Filip książę Orleański, postać wielce malownicza), nawet złośliwe języki opozycjonistów będą musiały pofolgować.

Nie bez znaczenia było i to, że nieznośny wichrzyciel i mitoman, Gaston Orleański, tracił status następcy tronu. Chavigny raportował kardynałowi, jeszcze w dniu urodzin delfina, że Gaston „całkiem osłupiał, gdy Madame Péronne [akuszerka] wykazała mu argumentami fizykalnymi (!), iż królowa urodziła syna”. Pojawiał się wszelako zupełnie nowy problem: co by

nastąpiło w przypadku śmierci Ludwika XIII? Właśnie na kilka dni przed rozwiązaniem królowej Ludwik miał krótki, ale ostry atak choroby, z tak wysoką gorączką, że się już o niego zaczęto niepokoić. Cierpiał na chorobę wówczas nieuleczalną, gruźlicę płuc i jelit, która niszczyła go powoli. Należało się zatem liczyć z bardzo długą regencją, i rzeczywiście: gdy zmarł, Ludwik XIV nie miał jeszcze pięciu lat. Kto miałby sprawować regencję - to był problem nurtujący dworską elitę, jakkolwiek trudno było, rzecz prosta, dyskutować o tym głośno. Czy regentką będzie Anna Austriaczka? Czy obejmie regencję, mimo wszystko, Gaston? A może kardynał Richelieu: rozegra tę partię tak zgrabnie, że z wolą króla i zgodą królowej utrzyma rządy królestwem, choćby bez tytułu regenta, który formalnie przypadnie królowej? Wynikną wokół tych pytań nowe intrygi. A uspokoi je dopiero śmierć kardynała, która zastanie króla w nie najgorszym - pozornie - zdrowiu.



RICHELIEU-LA-GUERRE

W latach pierwszej wojny światowej wojowniczy prezydent Republiki Francuskiej Raymond Poincaré otrzymał przydomek Poincaré-la-Guerre. Jeden z historyków XVII wieku przeniósł ten przydomek na kardynała Richelieu. Wiele też pisano o „reżimie wojennym”, jaki Richelieu rzekomo narzucił Francji; niektórzy entuzjaści kardynała porównywali jego rządy w latach 1635-42 do jakobińskich środków ocalenia publicznego. Królewska Rada stawała się niemal prototypem Komitetu Ocalenia, Eminencja - Robespierrem w czerwonej sutannie, intendenci - przodkami komisarzy Konwencji... Te porównania, całkiem nie uprawnione, wywoływać miały przychylne reakcje Francuzów, wrażliwych na dokonania ich Wielkiej Rewolucji. Sprofanowanie grobu kardynała w grudniu 1793 roku starano się pokazać jako tragiczną pomyłkę rewolucjonistów, którzy nie pojęli historycznej wielkości Richelieu. Warto będzie jeszcze powrócić do tej kwestii.

Stwierdźmy na razie, że Richelieu-la-Guerre ogromnie lubił mówić o pokoju, prowadzić sekretne negocjacje pokojowe, modlić się o pokój i wyklinać tych, którzy przywróceniu pokoju przeszkadzają. Ale uwaga! Ów pokój Richelieu - to pokój „dobry”, „honorowy”, „trwały”, „generalny”. A więc nie chodzi o układ remisowy: nie po to zaczynaliśmy wojnę, aby rezygnować z aneksji. Pignerol i Lotaryngia to nasze minimalne żądania; a są jeszcze interesy sojuszników!

Już na początku wojny Richelieu stwierdzał: „Królewska Rada Francji nie ma innego celu, jak tylko osiągnąć bezpieczny i honorowy pokój zawierając go razem ze wszystkimi sojusznikami... Nie będzie żadnych rozmów o sekretny układ między dwoma królami [sc. Francji i Hiszpanii]”. Owszem, Francja wyraziła zgodę na papieską inicjatywę kongresu pokojowego w Kolonii. Od października 1636 roku czekał tam bezskutecznie legat papieski Ginetti; w 1637 roku dołączyli się doń dwaj doradcy cesarza i kanclerz hiszpańskiego księstwa Mediolanu: ciągle

jednak brak było Francuza. Richelieu mógł się wygodnie skryć za wymienionym już motywem: nie będzie rokował bez swoich sojuszników! Tymczasem zaś papież nie dopuszczał myśli, by protestanci mieli zasiadać przy stole obrad na równych prawach z władcami katolickimi, Hiszpania wciąż nie uznawała Republiki Zjednoczonych Prowincji, cesarz skłonny był uważać wojujących z nim książąt protestanckich za buntowników, nie za równorzędnych partnerów rozmów pokojowych.

Toczyły się też bizantyńskie spory o formy paszportów i plenipotencji. W lutym 1637 roku zmarł cesarz Ferdynand II i jego następcą został Ferdynand III, który jeszcze za życia ojca miał olbrzymi wpływ na cesarską politykę: sytuacja w Rzeszy nie zmieniła się więc wskutek tego wydarzenia. Jednakże Richelieu uznał, że wygodnie będzie nie uznawać Ferdynanda III jako nowego władcy Rzeszy. Francuzi trąbili więc, że jego wybór na króla Rzymian, dokonany jeszcze w grudniu 1636 roku, jest nieważny: nie uczestniczyli bowiem w akcie wyborczym wszyscy elektorzy, brak było uwięzionego arcybiskupa Trewiru, zaś palatyna reńskiego nielegalnie zastąpił uzurpator, książę Bawarii. Dawniej Francja obiecywała uznać ten awans księcia bawarskiego, ale teraz przyłączył się on definitywnie do cesarza... Ostatecznie więc Francuzi skłonni byli przyznać Ferdynandowi III tytuł króla Węgier - bo to dziedziczny tytuł Habsburgów - ale nie króla Rzymian, pana Rzeszy. Zapowiadali, że swym wysłannikom dadzą tylko plenipotencję do rokowań z „królem Węgier”. Z kolei Hiszpanie zastrzegli, że nie dadzą delegatom Holandii paszportów na przejazd do Kolonii przez terytorium hiszpańskich Niderlandów. Za tymi dąsami i grymasami kryje się brak dobrej woli: wojujące państwa, a ściślej ich rządy, nie widzą dostatecznych powodów, by ta ambarasująca wojna już się naprawdę miała skończyć.

Co innego, gdyby przeciwnik zmiękł i ustąpił. Na wszelki więc wypadek utrzymywane są poufne kontakty. Ambasador Francji w Rzymie, marszałek d'Estrées, rozmawia z ambasadorem cesarza; wiosną 1638 roku do Wiednia pojedzie dobrze tam znany pan de Saint-Georges. W stronę Hiszpanii zwraca się Richelieu za pośrednictwem osób duchownych: do Madrytu pojechał włoski ksiądz Cenami, później zakonnik Ojciec Bachelier. Na wiele lat nieoficjalnym pośrednikiem w kontaktach francusko-hiszpańskich stał się niejaki baron de Pujols. Jego patronem był brat Wiktora Amadeusza, książę Tomasz Sabaudzki, kondotier w hiszpańskiej służbie, i w interesach tego wroga Francji Pujols znalazł się w Madrycie. Miał dostęp do Olivaresa, który go polubił, i zdecydował się wystąpić w roli pośrednika między Olivaresem i kardynałem Richelieu. Rozwinęła się ożywiona sekretna korespondencja między panem de Pujols a rządem francuskim, który postanowił wykorzystywać ów kanał, choć Richelieu nie traktował tego pośrednika zbyt serio.

Wiosną 1638 roku do hiszpańskich Niderlandów udawał się niejaki don Miguel de Salamanca: miał objąć w Brukseli wysokie stanowisko przy kardynale-infancie. Dostał paszport na przejazd przez terytorium Francji. To już nie jakiś pokątny agent w rodzaju Pujolsa, ale konfident Olivaresa, dostojnik hiszpańskiej Korony. W połowie maja Richelieu spotkał się z nim, w najgłębszej tajemnicy, poza Paryżem, w jednym z kościołów w

Compiègne. Wymieniono ponoć mnóstwo uprzejmych słów, ale w sprawach zasadniczych nie doszło do żadnego zbliżenia. Gadano przez całe dwa dni i niczego nie ustalono. Richelieu upierał się przy swoich warunkach: chciał zatrzymać Lotaryngię i Pignerol, mówił o pokoju „generalnym”, to znaczy nie zamierzał porzucać swych protestanckich sojuszników. O, nie dlatego, że honor nie pozwalał na taką niełojalność: w 1626 roku, przy zawieraniu z Hiszpanami układu monzońskiego, Eminencja przecie bez skrupułów oszwabił swoich aliantów! Teraz jednak Francja zaangażowała się w wielką grę. Za parawanem gadania o groźbie habsburskiej „monarchii uniwersalnej” kryła się chęć złamania potęgi Habsburgów i stworzenia nowego systemu równowagi politycznej, z Francją w roli jej regulatora. Pignerol i Lotaryngia ta widome symbole zwycięstwa króla Ludwika XIII, poza tym jednak należało osłabić przeciwnika przez wyraźne korzyści aliantów Francji. Im więcej wyrwą Habsburgom, tym lepiej dla Francuzów. Na tym ma polegać ów „dobry”, „generalny” pokój.

Ale hrabia-książę de Olivares także pragnie wyjść na swoje. Potrafi kryć swe intencje za pozorami wielkoduszności: gdy Richelieu rzekł don Miguelowi de Salamanca, że pokój można by podpisać gdzieś na pirenejskiej granicy, dostał odpowiedź, iż Olivares pragnąłby go zawierać w Paryżu, a dokładnie w Palais-Cardinal! To piękny przykład kastylijskiej grzeczności. Ale Olivares także chce „dobrego” pokoju, który by umocnił pozycję Hiszpanii i upokorzył jej wrogów. W jakiejś chwili szczerości rzekł ambasadorowi Wenecji w Madrycie: „Mój władca nie życzy sobie ani pokoju, ani rozejmu z Francją; chce kontynuowania wojny i postara się doprowadzić ją do dobrego zakończenia, ponieważ to Francuzi ją zaczęli”. Przy takim usposobieniu obu stron rozmowy w Compiègne niczego dać nie mogły: obaj rozmówcy zgadzali się tylko co do tego, że pięknie byłoby połączyć siły chrześcijaństwa przeciw potędze tureckiej...

A zatem wniosek, który wyciąga Richelieu, jest oczywisty: trzeba wzmóc wysiłek wojenny i utrwalać, a jeśli się da, to i rozszerzać antyhabsburską koalicję. To ważne, ale i trudne zadanie, bo wśród aliantów i neutralnych Richelieu nie jest lubiany: ściągnął na siebie nieufności, obawy, także i osobiste animozje.

Oxenstierna nie ufał mu wcale. Wojska szwedzkie skupiły się na operacjach w Niemczech północnych, nękały skutecznie przeciwników i pustoszyły nieszczęsne Niemcy. Wszelako Oxenstierna chętnie zawarłby odrębny pokój z cesarzem, gdyby układ taki zapewniał Szwedom Pomorze Zachodnie. Właśnie w 1637 roku zmarł ostatni z rodu książąt zachodniopomorskich, Bogusław XIV. Do spadku po nim obok Szwecji aspirował elektor brandenburski, który już zdążył pogodzić się z cesarzem. Gdy nadzieje Szwedów na uznanie ich panowania nad Pomorzem przez Ferdynanda III zawiodły - otworzyła się szansa zacieśnienia aliansu Francji ze Szwecją, pozbawionego formalnych podstaw po załamaniu się układu z Compiègne. Nowy traktat zawarł ze Szwedami w Hamburgu (5 III 1638) zdolny dyplomata hrabia d’Avaux: miał on obowiązywać przez trzy lata i przywracał francuskie subsydia dla Szwecji w wysokości jednego miliona. Szwedzi rozumieli, że tylko wyraźne sukcesy militarne zapewnią im

upragnione panowanie nad Pomorzem. Richelieu i Ojciec Józef snuli już wielkie plany połączonej ofensywy: Szwedzi przez Saksonię, Francuzi przez dolinę Dunaju uderzyliby w samo serce habsburskiej monarchii. Istotnie, w następnych latach doszło do pierwszych prób strategicznego współdziałania wojsk szwedzkich i francuskich w środku Niemiec, jednakże rezultaty były skromniejsze od oczekiwanych.

Niepokoili kardynała nieustanne próby Hiszpanów, by skaptować dla sprawy pokoju Zjednoczone Prowincje, a ściślej, opanowane przez pacyfistyczną wielką burżuazję Stany Generalne, parlament Republiki. Odzyskanie Bredy przez Holendrów w 1637 roku było wielce kosztowną operacją, toteż pod koniec roku Francja zawarła z Holendrami nową konwencję wojskową: sute subsydia miały podtrzymać zapal wojenny sojuszniczej Republiki. Ustalono cele ataków obu stron w hiszpańskich Niderlandach, ale i tu oczekiwania były większe od militarnych rezultatów.

Ostatecznie jednak Richelieu zdołał utrzymać alianse ze Szwecją i Holandią, co dodało ducha, mocno już nadwątlonego, niemieckim księżętom protestanckim nadal wojującym z cesarzem. Dużo gorzej przedstawiały się sprawy włoskie i szwajcarskie. W Italii było tak źle, że część elity władzy - m.in. Bullion i dowodzący tam marszałek de Créqui - opowiadała się za zawieszeniem działań wojennych na włoskim teatrze operacyjnym. To Ojciec Józef i Sublet de Noyers skłonili Richelieu do dalszego wykrwawiania sił francuskich we Włoszech.

Najpierw, we wrześniu 1637 roku, zmarł książę Mantui, Charles de Nevers, którego z takim trudem osadzono na mantuańskim tronie. W imieniu nieletniego następcy Neversa, jego wnuka, regencję objęła synowa zmarłego Maria. Po swej matce infantce Małgorzacie odziedziczyła ona orientację zdecydowanie prohiszpańską. Francuzi trzymali mocno Monferrat dzięki swym garnizonom, ale na lojalny sojusz z Mantuą nie było już co liczyć. Inny aliant, książę Parmy, za słaby, by się skutecznie przeciwstawiać Hiszpanom, poszukał z nimi kompromisu.

Najwięcej zamieszania wywołała śmierć Wiktora Amadeusza Sabaudzkiego (7 X 1637). Richelieu go nie lubił - i nie miał racji, bo w odróżnieniu od ojca, Karola Emanuela I, ten szwagier Ludwika XIII był sojusznikiem lojalnym, inteligentnym i energicznym. Tron sabaudzki przypadł pięcioletniemu księciu Hiacyntowi, a gdy ten zmarł po roku, księciem Sabaudii został jego czteroletni brat, Karol Emanuel II. Regencję objęła księżna-wdowa Krystiana. Tej siostry Ludwika XIII Richelieu również nie lubił: uważał ją, może nieco przesadnie, za głupią gęś, upartą, melodramatyczną, i w dodatku złych obyczajów. Jej doradcą politycznym był spowiednik, jezuita Ojciec Monod, człowiek bystry i przedsiębiorczy: kardynał obawiał się, że może wyrosnąć na małego - w sabaudzkiej skali - Richelieu. Zaczynając manipulował zresztą księżną Krystianą przy pomocy jej kochanka, hrabiego Filipa d'Aglié, którego sam jej zresztą naraił. Z punktu widzenia Richelieuo niewybaczalnym grzechem Ojca Monoda była orientacja na neutralność Sabaudii w niszczącej Europę wojnie. Okazało się bowiem, że obiecany Sabaudom w układzie z Rivoli podbój Mediolanu - to kanarek na dachu; Monod sądził, że lepszy już jest szary wróbel sabaudzkiej niezależności od wojujących bloków.

Kłopoty z Sabaudią były tym większe, że regentka Krystiana nie cieszyła się popularnością wśród mieszkańców jej stolicy, Turynu. Niezyczliwa jej opinia posuwała się aż do kwestionowania legalnego pochodzenia małego księcia Hiacynta. Sympatie Turynu zwracały się ku dwu braciom zmarłego Wiktora Amadeusza. Jeden z nich, książę Tomasz Sabaudzki, był zdolnym generałem w hiszpańskiej służbie; drugi, Maurycy, kardynał w kurii rzymskiej, także należał do hiszpańskiej frakcji wśród kurialnych dostojników. Obaj rościli sobie pretensje do udziału w regencji, a spora część wpływowej opinii sabaudzkiej aspiracje te gorąco popierała. Richelieu zmasowanym naciskiem skłonił Krystianę do zamknięcia granic Sabaudii przed szwagrami: obawiał się oczywiście, że wyrwą oni Sabaudię z półwasalnego stosunku zależności od Francji. O, nie liczył już na łatwy podbój Mediolanu, ale chciał szachować Hiszpanów groźbą takiego ataku: w istocie księstwo Mediolanu było w kiepskiej sytuacji strategicznej i jego obrona wiązała znaczne siły Hiszpanów. Bez Sabaudii taka dywersja u granic mediolańskiego księstwa stawała się zupełnie niemożliwa.

Richelieu nie docenił wszakże niepopularności tej wojny wśród ludności Sabaudii i niechęci, jaką ściągnęli tu na siebie Francuzi. Krystiana próbowała w wielkim sekrecie sondować możliwość odwrócenia aliansów, przejścia na stronę Hiszpanii: okazało się jednak, że Olivares także stawia bardzo twarde warunki. Z dwojga złego księżna-regentka wolała już zależność od własnego brata niż od Olivaresa. Toteż w czerwcu 1638 roku Krystiana zgodziła się odnowić na dalsze dwa lata wygasający układ z Rivoli. Ojciec Monod został osadzony w cytadeli w Montmélian, tuż na granicy z Francją, z której już nie wyszedł. Nie był to wszakże koniec sabaudzkich perypetii. Wiosną roku 1639 roku książę Tomasz Sabaudzki i kardynał Maurycy dzięki hiszpańskiej pomocy opanowali niemal całą Sabaudię. W lipcu Turyn otworzył przed Tomaszem swe bramy; księżna-regentka została zablokowana w turyńskiej cytadeli. Uwolniła ją zbrojna interwencja Francuzów pod diukiem de Longueville; w początku sierpnia Krystiana z małym księciem Karolem Emanuelem znalazła się bezpiecznie w Suzie, ale niemal cała Sabaudia była dla niej stracona.

Naczelnym dowódcą armii francuskiej w Italii, marszałek de Créqui, zginął na froncie w 1638 roku; zastąpił go przyjaciel Richelieugo kardynał de La Valette. Sytuacja militarna w sierpniu 1639 roku była tak zła, że La Valette postanowił zawrzeć z Hiszpanami dwumiesięczne zawieszenie broni. Nim upłynął ten termin, zmarł na febrę w wieku zaledwie 47 lat (11 IX 1639).

W tym samym wrześniu 1639 roku Ludwik XIII uległ namowom Richelieugo i spotkał się z Krystianą w Grenoble. Eminencja chciał oczywiście wykorzystać przymusową sytuację sabaudzkiej regentki. Pragnął wymusić na niej faktyczną rezygnację z władzy: sabaudzkie twierdze, odzyskane z rąk Hiszpanów, miały być obsadzone przez Francuzów, mały Karol Emanuel oddany pod opiekę wuja, Ludwika XIII, i wychowywany razem z delfinem Ludwikiem. Krystiana uparła się jednak i odrzucała stanowczo taki francuski protektorat; zgadzała się tylko na wpuszczenie francuskich załóg do kilku twierdz granicznych. Jej pożegnanie z kardynałem było lodowate: ponoć powiedział jej, że jeśli

utraci władzę - co jest wielce prawdopodobne, skoro wżgardziła dobrymi radami Ludwika XIII - to król pośle ją do klasztoru, „by tam mogła opłakiwać swoje grzechy”. Eminencja zawsze ujawniał ten wyniosły, a nawet pogardliwy stosunek do Sabaudii i jej władców; teraz dyskretnie usiłował tak działać, by jego prorocstwo sprawdziło się i Krystiana utraciła władzę. Szukał porozumienia z jej szwagrami i skłonny był uznać regencję Tomasza i kardynała Maurycego.

Zupełnie fatalnie potoczyły się wypadki w Waltelinie. To doprawdy osobliwe: słabi francuscy generałowie kiepsko służyli rządowi kardynała Richelieu, częstokroć marnowali nawet znaczne środki. Gdy jednak pokazał się naprawdę utalentowany generał, to właśnie rząd źle służył sprawie jego zwycięstw. Brawurowe zajęcie Walteliny w 1635 roku przez Henryka de Rohan i wojna górską, którą prowadził w latach 1635-36, to chyba najświetniejsza karta francuskich działań w tej wojnie, aż do pojawienia się Wielkiego Kondeusza i bitwy pod Rocroi (1643). Richelieu skłonny był nawet to uznać: wspominał podobno, że gdyby Rohan porzucił heretycką wiarę, należałoby zastanowić się nad przywróceniem - właśnie dla niego - godności konetabla Francji. Wszelako Rohan nie zamierzał porzucać wiary swoich przodków, toteż Richelieu i zwłaszcza Ojciec Józef podejrzliwie spoglądali na jego operacje w kraju protestanckich Gryzonów. Obawiali się, że faworyzuje zbyt swych współwyznawców ze szkodą dla katolickich mieszkańców Walteliny. W marcu 1636 roku Rohan wynegocjował korzystny dla tych ostatnich układ z Gryzonami: poszli oni na pewne ustępstwa dotyczące autonomii Waltelińczyków. Richelieu i Ojciec Józef grymasili jednak, usiłowali zmusić Rohana i Gryzonów do zmiany trzech artykułów traktatu. Zlekceważyli także natarczywe żądania Gryzonów, by zapłacić im zaległy żołd w kwocie miliona liwrów: należał się on oddziałom gryzońskim za służbę dla Francji. Prawda, sytuacja finansowa rządu była bardzo trudna, ale nie ona stanowiła główną przyczynę zwłoki. Richelieu zawsze traktował Szwajcarów jak prymitywnych chłopów, których łatwo przekupić, przechytrzyć, zastraszyć potęgą Francji. Teraz okazało się, iż był to ciężki błąd.

Zniecierpliwieni Gryzonowie porozumieli się z Wiedniem i zręcznie sparaliżowali, w połowie marca 1637 roku, Rohana oraz jego oddziały. Aresztowany generał zdołał jeszcze wynegocjować honorowe warunki ewakuacji francuskich żołnierzy z Walteliny. Richelieu na wiadomość o utracie kontroli nad doliną, o jej otwarciu dla habsburskich przemarszów - wiedząc dobrze, że sam za to ponosi odpowiedzialność - był bliski furii. W pierwszym odruchu zrzucał winę na skąpstwo Bulliona, który nie dał nieszczęsnego miliona. „Bóg wie - pisał do króla - czy teraz Szwajcarzy, z braku zapłaty, nie zbuntują się przeciw nam; Bóg wie, czy potem Italia nie podda się wrogom; Bóg wie, czy wreszcie będzie nam łatwo o pokój... To nieszczęście wydarzyło się z braku pieniędzy; za jednego écu, którego trzeba było dać na czas, wypadnie teraz dać dziesięć, a i tak nie naprawi się wyrządzonych szkód. Już od dawna pouczam panów zarządców finansów, że są takie szczególnie ważne sprawy, których bieg należy przewidzieć, nim niepowodzenie ujawni kryjące się w nich groźby”. Dobrze sobie! Sam przecież powinien był „przewidzieć bieg tej sprawy”.

Drugim kozłem ofiarnym - choć nie od razu - stał się Rohan. Na szczęście generał, którego postępowanie było absolutnie bez zarzutu, uniknął represji, bo nie wrócił do Francji. Objął potem dowództwo w armii Bernarda Sasko-Weimarskiego. Dokładnie rok po ewakuacji Walteliny wziął udział w zwycięskiej bitwie pod Rheinfelden i zmarł z otrzymanych tam ran w połowie kwietnia 1638 roku.

Kruszenia się sojuszków w Italii i Szwajcarii nie rekompensowały nieskuteczne próby rozszerzenia antyhabsburskiej koalicji. Richelieu bardzo się starał o zawarcie układu z Anglikami. Pragnął osiągnąć to, co się potem udało Mazariniemu z Cromwellem: nakłonić rząd w Londynie do współdziałania na morzu. Chodziło o to, by potężna marynarka angielska wspólnie z holenderską i francuską przecięła na kanale La Manche komunikację morską między Hiszpanią i południowymi Niderlandami. Jako cenę militarnego sojuszu Richelieu skłonny był teraz dać poparcie dla roszczeń siostrzeńców Karola I, wywłaszczonych przez katolików z palatynatu reńskiego. Bawaria, której interesy Richelieu poprzednio popierał, przeszła na stronę cesarza, można więc było uznać jej aspiracje do palatynatu i tytułu elektorskiego palatynów za bezczelne uzurpacje... Wysłany do Paryża angielski ambasador hrabia Leicester z dobrą wolą rozmawiał o wojskowym sojuszu z Francją, Holandią i Szwecją, ale zarówno jego władca, jak i Francja oraz jej alianci żywili zbyt wiele wątpliwości, mieli zbyt wiele sprzecznych interesów, by sprawa mogła posuwać się szybko. Ostatecznie rebelia Szkotów związała ręce Karola I; dalsze rokowania z Anglikami stały się bezprzedmiotowe. W swoim czasie, gdy Karol I zezował w stronę Hiszpanii, Richelieu zastanawiał się nad celowością poparcia szkockich separatystów. Bez wątplenia z eksplozją szkockiej rebelii nie miał nic wspólnego i nie udzielał jej pomocy.

W orbicie zainteresowań kardynała i Ojca Józefa, choć na dalszym planie, znalazła się i Polska. W swoim czasie Charnacé ułatwił zawarcie sześćoletniego rozejmu Polski ze Szwecją w Altmarku (1629), co umożliwiło wejście Gustawa Adolfa do wojny w Niemczech. W 1635 roku układ w Sztumskiej Wsi przedłużył spokój na froncie polsko-szwedzkim. To był także sukces francuskiej dyplomacji, która nacisnęła na Szwecję i skłoniła Oxenstiernę do ustępstw w momencie, gdy Władysław IV już się szykował z zapalem do wojny. Francuzi pieścili się teraz -nadzieją, że może uda się wciągnąć króla Polski do wojny z Wiedniem: nęcili go perspektywą sutoch subwencji i widokami na odzyskanie Śląska dla Korony Polskiej. Opinia szlachecka nie była przychylna takiej reorientacji politycznej, a i Szwedzi traktowali te pomysły bardzo niechętnie. Ów problem polskiej polityki powiązany był z kwestią wyboru żony dla Władysława IV. Król Polski nie kwapił się do małżeństwa z brzydką córką cesarza Ferdynanda II, Cecylią Renatą. Popierała ten mariaż potężna „fakcja austriacka” wśród kleru i szlachty; bardzo się wśród niej miotał Walerian Magni, teolog i zręczny dyplomata: kapucyn jak i Ojciec Józef, starał się już od lat krzyżować projekty swego francuskiego konfratra. Tym razem wygrał. Małżeństwo Władysława IV z Cecylią Renatą, we wrześniu 1637 roku, było rozczarowaniem dla Francji i dla Ojca Józefa osobiście: stary przyjaciel diuka de Nevers, bardzo popierał kandydaturę jego córki,

Marii Ludwicy. Latem i jesienią 1636 roku prowadził na ten temat długie rozmowy w Paryżu polski wysłannik, Jan Zawadzki. W tej sprawie zwycięstwo Ojca Józefa było pośmiertne; Maria Ludwika została królową Polski w marcu 1646 roku. Na razie jednak, po habsburskim małżeństwie Władysława IV, stosunki francusko-polskie bardzo ochłodziły. Stały się wręcz złe, gdy w 1638 roku Richelieu kazał uwięzić Jana Kazimierza. Przyrodni brat polskiego króla był jednym z filarów „fakcji austriackiej”: służył poprzednio pod rozkazami cesarskich generałów jako dowódca zwerbowanych w Polsce lisowczyków. Teraz zamierzał związać swe losy z Habsburgami hiszpańskimi: obiecano mu godność wicekróla Portugalii, podówczas jeszcze hiszpańskiej prowincji. W drodze do Madrytu Jan Kazimierz został aresztowany pod absurdalnymi zarzutami, że jako hiszpański szpieg badał możliwości desantu na wybrzeżach Prowansji. Francuzi więzili go przez dwa lata.

Politykę Polski analizowano w Paryżu także w perspektywie szans wznowienia tureckiej akcji zbrojnej przeciw cesarzowi. To bardzo znamienne: Ojciec Józef, który ongiś tyle energii stracił, do spółki z diukiem de Nevers, by zagrzać chrześcijańskich władców i szlachtę Europy do wojny z Turkami, teraz bez skrępowania ważył wszystkie korzyści, jakie Francji przyniosłaby taka dywersja na wielką skalę u wschodnich granic habsburskiej monarchii. W ten sposób, jak powiadał kapucyn, uniemożliwi się cesarzowi „wspieranie królów Hiszpanii w ich zachciankach”; jednocześnie ofensywa turecka posiałaby tyle popłochu wśród chrześcijańskich władców, że przyspieszyłaby zawarcie „dobrego”, „generalnego” pokoju. Dalibóg, Machiavelli miał w Paryżu pojętych uczniów.

Podobnie jak w dyplomacji, tak i na polach walki wydarzenia toczyły się raz lepiej, raz gorzej. Pod koniec 1636 roku cesarz Ferdynand II proklamował wojnę z Francją: była to w istocie rzeczy czysta formalność. Rok 1637 nie przyniósł żadnych wielkich wydarzeń poza utratą kontroli nad Walteliną, co Richelieu uznał, przesadnie, za największą katastrofę w całej swej karierze. Mógł się pocieszać serią drobniejszych sukcesów: wiosną Francuzi odzyskali małe wysepki u prowansalskiego wybrzeża (îles Lérins) zajęte w 1635 roku przez Hiszpanów; latem kardynał de La Valette odbił twierdzę La Capelle, a nawet wdarł się do hiszpańskich Niderlandów, zdobywając Landrecies. Na południowo-zachodniej granicy odparto próby hiszpańskiego ataku.

Rok 1638 zaczął się lepiej. W Niemczech siłą uderzeniową Francji była armia Bernarda Sasko-Weimarskiego wzmocniona francuskimi regimentami pod hrabią de Guébriant. Wiosną 1638 roku książę Bernard pokazał, że jest najzdolniejszym z uczniów nieboszczyka Gustawa Adolfa. Ruszył z Alzacji ku dolinie górnego Renu, pod Rheinfelden pobił i wziął do niewoli słynnego kondotiera w cesarskiej służbie, Wertha. Zajął Fryburg w Bryzgowii i opanował całą dolinę górnego Renu, która miała kapitalne znaczenie strategiczne. Była to świetnie zaplanowana i genialnie rozegrana kampania. „Tylko książę Bernard robi mi takie prezenty” - wzdychał Ludwik XIII. Richelieu nie podniecał się tak bardzo sukcesami Bernarda. Wydzielał mu dość skąpo subsydia i posiłki, co przyczyniło się do

przedłużenia wielkiej operacji - oblężenia Breisach, ostatniego a potężnego punktu oporu wroga nad górnym Renem. Bernard postanowił wziąć twierdzę bez szturmu, głodem, metodą holenderską, to jest przez zbudowanie „kontrfortecy”, obozu warownego powstrzymującego próby odsieczy. Dopiero w grudniu 1638 roku Breisach skapituluje, po ośmiu miesiącach oblężenia, które podobno kosztowało 20 tysięcy ofiar śmiertelnych. Zgodnie z legendą Richelieu pocieszył wiadomością o wzięciu Breisach umierającego Ojca Józefa, ale to niemożliwe: wiadomość ta przyszła już po śmierci kapucyna.

Sukces był w istocie wielki, bo zajęcie Breisach, położonego na prawym brzegu Renu, łamało główną linię komunikacyjną Hiszpanów („korytarz reński”). Dawało olbrzymie korzyści strategiczne nad górnym Renem, w Franche-Comté i Lotaryngii. Tak, ale to na razie sukces księcia Bernarda bardziej niż Francji: natarczywe apele Richelieugo, by Niemiec przekazał Breisach Francuzom, padały w próżnię. Ambitny książę saski myślał o wykrojeniu dla siebie suwerennego państwa między Renem a Mozelą. Dostrzegał nieżyczliwe stanowisko Eminencji i pilno mu było uwolnić się od jego kurateli, sondował zatem szanse odrębnego pokoju z cesarzem. Richelieu za żadną cenę nie chciał się godzić na ambitne projekty Bernarda: wyrosłaby mu pod bokiem druga Lotaryngia, tymczasem. przez wiele dziesięcioleci król Francji już z tą pierwszą miał dość kłopotu. Inteligencja, talent, pewność siebie księcia Bernarda także były solą w oku kardynała: nie lubił takich partnerów. Podobno zresztą podejmował próby, by skaptować Niemca ogromnymi korzyściami materialnymi i... małżeństwem z diuszesa d’Aiguillon. Z kim to już nie swatano ulubienicy Richelieugo! Aż dziw, że ostatecznie musiała się kontentować tym jednym mężem, panem de Combalet, którego straciła jako bardzo młoda kobieta.

Zdobycie Breisach to wspaniały akcent wieńczący ów rok 1638, ale pełny bilans roczny przedstawiał się raczej marnie. W pierwszej połowie roku Richelieu czuł przyływ nadziei. Zawarto przecież właśnie, w grudniu 1637 roku, układ z Holendrami i w marcu 1638 roku traktat hamburski ze Szwecją. Spacyfikowane zostały krwawo rewolty ludowe. Powolna reorganizacja armii i floty obiecywała militarne sukcesy. Ostry kryzys ekonomiczny w Hiszpanii nie był tajemnicą. Dalibóg, gdy w maju kardynał spotykał się z don Miguelem de Salamanca, nie zamierzał stwarzać wrażenia, że to jemu śpieszno zawrzeć pokój.

Szybko przyszły rozczarowania. W maju marszałek de Châtillon obległ Saint-Omer, ważną twierdzę w hiszpańskich Niderlandach, ale prowadził operacje z nonszalancką nieudolnością i poniósł porażkę. We Włoszech zginął marszałek de Créqui; jego następca, kardynał de La Valette, utracił Vercelli, ważny punkt na pograniczu Sabaudii z Mediolanem. W sierpniu wiadomość pocieszająca: arcybiskup de Sourdis, utalentowany admirał, pobił na Atlantyku hiszpańską eskadrę. „Jeśli na morzu jesteśmy w tym roku szczęśliwsi niż na lądzie, to ja przypisuję ów fakt narodzinom W Pana DeI fina: przyniósł on błogosławieństwo żywiołom, w których delfiny mają swoje królestwo” - pisze w połowie września 1638 roku Richelieu do Chavigny’ego. Jest w tym zdaniu dość ciężkie pochlebstwo, ale i wyraz satysfakcji z postawy marynarki, której najwyższym szefem jest właśnie

pan kardynał.

Niestety, radość z urodzin delfina i sukcesu Sourdisa przyćmiona została przez fatalną, kompromitującą klęskę w Pirenejach. Otóż książę de Condé, stary fuszer, oblegał tu ważną cytadelę w Fuenterrabii, cztery mile od San Sebastian. Był to klucz do panowania nad graniczną rzeką Bidassoa. Twierdza miała już wnet skapitulować: tak przynajmniej sądzono. Condé bez zapału odpierał ataki Hiszpanów usiłujących odblokować cytadelę. Nagle, 7 września, wypad z fortecy na flankę, gdzie dowodził diuk de La Valette, spowodował panikę. 12 tysięcy żołnierzy francuskich zwało przed nieprzyjacielem liczącym 7 lub 8 tysięcy ludzi. Condé uciekł do Bayonne barką i zwałił całą odpowiedzialność na La Valette'a. Przyszło mu to tym łatwiej, że La Valette uciekł jeszcze dalej: wylądował w Anglii, bo przewidywał trafnie bieg wydarzeń. Richelieu jak zawsze oszczędzał księcia de Condé, swego alianta, a wkrótce i familianta. Pisał doń 20 września: „Jego Królewska Mość nie ocenia intencji wedle efektów. Jest bardzo zadowolony z gorliwości z jaką pragnęliście, Panie, zapewnić powodzenie tego przedsięwzięcia”. List Eminencji do króla, z 17 września, jest jednak rozdzierający. „*La douleur de Fontarabie me tue...*”, „Boleść z powodu Fuenterrabii dobija mnie... Nigdy jeszcze tego nie widziano, by zastępca dowódcy [sc. La Valette] widząc, iż kwatery jego generała jest atakowana, nie pośpieszył mu z pomocą. Serce mi krwawi”. I następnego dnia, też w liście do króla: „Błagam Boga z całego serca, by powstrzymał serię takich nieszczęść”. W istocie, Fuenterrabia dowodzi nie tylko słabości dowództwa, ale i oficerów średniego szczebla, nie mówiąc już o dyscyplinie żołnierzy. To bardzo zły znak.

Śmierć Ojca Józefa w grudniu przyćmi z kolei radość z powodu wzięcia Breisach. „Straciłem moją podporę” - powie Richelieu. Schorowany, zmęczony kardynał będzie musiał wkładać więcej wysiłku w badanie skomplikowanej szachownicy europejskiej i podejmowanie strategicznych decyzji dyplomatycznych. Właśnie dlatego z takim zadowoleniem Richelieu przyjmie powrót Mazariniego do Paryża: Włoch poważnie odciąży go w tym nawale pracy. Jednakże Mazarini opuści Rzym dopiero rok po śmierci Ojca Józefa.

Wreszcie i rok 1639 okazał się trudny. Richelieu skłonny byłby rozważyć szanse rokowań pokojowych. Jesienią 1638 roku sygnalizował to baronowi de Pujols w Madrycie. „Oświadczam Panu z całą szczerością - pisał - że Francja naprawdę życzy sobie trwałego pokoju, że ja nie waham się pragnąć, by ci, którzy wysuwając niesłuszne roszczenia uniemożliwiają dobry pokój, ściągnęli przekleństwo na swe głowy”. Brzmi to szczerze, ale ciągle mowa o „dobrym” pokoju, ciągle tylko roszczenia wrogów są pozbawione słuszności. Ponieważ Olivares dokładnie to samo myślał o roszczeniach Richelieugo, obrotność Pujolsa nie mogła przynieść żadnych rezultatów.

Owszem, zrobiono teraz mały kroczek ku rokowaniom „generalnym”. Jedną z ostatnich idei Ojca Józefa była koncepcja dwóch równoległych kongresów pokojowych, osobno dla władców katolickich i dla monarchów protestanckich oraz Holandii. Kuria papieska przyjęła tę kompromisową propozycję i wysunęła plan kongresu katolików w Rzymie, protestantów w

Trydencie. To dla Francji nie do przyjęcia: zbyt duży dystans dzielił oba miasta, niemożliwa byłaby sprawna koordynacja obrad... Wśród protestantów krążył zresztą jeszcze inny plan, konferencji trójstronnej (osobne kongresy katolików, protestantów i mediatorów). Zanim zbiorą się ostatecznie dwa kongresy, w Monasterze i Osnabrück, i zaczną opracowywać pokój westfalski, upłynie jeszcze sporo czasu.

Na razie trzeba więc ciągnąć dalej tę fatalną wojnę. Rok 1639 przyniesie wspomniane już niepowodzenia w Sabaudii, regentce Krystianie pozostaną jedynie - jak pisał Richelieu - „szczątki rozbitego okrętu”. Tej samej wiosny 1639 roku na wschodniej granicy Francji sukcesy krzyżowały się z klęskami. Markiz de Feuquières nie zdołał zdobyć twierdzy Thionville nad Mozelą: dostał się do niewoli i zmarł z odniesionych ran. Trochę później, w czerwcu, familiant kardynała, La Meilleraye, odważnie atakował Hesdin i zdobył miasto. Cytowaliśmy już szyderstwa Montglata: zdaniem pamiętnikarza kardynał dał takie środki swemu krewniakowi, że było wręcz niemożliwe, by La Meilleraye nie odniósł sukcesu. Ludwik XIII, obecny przy tej operacji, wszedł do Hesdin przez - jak to się pięknie mówi - dymiący jeszcze wyłom w fortyfikacjach. Zabrał laskę jednemu z oficerów i wręczył ją panu de La Meilleraye w charakterze buławy. „Czynię Waści marszałkiem Francji - oświadczył - obliguję mnie do tego usługi, które mi Waść oddał”. Nie, nie chodziło oczywiście o zrobienie przyjemności kardynałowi: król raczej nieufnie spoglądał na wielkie kariery i wpływy krewniaków Richelieugo. Rzecz w tym, że Ludwik XIII i jego poddani czuli pilną potrzebę krzepienia serc oraz głód sukcesów. Zdobycie Hesdin naprawdę nie było ani wyjątkowym czynem militarnym, ani wielkim zwycięstwem: nie za takie triumfy zostawało się dawniej marszałkiem Francji!

Na południowym zachodzie Condé, który się chciał rehabilitować za klęskę pod Fuenterrabią, zdobył w lipcu twierdzę Salces w hiszpańskim podówczas Roussillonie. Nim skończył się rok, Hiszpanie ją odzyskali. W tymże lipcu wydarzenie, o którym trudno powiedzieć, czy było klęską, czy szczęśliwym trafem: w pełni sił zmarł nagle 35-letni Bernard von Sachsen-Weimar. Richelieu miał z nim wiele politycznych kłopotów, więc niespodziewana śmierć księcia spowodowała plotki, że go otruto z polecenia Eminencji. Z pewnością kardynał odczuł ulgę, że mu znikają trudne problemy zrodzone z wielkich ambicji Bernarda. Ale zniknął zarazem największy talent militarny w służbie Francji, zaś losy jego świetnej armii przedstawiały się mglście. Na szczęście hrabia de Guébriant, towarzysz broni zmarłego, potrafił zdobyć sympatię jego oficerów. Jesienią 1639 roku zawarto układ, na mocy którego armia Bernarda pozostała we francuskiej służbie. Oznaczało to także przejście Breisach pod francuską kontrolę. Ale Guébriant, skądinąd dzielny Bretończyk, to już dużo, dużo mniejszy talent militarny: Bernard Sasko-Weimarski był nie do zastąpienia.

Właściwie największe sukcesy w tym 1639 roku odnosili alianci. Szwedzi, znów pompowani francuskimi subsydiami, zaczęli wielkie operacje ofensywne wiosną. Odnieśli zwycięstwo pod Chemnitz, pustoszyli dziedziczne posiadłości cesarza (Czechy, Morawy, Śląsk) ale musieli odstąpić od oblężenia Pragi. Kapitalne znaczenie miało zwycięstwo

morskie Holendrów pod Dover. Upadek Breisach zwiększył znaczenie drogi morskiej dla zaopatrywania Niderlandów hiszpańskich w posiłki z metropolii: właśnie jesienią 1639 roku dotrzeć miała do hiszpańskiej Flandrii wielka armada wioząca 20 tysięcy żołnierzy. Na kanale La Manche zagroziła jej drogę flota holenderska pod admirałem Martinem Trompem. Hiszpanie stchórzyli i schronili się w portach neutralnej Anglii. Tromp nie czekał na koniec przeciągających się rokowań Hiszpanów z Anglikami, zaatakował wroga na wodach angielskich i zmiażdżył hiszpańską armadę. Ledwie parę tysięcy niedobitków zdołało dotrzeć do Niderlandów, marynarka hiszpańska poniosła niełatwe do powetowania straty. Nie izolowało to wprawdzie całkowicie Niderlandów od hiszpańskiej metropolii, ale ogromnie skomplikowało komunikację morską na tym szlaku. A ponieważ po wzięciu Breisach Francuzi kontrolowali „korytarz reński”, sytuacja strategiczna zmieniła się na ich korzyść. Przyniesie to owoce w początku następnej dekady, w latach 1640-43, ale najpiękniejszych sukcesów Richelieu już nie dożyje.

Tymczasem wokół kardynała powiększała się pustka. W latach 1637-39 stracił wypróbowanych współpracowników na polu dyplomatycznym: zmarł Ojciec Józef, zginął pod Bredą Charnacé, umarł z ran Feuquières. Odchodzili do lepszego świata doświadczeni dowódcy: Créqui, kardynał de La Valette, Bernard Sasko-Weimarski, Rohan.

Odczuwał wokół siebie niechęć i nieufność. Papież skłonny był uważać, że Richelieu jest zawadą na drodze do pokoju; nuncjusze papiescy skarżyli się, że w Paryżu traktuje się ich „gorzej niż w Konstantynopolu”. Nie cierpiała go - z wzajemnością - Krystiana Sabaudzka, Gryzonowie stracili doń zaufanie, Wenecjanie i Mantuanie trzymali się na uboczu. Oxenstierna mu nie ufał. W Holandii książę Orański traktował go w sposób wyniosły, niemal pogardliwy. Na dworze londyńskim intrygowały przeciw niemu trzy wielkie damy: królowa Henrieta, pani de Chevreuse, a od jesieni 1638 roku jeszcze i stara Medyceuszka. Karol I, który bez entuzjazmu przyjął u siebie Marię Medycejską, nie pominął okazji, by napisać ironicznie Ludwikowi XIII, że zapewni godziwe utrzymanie swojej teściowej... Trwające już osiem lat wygnanie francuskiej królowej-matki spora część opinii przypisywała - nie bez racji! - uporowi Richelieugo, który skłócił monarchę z matką i nie pozwalała Marii wrócić do Francji. Intrygi arystokratyczne przycichły tylko, ale się nie zakończyły. Wnet eksplodują nowe spiski i rebelie, zdrady i próby zamordowania kardynała. A desperację mas ludu ujawniają nowe paroksyzmy rewolt. Wewnętrzne dzieje Francji lat 1637-1639 są wypełnione społecznymi konwulsjami.



„NIESZCZĘSNE REWOLTY” I „PRZYKŁADNA LEKCJA”

Po śmierci kardynała, w 1643 roku, Mateusz de Morgues napisał jego epitafium w swoim jadowitym stylu. „Richelieu nie miał pojęcia o tym, na czym polega nieszczęście... Największą przyjemność sprawiały mu niedole ludzi: sąsiadów [Francji] i zwłaszcza Francuzów samych. Aby wyrwać trochę włosów sąsiadom, rozdarł trzewia rodakom. Uciał nieco rąk i nóg cudzoziemcom i przeszył samo serce własnego kraju”.

To z pewnością sąd bardzo przesadzony, ale jest w nim jakieś tam ziarno prawdy. Historiografia francuska, a zwłaszcza pełni zachwyty i złudzeń biografieści kardynała przez długie lata lekceważyli społeczne koszty zwycięstw - i porażek! - Richelieugo. Tymczasem cały ten zgiełk wojenny spowodował głębokie rozdarcie w owych „trzewiach” społeczeństwa francuskiego: desperację chłopów i miejskiego ludu, niezadowolenie sporych odłamów burżuazji i szlachty, wahania w samym środku aparatu władzy państwowej. Nawet Ludwik XIII dochodził do wniosku, że jego pierwszy minister zbyt lekceważy ten dramatyczny proces pogarszania się społecznych nastrojów. Owszem, kardynał przyjmował obserwacje króla i... przekazywał je dalej, swym szefom finansów. Potrafił dać ostrą reprimendę Bullionowi i Bouthillierowi: „Królowi przestaje się wierzyć na jego słowo, traci on też serce i afekty ludności... Nic nie jest bardziej konieczne od tego, by król zachował serca swych poddanych i by mógł dochować danego słowa”. Łatwo powiedzieć, trudniej to zrobić: należałoby zreformować cały system podatkowy, na którym bezczelnie tuczyli się *traitants*. Wojna jest piekielnie kosztowna, ale i system dostaw dla armii pełen wad. Przy „liwerunkach” wojskowych, jak pisał Richelieu, „złodziejstwa są tak częste, że częstsze już być nie mogą”. Oznaką wyczerpania kraju niepopularną wojną były trudności z zaciągami nowych żołnierzy. Szukano kandydatów już nie tylko na wsi, ale i w miastach, jakkolwiek tutaj trzeba było płacić drożej, by kupić królowi żołnierza. I tak zresztą pojawiały się elementy przymusu, na przykład w postaci presji na cechy, by ułatwiały werbunek. Francuskim dyplomatom w Londynie zalecano, by robili zaciągi w Szkocji. Coraz więcej było we francuskim wojsku Niemców, Szwajcarów, Irlandczyków. Zawodowcy wojny nie krępują się niczym, gdy tylko pojawia się okazja grabienia ludności cywilnej. Dotyczy to nie tylko okolic, przez które wiodą trasy wojskowych przemarszów. Aby ulżyć ludności, rozciągano zimowe kwatery wojska na bardzo rozległe obszary, co narażało na grabieże prowincje bardzo odległe od teatru działań wojennych. Intendenci królewscy raportowali, że żołnierze zachowują się jak najbezwzględniejsi piraci i zbójcy. Laubardemont, znany nam już z tego, że nie był człowiekiem miękkiego serca, donosił z Mans, iż wojsko popełnia gwałty, które trudno sobie wprost wyobrazić. „Zewsząd wysłuchuję skarg, które są w stanie wprowadzić w zdumienie ludzi najbardziej pewnych siebie”.

Ale najgorszy był, bo powszechny i nieznośny, ucisk podatkowy. W latach wojny ukrytej i później wojny otwartej podatki bezpośrednie zwiększyły się trzykrotnie. Gwałtowne reakcje - zwłaszcza w miastach - prowokowało ustanowienie podatku obrotowego, „jednego sou od liwra”, to znaczy pięciu procent od wartości każdej transakcji. Zdumiewającą furję wywoływał podatek jednego écu od baryłki wina, płacony przez karczmarzy i, rzecz prosta, przerzucany na konsumentów w efekcie wzrostu cen. Ucisk fiskalny nakładał się na stagnację w interesach, która nękała Francję już od kilku lat. Ale rząd absolutny feudalnej monarchii nie będzie przecież starał się ulżyć ludowi obciążając szlachtę i kler! Spośród posiadaczy uderza się jedynie, opisanymi już sposobami, w burżuazję i funkcjonariuszy. Należy wszakże uważać, by nie doprowadzić burżuazji do desperackich kroków, do połączenia jej talentów i zasobów z siłą ludowego żywiołu. Jak długo jednak można uprawiać taniec na linie? Jesienią 1639 roku Bouthillier pisze dramatyczny list do syna, Chavigny'ego: „Nigdy jeszcze nie byłem tak wstrząśnięty jak teraz... gdy widzę, w jakim położeniu jesteśmy... *Traitants* nas porzucają, a lud nie chce niczego płacić, ani starych, ani nowych podatków. Teraz już widzimy dno garnka... Boję się, by nasza wojna z zagranicą nie wyrodziła się w wojnę domową. Jego Eminencja, gdy się zorientuje w tym, jak naprawdę wyglądają sprawy, znajdzie jakiś dobry sposób wyjścia z sytuacji, ale ja wyznaję, że bardzo jestem skłopotany i nie widzę żadnego wyjścia”.

Dwa miesiące wcześniej Normandia stanęła w ogniu i Bouthillier miał prawo obawiać się wojny domowej; zaraz zobaczymy, jaki „dobry sposób wyjścia” znalazł kardynał. Co się zaś tyczy „dna garnka”, to zacytujmy raport, jaki w sierpniu 1640 roku posłał do Wenecji jej ambasador we Francji, Angelo Correr. Ludwik XIII przeprowadził z nim właśnie poufną i szczerą rozmowę. Oświadczył w niej, że „wojna jest największą udręką monarchów”; że dyplomata nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie, jakich sum sięgają wydatki wojenne. Król mówił, że w ciągu jednego miesiąca wydaje tyle, ile Henrykowi IV wystarczało na cały rok!

W istocie Francja utrzymywała sześć wielkich armii; u progu 1639 roku są to: armia marszałka de Châtillon w Pikardii, marszałka de La Force w Szampanii, księcia Bernarda Sasko-Weimarskiego w Alzacji, na granicy Franche-Comté armia księcia de Longueville, w Gujennie - księcia de Condé i w Italii armia pod komendą kardynała de La Valette. Utrzymanie każdej z tych armii kosztowało przeciętnie prawie ćwierć miliona liwrów miesięcznie.

A były jeszcze różne oddziały zapasowe i marynarka, którą - przypomnijmy - Bullion uznał za jedną z „przepaści”, w których toną finanse państwa. Za czasów Henryka IV budżet państwa wynosił po stronie wydatków około 20 milionów; w roku 1640 sięgnął zupełnie astronomicznej sumy 116 milionów liwrów!

Problem polegał na tym, że lud Francji tracił respekt dla porządku monarchicznego, który uprawiał wyuzdany ucisk fiskalny i który nie potrafił utrzymać w dyscyplinie swej olbrzymiej armii ani też wykorzystać jej dla przekonywujących zwycięstw. Marnotrawienie pieniędzy przeznaczonych na wojsko i słabość dowodzenia nie były jakąś ściśle

strzeżoną tajemnicą. Pękała bariera szacunku dla króla i strachu przed królem - i bunt rozlewał się po coraz to nowych obszarach. Wiosną 1637 roku odrodziła się rewolta uspokojona ustępstwami rządu z poprzedniej jesieni, ale rozszerzyła się także na nowe tereny. Epicentrum tego społecznego trzęsienia ziemi stanowiła teraz północna część Gujenny, Périgord. Na czele ruchu stanął tu szlachcic, Antoine de la Mothe la Foret. Richelieu stwierdzał potem, że został on przez insurgentów zmuszony do objęcia nad nimi dowództwa; faktem jest wszelako, że był aktywnym i dyktatorskim liderem ruchu. Potrafił dyscyplinować niekarne, rozlewające się masy chłopskich powstańców: dzięki temu możliwy był taki sukces, jak zdobycie przez rebeliantów silnie ufortyfikowanego miasta Bergerac. Znacznie też silniejsza niż w roku poprzednim była teraz kooperacja miast z wiejską rewoltą. Pan de La Mothe deklarował, że działa jako wierny sługa króla, który nic nie wie o podatkowym ucisku jego poddanych; narzucał swym podkomendnym respekt dla własności prywatnej i redukował program ruchu do działań antyfiskalnych. Nie budziło to zachwyty radykalniejszych rebeliantów: pojawiła się w ich szeregach opozycja, próbowano obalić dyktatora, pan de La Mothe replikował dalszym zaostreniem dyscypliny.

Główną rolę w zlikwidowaniu rebelii 1637 roku odegrali diuk d'Épernon, miejscowy gubernator, oraz jego syn diuk de La Valette; udało im się dość szybko spacyfikować sytuację, bo La Valette zabrał trochę wojska z frontu pirenejskiego, gdzie dowodził. Ponadto pan de La Mothe la Foret zaraz po pierwszych klęskach zdradził sprawę: za cenę amnestii dla siebie i swych przyjaciół porzucił zbuntowanych chłopów i nawet - wedle relacji Richelieugo - pomógł odzyskać Bergerac dla króla... Rząd planował szeroką amnestię po zmiążdżeniu rewolty, ale d'Épernon i diuk de La Valette nie śpieszyli się z jej ogłoszeniem: w końcu czerwca d'Épernon pisał do Séguiera, że mimo klęsk ludu w jego sercu żyją ciągle wściekłość i zła wola, a na ustach chłopów są nadal „zuchwałe i buntownicze przemowy”. Trzeba zatem terroru: okrutnych kar, konfiskaty mienia, burzenia domów!

Teraz już łatwiej było spacyfikować inne prowincje przy pomocy obietnic amnestii, małych ustępstw i siania strachu przed represjami. Dwór jubilował: stłumienie rewolt latem 1637 roku uwolniło króla i kardynała od wielkiego niepokoju. Richelieu gratulował diukowi de La Valette z wielkim wylaniem. Życzył mu, by w wojnie z Hiszpanią towarzyszyły mu takie same sukcesy jak w zwalczaniu „tych nieszczęsnych rewolt”. Życzenia się nie spełniły, mniejsza o to. Ważne jest, że w opinii kardynała oba niebezpieczeństwa, wojny zewnętrznej i wojny domowej, „wojny chłopskiej”, zdawały się nieść tę samą grozę.

Rok 1638 był nieco spokojniejszy, co poprawiło nastrój kardynała i natchnęło go nadzieją sukcesów w wojnie „zagranicznej”. Owszem, tliły się tu i ówdzie bunty - np. w Saintonge - ale ich rozmiar nie budził szczególnego niepokoju Eminencji. To jednak cisza przed burzą. Latem 1639 roku zaczął się ruch „bosonogich” w Normandii, który wyborny znawca przedmiotu Borys Porszniew określił jako próbę generalną Frondy. Nazwa rewolty wzięła się od robotników salin z Dolnej Normandii,

pracujących boso; problem polegał jednak na tym, że ruch nie ograniczał się do tych biedaków i do chłopów. Rebelie przetoczyły się pod koniec sierpnia przez Rouen, Bayeux, Caen. Ujawniły ciężkie pretensje do rządu ze strony kleru, urzędników, parlamentu, rentierów, burżuazji przemysłowej (w Rouen był rozwinięty przemysł tekstylny). Udział szlachty, kleru, mieszczan nadał powstaniu normandzkiemu szczególny rozmach i niezłą organizację. Jesienią 1639 roku „armia boleści” (*armée de la souffrance*), bo tak się nazwali insurgenci, liczyła już około 20 tysięcy ludzi.

Richelieu był negatywnym bohaterem tego ruchu. Oto wierszowany *Manifest Jana Bosonogiego, generała armii boleści*, jeden z wielu krążących wśród powstańców wierszy, pisanych z reguły przez ludzi wykształconych, zapewne księży (dodajmy nawiasem, że tajemniczy Jan Bosonogi identyfikowany był niekiedy ze szlachcicem, panem de Ponthébert). *Manifest* obiecuje wolność od podatków, ale też - uwaga - „całkowitą swobodę w Normandii”; stwierdza, że nie jest za późno bronić się, gdy „wojsko i pan kardynał zagarniają wszystkie nasze majątki i zasoby”. W Rouen protegowani Richelieugo, jakobini (to jest mnisi dominikańscy) zdjęli z bramy swego klasztoru herb kardynała.

Eminencja znów był ogromnie zaniepokojony. Bał się ożywienia separatyzmów normandzkich, irytował się udziałem „notabli” w tej chłopskiej wojnie, podejrzewał, że Anglicy mogą maczać palce w całej tej historii: Normandia zawsze przecież była, od czasów wojny stuletniej, bramą angielskiej infiltracji - militarnej, politycznej, gospodarczej - na francuską ziemię. W końcu sierpnia Richelieu pisze do Bouthilliera: „Dowiedziałem się o zamieszkach w Rouen, ale nie wiem, jakie wyszukać na to remedium. Niepodobna znaleźć żołnierzy, których tam od nas żądają, jeśli nie chce się zaprzepaścić wszystkich interesów króla i zostawić Francji na łup cudzoziemców. A nawet gdyby się chciało to zaryzykować, nie można by zastosować tego remedium przed upływem dwu miesięcy. Wyznam Waści, że nie pojmuję, czemu nie pomyśleliście uważniej o konsekwencjach decyzji, które podejmujecie w waszym zarządzie finansów... Moim zdaniem, tylko upływ czasu i rozsądne postępowanie tych, którzy tam są na miejscu, mogą zaradzić tym nieszczęściom”. Znowu więc zrzucił odpowiedzialność na swych współpracowników: owe decyzje zarządców finansów, Bouthilliera i Bulliona, były przecież wymuszone przez jego nieustanne naciski. Żądał coraz więcej pieniędzy na wojnę i dalibóg, nie miał prawa dziwić się ani oburzać, gdy ujawniały się konsekwencje podatkowej presji. W innym liście z tego samego czasu Richelieu żądał, by załatwić całą sprawę „przy pomocy rozwagi i zręczności, najlepiej, jak tylko można: bo spodziewać się teraz wykorzystania do tego celu żołnierzy to rzecz zupełnie niemożliwa”.

Ostatecznie udało się jednak wykorzystać poprawę koniunktury wojennej jesienią 1639 roku i posłać do Normandii pułkownika Gassiona z regimentami cudzoziemskimi znanymi z bezwzględności. Gassion brutalnie zmiażdżył rewoltę bosonogich; represjami kierował pobożny kanclerz Séguier, wytworny humanista. Otrzymał od króla, w grudniu, nieograniczone pełnomocnictwa; 2 stycznia 1640 roku wkroczył do Rouen.

Rozwiązał tutejszy parlament i władze miejskie, przywrócił wszystkie zakwestionowane podatki, nałożył kontrybucję na miasto, rozbroił milicję mieszczańską. Podobnie postępowano w innych miastach, w Caen, Bayeux... Kilkuset ujętych powstańców stracono.

Richelieu zachęcał do tej „przykładnej lekcji”. W ostatnich trzech latach jego życia rewolty nieco osłabły, ale nie wygasły: latem 1640 roku eksplodowała wielka rebelia miejska w Moulins, buntowali się w latach 1640-42 chłopci w Gaskonii, Saintonge, Poitou, Angoumois. Miało to ważne konsekwencje polityczne. Wrogowie kardynała w kraju i za granicą mogli sądzić - i twierdzić - że obalenie rządu odpowiadałoby gorącym życzeniom wielkiej masy ludu Francji. Zachęcało to arystokrację do wznowienia spisków i do prób ich zaszczepienia na rewolcie ludowej. Hiszpanów zaś pobudzało do kontynuowania wojny i do wspierania spisków i rewolt we Francji, aby w ten sposób obalić kardynała i przybliżyć korzystny dla Habsburgów pokój.





X. OSTATNIE WYZWANIA



REBELIA HRABIEGO DE SOISSONS

W szósty rok wojny i dekadę lat czterdziestych społeczeństwo francuskie wchodziło z wielkim wyczerpaniem, ale główny wróg, Hiszpania, też robił bokami. Utrata kontroli nad korytarzem reńskim i klęska pod Dover naraziły na wielkie niebezpieczeństwo prowincje hiszpańskie poza Półwyspem Iberyjskim; Mediolan, Franche-Comté i Niderlandy południowe zagrożone były bardziej niż kiedykolwiek. Ich los nie byłby tak niepewny, gdyby Madryt mógł liczyć na wsparcie Wiednia, ale Ferdynand III myślał już tylko o tym, jak przywrócić pokój w straszliwie zdewastowanej Rzeszy. Stosunki między nim a jego hiszpańskim kuzynem rozluźniły się, Olivares pojął, że na solidną pomoc cesarza nie ma co liczyć. Na domiar nieszczęść kryzys ekonomiczny wciąż trzymał Hiszpanię w uścisku, a nawet pogłębiał się.

Po raz pierwszy Olivares zastanawiał się teraz nad szansami rozejmu: bardzo mu zależało na uniknięciu wyczerpującej kampanii wiosenno-letniej 1640 roku Richelieu nie kwapił się, by odpowiedzieć na te balony próbne i wznowić sekretne rozmowy. U progu 1640 roku czuł przypływ wojowniczych nastrojów, bo podbudowały go dwa sukcesy: rozbitcie floty hiszpańskiej przez Trompa i łatwiejsze, niż przypuszczał, stłumienie rewolty normandzkiej. W końcu grudnia 1639 roku pisał do francuskiego ambasadora w Holandii, pana d'Estrades, że za wszelką cenę należy skłonić Zjednoczone Prowincje do takich działań, które pozwolą „zrównoważyć ostatecznie siłę morską Hiszpanii”.

Nie palił się do negocjacji z Olivaresem również dlatego, że ciągle się bał, by te jego sekretne rozmowy nie wyszły na jaw i nie wpłynęły na postawę aliantów, Szwecji i Holandii. Wiedział, że Hiszpanie próbują nawiązać sekretne rozmowy również i z Holandią: pisał o tym z niepokojem do Pujolsa. Wreszcie, żałosny stan ekonomiczny Hiszpanii nie był dla kardynała tajemnicą. Od 1640 roku wojna Francji i Hiszpanii przypominała pojedynek dwu bardzo już wyczerpanych pięściarzy, z których każdy poluje na jakieś nokautujące załamanie się przeciwnika. Odporność obu państw okazała się jednak bardzo wielka. Francja przetrwała falę ludowych rewolt i sparaliżowała nowe spiski arystokratyczne; Hiszpania zachowała zdolność do dalszej walki mimo secesji Portugalii i Katalonii na przełomie 1640 i 1641 roku, kiedy mogło się wydawać, że następuje rozpad dumnej monarchii Filipa IV.

Gdy więc w czerwcu 1640 roku Richelieu przyjął koło Compiègne

nowego wysłannika Olivaresa, Jakuba Brechta, z negocjacji tych nic nie wynikło: wymieniono jedynie wielką porcję komplementów. Pretekstem do przerwania rozmów był spór wokół kwestii kolonialnych. Hiszpanie domagali się, by Francja skłoniła swego holenderskiego alianta do restytucji zajętych obszarów Brazylii, podówczas kolonii hiszpańskiej. Tymczasem sam kardynał, podniecony klęską hiszpańskiej armady pod Dover, roił już o przeniesieniu wojny na dalekie morza, o zdobyczach na archipelagu Kanaryjskim, w hiszpańskich Indiach Zachodnich. Nęcił go też Gibraltar...

Na razie wypadło kontentować się skromniejszymi sukcesami na trzech frontach: wewnętrznym, włoskim i na wschodniej granicy Francji. Na tym pierwszym froncie Séguier z zimną premedytacją wypalał resztki rewolty w Normandii, już pokonanej militarnie przez Gassiona. Wykonywał dyrektywę Richelieugo, który mu oświadczył, iż żaden przykład surowości nie będzie „zbyt wielki”. W pierwszych miesiącach 1640 roku represje srożyły się więc, a Séguier swą gorliwością zadziwił, ale już nawet trochę niepokoił kardynała. Planował zburzenie ratusza w Rouen: na jego miejscu stanąć miała, jako ostrzeżenie, stosowna piramida. Richelieu uznał, że to jednak przykład już właśnie „zbyt wielki”, projekt zrodzony z nadmiernej gorliwości.

Na granicy północno-wschodniej wreszcie sukces bardzo świetny: po ciężkim, bardzo „uczonym” oblężeniu padła stolica Artois, miasto Arras, utracone przez Francję jeszcze w XV wieku, za króla Karola VIII. Obalona została wiarygodność porzekadła, wedle którego Francuzi zdobędą Arras dopiero wtedy, gdy myszy nauczą się łapać koty. Wysilek był ogromny, lecz się opłacił; 9 sierpnia 1640 roku wojsko francuskie weszło do miasta, którego posiadanie szczelnie kryło linie obronne na rzece Somme.

Na froncie włoskim po długim okresie niepowodzeń - pomyślna zmiana sytuacji. Richelieu był już gotów iść na wielkie ustępstwa dla szwagrów Krystiany, Tomasza i Maurycego Sabaudzkich. Tymczasem wiosną 1640 roku sprawę wziął w swe ręce nowy dowódca, hrabia Henri d'Harcourt. Pochodził z rodziny książąt lotaryńskich, nie był bardzo młody - zbliżał się do czterdziestki - i dopiero teraz mógł dać próbę swego talentu. Zwycięsko przetrwał sobie drogę do Turynu, gdzie miasto trzymali zwolennicy Tomasza Sabaudzkiego, ale cytadela była w rękach Francuzów. Od wiosny aż do końca lata 1640 roku Turyn i jego okolice to osobliwy przekładaniec. W cytadeli są Francuzi, miasto oblega cytadelę, d'Harcourt oblega miasto, a sam z kolei jest atakowany przez wojska hiszpańskie! Ostatecznie Leganes, hiszpański gubernator księstwa Mediolanu, zniechęcił się i wycofał swe oddziały spod Turynu. Pan d'Harcourt dogadał się wówczas z Tomaszem Sabaudzkim, ale - ku wielkiej irytacji kardynała - pozwolił mu swobodnie opuścić Turyn. Wypadło porozumieć się z wojowniczym księciem Tomaszem, skoro nie udało się go wziąć do niewoli. To zadanie przypadło Mazariniemu, który - w przeciwieństwie do Richelieugo - zawsze żywił uczucia sympatii do Sabaudii i jej książęcej dynastii. Przebiegły Włoch odniósł sukces dyplomatyczny, którego Richelieu będzie mu gratulował. W 1642 roku położono kres konfliktowi Tomasza i Maurycego z Krystianą: regencja została podzielona między całą trójkę, Tomasz Sabaudzki

odwrócił się od Hiszpanów i przyjął quasi-protektorat francuski. Garnizony francuskie trzymały mocno liczne twierdze sabaudzkie zagrażając Mediolanowi.

W kampanii 1640 roku koordynowano wreszcie działania zbrojne w Niemczech, prowadzone przez Szwedów i Francuzów. Armia hrabiego de Guébriant, której trzonem były wypróbowane regimenty zmarłego księcia Bernarda, współdziałała z armią Banera. Nie było to łatwe: strategiczne ambicje Richelieugo niezupełnie się zgadzały z zamysłem Oxenstierny, ponadto Baner nie należał do łatwych partnerów, zwłaszcza gdy się upił, co było u niego stanem normalnym. Pustoszone jednak różne regiony Rzeszy; Baner otarł się nawet o szansę niespodziewanego wzięcia Ratyzbony, gdzie jesienią 1640 roku zebrał się właśnie Sejm Rzeszy, by radzić nad pokojem wewnętrznym w Niemczech. Sejm ów miał wielką ochotę ratować wreszcie zdewastowaną ojczyznę Niemców. Rozważano kwestię pokoju powszechnego w Rzeszy na zasadach status quo z roku 1618, to jest sprzed początku wojny. Chciano także dogadać się jakoś ze Szwedami, ale Richelieu uzyskał od Oxenstierny nowe zapewnienia, iż nie będzie odrębnego pokoju Szwecji z cesarzem: w połowie 1641 roku odnowiony został, z taką klauzulą, alians francusko-szwedzki. Kilka miesięcy później dyplomaci cesarscy, francuscy i szwedzcy podpisali w Hamburgu ustalenia, zgodnie z którymi w Monasterze miały się wnet rozpocząć rokowania pokojowe między Francją i cesarzem, w Osnabrück między cesarzem i Szwecją. Idea dwu kongresów nabierała ciała, pokój z Ferdynandem III wydawał się kardynałowi bliski. Ale rokowania nie zaczęły się w zaplanowanym terminie, na pokój westfalski wypadło czekać jeszcze całe lata. Zawarto go w roku 1648, sześć lat po śmierci kardynała.

Przełom 1640 i 1641 roku zdawał się świadczyć o załamaniu politycznym Hiszpanii. Zaczęło się to wszystko bardzo niewinnie. Jak zwykle gdy zbliżała się pora żniw, tak i w czerwcu 1640 roku z górskich okolic Barcelony ściągnęli do miasta *segadores*, żniwiarze, to jest górale, którzy się tu wynajmowali do letnich prac polowych. Z pałacu wicekróla, w niejasnych okolicznościach, strzelono do tłumu i zaczęły się zamieszki, których natężenie rosło. Wicekról musiał uciekać, co go nie uratowało przed śmiercią; na przysłanych z Madrytu kastylijskich dygnitarzy Katalończycy zaczęli urządzać polowania. Szlachta katalońska, przywiązana do autonomicznych tradycji swej prowincji, proponowała Olivaresowi, że sama uśmierzy zamieszki, jeśli rząd ogłosi amnestię i wycofa swe wojska. Olivares nie chciał o tym słyszeć. W tej sytuacji powstała przepaść między całą ludnością Katalonii i rządem króla Filipa IV.

Richelieu już wcześniej interesował się separatyzmem Katalończyków; ich insurekcja była dlań wspaniałą gratką, bo z natury rzeczy musieli oni zwrócić się o pomoc do Francji. Kardynał posłał do Barcelony świetnego sapersa i zdolnego dyplomate, pana du Plessis-Besançon. 16 grudnia 1640 roku podpisał on traktat o sojuszu francusko-katalońskim, przygotował umiejętnie obronę Barcelony i uczestniczył w walce. W styczniu 1641 roku wojska króla Filipa zostały odparte; spośród wielkich miast katalońskich rząd madrycki utrzymał jedynie ważny port, Tarragonę. 23 stycznia 1641

roku Kortezy Katalonii zdetronizowały Filipa IV i wybrały Ludwika XIII władcą Katalonii z tytułem hrabiego Barcelony. Co za zwycięstwo w pojedynku Richelieugo z Olivaresem, cóż za upokorzenie dla Madrytu!

Sytuacja nie była jednak łatwa, ponieważ pomiędzy Francją i Katalonią leżała niewielka, lecz dobrze ufortyfikowana prowincja Roussillon; Hiszpanie twardo trzymali tutejsze twierdze, Salces, Collioure i przede wszystkim Perpignan. Zdobycie Perpignan i zajęcie Roussillonu będzie celem ostatniej - i zwycięskiej - kampanii króla Ludwika XIII, wiosną i latem 1642 roku. Ponieważ w średniowieczu były takie czasy, gdy Roussillonem władali królowie Francji, Richelieu mógł zaplanować zwyczajną aneksję tego hiszpańskiego terytorium; co się tyczy Katalonii, sytuacja była inna, można było jedynie myśleć o utrwaleniu jej unii personalnej z Francją.

Od jesieni 1640 roku Paryż udzielał ograniczonej pomocy zbrojnej katalońskim insurgentom, ale główny ciężar akcji na tym obszarze miał przypaść flocie francuskiej. Richelieu, szef marynarki, bardzo liczył na to, iż sukces całej kampanii rozstrzygnie się na morzu. Ale admirał-arcybiskup de Sourdis opierał się dyrektywom kardynała, ku wielkiej jego irytacji. Przynaglany mocno podjął działania, z sukcesem, w marcu 1641 roku; jednakże w sierpniu tego roku nie powiodła się Francuzom skombinowana operacja lądowo-morska, mająca na celu zdobycie Tarragony. Hiszpanie przepędzili eskadrę Sourdisa, co stało się przyczyną niełaski tego zdolnego admirała.

Ludwik XIII zgodził się, by jego namiestnikiem w Katalonii został marszałek de Maillé-Brézé. Ta kreatura kardynała dołożyła wielu starań, aby w Barcelonie wystąpić jak najokazalej; jako wicekról pan de Brézé ujawnił jednak jeszcze mniej talentu niż jako dowódca. A że stanowisko było delikatne i wymagało wielkich dyplomatycznych talentów, jeszcze za życia kardynała zaplanowano jego usunięcie: Brézégo miał zastąpić pan de La Mothe-Houdancourt.

Trochę później niż w Katalonii wybuchło powstanie w Portugalii, która od 1580 roku stanowiła prowincję Hiszpanii. Tutejsza szlachta od dawna planowała wykorzystać trudności rządu w Madrycie do odzyskania niepodległości kraju; emisariusze portugalscy docierali do kardynała i prosili go o morską pomoc Francji w decydującym momencie. Insurekcja portugalska eksplodowała w grudniu 1640 roku i skupiła się wokół księcia Jana z dynastii Braganzów: został on proklamowany królem Portugalii. Król Jan IV zawarł z Ludwikiem XIII, w lutym 1641 roku, antyhiszpański alians. Francja udzieliła Portugalii wsparcia zbrojnego na morzu. Uzyskała w zamian sojusznika, który wiązał na zachodniej granicy państwa Filipa IV, a także na morzu część sił hiszpańskich. Kardynał miał powody do zadowolenia.

Inny drobny sukces: oderwanie od wrogów Francji księcia Karola Lotaryńskiego. Dysponował on ciągle niewielką, ale bitną armią i odgrywał rolę habsburskiego kondotiera. Co więcej, miał licznych zwolenników w Lotaryngii. Zmuszało to Francuzów do nieustannego tłumienia oporu lotaryńskiej ludności, ale bardzo ostre represje wywoływały tylko nowe przejawy wrogości. Warto było się pokusić o jakiś układ z Karolem. Książę

Lotaryński miał dość osobliwe kłopoty: zawarł za życia żony drugie małżeństwo. Richelieu łudził bigamistę nadzieją, że na jego prośbę kuria papieska uzna to nowe małżeństwo. Obietnice kardynała i znużenie długimi walkami skłoniły Karola IV do sygnowania układu z Francją (29 III 1641). Teoretycznie Karol odzyskiwał władzę w Lotaryngii, ale pod przygniatającym protektoratem Francuzów, którzy mieli trzymać tu decydujące punkty strategiczne. Richelieu uważał, że zawierając ów układ daje dowód umiaru. Wrogowie Francji, a i papież Urban, domagali się przecież zawsze restytucji Lotaryngii jej księciu: oto mają to, czego chcieli, a Francja nie wypuszcza z rąk swej Lotaryńskiej zdobyczy... Ale chytry Karol IV w przeddzień podpisania traktatu - nastąpiło ono w Paryżu - złożył u notariusza deklarację anulującą z góry swe zobowiązania wobec Francji jako wymuszone! Wnet też przysłyły nowe konflikty wokół wykonania owych zobowiązań i Francuzi przywrócili okupację Lotaryngii, a Karol znów poszedł na wygnanie ze swą armią.

Na początku 1641 roku sytuacja Hiszpanów stała się tak trudna, że w marcu kardynał-infant Don Fernando alarmował swego brata, króla Filipa IV: „Jeśli wojna z Francją ma się toczyć dalej pisał - to nie będziemy mieli środków na działania ofensywne. Wojska hiszpańskie i cesarskie są tak osłabione, że niczego nie mogą przedsiębrać. Jest tylko jeden sposób: stworzyć sobie zwolenników we Francji...” Ta dobra rada inteligentnego kardynała-infanta bardzo się podobała Olivaresowi. Skoro Francuzi tak aktywnie wspierają „buntowników” portugalskich i katalońskich, byłoby wybornie odplacić im pięknym za nadobne, poprzeć rebelię we Francji.

Okazji dostarczył hrabia de Soissons. Od czterech lat siedział on w Sedanie, u gościnnego księcia de Bouillon: obaj panowie uczynili z Sedanu ośrodek politycznych intryg przeciw kardynałowi. No, nie mieli na to monopolu. Książę Cezar de Vendôme, który już dawno znikł z politycznej sceny, jesienią 1640 roku został oskarżony przez pewnego mnicha o to, iż namawiał grupę zakonników do zamordowania Richelieugo. Owi mnisi zaplątani byli w aferę z fałszowaniem pieniędzy; pikanterii dodaje tej sprawie fakt, że i sam Vendôme podejrzewany był o maczanie palców w fałszerstwach tego rodzaju... Pan de Vendôme protestował gorąco przeciw oskarżeniom o próbę zamachu na kardynała; na wszelki wypadek jednak wolał zwać do Londynu. Być może naprawdę oskarżano go niesłusznie.

Ale Sedan stał się prawdziwym gniazdem intryg. Do hrabiego de Soissons i księcia de Bouillon dołączył się trzeci narwaniec, Henri diuk de Guise. Miał on już nominację na arcybiskupa Reims, ale nie chciał chodzić w sutannie, zamierzał zrzec się arcybiskupiej godności i poślubić Annę Gonzagę de Nevers, siostrę Marii Ludwiki. Był bardzo zły, że Richelieu mu w tym przeszkadzał. „Jakże to rzekł mu ponoć kardynał - ma Waść czterysta tysięcy dochodu [z arcybiskupstwa] i zamierza zrzec się tak wspaniałego kąska dla kobiety? Podziwiam pana! Inni poświęciliby czterysta tysięcy kobiet, gdyby je mieli, w zamian za to, co pan chce porzucić!” Agentem hrabiego de Soissons w Paryżu był jego oddany przyjaciel, młody Jean-François-Paul de Gondi, późniejszy kardynał Retz. Mimo diabelskich talentów do politycznej intrygi młody Retz nie kwapił się z uczestnictwem we wcześniejszych arystokratycznych spiskach. Jeśli

teraz odstąpił od tej chwalebnej wstrzemięźliwości, to nie tylko z przyjaźni dla hrabiego de Soissons. Jako bardzo młody człowiek Retz napisał historię słynnego geneńskiego sprzysiężenia Fieska, któremu później poświęcił swój dramat Fryderyk Schiller. Otóż Retz twierdził już wówczas, że masa ludu jest siłą potężną, a ślepą: łatwo jest pokierować tą ślepą nienawiścią ludu do rządzących i wykorzystać ją do własnych celów. Wielkie żakerie chłopskie lat trzydziestych, a zwłaszcza powstanie normandzkich bosonogich, skłaniały Retza do opinii, że Francja jest podminowana nienawiścią do rządów Richelieugo.

Gdy zatem uznał, iż konspiracja hrabiego de Soissons, nader popularnego w opinii społecznej, może doprowadzić do rewolucji ludowej w Paryżu i w kraju - przyłączył się do niej i aktywnie działał, by nadać intrydze wymiar czegoś dużo większego od zwykłej rewolucji pałacowej. W pamiętnikach Retza znajdujemy opis kupowania przychylności ludu paryskiego dla przyszłej rewolty. Autor stwierdza bardzo przenikliwie, że zamożni *bourgeois* niechętnie przyłączają się do zamieszek; że żebracy „więcej szkodzą, niż pomagają, gdyż obawa rabunku sprawia, iż każdy od nich stroni”. Pozostaje więc wielka masa ludu, ci, „których ciężkie warunki skłaniają do pożądania zmian, a których ubóstwo nie jest tak wielkie, by byli skazani na życie z jałmużny”. Zabiegi Retza wśród paryskiego ludu były bez wątpienia skuteczne. Już po rozsypaniu się rebelii wskutek śmierci hrabiego de Soissons znany nam szpieg Richelieugo, Ojciec Carré, tak pisał do swego patrona: „Gdyby pan hrabia nie został zabity, byłby dobrze przyjęty przez połowę Paryża: takie jest powszechne mniemanie ogółu; wszyscy też sądzą, że cała Francja do niego by się przyłączyła”. Później, w okresie Frondy, Retz zasłynął jako wirtuoz takiej akcji politycznej. Przy pomocy kleru parafialnego, przemówień, kazań, broszur, jałmużn - roztoczył kuratelę nad sporą częścią paryżan, grał na ich nastrojach i skłaniał do działania po stronie frondystów. Był to prawdziwy majstersztyk demagogii.

Konspiracja hrabiego de Soissons nie tylko w stolicy usiłowała się zaszczepić na ruchu ludowym. Wspomnieliśmy już o radykałach, którzy podczas rewolty ludowej 1637 roku w Périgord usiłowali obalić dyktaturę pana de La Mothe la Foret. Otóż jeden z tych radykalnych przywódców, niejaki Pierre Greleti, przetrwał klęskę ruchu i przez wiele lat z doborowym oddziałem buntowników uprawiał partyzantkę. W 1641 roku dotarł do niego pan de Madaillan, emisariusz hrabiego de Soissons, i zaczął namawiać, by postarał się poderwać masy do rewolty pod hasłem obalenia tyranii Richelieugo. Agenci rządu dowiedzieli się o tych rozmowach i ze swej strony zaproponowali Greletiemu ulaskawienie i przejście, z całym jego oddziałem, na służbę królewską. Greleti się zgodził; wraz ze swymi ludźmi służył potem na froncie włoskim i wytrwał w tej służbie rządowi aż do śmierci na polu bitwy. Oczywiście nie przesądzało to sprawy. Gdyby rewolta hrabiego de Soissons nie załamała się zaraz na początku, jej hasła - zawarcie pokoju, obalenie „tyranii”, ulgi podatkowe - mogłyby znaleźć solidny odzew w masach francuskiego ludu.

Konspiracja miała jeszcze inne atuty. Jednym z nich było utrzymywanie sekretu. Richelieu oczywiście domyślał się, iż Sedan stanowi gniazdo

intryg, ale o spisku wiedział mało. Stąd też się wzięła wspomniana już propozycja kardynała, by hrabia de Gassion, pogromca „bosonogich”, wszedł do spisku w charakterze rządowego szpiega. Innym atutem konspiratorów było ogromne zainteresowanie władz hiszpańskich i cesarskich, z kardynałem-infantem na czele, powodzeniem ich działań. „Książęta Pokoju” - taką nazwę nadali sobie panowie de Soissons, de Bouillon i de Guise - mogli liczyć na solidne wsparcie zbrojne hiszpańskimi i cesarskimi posiłkami. A to bardzo ważne, bo finansowe i militarne zasoby spiskowców były ograniczone. Jednakże hrabia de Soissons długo wahał się przed podjęciem negocjacji z wrogami kraju.

U schyłku 1640 roku rząd złapał ślad konszachtów między hrabią a emigrantami siedzącymi w Londynie: panami de Soubise i de La Valette. Ujęto bowiem łącznika między „antykardynalistami” w Londynie i opozycją we Francji i w Sedanie. Zaczęła się wymiana słodkokwaśnych listów między królem i kardynałem a hrabią. Soissons słał Ludwikowi XIII wiernopoddańcze pisma, kardynałowi natomiast - listy utrzymane w tonie nader wyniosłym. Zarzekał się, że jest absolutnie niewinny. Konfident hrabiego, Campion, który prowadził w Paryżu delikatne rozmowy z władzami, twierdził, i król jest dobrze usposobiony, natomiast Richelieu psuje mu całą robotę.

Zimą 1641 roku kardynał zwierzał się dyplomacie weneckiemu Correrowi, że ma dowody negocjacji książąt z Sedanu, panów de Soissons i de Bouillon, z kardynałem-infantem w Brukseli. Prosił Correra, by pomógł wyciągnąć ze spisku zaprzyjaźnionego z dyplomata diuka de Guise. Correr podjął się tej misji, lecz nie odniósł sukcesu. Richelieu zgadzał się już na to, by Guise porzucił arcybiskupstwo Reims i ożenił się z Anną Gonzagą. Nic nie pomogło. Młody diuk de Guise wstąpił w ślady swego ojca, niedawno zmarłego na emigracji we Włoszech, który przez wiele lat wojował z kardynałem,

Bez wątpienia Richelieu oceniał spisek sedański jako wyjątkowo groźny. Retz pisze, że gdy porozumienie z Hiszpanami było już bliskie podpisania, kardynał zaproponował hrabiemu de Soissons ugodę na zachęcających warunkach. Hrabia, znany z niezdecydowania - świadczą o tym losy „spisku z Amiens” - był już skłonny ulec. Podobno Saint-Ibar i Retz, który specjalnie pojechał do Sedanu, przez całe dwa dni musieli przekonywać hrabiego. „Może raczej zgwałciliśmy go, niż przekonali” - stwierdza Retz.

Skoro mowa o spisku z Amiens warto zwrócić uwagę na pewną osobliwość sytuacji. Oto współnik hrabiego z tamtej konspiracji, Gaston, dusza wszystkich intryg od czasów kabały hrabiego de Chalais, nie wziął udziału w spisku sedańskim! O, nie oznacza to, że go nie próbowano doń wciągnąć. Diuk de Guise wysłał do Gastona, do Blois, niejakiego pana de Vaucelles z misją pozyskania królewskiego brata. Monsieur był jednak uprzedzony przez Richelieugo, że Vaucelles będzie go wciągał do spisku. Powstało teraz bardzo ucieszne imbroglio. Po ostrzeżeniu ze strony kardynała Gastonowi trudno było postąpić inaczej, jak aresztować emisariusza, co też zrobił. Po cichu jednak umożliwił panu de Vaucelles ucieczkę, w przekonaniu, że robi doskonały kawał Jego Eminencji. Nie wiedział, że Vaucelles jest podwójnym agentem, służy spiskowcom, ale tak

naprawdę jest szpiegiem kardynała. Ludwik XIII był wielce zadowolony z lojalne postawy swego brata. Wszelako Richelieu, wystawiając tę lojalność na próbę, wolał zanadto nie ryzykować... Aż miło patrzeć, jak w tej całej historii kardynał wszystkich przechytrzył.

Ale i bez udziału Gastona spisek był niezwykle niebezpieczny. Wiosną 1641 roku układ z kardynałem-infantem został podpisany. Cesarski generał Lamboy przyproceedził do Sedanu solidne posiłki: siedem tysięcy dobrego żołnierza; Soissons też robił zaciągi. 6 lipca 1641 roku armia pod wodzą hrabiego de Soissons starła się tuż pod Sedanem, koło lasu la Marfée, z równą mniej więcej co do liczebności armią marszałka de Châtillon. Wojsko królewskie poniosło w bitwie pod Marfée zdecydowaną klęskę. Wiadomość o niej poruszyła Richelieugo. Droga przez Szampanię do Paryża stanęła przed hrabią otworem; jako gubernator Szampanii pan de Soissons cieszył się tu dużą popularnością wśród szlachty i rewolta mogła się rozlać jak tłusta plama.

Dopiero po kilkunastu godzinach następny kurier przyniósł kardynałowi dobrą wiadomość: Soissons zginął w zwycięskiej bitwie. „Nie znalazł się nigdy nikt - pisze Retz - kto by umiał powiedzieć, jak to się stało”. Hrabia zabity został wówczas, gdy właściwie było już po bitwie (trwała ona ledwie trzy kwadransy), wśród swoich: nic tedy dziwnego, że pewne wzięcie miała pogłoska o szpiegu kardynała, który wkradł się w otoczenie hrabiego i zdołał go zabić. Ponieważ Soissons otrzymał śmiertelną ranę tuż nad prawym okiem, więc dawano wiarę i innej wersji: że hrabia podnosił przyłbicę hełmu lufą nabitego pistoletu - podobno miał zwyczaj tak robić i pistolet nagle wypalił. Mówiono także o potyczce z zabłąkanym oddziałem żołnierzy (ponoć byli to żandarmi Gastona Orleańskiego), w którą Soissons wdał się niepotrzebnie i która kosztowała go życie.

„Śmierć hrabiego pozbawiła życia i jego partię, która rozsypała się w rezultacie tej straty” - raportował dyplomata wenecki Girolamo Giustiniani. W istocie, bez udziału przynajmniej jednego księcia krwi szanse takiej rewolty były nikłe, nie miała ona nawet pozoru walki „w obronie króla przed tyranją kardynała”. Ludwik XIII zachował tak wielki rankor do swego zabitego kuzyna, że chciał urządzić hrabiemu de Soissons pośmiertny proces o zdradę i odmówić mu pogrzebu na francuskiej ziemi, obok jego przodków. Na bardzo natarczywe interwencje Richelieugo zgodził się zrezygnować z tych szykan. Wraz ze śmiercią hrabiego wygasła młodsza linia królewskiej rodziny, Bourbon-Soissons. Żałowała go zwłaszcza córka Gastona, z którą bardzo chciał się żenić.

Diuk de Guise został skazany zaocznie na śmierć, ale po zgonie Richelieugo powrócił do Francji i żył jeszcze z' górą czterdzieści lat. Trzeci spiskowiec, Bouillon, zdołał zawrzeć układ z rządem za pośrednictwem Subleta de Noyers. Otrzymał amnestię i zachował swe księstwo Sedanu, ale musiał przyjąć do swej stolicy francuski garnizon. W sierpniu spotkał się z królem w Mézières i podobno klęczał przed Ludwikiem przez cały kwadrans! Przy tej okazji odbył z nim poufną rozmowę 21-letni faworyt króla, markiz de Cinq-Mars. Sondował Bouillona w kwestii kontynuowania sekretnej walki z kardynałem, ale nie znalazł u zniechęconego księcia odzewu. Na razie.



KONSPIRACJA CINQ-MARSA

Oddajmy głos markizowi de Montglat: „Richelieu widząc, że król nie może się obejść bez faworyta i że nie wziął sobie żadnego po oddaleniu diuka de Saint-Simon, wybrał tego właśnie [Cinq-Marsa] na jego miejsce, aby mieć swoją kreaturę przy osobie Jego Królewskiej Mości; król mógłby mu się zwierzać, a ten miałby baczenie, by zapobiegać wszystkiemu, co by się działo wbrew interesom kardynała”.

Montglat dodaje, że Richelieu popchnął Cinq-Marsa ku monarsze, aby się pozbyć panny de Hautefort, która powróciła do łask króla po zamknięciu się panny de La Fayette w klasztorze. „Bo miłość króla - pisze dalej Montglat - nie była taka jak innych mężczyzn: kochał pannę bez zamiaru otrzymania jej faworów i żył z nią na stopie przyjacielskiej. Tak więc, jakkolwiek nie jest rzeczą niemożliwą mieć zarazem kochankę i przyjaciela, do króla się to nie mogło stosować”. Innymi słowy: zadurzenie się Ludwika w młodym chłopcu musiało doprowadzić do zerwania z nieprzyjazną kardynałowi panną.

Henri d'Effiat markiz de Cinq-Mars, chłopak zupełnie wyjątkowej urody, był sierotą po starym współpracowniku i przyjacielu kardynała, ministrze i marszałku d'Effiat, zmarłym w 1632 roku, gdy Henri miał zaledwie dwanaście lat. Richelieu opiekował się serdecznie wdową i dziećmi nieboszczyka. Gdy zobaczył, że Henri wyrasta na pięknego i sympatycznego młodzieńca, doszedł do wniosku, że można połączyć moralne satysfakcje opieki nad sierotą z niemalym politycznym pożytkiem. Z pewnością doskonale sobie zdawał sprawę z homoseksualnych skłonności króla: był o wiele za inteligentny, by tego nie dostrzec. Niewykluczone, że i młody człowiek wiedział, co go może czekać, bo gdy Richelieu postanowił zbliżyć go do króla, stawiał dość żywy opór. Kardynał zwrócił się wówczas do marszałkowej d'Effiat, roztaczając przed nią wspaniałe perspektywy kariery jej syna. Ambitna dama przywołała do porządku nieposłusznego potomka.

Cinq-Mars miał wówczas 18 lat. Król, znużony nieustannymi kłótniami z panną de Hautefort, zauważył młodego człowieka i zgodził się dać mu urząd wielkiego mistrza garderoby królewskiej, choć wcześniej przyrzekł go już komu innemu. Królewskie zamiłowanie do prawienia kazań mogło znaleźć ujście: Cinq-Mars nie prowadził się zbyt moralnie i Ludwik z satysfakcją usiłował sprowadzić go na drogę cnoty.

Uczuciowe zbliżenie nastąpiło latem 1639 roku, gdy Cinq-Mars towarzyszył królowi podczas kampanii wojennej w Artois, a potem podczas podróży do Szampanii, Lyonu i Delfinatu (we wrześniu Ludwik spotkał się w Grenoble z Krystianą, wypędzoną z Turynu). Młody człowiek oczarował króla swą wesołością, inteligencją, urodą; w latach wojny jedynie w podróży i na polu walki Ludwik tracił swe „melancholie”, miał dobry humor i był podatny na wesołość innych. Po powrocie na dwór król ujawniał tak ogromne zadurzenie, że zdumieni starsi dworzanie

przypominali sobie opowieści o namiętej miłości Henryka Walezego do młodego diuka d'Epemon. Od tamtych czasów, to jest od sześćdziesięciu lat, nie widziano czegoś podobnego!

Faworyci Ludwika XIII - Barradas, Saint-Simon - mieli, to już rodzaj tradycji, urząd pierwszego koniuszego (stąd ich potoczne określenie jako „panów Pierwszych”). Cinq-Mars oświadczył, że on nie jest przecież hołyszem, jak tamci dwaj, ale synem marszałka Francji. Nie chce zatem ich funkcji: tytuł Monsieur le Premier to dla niego za mało, należy mu się urząd wielkiego koniuszego. Król uległ, wykupił ów urząd od diuka de Bellegarde. Od listopada 1639 roku Cinq-Mars był wielkim koniuszym; na dworze zwano go po prostu „pan Wielki”, Monsieur le Grand. W tym samym czasie rozstrzygnęły się losy nieznośnej panny de Hautefort. Usiłowała obgadywać nowego faworyta i została wygnana z dworu, a wnet i z Paryża. Niełaska dotknęła i jej przyjaciółkę (a przy okazji szpiega Richelieugo), pannę de Chemerault, która była kochanką Cinq-Marsa. Nic się nie stało: Monsieur le Grand pocieszał się ze słynną kurtyzaną, Marion Delorme, którą tylko przejściowo zaćmiła piękna, a uboga (la Belle Gueuse) Chemerault.

To zdumiewające, jak bardzo niedobraną parą byli Ludwik XIII i „pan Wielki”. Tallemant stwierdza, że król lubił wszystko, czego Cinq-Mars nienawidził, i odwrotnie. Niejednokrotnie upraszczano tę sprawę, sprowadzając ją do obyczajów i mody. Oto z jednej strony król, oszczędny, wrogi luksusowi i modzie (Tallemant opisuje, jak podczas bankietu w Dijon wziął łyk wina i plunął nim na pierś modnie wydekoltowanej damy), z drugiej - Cinq-Mars, dandys, którego elegancja przeszła do legendy, kochający się w jedwabiach, koronkach, perłach, pachnidłach; słynnej „świętości” króla przeciwstawiają się rozpustne skłonności faworyta. Chyba jednak krzywdzące dla Cinq-Marsa byłoby pokazywanie go jako próżnego fircyka. Był to amator dobrej literatury, kolekcjoner dzieł sztuki: zbierał wspaniałe arrasy, wschodnie dywany, porcelanę, obrazy i wypełniał nimi rodowy zamek w Chilly oraz paryski pałac de Clèves, tuż obok Luwru. Miał naprawdę piękne powozy, konie, uprząże. Sławne były jego meble, podziwiano jego łazienki, niebywale luksusowe. Sądząc z portretów, stroje Cinq-Marsa, choć bardzo kosztowne, są w doskonałym guście. Słyszała także jego kuchnia. Jakże to się różni od zamiłowań Ludwika, który nie ceni literatury i sztuki, interesuje się końmi, psami i ptakami, hoduje zielony groszek i smaży konfitury, chodzi ubrany jak zwykły liniowy oficer. Ludwik je skromnie, nie lubi kobiet, nie znosi hulanki. Jego zainteresowania kulturalne zaspokaja układanie baletów, gra na lutni, amatorskie malowanie. I oto nagle król potulnie aprobejuje gusty swego arcywytornego faworyta, ba, uczestniczy nawet w jego hulankach, tańcach, hałaśliwych pijatykach. Wkrótce zresztą Ludwikowi zbrzydł taki sposób spędzania czasu: oświadczył, że i on, i Cinq-Mars mają dosyć birbanctwa. Ale faworyt po prostu czekał, aż król pójdzie do łóżka; po monarszym *coucher* wyrwał się do miasta, spędzał wesoło nockę i nad ranem wracał. Długo odsypiał swe szalone noce i król, ranny ptaszek, irytował się, że *cher ami* - tak zwał Cinq-Marsa - nie dotrzymuje mu towarzystwa. Gdy się dowiedział, że faworyt spędza noce u Marion

Delorme, i gdy rozeszły się pogłoski, że chce się z nią żenić (a może nawet już potajemnie wziął ślub z kurtyzaną) wpadł w furję. Bo - jak pisze w swych pamiętnikach Nicolas Goulas - król „postępował ze swymi faworytami jak pies ogrodnika, który sam nie jada kapusty i drugiemu nie da”. To prawda, Ludwik nie znosił myśli, że jego *mignons* mogliby się ożenić.

Zaczęły się tedy gorzkie żale wylewane przed kardynałem: Cinq-Mars jest zarozumiały, leniwy, bezczelny, niezdolny, rozrzutny. Lubi przynosić złe wiadomości i mrozić swymi komentarzami wiadomości dobre. Lubi też krytykować decyzje króla. Zarzuca monarsze, że nie dotrzymuje swych obietnic i że nie można z nim rozmawiać inaczej, jak tylko w obecności notariusza. Jego odpowiedzi są zuchwałe; oto kiedyś rzekł królowi: „Myślcie, Panie, raczej o swych armiach niż o tym, w jaki by tu sposób mnie dręczył od rana do wieczora!” Mówi coś - a potem bezwstydnie wypiera się własnych słów. Kłamie i kolportuje fałszywe wiadomości. I tak dalej, i tak dalej.

Pytanie: czemu nie przepędził z dworu tak niezdolnego faworyta? Panna de Hautefort dręczyła go swą kłótnością i złośliwością; zamienił ją na Cinq-Marsa i oto wpadł z deszczu pod rynnę. Zapewne w tym kapryśnym despicie rys okrucieństwa szedł w parze z niejaką skłonnością masochistyczną: to się przecież często zdarza. Można też przyjąć, że emocjonalne związki z Cinq-Marsem wzmacniał potężny pociąg fizyczny, którego do panny de Hautefort nie odczuwał. Kardynał napisał kiedyś znamienne notatkę: oto król „chciałby, aby [Cinq-Mars] zadowolili się jego karesami i nie naruszał jego sakiewki... Lepiej wszakże byłoby, gdyby już otwierał przed nim sakiewkę, a nie ujawniał tajemnic państwowych”. To znamienne, bo z trzech królewskich słabości „karesy” mniej rażą Eminencję od rozrzutności i niedyskrecji. O tych karesach pisał również Tallemant, cytując świadków. Oto przyjaciel zastaje Cinq-Marsa, który się naciera perfumowaną oliwą „od stóp aż do głowy” i kładzie do łóżka; zaraz potem wchodzi do pokoju król... „Wyglądało to chyba tak... jak gdyby namaszczał się niczym zawodnik przed walką”. I inna anegdota Tallemanta: król w podróży kładzie się wcześniej; Cinq-Mars przybywa „wystrojony jak oblubienica”, król każe mu się szybko rozebrać i położyć do tegoż łóżka. „Jeszcze *mignon* nie znalazł się w łóżku, a już mu całował ręce”. Doprawdy, nie warto roztrząsać, czy Ludwik XIII, panicznie bojący się piekła, grzeszył ze swym faworytem w sposób kompletny, czy też zatrzymywał się w pół drogi. Istotne jest, że wiązał go z Cinq-Marsem ów fizyczny pociąg - i nie pozwalał oddalić zuchwalca.

Richelieu odgrywał w tym stosunku rolę niewdzięczną: wprzód rajfura, potem mediatora. Król wylewał przed nim swe żale na młodzika, kardynał zmywał głowę Cinq-Marsowi i obie „strony” zawierały na piśmie kolejny „układ przyjaźni” gwarantowany przez Richelieugo. Są to teksty niezwykle zabawne, produkt prokuratorskiej czy notarialnej mentalności króla. Oto pakt z 26 listopada 1639 roku, zawarty po jakiejś burzy: „My, niżej podpisani, poświadczamy, komu należy, że jesteśmy z siebie wzajem bardzo kontenci i zadowoleni, że nigdy nie rozumieliśmy się jeszcze tak doskonale jak teraz, a na dowód tego podpisaliśmy ten certyfikat”. Albo

pakt z 9 maja 1640 roku z wzmianką o mediatorskiej roli Eminencji: „Dzisiaj, podczas pobytu króla w Soissons, Jego Królewska Mość miał przyjemność przyrzec panu Wielkiemu, że podczas całej tej kampanii nie będzie się nigdy na niego gniewać; a gdyby się zdarzyło, że wspomniany pan Wielki da mu po temu jakiś błahy powód, skarga na to będzie złożona przez Jego Królewską Mość panu kardynałowi, i to bez złości...”

Przez dwa lata pan kardynał wykonywał owe funkcje mediacyjne, które ktoś porównywał do starań rajfurki łagodzącej kłótnie między zamożnym starszym lowelasem i młodą kurewką. Czemu to robił? No cóż, wiedział, że uczucie króla jest zbyt silne, by można było go skłonić do rozstania się z nieznośnym faworytem. A skoro tak, trzeba przynajmniej zadbać o dobry humor Ludwika, rozpraszać jego melancholie, zasługiwać na jego wdzięczność za dobre usługi.

Dwa razy znajomość ludzi niebezpiecznie zawiodła Eminencję i w obu przypadkach odnosi się to do chłopców: nie docenił, w 1617 roku, młodego Ludwika XIII, zaś dwadzieścia lat później Cinq-Marsa. Przede wszystkim okazało się, że faworyt nie zamierza być „uchem” kardynała. Gdy Richelieu zażądał, by mu donosił o wszystkim, co tylko król powie - Cinq-Mars odmówił z dumą, odwołując się do lojalności dla monarchy i protektora. Co więcej, zaczął rozbijać służbę informacyjną Eminencji przy królu: jego staraniem oddalono kilku pokojowców królewskich, w tym tak zasłużone „ucho” kardynała, jak La Chesnaye! Wnet też się okazało, że Cinq-Mars ma bez porównania większe ambicje niż Barradas i Saint-Simon razem wzięci. Zażądał urzędu wielkiego koniuszego i dostał go, choć Richelieu od dawna zaplanował, że po diuku de Bellegarde otrzyma go jego krewniak de Brézé. Wnet potem poskarżył się królowi, że Richelieu kiepsko wyposażył beneficjami jego młodszego brata, księdza d’Effiat - i Ludwik kazał kardynałowi zmienić decyzję. Tego było już za wiele. Richelieu uznał, że należy postawić tamę. „Rola Cinq-Marsa powinna być ograniczona do roli dobrze opłacanego błazna” - orzekł. I odtąd konsekwentnie blokował ambicje młodego człowieka, którego uważał za niewdzięcznika i zdrajcę.

Cinq-Mars nie dostał gubernatorstwa Verdun, bo to zbyt ważna pozycja strategiczna na granicy. Gdy latem 1640 roku powstała trudna sytuacja pod obleganym Arras - oblegający Francuzi zostali obleżeni przez wroga - Cinq-Mars, absolwent akademii wojskowej niejakiego pana Benjamina, zażądał dowództwa nad odsieczą. Rzekł, iż nie chce już być traktowany jak uczeń. Richelieu spowodował, że ostatecznie stanął tylko na czele kolumny szlacheckich ochotników. Na polu walki wykazał się wielką brawurą, ale marszałek de Châtillon bardzo oszczędzał jego grupę i szybko wyłączył Cinq-Marsa z boju. „La Gazette” obsypała faworyta pochwałami, za co Renaudot został przez kardynała skarcony i musiał dać drugą wersję wydarzeń, bez wzmianki o Cinq-Marsie i z wychwalaniem diuka d’Enghien, przyszłego męża siostrzenicy Richelieugo. Królowi kardynał rzekł perfidnie, że Cinq-Mars zgrzeszył tchórzostwem; Ludwik i tak był wściekły, bo *cher ami* nie dotrzymał obietnicy, że będzie doń pisał listy dwa razy dziennie. Potem łgarstwo Richelieugo zostało zdementowane, ale Cinq-Mars mu tego nie zapomniał. Mścił się w sposób mniej perfidny, ale

także dotkliwy: powtarzał kardynałowi złośliwe i niechętne uwagi króla na temat Eminencji. Ludwik oskarżał kardynała przed Cinq-Marsem o różne rzeczy: Richelieu jest zazdrosny o królewskich faworytów, usiłował zawsze skłócić ich z monarchą, to samo teraz robi z Cinq-Marsem. Są jednak i zarzuty dotyczące rządu: król formułuje pewne opinie polityczne, a Richelieu przechwytuje je i podaje potem jako swoje!

Cinq-Mars, w odróżnieniu od swego Najjaśniejszego protektora, zawsze biegał za spódniczkami. Najpierw była Marion Delorme, potem Chemerault, po niej znów Marion. Od września 1640 roku Cinq-Mars był zadurzony bez pamięci w starszej o dziewięć lat Marii Ludwice Gonzadze. On lokował w tym związku prawdziwą namiętność, ona także racje ambicji i rozumu. Chciał się żenić z panną, ale wiedział, jaki dystans dzieli córkę panującego księcia, którą swatano z Gastonem i królem Polski, od pana d'Effiat de Cinq-Mars, którego pradziad był jeszcze zwykłym urzędnikiem finansowym. Liczył wszakże na to, że dobiegająca trzydziestki Maria Ludwika nie zechce kisić się w panieństwie; wiedział ponadto, że każdy dystans można skrócić. Zaczął opowiadać swej matce i samej panie o swoich wielkich planach: chciał dostać od króla tytuł diuka i para, a jak dobrze pójdzie, to i godność konetabla Francji. Marszałkowa d'Effiat była olśniona, Maria Ludwika w każdym razie go nie zniechęcała.

Cinq-Mars zamierzał jakoś wytargować poparcie kardynała dla swych planów małżeńskich i dla awansu na diuka i para. Gdy Richelieu oblał go zimną wodą, powołał się na zgodę swej matki, przyjaciółki kardynała. „Jeśli mówicie prawdę - rzekł mu Richelieu - wasza matka jest szalona; a jeśli księżniczka Maria myśli o tym mariażu, to jest jeszcze bardziej szalona od waszej matki”. Trzeba przyznać kardynałowi, że umiał ludzi miażdżyć i jednocześnie obrażać.

Jeśli wierzyć Tallemantowi, Richelieu sam usiłował - w sensie jak najbardziej dosłownym - wejść do łóżka Marii Ludwiki. Ale nie to przecież było przyczyną, że sprzeciwiał się jej małżeństwu z faworytem króla. Znał bystrość i zręczność księżniczki, wiedział, że w połączeniu z ambicjami Cinq-Marsa i jego wpływem na króla zalety Marii mogą stworzyć mieszanekę wybuchową zdolną nawet jego wysadzić w powietrze. Domyślał się, że Cinq-Mars nie poprzestanie na awansie prestiżowym, że jako diuk i par oraz mąż Marii zechce robić wielką karierę, może nawet sięgnie po stanowisko głównego ministra!

Istotnie, młodzian przechodził pod kierunkiem Marii Ludwiki szybki kurs politycznej intrygi. Panna kazała mu się zainteresować bliżej sprawami państwowymi, mówić z królem o polityce, unikać infantylnych sporów z monarchą, schlebiać mu, a nie jątrzyć jego drażliwości. Obawy Richelieuego rychło zaczęły się sprawdzać: Cinq-Mars zgłosił chęć wejścia w skład królewskiej Rady! W lipcu 1641 roku, tuż po śmierci hrabiego de Soissons, król i kardynał bawili w Mézières. Richelieu brutalnie przegonił tu Cinq-Marsa z sali, w której miała się zacząć Rada, gdy faworyt chciał w niej zostać. Wedle relacji przyjaciela Cinq-Marsa, pana de Fontrailles, faworyt skarżył się na taką odprawę i otrzymał od kardynała wyjaśnienie, że brak mu talentów i zasług koniecznych, by zasiadać w Radzie. Richelieu rzekł mu nawet, iż „wystarczyłby jeden człowiek taki jak on w składzie

Rady, aby zniweczyć za granicą reputację wszystkich ministrów”. W konkluzji „zabronił mu przychodzić na jakiegokolwiek posiedzenie Rady i odesłał go do króla, by go zapytał, czy monarcha nie jest tego samego zdania”.

To wszystko zupełnie wystarczyło, by popchnąć Cinq-Marsa na drogę konspiracji, tworzenia własnej partii. Faworyt miał grono przyjaciół, a wśród nich dwu ludzi o wielkiej inteligencji. Pierwszy - to Louis d'Astarac wicehrabia de Fontrailles, autor szczegółowej relacji o spisku Cinq-Marsa i mózg tej konspiracji. Mądry, drażliwy, mściwy, niedowiarek i - jak mówiono - amator czarnych mszy, był Fontrailles śmiertelnym wrogiem Richelieugo. Tallemant twierdzi, że kiedyś kardynał zobaczył go w swym antyszambrze, gdy właśnie przybyć miał jakiś ambasador. „Niech się waść usunie, panie de Fontrailles - rzekł podobno Richelieu - niechże się waść nie pokazuje! Ten ambasador nie lubi monstrów!” W istocie Fontrailles był szpetny, mały i miał garb z przodu i z tyłu, co mu nie przeszkadzało nieźle władać bronią. „Monstrum” przysięgło zemstę Eminencji.

Drugim przyjacielem Cinq-Marsa był młody François-Auguste de Thou, syn znakomitego historyka, sędziego i dyplomaty, autora dzieła o historii wojen religijnych. Także Thou junior był człowiekiem wykształconym, bywałym w świecie, inteligentnym i zakochanym w wielkich czynach, słowach, gestach. Podobnie jak Fontrailles był nawiedzony ideą obalenia „tyrana” Richelieugo w imię Wolności; niektórzy świadkowie wydarzeń przypisywali mu kult tyranobójstwa w antycznym stylu. Jako konspirator znacznie ustępował jednak panu de Fontrailles.

Oczywiście Cinq-Mars rozumiał, że nie może tworzyć konspiracji z panami de Fontrailles i de Thou bez poparcia jakichś potężnych postaci. Już poprzednio usiłował do faworyta dotrzeć hrabia de Soissons, miały nawet miejsce pewne kontakty, ale Cinq-Mars jeszcze nie był zdecydowany na wzięcie udziału w awanturze. Pan de Fontrailles bardzo mu to odradzał. Gdy do króla i kardynała dotarła wieść o klęsce Châtillona pod la Marfée, Cinq-Mars spostrzegł rozterkę kardynała i miał chwilę rewanzu: zaoferował się jako ten, który powstrzyma pochód hrabiego de Soissons!

Wnet potem odbyła się wspomniana już rozmowa Cinq-Marsa z upokorzonym księciem de Bouillon. Faworyt dawał do zrozumienia księciu, że Ludwik XIII ma serdecznie dość kardynała i dobrze byłoby pomóc mu w pozbyciu się „tyrana”. Bouillon bał się prowokacji i zachował ostrożność. Było jednak jasne, że można nad nim pracować.

Nieco później w Amiens odbywały się konferencje Cinq-Marsa z Gastonem przy udziale pana de Fontrailles. Po pięciu latach w tym samym Amiens powracała koncepcja „tyranobójstwa”. Wedle relacji Fontraillesa podczas jednego ze spotkań „Monsieur rzekł, że gdyby pan kardynał mógł sobie zemrzeć, bylibyśmy aż nadto szczęśliwi. Odrzekłem mu natychmiast i bez wahania, że starczy, jeśli wyrazi na to zgodę, a znajdą się ludzie, którzy w jego obecności uwolnią nas od kardynała. Te tak niedwuznaczne słowa nie były przez nas uzgodnione i bardziej zdumiały pana Wielkiego niż Jego Wysokość [tj. Gastona]. Pan Wielki oświadczył mi, że moje słowa były nie na czasie, że się obawia, iż zaskoczyłem nimi Monsieur”. Jednakże

Gaston chwycił przynętę. Pod koniec tego 1641 roku spotkał się znów na dworze z Cinq-Marsem. Młody człowiek oznajmił z tupetem królewskiemu bratu, że „już prawie od półtora roku Jego Królewska Mość naciska nań w sprawie zerwania z kardynałem”, że król namiętnie pragnie końca wojny i chce się wesprzeć na zwolennikach pokoju. Wszystkie kłótnie faworyta z królem, prawił Cinq-Mars, to tylko zasłona dymna dla wprowadzenia kardynała w błąd. Monsieur chciał wiedzieć, czy jego rozmówca wyraźnie zaproponował królowi, aby skończyć z Eminencją. Cinq-Mars odrzekł, że chciał mieć wprzód pewność poparcia królewskiego brata - i poparcie takie otrzymał. Gaston uświadomił o istnieniu spisku Annę Austriaczkę, ale ta wolała zostać z daleka. „Zaklinała Gastona pisze pani de Motteville - którego zawsze uważała za przyjaciela, aby nie mówił nikomu, iż ona wie [o spisku]; przyrzekł jej to i dochował słowa wiernie”. Wolała zabezpieczać się na wszystkie strony, bo z kolei Ojcu Carré, kreaturze Richelieugo, mówiła, że ją razi niewdzięczność Cinq-Marsa w stosunku do kardynała. „Nie lubię go wcale, jeśli mu się coś złego stanie - rzekła Ojcu Carré o faworycie - nikt go nie będzie żałował”. Trudno jej się dziwić. Król ciągle zapadał na zdrowiu; w przypadku ogłoszenia regencji tak Gaston, jak i Richelieu byłiby konkurentami Anny. Klęska jednego lub drugiego, a może nawet obydwu w wyniku spisku Cinq-Marsa nie zmartwiłaby jej wcale. Od kiedy Anna miała dwu synów, uważała, iż jej naczelnym obowiązkiem jest bronić ich interesów, i była pewna, że ona to potrafi robić najlepiej.

Twierdzenia Cinq-Marsa, iż król marzy o rozstaniu się z kardynałem, były zwykłą fanfaronadą. To prawda, że Ludwik wysłuchiwał jego złośliwości pod adresem Richelieugo i sam się do nich obficie dokładał. Robił to i przedtem wiele razy, co mógłby poświadczyć Gaston, Ojciec Caussin i inni. Ze swym faworytem był zresztą uczciwy. Fontrailles opowiada, że gdy raz Cinq-Mars nacisnął zbyt wyraźnie króla w sprawie pozbycia się Richelieugo, Ludwik zrobił mu wykład o zasługach Eminencji. „Nie potrafiłbym obejść się bez niego - rzekł. - W przypadku, gdyby zadeklarował się przeciwko waści, nie mógłbym nawet ciebie zatrzymać przy sobie”. I dodał, że także po śmierci Richelieugo nie wybrałby do rządu ludzi tak młodych jak Cinq-Mars w obawie, że ich niekompetencja zaszkodziłaby sprawom państwa.

Nie zniechęciło to Cinq-Marsa do spiskowania. Wyznanie króla było jedynie przerywnikiem w długiej litanii wyrzekań na kardynała i mogło być oceniane jako wyraz niezdecydowania Ludwika; wniosek byłby tak, że należy nad nim intensywniej popracować. Gdyby zaś nawet nie udało się skłonić króla do odprawienia Richelieugo, spisek mógł zawsze przyjąć jedną z dwu form: mord politycznego, wedle modelu „spisku z Amiens”, lub wojny domowej z obcym poparciem, jak w konspiracji hrabiego Soissons.

W planach Cinq-Marsa mieścił się udział księcia de Bouillon, bo faworyt sądził, że tylko on może zapewnić spiskowcom asekurację dzięki niezbyt odległej od Paryża potężnej cytadeli w Sedanie. Emisariuszem do Bouillona był pan de Thou. W grudniu 1641 roku dotarł do księcia i ściągnął go na dwór. Richelieu zrobił jednak zręczne posunięcie: zaproponował Bouillonowi naczelne dowództwo we Włoszech, co zarazem

schlebiało księciu i odciągało go daleko od Paryża. Tymczasem Cinq-Mars pozyskał ostatecznie Bouillona dla spisku. Gdy jednak mówił mu o sedańskiej cytadeli jako azylu na wypadek klęski - ksiązę zauważył, iż jego Sedan nie jest dla wojsk króla twierdzą niezdobytą. Bouillon proponował przyjąć model spisku hrabiego de Soissons: zapewnić sobie solidną pomoc Hiszpanii, stworzyć własną armię i wydać bitwę „taką jak w zeszłym roku”.

Styczeń 1642 roku wypełniły gorączkowe narady konspiratorów. Gaston, Bouillon, Cinq-Mars, Fontrailles zbierali się w Saint-Germain, u Cinq-Marsa, albo w Paryżu, w hôtel de Venise na place Royale, gdzie mieszkał faworyt Gastona hrabia de Brion. Fontrailles zapewnia, że pan de Thou kręcił się tylko w pobliżu, ale nie chciał niczego wiedzieć i nie wchodził do pokojów, w których obradowano. Wiedział jednak o decyzjach, bo powiedziała mu o nich królowa, którą z kolei informował Gaston. Na naradach w hôtel de Venise ustalono projekt traktatu między Gastonem a Filipem IV. Miał go zawieźć do Madrytu pan de Fontrailles. Traktat zapowiadał przywrócenie pokoju między Francją i Hiszpanią bez naruszania praw króla i królowej Anny. Hiszpanie mieli oddać pod komendę Gastona 12 tysięcy piechurów i 6 tysięcy jeźdźców, a ponadto zapewnić olbrzymią sumę 400 tysięcy écus jako żołd dla tej armii. Filip IV miałby wypłacać Gastonowi pensję roczną w wysokości 120 tysięcy écus, Bouillonowi i Cinq-Marsowi po 40 tysięcy. W zamian za to Hiszpanie otrzymywali obietnicę pokoju ze zwrotem wszystkich zdobyczy i zerwania przez Francję jej aliansów z protestantami. Spiskowcy nie sprzedawali się tanio, ale mimo wszystko transakcja ta Hiszpanom się opłacała.



KAMPANIA W ROUSSILLON I KLĘSKA CINQ-MARSA

Richelieu trafnie uznał, że główny wysiłek wojenny 1642 roku można przenieść w Pireneje z zamiślem zdobycia Roussillonu. Hiszpanie trzymali tu trzy twierdze, Salces, Collioure i Perpignan: gdyby padły, Francja swobodnie rozszerzyłaby swój wpływ na Katalonię, nowe wladztwo Ludwika XIII. Sytuacja na innych terenach wojennych umożliwiała taką operację. W Italii uładzenie spraw sabaudzkich pozwalało bez trudu szachować Mediolan. W Niemczech zmarł wprawdzie, w maju 1641 roku, 45-letni Baner; ale jego następcą, Lennart Torstenson, to chyba najzdolniejszy z uczniów Gustawa Adolfa. Można było liczyć, że on i Guébriant swymi akcjami zbrojnymi absorbować będą siły cesarskie: oto właśnie u progu 1642 roku Guébriant odniósł ładne zwycięstwo pod Kempen. W hiszpańskich Niderlandach po wzięciu Arras w roku 1640 kampania roku 1641 kruszyła powoli hiszpańskie linie obronne. Francuzi zajęli mniejsze twierdze w Lens, La Bassée, Bapaume. Gubernator Arras pan de Saint-Preuil wyciął wycofujący się po kapitulacji garnizon z Bapaume: nie wiedział, że dostał on królewski list bezpieczeństwa. Saint-Preuil to dobry oficer i kreatura kardynała; jego bład stał się nową okazją, by Richelieu mógł pokazać, iż uczucia przyjaźni składa na ołtarzu racji

stanu. „La Gazette” wychwalała zalety skazanego na śmierć pana de Saint-Preuil i dodawała: „Jego Eminencja ogromnie by się wstawiał za jego ułaskawieniem, gdyby racje państwowe nie brały u niego zawsze góry nad uczuciami prywatnymi”.

W dniu egzekucji Saint-Preuila, 9 listopada 1641 roku, zmarł na zapalenie płuc 32-letni don Fernando d’Austria, kardynał arcybiskup Toledo, namiestnik hiszpańskich Niderlandów, świetny wódz i człowiek dobrych obyczajów. Ludwik XIII nie bez złej satysfakcji doniósł Annie Austriackiej o śmierci jej brata, ale jednak zarządził żałobę dworską (po śmierci hrabiego de Soissons zabronił takiej żałoby). To pewne, że śmierć kardynała-infanta była dla Hiszpanii wielką stratą; dla Francji - gwarancją, że na tym froncie nic wielkiego nie może się zdarzyć. Skupienie wysiłku militarnego w Roussillon król i kardynał uznali za możliwe. Ludwik postanowił, że osobiście stanie na czele wyprawy pod Perpignan. Nie zachwycało to ani kardynała, ani Cinq-Marsa, ale obaj musieli ulec. Obaj też towarzyszyć mieli królowi.

Przed wyjazdem Richelieu dokonał przetasowań dowodzenia. Hrabia d’Harcourt przeniesiony został z Italii do Artois, a na jego miejsce miał pójść Bouillon. W Szampanii odtąd dowodził hrabia de Guiche diuk de Gramont, kreatura kardynała mianowana właśnie bardzo na wyrost - marszałkiem. W Katalonii działali Maillé-Brézé i jego następca na stanowisku wicekróla hrabia de La Mothe-Houdancourt. W Roussillonie dowodzić mieli marszałkowie de La Meilleraye i de Schomberg. Wreszcie nad spokojem w Paryżu czuwać miał książę de Condé.

Nie udało się natomiast kardynałowi przekupić Cinq-Marsa oferowanym mu gubernatorstwem Turenii: faworyt skromnie odmówił. Tuż przed wyjazdem na wyprawę, 2 lutego 1642 roku, Richelieu podjął szturm na króla: usilnie prosił Ludwika o oddalenie Cinq-Marsa i poniósł klęskę. Hrabia de Gassion opisał finał tej sceny: Richelieu wychodził z gabinetu króla w Fontainebleau blady i przybity. Następnego dnia król i kardynał pociągnęli na południe, ale dwoma różnymi szlakami: ich świty były tak wielkie, że inaczej trudno by je wygodnie zakwaterować. To korzystne dla Cinq-Marsa, który swobodnie mógł urabiać króla. Jako organizator spisku faworyt okazał się fuszerem, ale jego argumenty miały prawdziwą siłę: mówił Ludwikowi o nędzy ludu, znużeniu Francji wojną, tłumaczył, iż Richelieu celowo przeciąga wojnę, by zachować swą pozycję niezastąpionego szefa rządu. Oskarżał kardynała o pozorowanie negocjacji pokojowych. Osiągnął pewien sukces: Ludwik zgodził się powierzyć panu de Thou misję sprawdzenia w Rzymie i Madrycie, jak rzeczywiście przedstawia się stan owych rozmów o pokoju. Po raz pierwszy król dał się wciągnąć w taką grę przeciw kardynałowi za jego plecami. Ośmieliło to Cinq-Marsa i zaczął nawet wspominać o zabiciu Richelieu: ostatecznie był już precedens Conciniego!

Montglat pisze, że gdy Cinq-Mars oskarżał kardynała, król mu zaczął mówić o wielkiej władzy Eminencji, o szkodach, które Richelieu mógłby wyrządzić, gdyby przeciw niemu wystąpiono. „Na to rozmówca jał mu przedstawiać, że należałoby zgubić kardynała tylko w jeden sposób, zabijając go, i że byłoby to łatwe do zrobienia podczas wizyty kardynała u

króla. Te słowa zaskoczyły monarchę, który z natury był nieśmiały. Odpowiedział mu, że zostałby ekskomunikowany, bo tamten jest księdzem i kardynałem. Ale Troisville [oficer w służbie króla], który był dopuszczony do sekretu i ofiarował się jako egzekutor [zabójstwa], odrzekł królowi, że jeśli tylko miał jego zezwolenie, nie krępowałby się owymi względami, a potem udałby się do Rzymu po rozgrzeszenie z tego czynu”. Król zezwolenia nie dał, lecz nie powściągnął też wyraźnie spiskowców. Fakt, że wysłuchiwał ich pomysłów politycznego mordu, jest bezsporny. Po aresztowaniu Cinq-Marsa król wystosował list do kanclerza Séguiera, który miał przydować sądowi nad upadłym faworytem. Pisał tam, że Cinq-Mars „nie zapominał niczego”, by rozzłościć go na kardynała, co znosił tak długo, dopóki owe „złe rady” utrzymywane były w granicach niejakiego umiaru... „Ale gdy doszedł już do takiej ostateczności, że zaproponował mi, bym się pozbył wspomnianego mojego kuzyna kardynała i ofiarował się, iż sam to zrobi, jego złe myśli wzbudziły moją zgrozę i nienawiść”. Może istotnie odczuł zgrozę, ale nie zrobił niczego, by unieszkodliwić spiskowca. Richelieu mu tego nie zapomni.

Sam kardynał twierdził, że Cinq-Mars dwa razy był o krok od zabicia go, gdy oba orszaki, króla i Eminencji, spotkały się w drodze: najpierw w lutym w Lyonie, potem w marcu w Narbonne. Zamach w Lyonie zaplanowany był w rezydencji króla, „miejsce, do którego się idzie bez możliwości obrony [tj. bez straży]”. Wedle kardynała Gaston miał przybyć do Lyonu i niejako legalizować zamach swą obecnością; jednakże ostatecznie nie przyjechał, więc Cinq-Mars nie odważył się mordować na własną rękę. Inaczej to przedstawił jeden ze spiskowców, Gaspard de Chavignac: Cinq-Mars zebrał już swych przyjaciół w antyszambrze króla, wszyscy byli pewni, że kardynał zaraz zginie, ale Richelieu wbrew zwyczajom przyszedł z kapitanem swej gwardii panem de Bar i przerwał niespodziewanie sekretne narady Cinq-Marsa z królem na temat dymisji kardynała. Faworyt, zbity z tropu, odwołał operację.

Drugi zamach, w Narbonne, miał być dokonany u kardynała, gdy ten będzie leżał w łóżku. Richelieu twierdzi, że przyjaciele Cinq-Marsa otrzymali odeń zapewnienia, iż zabijając kardynała działają zgodnie z wolą króla. Owi przyjaciele to oficerowie gwardii królewskiej, panowie de Troisville (Tréville), des Essarts, Tilladet, La Salle: zabijaki, które nie zawahałyby się przed mordem. A jednak z zamachu w Narbonne też nic nie wyszło.

Tymczasem pan de Fontrailles w habitie kapucyna przedostał się szczęśliwie przez Pireneje i dotarł do Madrytu. Olivares przyjął go nieufnie, ale po paru dniach dał się przekonać i podpisał układ z Gastonem (13 III 1642). Fontrailles dostał się do audiencji u króla Filipa IV i dostał od niego list do Gastona, po czym zabrał się w drogę powrotną. W Huesca dowiedział się, że był śledzony w drodze do Hiszpanii przez agentów kardynała, zmienił więc trasę powrotu. Nie udało się go złapać z pisemnymi dowodami zdrady.

Richelieu zachorował poważnie podczas pobytu w Narbonne: miał ataki febry, uformował mu się groźny wrzód na ramieniu. Zachorował wierny Citois, a innym lekarzom nie ufał. Gdy doktorzy postanowili zrobić mu

operację, pisał do Subleta de Noyers, że nie ma na to ani dość siły, ani odwagi. 23 maja podyktował testament w obecności Mazariniego: dawano mu ledwie parę dni życia. Ale po dwu dniach złapał oddech i znów wciągnął się w polityczną grę.

Od paru tygodni był już wtedy zdany na kontakt z królem przez Chavigny'ego i Subleta. W drugiej połowie kwietnia Ludwik zostawił słabnącego kardynała w Narbonne i pociągnął dalej, pod Perpignan. Cinq-Mars był oczywiście przy nim. Stosunki króla i faworyta miały wówczas szczególnie dwuznaczny charakter: po stronie Ludwika to klasyczna *Hassliebe*, miłość zmieszana z nienawiścią. Król nie mógł się bez niego obejść i wściekał się nań straszliwie. Sam Cinq-Mars żalił się Subletowi, że wytrzymał w ciągu dwóch dni trzy okropne ataki królewskiego złego humoru. Król zrzędził pono wciąż na niego; jednemu z zaufanych oficerów miał rzec: „Od pół roku przyprawia mnie o mdłości... Nie ma drugiego człowieka tak zdeprawowanego i nieprzyjemnego. To największy niewdzięcznik na świecie. Zdarzało mu się, że mnie zostawiał w mej karocy i zmuszał do czekania całymi godzinami, gdy on załatwiał swe obrzydliwe interesy. Całego królestwa nie starczyłoby na jego marnotrawstwa. Teraz, gdy mówię do waści, ma już trzysta par obuwia!” Czy nie przypomina to zrzędzeń starej, zazdrosnej żony?

Ale same ataki złości świadczyły, że król ciągle jest mocno związany uczuciowo z faworytem, toteż Sublet de Noyers i Chavigny przesyłają kardynałowi do Narbonne niejednoznaczne raporty. Raz go uspokajali, raz alarmowali („Mgły z Pirenejów - pisał Sublet zstąpiły, aż na dwór, oby Bóg dał, by słońce [tj. Richelieu] mogło wnet się tu pokazać”). Richelieu instruował swe kreatury, jak mają urabiać opinie króla: Sublet i Chavigny powinni niepokoić króla postawą Gastona, ukazywać mu niebezpieczeństwa wojenne, trzymać na dystans ludzi oddanych Cinq-Marsowi z panem de Thou na czele, posłużyć się krewniakiem kardynała, Gabrielem de Rochechouart markizem de Mortemart, który miał wpływ na króla... Powinni też rzec wprost Ludwikowi: „Gdyby Pan Bóg powołał do siebie kardynała, Wasza Królewska Mość wnet by poznał, ile stracił; byłoby zaś jeszcze dużo gorzej, gdyby król sam doprowadził do jego zguby, bowiem tracąc w ten sposób kardynała, W.K.Mość straciłby całe zaufanie, jakie ludzie do niego żywią”. Widać stąd, że Richelieu nie wykluczał sukcesu spiskowców. Z jego listu do ambasadora w Holandii pana d'Estrades, pisanego w maju, wynika, iż znał skład konspiracji: wiedział, że Cinq-Marsa wspierają Gaston i Bouillon. Nie miał tylko dowodów zdrady. Jeszcze nie miał.

Nowy powód do zmartwienia: w maju kreatura kardynała, hrabia de Guiche, dał się pobić pod Honnecourt. Czy nie spowoduje to jakiegoś załamania militarnego na wschodniej granicy, gdy główny wysiłek Francji skierowany jest ku Pirenejom? „Byli tacy - pisze Montglat - którzy sądzili, iż Guiche miał rozkaz [przegrania bitwy] wydany przez kardynała, aby w ten sposób przestraszyć króla i dać mu dowód, że w tej sytuacji musi się nim [tj. kardynałem] posłużyć...” No nie, tu już wyraźnie przeceniano makiawelizm Eminencji.

Najbardziej pomogła kardynałowi nieudolność spiskowców. Trzy głowy

spisku - Cinq-Mars, Gaston i Bouillon - nie działały zgodnie i nawet nie zachowały bliskiego kontaktu: faworyt siedział pod Perpignan, Monsieur w Blois i Chambord, Bouillon udał się do Italii jako dowódca armii włoskiej. Cinq-Mars nie potrafił uniknąć królewskich ataków gniewu i to właśnie w czasie, gdy powinien był chuchać na królewską życzliwość. W opinii dworaków jego akcje nigdy nie stały tak wysoko: Montglat pisze, iż otaczający Cinq-Marsa tłum był tak gęsty, „że nie można się było w nim odwrócić”. To jednak pozór: pamiętnikarz dodaje zaraz, iż król często nie chciał go widzieć, więc faworyt przekupił pokojowca i ten wpuszczał go w zakazanych godzinach, lecz tylko do antyszambru. Tam Cinq-Mars gadał z pokojowym, by podtrzymać fałszywą sławę o niezwykłych łaskach króla, do którego zawsze ma on wstęp, nawet gdy Ludwik nie chce mieć u siebie nikogo.

Fontrailles, który z powodzeniem wykonał trudną misję w Madrycie, niepokoił się po powrocie zbyt szerokim rozchodzeniem się wiadomości o spisku, bezczynnością Cinq-Marsa, jego nikłym wpływem na króla: dochodził do wniosku, że Ludwik ciągle ufa kardynałowi. Gdy w maju dotarł do Gastona w Chambord, rzekł królewskiemu bratu, zaniepokojonemu długim brakiem nowin, że spisek się załamuje i że on sam ma wielką ochotę zwać za granicę. W końcu zresztą mu się to udało. Oświadczył Cinq-Marsowi, lekceważącemu jego ostrzeżenia: „*Bon*, kiedy kat zdejmie waści głowę z karku, będziecie jeszcze zawsze człowiekiem dostatecznie wielkim; co do mnie, jestem zbyt mały, by się bez głowy obejść”. Włożył znów swe przebranie, kapucyński habit, i uratował się za granicę: zawdzięczamy temu związane i chyba obiektywne przedstawienie dziejów spisku w jego własnej wersji.

Gaston, zdenerwowany i niespokojny, postanowił wyjechać pod pretekstem kuracji u wód: porzucił dolinę Loary i zbliżał się powoli ku bezpiecznej wschodniej granicy. Wiadomość o aresztowaniu Cinq-Marsa zastała go w Moulins. Król zadeklarował, że mu powierza dowództwo w Szampanii, gdzie nie spisał się hrabia de Guiche. Oczywiście chodziło o uspokojenie go i sparaliżowanie jego ucieczki.

To prawda, że Cinq-Mars nie tylko z powodu nieudolności zachowywał się biernie i tracił cenny czas. Wiadomości z Narbonne o poważnej chorobie Richelieugo musiały demobilizować konspiratora: po cóż się wysilać, by osiągnąć to, co zdawały się obiecywać siły natury? Po kilku tygodniach pobytu pod Perpignan zachorował również i król; twierdza była szczelnie zablokowana, jej upadek przesądzony (Collioure już była zdobyta) - Ludwik zaczął więc napomykać o powrocie do Paryża. Tam Cinq-Mars mógłby swobodnie działać, to znaczy komponować nową ekipę rządzącą, która by zastąpiła przy ciężko chorym królu kreatury umierającego kardynała. Niestety, siły natury spóźniły się o sześć miesięcy: Richelieu umrze dopiero 4 grudnia.

Realizacja podpisanego już traktatu z Hiszpanią wymagałaby solidnego wysiłku; Cinq-Mars nie podjął go na czas. Partia hiszpańska wśród francuskiej szlachty była - jak pisał Montrésor - bardzo słaba „i siłą, i reputacją”: próby jej agitowania, podjęte przez spiskowców nader niemrawo, nie dały efektu. Owszem, można było liczyć na niezadowolenie ludu. W zeznaniach Gastona, złożonych po wykryciu spisku, 7 lipca, jest

takie zdanie, że układ z Hiszpanią dotyczył zawarcia generalnego pokoju, co miało „przyciągnąć lud do naszej partii”. Ale nie podjęto starań o uruchomienie ludowego żywiołu, choć tak skromnych, jak podczas rebelii hrabiego de Soissons.

Richelieu, gdy tylko poczuł się lepiej, opuścił Narbonne, której klimat mu nie służył. Wyjechał 27 maja, 4 czerwca był w Agde, 9 czerwca przybył do Arles. W Agde dotarł doń list króla, datowany 3 czerwca: „Wbrew wszelkim fałszywym pogłoskom, które są puszczane w obieg, me uczucia do Pana są mocniejsze niż kiedykolwiek. Zbyt już długo jesteśmy razem, by się rozstawać w jakiegokolwiek chwili”.

Ludwik rzeczywiście wyjechał spod Perpignan; 11 czerwca był w Narbonne, zmierzał w stronę Paryża. Tego samego dnia w Arles Richelieu otrzymał kopię układu zawartego przez spiskowców z Hiszpanią. Zażądał bulionu i zaraz zapomniał, że kilkanaście dni wcześniej dysponował się już na śmierć. Swemu sekretarzowi Charpentierowi powiedział, że oto samo Niebo „troszczy się o królestwo i o moją osobę”. Posłał Chavigny’ego, który właśnie był przy nim, z kopią układu i biletem adresowanym do Subleta de Noyers, na dwór do Narbonne. „Bóg wspiera króla cudownymi rewelacjami... Wielkie sprawy nie posuwają się nigdy bez trudności, ale skoro Bóg zrobił już to odbycie, mam nadzieję, że król wyjaśni rzecz do końca”.

Nie wiadomo na pewno, kto spośród śmiertelnych pomógł Panu Bogu w tym „odkryciu”. Wymieniano różne nazwiska: Pujolsa, marszałka Schomberga, księdza de La Rivière... La Rochefoucauld zapisał w swym pamiętniku, że woli „niewinny pogląd” o odkryciu traktatu w kufrze kuriera z Hiszpanii. Pani de Motteville twierdziła, iż „było tyle kopii [traktatu], a wszyscy ci, co należeli do owej wielkiej partii, tak mało się troszczyli, by go zataić, że było wprost niemożliwe, aby nie mógł kopii zdobyć ten, przeciw komu układ był skierowany”. Tallemant cytuje opinię, że to królowa Anna dostarczyła tekst traktatu kardynałowi; to samo sugerują pamiętniki Montglata. Jest to, w istocie, wyjaśnienie najbardziej prawdopodobne. Fontrailles relacjonuje, że po powrocie z Madrytu spotkał się z panem de Thou i ten mu wyznał, że wie o układzie z Hiszpaniami i jego podróży za Pireneje od samej królowej Anny. „Po prawdzie - pisze Fontrailles - nie sądziłem, że jest tak dobrze poinformowana, choć dobrze wiedziałem, iż bardzo sobie życzyła uformowania dworskiej kabały i przyczyniła się do tego wedle wszystkich swych możliwości. Mogła bowiem z tego wynieść tylko same korzyści: bądź to rujnując swego wroga pana kardynała, bądź też oddalając Monsieur od jego roszczeń do regencji”. Mogła więc czekać na rozwój wypadków, ale nie chciała popełnić błędu.

Przed wyjazdem do Roussillon Ludwik miał do niej ciężkie pretensje: trzyletni delfin Ludwik jest źle chowany, nie okazuje ojcu żadnej czułości, należałoby zastanowić się nad odebraniem obu synów królowej... Richelieu załagodził sprawę. To jednak nie był chyba powód, aby jednoznacznie opowiedzieć się po stronie Richelieugo. Zapewne dowiedziała się, gdzieś na przełomie maja i czerwca, że spisek Cinq-Marsa załamuje się: mógł jej o tym donieść pan de Thou, prawie na pewno dostała taki sygnał od Gastona.

7 czerwca rozkazała swemu sekretarzowi, Le Grasowi, by zapewnił kardynała o jej całkowitym oddaniu; dała też Le Grasowi jakiś ważny pakiet dla pana de Chavigny. To właśnie mógł być ów nieszczęsny traktat. Pan de Brassac, szpieg Richelieugo przy królowej, potwierdzał, w liście do kardynała, tę uległość Anny Austriaczki. 9 czerwca sama napisała list do Eminencji. Przesyłka z 7 czerwca mogła bez trudu dotrzeć do Arles w ciągu czterech dni.

Chavigny zjawił się 12 czerwca rano na królewskim *lever*; dał Ludwikowi umówiony znak, że chce z nim porozmawiać na osobności. Gdy Cinq-Mars próbował wejść za nimi do sąsiedniego pokoju, Chavigny rzekł zimno, że ma wiadomości dla samego tylko króla. Ludwik nie uwierzył od razu w autentyczność traktatu z Filipem IV: był skłonny wierzyć w jakieś machinacje, fałszerstwo lub omyłkę. Chavigny i Sublet de Noyers, wezwany na naradę, zgodnie twierdzili, że starczy aresztować i przesłuchać Cinq-Marsa, a prawda wyjdzie na wierzch. Wydusili wreszcie od króla zgodę na uwięzienie Cinq-Marsa, Thou, Bouillona i grupy ich przyjaciół. Trwała to długo.

Wieczorem Cinq-Mars wracał do rezydencji króla na *coucher* monarchy. Podobno jakiś nieznajomy wręczył mu ostrzegawczy bilet („Życie Waści jest w niebezpieczeństwie”). Szeptano potem, że była to ostatnia przysługa króla dla zagrożonego faworyta. Jednakże bramy miasta już były zamknięte; Cinq-Mars ukrył się ponoć u niejakiej pani de Siouzac, która podczas poprzedniego postoju królewskiej świty w Narbonne została jego kochanką. Dama miała zdradzić tajemnicę mężowi i ten rankiem 13 czerwca wezwał żołnierzy. Wedle innej wersji Cinq-Mars próbował uciekać z miasta, ale nie miał konia i zdecydował się zawrócić z drogi.

Przewieziono go do cytadeli w Montpellier, gdzie miał liczną służbę, dobry stół, dostęp do lektury. Pana de Thou uwięziono na zamku w Tarascon, Bouillon aresztowany został w Casale. Richelieu przez wiele tygodni będzie teraz ogromnie aktywny. Bał się nagłej zmiany stanowiska króla (Sublet mu donosił, że król „ma dziwne myśli” i zastanawia się, czy nie było w całej aferze jakiejś „pomyłki co do nazwisk”). Bał się odbicia Cinq-Marsa przez przyjaciół, zdrady lub przekupienia straży więziennej. Naciskał więc na bardzo szybkie i sprawne prowadzenie śledztwa: na widowni pojawił się znów mistrz przesłuchań Laubardemont. Przede wszystkim zaś trapił się myślą, że król zaangażował się głęboko w kabałę swego faworyta.



OSTATNI KONFLIKT, OSTATNI SUKCES

Ludwik XIII także był niespokojny i niepewny, jak przyjmie go stary wspólnik. Wenecjanin Giustiniani raportował, że król się wahał, czy spotkać się zaraz z kardynałem: skłonili go do tego Sublet i Chavigny. Nadal cierpiał na ostre bóle jelit i hemoroidy, gdy więc dnia 28 czerwca przybył do Tarascon na spotkanie z Eminencją, rozmowa była wielce osobliwa: obaj leżeli w paradnych łóżach z baldachimami. Przyjęli w

trakcie tej czterogodzinnej rozmowy wysłannika Gastona, La Rivière'a, i rzucili na jego głowę grad złorzeczeń i pogróżek. Ich żądanie było kategoryczne: Gaston ma złożyć kompletne zeznania o spisku.

Richelieu rzekł królowi o swej chęci porzucenia władzy. Jakże ma służyć królowi, który okazuje mu niechęć? I czy zasłużył naprawdę na królewską niewdzięczność? Oczywiście w końcu zgodził się pozostać, natomiast odrzucił propozycję towarzyszenia królowi w drodze do Paryża. Ludwik podobno aż się popłakał, ale nie zmiękczył go w tej sprawie. Richelieu żądał, by król słuchał jego rad przekazywanych za pośrednictwem Chavigny'ego i Subleta, którzy mieli monarsze towarzyszyć. Domagał się też powierzenia mu namiestnictwa „na południu od Loary” aż do końca kampanii wojennej w Roussillonie i całkowitego rozgromienia spisku. Ludwik zgodził się na wszystko. Wyjechał i z drogi dawał kardynałowi do zrozumienia, że po rozmowie w Taraskonie mu ulżyło. Eminencja nie może tego powiedzieć o sobie. Wkłada w sprawę likwidacji spisku gorączkową, niewiarygodną energię. Dobiera osobiście sędziów; naciska na przyspieszenie przesłuchań; ściąga Mazariniego, który właśnie doprowadził szczęśliwie do końca sprawy sabaudzkiej, aby mu pomógł w rozprawie z konspiracją. Z polecenia kardynała Sublet de Noyers, Chavigny, a także wspomniany już pan de Rochechouart-Mortemart urabiają króla przeciw Cinq-Marsowi. Eminencja snuje wyrafinowane intrygi: każe Mortemartowi poinformować króla, że wychodzą na jaw pomysły Cinq-Marsa dotyczące zamachu na Richelieugo, ale tak, by Ludwik sądził, iż kardynał o tym jeszcze nie wie. Król donosi o tym odkryciu Eminencji za pośrednictwem Chavigny'ego, Richelieu dziękuje Ludwikowi wylewnie... Później król się przyzna w cytowanym już liście do Séguiera z 6 sierpnia, iż w rozmowach z Cinq-Marsem wyrażał czasem niezadowolenie z Richelieugo, a przede wszystkim wysłuchiwał propozycji faworyta, by zabić kardynała. Żalodne. Oznaczało to przyznanie się do roli biernego współnika: wiedział, nie powiedział. Żalodne jest także zacietrzewione, nienawistne dążenie kardynała, by dostać głowę nie tylko Cinq-Marsa - jego wina była oczywista - ale także pana de Thou. Richelieu uważał, że Thou stanowił mózg konspiracji; w istocie młody człowiek dał głowę za to, że podobnie jak Najjaśniejszy Pan wiedział, nie powiedział.

Na razie Cinq-Mars i Thou zaprzeczali wszystkiemu. Na swe nie-szczęście mieli bardzo dostojnych współników, którzy nie wahali się sypać. Gaston złożył swe przyznanie się do spisku już 7 lipca: nie wplątał w sprawę ani królowej Anny, ani pana de Thou. Były projekty wygnania go do Wenecji z roczną pensją 120 tysięcy écus: tyle samo zastrzegał sobie w traktacie z Filipem IV od Hiszpanów... Ostatecznie pozwolono mu zostać w Annecy, na terytorium sabaudzkim, tuż koło francuskiej granicy. Richelieu postanowił, że proces Cinq-Marsa odbędzie się w Lyonie: chodziło więc o to, by Gaston był blisko. Ale królewski brat oświadczył, że nie zgodzi się na żadne konfrontacje z oskarżonymi i na jakikolwiek udział w procesie. Oparł się wszelkim naciskom: to osobliwy przykład odwagi z tchórzostwa. Bał się spojrzeć w oczy Cinq-Marsowi, któremu obiecywał grobową dyskrecję.

Ostatecznie więc zadowolono się spisaniem, w końcu sierpnia, nowej

wersji jego zeznań; potwierdził też autentyczność traktatu z Filipem IV na kopii (oryginał wcześniej już spalił). Gaston zgodził się też podpisać deklarację, iż chce w przyszłości „żyć jak zwykła osoba prywatna”, bez praw księcia krwi, straży, godności publicznych. Oznaczało to rezygnację z roszczeń do regencji w przypadku śmierci króla. Po zgonie kardynała Ludwik XIII przywrócił zresztą Gastonowi owe prawa księcia krwi. Najbliżsi przyjaciele Gastona m.in. pan de Montrésor w swych pamiętnikach - bardzo surowo ocenili jego zachowanie po wykryciu spisku Cinq-Marsa. Jego córka, panna de Montpensier, także nie ukryła odruchu pogardy dla Gastona. Wrócił on do Paryża w zimie 1643 roku. „Był u mnie na kolacji pisze panna de Montpensier - grało na niej 24 skrzypków. Był taki wesoly, jakby panowie Cinq-Mars i Thou wcale nie znaleźli się na tamtym świecie”.

Książę de Bouillon nie czynił też wielkich ceregieli z przyznaniem się i wysypaniem Cinq-Marsa, zgodził się nawet na konfrontację z głównym oskarżonym. Mazarini wydusił od niego zgodę na ustąpienie królowi księstwa Sedanu w zamian za monarszy pardon. „Gdyby miał trzy Sedany - pisał Richelieu - oddałby je, aby ratować życie”.

Kardynał opuścił Tarascon w połowie sierpnia. Jechał do Lyonu drogą wodną, Rodanem, z licznymi barkami wiozącymi jego świtę. Jedną z nich to pływające więzienie z panem de Thou: pani de Motteville uznała, że to dowód „pogańskiego” okrucieństwa, bo tak samo konsulowie rzymscy przywiązywali do swych wozów wziętych do niewoli królów. Legenda, wedle której także Cinq-Mars wieziony był w barce, jest fałszywa, choć chętnie powracała w romantycznej literaturze XIX wieku.

Uparto zaprzeczanie wszystkiemu nie miało już sensu po zeznaniach Gastona i Bouillona. Séguier uprzedzał jednak kardynała, że będzie trudno skazać na śmierć pana de Thou; Richelieu irytował się, że nie jest wyjaśniona do końca sprawa planowanych zamachów na jego życie. W pierwszej sprawie kardynał doszedł do wniosku, że trzeba skłonić Cinq-Marsa do obciążenia Thou. Nieoceniony Laubardemont odwiedził pana Wielkiego, rzekł mu, iż kompletne wyznania uratują mu życie, opór narazi go na tortury, a ponadto „pan de Thou zeznał już o wszystkim, co wiedział”. Cinq-Mars wpadł w tę pułapkę: zeznał szczegółowo o działaniach spiskowców, obciążył Thou wiedzą o spisku i traktacie z Hiszpanią, zaprzeczył jedynie, by planował zamachy na kardynała. Podpisał protokół tych zeznań, który Laubardemont skwapliwie sporządził. Wystarczyło to zupełnie, by na posiedzeniu trybunału w dniu 12 września uzyskać dwa wyroki śmierci, dla Cinq-Marsa i Thou. Eksplozja radości kardynała na wiadomość, że i Thou jest skazany, daje miarę jego nienawiści. Pozostała jeszcze nie wyjaśniona kwestia zamachu na jego życie: Richelieu bardzo chciał wiedzieć, jak to było naprawdę i jaki był stosunek króla do projektów mordy.

Już po wyroku zaprowadzono więc Cinq-Marsa do izby tortur i przywiązano do ławy: żądano zeznań w sprawie zamachu na Eminencję. Bez skutku, skazaniec wykazał wielką dezynwolturę („Zapach tu jest obrzydliwy” - oświadczył) i odmówił dalszych wyznań. Zapewne pytano go też o rolę króla w tej aferze: czy tylko wysłuchiwał propozycji

zamordowania Richelieugo, czy też może godził się na nie...

Ostatnie zmartwienie kardynała: kat lyoński złamał nogę, egzekucja może się odwlec i Bóg wie, co może się zdarzyć. Martwił się niepotrzebnie, skrzętny Séguier znalazł kata-amatora, który jeszcze tego samego dnia 12 września wieczorem uciął głowy obu skazańcom na wielkim placu des Terreaux w centrum Lyonu. Zrobił to po amatorsku, nie mieczem, lecz siekierą; w obu przypadkach musiał uderzać kilka razy. Mowa pogrzebowa, wygłoszona potem przez króla, była krótka. „Gdy pana de Cinq-Mars ścięto - pisze Tallemant - oświadczył: Ciekaw jestem, jak podrygiwał na szafocie”. Matkę Cinq-Marsa wygnano, brata pozbawiono duchownych beneficjów.

Cała ta sprawa jest kłębkim obrzydliwości. Ludwik XIII wysłuchujący propozycji mordu, przyznający się później do tego i bluzgający stekiem wyzwisk pod adresem upadłego faworyta. Królowa, zdradzająca spisek, któremu bardzo sprzyjała. Tchórzliwa podłość Gastona i Bouillona, składających upokarzające przyznania się do winy, sypiących bez żenady współników. Cinq-Mars denuncjujący przyjaciela, gdy mu tylko zrobiono aluzję do szansy ułaskawienia. Sędziowie, którzy kłamią o rzekomych zeznaniach Thou, kłamliwie wspominają o łasce, grożą torturami, by skompromitować króla... No i przede wszystkim sam kardynał. Małodusznie mściwy, eksplodujący radością po wyroku śmierci, a potem jeszcze - jak zobaczymy - kłamliwie szantażujący króla rzekomymi wyznaniem ściętego Cinq-Marsa. W końcu maja umierający, teraz strzegł swej władzy i swej skóry, tak jak gdyby miał żyć następne pół wieku. Oczywiście mógł się powoływać na swą historyczną misję. Nie lubiący go La Rochefoucauld uznawał, iż skoro już ośmielił się tak poważnie zmienić formę państwa, „to tylko on sam mógł ją podtrzymać z pożytkiem”. Richelieu zbyt dobrze znał swe miejsce w porządku monarchicznym, by mówić: Państwo to ja. Sądził jednak, że dobro państwa, wielkość państwa - to właśnie on. Ale jakże krucha to wielkość, której rękojmią jest życie jednego tylko, ciężko schorowanego człowieka!

W dniu egzekucji Cinq-Marsa pisał do Subleta: „Perpignan jest w rękach króla, zaś pan Wielki i pan de Thou na tamtym świecie. To dwa skutki Bożej życzliwości dla Państwa i dla króla, które można uznać za zupełnie równorzędne”. Istotnie, 9 września wojska króla weszły do potwornie wygłodzonego, po czterech miesiącach oblężenia, Perpignan. Parę dni później skapituluje Salces: Roussillon został opanowany. Do sukcesu walnie się przyczynił młody Armand de Brézé, który rozgromił hiszpańską flotę pod Barceloną w końcu czerwca: wróg nie był w stanie dać Roussillonowi odsieczy drogą morską.

Richelieu wracał z Lyonu do Paryża od połowy września do połowy października. „Ponieważ był chory - pisze pan de Pontis - znalazł sposób, by podróżować nie wstając z łóżka, na którym leżał i które było niesione przez szesnastu ludzi. Nigdy nie wchodził bramą do domu, w którym miał zamieszkać, lecz pan de Noyers, jeden z najwierniejszych jego sług, pełnił, by tak rzec, obowiązki jego kwatermistrza: jechał przodem i dbał o zrobienie otworu na wysokości okien pokoju, w którym miał nocować. Na ulicy robiono jednocześnie duże rusztowanie: wchodziło na nie po

stopniach, tak by można było wprowadzić do domu wspaniałe łożo, na którym spoczywał Jego Eminencja”.

Gdyby nie choroba - miałby powody do zadowolenia. Kampania 1642 roku była wielce udana. Ze sceny politycznej od początku lat czterdziestych znikali wciąż jego wrogowie: w 1640 roku stary diuk de Guise, w 1641 - Soissons i kardynał-infant, w 1642 - diuk d'Epemon, Cinq-Mars i, 3 lipca, Maria Medycejska. Po długich negocjacjach - Richelieu zachowywał się w ich toku bardzo obłudnie dwór francuski skłonił Marię do wyjazdu z Anglii. Miała zamieszkać w rodzinnej Florencji, a Paryż obiecał zadbać o jej materialne potrzeby. Nie dojechała do Italii, utknęła na dłużej w Kolonii i tam zmarła. Umierali zresztą i współpracownicy kardynała: u schyłku 1640 roku odszedł Bullion. Był tak niepopularny wśród ludu, że pogrzeb trzeba było robić w środku nocy.

Spisek Cinq-Marsa rzucał cień na te ostatnie tygodnie życia Richelieugo. Represje i szykany spadały wciąż na krewnych i przyjaciół faworyta. Gdy księżniczka Maria Ludwika poprosiła kardynała o pomoc w odzyskaniu jej listów do Cinq-Marsa, z jadowitym okrucieństwem kazał jej powiedzieć, że w szkatule faworyta znaleziono tyle damskich włosów i listów, iż, musi dać swój pukiel oraz próbkę pisma... Inaczej nikt nie będzie w stanie rozpoznać, co należy do niej.

Król usiłował naprawić nadwątlone stosunki z głównym ministrem. W drugiej połowie sierpnia Giustiniani depešował do Wenecji, że Ludwik planuje powierzyć testamentarnie opiekę nad swymi dwoma synami królowej Annie i kardynałowi Richelieu. Ale kardynał miał obsesję spisku. Dziesięć dni po powrocie do stolicy, 27 października, wystosował do króla memoriał: zapowiadał dymisję i stawiał pięć warunków, jeśliby miał tę dymisję wycofać. Otóż król musiałby „nie mieć odtąd innego faworyta, jak tylko dobro królewskich spraw: one tylko powinny zajmować jego umysł”. Król winien obdarzać zaufaniem jedynie członków swej Rady, nie kryć przed nimi żadnych oskarżeń i karać oskarżycieli, gdy się okaże, iż rzucali kalumnie. Po trzecie król ma dochowywać sekretu odnośnie spraw, o których mu mówią członkowie Rady. Dalej, w sprawach państwowych członkowie Rady muszą mieć swobodę wypowiedzenia się przed królem „bez strachu i bez ogródek”. Po piąte wreszcie, król musi co pewien czas czyścić swój dwór z „ludzi źle usposobionych” i skazywać ich na wygnanie. Ten ostatni punkt dotyczy - jak na razie - czterech oficerów: panów des Essarts, Tilladet i La Salle z regimentu gwardii oraz pana de Troisville z królewskich muszkieterów. Richelieu podejrzewał ich - chyba słusznie - że uczestniczyli w próbach zamachu na jego życie, organizowanych w Lyonie i Narbonne przez Cinq-Marsa. Twierdził, że nie będzie się czuł bezpiecznie, dopóki król ich nie przegoni z dworu.

Po kilku dniach, gdy król milczał, Richelieu wzmacnia nacisk. „Sam Bóg nie obliuguje - pisze Eminencja - do rzeczy niemożliwych, zatem i kardynał nie musi pragnąć kontynuowania swego urzędu... zaś rozważa... nie pozwala mu pozostawać tam, gdzie jego osoba byłaby w niebezpieczeństwie. Jego Królewska Mość zechce się poinformować, jeśli łaska, że dowiedziano się wielu rzeczy od pana Wielkiego, których mu dotąd nie chciano podać do wiadomości; zechce też wiedzieć, że nie

zdecydowano się wziąć tamtego na tortury z obawy, iż powie publicznie to, co ujawnił na osobności; zechce wreszcie wiedzieć, że spowiednik zadał sobie wiele trudu, by przeszkodzić mu w przemawianiu na szafocie, jako iż powiadał, że nikogo nie będzie oszczędzał, jeśli go się przyciśnie i jeśli zupełnie straci już nadzieję”. Chavigny zawiózł ten memoriał królowi do Saint-Germain, gdzie kardynał się nie pokazywał „z uwagi na bezpieczeństwo”. Król nie zareagował na szantaż. To jeszcze nie koniec jego upokorzeń. Richelieu powiedział mu przez Chavigny’ego, że król będzie musiał się pogodzić - wbrew wszelkim zasadom - ze zbrojną eskortą kardynała, jeśli ten miałby się pojawić w królewskiej rezydencji. Dziś nawet trudno sobie wyobrazić, jak niebywale bezczelne było podobne oświadczenie.

Na żądanie oddalenia czterech oficerów Ludwik odpowiadał, że troska o reputację nie pozwala mu wypędzać ludzi lojalnych i dzielnych; zwłaszcza Troisville służył mu wiernie i wyniósł z tej służby wiele blizn. Tallemant twierdzi, że król tłumaczył to ministrowi „bardzo skromnie”. Chavigny miał odrzec, iż Ludwik nie może się wahać w wyborze między panem de Troisville i kardynałem. Montglat pisał, że rozdrażniony król zapytał kiedyś wreszcie Chavigny’ego, czemuż to Richelieu miesza się w sprawy jego otoczenia, skoro król nie wtrąca się do tego, kto należy do otoczenia kardynała. Chavigny odrzekł, że gdyby Eminencja wiedział, iż obok niego jest ktoś, kto się nie podoba królowi, nigdy by już go nie widywał. „Nie ujrzy więc już nigdy waszeci - odciął się król - bo nie jestem w stanie was znieść”.

Ludwik zaciął się więc wyraźnie. „Król trzyma się mocno - raportował Giustiniani - ale wszyscy sądzą, że ustąpi”. Na razie w połowie listopada - trochę popuścił Richelieu. Poprosił grzecznie króla o uwagi do memoriału z 27 października; zapewnił, że posłusznie będzie respektował stanowisko króla; chciał też znać warunki, pod którymi Ludwik pragnąłby zawrzeć pokój z Hiszpanią. To aluzja nader przejrzysta: jeśli monarcha ulegnie, czarodziej Richelieu postara się zawrzeć ów pokój, do którego Ludwik od dawna tak tęskni.

Król zastanawiał się jeszcze przez tydzień. Około 20 listopada skapitulował. Odpisał, że Richelieu zbyt dobrze zna złośliwości i oszustwa Cinq-Marsa, by wierzyć jakimś tam jego zeznaniom o królu. Stwierdził, że zbyt ceniał służby kardynała, by życzyć sobie jego odejścia. Pragnie więc, by kontynuował i by działał „z większą swobodą i władzą niż kiedykolwiek dotąd”. Zaaprobował pięć warunków kardynała z 27 października. Co się zaś tyczy pokoju - okazała się, że Ludwik bardzo go chce, ale nie wypuszczając z rąk swych zdobyczy: wróg musi zapłacić za tę wojnę, „do której go zmusił”. Nie może być zatem mowy o zwrocie Lotaryngii, twierdz w hiszpańskich Niderlandach (Arras, Hesdin, Bapaume), Roussillonu. Król chce też zatrzymać Breisach i twierdze alzackie na granicy z Lotaryngią. W Italii musi zachować Pignerol, Sabaudia zaś musi w całości znaleźć się pod władzą jego siostrzeńca Karola Emanuela II. Wreszcie pokój powinien być generalny, król nie porzuci swych aliantów. To są oczywiście warunki samego kardynała: tak właśnie stawiał sprawę Richelieu.

Ludwik dotrzymał słowa i usunął z dworu owych czterech oficerów,

zresztą z wielkimi oznakami łask i z gratyfikacjami. Pełny sukces Eminencji, ale opłacony upokorzeniem króla, brutalnie przyciśniętego do ściany. Zapewne ich stosunki uległyby z czasem złagodzeniu, wzajemne urazy zacierałyby się. Nie było już jednak czasu.

28 listopada 1642 roku Richelieu poczuł ostre bóle, gorączka gwałtownie wzrosła. To zapewne zapalenie płuc. Człowiek tak zżyty z chorobami nie przypuszczał chyba od początku, że ta będzie chorobą ostatnią. W Palais-Cardinal czuwali przy nim marszałkowie de La Meilleraie i de Maillé-Brézé oraz pani d'Aiguillon. Gorączka rosła, pluł krwią, cierpiał bóle w boku. 30 listopada już godził się z myślą o odejściu, ale 2 grudnia puszczo mu krew i poczuł się lepiej. Tegoż dnia z Saint-Germain przyjechał król i złożył mu wizytę. Pochwalił się Ludwikowi, że ma tę pociechę, iż „nigdy jeszcze królestwo nie znało takiej glorii i sławy jak te, sięgające szczytu, w których mu [królestwo] pozostawia”; wszyscy wrogowie króla zostali wszak „osłabieni i upokorzeni”. Poleciał królowi swych krewniaków oraz trzech najbliższych współpracowników: Chavigny'ego, Subleta i Mazariniego.

Ludwik obiecał mu respektować jego rekomendacje. Montrésor pisze, iż „okazał mu więcej tkliwości, niż naprawdę odczuwał, i sam mu podał dwa żółtka”: najwyższy fawor - jeść z ręki króla! Ale, ciągle wedle Montrésora, po wyjściu z sypialni przechadzał się po galerii Palais-Cardinal, oglądał obrazy i uśmiechał się. Także Tallemant twierdzi, że z wizyty u umierającego król wyszedł bardzo wesoły. Inaczej Montglat: owszem, król „w duchu... był zachwycony, że się [kardynała] pozbywa, nie ukrywał tego przed swymi konfidentami”, ale na zewnątrz doskonale dysymulował swe uczucia i wyrażał ból z powodu tej straty. W każdym razie nie wrócił do Saint-Germain, został w Luwrze i czekał. 3 grudnia jeszcze raz na krótko pojawił się u Richelieugo.

Tego dnia lekarze pozwolili działać słynnemu medykowi z Troyes, panu Lefèvre, którego lekarstwa spowodowały wieczorem widoczną poprawę. Aż do południa 4 grudnia stan chorego był niezły, sądzono, że i tym razem się uratuje. Diuszesa d'Aiguillon pocieszała go prorocstwem jakiejś pobożnej mniszki, która orzekła, iż choroba Eminencji nie jest śmiertelna. „Moja siostrzenico - odrzekł prawda jest tylko w Ewangelii, tylko w nią należy wierzyć”. Po południu w czwartek 4 grudnia 1642 roku zmarł. Pogorszenie zjawiało się nagle i gwałtownie. Powszechnie sądzono - choć były i odmienne relacje - że kardynał przyjął śmierć spokojnie oraz pobożnie. Spowiadał się, został namaszczony olejami chorych. Proboszcz od Św. Eustachego, Le Tonnelier, który go opatrywał na drogę do Nieba, zachęcał umierającego, by wybaczył swym wrogom. Odrzekł mu podobno, że nie wie nic o swych wrogach, zna tylko wrogów państwa. Relacja nie jest pewna, wydaje się wszelako prawdopodobna: zawsze był skłonny sądzić, iż dobro państwa - to on. Bardzo wątpliwe jest natomiast epitafium Richelieugo, przypisywane Urbanowi VIII. Na wieść o śmierci kardynała miał on rzec: „Jeśli Bóg istnieje - zapłaci za wszystko; jeśli Boga nie ma - cóż za zrzeczny człowiek!”

Przez kilka dni paryżanie defilowali przed otwartą trumną w Palais-Cardinal; potem przewieziono kardynała do kościoła Sorbony. Nie zostawiono go tam w spokoju.





Reakcja nie mogła być bardzo gwałtowna. Król oświadczył, że zasady kardynała pozostają w mocy. W rządzie utrzymali się ludzie Richelieugo. Dopiero po śmierci króla, jak twierdzi Retz, wygwizdali ich lokaje na podwórku w Saint-Germain. Na razie rządzą dalej, choć pod dużo mocniejszą kontrolą Ludwika XIII.

Jednakże już w styczniu 1643 roku dostrzeżono powiew nowych wiatrów. Król nie przyszedł na uroczyste nabożeństwo żałobne za kardynała; Gaston znowu się pojawił na dworze; z Bastylli zaczęli wychodzić ludzie, których Richelieu więził od wielu lat. Ośmielało to wrogów kardynała wśród dworzan, arystokracji, ludzi pióra. Pamflety pomstujące na zmarłego „tyrana” zaczęły się mnożyć, ze smakoszostwem opowiadano złośliwe i pikantne anegdoty o Eminencji. Także lud nie krępował się wcale. Ojciec Henri Griffet, autor cennego dzieła o czasach Ludwika XIII (1758), twierdził, iż znał jeszcze starców pamiętających dobrze ogniska, które lud rozpałał z radości na wiadomość o śmierci Richelieugo.

Nie był bohaterem ani liberalnej arystokracji, ani radykalnych demokratów. Rewolucja Francuska dostrzegła w nim fundatora absolutyzmu i ciemniźcydła ludu. 15 frimaire’a roku II, to znaczy 5 grudnia 1793 roku tłum sankiulotów wdarł się do kościoła Sorbony i chciał rozbić grobowiec kardynała. Niejakemu panu Lenoir udało się uratować wspaniały marmur Girardona, sankiuloci rozbili jednak trumnę i sprofanowali szczątki Richelieugo. Była to, jak relacjonował Lenoir, „mumia wysuszona i dobrze zachowana. Rozkład nie zniekształcił rysów twarzy. Skóra miała kolor siny. Kości policzkowe wydatne, wąskie wargi, rudy zarost, włosy posiwiałe z powodu wieku”. Tłum zniszczył bez litości szczątki, ale głowa się zachowała: zabrał ją sklepikarz z pobliskiej rue de la Harpe, Cheval, a później przekazał księdzu Mikołajowi Armez, proboszczowi jednej z bretońskich parafii. Inna wersja jest jeszcze bardziej makabryczna: niejaki ksiądz Boschamp miał spostrzec, że dzieci używają głowy kardynała jako piłki. Przyłączył się do upiornej zabawy, gdy zaś gra zakończyła się na rue de la Harpe, oddał głowę Chevalowi.

Ludzie pióra na ogół bardzo źle traktowali Richelieugo: dotyczy to już sporej grupy jego protegowanych, a tym bardziej pisarzy nieżyczliwych jego polityce. Potępiali kardynała oświeceni (Volter, Monteskiusz) i romantycy, ukazujący go chętnie jako demona zła (Alfred de Vigny, Wiktor Hugo). Pokochali go natomiast politycy i ideologowie Drugiego Cesarstwa: dostrzegli w nim pioniera wartości drogich bonapartystom (nacjonalizmu, centralizacji państwowej; ambicji kolonialnych, paternalizmu). Wiktor Duruy, historyk i minister Napoleona III, odzyskał szkatułę z głową kardynała i wyprawiał jej solenny pogrzeb w kościele Sorbony, z udziałem Akademii Francuskiej (1866).

Otworzył szkatułę w 1895 roku inny minister i historyk, Gabriel Hanotaux, autor wielkiego dzieła poświęconego kardynałowi. Akademicka historiografia III Republiki zrobiła najwięcej dla kultu wielkości Richelieugo: Hanotaux bardzo chciał zobaczyć z bliska twarz swojego herosa. Ów kult, jaki zaczęto budować w ostatnim trzydziestoleciu XIX wieku wokół osoby kardynała, miał odniesienia aktualne. Richelieu ukazywany był jako zwycięski pogromca „anarchicznych” rewolt ludowych i polityk, który stworzył podstawy pokoju

westfalskiego, dającego Francji ogromny wpływ na bieg spraw niemieckich. Jakże się dziwić fascynacjom mieszczańskiej historiografii, konserwatywnej i skłonnej do nacjonalizmu, obolałej doświadczeniami Komuny Paryskiej i przegranej wojny z Niemcami? Nic też dziwnego, że lewica z niechęcią traktowała osobę i politykę Richelieugo. Jeszcze niedawno, podczas wydarzeń majowych 1968 roku, grobowiec kardynała i jego portret pędzła Filipa de Champaigne pokryły obelżywe napisy. W końcu 1971 roku szkatułę z głową Eminencji przeniesiono z południowego transeptu kościoła Sorbony do dawnego miejsca na chórze; jednocześnie odrestaurowano zasmarowany napisami portret. Ciągłe więc Richelieu jest symbolem takich wartości, z którymi część jego rodaków się solidaryzuje, część zaś nie zamierza się godzić.

Historia kardynała Richelieu jest malownicza; czy musi ponadto być sztuką z tezą? Jeśli tak, to powtórzmy, że racja stanu, której kardynał wiernie starał się służyć, nie była wartością pozorną, wymysłem rządzących. Przemawiała wówczas do serc i umysłów wielu ludzi stęsknionych za ładem i bezpieczeństwem po długim okresie wojen domowych. Nie wydaje się rozsądne krytykowanie owego ładu za to, iż był on porządkiem monarchicznym, osadzonym twardo na feudalnych fundamentach. Nie mógł wówczas być inny.

Jednakże polityka Richelieugo rozczarowała wielu jego zwolenników. Kardynał zraził do siebie liczne kręgi społecznej opinii: nie tylko swym autokratyzmem, ale i dokonaniem wyborem, „opcją wojenną”. Konsekwencje wojny zwracały się bowiem przeciw programowym wartościom ładu, wewnętrznej stabilizacji, dobrobytu, bezpieczeństwa. Zwolennicy etatyzmu dostrzegli, że nie wystarcza samo głoszenie kultu państwa.

W *Nędznikach* Wiktora Hugo jeden z bohaterów tłumaczy przyjacielowi-bonapartyście, że Francja, aby być wielką, nie potrzebuje wcale małej wyspy zwanej Korsyką. Otóż w czasach Richelieugo wielu zwolennikom francuskiej racji stanu nie trafiała wcale do przekonania teza, iż Francja osiągnie „najwyższy stopień wielkości”, gdy zatrzyma Nancy, Pignerol i Breisach.

Kult *raison d'Etat*, nawet wsparty wspaniałą inteligencją Richelieugo, nie dawał więc rękojmi, że polityki racji stanu nie zdominuje, paradoksalnie, nader irracjonalne pojmowanie „wielkości Państwa”.

Można by strawestować zacytowane wyżej zdanie, wkładane w usta papieżowi Urbanowi, i powiedzieć tak: być może Pan Bóg kazał zapłacić Eminencji za jego rządy. Przedtem wszakże Richelieu drogo kazał płacić za swą politykę ludowi Francji. I tylko jeśli przejdziemy obojętnie obok cierpień, nędzy, desperacji i głodu tych prostych ludzi - stać nas będzie na beznamiętny podziw dla politycznej wirtuozerii pana kardynała.



KONIEC

Księgozbiór DiGG



2010



1. Król HENRYK IV, protektor braci du Plessiss de Richelieu. Henri dzięki monarsze robił karierę na dworze, Armand-Jean został biskupem w dwudziestym drugim roku życia



2. Król LUDWIK XIII pomiędzy Francją i Nawarą. Pancerz i wawrzyn zwycięzcy dobrze oddają jego zamiłowania, ale w damskim towarzystwie król nie gustował zanadto.



▲3. Królowa ANNA AUSTRIACZKA.
Hiszpańska duma, ambicje ponad miarę jej inteligencji, frustracje pożycia małżeńskiego popychały ją na drogę intryg i spisków. Kończyły się one dotkliwymi upokorzeniami. Żądzę władzy i miłości zaspokoi dopiero po śmierci Ludwika XIII



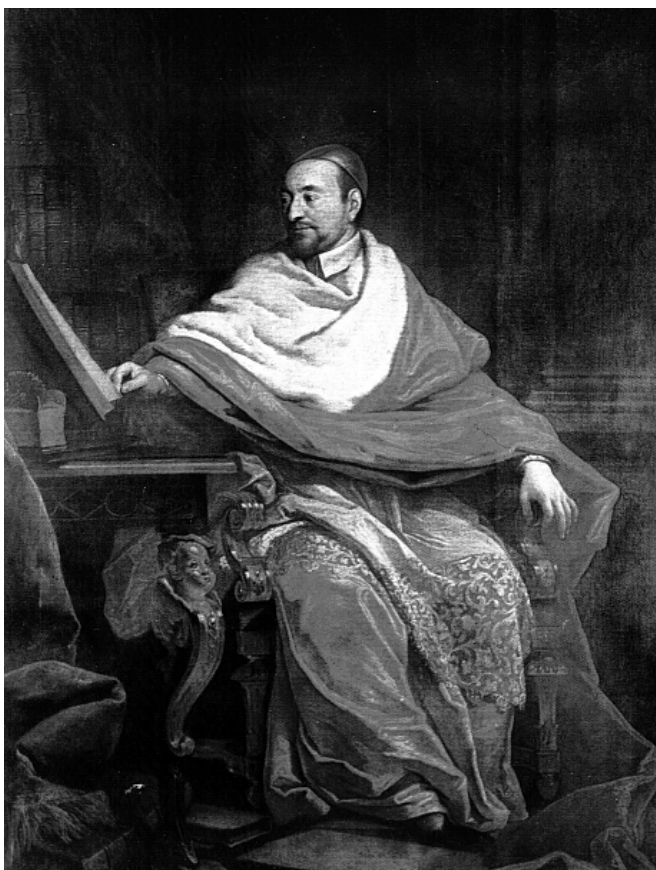
▲4. Pani de CHEVREUSE: złośliwa, dowcipna, brawurowa w miłości i w politycznej intrydze. Lepiej od wielu mężczyzn wcielała zalety i wady, ambicje i roszczenia arystokracji. Richelieu usunął ją ze sceny, ale nie zdołał jej ujarzmić.



▲5. George VILLIERS książę BUCKINGHAM na portrecie pędzla Rubensa. Faworyt dwóch królów Anglii, polityk marny, łączył dworność manier z diabelską pychą, a pozy romantycznego kochanka z brutalnością wielmoży.



6. RICHELIEU u progu wielkiej kariery. Świetnie wyglądał w purpurze kardynalskiej; równie dobrze czuł się w pancerzu dowodzącego generała.



◀7. Kardynał Pierre de BÉRULLE, jeden z wielkich umysłów epoki. Jego nagła śmierć (1629) bardzo osłabiła partię dewotów i ułatwiła triumf Richelieugo.



▶8. Jeszcze jeden kardynał-polityk: Giulio MAZARINI. To Richelieu da pierwszy impuls świetnej karierze tego papieskiego dyplomaty na francuskim dworze.



◀9. Franciszek du PLESSISS, ojciec kardynała. Lojalny rojalista, cieszył się łaskami Henryka III Walezego i Henryka IV. Jego kariera dworska była solidna, ale nie olśniewająca.



▶10. Zuzanna LA PORTE, matka kardynała. Melancholijna, nieśmiała, zręczliwa, po śmierci męża zagrzebała się na wsi. Jej wspaniały syn nie znalazł czasu, by przyjechać na jej pogrzeb.



◀11. Maria MEDYCEJSKA.
Dla przyjaciół Henryka IV „gruba bankierzyca”,
zdaniem marszałkowej d’Ancre „zwyczajna
klępa”. Przez siedem lat rządziła Francją i nie
chciała się pogodzić z utratą władzy.



▶12. Paryż XVII wieku: Luwr,
rezydencja króla i centrum dyspozycji
politycznej, oraz Pont-Neuf, giełda
nowin i ulotnej literatury. Tu
sprzedawano polityczne pamflety i
brozury.



13. „Podwójny mariaż” dzieci francuskich Burbonów i hiszpańskich Habsburgów (1615). Wydarzenie, które nie uśmierzyło rywalizacji dwu mocarstw. Nie zapobiegło też wojnie, która się zaczęła dwadzieścia lat później i trwała przez ćwierć wieku.



14. Leonora DORI marszałkowa d'Ancre. Córka florenckiej praczki, konfidentka królowej-regentki. Jej skazanie na śmierć nie przynosi sławy sędziom króla „Ludwika Sprawiedliwego”.



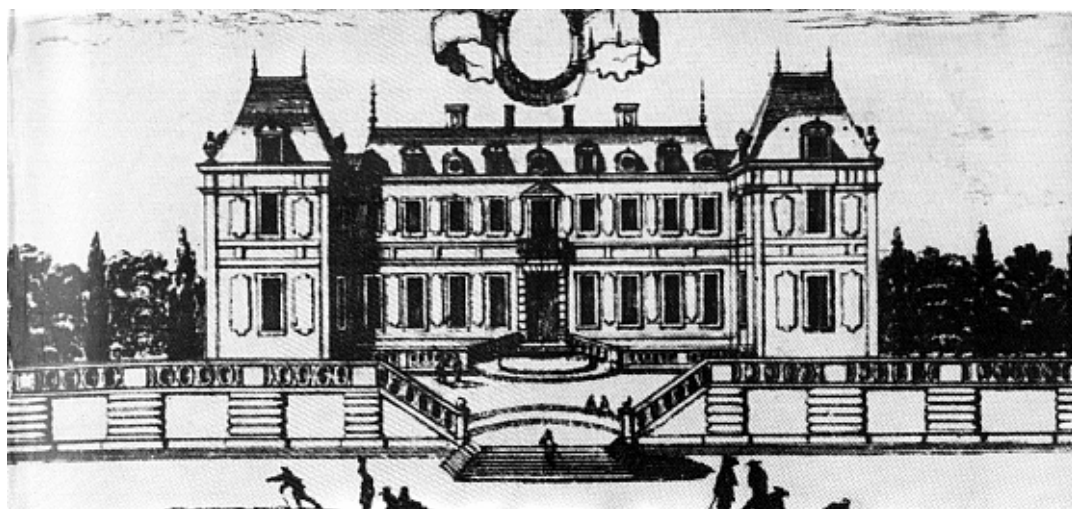
15. Concini CONCINO marszałek d'Ancre. „Wyglądał dość przyzwoicie, zachowywał się zuchwale, a ściślej mówiąc bezczelnie. Bardzo gardził książętami; w tym względzie miał zresztą rację” (Tallemant).



16. Scena zamordowania Conciniego wygląda niemal jak bitwa. Uważne spojrzenie pozwala jednak dostrzec impet ludzi króla i bierność eskorty „włoskiej przybłądy”.



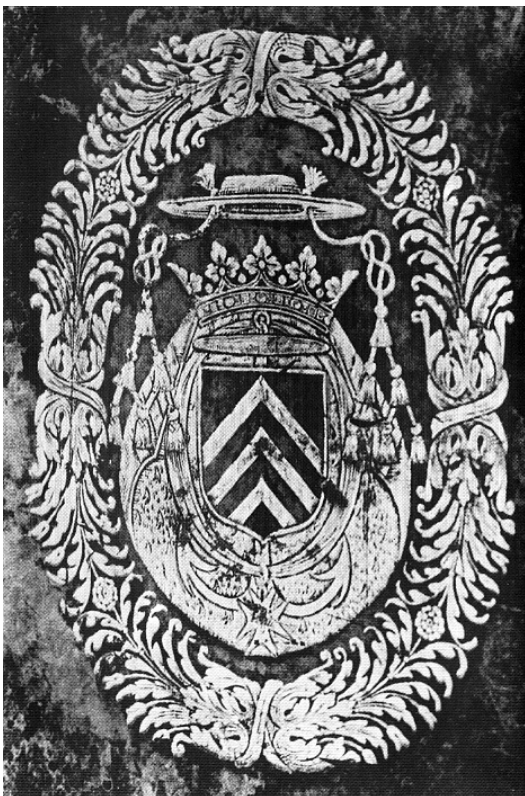
17. Kardynał Richelieu, główny minister króla Francji i Nawarry. Biust dłuta Berniniego dobrze oddaje jego elegancką wyniosłość.



▲ 18. Pałacyk myśliwski w Wersalu, królewski azyl, do którego polityka nie miała wstępu. Tu jednak rozegra się wielki finał „dnia wystrychniętego na dudka”.



◀ 19. Oblężenie Roszeli. Fragment wielkiego sztychu Callota ukazuje wejście do portu zablokowane przez tamę.



▲20. Potrójny portret kardynała diuka de Richelieu, dzieło Filipa de Champaigne. Wspaniałe studium „osobowości autorytarnej”. Klasyczna prostota stroju ułatwia skupienie uwagi widza na urodzie twarzy i intensywności władczego spojrzenia.

◀21. Oprawa książki z herbem Richelieu go zwieńczonym koroną diuka i kardynalskim kapeluszem.



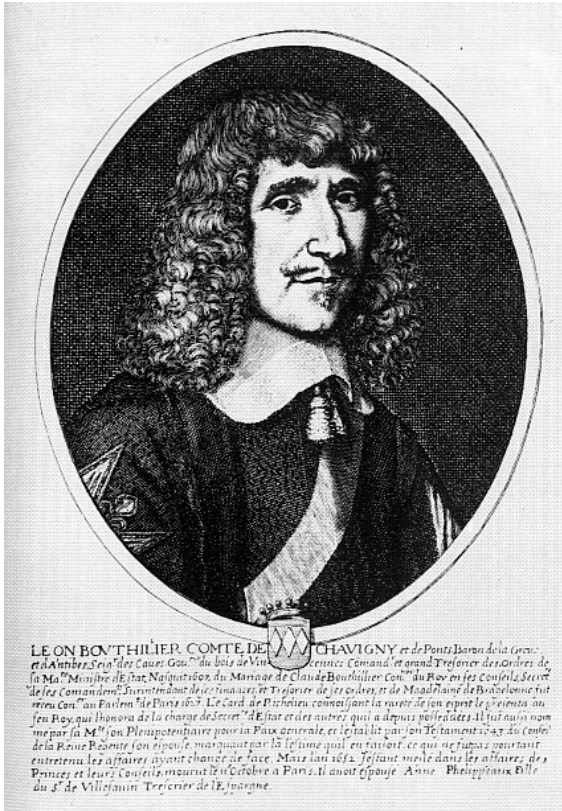
▲22. Arcybiskup Lyonu kardynał Alfons de RICHELIEU. Brat szefa rządu był wcale dobrym biskupem, co sprawiało, że mu wybaczano „wrodzoną skłonność do szaleństwa” (Talleyrand).



▲23. Ojciec JÓZEF, szara Eminencja. Przez wiele lat to on protegował Richelieu, później role się odwróciły. Pod kapturem kapucyna krył wielką wiedzę, bystrą inteligencję i pracowitość niezwykłą.



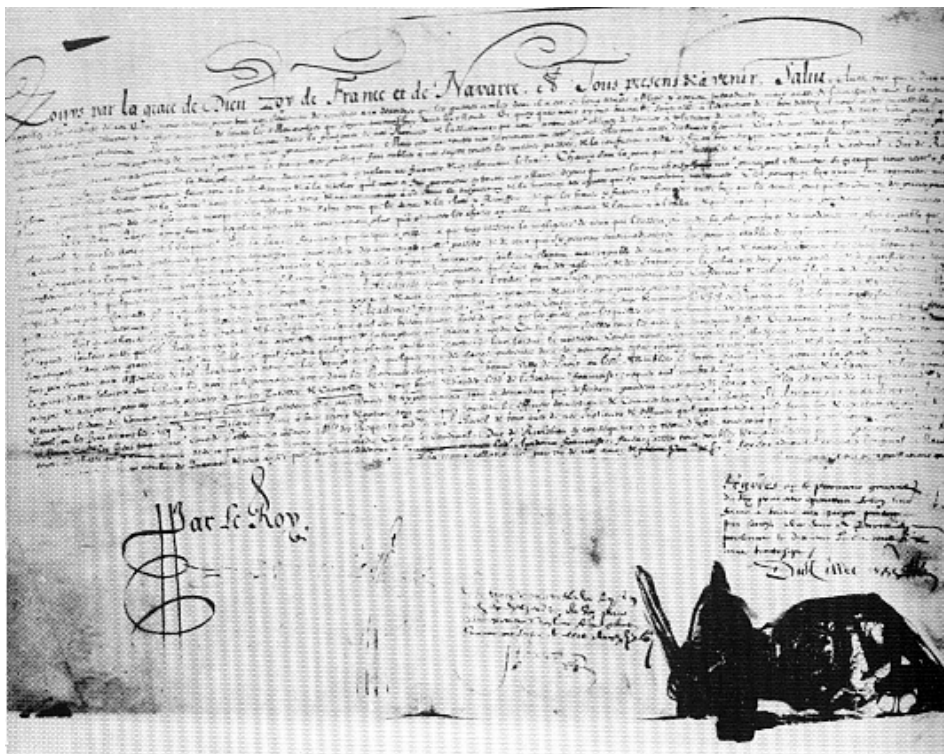
◀24. Claude de BULLION, szef finansów, jedyny członek rządu, który zachował znaczną niezależność od głównego ministra. Mały, brzydki, łasy na pieniądze, wielbiciel kobiet, amator wina i dobrej wyzerki – był zarazem pierwszorzędnym ministrem Skarbu.



- 26. François Sublet de NOYERS, minister wojny. “Jezuita kalosz”, pobożnością był wszystkie kreatury Richelieugo. Polityk niewielkiego formatu, ale organizator doskonały.



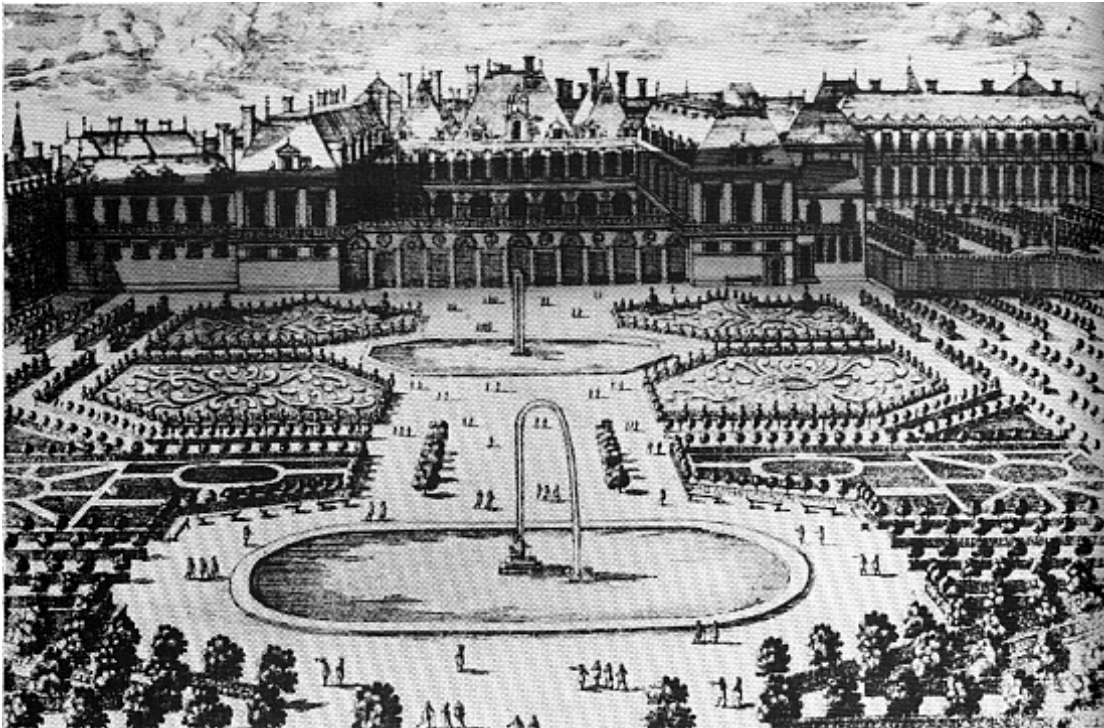
- 27. Jean Duvergier de HAURANNE opat de SAINT-CYRAN. Jego konflikt z kardynałem, którego długo popierał, ujawnia związki między subtelnosciami teologii i prozą „Realpolitik”



▲ 28. Królewski patent powołujący Akademię Francuską (1635). Ten twór Eminencji nie był, wbrew twierdzeniom wrogów, instrumentem duchowej tyranii i natrętnej reklamy rządu. Richelieu uważa, iż bez rozkwitu kultury nie ma prawdziwej wielkości Francji.



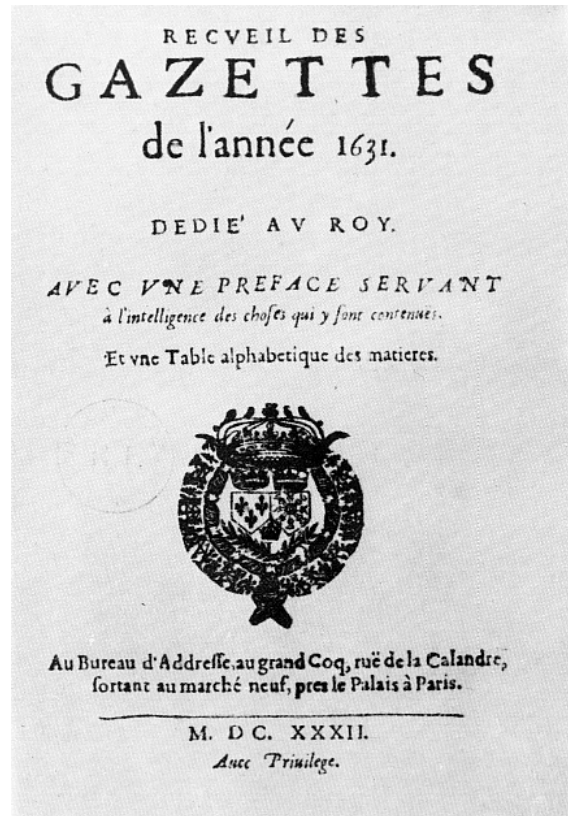
► 29. Richelieu jako dobroczyńca Sorbony. Król Ludwik XIII proteguje z góry zbożne dzieło przebudowy paryskiej Wszechnicy.



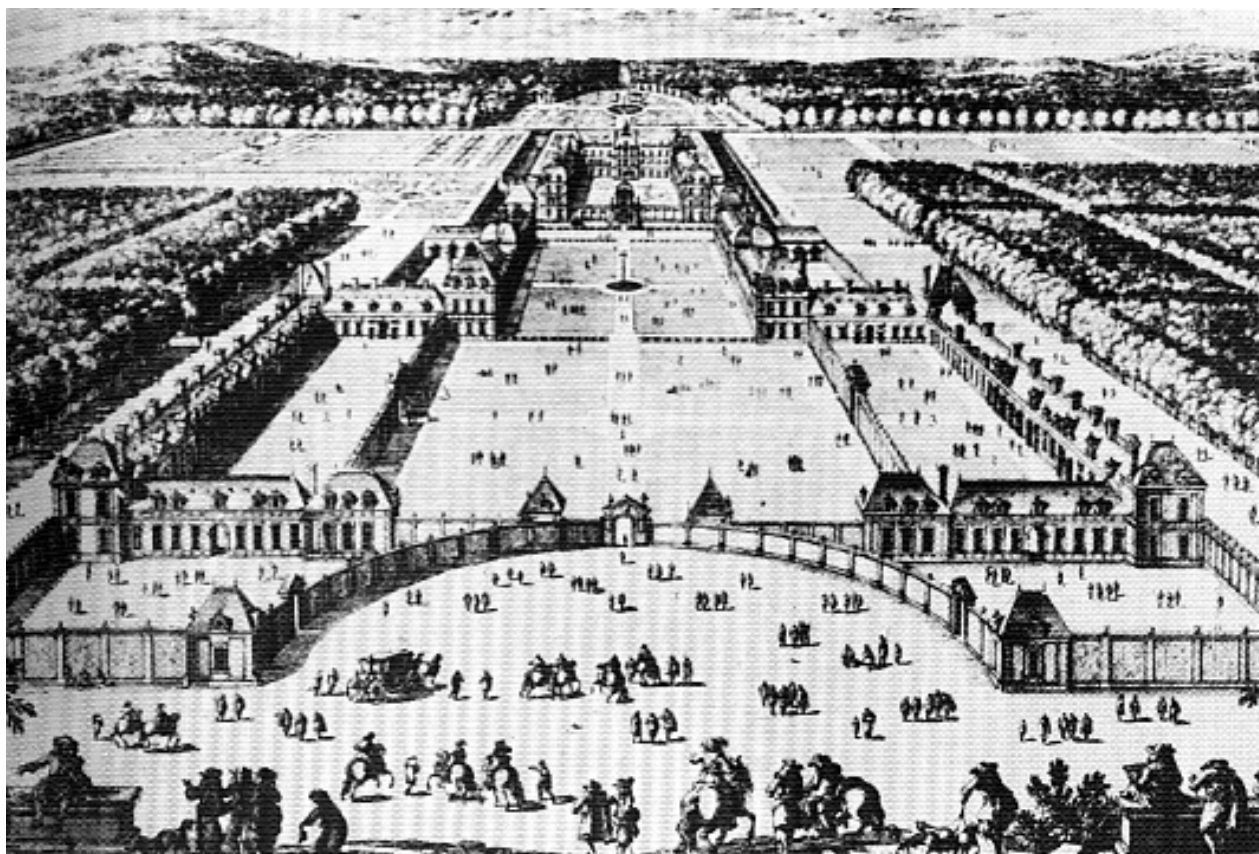
▲ 30. Palais-Cardinal od strony ogrodów. Turysta zwiedzający dzisiejszy Paryż nie rozpoznałby w Palais-Royal tej dawnej rezydencji Richelieugo.



▲ 31. Téophraste RENAUDOT, lekarz i publicysta, ojciec nowożytnego dziennikarstwa. Jego „Gazette” to ważny instrument kształtowania opinii zgodnie z wolą Eminencji.



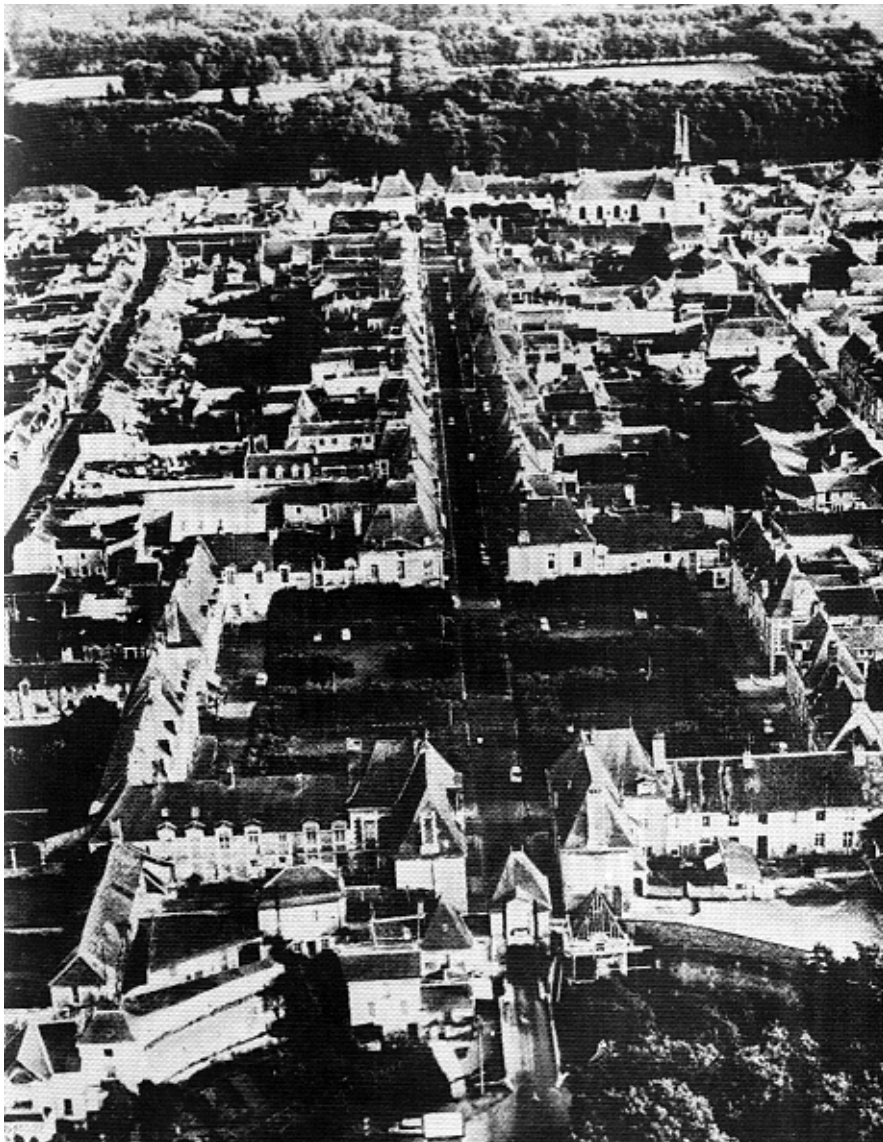
▲ 32. Renaudot sądził, że „Gazette” ma wartość nie tylko ulotną: co roku wypuszczał komplet wszystkich numerów porządnie zebranych.



▲ 33. Zamek w Richelieu. Grawiura Pérelle'a dobrze pokazuje monumentalne rozmiary tego pomnika feudalnych ambicji kardynała.

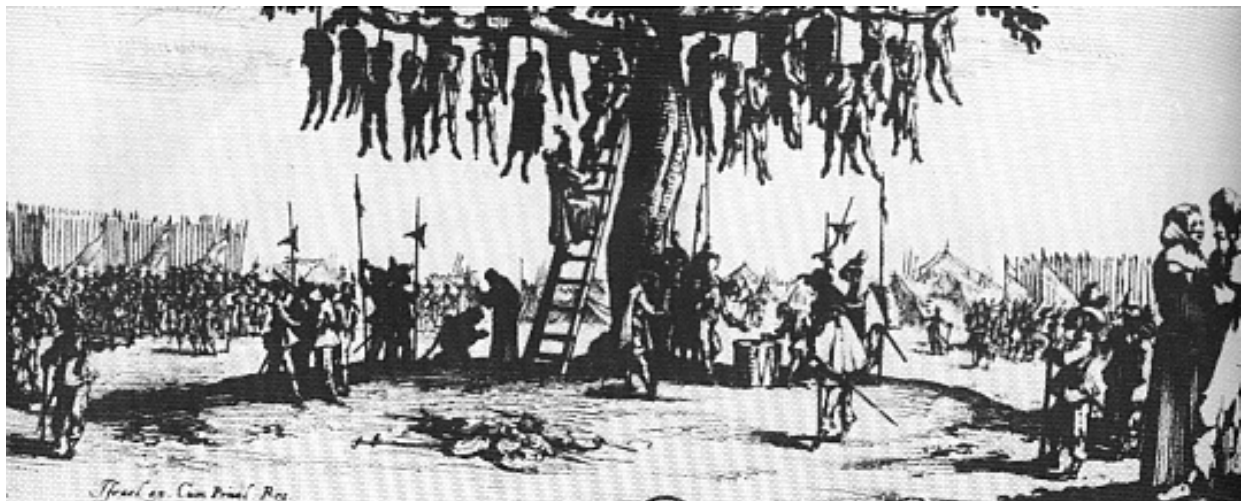


◀ 34. Bourgeois, który w XIX wieku kupił – niedrogo – zaniedbany zamek w Richelieu, kazał rozebrać budowlę i sprzedał piękny biały kamień. Niewiele śladów zostało po jednym z najpiękniejszych pałaców Europy.



◀ 35. Niewielkie, geometrycznie rozplanowane miasteczko Richelieu nie zrobiło kariery, ale jest dziś pięknym zabytkiem klasycystycznego ładu urbanistycznego.

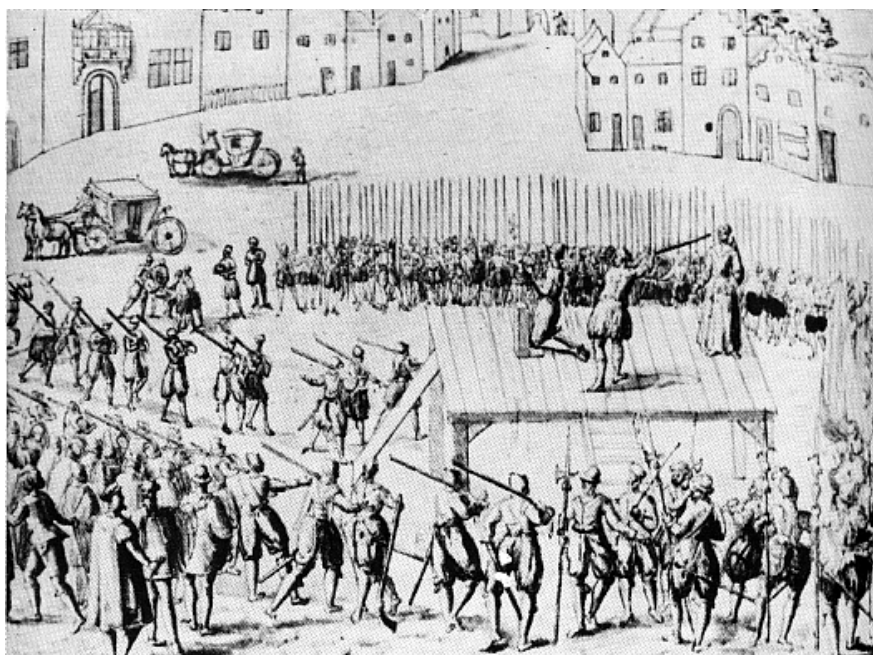
▼ 36. Cykl Jakuba Callota, „Les misères de la guerre”, po trzystu pięćdziesięciu latach ciągle wstrząsa naszą wrażliwością.





◀37. Henri d'Effiat markiz de CINQ-MARS. Nie był ani romantycznym wrogiem tyranii, ani bezmyślnym fircykiem. Ze wszystkich spisków arystokratycznych konspiracja Cinq-Marsa najpoważniej zagroziła władzy i życiu kardynała.

▶38. Egzekucja Cinq-Marsa i Thou w Lyonie, ostatni wielki sukces polityczny kardynała. Ale cała ta historia była kłębem obrzydliwości i obryzgała wszystkich, zwycięzców i zwyciężonych.





◀39. Na rysunku Mellana Richelieu ma wygląd znużonego starca. Jego twarz ujawnia wszystkie przeciążenia psychiczne lat wojny.



▲40. Richelieu na łożu śmierci, obraz Filipa de Champaigne. Zmarły bohater nie jest udęczonym starcem: malarz odmłodził go i uspokoił.



◀41. Richelieu na łożu śmierci: wersja naiwna, bardzo odmienna od niemal romantycznej wizji Filipa de Champaigne.

▶42. Grobowiec Richelieu w kościele Sorbony: fragment wspaniałego marmuru Girardona.

